

Philip K. Dick

Impostor - Test na człowieczeństwo

Przełożyła Magdalena Gawlik

We Can Remember It For You Wholesale

En-1987

Pl-2002

Sądzę, że paranoja pod pewnymi względami stanowi współczesne rozwinięcie pierwotnego wrażenia trwale zakodowanego u niektórych - zwłaszcza drobnych - typów zwierzyny, mianowicie poczucia, że jesteście nieustannie obserwowani... Według mnie paranoja to atawizm. Jest to przewlekłe zjawisko, które występowało w nas dawno temu, kiedy my - czy też nasi przodkowie - byliśmy bezbronni wobec drapieżników, co wywoływało wrażenie ciągłego i bliskiego zagrożenia...

Owo wrażenie często towarzyszy moim bohaterom.

Czyli po prostu zatawizowałem ich społeczeństwo. Pomimo faktu, iż rzecz dzieje się w przyszłości, życie bohaterów zawiera w sobie pewną część retrospektywną. Ich życie nie odbiega od życia naszych przodków. Wprawdzie sprzęt, którym się posługują, oraz miejsce akcji należą do przyszłości, lecz ich losy stanowią ni mniej, ni więcej tylko odzwierciedlenie przeszłości.

- Philip K. Dick w wywiadzie udzielonym w 1974 roku

WSTĘP

Norman Spinrad Debiutanckie opowiadanie Philipa K. Dicka, Reszta Jest Łabem (Beyond Lies the Wub), zostało pierwszy raz opublikowane w 1952 roku. Niniejszy tom zawiera 27 opowiadań pochodzących z lat 1952-1955, kiedy to ukazała się jego pierwsza powieść Słoneczna Loteria (Solar Lottery). Co więcej, nie są to wszystkie opowiadania opublikowane w ciągu początkowych czterech lat jego kariery.

To zjawisko samo w sobie zasługuje na uwagę. Niewielu pisarzy mogłoby poszczycić się tak

licznymi publikacjami w początkowych fazach swoich karier, nawet w owym czasie, kiedy istniało stosunkowo duże zapotrzebowanie na krótkie formy SF i wydawcy mieli wiele luk do wypełnienia. I chociaż należy przyznać, że niektóre zawarte w tym tomie opowiadania są dość banalne, większość wykazuje cechy obecne w bardziej dojrzałych utworach Dicka, ale nawet te mniej udane noszą w sobie łatwy do rozpoznania styl pisarza.

Biorąc pod uwagę fakt, iż wyszły spod pióra młodego autora w pierwszej fazie jego kariery oraz że Dick musiał pisać je jedno po drugim celem zyskania sławy i pieniędzy, owe 27 opowiadań zasługuje na uznanie również dzięki temu, czym nie są.

Z pewnością nie można ich zaliczyć do przygodowych opowiadań akcji. Nie są też typu space opera. Żadnych wykładów z teorii SF w pigułce. Żadnej w pełni rozwiniętej obcej cywilizacji. Żadnych jednowymiarowych postaci, czarnych charakterów, szalonych naukowców czy też odwiecznej walki dobrych bohaterów ze złymi. Dick na samym wstępie odrzucił komercyjne konwencje gatunku. Nawet banalne opowiadania są jego opowiadaniem. Od samego początku nadawał SF nowe oblicze, przekształcając jaw literackie narzędzie mające służyć jego celom oraz obsesjom.

Mamy przed sobą fascynujące zjawisko, 27 opowiadań opublikowanych przed pierwszą powieścią Philipa K. Dicka, ujętą zwięźle praktykę pisarską twórcy, który miał wkrótce zostać jednym z najwybitniejszych pisarzy dwudziestego wieku oraz - co wciąż pozostaje kwestią sporną - największym pisarzem metafizycznym wszech czasów.

Dick rozpoczął karierę w okresie, na który - przynajmniej w sensie wydawniczym - przypadła największa transformacja SF, jaka kiedykolwiek się zdarzyła. We wczesnych latach pięćdziesiątych głównym sposobem rozpowszechniania SF były czasopisma, w związku z czym krótkie formy dominowały. Po roku 1955, kiedy opublikował Słoneczną Loterię, książki w papierowych okładkach miały stać się najpopularniejszą formą wydawniczą i w konsekwencji powieść - najpopularniejszym gatunkiem.

W latach pięćdziesiątych, kiedy standardowa zaliczka za powieść SF wynosiła 1500 dolarów, każdy pisarz, przed którym widniała konieczność związania końca z końcem, musiał pisać opowiadania dla czasopism. Poza tym w związku z ograniczonymi możliwościami rynku wydawniczego, przed uzyskaniem kontraktu na powieść, musiał również najpierw wsławić się jako twórca opowiadań. Patrząc wstecz, czego dowodem jest także niniejszy zbiór opowiadań, nie było to takie złe, nawet dla twórcy pokroju Dicka, którego domeną była powieść. Te 27 opowiadań, razem z pozostałymi, które ukazały się przed Słoneczną Loterią, stanowiły dobrą wprawkę w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Kiedy te opowiadania czyta się po kolei, uwagę z pewnością przykuwa pewna niezmienność, powtarzalność, seria wielokrotnie powielanych motywów, jak gdyby autor badał terytorium swojego przyszłego działania. Podobne zjawisko możemy zaobserwować w opowiadaniach innych twórców tego okresu, np. Johna Varleya, Williama Gibsona, Luciusa Sheparda czy Kim Stanley Robinson. Jednakże tutaj mamy do czynienia z wyjątkową niezmiennością Dicka. Większość pisarzy SF, którzy w swojej wczesnej twórczości badają terytorium mające później zostać spenetrowane na szerszą skalę, skłania się ku tworzeniu logicznego wszechświata, jak choćby Larry Niven w Known Space,

bądź powtarzających się bohaterów, jak u Retiefa Keitha Laumera, czy też odwoływaniu się do konkretnych wydarzeń historycznych, jak w Future History Roberta A. Heinleina. Nierzadko wszystkie wyżej wspomniane elementy występują jednocześnie.

Po części jest to strategia handlowa. Młody pisarz, na tyle szalony lub naiwny, by marzyć o karierze pełnoetatowego twórcy opowiadań SF, musi pisać raczej dość szybko, żeby wyjść z tego przedsięwzięcia z tarczą. O wiele łatwiej jest powielać pewne wątki, miejsce akcji czy bohaterów, niż zaczynać za każdym razem od zera. Poza tym, jak dawno temu zostało udowodnione przez telewizję, seriale najsukuteczniej przyciągają widzów.

Lecz Philip K. Dick nie obrał takiego sposobu postępowania. W jego opowiadaniach nie występują kilkakrotnie ci sami bohaterowie. Nie zamieszkują oni również ściśle określonego wszechświata. Pomijając mgliste powiązania między Drugą odmianą (Second Variety), Światem Jona (Jon's World) oraz James P. Crow (James P. Crow), nie powzięto żadnej próby utworzenia logicznego ciągu przyszłych wydarzeń. Z pewnością jednak występuje tu powtarzalność tematów, sposobu obrazowania czy zagadnień metafizycznych, które napotkamy powtórnie w kolejnych powieściach Dicka w znacznie bardziej rozwiniętej postaci.

Ziemia jako garstka nuklearnego pyłu. Mechaniczne układy obronne urastające do rangi złowrogich form pseudożycia. Wolność jednostki przekreślona kosztem obrony wojskowej, dobrobytu gospodarczego bądź porządku samego w sobie. Przenikające się rzeczywistości. Ironiczne pętle czasowe i paradoksy. Zwykli ludzie na zwykłych posadach, usiłujący wyjść poza krępujący ich schemat życia.

Te opowiadania powstały w gorączkowym okresie zimnej wojny i antykomunistycznej hysterii wznieconej przez senatora Josepha McCarthy'ego oraz senacką komisję do spraw badania działalności anty amerykańskiej, w początkowej fazie paranoi antynuklearnej, kiedy to na dźwięk syreny alarmowej kazano dzieciom chować się pod szkolnymi ławkami. I odzwierciedlają ów czas w sposób oczywisty. Pokazują, że od samego początku Dick był pisarzem o głębokich zainteresowaniach politycznych.

Pokazują jednak coś jeszcze. W czasie kiedy podobne poglądy narażały ich głosiciela na ryzyko, Dick stanowczo wypowiadał się przeciwko militaryzacji, chorobliwej asekuracji, ksenofobii oraz szowinizmowi.

Co więcej, owe zła polityczne nie są ukazane na tle politycznych cnót o podobnie dużej skali, lecz na tle niepozornych w zestawieniu z nimi ludzkich i duchowych wartości drobnego bohaterstwa, miłosierdzia, i przede wszystkim empatii, która w ostatecznym rozrachunku odróżnia człowieka od maszyny, duchowe od materialnego, autentyczne od najsprytniej zamaskowanego falsyfikatu.

I jeżeli już potrafimy wyodrębnić temat wiodący oraz duchowe sedno całej kariery Philipa K. Dicka, w tych opowiadaniach dostrzegamy również genezę charakterystycznej techniki literackiej - która sprowadza ją do osobistego i czysto człowieczego wymiaru - polegającej na ukazywaniu różnych punktów widzenia w obrębie jednej historii.

To prawda, że we wczesnych opowiadaniach owa technika niekiedy pozostawia wiele do

życzenia. Czasami autor dla łatwiejszego poprowadzenia narracji bezceremonialnie przenosi punkt widzenia z jednej postaci na drugą w czasie jednego epizodu. Kiedy indziej wprowadza nowy punkt widzenia *in media res*, aby ukazać scenę trudną do przedstawienia za pomocą już obecnych bohaterów. Innym znów razem postać, dzięki której poznajemy wydarzenia, pojawia się, by zaistnieć w opowieści przez kilka akapitów, a następnie zniknąć.

Dzięki opowiadaniom Dick uczy się techniki ukazywania różnych punktów widzenia. W rzeczy samej można by nawet stwierdzić, że wymyślają, gdyż niewielu, jeżeli w ogóle, pisarzy korzystało z niej wcześniej, wszyscy zaś ci, którzy przejęli ją później, wiele mu zawdzięczają, choćby nawet nie byli tego świadomi.

Owa metoda pozwala pisarzowi zaczerpnąć daną historię ze świadomości, ducha i serca kilku bohaterów, nie tylko jednego. Wielostronność ludzkiego umysłu ukazana w ramach jednej opowieści przybliża czytelnika do bohaterów i ułatwia mu zrozumienie ich sytuacji, a w rękach mistrza, jakim jest Philip K. Dick, staje się oknami wiodącymi do metafizycznej wielostronności rzeczywistości, idealnej kombinacji formy i treści.

Niniejszym 27 opowiadaniom daleko do doskonałości. Twierdzenie, że reprezentują one szczyt osiągnięć literackich Philipa K. Dicka, byłoby sprzeczne z prawdą i godziłoby w reputację pisarza. Lecz one także są oknami, zarówno w przeszłość, jak i w przyszłość, na dojrzałą wizję mistrza, którym miał stać się piszący je młody, utalentowany czeladnik.

Norman Spinrad październik, 1986

PANI OD CIASTECZEK

Dokąd idziesz, Bubber? - krzyknął z drugiej strony ulicy Ernie Mili, szykując papiery na drogę.

- Donikąd - odparł Bubber Surle.

- Kolejna wizyta u starej znajomej? - Ernie zaśmiewał się do łez. - Po co ty odwiedzasz tę staruszkę? Zdradź nam ten sekret!

Bubber poszedł przed siebie. Skręcił w ulicę Wiązów. Widział już znajdującą się na skraju ulicy działkę ze stojącym nieco w głębi domem. Jego frontową część porastało stare, wyschnięte zielsko, które szeleściło i szeptało na wietrze. Sam dom miał kształt niedużego, szarego pudełka. Znajdował się w opłakanym stanie, prowadzące na ganek schody były zapadnięte i przekrzywione. Na werandzie stało wysmagane przez deszcz i wiatr krzesło bujane z powiewającym nad nim podartym kawałkiem tkaniny.

Bubber wszedł na ścieżkę. Idąc po rozchwianych schodach, głęboko zaczerpnął tchu. Już ją

czuł, rozkoszną ciepłą woń, która sprawiła, że do ust napłynęła mu ślina. Pełen oczekiwania, z bijącym sercem nacisnął przycisk dzwonka. Po drugiej stronie drzwi rozbrzmiał jego zgrzytliwy odgłos. Przez chwilę panowała cisza, wreszcie usłyszał szmer czyichś kroków.

Pani Drew otworzyła drzwi. Była stara, bardzo stara; drobna, zasuszona staruszka podobna do porastających obejście chwastów. Uśmiechnęła się do Bubbera i otworzyła szeroko drzwi, pozwalając mu wejść do środka.

- W samą porę - powiedziała. - Wejdz, Bernardzie. Przyszedłeś w samą porę - akurat są gotowe.

Bubber podszedł do drzwi kuchennych i zajrzał do środka. Zobaczył, jak ułożone na wielkim, niebieskim talerzu spoczywają na górze pieca. Ciasteczka, cały talerz ciepłych, świeżych ciasteczek prosto z piekarnika. Ciasteczek z orzechami i rodzynkami.

- No i jak? - zapytała pani Drew. Wyminąwszy go, weszła do kuchni. - I może odrobina zimnego mleka do popicia. Lubisz je z zimnym mlekiem. - Z wnęki okiennej na tylnym ganku wyjęła pojemnik z mlekiem. Następnie napełniła szklanekę i ułożyła na talerzyku kilka ciastek. - Chodźmy do dużego pokoju - zaproponowała.

Bubber skinął głową. Pani Drew zaniósła mleko i ciastka, po czym ustawiła je na poręczu tapczanu. Następnie usadowiła się na swoim krześle i obserwowała, jak Bubber opada na tapczan tuż obok ciastek i zabiera się do jedzenia.

W milczeniu, jeśli nie liczyć odgłosów żucia, łapczywie pochłaniał zawartość talerza. Pani Drew czekała cierpliwie, aż chłopiec skończy i jego już zaokrąglone boki wybrzuszą się jeszcze bardziej. Kiedy talerz zaświecił pustką, Bubber rzucił ponowne spojrzenie w kierunku kuchni na spoczywającą na piecu resztę ciasteczek.

- Może wolałbyś odczekać chwilę? - zapytała pani Drew.

- Dobrze - zgodził się Bubber.

- Smakowały?

- Jeszcze jak.

- To świetnie. - Odchyliła się na krześle. - Cóż takiego robiłeś dzisiaj w szkole? Jak ci poszło?

- W porządku.

Staruszka patrzyła, jak chłopiec niespokojnie rozgląda się po pokoju.

- Bernardzie - powiedziała - czy nie zostałbyś i nie porozmawiał ze mną chwilę? - Na jego kolanach leżało kilka książek, jakieś podręczniki. - Może coś mi poczytasz? Widzisz, mój wzrok nie jest już taki jak kiedyś i to ogromna ulga, jeśli ktoś może mi poczytać.

- Czy później dostanę resztę ciasteczek?

- Naturalnie.

Bubber przysunął się bliżej niej, na skraj tapczanu. Otworzył książki, atlas geograficzny świata, *Zasady arytmetyki, Pisownię Hoyte'a*.

- Którą pani chce? Zawahała się.

- Geografię.

Bubber na chybił trafił otworzył dużą niebieską książkę. PERU.

“Peru graniczy na północy z Ekwadorem i Kolumbią, na południu z Chile, a na wschodzie z Brazylią i Boliwią. Kraj podzielony jest na trzy główne terytoria. Należy do nich...”

Staruszka objęła wzrokiem czytającego, wodzącego palcem po linii chłopca i jego tłuste, trzęsące się policzki. Obserwowała go w milczeniu, uważnie śledząc jego ruchy i najdrobniejszy grymas skupionej twarzy. Odprężona, wygodnie rozparła się na krześle. Siedział blisko niej, nieznacznie tylko oddalony. Dzieliły ich zaledwie stolik i lampa. Jak miło, że przychodził; trwało to już od miesiąca, począwszy od dnia, kiedy siedząc na werandzie, tknięta nagłą myślą zawołała go i pokazała leżące obok fotela ciasteczka.

Dlaczego to zrobiła? Nie miała pojęcia. Od tak dawna mieszkała sama, że łapała się na tym, iż mówi i robi dziwne rzeczy. Stykała się z garstką ludzi tylko wtedy, kiedy szła do sklepu lub gdy zjawiał się listonosz z rentą. Albo śmieciarze.

W pokoju rozbrzmiewał monotony głos chłopca. Czowała, jak ogarnia ją spokój i błogość. Zamknęła oczy i splotła dłonie na podolku. Kiedy tak siedziała, na pół drzemiąc, na pół nasłuchując, zaczęło się dziać coś dziwnego. Staruszka zaczęła się zmieniać, a jej zszarzałe zmarszczki i żłobiące twarz bruzdy - stopniowo zanikać. Tkwiące nieruchomo na krześle ciało ulegało odmłodzeniu; w chudą, kruchą postać wstępował dawny wigor. Siwe włosy nabrały sprężystości i ściemniały, rzadkie kosmyki odzyskały niegdysiejszy kolor. Zaokrągliły się też ramiona, a ich pokryta plamami skóra przybrała piękny odcień, zupełnie jak za dawnych czasów.

Nie otwierając oczu, pani Drew oddychała głęboko. Czowała, że coś się dzieje, ale nie wiedziała co. Przebiegał jakiś proces, była jego świadoma i to uczucie przypadło jej do gustu. Nie potrafiła jednak powiedzieć, o co chodzi. Odbywało się to niemal za każdym razem, kiedy chłopiec przychodził i siadał obok niej. A zwłaszcza ostatnio, odkąd przysunęła swoje krzesło bliżej tapczanu. Wzięła głęboki oddech. Ależ to było przyjemne, to ciepłe tchnienie rozgrzewające jej wyziębione ciało po raz pierwszy od lat!

Siedząca na krześle staruszka przybrała postać ciemnowłosej, mniej więcej trzydziestoletniej kobiety o krągłej twarzy i pulchnych kończynach. Jej usta miały barwę soczystej czerwieni, a szyję cechowała odrobinę zbyt miękkość, zupełnie jak dawno, dawno temu.

Naraz czytanie dobiegło końca. Bubber odłożył książkę i wstał.

- Muszę już iść - oznajmił. - Czy mogę zabrać resztę ciasteczek?

Spłoszona, zamrugła oczami. Chłopiec zdążył przejść do kuchni i napychał sobie kieszenie ciastkami. Skinęła głową, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia minionej chwili. Chłopiec zabrał ostatnie ciastka. Przeszedł przez duży pokój i skierował się ku drzwiom. Pani Drew wstała. Ciepło opuściło ją bezpowrotnie. Ogarnęło ją ogromne znużenie i poczuła nagłą suchość w gardle. Oddychając pospiesznie, zaczerpnęła tchu. Popatrzyła na swoje ręce. Były chude i pomarszczone.

- Och! - mruknęła. Łzy przyćmiły jej wzrok. Wszystko zniknęło, jak zawsze kiedy wychodził. Pokuśtykała do wiszącego nad kominkiem lustro i przejrzała się w nim. Dostrzegła wyblakłe oczy, głęboko osadzone w zasuszonej twarzy. Znikało, wszystko znikało, jak tylko chłopiec ją opuszczał.

- Do widzenia - powiedział Bubber.

- Proszę - wyszeptała. - Proszę, przyjdź znowu. Przyjdiesz?

- Jasne - odrzekł apatycznie Bubber. Otworzył drzwi. - Do zobaczenia. - Zszedł po schodach. Po chwili dobiegł ją odgłos butów szurających po chodniku. I już go nie było.

- Bubber, chodź no tutaj! - May Surle gniewnie stanęła na werandzie. - Natychmiast proszę tu przyjść i usiąść przy stole.

- Dobrze. - Bubber powoli wspiął się na ganek i wszedł do domu.

- Co ci jest? - Złapała go za ramię. - Gdzieś ty się podziewał? Niedobrze ci?

- Jestem zmęczony. - Bubber potarł czoło.

Z pokoju nadszedł odziany w podkoszulek ojciec, niósł gazety.

- Co się dzieje?

- Spójrz tylko na niego - rzekła May Surle. - Jaki wykończony. Co ty robiłeś, Bubber?

- Ciągle odwiedza tę staruszkę - powiedział Ralf Surle. - Nie widzisz? Po każdej wizycie u niej pada na nos. Po co ty tam łazisz, Bubber? O co tutaj chodzi?

- Ona częstuje go ciastkami - oświadczyła May. - Wiesz, jaki jest łasy na słodycze. Zrobiłby wszystko za talerz ciasteczek.

- Bub - powiedział ojciec - posłuchaj mnie. Nie życzę sobie, abyś kręcił się w pobliżu tej starej wariatki. Słyszałeś? Nie obchodzi mnie, ile dostajesz od niej ciastek. Popatrz na siebie! Koniec z tym. Zrozumiano?

Oparty o drzwi Bubber wlepił wzrok w podłogę. Jego zmęczone serce biło z wysiłkiem.

- Obiecałem jej, że wrócę - wymamrotał.

- Możesz iść jeszcze raz - pozwoliła May, kierując się do jadalni. - Jeden, jedyny raz. Ale powiesz jej, że nie będziesz już mógł przychodzić. Tylko bądź grzeczny. A teraz marsz na górę i do łazienki.

- Niech lepiej po kolacji od razu pójdzie spać - rzekł Ralf, odprowadzając spojrzeniem wlokącego się po schodach z ręką na poręczy Bubbera. Potrząsnął głową. - Nie podoba mi się to - mruknął. - Nie chcę, aby dalej tam chodził. Ta staruszka jest jakaś dziwna. - To będzie ostatni raz - powiedziała May.

W środę było ciepło i słonecznie. Bubber podążał przed siebie z rękami w kieszeniach. Na chwilę przystanął przed sklepem Mc Vane'a, spoglądał w zamyśleniu na komiksy. W pobliskiej kawiarni kobieta popijała wielki napój czekoladowy. Na ten widok ślina nabiegła Bubberowi do ust. To wystarczyło. Odwróciwszy się, ruszył dalej niezznacznie przyspieszonym krokiem.

Kilka minut później stał na szarej, zrujnowanej werandzie i dzwonił do drzwi. Rosnące poniżej chwasty szeleściły na wietrze. Dochodziła czwarta po południu; nie miał wiele czasu. Ale w końcu to i tak miał być ostami raz.

Otwarto drzwi. Pomarszczona twarz pani Drew rozplynęła się w uśmiechu.

- Wejdz, Bernardzie. Jak dobrze cię widzieć. Dzięki temu znów czuję się taka młoda.

Wszedł do środka i rozejrzał się dokoła.

- Już zabieram się do pieczenia. Nie wiedziałam, że przyjdiesz. - Potruchtała do kuchni. - Lada moment będą. A ty usiądź na tapczanie.

Bubber przeszedł do pokoju i usiadł. Jego uwagę przykuł brak stolika i lampy; krzesło stało bezpośrednio obok tapczanu. Spoglądał na nie zbity z tropu, kiedy w progu stanęła ożywiona pani Drew.

- Już są w piecu. Ciasto miałam gotowe. No dobrze. - Z westchnieniem opadła na krzesło. - Dobrze, więc jak ci dzisiaj poszło? Jak tam szkoła?

- W porządku.

Pokiwała głową. Ależ ten chłopiec był tłuściutki, siedział tak blisko niej, jakie miał pełne i czerwone policzki! Był tak blisko, że mogła go dotknąć. Jej stare serce biło jak szalone. Och, znów być młodym! Młodość tyle znaczyła. Była wszystkim. Czymże był świat dla starych? Kiedy cały świat się zestarzeje, chłopcze...

- Nie zechciałbyś mi poczytać, Bernardzie? - zapytała po chwili.

- Nie przyniosłem żadnych książek.

- Ach tak. - Kiwnęła głową. - Cóż, ja je mam - dorzuciła pośpiesznie. - Zaraz przyniosę.

Wstała i podeszła do biblioteczki. Kiedy ją otworzyła, Bubber powiedział:

- Pani Drew, mój tato mówi, że nie mogę tu więcej przychodzić. Powiedział, że to ostatni raz. Pomyślałem sobie, że pani powiem.

Zamarła, sztywniejąc na całym ciele. Pokój zawirował jej przed oczami jak w jakimś dzikim tańcu. Chrapliwie zaczerpnęła tchu.

- Bernardzie, ty... ty więcej nie przyjdiesz?

- Nie, ojciec mi zabrania.

Cisza. Staruszka wzięła pierwszy z brzegu tom i powoli wróciła na krzesło. Po chwili drżącymi rękami podała mu go. Chłopiec wziął książkę bez słowa i zerknął na okładkę.

- Czytaj, Bernardzie. Proszę.

- Dobrze. Od którego miejsca mam zacząć?

- Wszystko jedno. Wszystko jedno, Bernardzie.

Zaczął czytać. Była to książka Trollope'a; słyszała zaledwie urywki zdań. Uniosła dłoń do czoła i dotknęła suchej skóry, cienkiej i wiotkiej jak stary papier. Drżała przepelniona lękiem. Ostatni raz?

Bubber czytał, powoli i monotonie. Koło okna brzęczała mucha. Na zewnątrz słońce miało się ku zachodowi, powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Niebo zasnuło kilka chmur, a wiatr ze złością szeleścił wśród gałęzi.

Staruszka siedziała blisko chłopca, bliżej niż zazwyczaj, wsłuchana w dźwięk jego głosu, świadoma jego bliskości. Czy to naprawdę ostatni raz? Serce w niej struchlało i czym prędzej odepchnęła to uczucie. Ostatni raz! Objęła spojrzeniem siedzącego na wyciągnięcie ręki chłopca. Chwyciła oddech. Już nigdy nie wróci. Ani razu, nigdy więcej. Siedzi tu po raz ostatni.

Dotknęła jego ramienia.

Bubber podniósł głowę.

- Co się stało? - mruknął.

- Nie masz nic przeciwko temu, abym dotknęła twojej ręki, prawda?

- Nie, chyba nie. - Powrócił do lektury. Staruszka czuła, jak jego młodość przepływa pomiędzy jej palcami i sunie przez ramię. Pulsująca, wibrująca młodość, tak blisko niej. Nigdy nie znajdowała się aż tak blisko, aby mogła jej dotknąć. To uczucie przyprawiło ją o zawrót głowy.

I wkrótce wszystko zaczęło dziać się dokładnie tak jak przedtem. Przymknawszy oczy, pozwoliła, aby osnuło ją to i wypełniło bez reszty, niesione dźwiękiem głosu i dotykiem ręki. Dokonywała się w niej przemiana, ciepłe, narastające uczucie. Ponownie kwitła, czerpiąc z niego życie i odzyskując pełnię, którą utraciła dawno, dawno temu.

Zerknęła na swoje ramiona. Były zaokrąglone, a paznokcie jakby zdrowsze. Włosy. Ciężko zwisały nad karkiem, czarne jak niegdyś. Dotknęła swojego policzka. Zmarszczki zniknęły, skóra była jędrna i miękka.

Ogarnęła ją niepohamowana radość. Rozejrzała się po pokoju. Uśmiechnęła się, wiedząc, że ma mocne białe zęby i zdrowe dziąsła oraz czerwone wargi. Pewnym i żwawym ruchem poderwała się z miejsca. Wykonała nieznaczny, zwinny obrót.

Bubber przestał czytać.

- Czy ciasteczka są już gotowe? - zapytał.

- Zaraz sprawdzę. - W jej głosie dała się słyszeć głęboka nuta, która pobrzmiała wiele lat temu. Teraz znów tam była, nadając głosowi gardłową i zmysłową tonację. Szybkim krokiem przeszła do kuchni i uchyliła piekarnik. Wyjęła ciasteczka i położyła je na piecu.

- Gotowe - zakomunikowała wesoło. - Chodź i weź sobie.

Bubber wyminął ją, nie mógł oderwać wzroku od ciastek. Nawet nie zauważył stojącej przy drzwiach kobiety.

Pani Drew pospiesznie opuściła kuchnię. Weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Następnie odwróciła się, spoglądając w zawieszzone na nich duże lustro. Młoda - znów była młoda, pełna ożywczej wibrującej siły. Odetchnęła pełną piersią. Jej oczy rozblęły, na ustach pojawił się uśmiech. Zakręciła się w miejscu, powiew uniósł suknię. Młoda, młoda i piękna.

I tym razem wrażenie nie znikło.

Otworzyła drzwi. Napchawszy sobie usta i kieszenie, Bubber stanął na środku dużego pokoju. Jego tępą, nalaną twarz pokrywała trupia bladość.

- Co się stało? - zapytała pani Drew.

- Idę.

- Dobrze, Bernardzie. I dzięki, że przyszedłeś mi poczytać. - Położyła dłoń na jego ramieniu. - Może jeszcze się kiedyś spotkamy.

- Mój ojciec...

- Wiem. - Wybuchnęła radosnym śmiechem i otworzyła mu drzwi. - Do widzenia, Bernardzie. Do widzenia.

Patrzyła, jak po jednym schodku zstępuje na dół. Potem zamknęła drzwi i z powrotem pomknęła do sypialni. Rozpięła sukienkę i zsunęła ją z siebie, nagle niechętna dotykowi szarej, sfatygowanej tkaniny. Z opartymi na biodrach rękami, przez krótką chwilę mierzyła wzrokiem swoje krągłe ciało.

Roześmiała się w podnieceniu i z rozjaśnionym spojrzeniem wykonała lekki obrót. Co za cudowne, kipiące życiem ciało. Pełne piersi - musnęła je dłonią. Ciało zachwycało jędrnością. Miała przed sobą tyle rzeczy do zrobienia! Oddychając pospiesznie, potoczyła dokoła wzrokiem. Tyle do zrobienia! Odkręciła kran nad wanną i przystąpiła do upinania włosów.

Kiedy z mudnym krokiem posuwał się naprzód, wiatr smagał go ze wszystkich stron. Było późno, słońce dawno już zaszło, a niebo pociemniało i zasnuło się chmurami. Nie dający mu spokoju wiatr był zimny i przenikał go na wskroś. Czaszkę rozsadzał dotkliwy ból. Chłopiec czuł nieodparte znużenie, przystawał więc co chwilę, by odpocząć, i tarł czoło, a serce z wysiłkiem tłukło mu się w piersi. Dotarł do końca ulicy Wiązów i ruszył dalej Sosnową. Dokuczliwy wiatr targał nim na wszystkie strony. Potrząsnął głową, usiłując pozbyć się przykrego wrażenia. Jakże był zmęczony, jak bardzo ciążyły mu nogi i ręce. Czuł, jak wiatr chłoszcze go, popycha i szarpie.

Zaczerpnął tchu i ze spuszczoną głową ruszył naprzód. Na rogu przystanął, przytrzymując się latarni. Zapadł zmierzch, wokół zaczynały rozbłyskiwać światła uliczne. Wreszcie ostatnim wysiłkiem podjął wędrówkę.

- Gdzież ten chłopak się podziewa? - powiedziała May Surle, po raz dziesiąty wychodząc na ganek. Ralf pstryknął światło i stanął obok niej. - Co za paskudny wiatr.

Wiatr gwizdał i trząsał werandą. Oboje spoglądali w głąb ciemnej ulicy, lecz nie dostrzegali nic z wyjątkiem niesionych wiatrem śmieci i gazet.

- Wejźmy do środka - zdecydował Ralf. - Jak nic dostanie w skórę, kiedy tylko wróci.

Usiedli do kolacji. Naraz May odłożyła widelec.

- Słuchaj! Słyszysz coś? Ralf stał w milczeniu.

Na zewnątrz, przy frontowych drzwiach rozległ się cichy stukot. Ralf wstał. Wiatr wył, łomocząc storami w pokoju na piętrze.

- Sprawdź, co to jest - powiedział.

Podszedł do drzwi i otworzył je. Coś szarego i wyschniętego wtoczyło się na ganek niesione wiatrem. Obrzucił to pytającym wzrokiem. Pewnie garść chwastów, chwastów i śmieci, nic innego.

Przedmiot obił się o jego nogi. Patrzył, jak wymija go i toczy się w kierunku ściany. Powoli zamknął drzwi.

- I co to było? - zawołała May.

- To tylko wiatr - odparł Ralf Surle.

ZA DRZWIAMI

Tego wieczora, kiedy jedli kolację, przyniósł go i postawił obok jej talerza. Doris wlepiła weń spojrzenie, przyciskając rękę do ust.

- Boże, a cóż to takiego? - Podniosła na niego roziskrzony wzrok.

- Sama zobacz.

Oddychając pospiesznie, Doris zdarła ostrymi paznokciami wstążkę i papier z kwadratowego opakowania. Larry obserwował, jak podnosi wieczko. Zapalił papierosa i oparł się o ścianę.

- Zegar z kukułką! - wykrzyknęła. - Prawdziwy zegar z kukułką, zupełnie taki jak ten, który należał do mojej matki. - Oglądała zegar ze wszystkich stron. - Zupełnie jak mojej matki, kiedy Pete jeszcze żył. - W jej oczach zaśniły łzy.

- Niemiecka produkcja - oświadczył Larry. Po chwili dodał: - Carl załatwił mi go po cenie hurtowej. Ma znajomości u zegarmistrza. W przeciwnym razie wcale bym go nie... - Urwał.

Doris wydała z siebie krótki, nieartykułowany odgłos.

- To znaczy, w przeciwnym razie wcale nie byłoby mnie na niego stać. - Spochmurniał. - O co ci chodzi? Masz swój zegar czy nie? Czy nie tego chciałaś?

Doris siedziała, trzymając zegar, i przyciskała palce do brązowego drewna.

- No - ponaglił Larry. - Co jest?

Zdumiony ujrzał, jak zrywa się z krzesła i wybiega z zegarem z pokoju.

Potrząsnął głową.

- Nijak nie dogodzisz. One wszystkie takie. Nigdy nie mają dosyć.

Usiadł przy stole i dokończył posiłek.

Zegar z kukułką nie był duży. Jego ręcznie rzeźbioną powierzchnię zdobiły niezliczone nacięcia oraz drobne ornamenty wyryte w miękkim drewnie. Usiadłszy na łóżku, Doris osuszyła oczy i przystąpiła do nakręcania zegara. Ustawiała wskazówki według swojego zegarka. I zaraz przesunęła je na za dwie dziesiąta. Zaniósła zegar na toaletkę i oparła o ścianę.

Następnie usiadła i złożyła ręce na podolku - czekała, aż wraz z wybiciem godziny kukułka opuści swoją kryjówkę.

W tym czasie myślała o Larrym i o tym, co powiedział. I o tym, co sama powiedziała - choć wcale nie czuła się niczemu winna. Ostatecznie nie mogła wysłuchiwać go bez słowa sprzeciwu; niby dlaczego miała dawać sobie dmuchać w kaszę.

Naraz podniosła do oczu chustkę. Dlaczego musiał to powiedzieć, to o cenie hurtowej? Dlaczego musiał wszystko zepsuć? Skoro tak uważał, to w ogóle nie powinien był kupować zegara. Zacisnęła pięści. Jego małostkowość przekraczała wszelkie granice.

Jednak widok tykającego miarowo zegara i karbowanych krawędzi jego drzwiczek napawał ją bezmierną radością. Wewnątrz siedziała kukułka, czekając na moment, kiedy będzie mogła wyjść na zewnątrz. Czy nasłuchiwała, z przechyloną na bok główką, aż bicie zegara da jej znak?

A może pomiędzy jedną godziną a drugą zapada w sen? Tak czy inaczej, zaraz ją zobaczy: wtedy będzie mogła zapytać. I pokaże zegar Bobowi. Spodoba mu się; Bob uwielbiał starocie, nawet stare znaczki czy guziki. Oczywiście to było odrobinę niezręczne, ale na szczęście Larry spędzał masę czasu w swoim biurze. Gdyby tylko Larry nie dzwonił czasami, aby...

Rozległ się szum. Zegar zadrżał i drzwiczki raptownie odskoczyły. Ze środka płynnie wysunęła się kukułka. Zamarła w bezruchu, obrzucając poważnym spojrzeniem kobietę, pokój oraz meble.

Widziały się po raz pierwszy, skonstatowała Doris z pełnym zadowolenia uśmiechem. Wstała i podeszła do niej nieśmiało.

- No dalej - poprosiła. - Czekam.

Kukułka otworzyła dziób. Zaszumiała, po czym kilkakrotnie szybko zakukała. Po chwili namysłu wycofała się do wnętrza zegara. Drzwiczki zatrzęsnęły się za nią.

Doris nie posiadała się z zachwytu. Klasnęła w dłonie i zakręciła się dookoła. Kukułka była cudowna, wspaniała! A sposób, w jaki rozejrzała - się po pokoju, taksując ją spojrzeniem. Zyskała jej aprobatę; tego była pewna. Naturalnie z wzajemnością, pokochała ptaka od razu. Najzupełniej odpowiadał jej oczekiwaniom.

Doris podeszła do zegara. Pochyliła się nad małymi drzwiami, przysuwając usta do drewna.

- Słyszysz mnie? - szepnęła. - Uważam, że jesteś najcudowniejszą kukułką na świecie. -
Umilkła zakłopotana. - Mam nadzieję, że ci się tu spodoba.

Następnie z podniesioną głową zeszła powoli po schodach.

Larry nie mógł dojść do ładu z zegarem od samego początku. Doris twierdziła, iż działa się tak dlatego, że nie nakręcał go jak należy, zegar zaś nie lubił być przez cały czas nakręcony zaledwie do połowy. Larry pozostawił więc jej to zadanie; co kwadrans kukułka wyskakiwała na zewnątrz, bezlitośnie rozciągając sprężynę, przez co stale musiał być w pobliżu ktoś, kto powtórnie by ją nakręcił.

Mimo najlepszych starań Doris wielokrotnie o tym zapominała. Wówczas Larry ostentacyjnie rzucał gazetę i podnosił się z miejsca. Następnie szedł do jadalni, gdzie na ścianie nad kominkiem wisiał zegar. Zdejmował go i skrzętnie przyciskając kciukiem drzwiczki, przystępował do nakręcania.

- Dlaczego przyciskasz kciukiem drzwi? - zapytała kiedyś Doris.

- Bo tak trzeba.

Uniosła brwi.

- Na pewno? Zastanawiam się, czy nie chodzi o to, że nie chcesz, aby wyszła, kiedy stoisz tak blisko.

- Niby dlaczego?

- Może się jej boisz.

Larry wybuchnął śmiechem. Umieścił zegar z powrotem na ścianie i ostrożnie oderwał kciuk od drzwiczek. Kiedy Doris odwróciła wzrok, zbadał go uważnie.

Po wewnętrznej stronie wciąż widniało na nim zadrapanie. Za czyją sprawą się tam znalazło?

Pewnego sobotniego ranka, kiedy Larry znajdował się w biurze pochłonięty jakimiś niezmiernie ważnymi rachunkami, na ganek wkroczył Bob Chambers i nacisnął przycisk dzwonka.

Doris właśnie brała szybki prysznic. Wytarła się i narzuciła szlafrok. Otworzyła drzwi i Bob z uśmiechem wszedł do środka.

- Cześć - powiedział, tocząc wokół spojrzeniem.

- Nie ma obawy. Larry jest w biurze.

- To świetnie. - Bob zerknął na widoczne pod szlafrokiem szczupłe nogi Doris. - Jak ładnie

dzisiaj wyglądasz.

Roześmiała się.

- Uważaj! Może wcale nie powinnam cię wpuszczać.

Popatrzyli na siebie z mieszaniną lęku i rozbawienia. Bob rzucił pośpiesznie:

- Jeśli chcesz, mogę...

- Na litość boską, nie. - Chwyciła go za rękaw. - Tylko odsuń się od drzwi, żebym mogła je zamknąć. Ta pani Peters z naprzeciwka, sam wiesz.

Zamknęła drzwi.

- Chcę ci coś pokazać - rzekła. - Jeszcze tego nie widziałeś.

Bob okazał zainteresowanie.

- Jakiś antyk? Czy co?

Ujęła go pod ramię i zaprowadziła do jadalni.

- Spodoba ci się, Bobby. - Przystanąła i otworzyła szeroko oczy. - Mam nadzieję, że tak. Musi; musi ci się spodobać. Tyle dla mnie znaczy - ona tyle dla mnie znaczy.

- Ona? - Bob zmarszczył brwi. - Kto taki?

Doris parsknęła śmiechem.

- Zazdrośnik! Chodź. - Chwilę później stanęli przed zegarem, popatrzyli na niego. - Wyjdzie za kilka minut. Poczekaj, aż ją zobaczysz. Jestem pewna, że się polubicie.

- A co sądzi Larry?

- Nie znoszą się. Czasem kiedy Larry jest w pokoju, ona wcale nie wychodzi. Wtedy Larry się wścieka. Mówi...

- Co mówi?

Doris spuściła oczy.

- Zawsze mówi, że zdarto z niego skórę, nawet mimo faktu, że nabył zegar po cenie hurtowej. - Rozchmurzyła się. - Ale ja wiem, że ona nie wychodzi, bo nie lubi Larry'ego. Kiedy jestem sama, kuka dokładnie co kwadrans, choć właściwie powinna tylko o pełnej godzinie.

Popatrzyła na zegar.

- Do mnie wychodzi, ponieważ chce porozmawiać; ja opowiadam jej rozmaite rzeczy. Pewnie, że wolałabym zabrać ją na górę do sypialni, ale to nie byłoby w porządku.

Na ganku zabrzmiał odgłos czyichś kroków. Wymienili złąknione spojrzenia.

Larry, chrząkając, otworzył frontowe drzwi. Postawił swoją walizkę i zdjął kapelusz. Wtedy jego wzrok po raz pierwszy spoczął na Bobie.

- Chambers. A niech mnie diabli. - Zmrużył oczy. - Co ty tutaj robisz? - Wszedł do jadalni. Doris bezradnie otuliła się szlafrokiem i zrobiła krok do tyłu.

- Ja - zaczął Bob. - To znaczy, my... - Urwał, zerkając na Doris. Od strony zegara dobiegł szum. Kukułka hałaśliwie zaczęła oznajmiać godzinę. Larry ruszył w jej kierunku.

- Ucisz to cholerstwo - rzucił. Pogroził zegarowi pięścią. Kukułka zamilkła gwałtownie i wróciła do środka. Drzwi zatrzasnęły się. - Teraz lepiej. - Przeniósł wzrok na stojących w milczeniu Doris i Boba.

- Przyszedłem, aby obejrzeć zegar - odrzekł Bob. - Doris mówiła, że to rzadki okaz, no i...

- Bzdura. Sam go kupiłem. - Larry natarł na niego. - Wynoś się stąd. - Popatrzył na Doris. - Ty również. I zabieraj ten swój zegar.

Umilkł, trąc ręką podbródek.

- Albo nie. Zegar zostanie tutaj. Należy do mnie; zapłaciłem za niego.

W ciągu kilku tygodni, które nastąpiły po odejściu Doris, jego stosunki z zegarem zaostrzyły się jeszcze bardziej. Przede wszystkim kukułka przez większość czasu nie wychylała dzioba ze środka, niekiedy nawet o dwunastej, kiedy teoretycznie powinna być najbardziej zajęta. A gdy wreszcie postanowiła wyjść, kukała raz bądź dwa razy, nigdy nie przestrzegając właściwej godziny. Poza tym w jej głosie dźwięczała ponura, niezachęcająca nuta, zgrzytliwy odgłos, który napawał Larry'ego niepokojem i odrobiną złości.

Jednak pamiętał o nakręcaniu zegara, gdyż panująca w domu cisza, nie zmacona niczym tupotem, paplaniną czy stukaniem upuszczanych na podłogę przedmiotów, działała mu na nerwy. Uspokajał go nawet miarowy szum zegara.

Lecz nie znosił kukułki. I czasami do niej mówił.

- Słuchaj - powiedział pewnego wieczora do zamkniętych drzwiczek. - Wiem, że mnie słyszysz. Powinienem oddać cię Niemcom - do Szwarewaldu. - Chodził tam i z powrotem. - Ciekawe, co robią w tej chwili tamci dwoje. Ten młody punk ze swoimi książkami i antykami. Mężczyzna nie powinien interesować się antykami; to dobre dla kobiet.

Zacisnął zęby.

- Nie mam racji?

Zegar milczał. Larry stanął na wprost niego.

- Nie mam racji? - powtórzył z naciskiem. - Czy nie masz nic do powiedzenia?

Popatrzył na tarczę zegara. Dochodziła jedenasta.

- Dobrze. Poczekam do jedenastej. Wtedy posłuchamy, co masz do powiedzenia. Od kiedy odeszła, nie jesteś zbyt rozmowna. - Uśmiechnął się krzywo. - A może bez niej ci się tu nie podoba. - Sposepniał. - Tak czy inaczej, zapłaciłem za ciebie i masz wychodzić bez względu na to, czy tego chcesz, czy nie. Słyszałaś?

W oddali, na skraju miasta, zegar na wieży sennie wybił jedenastą. Ale drzwiczki ani drgnęły. Upłynęła minuta, a kukułka nie dała znaku życia. Trwała gdzieś w głębi zegara, za swoimi drzwiami, daleka i milcząca.

- Doskonale, jak sobie chcesz - mruknął Larry, wykrzywiając usta. - Ale to nie w porządku. To twój obowiązek. Wszyscy nie raz robimy to, czego nie lubimy.

Powlókł się do kuchni i otworzył wielką, błyszczącą lodówkę. Nie przestając myśleć o zegarze, nalał sobie drinka.

Nie ulegało wątpliwości, że kukułka powinna wyjść, nieważne, czy jest Doris, czyjej nie ma. Od początku przypadły sobie do gustu. I niezmiernie się lubiły. Przypuszczalnie polubiła również Boba - pewnie przyjrzała mu się wystarczająco dobrze, aby móc go poznać. Byłoby im wszystkim dobrze ze sobą - Bobowi, Doris oraz kukułce.

Larry dopił drinka. Otworzył szufladę pod zlewem i wyjął z niej młotek. Ostrożnie zaniósł go do jadalni. Od strony wiszącego na ścianie zegara dochodziło spokojne tykanie.

- Zobacz - powiedział, wymachując młotkiem. - Widzisz, co tu mam? Wiesz, co mam zamiar z tym zrobić? Najpierw porachuję się z tobą. - Uśmiechnął się. - Wszyscy troje jesteście niezłymi ptaszkami.

Pokój odpowiedział mu ciszą.

- Wychodzisz? Czy sam mam cię wydostać?

Zegar wydał z siebie lekki, brzęczący odgłos.

- Słyszę cię. Przez ostatnie trzy tygodnie nazbierało ci się sporo rzeczy do powiedzenia. Jak sądzę, jesteś mi winien...

Drzwi otworzyły się. Ze środka wypadła kukułka, celując wprost w niego. W tym czasie Larry ze zmarszczonymi brwiami w zamyśleniu spoglądał na podłogę. Podniósł wzrok i ptak dziobnął go prosto w oko.

Runął na dół razem z młotkiem i krzesłem i z ogłuszającym łomotem uderzył o podłogę. Kukułka przez chwilę trwała bez ruchu ze sztywno wyprężonym ciałem. Następnie ponownie schroniła się w zaciszu zegara. Drzwi za nią się zamknęły.

Mężczyzna leżał rozciągnięty groteskowo na podłodze, z przekrzywioną na bok głową. W pokoju panował całkowity bezruch. Oprócz tykania zegara ciszy nie mącił żaden dźwięk.

- Rozumiem - odrzekła Doris z twarzą ściągniętą napięciem. Bob uspokajającym gestem otoczył ją ramieniem.

- Doktorze - powiedział Bob. - Czy mógłbym pana o coś zapytać?

- Naturalnie - odparł lekarz.

- Czy rzeczywiście tak łatwo skrócić sobie kark, spadając z tak niedużego krzesła? Wysokość wcale nie była znaczna. Zastanawiam się, czy to istotnie był wypadek. Czy istnieje prawdopodobieństwo, aby...

- Samobójstwo? - Lekarz poskrobał się w podbródek. - Nigdy nie słyszałem, aby ktokolwiek popełnił samobójstwo w taki sposób. Jestem całkowicie przekonany, że to był wypadek.

- Nie miałem na myśli samobójstwa - mruknął pod nosem Bob, zerkając na zegar ścienny. - Miałem na myśli coś innego.

Ale nikt go nie usłyszał.

ZNAMIENITY AUTOR

Mój mąż - powiedziała Mary Ellis - pomimo faktu, iż jest nadzwyczaj żwawym człowiekiem i nie spóźnił się do pracy od dwudziestu pięciu lat, w dalszym ciągu przebywa gdzieś w domu. - Pociągnęła łyk lekko aromatyzowanego hormonalno-węglowodanowego napoju. - Ściśle mówiąc, nie wyjdzie z domu jeszcze przez najbliższe dziesięć minut.

- Niewiarygodne - odrzekła Dorothy Lawrence, która po wypiciu swojego napoju nurzała obecnie półnagie ciało w dermalnej mgiełce emitowanej z umieszczonego nad tapczanem automatycznego rozpylacza. - Czegóż to oni jeszcze nie wymyślą!

Pani Ellis promieniała dumą, jak gdyby sama należała do personelu Postępu Terrańskiego.

- Tak, to niewiarygodne. Według słów jednego z pracowników, można by wyjaśnić całą historię cywilizacji, opierając się na rozwoju technik transportowych. Ja, oczywiście, w ogóle nie znam się na historii. To działka badaczy z ramienia rządu. Jednak wnosząc z tego, co tamten człowiek powiedział Henry'emu...

- Gdzie jest moja teczka? - doleciał zrzędlawy głos z łazienki. - Chryste, Mary. Przecież zostawiłem ją wczoraj na pralce...

- Zostawiłeś ją na górze - odpowiedziała Mary, unosząc nieznacznie głos. - Sprawdź w szafie.

- Dlaczego niby miałyby być w szafie? - Rozległ się odgłos gniewnie przesuwanych przedmiotów. - A pomyślałby kto, że własnej teczce nic złego przytrafić się nie może. - Henry Ellis na chwilę zajrzał do dużego pokoju. - Znalazłem. Witam, pani Lawrence.

- Dzień dobry - odparła Dorothy Lawrence. - Mary wyjaśniała mi właśnie, dlaczego pan wciąż jeszcze tu jest.

- Owszem, jestem. - Ellis wyrównał krawat, podczas gdy lustro z wolna krążyło wokół niego. - Czy mam coś przywieźć z miasta, kochanie?

- Nie - rzekła Mary. - Nic nie przychodzi mi do głowy. W razie gdybym sobie przypomniała, zatelefonuję do twojego biura.

- Czy to prawda - wtrąciła pani Lawrence - że z chwilą, kiedy znajdzie się pan w środku, natychmiast przebywa pan całą drogę do miasta?

- No cóż, prawie natychmiast.

- Sto sześćdziesiąt mil! To przechodzi ludzkie pojęcie. Proszę, a mój mąż potrzebuje dwóch i pół godziny na dojazd szosą publiczną i zaparkowanie, a potem jeszcze na piechotę musi dojść do biura.

- Wiem - mruknął Ellis, chwytając kapelusz i płaszcz. - Mnie również kiedyś zabierało to mniej więcej tyle czasu. Ale już nie. - Pocałował żonę na do widzenia. - Na razie. Do zobaczenia wieczorem. Miło było znów panią widzieć, pani Lawrence.

- Czy mogę... popatrzeć? - zapytała z nadzieją pani Lawrence.

- Popatrzeć? Naturalnie, naturalnie. - Ellis w pośpiechu skierował się do wyjścia i po schodach zszedł na podwórko. - Chodźcie! - krzyknął niecierpliwie. - Nie chcę się spóźnić. Jest dziewięćdziesiąt dziewięć, muszę zdążyć do biura na dziesiątą.

Pani Lawrence ochoczo pospieszyła za nim. Na podwórku stał jaśniejący w świetle porannego słońca sporych rozmiarów pierścieniowaty pojazd. Ellis obrócił pokrętką u jego podstawy. Pierścień zmienił kolor ze srebrnego na migotliwą czerwień.

- Startuję! - krzyknął Ellis. Niezwłocznie wstąpił w obręb pierścienia. Pojazd zamigotał wokół

niego. Rozległo się ciche puknięcie. Poświata zniknęła.

- Święci pańscy! - stęknęła pani Lawrence. - Poszedł!

- Jest w centrum Nowego Jorku - uściśliła Mary Ellis.

- Szkoda, że mój mąż nie ma takiego Mgnieniowca. Kiedy staną się ogólnie dostępne, może uzbieram trochę grosza, aby mu go sprawić.

- Ach, są niezwykle poręczne - zgodziła się pani Ellis. - Pewnie w tej chwili mąż wita się z kolegami.

Henry Ellis przebywał w czymś w rodzaju tunelu. Tkwił w samym środku szarej, rozciągającej się w obydwu kierunkach bezkształtnej rury, przypominającej odpływ ściekowy.

Z tyłu pozostawił obwiedziony krawędziami wylotu mglisty zarys swojego domu. Tylną werandę i podwórze oraz stojącą na schodach w czerwonym staniku i szortach Mary. Obok niej znajdowała się pani Lawrence w spodenkach w zieloną kratkę. Cedr i rząd petunii. Pagórek. Małe schludne domki Cedar Groves w Pensylwanii. Na wprost niego...

Nowy Jork. Mignięcie skrawka ruchliwej ulicy przed jego biurem. Potężny budynek z betonu, szkła i stali. Chmary ludzi. Drapacze chmur. Roje lądujących odrzutowców. Sygnały z anten. Nieprzeliczone rzesze spieszących do pracy urzędników.

Ellis bez pośpiechu sunął w kierunku wychodzącego na miasto wylotu. Korzystał z Mgnieniowca wystarczająco często, aby wiedzieć, ile dzieliło go od niego kroków. Dokładnie pięć. Pięć kroków przez rozchybotany szary tunel i miał za sobą sto sześćdziesiąt mil. Przystanął i popatrzył wstecz. Jak dotychczas przebył trzy kroki. Dziewięćdziesiąt sześć mil. Więcej niż połowa drogi.

Czwarty wymiar to cudowna sprawa.

Ellis oparł teczkę na nodze i gmerał w kieszeni w poszukiwaniu tytoniu. Nadal miał trzydzieści sekund na dotarcie do pracy. Mnóstwo czasu. Błysnął zapalnik do fajki i mężczyzna pociągnął z wprawą. Zgasił zapalnik i z powrotem wsunął go do kieszeni.

Cudowna sprawa, bez dwóch zdań. Mgnieniowiec już zdążył zrewolucjonizować społeczeństwo. Istniała możliwość natychmiastowego udania się do jakiegokolwiek zakątka świata, bez żadnego odstępu czasowego. I bez konieczności przedzierania się przez masę odrzutowców. Problem z transportem stanowił główną bolączkę od połowy dwudziestego wieku. Z każdym rokiem coraz więcej rodzin przenosiło się z miasta na wieś, powiększając i tak liczne rzesze podróźnych okupujących szosy i szlaki powietrzne.

Jednak obecnie problem został rozwiązany. Można było dopuścić do ruchu nieskończoną ilość Mgnieniowców; nie groziło to kolizją. Mgnieniowiec nie pokonywał odległości przestrzennie, lecz poprzez inny wymiar (nie wyjaśnili mu zbyt gruntownie tej kwestii). Za marny tysiąc kredytów każda terrańska rodzina mogła pozwolić sobie na zamontowanie mgnieniowych pierścieni, jednego na

własnym podwórzu - drugiego w Berlinie, na Bermudach, w San Francisco czy w Port Saidzie. Gdziekolwiek. Oczywiście, istniał pewien minus. Pierścień należało ulokować w wyznaczonym miejscu. Wybierało się określone miejsce przeznaczenia, i kropka.

Jednak dla urzędnika to wspaniała rzecz. Wchodzisz w jednym punkcie, wychodzisz w drugim. Pięć kroków - za jednym zamachem sto sześćdziesiąt mil. Sto sześćdziesiąt mil stanowiących onegdaj dwugodzinną zmore zgrzytających dźwigni i nagłych szarpnięć, śmigających zewsząd odrzutowców, lekkomyślnych pilotów, czujnych policjantów gotowych w każdej chwili wkroczyć do akcji, wrzodów i niewyparzonych języków. Nareszcie koniec z tym wszystkim. Przynajmniej dla niego, jako dla pracownika Postępu Terrańskiego, producenta Mgnieniowców. A niebawem dla każdego, jak tylko znajdą się one na rynku.

Ellis westchnął. Czas wziąć się do pracy. Widział Eda Halla, jak pędzi po schodach siedziby PT, pokonując dwa stopnie naraz. Tony Franklin deptał mu po piętach. Pora ruszać. Schyliwszy się, sięgnął po teczkę.

I wtedy ich zauważył.

Warstwa szarości w tym miejscu była nieco przerzedzona. Wąskie pasmo, gdzie migotanie nieco traciło na sile. Tuż obok jego stopy, za krawędzią teczki.

Poprzez pasmo dostrzegł trzy maleńkie sylwetki. Stały tuż za falującą barierą. Niewiarygodnie mali, nie więksi od owadów. Spoglądali na niego z bezbrzeżnym zdumieniem.

Zapomniawszy o teczce, Ellis bacznie patrzył w dół. Trzej maleńcy mężczyźni byli równie zbici z tropu. Żaden z nich ani drgnął, trzy figurki zeszywniałe ze strachu oraz pochylony z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami Henry Ellis.

Do pozostałych dołączyła czwarta figurka. Wszystkie stanęły jak wrośnięte w ziemię i wybałuszyły oczy. Miały na sobie jakieś sukmany. Brązowe stroje uzupełnione sandałami. Dziwaczna, nieterrańska odzież. W ogóle byli jacyś tacy nieterrańscy. Ich rozmiary, śniade twarze, ubrania - no i te głosy.

Ni stąd, ni zowąd figurki wyrzuciły z siebie kaskadę piskliwych, niezrozumiałych dźwięków. Otrząsnąwszy się z marazmu, poczęły nieskładnie biegać dokoła. Biegały z zawrotną prędkością, niczym mrówki na rozgrzanej patelni. Zataczały oszalałe kręgi, wymachując gorączkowo rękami. I cały czas przenikliwie darły się wniebogłosy.

Ellis sięgnął po teczkę. Podniósł ją powoli. Z mieszaniną podziwu i lęku figurki odprowadziły wzrokiem wędrującą w górę torbę, od której dzielił ich tak nieznaczny dystans. Ellisa ogarnęła nagła myśl. Dobry Boże - czyżby mogły przedostać się do wnętrza Mgnieniowca poprzez warstwę szarości?

Jednak nie miał czasu, aby uzyskać odpowiedź na to pytanie. I tak był spóźniony. Ruszył z miejsca, kierując się ku nowojorskiemu wylotowi tunelu. Chwilę potem stanął w oślepiającym blasku słońca na skraju zatłoczonej ulicy przy wejściu do biura.

- Hej, co tam, Hank! - krzyknął Donald Potter, pędząc w stronę wejścia do siedziby PT. - Jazda!

- Jasne, jasne. - Ellis mechanicznie ruszył za nim. Za wejściem do Mgnieniowca, nad chodnikiem unosił się mglisty krąg, na podobieństwo ducha bańki mydlanej.

Wszedł po schodach do biura Postępu Terrańskiego, kierując myśli ku czekającym nań sprawom.

Kiedy zamykano biuro i wszyscy szykowali się do pójścia do domu, Ellis zajrzał do biura koordynatora Patricka Millera.

- Przepraszam, panie Miller. To pan kieruje działem badawczym, prawda?

- Owszem. I co z tego?

- Pan pozwoli, że o coś zapytam. Dokąd podąża Mgnieniowiec? Przecież musi dokądś się udać.

- Całkowicie wykracza poza obręb naszego kontinuum - odparł niecierpliwie gotowy do wyjścia Miller. - Wstępuje w inny wymiar.

- To wiem. Ale - dokąd?

Miller pospiesznym ruchem rozłożył na biurku swoją chusteczkę.

- Może wyjaśnię to panu w ten sposób. Powiedzmy, że jest pan istotą dwuwymiarową, a ta oto chustka reprezentuje pańską...

- Widziałem to milion razy - przerwał mu zawiedziony Ellis. - To jedynie analogia, a mnie analogie nie interesują. Chciałbym uzyskać faktyczną odpowiedź. Którędy przebiega droga mojego Mgnieniowca, dzieląca Cedar Groves od tego miejsca?

Miller roześmiał się.

- A po cholere panu ta informacja?

Ellis natychmiast stał się czujny. Obojętnie wzruszył ramionami.

- Czysta ciekawość. Przecież którąś musi przebiegać.

Miller położył dłoń na ramieniu Ellisa w przyjacielskim geście starszego brata.

- Henry, stary, niech pan te sprawy zostawi nam. Zgoda? My jesteśmy od planowania, pan jest klientem. Pańskie zadanie polega na tym, aby korzystać z Mgnieniowca, wypróbować go dla nas i donieść o wszelkich zaobserwowanych defektach bądź uszkodzeniach, tak aby, gdy dopuścimy go w

przyszłym roku do sprzedaży, nie było mowy o żadnych niedoróbkach.

- Tak właściwie... - zaczął Ellis.

- O co chodzi?

Ellis zmienił zdanie.

- Nic. - Podniósł teczkę. - Zupełnie nic. Do zobaczenia jutro. Dziękuję, panie Miller.
Dobranoc.

Zszedł na dół i opuścił siedzibę PT. W blednym świetle późno-popołudniowego słońca majaczył zarys Mgnieniowca. Na niebie roilo się od startujących odrzutowców. Znużeni pracownicy rozpoczynali długą podróż do leżących na wsi domów. Ciągłe przemieszczanie. Ellis podszedł do pierścienia i stanął w jego obrębie. W jednej chwili oślepiający blask słońca rozproszył się i zniknął.

Ponownie trafił do migotliwego szarego tunelu. Na odległym krańcu błysnął krąg zieleni i bieli. Spadziste zielone wzgórza i jego własny dom. Podwórze. Cedr i klomby kwiatowe. Miasteczko Cedar Groves.

Dwa kroki w głąb tunelu. Ellis przystanął i pochylił się. Z uwagą zbadał podłoże tunelu. Popatrzył na mglistą szarą ścianę, tam gdzie wznosiła się i migotała - i odnalazł cieńszy odcinek. Ten, który już poprzednio przykuł jego uwagę.

Wciąż tam tkwili. Wciąż? Była to inna grupa. Tym razem składała się z dziesięciu lub jedenastu postaci. Mężczyzn, kobiet i dzieci. Stali zbici w ciasną gromadkę i spoglądali na niego z podziwem i lękiem zarazem. Żadne z nich nie mierzyło więcej niż pół cala. Małe, pokręcone figurki o zmiennym kształcie. Mieniające się różnymi barwami i odcieniami.

Ellis ruszył przed siebie. Figurki odprowadziły go wzrokiem. Dojrzał w przelocie mikroskopijne zdumienie na ich twarzach - i znalazł się na swoim podwórku.

Unieruchomił pierścień i wszedł po schodkach tylnej werandy. Pograżony w głębokich myślach wkroczył do domu.

- Cześć - krzyknęła z kuchni Mary. Wyciągając ręce, przysunęła się ku niemu, ubrana w sięgającą do bioder sukienkę z dzianiny. - Co słysząc w pracy?

- W porządku.

- Coś się stało? Wyglądasz... dziwnie.

- Nie. Nic się nie stało. - Ellis złożył na czole żony roztargniony pocałunek. - Co na kolację?

- Coś ekstra. Syriuszański stek kreci. Jeden z twoich ulubionych. Może być?

- Pewnie. - Ellis rzucił na krzesło kapelusz i płaszcz. Krzesło złożyło je i odstawiło na miejsce. Na twarzy Ellisa wciąż widniał zamyślony, nieobecny wyraz. - Doskonale, kochanie.

- Jesteś pewny, że wszystko w porządku? Chyba nie wdałeś się w kolejną sprzeczkę z Pete'em Taylorem, co?

- Nie. Oczywiście, że nie. - Ellis z irytacją potrząsnął głową. - Wszystko gra, kotku. Przestań wiercić mi dziurę w brzuchu.

- No cóż, mam nadzieję - skwitowała z westchnieniem Mary.

Czekali na niego następnego ranka.

Ujrzał ich po zrobieniu pierwszego kroku w Mgnieniowcu. Niewielką grupkę czekającą w warstwie szarości na podobieństwo owadów uwięzionych w kostce galaretki. Wykonywali szybkie i gwałtowne ruchy, przez co ich kończyny zlewały się w jedno. Usiłowali przyciągnąć jego uwagę. Krzyczeli coś swoimi żałośnie słabymi głosikami.

Ellis stanął i przyklęknął. Przetykali coś przez ścianę tunelu w miejscu, gdzie warstwa szarości była nieco cieńsza. Przedmiot był tak niewiarygodnie mały, że z ledwością go zobaczył. Biały kwadracik na końcu mikroskopijnego drąga. Spoglądali na niego z przejęciem, na ich twarzach malowały się strach i nadzieja. Błagalna, desperacka nadzieja.

Ellis ujął mały kwadracik. Oddzielił się od drąga jak luźny płatek różany od swojej łądygi. Upuścił go niezręcznie i począł gmerać rękami, szukając go w okolicy. Śledziły go pełne niewymownej rozpaczki spojrzenia. Wreszcie znalazł kwadracik i podniósł go ostrożnie.

Był zbyt mały, aby odcyfrować jego zawartość. Pismo? Jakież drobniutkie linie - nie mógł ich odczytać. Wyjął portfel i delikatnie umieścił kwadracik pomiędzy dwiema kartami. Następnie schował portfel z powrotem do kieszeni.

- Później rzucę na niego okiem - obiecał.

Jego głos rozbrzmiał w tunelu huczącym echem. Na ten dźwięk figurki rzuciły się do ucieczki. Jak jeden mąż umknęły z dala od migotliwej szarości, krzycząc coś cienkimi głosikami. Zniknęły, nim zdołał choćby mrugnąć. Jak spłoszone myszy. Został sam.

Ellis ukląkł i przystawił oko do cieńszego pasma szarości. Tam gdzie zwykle na niego czekały. Dostrzegł niewyraźne, zniekształcone kształty ginące we mgle. Jakiś krajobraz. Trudny do określenia, o zamazanych konturach.

Wzgórza. Pola i lasy. Ale jakże małe. I niewyraźne...

Zerknął na zegarek. Boże, dziesiąta! W pośpiechu skoczył na równe nogi i wypadł wprost na rozgrzany nowojorski chodnik.

Spóźniony. Pognał schodami w kierunku wejścia do siedziby PT i dalej długim korytarzem do swojego biura.

W porze lunchu zajrzał do laboratoriów badawczych.

- Hej - zawołał, kiedy nieopodal przechodził obładowany dokumentami i sprzętem Jim Andrews. - Masz chwilę?

- Co chciałeś, Henry?

- Chciałbym coś pożyczyć. Szkło powiększające. - Zastanowił się chwilę. - Albo lepiej mikroskop fotonowy. O stu - lub dwustukrotnym powiększeniu.

- Dziecinna zabawka. - Jim znalazł dla niego niewielki komputer. - Slajdy?

- Tak, kilka czystych slajdów.

Zaniósł mikroskop do swojego biura. Postawił go na biurku, odsuwając zalegające je papiery. Na wszelki wypadek wysłał pannę Nelson, swoją sekretarkę, na lunch. Następnie ostrożnie wyjął z portfela biały skrawek i wsunął go pomiędzy dwa slajdy.

Rzeczywiście było to pismo. Jednak nie potrafił go odczytać. Zupełnie niezrozumiałe. Skomplikowana, przeplatana czcionka.

Na chwilę zatopił się w myślach. Potem wystukał numer wewnętrznego wideofonu.

- Proszę połączyć mnie z Działem Lingwistycznym.

Po pewnym czasie ukazała się dobronaszna twarz Earla Petersona.

- Jak się masz, Ellis. Czym mogę służyć?

Ellis zawahał się. Musiał przeprowadzić to jak należy.

- Słuchaj no, Earl. Chciałbym prosić cię o niewielką przysługę.

- To znaczy? Dla starego kumpla wszystko.

- Macie, hm... macie tam u siebie tę Maszynę, prawda? Ten przyrząd translacyjny, którego używacie do pracy nad dokumentami nieterrańskich kultur.

- Oczywiście. O co chodzi?

- Sądzisz, że mógłbym z niego skorzystać? - Pospiesznie wyrzucał z siebie słowa. - Takie tam głupstwo, Earl. Mam znajomego, który mieszka na... hm... Centaurze VI, no i on pisuje do mnie w tym... no wiesz... rodzimym centaurskim dialekcie, aja...

- Chcesz, aby Maszyna przetłumaczyła list? Nie ma sprawy, chyba da się zrobić. Przynajmniej tym razem. Przynieś go.

Zaniósł. Poprosił Earla o wyjaśnienie zasad obsługi Maszyny i jak tylko ten odwrócił się plecami, niezwłocznie wsunął kwadracik do środka. Maszyna Lingwistyczna kliknęła i zaszumiała. Ellis modlił się w duchu, żeby papier nie okazał się zbyt mały. Żeby tylko nie utknął pomiędzy sondami przekąźnikowymi Maszyny.

Jednakże po chwili u wylotu pojawił się pasek wydruku. Został odcięty i wpadł do kosza. Maszyna Lingwistyczna natychmiast przeszła do analizy bardziej istotnych materiałów pochodzących z działów eksportowych PT.

Drżącymi palcami Ellis rozwinął taśmę. Wyrazy skakały mu przed oczami.

Pytania. Zadawali mu pytania. Boże, sytuacja się komplikowała. Bezgłośnie poruszając ustami, z uwagą odczytał pytania. W co on się pakował? Oczekiwali odpowiedzi. Zabrał ich kartkę i poszedł sobie. Pewnie w drodze powrotnej będą na niego czekać.

Wrócił do biura i połączył się z operatorem.

- Linię zewnętrzną proszę - polecił.

Ukazał się standardowy monitor wideofoniczny.

- Słucham, sir?

- Proszę Federalną Książnicę Informacyjną - powiedział Ellis. - Dział Badań Kulturowych.

Czekali na niego, a jakże. Ale nie ci sami. Dziwne, za każdym razem inna grupa. Ich ubrania też nieco się różniły. Nowy kolor. Widoczny w tle krajobraz również uległ pewnej zmianie. Drzewa, które dostrzegł przedtem, zniknęły. Wzgórza nadal tam były, ale przybrały inny odcień. Biel pomieszana z szarością. Czyżby śnieg?

Przykucnął. Należycie wywiązał się ze swego zadania. Odpowiedzi z Federalnej Książnicy Informacyjnej powędrowały z powrotem do Maszyny Lingwistycznej. Następnie zostały zapisane w oryginalnym języku, w którym zadano pytania, tyle że na nieco większym kawałku papieru.

Ellis cisnął kartkę poprzez migoczącą szarość. Zbiwszy z nóg sześć czy siedem spośród czekających figurek, potoczyła się po zboczach pagórka, na którym stały. Po chwili wywołanego przerażeniem odrętwienia jak szalone rzuciły się za nią w pogoń. Zniknęły w mglistych czeluściach swojego świata.

- No cóż - mruknął Ellis do siebie. - To by było tyle.

Mylił się. Następnego dnia napotkał kolejną grupę - wraz z porcją dodatkowych pytań. Figurki wepchnęły mikroskopijny kwadracik do wnętrza tunelu i drżąc, czekały, aż Ellis pochyli się i go znajdzie.

W końcu mu się udało. Schował papier do portfela i ze zmarszczonymi brwiami kontynuował swoją podróż. Sprawy przybierały poważny obrót. Czyżby przewidzieli dlań pracę na pełen etat?

Naraz uśmiechnął się. To najdziwniejsza rzecz, z jaką miał do tej pory do czynienia. Te małe dranie były na swój sposób sympatyczne. Drobne, skupione twarze wykrzywione pełnym powagi napięciem. I zgrozą. Bali się go, naprawdę się bali. Ostatecznie, dlaczego nie? W porównaniu z nimi był istnym kolosem.

Snuł domysły na temat ich świata. Z jakiej pochodzili planety? Ciekawe, że była taka mała. Jednak rozmiar to pojęcie względne. Aczkolwiek w porównaniu z nim niewątpliwie byli mali. Mali i pełni szacunku. Był świadomy lęku, błagania i żarliwej nadziei, z którą ślali mu swe prośby. Polegali na nim. Modlili się, by przysłał im odpowiedzi.

Ellis uśmiechnął się.

- Zgoła niecodzienne zajęcie - powiedział do siebie.

- O co chodzi? - zapytał Peterson, kiedy Ellis w południe stawił się w Pracowni Lingwistycznej.

- Widzisz, tak się składa, że otrzymałem kolejny list od przyjaciela z Centaura VI.

- Ach tak? - Po twarzy Petersona przemknął cień podejrzliwości. - Czy ty aby mnie nie nabierasz, Henry? Maszyna nie próżnuje. Cały czas napływają nowe informacje. Nie możemy tracić czasu na...

- To naprawdę poważne, Earl. - Ellis postukał w swój portfel. - Niezmiernie ważne. Nie żadne tam głupstwa.

- Dobrze. Skoro tak twierdzisz. - Peterson skinął na obsługującego Maszynę pracownika. - Niech ten gość skorzysta z Translatora, Tommie.

- Dzięki - mruknął Ellis.

Powtórzył całą procedurę, uzyskał tłumaczenie, po czym, zaniósłszy pytania do wideofonu, przekazał je personelowi badawczemu Książnicy. Przed zapadnięciem zmroku przetłumaczone odpowiedzi spoczywały bezpiecznie w portfelu i po opuszczeniu PT Ellis udał się do Mgieniowca.

Jak zwykle czekała na niego nowa grupa.

- Proszę bardzo, chłopcy - huknął Ellis, wsuwając świstek przez przesmyk w ścianie. Kartka poleciała w dół, obijając się o pagórki, a ludziki biegły w ślad za nią w charakterystyczny sposób, sztywno przebierając nogami. Ellis patrzył za nimi i na jego usta wpłynął pełen zadowolenia - i dumy - uśmieszek.

Naprawdę im się spieszyło; co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Obecnie dostrzegał zaledwie niewyraźny zarys ich postaci. Jak szalone odbiegły od migotliwej bariery.

Najwidoczniej tylko jakaś część ich świata przylegała do Mgnieniowca. Jedyne w miejscu, gdzie rzedła warstwa szarości. Zajrzał tam, wyteżając wzrok.

Właśnie rozwijali świstek. Trzech lub czterech walczyło z opornym papierem i przystąpiło do odczytywania odpowiedzi.

Pełen dumy Ellis podjął swą podróż i wyszedł na podwórze. Nie potrafił odczytać pytań, a kiedy je przetłumaczono, nie potrafił udzielić na nie odpowiedzi. Dział Lingwistyczny uporał się z pierwszym problemem, a Książnica z drugim. Niemniej jednak Ellisa rozpieierała duma. Czuł, jak rozgrzewa mu wewnątrz swoim ciepłem. Wyraz ich twarzy. Spojrzenie, jakim obdarzyli go na widok kartki z odpowiedziami. Kiedy uświadomili sobie, że otrzymają upragnione informacje. A jak się za nimi rzucili. To budziło swego rodzaju... zadowolenie. Diabło dobrze się z tym czuł.

- Nieźle - mruknął, otwierając drzwi i przestępując próg domu. - Wcale nieźle.

- Co takiego, kochanie? - zapytała Mary, podnosząc szybko głowę znad stołu. Odłożyła czasopismo i wstała. - Ale jesteś rozpromieniony! Co się stało?

- Nic. Zupełnie nic! - Pocałował ją w usta. - Całkiem ładnie dziś wyglądasz, kotku.

- Ach, Henry! - Mary oblała się uroczym rumieńcem. - Jakiś ty kochany.

Zlustrował baczenie żonę spowitą w dwa skrawki przezroczystego plastiku. - Jakie masz na sobie ładne ubranko.

- Henry! Co cię napadło? Wydajesz się taki... taki ożywiony!

Ellis uśmiechnął się.

- Och, to pewnie z uwagi na moją pracę. Widzisz, nie ma nic miłszego, jak czerpanie z wykonywanego zajęcia dumy i satysfakcji. Poczucie dobrze spełnionego obowiązku, jak to mówią. Praca, z której można być dumnym.

- Przecież zawsze uważałeś, że jesteś tylko pionkiem w wielkiej, bezosobowej maszynie. Zerem.

- Wszystko się zmieniło - odparł z mocą Ellis. - Przystąpiłem do pracy nad... hm... nowym projektem. Nowym zadaniem.

- Nowym zadaniem?

- Zbieram informacje. Takie... twórcze zajęcia. Oględnie mówiąc.

Nim upłynął tydzień, przekazał im całkiem sporą porcję informacji.

Zaczął wychodzić do pracy o dziewiątej trzydzieści. To dawało mu pół godziny, podczas której zgięty w kucki mógł podglądać ich przez wyłom w migotliwej ścianie tunelu. Dzięki temu zaznajomił

się z życiem, które wiedli w swoim mikroskopijnym świecie.

Niewątpliwie stanowili dość prymitywną cywilizację. Pod względem terrańskich standardów w ogóle ledwo można było mówić o jakiegokolwiek cywilizacji. Na podstawie swoich obserwacji ustalił, że nie dysponowali praktycznie żadnymi zdobyczami techniki; coś w rodzaju kultury agrarnej, komunizmu rolnego, monolitycznej organizacji plemiennej na oko nie liczącej zbyt wielu członków.

Takie przynajmniej odniósł wrażenie. Czegoś tu nie rozumiał. Za każdym razem na jego spotkanie wychodziła inna grupa. Żadnych znajomych twarzy. Ich świat również podlegał ciągłej przemianie. Drzewa, pola, zwierzęta. I, jak się zdawało, pogoda.

Czyżby ich czas płynął innym trybem? Ich ruchy były szybkie, gwałtowne. Zupełnie jak taśma wideo puszczona na przyspieszonych obrotach. I te ich piskliwe głosy. Może właśnie o to chodziło. Odmienny wszechświat oparty na całkowicie innej strukturze czasowej.

Co się tyczyło ich stosunku do niego, tutaj pomyłka nie wchodziła w rachubę. Za którymś razem zaczęli składać dary w postaci niewiarygodnie małych porcji dymiących potraw, przygotowywanych na otwartych, ceglanych paleniskach. Kiedy przysunął twarz do ściany, w jego nozdrza wpadł słaby aromat. Pachniało nieźle. Zapach był wyrazisty i cierpki. Musiało być mocno doprawione. Pewnie mięso.

W piątek wziął ze sobą szkło powiększające. W rzeczy samej, mięso. Przyprowadzili zwierzęta wielkości mrówek i wiedli je w kierunku palenisk, gdzie następnie zabijali je i piekli. Za pomocą szkła wyraźniej dostrzegł ich twarze. Były dziwne. Zawzięte, śniade i stanowcze.

Naturalnie tego się spodziewał. Mieszanina strachu, czci i nadziei. Napawała go przyjemnym uczuciem. Była przeznaczona wyłącznie dla niego. Między sobą kłócili się i krzyczeli - czasem nawet w ruch szły noże, i odziane w brązowe szaty istoty zaczynały tarzać się po ziemi, walcząc przy tym zaciekle. To był porywczy i silny gatunek. Czuł dla nich coś w rodzaju podziwu.

Korzystnie wpływali na jego samopoczucie. Zyskać bogobojny szacunek tak dumnej i stanowczej rasy to było coś. Nie mieli w sobie krzty nickszemności.

Mniej więcej za piątym razem natknął się na imponującą budowlę. Wyglądała na świątynię. Miejsce kultu religijnego.

Dla niego! Stał się przedmiotem prawdziwego uwielbienia. To nie ulegało wątpliwości. Zaczął wychodzić z domu o dziewiątej, przez co mógł spędzać z nimi całą godzinę. Do połowy następnego tygodnia opracowali pełnowymiarowy rytuał. Procesje, zapalone pochodnie, pieśni. Księża w długich szatach. I mocno przyprawione daniny.

Jednak żadnych wizerunków. Najwidoczniej jego rozmiary uniemożliwiły ich wykonanie. Próbował wczuć się w ich sytuację. Mający nad głowami gigantyczny kształt za ścianą szarej mgły. Nieokreślona istota, coś podobnego do nich, a jednak zupełnie odmiennego. Istota odmiennego gatunku. Większa i różna pod każdym innym względem. A kiedy mówił, tunel Mgnieniowca niósł huczące echa. Co w dalszym ciągu napawało ich panicznym strachem.

Kształtująca się religia. Zmieniał ich. Czynił to poprzez swoją obecność oraz za pomocą precyzyjnych, poprawnych odpowiedzi otrzymywanych za pośrednictwem Federalnej Książnicy Informacyjnej i tłumaczonych przez Maszynę Lingwistyczną. Oczywiście, wzięwszy pod uwagę upływ czasu u nich, na odpowiedzi musieli czekać latami. Jednak zdążyli się do tego przyzwyczaić. Trwali w niezłomnym oczekiwaniu. Przekazywali pytania, on zaś po kilku stuleciach dostarczał odpowiedzi, odpowiedzi, z których bez wątpienia robili stosowny użytek.

- Co tu się dzieje? - zapytała Mary, kiedy pewnego wieczoru wrócił z pracy o godzinę później.
- Gdzieś ty był?

- W pracy - odparł niedbale Ellis, zdejmując kapelusz i płaszcz. - Jestem zmęczony. Naprawdę zmęczony. - Westchnął z ulgą i polecił poręczy przynieść whiskey.

Mary podeszła do tapczanu.

- Henry, trochę się martwię.

- Martwisz się?

- Nie powinieneś tak ciężko pracować. Musisz dać sobie trochę luzu. Kiedy ostatnio miałeś prawdziwe wakacje? Wycieczkę poza Terrę. Poza Układ. Wiesz co, mam ochotę zadzwonić do tego całego Millera i zapytać go, czy to konieczne, aby mężczyzna w twoim wieku...

- W moim wieku! - parsknął z urazą Ellis. - Wcale nie jestem taki stary.

- Oczywiście, że nie. - Mary usiadła obok i objęła go z czułością. - Ale nie powinieneś się przepracowywać. Zaslugujesz na odpoczynek. Nie uważasz?

- To coś innego. Nic nie rozumiesz. Nie chodzi o jakieś tam stare głupoty. Sprawozdania, statystyki czy durne kartoteki. To jest...

- No, co to jest?

- To coś innego. Nie jestem pionkiem. Dzięki temu coś zyskuję. Chyba nie potrafię ci tego wyjaśnić. Ale nie mogę przestać.

- Gdybyś mógł powiedzieć mi coś więcej...

- Wykluczone - odrzekł Ellis. - Jednak w świecie nie ma nic, co dałoby się do tego przyrównać. Pracuję dla Postępu Terrańskiego od dwudziestu pięciu lat. Przez dwadzieścia pięć lat tłukłem wciąż te same raporty. Dwadzieścia pięć lat - i nigdy w życiu nie czułem się tak jak teraz.

- Ach tak? - ryknął Miller. - Co ty mi tu wciskasz! Lepiej się przyznaj, Ellis!

Ellis otwierał i zamykał usta.

- O czym pan mówi? - Przeniknął go strach. - Co się stało?

- Przestań mnie raczyć tymi wykrętami. - Widoczna na monitorze twarz Millera spurpurowiała.
- Natychmiast do mojego biura.

Ekran zaświecił pustką.

Ellis siedział oniemiały przy biurku. Stopniowo doszedł do siebie i wstał.

- Chryste. - Słabym ruchem otarł z czoła zimny pot. Ni stąd, ni zowąd wszystko legło w gruzach. Szok niemal powalił go z nóg.

- Czy coś nie tak? - zapytała ze współczuciem panna Nelson.

- Nie. - Otepiały Ellis ruszył w kierunku drzwi. Był zdruzgotany. Czego dowiedział się Miller? Dobry Boże! Czy to możliwe, aby...

- Pan Miller wyglądał na zdenerwowanego.

- Owszem. - Krokiem ślepeca Ellis poszedł przez korytarz. Kręciło mu się w głowie. Zdenerwowanego, dobre sobie. Jakimś cudem odgadł prawdę. Ale dlaczego był taki wściekły? Co go to obchodziło? Ellisa przejął lodowaty chłód. Kiepsko. Miller był jego przełożonym - dysponował możliwością zarówno przyjmowania, jak i zwalniania pracowników. A może postąpił niewłaściwie. Może w ten czy inny sposób pogwałcił prawo. Popułnił przestępstwo. Ale jakie?

Co oni Millera obchodzili? W czym wietrzył tutaj interes Postęp Terrański?

Otworzył drzwi gabinetu Millera.

- Jestem, panie Miller. W czym tkwi problem?

Miller posłał mu pełne furii spojrzenie.

- W tym całym pańskim kuzynie z Proximy.

- To znaczy... hm... pan ma na myśli mojego znajomego biznesmena z Centaura VI.

- Ty... ty oszuście! - nie wytrzymał Miller. - I to po tym wszystkim, co zrobiła dla ciebie firma.

- Nie rozumiem - mruknął Ellis. - Co ja takiego...

- Przede wszystkim, jak sądzisz, dlaczego daliśmy ci Mgnieniowca?

- Dlaczego?

- Aby go przetestować! Wypróbować, ty ośla pało! Firma wspaniałomyślnie pozwoliła ci korzystać z Mgnieniowca przed wypuszczeniem go na rynek, a ty co? Ty, proszę cię bardzo...

Ellisa ogarnęła fala gniewu. Ostatecznie pracował dla firmy przez dwadzieścia pięć lat.

- Nie musi pan mnie obrażać. Zapłaciłem za niego tysiąc złotych kredytów.

- No to leć w te pędy do księgowego i zabieraj swoje pieniądze. Wydałem już polecenie firmie konstrukcyjnej, aby zapakowała twój Mgnieniowiec i przywiozła go z powrotem.

Ellis oniemiał.

- Ale dlaczego?

- Jeszcze się pyta! Ponieważ jest uszkodzony. Ponieważ nie działa jak należy. Oto dlaczego. - Oczy Millera płonęły złością. - Inspekcja wykazała przeciek szeroki na milę. - Zacisnął usta. - Tak jakbyś nie wiedział.

W Ellisie zamarło serce.

- Przeciek? - wychrypiął z obawą.

- Przeciek. Szczęśliwym trafem zarządziłem rutynową inspekcje. Gdybyśmy mieli polegać na ludziach twojego pokroju...

- Jest pan pewien? Według mnie funkcjonował bez zarzutu. To jest, bez problemu przewoził mnie tam i z powrotem - zapłatał się Ellis. - Ze swojej strony nie miałem żadnych zażaleń.

- Nie. Absolutnie żadnych zażaleń. Właśnie dlatego nie dostaniesz następnego. Dlatego też dziś wieczorem wracasz do domu transportem publicznym. Ponieważ nie zgłosiłeś przecieku! I jeżeli kiedykolwiek jeszcze spróbujesz oszukać firmę...

- Skąd pan wie, że byłem świadomy tej... usterki?

Rozwścieczony Miller opadł bezsilnie na krzesło.

- Ponieważ - odparł, cedząc słowa - codziennie truchtałeś do Maszyny Lingwistycznej z rzekomym listem od swojej babki z Betelgeuse II. Z listem, który w ogóle nie istniał. Który był bezwstydnym oszustwem. Który otrzymałeś przez przeciek w Mgnieniowcu!

- Skąd pan wie? - rzucił przyparty do muru Ellis. - No więc może i była jakaś usterka. Jednak nie może pan dowieść żadnego związku pomiędzy waszym wadliwie skonstruowanym Mgnieniowcem a moim..

- Twoje pismo - przerwał Miller - które podstępnie podsunąłeś naszej Maszynie Lingwistycznej, nie było wcale napisane alfabetem pozaterrańskim. Nie pochodziło z Centaura VI. Ani z żadnego innego układu pozaterrańskiego. To starożytny hebrajski. A mogłeś je zdobyć tylko w jeden sposób, Ellis. Nie próbuj mnie nabrać.

- Hebrajski! - wykrzyknął w zdumieniu Ellis. Zbladł jak ściana. - Dobry Boże. Inne kontinuum -

czwarty wymiar. Czasu, oczywiście. - Zadrżał. - Rozrastający się wszechświat. To tłumaczyłoby ich rozmiary. I również to, dlaczego nowa grupa, nowe pokolenie...

- I tak podejmujemy znaczne ryzyko w przypadku tych Mgnieniowców. Wyrzynając tunele przez inne kontinua czasoprzestrzenne. - Miller ze znużeniem potrząsnął głową. - Ty intruzie. Wiedziałeś, że twoim obowiązkiem jest donosić o każdej wadzie.

- Chyba nie zrobiłem nic złego, prawda? - Ellis poczuł się nagle kompletnie wytrącony z równowagi. - Wydawali się zadowoleni, nawet wdzięczni. Jezu, na pewno nie sprawiłem żadnego kłopotu.

Miller jęknął w nowym przypiływie gniewu. Przez chwilę miotał się po pokoju. Wreszcie rzucił coś na biurko, tuż pod nos Ellisa.

- Żadnego kłopotu. Najmniejszego. Rzuć na to okiem. Przyniesione z Archiwum Starożytnego Rzemiosła.

- Co to jest?

- Sam zobacz! Porównałem to z jednym z zestawów twoich pytań. To samo. Dokładnie to samo. Wszystkie twoje karteluski, pytania i odpowiedzi, co do jednego są tutaj. Ty ganimedejski skunksie!

Ellis wziął księgę i otworzył ją. W miarę czytania na jego twarzy pojawiał się dziwny wyraz.

- Na niebiosa. A więc zapisywali to, co im dawałem. I na podstawie tego stworzyli książkę. Każde słowo. Na dodatek opatrzone komentarzami. Wszystko tutaj jest - jota w jotę. Zatem to wywarło jakiś efekt. Przekazali tę wiedzę. Spisali ją skrupulatnie.

- Wracaj do swojego biura. Na dzisiaj mam dosyć twojego widoku. Mam go dosyć raz na zawsze. Pożegnalny czek otrzymasz zwykłą drogą.

Z poczerwieniałą z emocji twarzą Ellis jak w transie skierował się ku wyjściu, ściskając w rękę księgę.

- Panie Miller? Czy mogę ją zatrzymać? Czy mógłbym ją sobie zabrać?

- A bierz sobie - odrzekł ze zmęczeniem Miller. - Jasne. Będziesz mógł poczytać w drodze do domu. Na pokładzie publicznego odrzutowca.

- Henry chce ci coś pokazać - szepnęła w podnieceniu Mary Ellis, chwytając panią Lawrence za ramię. - Tylko zareaguj w odpowiedni sposób.

- Odpowiedni sposób? - zająknęła się nerwowo pani Lawrence, dając wyraz pewnemu zaniepokojeniu. - A co chodzi? Mam nadzieję, że to nic żywego.

- Nie, skąd. - Mary popchnęła ją w kierunku drzwi do pracowni. - Po prostu się uśmiechnij. - Uniosła głos. - Henry, przyszła Dorothy Lawrence.

Henry Ellis stanął w drzwiach. Pełen godności w jedwabnym szlafroku, z fajką w ustach i wiecznym piórem w dłoni, wykonał lekki ukłon.

- Dobry wieczór, Dorothy - powiedział niskim, modulowanym głosem. - Czy zechciałaby pani na chwilę wstąpić do mojej pracowni?

- Pracowni? - Pani Lawrence z wahaniem przestąpiła próg. - A nad czym pan pracuje? To znaczy, Mary mówiła, że ostatnio zajmuje się pan czymś niezmiernie ciekawym, teraz kiedy nie należy pan już do - znaczy się, kiedy przebywa pan więcej w domu. Jednak nie pisnęła słówkiem, o co chodzi.

Oczy pani Lawrence ciekawie błędziły po wnętrzu pracowni. Oprócz książek, wykresów, stało tam wielkie mahoniowe biurko, atlas, globus, obite skórą krzesła i niezwykle przestarzała elektryczna maszyna do pisania.

- Jezus Maria! - zawołała. - Co za dziwoląg. I te wszystkie starocie.

Ellis ostrożnie wyjął coś z półki i podał jej mimochodem.

- Tak przy okazji - proszę zerknąć na to.

- Co to jest? Książka? - Pani Lawrence wzięła ją do ręki i obejrzała gorliwie. - A niech mnie. Ciężka, co nie? - Poruszając ustami, przeczytała informację na okładce. - Co to znaczy? Wygląda na stare. Co za dziwaczne litery! Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałam. Pismo Święte. - Podniosła głowę. - Co to jest?

Ellis uśmiechnął się nieznacznie.

- Cóż...

Naraz przyszło olśnienie. Pani Lawrence w podziwie zaczerpnęła tchu.

- Dobry Boże! Pan to napisał?!

Uśmiech Ellisa przeszedł w pełen skromności rumieniec.

- Ach, skleciłem taką drobnostkę - mruknął obojętnie. - W sumie, to moja pierwsza. - W zamyśleniu zacisnął palce na piórze. - A teraz, jeśli pani pozwoli, czas, abym wrócił do pracy...

PRZYPOMNIMY TO PANU HURTOWO

Obudził się z przemożnym pragnieniem wyjazdu na Marsa. Te doliny, pomyślał. Jak czułbym się, spacerując wśród nich? Cudownie; powracająca świadomość wzmogła zarówno intensywność snu, jak i tęsknotę. Niemal czuł wszechogarniającą obecność innego świata, dostępnego jedynie agentom rządowym i wysokim urzędnikom. Ktoś taki jak on? Mało prawdopodobne, by mógł tego doświadczyć.

- Wstajesz czy nie? - zapytała sennie jego żona Kirsten, ze zwykłą nutą zaczepki w głosie. - Jeśli tak, wciśnij guzik w tym cholernym piecu, to będzie kawa.

- Dobrze - odparł Douglas Quail i opuściwszy sypialnię, poczłapał na bosaka do kuchni. Tam, wcisnąwszy posłusznie guzik do kawy, usiadł przy stole i wyjął niedużą żółtą puszkę wybornej tabaki Dean Swift. Wciągnięta pospiesznie mieszanka Beau Nash zakłuła go w nos i przypiekła podniebienie. Jednak robił to nadal; pozwalała mu odzyskać świadomość i nadać jego snom i snutym wśród nocy marzeniom pozory rzeczywistości.

Polecę, rzekł do siebie. Nim umrę, zobaczę Marsa.

Było to, rzecz jasna, niemożliwe; zdawał sobie z tego sprawę, nawet śniąc. Światło dnia, swojskie odgłosy dobiegające z sypialni, gdzie żona szciotkowała przed lustrem włosy - wszystko sprzyścięło się, by przypomnieć mu, kim był. Nędzny urzędniczyna, skwitował gorzko. Kirsten utwierdzała go w tym przynajmniej raz dziennie i nie miał jej tego za złe; ostatecznie zadanie żony polegało na tym, by sprowadzać męża na ziemię. Na Ziemię, pomyślał i roześmiał się. Istotnie brzmiało to jak znalazł.

- Z czego się cieszysz? - Kirsten weszła do kuchni, powiewając różowym szlafrokiem. - Założę się, że znowu marzysz. Tylko to ci w głowie.

- Tak - odparł, spoglądając za okno na poduszkowce, ciągnące w dole sznury pojazdów i kipiące energią ludziki w drodze do pracy. Niebawem do nich dołączy. Jak zawsze.

- Dam głowę, że chodzi o jakąś kobietę - podjęła z pretensją w głosie Kirsten.

- Nie - odrzekł. - O boga. Boga wojny. Ma cudowne kratery z rosnącymi w głębi wszelkimi gatunkami roślin.

- Słuchaj no. - Kirsten przykucnęła obok niego i przemówiła szczerze, pozbywając się na chwilę szorstkiej nuty w głosie. - Dno oceanu, naszego oceanu jest o wiele, o nieskończoną ilość razy piękniejsze. Wiesz o tym równie dobrze jak wszyscy. Wypożycz dla nas dwojga zestaw do oddychania pod wodą, weź tydzień wolnego i zamieszkamy wspólnie w jednym z wodnych kurortów. Poza tym... - Urwała. - Wcale mnie nie słuchasz. A powinieneś. Istnieje coś stokroć lepszego niż ten twój Mars, a ty nawet nie słuchasz! - rzuciła świdrującym głosem. - Na miłość boską, nie ma dla ciebie ratunku, Doug! Co się z tobą stanie?

- Pójdę do pracy. - Wstał, zupełnie zapominając o śniadaniu. - To się ze mną stanie, ot co.

Utkwiła w nim wzrok.

- Jest z tobą coraz gorzej. Twój fanatyzm nasila się z każdym dniem. Do czego to doprowadzi?

- Do lotu na Marsa - odrzekł i otworzył szafę w poszukiwaniu czystej koszuli.

Wysiadłszy z taksówki, Douglas Quail podążył trzema zatłoczonymi chodnikami w kierunku miłego, nowoczesnego wejścia. Następnie przystanął, tamując poranny ruch i z uwagą przeczytał migający neon. Widział go już przedtem... ale nigdy nie podszedł do niego aż tak blisko. Teraz przywiodło go tu jednak coś innego. Coś, co prędzej czy później musiało nastąpić.

KORPORACJA PAMNIEĆ

Czy to miała być odpowiedź? Ostatecznie iluzja, bez względu na to, jak sugestywna, pozostawała niczym innym jak tylko iluzją. Przynajmniej obiektywnie rzecz biorąc. Jednakże z subiektywnego punktu widzenia - sytuacja przybierała całkiem odmienny obrót.

Tak czy inaczej, miał umówioną wizytę i to już za pięć minut.

Wciągając w płuca nieco przesiąknięte spalinami powietrze Chicago, przeszedł przez błyszczącą polichromiczną ramę drzwi i zbliżył się do recepcjonistki.

Stojąca za ladą miła blondynka o obnażonych piersiach powitała go uprzejmie:

- Dzień dobry, panie Quail.

- Tak - odparł. - Przeszedłem dowiedzieć się szczegółów na temat kursu Pamnieć. Jak zresztą pani chyba wie.

- Nie "pamnieć", tylko pamięć - poprawiła go recepcjonistka. Podniosła słuchawkę ustawionego w pobliżu wideofonu. - Przeszedł pan Quail, panie McClane. Czy może już wejść? Czy jeszcze za wcześnie?

- Szuszu - zaszumiało w słuchawce.

- Tak, panie Quail - oznajmiła. - Może pan wejść; pan McClane oczekuje pana. - Kiedy niepewnie ruszył z miejsca, zawołała za nim: - Pokój D, panie Quail. Na prawo.

Po krótkiej acz frustrującej chwili zagubienia odnalazł właściwy pokój. Zza progu ujrzał siedzącego przy autentycznym orzechowym biurku dobrotliwie wyglądającego mężczyznę w średnim wieku, ubranego w najnowszy marsjański garnitur z żabich skórek; sam jego wygląd jasno wskazywał na to, że Quail miał do czynienia z właściwym człowiekiem.

- Proszę usiąść, Douglas. - McClane machnął pulchną dłonią w kierunku ustawionego przodem do biurka krzesła. - Zatem chce pan polecieć na Marsa. Bardzo dobrze.

Quail usiadł w napięciu.

- Nie jestem pewien, czy jest to warte takiej stawki - odrzekł. - To mnóstwo kosztuje, a mam wrażenie, że w zamian nie otrzymam praktycznie nic. - Kosztuje prawie tyle, co sam wyjazd, pomyślał.

- Otrzyma pan namacalny dowód swojej podróży - podkreślił z naciskiem McClane. - W sam raz wystarczający. Proszę; pokażę panu. - Sięgnąwszy do grubej koperty, zaprezentował nieduży kwadracik tłoczonej karty. - To stanowi dowód, że poleciał pan tam - i z powrotem. Poczta. - Rozłożył na biurku elegancki rząd zwolnionych od opłaty pocztowej kolorowych pocztówek. - Filmy. Zdjęcia lokalnych krajobrazów, które wykonał pan na Marsie wypożyczonym aparatem. - Pokazał te również. - Plus nazwiska poznanych tam ludzi, pamiątki o łącznej wartości dwustu poskredów, które nadejdą - z Marsa - w ciągu najbliższego miesiąca. Naturalnie paszport, kwity za wykonane zdjęcia. I nie tylko. - Obrzucił Quaila bystrym spojrzeniem. - Będzie pan przekonany o swoim wyjeździe, nie ma obawy - powiedział. - Nie będzie pan pamiętał nas ani mnie, ani nawet pobytu tutaj. W swoim umyśle odbędzie pan rzeczywistą podróż; to możemy zagwarantować. Dwa tygodnie wspomnień bez pominięcia najmniejszych szczegółów. Proszę pamiętać: jeżeli kiedykolwiek zwątpi pan w autentyczność swoich przeżyć dotyczących podróży na Marsa, może pan wrócić tutaj i odebrać pieniądze. Rozumie pan?

- Ależ ja wcale tam nie poleciałem - zaproponował Quail. - I nie polecę, bez względu na dowody, jakimi mnie pan uraczy. - Spazmatycznie zaczerpnął tchu. - I nigdy nie byłem tajnym agentem Interplanu. - Mimo obiegowych opinii nie mógł uwierzyć, że implant należycie spełni swoje zadanie.

- Panie Quail - odparł cierpliwie McClane. - Jak wyjaśnił pan w swoim liście, nie ma pan żadnej, najmniejszej szansy rzeczywistego odbycia podróży na Marsa; po pierwsze, nie stać pana na nią, a co bardziej istotne, nie spełnia pan wymogów koniecznych do pełnienia funkcji agenta Interplanu bądź jakiegokolwiek innej organizacji. To jedyny sposób na zrealizowanie, hm, marzenia pańskiego życia; czyż nie tak, sir"? Nijak nie może pan nim być ani tego zrealizować. - Zachichotał. - Jednak może pan rzec byłem i zrealizowałem. Już my tego dopilnujemy. Nasza stawka jest rozsądna; żadne dodatkowe koszty nie wchodzi w grę. - Uśmiechnął się zachęcająco.

- Czy dodatkowa pamięć jest aż tak przekonująca? - zapytał Quail.

- Bardziej niż prawdziwa, sir. Gdyby rzeczywiście poleciał pan na Marsa w roli agenta Interplanu, do tej pory zdążyłby pan większość zapomnieć; nasza analiza układów pamięciowych - autentycznych wspomnień istotnych wydarzeń z życia pewnej osoby - wykazuje, że szczegóły szybko zacierają się w pamięci. Na zawsze. Część pakunku, który otrzyma pan od nas, stanowi tak głęboka implantacja, że nic nie zostanie zapomniane. Kiedy będzie pan pod narkozą, zaaplikowane zostanie panu dzieło wykwalifikowanych ekspertów, ludzi, którzy spędzili lata na Marsie; w każdej sytuacji weryfikujemy dane co do joty. Wybrał pan raczej łatwy układ ekstrapamięciowy; w przypadku Plutona czy też chęci zostania Cesarzem Wewnętrznej Planety Sojuszu napotkalibyśmy znacznie

większe trudności... co w dużej mierze odbiłoby się na stawce.

Sięgając do kieszeni płaszcza po portfel, Quail powiedział:

- Zgoda. Ten wyjazd stanowi cel mojego życia, a nic nie wskazuje na możliwość jego realizacji. Toteż nie pozostaje mi nic innego, jak przystać na pańskie warunki.

- Proszę nie myśleć o tym w ten sposób - odparł surowo McClane. - Nie przyjmuje pan drugorzędnej oferty. Rzeczywista pamięć, ze swoją wybiórczością, zawodnością i zaćmieniami - oto wartość drugorzędna. Przyjął pieniądze i nacisnął guzik na biurku. - W porządku, panie Quail - powiedział, kiedy drzwi do gabinetu otworzyły się i do środka weszło dwóch krzepkich mężczyzn. - Jako tajny agent znajduje się pan w drodze na Marsa. - Podeszedł bliżej, by uścisnąć drżącą, spoconą dłoń Quaila. - Czy też raczej, podróż ma pan już za sobą. Dziś o szesnastej trzydzieści z powrotem, hm, zawita pan na Terre; taksówka wysadzi pana w pobliżu mieszkania i, jak mówiłem, nie będzie pan pamiętał ani mnie, ani przyjscia tutaj; w gruncie rzeczy nie będzie pan nawet świadomy naszego istnienia.

Czując suchość w gardle, Quail podążył za dwoma technikami; od tej pory jego los tkwił w ich rękach.

Czy rzeczywiście uwierzę, że byłem na Marsie? - rozmyślał. - I że zdołałem zrealizować życiowy cel? Ogarnęło go nieodparte wrażenie, że coś pójdzie nie tak. Ale nie miał pojęcia co.

Pozostawało mu tylko czekać na rezultat.

Rozległ się brzęczyk przekaźnika na biurku McClane'a, łączącego go z operacyjnym działem firmy, i zabrzmiał głos:

- Pan Quail znajduje się pod narkozą, sir. Czy życzy pan sobie osobiście go nadzorować, czy możemy kontynuować?

- To rutynowy przypadek - zauważył McClane. - Kontynuujcie, Lowe; nie sądzę, aby pojawiły się jakieś kłopoty. - Programowanie sztucznych wspomnień dotyczących podróży na inną planetę - zarówno z dodatkowym bodźcem, w postaci roli tajnego agenta jak i bez niego - pojawiała się na planie zajęć firmy z monotonną regularnością. W ciągu jednego miesiąca, obliczył bez entuzjazmu, czeka nas dwadzieścia takich... zastępcza podróż międzyplanetarna to nasz chleb powszedni.

- Jak pan uważa, panie McClane - dobiegł głos Lowe'a i przekaźnik ucichł.

Przeszedłszy do podziemnej sekcji leżącej za gabinetem komnaty, McClane rozejrzał się za pakietem Numer Trzy - podróż na Marsa - oraz za pakietem Numer Sześćdziesiąt Dwa - tajny agent Interplanu. Odszukawszy je, wrócił do gabinetu, wygodnie zasiadł za biurkiem i wysypał przed sobą ich zawartość - towary, które miały zostać podrzucone do mieszkania Quaila, podczas gdy technicy trudzili się instalowaniem fałszywej pamięci.

Poręczny pistolet o wartości jednego poskreda, wyliczał McClane, to największa gratka. Głównie dzięki niemu wychodzimy na swoje. Następnie przekaźnik wielkości pigułki, który w razie schwytania agenta mógł zostać niezwłocznie połknięty. Księga kodowa zdumiewająco podobna do oryginału... Rekwizyty firmy były niezwykle dokładne: w miarę możliwości stworzono je, opierając się na autentycznych produktach amerykańskiego przemysłu wojskowego. Nie przekazywały żadnej istotnej treści, lecz wplecione w wymyśloną podróż Quaila utworzą z jego wspomnieniami spójną całość: połówka starożytnego monety pięćdziesięciocentowej, kilka niepoprawnie spisanych cytatów z kazań Johna Donne'a, każdy na osobnym kawałku przezroczyściego, cienkiego jak serwetka papieru, firmowe pudełko od zapalek z marsjańskich barów, łyżka ze stali nierdzewnej z wygrawerowanym napisem WŁASNOŚĆ NARODOWEGO KIBUCU KOPUŁY MARSJAŃSKIEJ, zwój drutu, który...

Zabyczał nadajnik.

- Panie McClane, przepraszam, że przeszkadzam, ale miał miejsce pewien niepokojący incydent. Chyba jednak byłoby lepiej, gdyby pan się tutaj zjawił. Quail jest już pod narkozą; jego reakcja na środek usypiający była najzupełniej prawidłowa; jego obecny stan umożliwia pełną chłonność. Ale...

- Zaraz tam będę. - Przeczuwając kłopoty, McClane opuścił gabinet; chwilę później wszedł do strefy operacyjnej.

Na higienicznym łóżku spoczywał Douglas Quail. Oddychał powoli i regularnie, miał przymknięte oczy; wydawał się częściowo - choć tylko w niewielkim stopniu - świadomy obecności dwóch techników i McClane'a.

- Czyżby nie było miejsca na zainstalowanie modelu pamięciowego? - McClane poczuł przyływ irytacji. - Po prostu usuńcie dwa tygodnie pracy; jest zatrudniony jako urzędnik w Biurze Emigracyjnym Zachodniego Wybrzeża. To agencja rządowa, więc niewątpliwie ma czy też miał dwutygodniowy urlop w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. To powinno wystarczyć. - Zawsze drażniły go podobne drobiazgi.

- Nasz problem - powiedział ostro Lowe - polega na czymś zupełnie innym. - Pochyliwszy się nad łóżkiem, powiedział do Quaila: - Proszę powiedzieć panu McClane to, co powiedział pan nam. - I do McClane'a: - Niech pan słucha uważnie.

Spojrzenie szarzielonych oczu leżącego na wznak mężczyzny świdrowało twarz McClane'a. Ten z niepokojem odnotował jego odpychający wyraz; oczy nabrały osobliwego, wręcz nieorganicznego blasku na podobieństwo kamieni półszlachetnych. Nie był pewien, czy mu się to podoba; spojrzenie tchnęło nadmiernym chłodem.

- Czego znowu chcecie? - rzucił ostro Quail. - Zniszczyliście moją osłonę. Wynoście się stąd, nim rozszarpie was na kawałki. - Popatrzył na McClane'a. - Zwłaszcza pan - dodał. - To pan ponosi odpowiedzialność za to kontrprzedsięwzięcie.

- Jak długo był pan na Marsie? - zapytał Lowe.

- Miesiąc - wycedził Quail.

- W jakim celu? - kontynuował Lowe.

Wąskie usta wykrzywił grymas; Quail bez słowa obrzucił go wzrokiem. Wreszcie odezwał się nabrzmiałym z nienawiści głosem:

- Pojechałem tam jako agent Interplanu. Przecież już wam mówiłem. Czyżbyście nie nagrywali każdego słowa? Odtwórzcie taśmę swojemu szefowi i dajcie mi spokój. - Zamknął oczy; blask zniknął. McClane poczuł natychmiastowy przyływ ulgi.

- To twardy człowiek, panie McClane - rzekł cicho Lowe.

- Przystanie nim być - odparł McClane - kiedy ponownie zakłócimy łańcuch jego pamięci. Stanie się tak łagodny jak przedtem. - Zwrócił się do Quaila: - A więc stąd się wzięło to pańskie pragnienie wyjazdu na Marsa.

Nie otwierając oczu, Quail odpowiedział:

- Nigdy nie miałem zamiaru tam lecieć. Zlecono mi to - otrzymałem rozkaz i nie było wyjścia. Choć tak, przyznaję, że byłem ciekaw; któż by nie był? - Ponownie otworzył oczy i spojrzał na nich badawczo, obdarzając szczególną uwagą McClane'a. - Ależ dysponujecie tu środkiem na prawdomówność; wywołał sprawy, o których kompletnie nie pamiętałem. - Zamyślił się. - Ciekawe, co z Kirsten - powiedział na wpół do siebie. - Czy ona wie? Może jest pilnującym mnie szpiegiem Interplanu... aby mieli pewność, że nie odzyskałem pamięci? Nic dziwnego, że tak szydziła z mojej chęci wyjazdu. - Uśmiechnął się nieznacznie; pełen zrozumienia uśmiech zniknął tak szybko, jak się pojawił.

- Proszę mi uwierzyć, panie Quail; wplątaliśmy się w to zupełnie przez przypadek. W naszej pracy... - rzekł McClane.

- Wierzę panu - przerwał mu Quail. Ogarnęło go zmęczenie; narkotyk wciągał go coraz głębiej. - Gdzie to ja niby miałem być? - wymamrotał. - Na Marsie? Nie pamiętam... wiem, że chciałbym go zobaczyć; każdy by chciał. Aleja... - Ucichł. - Urzędnik, po prostu zwyczajny urzędnik.

Prostując się, Lowe powiedział do swojego przełożonego:

- On pragnie wszczęcia implantu pamięciowego odpowiadającego jego rzeczywistej podróży. I fałszywego powodu będącego w istocie prawdziwym. Na skutek działania narkidryny mówi prawdę. Podróż wyraźnie rysuje się w jego umyśle - przynajmniej podczas śpiączki. Lecz w innych sytuacjach najwyraźniej o niej nie pamięta. Ktoś, pewnie w rządowych laboratoriach wojskowych, wymazał jego świadome wspomnienia; wiedział jedynie, że podróż na Marsa niosła ze sobą jakieś szczególne znaczenie, tak samo rola tajnego agenta. Tego nie mogli wymazać; to nie pamięć, lecz pragnienie, prawdopodobnie to samo, które skłoniło go do zgłoszenia się na ochotnika do tego zadania.

Drugi technik, Keeler, zwrócił się do McClane'a:

- I co robimy? Wszczepiamy model fałszywej pamięci w miejsce prawdziwej? Trudno przewidzieć rezultat; może zachować strzępki wspomnień z prawdziwej podróży, co wywoła psychiczne intermedium. Zaistniałaby konieczność współistnienia w jego umyśle dwóch odrębnych przekonań: mianowicie, że poleciał na Marsa i że tam nie poleciał. Że jest agentem Interplanu i że nim nie jest, że to nieprawda. Chyba powinniśmy obudzić go i odesłać stąd bez żadnych implantów; to zbyt duże ryzyko.

- Zgoda - powiedział McClane. Pewna myśl przebiegła mu przez głowę. - Czy potraficie przewidzieć, co będzie pamiętał, kiedy się przebudzi?

- Nie sposób tego dokonać - odparł Lowe. - Przypuszczalnie zachowa mgliste, niewyraźne wspomnienia z rzeczywistej podróży. I pewnie poważnie zważy w jej realność, dzięki czemu uzna, że nasz program jest do niczego. I pewnie zapamięta pobyt tutaj; to nie zniknie, chyba że chce pan, abyśmy wymazali związane z nim wspomnienia.

- Im mniej będziemy ingerować w umysł tego człowieka - powiedział McClane - tym lepiej dla nas. Nie ma co kombinować; i tak byliśmy na tyle głupi - czy też mieliśmy pecha - aby zdjąć osłonę prawdziwego agenta Interplanu, tak doskonałą, że do tej pory sam nie ma pojęcia, kim naprawdę był... czy raczej kim jest. - Im prędzej pozbędą się Douglasa Quaila, tym lepiej.

- Czy obstaje pan przy zamiarze podrzucenia pakietów Numer Trzy i Sześćdziesiąt Dwa w jego mieszkaniu? - zapytał Lowe.

- Nie - odrzekł McClane. - Poza tym zwrócimy połowę jego zapłaty.

- Połowę! Dlaczego połowę?

- To chyba właściwe podejście do sprawy - odparł bez przekonania McClane.

Kiedy taksówka wiozła go w kierunku domu położonego w mieszkalnej dzielnicy Chicago, Douglas Quail powiedział do siebie: Dobrze jest znów wrócić na Terre.

Wspomnienie miesięcznego pobytu na Marsie już zaczynało blednąć w jego pamięci; miał przed oczami jedynie obraz ziejących kraterów i wiekowych, dotkniętych erozją wzgórz; wciąż czuł też żywotność planety i związany z podróżą ruch. Stworzony z kurzu świat, gdzie niewiele się działo, gdzie przeważającą część dnia spędzało się na ciągłym sprawdzaniu przenośnego zapasu tlenu. I istniejące na nim formy życia, skromne i nie rzucające się w oczy szarobrunatne kaktusy oraz wolodźdzownice.

W gruncie rzeczy przywiózł ze sobą kilka dogorywających egzemplarzy marsjańskiej fauny; zdołał przemycić je przez kontrolę celną. Ostatecznie nie stwarzały żadnego zagrożenia; nie mogły przetrwać w atmosferze Ziemi.

Sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu pakunka z dżdżownicami...

I zamiast niego wyciągnął kopertę.

Zajrzał do środka i skonstatował ze zdumieniem, że zawierała pięćset siedemdziesiąt poskredów w banknotach o niskich nominałach.

Skąd ja to mam? - zapytał sam siebie. - Czyż nie wydałem na podróż wszystkiego co do 'kreda?

W ślad za pieniędzmi z koperty wypadł świstek papieru ze słowami: Zwrot połowy zapłaty. McClane. I data. Dzisiejsza data.

- Pamięć - powiedział na głos.

- Pamięć o czym, sir lub madami - zapytał z szacunkiem robot-kierowca.

- Masz tu książkę telefoniczną? - rzucił Quail.

- Naturalnie, sir lub madam. - Pojawiła się szpara, przez którą podano mu mikrotaśmową książkę telefoniczną hrabstwa Cook.

- Pisownia była dosyć osobliwa - mruknął Quail, przerzucając kartki żółtego działu. Poczul narastającą falę strachu; obezwładniającego strachu. - Jest. - Zawieź mnie do Korporacji Pamięć. Zmieniłem zdanie; nie chcę jechać do domu.

- Tak, sir lub madam, różnie to bywa - odparł kierowca. Chwilę później samochód zmienił kierunek jazdy.

- Czy mógłbym skorzystać z telefonu? - zapytał.

- Proszę bardzo - odrzekł robot-kierowca. I podał mu nowy lśniący aparat 3-D.

Wykręcił numer swojego mieszkania. Po chwili na wprost niego ukazał się wstrząsająco realistyczny mimo dużego pomniejszenia wizerunek Kirsten.

- Byłem na Marsie - oznajmił.

- Jesteś pijany. - Pogardliwie wykrzywiła usta. - Albo i gorzej.

- Mówię prawdę.

- Kiedy? - spytała.

- Nie wiem. - Zmieszał się. - To chyba była symulowana podróż, odbyta dzięki tym sztucznym, ponadrealnym czy Bóg jeszcze wie jakim implantom pamięciowym. Ja sam jej nie odbyłem.

- Jesteś pijany - odparła miazdząco Kirsten i przerwała połączenie. Czując na twarzy rumieniec, odłożył słuchawkę.

- Zawsze ten sam ton, powiedział gwałtownie do siebie. I niezmienna riposta, tak jakby to ona wiedziała wszystko, a ja nic. Co za małżeństwo. Chryste, pomyślał zasepiony.

Niebawem taksówka zatrzymała się na wprost nowoczesnego, różowego budynku kuszącego migającym, polichromicznym neonem z napisem: KORPORACJA PAMNIEĆ.

Powitało go zdumione spojrzenie nagiej od pasa w górę recepcjonistki, która następnie z trudem zapanowała nad nerwami.

- Ach, witam, panie Quail - powiedziała zmieszana. - J-jak się pan miewa? Czy zapomniał pan czegoś?

- Reszty swojej zapłaty - odparł.

- Zapłaty? - powiedziała spokojniejszym tonem recepcjonistka. - Chyba jest pan w błędzie, panie Quail. Prowadził pan tutaj rozmowy na temat ponadrealnej podróży, ale... - Wzruszyła bladymi ramionami. - O ile wiem, owa podróż nie miała miejsca.

- Wszystko pamiętam, panienko - zapewnił ją Quail. - Pamiętam swój list do Korporacji, który zapoczątkował całą sprawę. Pamiętam swój przyjazd tutaj, wizytę u pana McClane'a. I dwóch techników, którzy zaprowadzili mnie do sali i zaaplikowali środek usypiający. - Nic dziwnego, że firma zwróciła połowę kosztów. Fałszywe wspomnienia "z podróży na Marsa" wcale się nie przyjęły, a przynajmniej nie tak, jak mu obiecywano.

- Panie Quail - rzekła dziewczyna. - Posada podrzędnego urzędnika nie umniejsza faktu, że jest pan przystojnym mężczyzną, a gniew szpeci pańskie rysy. Jeśli miałoby to wpłynąć na poprawę pańskiego samopoczucia, mogłabym, hm, pozwolić panu zaprosić się...

Na te słowa ogarnęła go wściekłość.

- Pamiętam również panią - rzucił gniewnie. - Chociażby fakt, że pani piersi pomalowane są na niebiesko; to utkwilo mi w pamięci. I pamiętam obietnicę pana McClane'a, że jeśli nie zapomnę wizyty w Korporacji, otrzymam pełny zwrot kosztów. Gdzie jest pan McClane?

Po długim oczekiwaniu - prawdopodobnie przeciągniętym na tyle, na ile było to możliwe - ponownie znalazł się na krześle zwróconym w stronę przytłaczającego orzechowego biurka, dokładnie jak mniej więcej godzinę wcześniej.

- Skuteczność waszej techniki jest doprawdy godna podziwu - powiedział zjadliwie Quail. Jego zawód i uraza zdążyły wzrosnąć niepomiernie. - Moje tak zwane wspomnienia z podróży na Marsa w roli tajnego agenta Interplanu są mgliste, niewyraźne i najeżone sprzecznościami. I dokładnie pamiętam nasze pertraktacje. Powinienem zgłosić to do Biura Poprawy Usług. - W tym momencie zawrzał gniewem; poczuł się oszukany i to usunęło w cień zwykłą niechęć do udziału w sporach publicznych.

- Poddajemy się, Quail. Uzyska pan pełen zwrot kosztów. Przyjmuję do wiadomości, że nie uczyniliśmy dla pana absolutnie nic - powiedział McClane przygnębiony, ale czujny.

- Nie daliście mi nawet pamiątek z podróży, które miały posłużyć jako “dowód” mojego pobytu na Marsie - rzucił oskarżycielsko Quail. - Nie zostało mi zupełnie nic. Ani biletu. Ani pocztówek. Nie wspominając o paszporcie i dowodach szczepień immunizacyjnych. Ani...

- Niech pan posłucha, Quail - przerwał mu McClane. - A gdybym panu powiedział... - Urwał. - Dajmy temu spokój. - Nacisnął guzik przekaźnika. - Shirley, wystaw proszę czek na kolejne pięćset siedemdziesiąt ‘kredów na nazwisko Douglas Quail. Dziękuję. - Puścił przycisk i zwrócił spojrzenie na Quaila.

Wkrótce przyniesiono czek; recepcjonistka położyła go przed Quaiem i ponownie zniknęła, zostawiając obu mężczyzn wciąż wpatrujących się w siebie nad blatem potężnego orzechowego biurka.

- Pozwoli pan, że coś mu doradzę - rzekł McClane po podpisaniu czeku i przekazaniu go Quailowi. - Proszę nie wspominać nikomu o swojej, hm, ostatniej podróży na Marsa.

- Jakiej znowu podróży?

- Właśnie o to chodzi - powiedział zawzięcie McClane. - Tej, którą pan częściowo pamięta. Proszę się zachowywać, jak gdyby nigdy nic; udawać, że nigdy nie miała miejsca. Niech pan nie pyta dlaczego; proszę jedynie posłuchać mojej rady: tak będzie lepiej dla nas wszystkich. - W widoczny sposób zaczął się pocić. - A teraz, panie Quail, muszę przyjąć innych klientów. - Wstał i odprowadził Quaila do wyjścia.

- Firma, która do tego stopnia nie wywiązuje się ze zleceń - powiedział Quail, otwierając drzwi - w ogóle nie powinna mieć klientów. - Zatrzasnął za sobą drzwi.

W taksówce układał w myśli treść zażalenia do Biura Poprawy Usług, Działu Terrańskiego. Jak tylko znajdzie się w pobliżu swojej maszyny, niezwłocznie przystąpi do jego napisania; uznał, że jego obowiązkiem jest przestrzec ludzi przed zakusami Korporacji Pamięć.

Po powrocie do mieszkania zasiadł przed swoim przerośnym Hermesem i zaczął przetrząsać szuflady w poszukiwaniu papieru kredowego. Naraz dostrzegł nieduże, znajome pudełko. Pudełko, w którym podczas pobytu na Marsie umieścił troskliwie egzemplarze marsjańskiej fauny, by następnie przemycić je przez kontrolę celną.

Nie wierząc własnym oczom, uchylił wieczko i ujrzał sześć martwych wolodźdzownic oraz kilka odmian roślin bezkomórkowych, które stanowiły ich pożywienie. Wprawdzie pierwotniaki wyschły doszczętnie, lecz i tak je poznał; zdobycie tych okazów opłacił całodziennymi poszukiwaniami wśród marsjańskich skał. Cudowną, uwieńczoną sukcesem podróżą.

Ale ja przecież nie byłem na Marsie, uświadomił sobie po chwili. Chociaż z drugiej strony...

W drzwiach ukazała się Kirsten, trzymała oburącz brązowe torby pełne zakupów.

- Co ty robisz w domu w samym środku dnia? - W jej głosie zabrzmiała oskarżycielska nuta.

- Czyja byłem na Marsie? - zapytał. - Ty powinnaś wiedzieć.

- Nie, oczywiście, że nie byłeś na Marsie; powiedziałabym, że raczej to ty powinieneś wiedzieć. Czyż ciągle nie gadasz na ten temat?

- Boże, a mnie się wydaje, że tak. - Po chwili dorzucił: - Przy jednoczesnym przekonaniu, że nie.

- Zdecyduj się.

- Niby jak mam to zrobić? - Machnął ręką. - W mojej głowie biegną dwie szczipione ścieżki pamięciowe; jedna jest rzeczywista, a druga nie, ale nie mogę ich odróżnić. Dlaczego nie mogę polegać na tobie? Przecież przy tobie nie majstrowali. - Mogła chociaż tyle dla niego zrobić - nawet jeśli miała to być jedyna rzecz.

- Doug - powiedziała opanowanym głosem Kirsten. - Jeżeli nie weźmiesz się w garść, koniec z nami. Zostawię cię.

- No to jestem w tarapatach. - Jego głos zabrzmiał ochryple i świszcząco, drżał nieznacznie. - Prawdopodobnie popadam w jakąś psychozę; mam nadzieję, że nie, ale... nie należy tego wykluczyć. Ostatecznie to tłumaczyłoby wszystko.

Położywszy torby z zakupami, Kirsten podeszła do szafy.

- Nie żartowałam - powiedziała cicho. Wyjęła płaszcz, włożyła go i ruszyła w stronę wyjścia. - Niedługo do ciebie zadzwonię - rzuciła beznamiętnie. - To koniec, Doug. Mam nadzieję, że wreszcie dojdiesz do siebie. Modlę się, abyś to zrobił. Dla twojego własnego dobra.

- Zaczekaj - zawołał desperacko. - Po prostu powiedz mi i miejmy to już z głowy; pojechałem czy nie? Wskaż mi właściwą odpowiedź. - Przecież mogli zniekształcić także i twoje wspomnienia, uświadomił sobie nagle.

Drzwi się zamknęły. Jego żona odeszła. Nareszcie!

Zza jego pleców dobiegł czyjś głos.

- Dobrze. A teraz ręce do góry, Quail. Odwróć się i popatrz w tę stronę.

Obrócił się instynktownie, nie podnosząc rąk.

Stojący przed nim mężczyzna miał na sobie śliwkowy mundur Agencji Policyjnej Interplanu, a jego pistolet należał do asortymentu ONZ-owskiego. Z niezrozumiałych przyczyn twarz wydała się Quailowi znajoma; znajoma w mglisty, zniekształcony sposób, jednak nikomu nie potrafił jej przypisać. Gwałtownym ruchem uniósł ręce do góry.

- Pamiętasz - powiedział mężczyzna - podróż na Marsa. Wiemy o wszystkich twoich dzisiejszych poczynaniach, znamy twoje myśli, zwłaszcza te szczególnie istotne, z powrotnej drogi do

domu. - Pospieszyl z wyjaśnieniem: - Wewnątrz czaszki umieszczono ci teleprzekaznik; dzięki niemu jesteśmy na bieżąco.

Telepatyczny przekaznik; powstały przy zastosowaniu odkrytej na Lunie żywej plazmy. Poczul dreszcz obrzydzenia. TO pasożytowało w głębi jego mózgu, sprawując nad nim nieustanną kontrolę. Jednak policja Interplanu robiła z nich użytek; ohydne to, ale prawdziwe.

- Dlaczego ja? - zapytał ochryple Quail. Co on takiego zrobił albo pomyślał? I co to miało wspólnego z Korporacją Pamnieć?

- Ogólnie rzecz biorąc - odparł policjant Interplanu - z Korporacją nie miało to nic wspólnego; to sprawa wyłącznie między nami. - Postukał się w prawe ucho. - W dalszym ciągu odbieram twoje procesy umysłowe dzięki przekaznikowi. - W uchu mężczyzny Quail dojrzał białe, plastikowe urządzenie. - Zatem muszę cię ostrzec: cokolwiek pomyślisz, może zostać użyte przeciwko tobie. - Uśmiechnął się. - Nie żeby to miało w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie; to, co zdążyłeś już pomyśleć i wypowiedzieć, pogrąża cię całkowicie. Denerwujący natomiast jest fakt, że będąc pod wpływem narkidryny wyłuszczyłeś technikom i McClane'owi szczegóły swojej podróży - gdzie, dla kogo i w jakim celu. Napędziłeś im porządnego stracha. Żałują, że w ogóle mieli z tobą do czynienia. I mają rację - dodał po namyśle.

- Nigdy nie odbyłem żadnej podróży - odrzekł Quail. - To jedynie kwestia niewłaściwie wszczepionego implantu fałszywej pamięci. - Naraz pomyślał o ukrytym w szufladzie pudełku i jego zawartości. I trudzie, z jakim ją zdobył. Wspomnienie nosiło wszelkie znamiona realności. Tak samo pudełko; ono niewątpliwie było prawdziwe. Chyba że to McClane je podrzucił. Być może miało stanowić jeden z "dowodów", o których tak przekonująco rozprawiał.

Wspomnienie podróży na Marsa, pomyślał, wcale do mnie nie przemawia - niestety przekonało Agencję Policyjną Interplanu. Oni uważają, że naprawdę tam poleciałem i częściowo zdaję sobie z tego sprawę.

- Wiemy nie tylko, że poleciałeś na Marsa - przyznał policjant w odpowiedzi na jego myśli - ale również to, że pamiętasz wystarczająco dużo, aby przysporzyć nam kłopotów. I nie ma najmniejszego sensu eliminowanie twojej świadomej pamięci, gdyż nawet gdybyśmy to uczynili, znów zawitasz w Korporacji i zaczniesz wszystko od nowa. Działalności McClane'a nie możemy tknąć palcem, ponieważ nasza jurysdykcja obejmuje jedynie naszych ludzi. Poza tym on nie popełnił żadnej zbrodni. - Zmierzył Quaila wzrokiem. - Z technicznego punktu widzenia, ty również jej nie popełniłeś. Nie udałeś się do Korporacji z zamiarem odzyskania pamięci, lecz, jak wiemy, wiedziony tym samym bodźcem co wszyscy zwykli, szarzy ludzie, czyli zamiłowaniem do przygód. - Po chwili dodał: - Tak się nieszczęśliwie składa, że ty nie jesteś ani zwykły, ani szary, i dawno przekroczyłeś swój limit przygód; usługi Korporacji stanowiły ostatnią rzecz we wszechświecie, której mógłbyś potrzebować. Nic nie mogło przynieść więcej szkody zarówno tobie, jak i nam. No i McClane'owi.

- Jakie kłopoty mogą wam przynieść moje wspomnienia z podróży... domniemanej podróży... i z tego, co podczas niej robiłem?

- Takie - odparł funkcjonariusz Interplanu - że twoje zadanie kłóci się z nieskazitelnym publicznym wizerunkiem naszego opiekuńczego ojca. Jest jedyny w swoim rodzaju. Co, dzięki narkidrynie, wkrótce sobie przypomnisz. To wypełnione truchłami pudełko tkwi w twojej szufladzie od pół roku, czyli od chwili twojego powrotu. Nigdy się nim nie zainteresowałeś. Nie byliśmy nawet świadomi jego istnienia, dopóki nie pomyślałeś o nim w drodze z Korporacji; natychmiast zjawiliśmy się tutaj, aby je usunąć. Zresztą na próżno; zabrakło na to czasu - dodał niepotrzebnie.

Do pierwszego policjanta dołączył następny; wdali się w gorączkową dyskusję. W tym czasie Quail intensywnie rozmyślał. Rzeczywiście obecnie pamiętał znacznie więcej; policjant miał rację co do narkidryny. Oni - Interplan - przypuszczalnie sami z niej korzystali. Przypuszczalnie? Dobrze wiedział, że tak; widział kiedyś, jak aplikują ją jeńcowi. Gdzie to mogło się zdarzyć? Na Terze? Raczej na Lunie, doszedł do wniosku, przeszukując zakamarki swojej nadwerężonej - choć już w mniejszym stopniu - pamięci.

Przypomniał sobie również coś jeszcze. Przyczyny, dla których posłali go na Marsa; zadanie, które musiał wykonać.

Nic dziwnego, że pozbawili go wspomnień.

- O, Boże - powiedział jeden z policjantów, przerywając rozmowę z towarzyszem. Najwidoczniej odebrał myśli Quaila. - Cóż, gorzej niż teraz być nie może. - Podszedł do Quaila, trzymając go na muszce. - Musimy cię zabić - oznajmił. - I to natychmiast.

- Dlaczego natychmiast? - rzucił nerwowo jego towarzysz. - Czy nie lepiej zabrać go do nowojorskiej siedziby Interplanu i pozwolić im...

- On wie, dlaczego powinno to nastąpić natychmiast - przerwał mu pierwszy, który także okazał pewne zdenerwowanie, lecz Quail zdał sobie sprawę, że jego przyczyny wynikały z zupełnie innego powodu. Jego pamięć wróciła prawie całkowicie. I w pełni rozumiał napięcie funkcjonariusza.

- Na Marsie - powiedział ochryple Quail - zabiłem człowieka. Przedarłszy się uprzednio przez jego piętnastoosobową ochronę. Niektórzy uzbrojeni byli w pistolety podobne do waszych. - Podczas pięcioletniego kursu został wyszkolony na zawodowego zabójcę Interplanu. Znał sposoby przechytrzenia uzbrojonych przeciwników... takich jak dwaj funkcjonariusze; ten z odbiornikiem w uchu również o tym wiedział.

Gdyby wykazał dostateczną zwinność...

Padł strzał. Jednak on zdążył już uskoczyć w bok, podcinając jednocześnie nogi trzymającego broń oficera. W jednej chwili odebrał mu pistolet i wycelował go w drugiego, zbitego z tropu policjanta.

- Odebrał moje myśli - stęknął zdyszany Quail. - Wiedział, co chcę zrobić, lecz i tak mi się udało.

- Nie ośmieli się zrobić ci krzywdy, Sam - wycedził ranny policjant, na wpół unosząc się z

podłogi. - To również odebrałem. Doskonale wie, że jest skończony, wie też, że i my jesteśmy tego świadomi. Daj spokój, Quail. - Pojękując z bólu, chwiejnie wstał. Wyciągnął rękę. - Pistolet - powiedział do Quaila. - Nie możesz go użyć, a jeżeli go oddasz, gwarantuję, że cię nie zabiję; zostaniesz przesłuchany i ktoś wyżej postawiony podejmie decyzję, nie ja. Może znów wymażą twoją pamięć, kto wie. Lecz znasz powód, dla którego miałem cię zastrzelić; nie byłem w stanie zapobiec temu, abyś go sobie nie przypomniał. Tak więc mój powód w pewnym sensie należy do przeszłości.

Quail z pistoletem w dłoni wypadł z mieszkania i popędził do windy. Jeżeli pójdziecie za mną, pomyślał, zabiję was. A więc tego nie róbcie. Dźgnął palcem przycisk windy i chwilę potem drzwi się zasunęły.

Policjanci nie ruszyli jego śladem. Najwidoczniej odebrali pogroźkę i postanowili nie ryzykować.

Zjechał windą. Na pewien czas udało mu się uciec. Ale co dalej? Dokąd mógł pójść?

Winda dotarła na parter; niebawem Quail wmieszał się w tłum spieszących ulicami przechodniów. Bolała go głowa i czuł mdłości. Ale przynajmniej uniknął śmierci; niewiele brakowało, a dopadliby go we własnym mieszkaniu.

Przypuszczalnie nie ustaną w wysiłkach. W końcu go znajdą. A wzięwszy pod uwagę wszczępiony przekąźnik, to nie potrwa długo.

Jak na ironię uzyskał od Korporacji dokładnie to, o co prosił. Przygodę, niebezpieczeństwo, policję Interplanu w akcji, tajną i ryzykowną podróż na Marsa, podczas której narażał się na śmierć - wszystko to, co miała mu zapewnić fałszywa pamięć.

Dopiero teraz mógł w pełni docenić korzyści płynące z faktu, że miała być niczym innym, jak tylko pamięcią.

Siedział samotnie na parkowej ławce, wlepiając nieobecne spojrzenie w stadko pertów: półptaków importowanych z dwóch księżyców Marsa, zdolnych do wysokich lotów nawet pomimo znacznej grawitacji Ziemi.

A gdybym tak ponownie mógł znaleźć się na Marsie, rozmyślał. Ale co dalej? Tam sytuacja przybrałaby niebezpieczny obrót; organizacja polityczna, której lidera zabił, zauważyłaby go w chwili, gdy schodziłby z pokładu, w rezultacie czego miałby na karku zarówno ich, jak i Interplan.

Słyszycie, jak myślę? Poczuł, jak niewiele dzieli go od paranoi; siedząc tu samotnie, wyobrażał sobie, jak informacje z jego mózgu przepływają do ich aparatury, gdzie zostają utrwalone i skrupulatnie przeanalizowane... Drżąc, zerwał się z ławki i zaczął bez celu przemierzać okolicę, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie. Bez względu na to, gdzie pójdę, uświadomił sobie, nigdy nie odstąpię cię na krok, dopóki w mojej głowie tkwi to urządzenie.

Pójdę z wami na pewien układ, pomyślał do siebie - i do nich. Czy moglibyście ponownie odcisnąć w mojej głowie szablon fałszywej pamięci, według którego zawsze wiodłem przeciętne,

monotonne życie nie zmacone żadnymi podróżami? Który pozwoliłby mi zapomnieć, że kiedykolwiek widziałem mundur Interplanu bądź trzymałem w ręku broń?

- Jak już zostało ci dokładnie wytłumaczone - odparł głos w jego mózgu - to na nic by się nie zdało.

Zaskoczony stanął jak wryty.

- Dawniej komunikowaliśmy się z tobą w ten sposób - ciągnął głos. - Podczas akcji na Marsie. Od ostatniego razu upłynęły miesiące; sądziliśmy, że nie będzie to już konieczne. Gdzie jesteś?

- Idę sobie - powiedział Quail - prosto ku śmierci. - Z rąk waszych ludzi, dorzucił w myślach. - Skąd pewność, że nie przyniosłoby to pożądanego rezultatu? - zapytał. - Czyż techniki operacyjne Korporacji nie są skuteczne?

- Przecież mówiliśmy. Jeśli otrzymujesz zestaw standardowych wspomnień, nie możesz zaznać spokoju. W konsekwencji znów skorzystałbyś z usług tej lub innej korporacji. Drugi raz nie możemy sobie na to pozwolić.

- Przypuśćmy - nie ustępował Quail - że w miejsce autentycznych wspomnień wstawi się coś o większym znaczeniu niż standardowa pamięć. Coś, co zaspokoiłoby mój niedosyt - rzucił. - To zostało sprawdzone; przypuszczalnie stąd wasze początkowe zainteresowanie moją osobą. Powinniście jednak wysunąć inną propozycję - propozycję o porównywalnej skali wartości. Byłem najbogatszym człowiekiem na Terze, ale poświęciłem wszystkie pieniądze dla fundacji edukacyjnych. Albo byłem sławnym badaczem przestrzeni kosmicznej. Coś w tym rodzaju; czyż nie pasowałoby jak znalazł?

Cisza.

- Spróbujcie - ponaglił desperacko. - Sprowadźcie któregoś ze swoich wiodących psychiatrów; zbadajcie mój umysł. Ustalcie, na czym polega moje dominujące pragnienie. - Usiłował zebrać myśli. - Kobiety - powiedział. - Tysiące kobiet, jak Don Juan. Międzyplanetarny playboy, który z wyczerpania wreszcie dał sobie spokój. Proszę - rzucił błagalnie. - Nie zaszkodzi spróbować.

- Czyli dobrowolnie oddałbyś się w nasze ręce? - zapytał głos wewnątrz jego czaszki. - W razie gdybyśmy przystali na twój układ? W razie gdyby to okazało się możliwe?

- Tak - odparł po chwili wahania. Zakładam, powiedział do siebie, że po prostu mnie nie zabijecie.

- Pierwszy krok należy do ciebie - oznajmił głos. - Zgłoś się do nas. My zaś przeanalizujemy to rozwiązanie. Jednakże gdy okaże się to niemożliwe, gdy twoje autentyczne wspomnienia ponownie wezmą górę podobnie jak w tej chwili, wówczas... - po krótkiej pauzie głos dokończył - będziemy zmuszeni cię zniszczyć. Musisz przyjąć to do wiadomości. I cóż, Quail, nadal obstajesz przy swoim?

- Tak - odparł. Alternatywą była śmierć. A tak przynajmniej miał szansę - jakakolwiek by ona była.

- Stawisz się w naszej głównej nowojorskiej placówce - podjął głos policjanta Interplanu. - Piąta Aleja 580, dwunaste piętro. Jak tylko to uczynisz, zajmą się tobą nasi psychiatrzy; przeprowadzą testy na profil osobowości. Spróbujemy ustalić twoje podstawowe marzenie, po czym odstawimy cię do siedziby Korporacji Pamięć; zlecimy im spełnienie owego życzenia w postaci retrospektywnego surogatu. Zatem... powodzenia. Jesteśmy ci coś winni w zamian za twoje usługi. - Głos pozbawiony był złośliwości; jeżeli oni - organizacja - żywili wobec niego jakiegokolwiek uczucia, była to litość.

- Dzięki - rzekł Quail. I rozejrzał się za taksówką.

- Panie Quail - powiedział podstarzały psychiatra Interplanu o surowej twarzy - pana marzenie jest wielce interesujące. Prawdopodobnie nie ma ono nic wspólnego z tym, czemu pan świadomie hołduje. Z reguły tak bywa; mam nadzieję, że ta wiadomość nie wytrąci pana z równowagi.

Obecny przy tym wysoko postawiony oficer Interplanu wtrącił pośpiesznie:

- Lepiej, żeby go za bardzo nie wytrąciło, skoro pragnie uniknąć rozstrzelania.

- W przeciwieństwie do marzenia związanego z funkcją tajnego agenta Interplanu - podjął psychiatra - które, będąc z pewnego punktu widzenia aspektem dojrzałości, niosło ze sobą szansę realizacji, ta fantazja stanowi groteskowy wytwór dzieciństwa; nic dziwnego, że pan jej nie pamięta. Chodzi o to: jako dziewięcioletni chłopiec wędruje pan samotnie wiejską drogą. Dokładnie na wprost pana ląduje nieznany obiekt pochodzący z innego układu gwiazdowego. Jedyнным świadkiem tego wydarzenia na Ziemi jest pan, panie Quail. Pasażerowie owego obiektu są niezwykle mali i bezradni, stanowią coś na podobieństwo polnych myszy, choć dążą do opanowania Ziemi; wkrótce na znak zwiadowcy dołączają do niego dziesiątki tysięcy podobnych statków.

- I pewnie ja mam ich powstrzymać - wtrącił Quail z mieszaniną rozbawienia i niesmaku. - Jedną ręką zmiotani ich z powierzchni ziemi. Albo rozdeptuję nogą.

- Nie - odparł cierpliwie psychiatra. - Powstrzymuje pan inwazję, ale nie siłą. Zamiast tego jest pan uprzejmy i łaskawy, mimo iż dzięki telepatii - ich metodzie komunikacji - poznaje pan powód wizyty. Nigdy nie spotkali się z tak ludzkim przyjęciem ze strony żywego organizmu i aby okazać panu swą wdzięczność, zawierają z panem porozumienie.

- Nie dokonają inwazji, póki żyję - podsunął Quail.

- Właśnie. - Psychiatra zwrócił się do oficera Interplanu: - Pomimo udawanej pogardy ten schemat jak ulał pasuje do jego osobowości.

- Tak więc poprzez samą egzystencję - ciągnął z rosnącą przyjemnością Quail - przez sam fakt, że żyję, chronię Ziemię przed inwazją obcych. W rezultacie jestem najważniejszą postacią na Terze. Nie kiwając choćby palcem w bucie.

- W rzeczy samej, sir - potwierdził psychiatra. - To stanowi fundament pańskiej psychiki; oto pańskie życiowe urojenie, którego bez działania narkotyku nigdy by pan sobie nie przypomniał. Lecz trwało w panu niezmiennie; nigdy nie przestało istnieć, choć z biegiem czasu zostało zepchnięte do podświadomości.

Starszy funkcjonariusz policji zwrócił się do zasłuchanego McClane'a:

- Czy możecie wszczepić mu tak skomplikowany schemat pamięciowy?

- Otrzymujemy najdziwniejsze zlecenia - odparł McClane. - Szczerze mówiąc, słyszałem już gorsze rzeczy. Oczywiście, że damy radę. W przeciągu doby nie tylko będzie marzył o zbawieniu Ziemi; całym sercem uwierzy, że w istocie to uczynił.

- Wobec tego możecie zaczynać - postanowił urzędnik. - W trakcie przygotowań zdążyliśmy już wyeliminować wspomnienia związane z podróżą na Marsa.

- Jaką znowu podróżą? - wtrącił Quail.

Nikt nie raczył mu odpowiedzieć, toteż wprawdzie niechętnie, ale zaprzestał dalszych pytań. Poza tym pojawił się wóz policyjny; on, McClane i policjant wsiedli do środka i pojechali w kierunku Chicago i znajdującej się tam siedziby Korporacji Pamnieć.

- Tym razem nie popełnijcie żadnego błędu. - Oficer rzucił zdenerwowanemu McClane'owi srogie spojrzenie.

- Nie rozumiem, z czego miałyby wynikać - mruknął spocony McClane. - To nie ma nic wspólnego z Marsem ani z Interplanem. Powstrzymanie istot z innego układu gwiazdowego przed inwazją na Ziemię. - Potrząsnął głową. - Czego to dzieciaki nie wymyślą. I to dzięki prawości, a nie sile. A to dobre. - Wytarł czoło wielką płócienną chustką.

Nikt nie powiedział ani słowa.

- W gruncie rzeczy - ciągnął McClane - to nawet wzruszające.

- Ale aroganckie - zgasił go policjant. - Dlatego że jak tylko umrze, zagrożenie znów nabierze realnych kształtów. Nic dziwnego, że o tym nie pamięta; to najbardziej wspaniałomyślna fantazja, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia. - Popatrzył z dezaprobatą na Quaila. - I pomyśleć, że ktoś taki otrzymywał od nas wynagrodzenie.

Kiedy dotarli do siedziby Korporacji, na spotkanie wybiegła im zdyszana recepcjonistka, Shirley.

- Witamy ponownie, panie Quail - zaświergotała, trzęsąc z podniecenia okazałym biustem pomalowanym tego dnia na jaskrawy pomarańczowy kolor. - Przykro mi, że poprzednia operacja okazała się nieudana; jestem pewna, że tym razem wszystko pójdzie jak trzeba.

- Oby - rzucił McClane, nie przestając ocierać świecącego czoła schludnie złożoną chustką z

irlandzkiego płótna. Niezwłocznie wezwał Lowe'a i Keelera, odprowadził ich i Quaila do sekcji operacyjnej, a następnie wraz z Shirley i oficerem poszedł do swojego biura, by tam oczekiwać na koniec zabiegu.

- Czy mamy przygotowany na ten cel jakiś zestaw, panie McClane? - zapytała Shirley, wpadając na niego z przejęcia i rumieniąc się skromnie.

- Chyba tak. - Usiłował sobie przypomnieć, zaraz jednak dał spokój i skonsultował się z formalnym wykresem. - Kombinacja - postanowił głośno - pakietów Osiemdziesiąt Jeden, Dwadzieścia oraz Sześć. - Z podziemnej części położonej za biurkiem komnaty przyniósł wymienione pakiety i położył je na biurku. - Z Osiemdziesiątego Pierwszego - wyjaśnił - magiczna różdżka uzdrawiająca, podarowana, w tym wypadku rzeczonemu panu Quailowi - przez istoty z innego układu. Jako wyraz wdzięczności.

- Czy to działa? - zapytał ciekawie policjant.

- Kiedyś owszem - odparł McClane. - Ale, hmm, rozumie pan, zużył ją lata temu, uzdrawiając na prawo i lewo. Teraz to jedynie pamiątka. Zachował jednak pamięć o swoich niesamowitych wyczynach. - Chichocząc, otworzył pakiet numer Dwadzieścia. - List od sekretarza generalnego ONZ z podziękowaniem za ocalenie Ziemi; to nieszczęśliwie pasuje, gdyż Quail ubzdurał sobie, że nikt oprócz niego nie ma pojęcia o inwazji, ale dołączymy go dla urozmaicenia. - Następnie zbadał zestaw numer Sześć. Co to mogło być? Nie pamiętał; zmarszczywszy brwi, pod uważnymi spojrzeniami Shirley i policjanta, zaczął szperać na dnie plastikowej torby.

- Pismo - rzekła Shirley. - W śmiesznym języku.

- Które mówi, kim właściwie byli - dodał McClane - i skąd pochodzili. Dodatkowo mapa gwiazdna rodzimego układu z dokładną trasą lotu. Naturalnie to ich rękopis, przez co nie może go zrozumieć. Pamięta jednak, jak czytali mu na głos w jego języku. - Ułożył wszystkie przedmioty na środku biurka. - Należy podrzucić je do mieszkania Quaila - powiedział do policjanta. - Tak aby odnalazł je po powrocie do domu, co potwierdzi jego urojenie. SOP - standardowa operacja proceduralna. - Zachichotał z niepokojem, przejęty obawą o przebieg wykonywanego przez Lowe'a i Keelera zadania.

Zabzyczał nadajnik.

- Panie McClane. Przepraszam, że przeszkadzam. - Na dźwięk głosu Lowe'a McClane struchlał. - Jednakże nastąpiło coś niespodziewanego. Lepiej będzie, jak pan sam tu przyjdzie i rzuci okiem. Tak jak przedtem, jego reakcja na narkidrynę nie budzi zastrzeżeń; jest nieświadomy, odprężony i chłonny. Ale...

McClane pognał w kierunku sekcji operacyjnej.

Na higienicznym łóżu, z na wpół przymkniętymi oczami spoczywał Douglas Quail; oddychał wolno i regularnie, częściowo świadomy obecności otaczających go ludzi.

- Zaczęliśmy go wypytywać - wyjaśnił z pobladłą twarzą Lowe. - Chcąc dowiedzieć się, gdzie dokładnie umieścić wspomnienie o samodzielnym ocaleniu Ziemi. Co dziwne...

- Kazali mi nic nie mówić - wymamrotał Douglas Quail przepojonym narkotykiem głosem. - Na tym polegała umowa. W ogóle miałem o tym zapomnieć. Ale jakże bym mógł?

To pewnie byłoby trudne, przemknęło McClane'owi przez myśl. Ale jak do tej pory ci się udało.

- Podarowali mi nawet list - ciągnął Quail - wdzięczności. Mam go w domu; pokażę wam.

- Cóż - powiedział McClane do oficera Interplanu, który przybył za nim do laboratorium. - Proponuję, abyście go nie zabijali. Jeśli to zrobicie, tamci wrócą.

- Dali mi również magiczną niewidzialną różdżkę niszczyielską - mruknął Quail, zaciskając powieki. - Dzięki niej na wasze zlecenie uśmierciłem człowieka na Marsie. Jest w szufladzie obok pudełka z marsjańskimi dżdżownicami i zasuszonymi roślinami.

Policjant bez słowa odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Równie dobrze mogę dać sobie spokój z dowodami, pomyślał z rezygnacją McClane. Powlókł się z powrotem do gabinetu. Razem z podziękowaniem od sekretarza generalnego ONZ. Ostatecznie...

Na prawdziwy chyba nie trzeba będzie długo czekać.

ŚWIAT JONA

Kastner bez słowa okrążył statek. Wspiął się po rampie i zciekawiony wszedł do środka. Widać było zarys jego krążącej tu i ówdzie sylwetki. Następnie pojawił się znowu, na jego szeroką twarz padało mętne światło.

- No i? - odezwał się Caleb Ryan. - Co pan sądzi?

Kastner zszedł po rampie.

- Czy jest gotów do startu? Nic nie wymaga dopracowania?

- Jest prawie gotowy. Pracownicy kończą pozostałe sekcje. Połączenia przekaźnikowe i linie zasilające. Ale nie ma mowy o żadnych większych problemach. Przynajmniej my nic o nich nie wiemy.

Mężczyźni stali obok siebie, spoglądając na kanciaste metalowe pudło pełne iluminatorów, osłon i tablic obserwacyjnych. Statek nie przedstawiał sobą atrakcyjnego widoku. Pozbawiony równych krawędzi oraz chromowych i rexeroidowych listew, które umożliwiłyby stopniowe zwężenie kadłuba na kształt stożka, był kwadratowy i toporny, ze wszystkich stron najezony dodatkowo wieżyczkami i wyrzuszzeniami.

- Co oni sobie pomyślą, kiedy z niego wyjdziemy? - mruknął Kastner.

- Nie mamy czasu, aby go upiększać. Oczywiście, jeżeli chce pan zwlekać kolejne dwa miesiące...

- Czy nie mógłby pan wyeliminować kilku wypukłości? Po co one są? Czemu właściwie służą?

- Zawory. Może pan zobaczyć na planie. Odciągają nadmiar mocy, kiedy wywinduje zbyt wysoko. Podróż w czasie to nie przelewki. W chwili gdy statek rusza wstecz, gromadzi się znaczne obciążenie. Należy zwalniać je stopniowo, jeśli nie chcemy zamienić się w naładowaną milionami wolto w bombę.

- Polegam na tym, co pan mówi. - Kastner podniósł swoją walizkę. Skierował się ku jednemu z wyjść. Strażnicy Ligi ustąpili mu z drogi. - Powiadomię Kierownictwo, że jest prawie gotowy. A tak przy okazji, to mam panu coś do zakomunikowania.

- Mianowicie?

- Podjęliśmy decyzję, kto z panem pojedzie.

- Kto taki?

- Ja. Zawsze chciałem dowiedzieć się, jak wyglądało życie przed wojną. Szpule historyczne to nie to samo. Chcę tam być. Rozejrzeć się osobiście. Wie pan, mówią, że przed wojną nie było popiołu. Ziemia była żyzna. Człowiek mógł przewędrować mile, nim natknął się na jakiegokolwiek zgliszcza. Ogromnie chciałbym to ujrzeć.

- Nie wiedziałem, że interesuje pana przeszłość.

- Ależ tak. W mojej rodzinie zachowało się kilka książek z obrazkami przedstawiającymi ówczesne życie. Nic dziwnego, że ZKPS chce położyć rękę na papierach Schonermana. Gdyby można było przystąpić do rekonstrukcji...

- Wszyscy jednakowo tego pragną.

- Może nam się uda. Do widzenia.

Ryan odprowadził wzrokiem korpulentnego biznesmena ściskającego w dłoni swoją aktówkę. Rząd Strażników Ligi rozstąpił się, aby go przepuścić, po czym powrócił na swoje miejsce.

Ryan powtórnie skierował swoją uwagę na statek. Zatem to Kastner zapewni mu towarzystwo.

ZKPS - Zjednoczone Konsorcjum Przemysłu Syntetycznego - domagało się sprawiedliwego podziału przedstawicielstwa podczas tej ekspedycji. Jeden człowiek z Ligi, jeden z ZKPS. ZKPS stanowiło dla Projektu Zegar źródło dotacji, zarówno handlowych, jak i finansowych. Bez jego pomocy Projekt nigdy nie ujrzałby światła dziennego. Ryan usiadł na ławce i zajął się sporządzaniem światłodruków na skanerze. Dużo czasu im to zajęło. Od finału dzieliła ich zaledwie garstka kosmetycznych poprawek.

Kliknął ekran wideofonu. Ryan zatrzymał skaner i odebrał sygnał.

- Ryan.

Na ekranie pojawił się monitor Ligi. Rozmowę łączono za pośrednictwem jej centrali.

- Nagły wypadek.

Ryan zeszywniał.

- Łączyć.

Monitor zgasł. Po chwili ukazała się rumiana, pobrużdżona liniami twarzy.

- Ryan...

- Co się stało?

- Niech pan lepiej przyjedzie do domu. I to jak najszybciej.

- O co chodzi?

- Jon.

Ryan zmusił się do zachowania spokoju. - Kolejny atak? - zapytał ochryłym głosem.

- Tak.

- Taki jak poprzednie?

- Dokładnie.

Dłoń Ryana powędrowała w kierunku wyłącznika.

- Dobrze. Zaraz tam będę. Proszę nikogo nie wpuszczać. I niech pan spróbuje go uspokoić. Ma zostać w swoim pokoju. W razie potrzeby proszę podwoić strażę.

Przerwał połączenie. Zaraz potem udał się na dach budynku, gdzie stał zaparkowany jego statek.

Pojazd mknął nad bezkresną połącią szarego pyłu w kierunku Czwartego Miasta. Do świadomości wpatzonego nieobecny wzrokiem w widok za oknem Ryana docierała jedynie część mijanego krajobrazu.

Znajdował się pomiędzy miastami. Zdewastowaną powierzchnię, jak okiem sięgnąć, zalegały niezliczone sterty żwiru i popiołu. Oddzielone od siebie milami szarej strefy miasta wyrastały gdzieś na podobieństwo muchomorów. To tu, to tam, uwagę przyciągały budynki i wieże oraz pochłonięci pracą mężczyźni i kobiety. Krok po kroku na powierzchnię powtórnie wkraczała cywilizacja. Z bazy księżycowej sprowadzano surowce i sprzęt.

Podczas wojny istoty ludzkie opuściły Terrę i przeniosły się na księżyc. Terra uległa całkowitemu zniszczeniu. Nie zostało się nic z wyjątkiem popiołu i zgliszcz. Kiedy wojna dobiegła końca, ludzie stopniowo przystąpili do powrotu.

W sumie miały miejsce dwie wojny. W pierwszej ludzie stanęli przeciw ludziom. Druga zaś toczyła się pomiędzy ludźmi i kleszczami - robotami stworzonymi na potrzeby wojny. Kleszcze obróciły się przeciwko swoim twórcom, doskonaląc swój typ i wytwarzając nowe rodzaje broni.

Statek zaczął schodzić w dół. Dotarł do Czwartego Miasta. Wkrótce spoczął na dachu olbrzymiej prywatnej rezydencji, leżącej pośrodku miasta. Ryan zeskoczył pośpiesznie na dach i udał się do windy.

Po chwili przestąpił próg swojej kwatery i ruszył w kierunku pokoju Jona.

Odszukał starego, który zasępiony obserwował właśnie Jona przez szklaną ścianę jego pokoju. Pokój Jona spowijał półmrok. Chłopiec siedział na skraju łóżka, zaciskając z całej siły ręce. Miał przymknięte oczy. Uchylił nieco usta, z których od czasu do czasu wyłaniał się sztywny koniuszek języka.

- Od jak dawna to trwa? - zapytał starego Ryan.

- Około godziny.

- Czy inne ataki odbywały się według tego samego schematu?

- Ten jest ostrzejszy. Za każdym razem są coraz silniejsze.

- Czy nikt oprócz pana go nie widział?

- Tylko my dwaj. Zadzwoiłem do pana, kiedy zyskałem absolutną pewność. To prawie koniec. Już mu mija.

Po drugiej stronie szyby Jon wstał i z założonymi rękami odszedł od łóżka. Jasne włosy niechlujnie opadały mu na twarz. Wciąż miał zamknięte oczy. Jego twarz pobladła i stężała. Usta wykrzywił mu nagły grymas.

- Początkowo był zupełnie nieprzytomny. Nie było mnie przy nim, przebywałem w innej części

budynku. Kiedy wróciłem, zastałem go leżącego na podłodze. Wszędzie dokoła porozrzucone były szpule; musiał czytać. Posiniał na twarzy. Oddech miał nieregularny. Raz za razem następowały skurcze mięśniowe, tak jak przedtem.

- I co pan zrobił?

- Wszedłem do pokoju i zaniósłem go do łóżka. Najpierw był sztywny, ale później zaczął się rozluźniać. Ogarnął go zupełny bezwład. Sprawdziłem jego puls, był niezmiernie powolny. Oddychanie przychodziło mu łatwiej. I wtedy zaczął je z siebie wyrzucać.

- Je?

- Słowa.

- Ach tak. - Ryan kiwnął głową.

- Żałuję, że pana tutaj nie było. Mówił więcej niż zazwyczaj. Bez ustanku. Wylewał z siebie potok słów. Tak jakby nie mógł przestać.

- Czy... czy dotyczyły tego samego co przedtem?

- Dotyczyły tego samego co zawsze. I twarz rozświetlał mu jakiś wewnętrzny blask. Poświata. Jak poprzednio.

Ryan zastanowił się.

- Czy mogę wejść do pokoju?

- Tak. To już prawie minęło.

Ryan skierował się ku drzwiom. Wcisnął numer kodu cyfrowego i drzwi odsunęły się w głąb ściany.

Jon nie zauważył go, kiedy cicho przestąpił próg. Chodził tam i z powrotem z zamkniętymi oczami, oplatając rękami tułów. Lekko kołysał się na boki. Ryan wyszedł na środek pokoju i przystanął.

- Jon!

Chłopiec zamrugał. Otworzył oczy. Szybko potrząsnął głową.

- Ryan? Co... co chciałeś?

- Lepiej usiądź.

Jon skinął głową.

- Tak. Dziękuję. - Niepewnie przysiadł na łóżku, spoglądając na niego szeroko rozwartymi niebieskimi oczami. Odgarnął włosy z twarzy, posyłając Ryanowi lekki uśmiech.

- Jak się czujesz?

- Dobrze.

Ryan usiadł naprzeciw niego, przysuwając sobie krzesło. Przyglądał się chłopcu przez dłuższą chwilę. Żaden z nich nie zabrał głosu.

- Grant twierdzi, że miałeś niewielki atak - powiedział wreszcie Ryan.

Jon kiwnął głową.

- Już ci przeszło?

- O, tak. Jak tam praca nad statkiem?

- Znakomicie.

- Obiecałeś, że będę mógł go zobaczyć, kiedy zostanie ukończony.

- Będiesz mógł. Jak tylko będzie całkowicie gotowy.

- Kiedy to nastąpi?

- Wkrótce. Jeszcze tylko parę dni.

- Tak bardzo chcę go zobaczyć. Myślałem o nim. Wyobrażam sobie podróż w czasie. Mógłbym znaleźć się w Grecji. Zobaczyć Peryklesa i Ksenofonta - no i Epikteta, Albo pojechać do Egiptu i porozmawiać z Echatonem. - Uśmiechnął się. - Nie mogę się doczekać, kiedy go ujrzę.

Ryan poruszył się na krześle.

- Jon, czy naprawdę uważasz, że czujesz się na siłach, aby wyjść na zewnątrz? Może...

- Czy czuję się na siłach? Co przez to rozumiesz?

- Te twoje ataki. Naprawdę myślisz, że powinieneś wyjść? Nie jesteś zbyt osłabiony?

Jon spochmurniał.

- To nie są żadne ataki. Wolałbym, abyś tak tego nie nazywał.

- Nie ataki? Co wobec tego?

Jon zawahał się.

- Nie... nie powinienem ci mówić, Ryan. I tak nie zrozumiesz.

Ryan wstał.

- W porządku, Jon. Skoro uważasz, że nie możesz ze mną rozmawiać, wróć do laboratorium. - Skierował się ku drzwiom. - Szkoda, że nie możesz zobaczyć statku. Chybaby ci się spodobał.

Jon pobiegł za nim.

- Nie mogę go zobaczyć?

- Może gdybym wiedział więcej o twoich... twoich atakach, umiałbym stwierdzić, czy możesz opuścić dom.

Twarz Jona drgnęła. Ryan spoglądał na niego bacznie. Prawie widział myśli przebiegające mu przez głowę, kiedy toczył ze sobą wewnętrzną walkę.

- Nie chcesz mi powiedzieć?

Jon chwycił głęboki oddech.

- To są wizje.

- Co takiego?

- Wizje. - Jon rozjaśnił się. - Wiem o tym od dłuższego czasu. Grant utrzymuje, że to nieprawda, ale jest w błędzie. Gdybyś je widział, przyznałbyś mi rację. Nie przypominają niczego innego. Są bardziej rzeczywiste niż, no, niż to. - Uderzył pięścią w ścianę. - Po prostu bardziej rzeczywiste.

Ryan z wolna zapalił papierosa.

- Mów dalej.

Z ust chłopca popłynął potok słów.

- Są bardziej rzeczywiste niż cokolwiek! Zupełnie jakbyś wyglądał przez okno. Okno wychodzące na inny świat. Prawdziwy świat. Prawdziwszy od tego. Który sprawia, że wszystko inne wygląda jak cień świata. Tylko niewyraźne zarysy. Kształty. Obrazy.

- Cienie fundamentalnej rzeczywistości?

- Otóż to! Dokładnie. Świata kryjącego się za tym wszystkim. - Jon w ożywieniu krążył po pokoju. - To, te wszystkie rzeczy, które tutaj widzimy. Domy. Niebo. Miasta. Bezmiar popiołu. Nic nie jest do końca prawdziwe. Jest tak niewyraźne i mgliste! W istocie właściwie tego nie czuję, nie do takiego stopnia jak tamto. I jego realność nieustannie słabnie. A tamto narasta, Ryan. I zyskuje coraz bardziej realną postać! Grant powiedział, że to wyłącznie twory mojej wyobraźni. Bzdura. I

istnieje naprawdę. I to bardziej niż którykolwiek z przedmiotów znajdujących się w tym pokoju.

- A więc dlaczego my wszyscy nie możemy tego dostrzec?

- Nie mam pojęcia. Bardzo żałuję. Powinieneś to zobaczyć, Ryan. Jest takie piękne. Spodobałoby ci się, musiałbyś tylko przywyknąć. A to zawsze trochę trwa.

Ryan zastanowił się.

- Opowiedz mi - rzekł w końcu. - Chcę wiedzieć dokładnie, co tam widzisz. Czy zawsze to samo?

- Tak. Zawsze to samo. Lecz coraz bardziej intensywnie.

- Co to jest? Co takiego jest aż tak rzeczywiste?

Jon chwilę wahał się z odpowiedzią. Wyglądał, jakby z powrotem zamknął się w sobie. Ryan czekał, obserwując syna. Co działo się wewnątrz jego umysłu? O czym myślał? Chłopiec ponownie zamknął oczy. Zaciśnął dłonie, aż zbieleły mu kłykie. Znow wyłączył się i cofnął w głąb własnego świata.

- Mów dalej - powiedział głośno Ryan.

Zatem to były wizje. Wizje fundamentalnej rzeczywistości. Zupełnie jak w średniowieczu. Jego syn. Tkwił w tym cień ponurej ironii. Właśnie wtedy, kiedy wydawało się, że uchylili rąbka tajemnicy, że ludzkość wreszcie będzie mogła stawić czoło rzeczywistości, swemu wiecznemu marzycielstwu. Czy nauka nigdy nie osiągnie tego szczytnego celu? Czy wobec wyboru pomiędzy rzeczywistością a iluzją człowiek zawsze wybierze to ostatnie?

Jego własny syn. Retrogresja. Zagubiony o tysiąc lat. Zjawy, bogowie, złe moce oraz sekretny świat jaźni. Świat fundamentalnej rzeczywistości. Te wszystkie podania, fikcje i twory metafizyczne używane przez człowieka w ciągu stuleci w ramach rekompensaty za trawiący go lęk, przerażenie światem. Marzenia snute celem ukrycia prawdy, odsunięcia na bok goryczy codzienności. Mity, religie, baśnie. Lepszy świat, poza nami i nad nami. Raj. To wszystko powraca teraz, znajdując ujście w jego synu.

- Mów dalej - ponaglił niecierpliwie Ryan. - Co tam widzisz?

- Widzę pola - rzekł Jon. - Żółte pola tak jaskrawe jak słońce. Pola i parki. Bezkresne parki. Zielen przemieszana z żółcią. Wytyczone ścieżki dla spacerowiczów.

- Co jeszcze?

- Mężczyzn i kobiety. W togach. Przechadzają się ścieżkami wśród drzew. Powietrze jest świeże i słodkie. Niebo ma intensywnie niebieski kolor. Ptaki. Zwierzęta. Zwierzęta chodzą swobodnie po parku. Motyle. Oceany. Pluskają oceany czystej wody.

- Czy są tam miasta?

- W każdym razie niepodobne do naszych. Inne. Ludzie zamieszkują parki. Gdzieś widać małe drewniane domki. Pomiędzy drzewami.

- Drogi?

- Tylko ścieżki. Żadnych statków ani nic w tym rodzaju. Ludzie przemieszczają się pieszo.

- Co jeszcze widzisz?

- To wszystko. - Jon otworzył oczy. Jego policzki pokrywał rumieniec. Nieustannie błędził dokoła szklistym spojrzeniem. - To wszystko, Ryan. Parki i żółte pola. Mężczyźni i kobiety w togach. I tyle zwierząt. Cudownych zwierząt.

- Jak oni żyją?

- Co?

- Jak ci ludzie żyją? Co trzyma ich przy życiu?

- Uprawiają pola.

- I to wszystko? Nie budują? Nie mają fabryk?

- Raczej nie.

- Społeczeństwo agrarne. Prymitywne. - Ryan zmarszczył brwi. - Bez handlu i przemysłu.

- Pracują na polach. I omawiają różne sprawy.

- Słyszysz ich?

- Bardzo słabo. Czasami, gdy wyteżę słuch, co nieco do mnie dociera. Ale nie potrafię rozróżnić słów.

- Jakie sprawy omawiają?

- Różne.

- Na przykład?

Jon wykonał nieokreślony ruch ręką.

- Niezwykłej wagi. Świat. Wszechświat.

Zapadła cisza. Ryan odchrząknął. Nie powiedział ani słowa. Wreszcie odłożył papierosa.

- Jon...

- Słucham?

- Sądzisz, że to, co widzisz, istnieje naprawdę?

Jon uśmiechnął się.

- Wiem, że tak.

Ryan rzucił mu ostre spojrzenie.

- Co przez to rozumiesz? Niby jak ten twój świat może być prawdziwy?

- On istnieje.

- Gdzie?

- Nie mam pojęcia.

- Tutaj? Czy on istnieje tutaj?

- Nie. Tutaj nie.

- Gdzieś indziej? Daleko stąd? W jakimś innym zakątku wszechświata, poza obrębem naszych doświadczeń?

- To nie jest żaden inny zakątek wszechświata. Nie ma nic wspólnego z przestrzenią. Jest tutaj.

- Jon pokazał ręką dokoła siebie. - Blisko. Bardzo blisko. Widzę go wszędzie wokół siebie.

- Czy widzisz go teraz?

- Nie. On przychodzi i odchodzi.

- Przestaje istnieć? Istnieje tylko czasami?

- Nie, stale tam jest. Ale nie zawsze potrafię nawiązać z nim kontakt.

- Skąd wiesz, że stale tam jest?

- Wiem i już.

- Dlaczego ja nie mogę go zobaczyć? Dlaczego ty jesteś jedyną osobą, która może to uczynić?

- Sam nie wiem. - Jon, zmęczony, potarł czoło. - Nie wiem, dlaczego jestem jedyną osobą, która może go zobaczyć. Chciałbym, abyś ty też mógł. Chciałbym, aby wszyscy mogli.

- Potrafisz wykazać, że to nie halucynacja? Brakuje ci obiektywnego potwierdzenia. Kierujesz

się zaledwie własnym wewnętrznym zmysłem postrzegania, własną świadomością. Jakim sposobem można by to poddać analizie empirycznej?

- Może wcale nie można. Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Nie chcę poddawać tego analizie empirycznej.

Cisza. Jon zacisnął zęby, stał się ponury. Ryan westchnął. Impas.

- Dobrze, Jon. - Z wolna ruszył ku drzwiom. - Do zobaczenia. Syn nie odpowiedział.

Przy drzwiach Ryan przystanął i spojrzał za siebie.

- Zatem twoje wizje nasilają się, prawda? Zyskują na wyrazistości?

Jon krótko skinął głową.

Ryan pomyślał przez chwilę. Wreszcie podniósł rękę. Drzwi otworzyły się i opuścił pokój.

Grant wyszedł mu na spotkanie.

- Patrzyłem przez szybę. Zamyka się w sobie, prawda?

- Trudno z nim rozmawiać. Sądzi, że te ataki to jakiś rodzaj wizji.

- Wiem. Powiedział mi.

- Dlaczego nie dał mi pan znać?

- Nie chciałem dodatkowo pana martwić. Wiem, jak bardzo się pan nim przejmuje.

- Ataki stają się coraz gorsze. Mówi, że są coraz bardziej wyraziste. Bardziej przekonujące.

Grant przytaknął.

Pograżony w myślach Ryan ruszył przez korytarz, Grant szedł tuż za nim.

- Trudno ustalić, jakie kroki należy podjąć. Ataki absorbują go w coraz większym stopniu. Zaczyna traktować je poważnie. Wizje zajmują miejsce zewnętrznego świata. Poza tym...

- Poza tym pan niedługo wyjeżdża.

- Żałuję, że nie wiemy więcej na temat podróży w czasie. Może nam się przytrafić masa rzeczy. - Ryan potarł szczękę. - Możemy wcale nie wrócić. Czas to potężna siła. Dotychczas nie przeprowadzono żadnych gruntownych badań. Nie mamy zielonego pojęcia, w co się pakujemy.

Doszedł do windy i przystanął.

- Muszę natychmiast podjąć decyzję. Zanim wyjedziemy.

- Decyzję?

Ryan wszedł do windy.

- Wkrótce pan się dowie. Od teraz proszę nie spuszczać oka z Jona. Nie oddalać się od niego ani na moment. Rozumie pan?

Grant kiwnął głową.

- Rozumiem. Chce pan mieć pewność, że nie opuści swojego pokoju.

- Skontaktuję się z panem wieczorem lub jutro. - Ryan pojechał na dach i dostał się na pokład swojego statku.

Zaraz po starcie wystukał numer kancelarii Ligi. Ukazało się oblicze Monitora.

- Kancelaria.

- Połączcie mnie z centrum medycznym.

Ekran zgasł. Po chwili pojawiła się twarz kierownika medycznego, Waltera Timmera. Na widok Ryana jego oczy rozbliły.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Caleb?

- Chcę, abys zabrał karetkę oraz kilku fachowców i przyjechał do Czwartego Miasta.

- Po co?

- Chodzi o sprawę, którą omawialiśmy kilka miesięcy temu. Pamiętasz, jak sądzę?

Wyraz twarzy Timmera uległ raptownej zmianie.

- Twój syn?

- Podjąłem decyzję. Nie mogę dłużej czekać. Jego stan pogarsza się, a niebawem wyruszamy w podróż w czasie. Chcę, aby to nastąpiło, nim wyjadę.

- Jak sobie życzysz. - Timmer zapisał. - Natychmiast zaczną działać. I jak najszybciej wyślemy po niego statek.

Ryan zawahał się.

- Postaracie się?

- Oczywiście. Operację wykona James Pryor. - Timmer sięgnął w kierunku wyłącznika. - Nic się nie martw, Caleb. Zrobi to jak trzeba. Pryor jest najlepszym specjalistą od lobotomii, jakiego mamy.

Ryan rozłożył na stole mapę i wygładził jej rogi.

- Oto mapa czasowa, wyrysowana w formie rzutu przestrzennego. Tak abyśmy widzieli, dokąd się udajemy.

Kastner zajrzał mu przez ramię.

- Czy ograniczamy się wyłącznie do Projektu - to znaczy do zdobycia papierów Schonermana? Czy też będzie można się rozejrzeć?

- Mowa jest tylko o Projekcie. Jednakże aby zapewnić sobie powodzenie akcji, powinniśmy zrobić kilka przystanków po tej stronie kontinuum Schonermana. Nasza mapa czasowa może nie być dokładna, poza tym istnieje możliwość wystąpienia pewnego odchylenia odśrodkowego samego napędu.

Zakończono pracę. Ostatnie elementy statku zostały zamontowane.

Twarz siedzącego w kącie Jona nie wyrażała żadnych uczuć. Ryan zerknął w jego stronę.

- I jak to według ciebie wygląda?

- Świetnie.

Wehikuł czasu przypominał pękatego owada upstrzonego naroślami i wypustkami. Kwadratowe pudło wyposażone w okna i niezliczone wieżyczki. Niewiele miał wspólnego z prawdziwym statkiem.

- Pewnie miałbyś ochotę pojechać - zagadnął Jona Kastner. - Prawda?

Jon lekko skinął głową.

- Jak się czujesz? - zapytał go Ryan.

- Świetnie.

Ryan spojrzał bacznie na syna. Policzki chłopca odzyskały normalną barwę. Wróciła mu większość pierwotnej witalności. Po wizjach, naturalnie, nie pozostało ani śladu.

- Może następnym razem - pocieszył go Kastner. Ryan wrócił do mapy.

- Schonerman wykonał większość swojej pracy w latach 2030 - 2037. Jej wyniki zastosowano w praktyce dopiero kilka lat później. Decyzję o wykorzystaniu jego pracy dla działań wojennych podjęto po długim namyśle. Rząd był chyba świadomy niebezpieczeństwa.

- Widać nie w odpowiednim stopniu.

- Nie. - Ryan zawahał się. - My możemy narazić się na podobną sytuację.

- To znaczy?

- Odkrycie przez Schonermana sztucznego mózgu zostało zaprzepaszczone z chwilą, kiedy zabito ostatniego kleszcza. Nikt z nas nie potrafił odtworzyć jego pracy. Sprowadzenie tych papierów może być równoznaczne z narażeniem społeczeństwa na śmiertelne niebezpieczeństwo. W ten sposób możemy na powrót przywołać kleszcze.

Kastner potrząsnął głową.

- Wcale nie. Badania Schonermana nie były jednoznacznie powiązane z powstaniem kleszczy. Wyprodukowanie sztucznego mózgu nie musi od razu prowadzić do niewłaściwych celów. Każde odkrycie naukowe pociąga za sobą taką możliwość. Nawet koło zostało użyte w asyryjskich rydwanach wojennych.

- Pewnie ma pan rację. - Ryan popatrzył na Kastnera. - Jest pan pewien, że ZKPS nie nosi się z zamiarem wykorzystania badań Schonermana do celów militarnych?

- ZKPS to konsorcjum przemysłowe, a nie rząd.

- To zapewniłoby mu długotrwałą przewagę.

- ZKPS jest wystarczająco potężne samo w sobie.

- No dobrze. - Ryan zwinął mapę. - Możemy startować w każdej chwili. Nie mogę się doczekać. Poświęciliśmy mu tyle pracy.

- To prawda.

Ryan zbliżył się do syna.

- Odjeżdżamy, Jon. Powinniśmy niedługo wrócić. Życz nam powodzenia.

Jon skinął głową.

- Powodzenia.

- Dobrze się czujesz?

- Tak.

- Jon - lepiej ci teraz, prawda? Lepiej niż przedtem?

- Tak.

- Nie cieszysz się, że minęły? Te wszystkie problemy, które cię dręczyły?

- Tak.

Ryan niezgrabnie położył rękę na ramieniu chłopca.

- Do zobaczenia.

Ryan i Kastner wspięli się po rampie w kierunku wjazdu prowadzącego w głąb wehikułu czasu. Jon obserwował ich ze swojego kąta. Kilku strażników Ligi kręciło się w pobliżu wejść do pracowni, przyglądając się z zainteresowaniem.

Ryan przystanął u wejścia. Przywołał jednego z wartowników.

- Przekaż Timmerowi, że chcę go widzieć.

Strażnik oddalił się.

- O co chodzi? - zapytał Kastner.

- Muszę udzielić mu paru końcowych instrukcji.

Kastner rzucił mu ostre spojrzenie.

- Końcowych? Co się z panem dzieje? Sądzi pan, że coś nam się przytrafi?

- Nie. Zwyczajne środki ostrożności.

Nadszedł Timmer.

- Odjeżdżacie, Ryan?

- Wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Nie ma potrzeby dłużej zwlekać.

Timmer podszedł do rampy.

- Po co mnie wołałeś?

- To może wcale nie być konieczne. Ale zawsze należy liczyć się z niepowodzeniem. W razie gdyby statek nie powrócił zgodnie z planem, jaki przedłożyłem członkom Ligi...

- Chcesz, abym wyznaczył opiekuna dla Jona.

- Zgadza się.

- Nie potrzebujesz zawracać sobie tym głowy.

- Wiem. Jednak lepiej bym się poczuł. Ktoś powinien go chronić.

Obaj popatrzyli na milczącego chłopca tkwiącego w rogu pomieszczenia. Jon spoglądał przed siebie. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. W zgaszonych oczach nie było nic prócz pustki.

- Powodzenia - rzekł Timmer. Uścisnęli sobie dłonie. - Mam nadzieję, że wszystko pójdzie jak należy.

Kastner zniknął we wnętrzu statku, niosąc swoją walizkę. Ryan ruszył w ślad za nim, opuścił i zatrzasnął właz. Zablokował zamek. Rozbłysło automatyczne oświetlenie. Rozległ się syk wypełniającej kabinę atmosfery.

- Powietrze, światło, ogrzewanie - wymienił Kastner. Zerknął przez okno na stojących na zewnątrz strażników Ligi. - Trudno uwierzyć. Za kilka minut to wszystko zniknie. Cały budynek. Wartownicy. Wszystko.

Ryan usadowił się przed tablicą rozdzielczą i rozłożył mapę. Przymocował ją biegnącymi przez tablicę przewodami.

- Planuję zrobienie kilku przystanków obserwacyjnych po drodze, tak abyśmy mogli być świadkami niektórych wydarzeń istotnych dla naszych badań.

- Chodzi o wojnę?

- Głównie tak. Ciekawi mnie praktyczne zastosowanie kleszczy. Według danych Kancelarii Wojennej był czas, kiedy przejęły całkowitą kontrolę nad Terrą.

- Nie podchodźmy zbyt blisko, Ryan.

Ryan roześmiał się.

- Nie będziemy lądować. Dokonamy obserwacji z powietrza. Jedyne prawdziwy kontakt zostanie nawiązany z Schonermanem.

Ryan zamknął dopływ mocy. Przez statek przetoczyła się fala energii, umieszczone na tablicy mierniki zarejestrowały obciążenie.

- Przede wszystkim musimy kontrolować wierzchołek energii - wyjaśnił Ryan. - Jeżeli zgromadzimy nadmiar ergów, nie da rady wydobyć statku ze strumienia czasowego. Będziemy mknąć dalej w przeszłość, kumulując coraz większy ładunek.

- Zupełnie jak wielka bomba.

- Zgadza się. - Ryan wyregulował pokręta. Odczyty wskaźników uległy zmianie. - Ruszamy. Proszę się trzymać.

Zwolnił dźwignie. Statek zadygotał, włączając się w strumień czasu. Łopatkę turbin zmieniły położenie, dopasowując się do nacisku. Przekładniki zwały się, rzucając statek w wir miotającego nim żywiołu.

- Jak ocean - mruknął Ryan. - Najpotężniejsza energia we wszechświecie. Wielka dynamika leżąca u podstaw wszelkiego ruchu. Naczelna siła sprawcza.

- Być może właśnie to mieli na myśli, mówiąc kiedyś o Bogu.

Ryan kiwnął głową. Statek wokół nich zadrżał. Tkwili w uścisku gigantycznej ręki, ciasno zwartej wielkiej pięści. Znaleźli się w ruchu. Widoczni za oknami ludzie i otaczające ich ściany zafalowały, po czym rozplynęły się z chwilą, gdy statek niesiony prądem strumienia czasu opuszczał teraźniejszość.

- To nie potrwa długo - mruknął Ryan.

W okamgnieniu widoczna za oknem scena zniknęła. W jej miejsce nie pojawiło się nic. Przebywali w próżni.

- Znajdujemy się poza jakąkolwiek relacją czasoprzestrzenną - wyjaśnił Ryan. - Nie jesteśmy sprzężeni ze wszechświatem. Obecnie funkcjonujemy poza czasem, poza wszelkim kontinuum.

- Mam nadzieję, że zdołamy wrócić. - Kastner usiadł nerwowo, nie odrywając wzroku od pustego iluminatora. - Czuję się jak pierwszy człowiek w łodzi podwodnej.

- To miało miejsce podczas rewolucji amerykańskiej. Łódź była napędzana korbą obracaną przez pilota. Na jej drugim końcu znajdowała się śruba okrętowa.

- Jakim sposobem mógł przemierzyć znaczną odległość?

- Otóż nie zrobił tego. Doszło do kolizji z brytyjską fregatą, wybił jej dziurę w kadłubie.

Kastner popatrzył po rozedrganych i klekoczących ścianach statku.

- Co by było, gdyby w tym statku zrobiła się dziura?

- Rozpadlibyśmy się na kawałki. Zostalibyśmy rozpuszczeni przez unoszący nas prąd. - Ryan zapalił papierosa. - Stalibyśmy się częścią strumienia czasowego. Dryfowalibyśmy w nieskończoność od jednego krańca wszechświata po drugi.

- Krańca?

- W sensie czasowym. Czas płynie w obie strony. Obecnie jedziemy wstecz. Jednakże dla utrzymania równowagi energia musi poruszać się w obydwu kierunkach. W przeciwnym razie ergi czasowe zgromadziłyby się w znacznych ilościach w jednym tylko kontinuum, co przyniosłoby katastrofalne rezultaty.

- Czy uważa pan, że za tym wszystkim stoi jakiś cel? Ciekawe, skąd strumień czasowy bierze swój początek.

- Pańskie pytanie jest pozbawione sensu. Pytania o cel nie mają żadnego obiektywnego uzasadnienia. Nie można poddać ich żadnej formie badania empirycznego.

Kastner zaprzestał dalszych wywodów. Wpatrzony w okno nerwowo skubał swój rękaw.

Umieszczone na mapie złącza przewodów drgnęły, nakreślając linię wiodącą z teraźniejszości w przeszłość. Ryan śledził ich ruch.

- Docieramy do końcowego stadium wojny. Teraz przekazuję statek i wyprowadzę go ze strumienia czasowego.

- Dzięki czemu na powrót znajdziemy się we wszechświecie?

- Wśród innych obiektów. W określonym kontinuum.

Ryan ujął dźwignię mocy. Wziął głęboki oddech. Mieli za sobą pierwszą ważną próbę statku. Bez przeszkód wkroczyli w strumień czasowy. Czy opuszczenie go pójdzie im równie gładko? Zwolnił dźwignię.

Statek wykonał nagły zwrot. Kastner zachwiał się i chwycił przymocowany do ściany drążek. Szare niebo za oknem burzyło się i falowało. Blokady na kadłubie wróciły na swoje miejsce, umożliwiając statkowi wyrównanie lotu. Kiedy osiągnęli równowagę, widoczna pod nimi Terra zawirowała i zmieniła położenie.

Kastner pospieszył do okna. Znajdowali się kilkaset stóp nad powierzchnią, sunąc równolegle do podłoża. Wszędzie rozciągały się pokłady popiołu, gdzieniegdzie wznosiły się sterty śmieci. Ruiny miast, budowli i murów. Szczątki sprzętu wojskowego. Niebo zasłane chmurami pyłu zasłaniającego słońce.

- Czy wciąż toczy się wojna? - zapytał Kastner.

- Kleszcze nadal panują nad Terrą. Zaraz powinniśmy je zobaczyć. Ryan skierował statek ku górze, zwiększając pole widzenia. Kastner spoglądał w dół. - A co będzie, jeśli zaczną do nas strzelać?

- Zawsze możemy schronić się w czasie.

- Mogą przejąć statek i wrócić nim do teraźniejszości.

- Wątpię. Na tym etapie wojny były pochłonięte bratobójczą walką.

Po prawej stronie biegła kręta droga, raz za razem ginęła w pyłe, by następnie ponownie się ukazać. Tu i ówdzie ziały leje po bombach. Na drodze dał się zauważyć pewien ruch.

- Tam - powiedział Kastner. - Na drodze. Jakiś konwój.

W wyniku manewrów Ryana statek zawisł nad drogą i obaj popatrzyli w dół. Dostrzegli ciemnobrązową kolumnę idącą przed siebie równym krokiem. Był to oddział ludzi w milczeniu przemierzających spalony teren.

Naraz Kastner chwycił oddech.

- Są identyczni! Żaden z nich nie różni się od drugiego!

Mieli przed sobą kolumnę kleszczy. Roboty maszerowały równo, przywodząc na myśl szereg ołowianych żołnierzy. Ryan wstrzymał oddech. Oczywiście spodziewał się takiego widoku. Istniały zaledwie cztery typy kleszczy. Te, które widział tutaj, zostały wyprodukowane w tej samej podziemnej fabryce przy użyciu identycznej matrycy. Pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt robotów ukształtowanych na podobieństwo młodych ludzi w milczeniu posuwało się przed siebie. Szli niezwykle wolno. Każdy z nich miał tylko jedną nogę.

- Musieli walczyć pomiędzy sobą - mruknął Kastner.

- Nie. To cecha tego typu. Typ Rannego Żołnierza. Według początkowych zamierzeń miały zmylić ludzkie straże celem dostania się na teren jednostek.

Dziwnie obserwowano kolumnadę kuśtykających drogą identycznych ludzi. Każdy żołnierz podpierał się kulą. Nawet tych nie sposób było od siebie odróżnić. Zaszokowany Kastner na przemian otwierał i zamykał usta.

- Niezbyt przyjemny widok, co? - powiedział Ryan. - Na szczęście ludzkość poszukała schronienia na Lunie.

- Czy tamci nie poszli w jej ślady?

- Kilku owszem, ale wówczas dysponowaliśmy już charakterystyką owych czterech typów i przedsięwzięliśmy stosowne kroki. - Ryan ujął dźwignię mocy. - Jedźmy dalej.

- Chwileczkę. - Kastner podniósł rękę. - Zaraz coś się wydarzy.

Po prawej stronie drogi, bokiem wzniesienia przez pył brnęła grupa innych istot. Ryan puścił dźwignię i wyteżył wzrok. Istoty niczym nie różniły się od siebie. Były to kobiety. Ubrane w mundury i wysokie buty, w milczeniu zdążyły ku idącej drogą kolumnie.

- Następną odmiana - powiedział Kastner.

Naraz oddział żołnierzy przystanął. Niezdarnie kuśtykając, rozproszyli się na wszystkie strony. Niektórzy z nich potknęli się i upadli, upuszczając kule. Kobiety wyległy na drogę. Były szczupłe i młode, o ciemnych oczach i włosach. Jeden z Rannych Żołnierzy otworzył ogień. Któraś z kobiet sięgnęła do swojego pasa. Rzuciła.

- Co... - mruknął Kastner. Błysnęło. Ze środka drogi uniosła się chmura białego światła i zasnuła okolicę.

- Pewnie jakaś bomba rozpryskowa - oznajmił Ryan.

- Może lepiej wynieśmy się stąd.

Ryan przesunął dźwignię. Obraz pod nimi zafalował. Wreszcie zniknął.

- Dzięki Bogu mamy to już za sobą - rzekł Kastner. - A więc tak wyglądała wojna.

- Druga jej część. Główne stadium. Kleszcz przeciwko kleszczowi. Dobrze się stało, że obróciły się przeciwko sobie. To znaczy, dobrze dla nas.

- Dokąd teraz?

- Zrobimy jeszcze jeden przystanek obserwacyjny. Początkowy etap wojny. Zanim jeszcze wprowadzono do użytku kleszcze.

- A potem Schonerman?

Ryan zacisnął zęby.

- Zgadza się. Jeden przystanek i przyjdzie kolej na Schonermana.

Ryan ustawił przyrządy sterownicze. Wskaźniki liczników nieznacznie drgnęły. Przewody na mapie wyznaczały trasę.

- To nie potrwa długo - mruknął Ryan. Ujął dźwignię i nastawił przełączniki. - Tym razem musimy wykazać większą ostrożność. Nasilenie działań wojennych wzrośnie.

- Może nie powinniśmy wcale...

- Chcę to zobaczyć. Człowiek przeciwko człowiekowi. Region radziecki przeciwko Organizacji Narodów Zjednoczonych. Niezmiernie jestem ciekaw, jak to wyglądało.

- A co się stanie, jeżeli zostaniemy zauważeni?

- Natychmiast weźmiemy nogi za pas.

Kastner nie odpowiedział. Ryan pomanewrował sterem. Upłynął jakiś czas. Porzucony na skraju tablicy papieros Ryana wypalił się w całości. Wreszcie Ryan wyprostował się na swoim fotelu.

- Już czas. Niech pan się przygotuje. - Przesunął dźwignię.

Pod nimi rozciągała się brunatnozielona równina rozdarta lejami po pociskach. Przemknęli obok płonącego miasta. Unoszące się nad nim słupy dymu ulatywały wysoko ku niebu. Drogami sunęły czarne punkty, pojazdy oraz idący tłumnie ludzie.

- Bombardowanie - oznajmił Kastner. - I to niedawno.

Pozostawili miasto za sobą. Znaleźli się na otwartej przestrzeni. Dołem jechały ciężarówki wojskowe. Większość powierzchni była w dalszym ciągu nie tknięta. Dostrzegli kilku pracujących w polu rolników. Na widok przelatującego nad nimi statku padli na ziemię.

Ryan popatrzył na niebo.

- Niech pan uważa.

- Samolot?

- Nie jestem pewien, gdzie dokładnie jesteśmy. Nie wiem, komu podlegał dany region na tym etapie wojny. Równie dobrze możemy przebywać na terytorium ONZ, jak i Rosjan. - Zacisnął dłoń na dźwigni.

Na błękitnej płachcie nieba ukazały się dwa punkty. Stopniowo stawały się coraz większe. Ryan nie spuszczał z nich wzroku. Siedzący u jego boku Kastner odchrząknął nerwowo.

- Ryan, może lepiej...

Punkty rozdzieliły się. Ryan z całej siły przesunął dźwignię. Obraz rozplynął się z chwilą, kiedy samoloty przemknęły obok. Za oknem widniała jedynie szarość.

W uszach wciąż dźwięczały im echa silników.

- Mało brakowało - stwierdził Kastner.

- Istotnie. Nie tracili czasu.

- Mam nadzieję, że nie zamierza pan więcej się zatrzymywać.

- Nie. Żadnych postojów. Przyszła pora na realizację Projektu. Jesteśmy w pobliżu strefy czasowej Schonermana. Mogę powoli zmniejszać prędkość statku. Rzecz nie będzie łatwa.

- Jak to?

- Mogą zaistnieć problemy z dotarciem do Schonermana. Musimy dokładnie utrafić w jego kontinuum, zarówno pod względem czasu, jak i przestrzeni. Być może jest strzeżony. Tak czy inaczej, nie dadzą nam wiele czasu na wyjaśnienie, kim jesteśmy. - Ryan postukał w mapę czasową. - Poza tym nigdy nie wiadomo na pewno, jak dalece dana informacja jest ścisła.

- Za ile znajdziemy się w kontinuum? W kontinuum Schonermana?

Ryan spojrzał na zegarek.

- Około pięciu, dziesięciu minut. Proszę przygotować się na opuszczenie statku. Część drogi przebędziemy na piechotę.

Zapadła noc. Wokół panowała niczym nie zmacona cisza. Kastner wyteżył słuch, przyciskając ucho do ściany statku.

- Nic.

- Ja też nic nie słyszę. - Ryan ostrożnie odbezpieczył właz, odblokowując zamki. Otworzył go, ściskając w dłoni pistolet. Wyrzwał w ciemność.

Powietrze było świeże i chłodne. Przesycone zapachami rosnących drzew i kwiatów. Zaczerpnął tchu. Nic nie przykuło jego uwagi. Było ciemno choć oko wykol. Gdzieś w oddali cykały świerszcze.

- Słyszysz pan? - zapytał Ryan.

- Co to jest?

- Żuki. - Ryan ostrożnie zeskoczył na ziemię. Grunt był rozmiękły. Jego wzrok zaczął przyzwyczajać się do ciemności. Na niebie mrugało kilka gwiazd. Dojrzał zarys drzew, całego zagajnika. Tuż za nim wznosił się płot.

Kastner stanął u jego boku.

- I co dalej?

- Niech pan mówi ciszej. - Ryan pokazał na płot. - Tamtędy. Tam musi być jakiś dom.

Przeszli w poprzek pola w kierunku płotu. Dotarwszy do niego, Ryan wycelował broń, ustawiając jej natężenie na minimum. Zwęglony płot z rozgrzanym do czerwoności drutem runął na ziemię.

Kiedy minęli płot, wyrosła przed nimi żelazobetonowa ściana budynku. Ryan skinął na Kastnera.

- Teraz szybko. Trzeba się schylić.

Pochylił się, wzięwszy uprzednio głęboki oddech. Następnie puścił się biegiem, Kastner deptał mu po piętach. Dobiegli do budynku. Na wprost nich zamajaczyło okno. Potem drzwi. Ryan natarł na nie ramieniem.

Ustąpiły. Ryan wpadł do środka, z trudem utrzymując równowagę. Kątem oka dostrzegł zdumione twarze zrywających się ludzi.

Wystrzelił, obracając w pył wnętrze pomieszczenia. Pistolet wyrzucał z siebie snopy trzaskających płomieni. Kastner strzelał ponad jego ramieniem. W blasku ognia widać było niewyraźne zarysy padających na ziemię postaci.

Przerwali atak. Ryan ruszył przed siebie, stąpając między poczerniałymi szczątkami zalegającymi podłogę. Koszary. Prycze, pozostałości stołu. Przewrócona lampa i radio.

Ryan obejrzał w świetle lampy przypiętą do ściany mapę działań bojowych. Zamyślony wodził

po niej palcem.

- Daleko jesteśmy? - zapytał od drzwi Kastner, trzymając w pogotowiu pistolet.

- Nie. Zaledwie kilka mil.

- Jak tam dotrzemy?

- Przesuniemy statek. Tak będzie bezpieczniej. Mamy szczęście. Mogliśmy trafić na drugą półkulę.

- Czy będzie tam wielu strażników?

- Zaznajomię pana z resztą faktów, kiedy się tam znajdziemy. - Ryan zbliżył się do drzwi. - Chodźmy. Ktoś mógł nas widzieć.

Kastner zgarnął z resztek stołu garść gazet.

- Wezmę je. Może czegoś się z nich dowiemy.

- Dobry pomysł.

Ryan osadził statek w kotlinie pomiędzy dwoma wzgórzami. Rozłożył gazety i przejrzał je uważnie.

- Jesteśmy wcześniej, niż sądziłem. O kilka miesięcy. Zakładając, że są aktualne. - Musnął palcami papier. - Nie zdążył zżółknąć. Pewnie wczorajsze.

- Który dzisiaj jest?

- Jesień 2030 roku. Dwudziesty pierwszy września.

Kastner wyjrzał przez iluminator.

- Niedługo wzejdzie słońce. Niebo zaczyna szarzeć.

- Musimy niezwłocznie przystąpić do dzieła.

- Jestem trochę niespokojny. Na czym polega moja rola?

- Schonerman przebywa w niewielkiej wiosce za tym wzgórzem. Znajdujemy się w Stanach Zjednoczonych. W Kansas. W okolicy roi się od wojska, pełno tu schronów i okopów. Tkwimy w samym środku. W tym kontinuum Schonerman jest praktycznie nie znany. Wyniki jego badań jeszcze nie zostały opublikowane. Obecnie pracuje w ramach dużego projektu rządowego.

- A więc nie jest szczególnie chroniony.

- Zaczną go strzec jak oka w głowie, dopiero gdy zaproponuje rządowi swoje usługi. Dzień i noc będą go trzymać w podziemnym laboratorium i nigdy nie wypuszczą na powierzchnię. Najcenniejszy naukowiec na usługach rządu. Lecz teraz...

- Jak go rozpoznamy?

Ryan wręczył Kastnerowi plik zdjęć.

- Oto on. Wszystkie zdjęcia przetrwały do naszych czasów.

Kastner przyjrzał się im uważnie. Schonerman był niskim mężczyzną w okularach w rogowej oprawie. Chudy, nerwowy, o wypukłym czole, siał w stronę obiektywu niepewny uśmiech. Miał wąskie dłonie zakończone długimi, szczupłymi palcami. Na jednym ze zdjęć siedział przy biurku z fajką w zasięgu ręki, wątlą pierś osłaniał mu wełniany bezrękawnik. Na innym siedział z kotem na kolanach, trzymając przed sobą kufel piwa. Był to stary niemiecki kufel ozdobiony scenkami z polowań i gotyckimi literami.

- A więc ten człowiek wynalazł kleszcze. Czy też raczej stworzył podwaliny tego wynalazku.

- Ten człowiek opracował zasady stworzenia pierwszego w pełni funkcjonującego sztucznego mózgu.

- Czy zdawał sobie sprawę z tego, że na podstawie jego badań powstaną kleszcze?

- Początkowo nie. Według raportów wieści o tym dotarły do Schonermana dopiero wtedy, kiedy stworzono pierwszą grupę kleszczy. ONZ przegrywała wojnę. Dzięki atakom z zaskoczenia Rosjanie odzyskali początkową przewagę. Kleszcze zostały obwołane triumfem zachodniego postępu. Przez jakiś czas sądzono, że dzięki nim w wojnie nastąpił zwrot.

- A później...

- Później przystąpiły do samodzielnego wytwarzania kolejnych odmian i szturmowały zarówno na Rosjan, jak i na naszych. Jedynymi, którzy ocalili, byli ludzie znajdujący się na ONZ-owskiej bazie księżycowej. Około kilkudziesięciu milionów.

- Czyli dobrze się stało, że kleszcze zaczęły walczyć między sobą.

- Schonerman do końca śledził przebieg wykorzystywania jego pracy. Podobno niezwykle zgorzkniał.

Kastner odłożył zdjęcia.

- I twierdzi pan, że nie jest zbyt pilnie strzeżony?

- Nie w tym kontinuum. Nie bardziej niż jakikolwiek inny badacz. Jest młody. Obecnie ma zaledwie dwadzieścia pięć lat. Proszę o tym pamiętać.

- Gdzie go znajdziemy?

- Centrum Planowania Rządowego mieści się w dawnym budynku szkoły. Większość pracy odbywa się na powierzchni. Nie rozpoczęto jeszcze wielkich przedsięwzięć podziemnych. Naukowcy mają swoje kwatery około ćwierć mili od laboratorium. - Ryan popatrzył na zegarek. - Dla nas najlepiej będzie przydybać go przy jego stanowisku w laboratorium.

- Nie w kwaterze?

- Wszystkie dokumenty znajdują się w pracowni. Rząd nie zezwala na wynoszenie żadnych planów. Każdy pracownik jest przed wyjściem rewidowany. - Ryan z obawą dotknął swojego płaszcza. - Musimy zachować ostrożność. Schonermanowi włos nie może spaść z głowy. Chcemy tylko jego papierów.

- Broń nie będzie potrzebna?

- Nie. Lepiej nie podejmować ryzyka zranienia go.

- Papiery na pewno będą w laboratorium?

- Pod żadnym pozorem nie wolno mu ich wynosić. Dokładnie wiemy, gdzie znaleźć to, czego chcemy. Jedynie to miejsce wchodzi w rachubę.

- Ich zasady bezpieczeństwa ułatwiają nam zadanie.

- Trafnie pan to ujął - mruknął Ryan.

Ryan i Kastner zsunęli się po zboczu, biegli między drzewami. Grunt pod stopami był twardy i zimny. Stańli na skraju miasta. Po ulicach kręcili się pierwsi przechodnie. Miasto było nie tknięte bombardowaniem. Jak dotychczas nie dokonano w nim żadnych zniszczeń. Witryny sklepów zostały zabite deskami, a ogromne strzałki wskazywały zejścia do schronów.

- Co oni mają na sobie? - zapytał Kastner. - Niektórzy noszą coś na twarzach.

- Maski antybakteryjne. Chodźmy. - Kiedy wędrowali przez miasto, Ryan ścisnął w dłoni swój pistolet. Nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

- Po prostu kolejnych dwóch ludzi w mundurach - powiedział Kastner.

- Naszą największą nadzieją jest zaskoczenie. Znajdujemy się w samym środku strzeżonej twierdzy. Niebo jest patrolowane w obawie przed samolotami Rosjan. Żaden radziecki agent nie zdołałby się przedrzeć. Zresztą to małe laboratorium leżące pośrodku Stanów. Rosjanie nie mieliby czego tutaj szukać.

- Ale strażnicy i tak tam będą.

- Wszystko podlega ochronie. Cała nauka. Wszelkie rodzaje pracy badawczej.

Na wprost nich zamajaczył budynek szkoły. W pobliżu wejścia kręciło się paru ludzi. Serce Ryana zamarło. Czy był wśród nich Schonerman?

Mężczyźni kolejno wchodzili do wnętrza budynku. Umundurowany strażnik sprawdzał ich plakietki. Kilku z nich miało na twarzach maski, spod których wyzierały jedynie oczy. Czy rozpozna Schonermana? A jeśli i on będzie nosił maskę? Ryana ogarnął nagły strach. W masce nie będzie różnić się od pozostałych.

Ryan porzucił swój pistolet, gestem nakazując Kastnerowi uczynić to samo. Zacisnął palce na podszewce płaszcza. Kryształki gazu usypiającego. W tej epoce nikt jeszcze nie został uodporniony na jego działanie. Na ten wynalazek trzeba czekać jeszcze rok, a może dwa lata. Pod wpływem gazu wszyscy w promieniu kilkuset mil zapadali w głęboki sen. Była to podstępna i nieprzewidywalna broń - w sam raz na tę okazję.

- Jestem gotów - mruknął Kastner.

- Spokojnie. Musimy poczekać na niego.

Czekali. Słońce wznosiło się coraz wyżej, ogrzewając niebo swoim blaskiem. Tłumnie nadciągali kolejni pracownicy, zaludniając ścieżki i wnętrza budynku. Wydmuchiwali białe obłoczki pary i zabijali ręce. Ryan zaczął się denerwować. Jeden ze strażników spoglądał w ich stronę. Gdyby wzbudzili podejrzenia...

Ścieżką w pośpiechu nadszedł niski człowieczek w ciężkim płaszczu i okularach w rogowej oprawie.

Ryan zeszywniał. Schonerman! Schonerman mignął plakietką przed oczami wartownika. Otrzeptał buty i wszedł do środka, ściągając rękawiczki. Wszystko rozegrało się w jednej chwili. Dziarski młodzieniec spieszny zasiał do pracy. Do swoich papierów.

- Idziemy - rzucił Ryan.

Ruszyli do przodu. Ryan wyłuskał zza podszewki kryształki gazu. W dotknięciu były chłodne i twarde. Jak diamenty. Wartownik śledził ich wzrokiem, trzymając uniesiony pistolet. Obserwował ich ze stężałą twarzą. Tych dwóch nigdy przedtem tu nie widział. Patrząc na niego, Ryan mógł bez trudu zgadnąć, jakie myśli przelatują mu przez głowę.

Ryan i Kastner przystanęli obok wejścia.

- Jesteśmy z FBI - oznajmił spokojnie Ryan.

- Dokumenty proszę. - Strażnik ani drgnął.

- Oto one - rzekł Ryan. Wyciągnął rękę z kieszeni. I zmiażdżył w dłoni kryształki gazu.

Strażnik przechylił się na bok, po czym bezwładnie runął na ziemię. Gaz się rozprzestrzenił. Kastner przestąpił próg i rozejrzał się.

Budynek nie był duży. Wszędzie widniały stoły laboratoryjne i sprzęt. Pracownicy leżeli na podłodze z rozrzuconymi kończynami i otwartymi ustami.

- Szybciej. - Ryan wyminął Kastnera i ruszył szparkim krokiem przez salę. Na odległym krańcu Schonerman leżał przewieszony przez stół z czołem wspartym o metalowy blat. Okulary spadły mu na ziemię. Miał otwarte, wytrzeszczone oczy. Zdażył wyjąć z szuflady swoje notatki. Klucz i kłódka nadal spoczywały na stole. Rozrzucone papiery tkwiły pod głową i między rękami leżącego.

Kastner podbiegł do Schonermana, wyszarpnął papiery i wepchnął je do swojej aktówki.

- Proszę zabrać wszystkie!

- Mam je. - Kastner otworzył szufladę. Porwał resztę kartek. Wszystkie.

- Idziemy. Gaz niebawem się ulotni.

Wybiegli na zewnątrz. U wejścia leżało kilka rozciągniętych ciał, pracownicy, którzy nadeszli w tym czasie.

- Szybciej.

Pędzili przez miasto jedyną główną ulicą. Ludzie spoglądali za nimi w zdumieniu. Kastner dyszał ciężko, przyciskając do piersi aktówkę.

- Mam... mam dosyć.

- Niech pan nie staje.

Dotarli do skraju miasta i zaczęli wspinać się po zboczu. Pochylony Ryan gnał między drzewami, nie oglądając się za siebie. Część pracowników zapewne odzyskuje już przytomność. Wkrótce zjawią się pozostali strażnicy. Za chwilę ryknie alarm.

Za ich plecami rozległo się przeciągłe wycie syreny.

- No proszę. - Ryan przystanął na szczycie wzgórza i zaczął czekać na Kastnera. Za nimi z podziemnych bunkrów wylęgało na ulice coraz więcej ludzi. Do pierwszej syreny dołączyły następne, złowieszcze echo niosło się po okolicy.

Ryan dopadł statku. Chwycił Kastnera za ramię i wepchnął go do środka.

- Proszę zatrzaskać włącz! Szybciej!

Ryan podbiegł do tablicy rozdzielczej. Kastner upuścił teczkę i szarpał za krawędź włączu. Na szczycie wzgórza pojawili się pierwsi żołnierze. Biegąc w dół zbocza, ostrzeliwali statek ogniem ciągłym.

- Padnij! - warknął Ryan. O kadłub załomotały kule. - Na podłogę!

Kastner odpowiedział ogniem ze swojej broni. Fala płomieni ogarnęła biegnących żołnierzy. Wład zatrzasnął się z hałasem. Kastner zaryglował go i zasunął zamek.

- Gotowe.

Ryan przesunął dźwignię. Na zewnątrz pozostali żołnierze usiłowali mimo ognia dostać się do statku. Ryan widział przez okno osmalone twarze.

Ktoś niezgrabnym ruchem podniósł pistolet. Większość słaniała się na nogach bądź czołgała. Kiedy obraz stopniowo zaczął zanikać, Ryan ujrzał, jak jeden z ludzi z wysiłkiem wstaje. Ubranie na nim płonęło. Znad jego ciała unosiły się kłęby dymu. Twarz wykrzywioną miał bólem. Zgięty wpół wyciągnął roztrzęsione ręce w kierunku statku, w kierunku Ryana.

Naraz ten ostatni znieruchomiał.

Wciąż wpatrywał się uporczywie w jeden punkt, kiedy obraz zniknął i jego miejsce zajęła kompletna pustka. Za oknem nie było nic. Wskaźniki zmieniły odczyty. Przewody na mapie ze spokojem wyznaczały trasę.

W ostatniej chwili Ryan spojrzał temu człowiekowi prosto w twarz. W jego wykrzywione bólem zniekształcone rysy. Wprawdzie okulary w rogowej oprawie zniknęły, ale i tak rozpoznał ich właściciela.

Ryan usiadł. Drżącą ręką przeczesał włosy.

- Jest pan pewien? - zapytał Kastner.

- Tak. Musiał bardzo szybko odzyskać świadomość. Gaz różnie działa na poszczególne osoby. Poza tym przebywał w dalszej części sali. Musiał oprzytomnieć i pospieszyć za nami.

- Czy został ciężko ranny?

- Nie mam pojęcia.

Kastner otworzył teczkę.

- W każdym razie zdobyliśmy papiery.

Ryan skinął głową, na wpół tylko słysząc jego słowa. Schonerman został ranny, jego ubranie płonęło. To nie stanowiło części planu.

Lecz co bardziej istotne - czy stanowiło część historii?

Po raz pierwszy zaczęły docierać do niego możliwe skutki całego przedsięwzięcia. Istotą planu było zdobycie notatek Schonermana celem wykorzystania ich przez ZKPS do stworzenia sztucznego mózgu. Należycie użyty, wynalazek Schonermana mógł w dużej mierze przyczynić się do odbudowy zrujnowanej Terry. Dzięki niemu mogły powstać armie pracujących robotów. Mechaniczne oddziały

mające na powrót użyźnić Terrę. W ciągu jednego pokolenia odwalić robotę, na którą ludzie poświęciliby lata zmagania. Doprowadziłyby do odrodzenia Terry.

A jeśli swoją podróżą w przeszłość wprowadzili nowe czynniki? Zmienili bieg historii? Naruszyli równowagę?

Ryan wstał i zaczął tam i z powrotem przemierzać kabinę.

- O co chodzi? - zapytał Kastner. - Przecież mamy papiery.

- Wiem.

- ZKPS będzie zadowolone. Od teraz Liga może liczyć na pomoc. Otrzyma wszystko, czego zapragnie. To na stałe umocni pozycję Konsorcjum. Wreszcie wyprodukuje te roboty. Mechanicznych robotników. Koniec harówki człowieka. Maszyny będą orać za niego.

Ryan kiwnął głową.

- Znakomicie.

- No to o co panu chodzi?

- Martwię się o nasze kontinuum.

- O co tu się martwić?

Ryan podszedł do tablicy rozdzielczej i spojrzał na mapę. Statek kierował się ku teraźniejszości, przewody wskazywały drogę powrotną.

- Martwię się o nowe czynniki, które mogliśmy zaszcześcić w przeszłości. Nie istnieją żadne dane na temat poniesionych przez Schonermana ran. Nie ma o tym żadnej wzmianki. Ten incydent mógł uruchomić inny łańcuch przyczynowo-skutkowy.

- Na przykład?

- A bo ja wiem. Jednak mam zamiar się przekonać. Niebawem zrobimy postój i zobaczymy, czy zaszczepiliśmy nowe czynniki.

Ryan wprowadził statek w kontinuum następujące bezpośrednio po incydencie z Schonermanem. Był chłodny październik, niecały tydzień później. O zachodzie słońca wylądował na polu niedaleko Des Moines w stanie Iowa. Panował chłodny jesienny wieczór, grunt pod stopami stwardniał i się kruszył.

Ryan i Kastner udali się do miasta. Kastner nie wypuszczał z rąk aktówki. Des Moines zostało zbombardowane przez zdalnie sterowane pociski radzieckie. Większość sekcji przemysłowych została starta z powierzchni ziemi. W mieście pozostali jedynie wojskowi i budowniczowie. Ludność cywilną ewakuowano.

Ulicami włóczyły się wygłodniałe zwierzęta. Wszędzie leżało szkło i gruz. Miasto tchnęło chłodem i pustką. Chodniki były zniszczone przez ostrzał, który nastąpił zaraz po bombardowaniu. Jesienne powietrze zgęstniało od woni rozkładu unoszącej się ponad stertami śmieci i trupów zebranych na skrzyżowaniach i u wylotów ulic.

Z zabitego deskami stoiska Ryan ukradł egzemplarz "Przeglądu Tygodniowego". Czasopismo było wilgotne i pokryte błotem. Kastner umieścił je w teczce i powrócił na statek. Kilkakrotnie mijali ich żołnierze usuwający z miasta broń i sprzęt. Nikt ich nie zaczepił.

Dotarli do statku i weszli do środka, zatrzasnąwszy za sobą właz. Pola wokół nich całkiem opustoszały. Gospodarstwo zostało spalone, a zbiory wyschły i obumarły. Na podjeździe leżał zwęglony wrak samochodu. Stadko świń szperało w obejściu w poszukiwaniu jakiegoś kaska.

Ryan usiadł i rozłożył gazetę. Studiował ją przez dłuższy czas, z wolna przewracając przesycone wilgocią kartki.

- I co pan tam widzi? - dopytywał się Kastner.

- Wyłącznie informacje o wojnie. Nadal znajduje się w początkowej fazie. Rosjanie zrzucają bomby. Amerykańskie pociski dyskowe zasypują ZSRR.

- Jakaś wzmianka o Schonermanie?

- Nie widzę. Zbyt wiele się dzieje. - Ryan kontynuował przeglądanie gazety. Wreszcie na jednej z ostatnich stron znalazł to, czego szukał. Związała informacja, za ledwie jeden akapit.

ZDUMIENIE RADZIECKICH AGENTÓW

Grupa radzieckich agentów, usiłująca dokonać zniszczenia rządowej stacji badawczej w Harristown, Kansas, została ostrzelana przez strażników i zmuszona do odwrotu. Po nieudanej próbie wdarcia się do wnętrza pracowni w godzinie porannej zmiany, podający się za przedstawicieli FBI agenci zbiegli. Wartownicy ruszyli za nimi w pościg. Laboratoria i sprzęt nie doznały uszkodzeń. W wyniku starcia zginęło dwóch strażników i jeden pracownik. Nazwiska strażników...

Ryan ścisnął w rękach gazetę.

- Co się stało? - zapytał Kastner.

Ryan doczytał artykuł do końca. Odłożył gazetę, popychając ją w kierunku Kastnera.

- Co się stało? - Kastner przebiegł wzrokiem stronę.

- Schonerman nie żyje. Zabity podczas eksplozji. To my go zabiliśmy. Zmieniliśmy przeszłość.

Ryan wstał i podszedł do iluminatora. Zapalił papierosa i częściowo odzyskał dawny spokój.

- Wprowadziliśmy nowe czynniki i zapoczątkowaliśmy nowy łańcuch wydarzeń. Trudno przewidzieć rezultaty tego działania.

- Co pan przez to rozumie?

- Ktoś inny może wynaleźć sztuczny mózg. Może zmiana zostanie zneutralizowana. Strumień czasowy odzyska regularny tryb.

- Jakim sposobem?

- Nie wiem. Prawda jest taka, że zabiliśmy go i ukradliśmy notatki. Rząd nijak nie może skorzystać z jego odkrycia. Nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że istniało. Jeżeli ktoś inny nie dokona tego samego, nie użyje tych samych materiałów...

- Jak możemy się o tym przekonać?

- Trzeba będzie się rozejrzeć. To jedyny sposób.

Ryan wybrał rok 2051.

W 2051 zaczęły funkcjonować pierwsze kleszcze. Szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Rosjan. Wprowadzenie kleszczy było ostatnią desperacką próbą podjętą przez ONZ celem zmiany biegu wydarzeń.

Ryan osadził statek na skraju przełęcz. Przed nimi rozciągała się płaska równina poprzecinana ruinami, drutem kolczastym i szczątkami broni.

Kastner odblokował włącz i ostrożnie zeskoczył na ziemię.

- Niech pan uważa - ostrzegł go Ryan. - Proszę pamiętać o kleszczach.

Kastner pokazał pistolet.

- Nie omieszkam.

- Na tym etapie były niewielkie. Nie mierzyły więcej niż stopę. Metalowe. Kryły się w pyle. Humanoidy jeszcze nie powstały.

Słońce stało wysoko na niebie. Minęło południe. Powietrze było gęste i ciepłe. Rozdmuchiwane wiatrem kłęby kurzu spowijały podłoże.

Nagle Kastner zeszywniał.

- Niech pan spojrzy. Co to takiego? Tam na drodze.

W ich kierunku ospale toczyła się duża, brązowa ciężarówka wyładowana żołnierzami. Zmierzała ku podnóży przełęczy. Ryan sięgnął po pistolet. Obaj mężczyźni nie spuszczaali wzroku z pojazdu.

Ciężarówka zatrzymała się. Kilku żołnierzy zeskoczyło na ziemię i brnąc przez pył, zaczęło pisać się po zboczu.

- Niech pan się przygotuje - mruknął Ryan.

Dotarłszy do nich, żołnierze przystanęli w odległości paru stóp. Ryan i Kastner stali w milczeniu z uniesioną do góry bronią.

Jeden z żołnierzy roześmiał się.

- Odłóżcie to. Czyżbyście nie wiedzieli, że wojna się skończyła?

- Skończyła?

Żołnierze odprężyli się z ulgą. Ich przywódca, potężny mężczyzna o czerwonym obliczu, otarł pot z czoła i podszedł do Ryana. Jego mundur był wystrzępiony i brudny, a buty znoszone i pokryte kurzem.

- Skończyła, i to tydzień temu. Chodźcie! Jest masa roboty. Zabierzemy was ze sobą.

- Dokąd?

- Zbieramy wszystkich zwiadowców. Byliście odcięci? Przerwano łączność?

- Nie - odparł Ryan.

- Upłyną całe miesiące, zanim wiadomość o zakończeniu wojny dotrze do wszystkich. Chodźcie z nami. Nie ma co się gapić.

Ryan przestąpił z nogi na nogę.

- Zaraz. Mówicie, że wojna dobiegła końca? Ale...

- I dobrze się stało. Dłużej nie dalibyśmy rady. - Oficer poklepał swój pas. - Nie macie przypadkiem papierosa, co?

Ryan powoli wyciągnął swoją paczkę. Wyjął z niej kilka papierosów i podał je oficerowi, po czym starannie złożył paczkę i z powrotem umieścił w kieszeni.

- Dzięki. - Oficer rozdał papierosy swoim ludziom. Zapalili. - Tak, naprawdę dobrze się stało. Ciągnęliśmy resztką sił.

Kastner otworzył usta.

- A kleszcze? Co z nimi?

Oficer popatrzył na niego spode łba.

- Co?

- Dlaczego wojna skończyła się tak... tak nagle?

- W Związku Radzieckim wybuchła kontrrewolucja. Od miesięcy wysyłaliśmy tam agentów i rozprawialiśmy materiały propagandowe. Nigdy nie przyszło nam do głowy, że coś z tego wyniknie. W gruncie rzeczy byli dużo słabsi, niż wszyscy myśleli.

- A więc to rzeczywiście koniec wojny?

- Jasne. - Oficer złapał Ryana za ramię. - Chodźmy. Czeka nas wiele pracy. Usiłujemy uprzętać ten cholerny pył, aby coś tutaj zasiać.

- Zasiać? Zboże?

- Oczywiście. A co ty byś siał? Ryan wyszarpnął rękę.

- Chciałbym to mieć czarno na białym. Wojna się skończyła. Zaprzestano walk. I wy nic nie wiecie o kleszczach? O typie broni noszącym taką nazwę?

Oficer zmarszczył brwi.

- Co masz na myśli?

- Mechaniczni mordercy. Roboty. Wykorzystywane jako broń. Grupa żołnierzy cofnęła się o krok.

- O czym on, u licha, gada?

- Lepiej to wytłumacz - powiedział oficer. Jego twarz przybrała raptem twardy wyraz. - O co chodzi z tymi kleszczami?

- Czy nie wynaleziono żadnej tego rodzaju broni? - zapytał Kastner. Zapadła cisza. Wreszcie jeden z żołnierzy odchrząknął.

- Chyba wiem, o co mu chodzi. Ma na myśli minę Dowlinga. Ryan zwrócił się w jego stronę.

- Co?

- To fizyk angielski. Prowadził eksperymenty z pociskami samonaprowadzającymi. Takie miny-roboty. Jednak brakowało im zdolności samoregeneracji. Tak więc rząd zarzucił projekt i zamiast

tego nasilił działalność propagandową.

- I dlatego wojna się skończyła - uzupełnił oficer. Ruszył przed siebie. - Idziemy.

Żołnierze poszli za nim i skierowali się w dół przełęczy.

- Idziecie? - Oficer przystanął, oglądając się na Ryana i Kastnera.

- Dołączymy do was później - odparł Ryan. - Musimy zebrać swój sprzęt.

- Dobrze. Obóz leży w odległości pół mili stąd. Jest tam osada zamieszкана przez ludzi wracających z księżycy.

- Z księżycy?

- Rozpoczęliśmy ewakuację na Lunę, ale teraz nie ma już takiej potrzeby. Może to i lepiej. Po diabła opuszczać Terrę?

- Dzięki za papierosy - zawołał jeden z żołnierzy. Wdrapali się na ciężarówkę, ich dowódca zasiadł za kierownicą. Samochód ruszył z miejsca i potoczył się drogą.

Ryan i Kastner odprowadzili go wzrokiem.

- Zatem nic nie zrównoważyło śmierci Schonermana - mruknął Ryan. - Całkiem nowa przeszłość...

- Ciekaw jestem, jak daleko poszły te zmiany. I czy są odczuwalne w naszych czasach.

- Możemy dowiedzieć się tylko w jeden sposób.

Kastner kiwnął głową.

- Chcę wiedzieć, i to zaraz. Im szybciej, tym lepiej. Ruszajmy. Ryan przytaknął w zamyśleniu.

- Im szybciej, tym lepiej.

Weszli do wehikułu czasu. Kastner usiadł, ściskając swoją teczkę. Ryan ustawił przyrządy sterownicze. Scena za oknem zniknęła. Ponownie znaleźli się w ruchu, mknęli w kierunku teraźniejszości.

Ryan zachowywał rezerwę.

- Nie mogę w to uwierzyć. Cała struktura przeszłości uległa zmianie. Uruchomiliśmy nowy ciąg wydarzeń, który rozszerza się poprzez każde kolejne continuum. Sunąc torem odmiennym od dotychczasowego.

- A więc kiedy wrócimy, to już nie będzie nasza teraźniejszość. Trudno przewidzieć charakter

zmian. I to wszystko za sprawą śmierci Schonermana. Nowa historia biorąca początek z jednego incydentu.

- Którym nie jest śmierć Schonermana - sprecyzował Ryan.

- Jak to?

- Nie śmierć Schonermana, lecz zniknięcie jego notatek. Przez śmierć Schonermana rząd nie uzyskał schematu, na podstawie którego mógł stworzyć sztuczny mózg. W ten sposób nigdy nie powstały kleszcze.

- Przecież to to samo.

- Czyżby?

Kastner obrzucił go pospiesznym spojrzeniem.

- Niech pan to wyjaśni.

- Śmierć Schonermana jest bez znaczenia. Decydującym czynnikiem jest niemożność wykorzystania jego notatek przez rząd. - Ryan wskazał aktówkę Kastnera. - Gdzie są owe notatki? Tutaj. Myje mamy.

Kastner skinął głową.

- To prawda.

- Możemy odwrócić sytuację, wracając do przeszłości i podrzucając notatki którejs z agencji rządowych. Schonerman się nie liczy. Liczą się wyłącznie notatki.

Dłoń Ryana powędrowała w kierunku dźwigni.

- Chwileczkę! - powiedział Kastner. - Czy nie chcemy rzucić okiem na teraźniejszość? Powinniśmy zobaczyć, w jaki sposób zmiany odbiły się na naszych czasach.

Ryan zawahał się.

- Prawda.

- Potem zadecydujemy, co chcemy robić dalej. Czy chcemy oddać papiery, czy też nie.

- Dobrze. Pojedziemy do teraźniejszości, a później podejmiemy decyzję.

Przecinające mapę przewody wróciły prawie do pozycji wyjściowej. Ryan spoglądał dłuższy czas na mapę, przytrzymując ręką dźwignię. Kastner nie wypuszczał z objęć ciężkiego skózanego pakunku spoczywającego mu na kolanach.

- Jesteśmy prawie na miejscu - oznajmił Ryan.

- W naszych czasach?

- Za chwilę. - Ryan wstał, ujmując dźwignię. - Ciekawe, co zobaczymy.

- Prawdopodobnie niewiele z tego, co znamy.

Ryan wziął głęboki oddech, czując pod palcami dotyk chłodnego metalu. Do jakiego stopnia różny będzie ich świat? Czy w ogóle zdołają cokolwiek rozpoznać? Czy też za sprawą swego czynu wyeliminowali wszystko, wśród czego obracali się do tej pory?

Uruchomili potężny ciąg wydarzeń. Falę przechodzącą przez każde kontinuum i wprowadzającą do niego zasadnicze zmiany, oddziałujące na wszystkie mające nadejść wieki. Druga część wojny nigdy nie miała miejsca. Wojna zakończyła się, nim doszło do wynalezienia kleszczy. Idea sztucznego mózgu nie znalazła zastosowania w praktyce. Najpotężniejszy aspekt wojny nie miał szansy zaistnieć. Ludzie skupili całą swoją energię na odbudowywaniu planety.

Brzęczały umieszczone wokół Ryana liczniki. Za chwilę wylądują. Jaki obraz Terry ukaże się ich oczom? Czy cokolwiek będzie takie samo?

Pięćdziesiąt Miast. Pewnie wcale ich nie będzie. Jon, jego syn, będzie cicho siedział w swoim pokoju, pogrążony w lekturze. ZKPS. Rząd. Liga wraz ze swoimi pracownikami i kancelariami, lądowiskami na dachach budynków i strażnikami. Cała skomplikowana struktura społeczna. Czy to wszystko zniknie bez śladu? Pewnie tak.

Co znajdą zamiast niej?

- Niebawem się przekonamy - mruknął Ryan.

- Jeszcze chwila. - Kastner wstał i podszedł do okna. - Muszę to zobaczyć. To powinien być zupełnie nieznan świat.

Ryan szarpnął za dźwignię. Statek podskoczył, umykając poza strumień czasowy. Kiedy wyrównywał kurs, za oknem coś obróciło się i zakotłowało. Automataczne przyrządy grawitacyjne wskoczyły na swoje miejsca. Statek sunął nad powierzchnią ziemi.

Kastner stęknął.

- Co pan tam widzi? - zapytał Ryan, regulując prędkość statku. - Co tam jest?

Kastner nie odpowiedział.

- Co pan widzi?

Po długim czasie Kastner odwrócił się od okna.

- Bardzo ciekawe. Niech pan sam zobaczy.

- Co tam jest?

Kastner usiadł powoli, podnosząc swoją teczkę.

- To otwiera drogę całkiem nowemu tokowi rozumowania.

Ryan podszedł do iluminatora i wyrzwał. Pod nimi rozciągała się Terra. Lecz w niczym niepodobna do tej, którą opuszczali.

Pola, bezkresne żółte pola. I parki. Parki oraz żółte pola. Jak okiem sięgnąć, wszędzie przetykane zielonymi kwadratami połacie żółci. I nic poza tym.

- Żadnych miast - stwierdził ochrypłym głosem Ryan.

- Nie. Nie pamięta pan? Ludzie na polach. Bądź też spacerujący po parkach, pogrążeni w dyskusji nad naturą wszechświata.

- Dokładnie to widział Jon.

- Pański syn wykazał daleko idącą precyzję.

Z twarzą nie wyrażającą żadnych uczuć Ryan powrócił do tablicy rozdzielczej. W głowie miał kompletną pustkę. Usiadł i wyregulował urządzenia do lądowania. Statek opadał coraz niżej, aż wreszcie sunął nisko nad polami. Z dołu spoglądali nań oszołomieni ludzie. Mężczyźni i kobiety w togach.

Minęli park. W dole przemknęło stado spłoszonych zwierząt. Jakiś gatunek jeleni.

Oto świat widziany przez jego syna. Oto jego wizja. Pola i parki oraz ludzie odziani w powłóczyście szaty. Spacerujący ścieżkami. Rozmawiający o naturze wszechświata.

Tamten, inny świat, już nie miał racji bytu. Liga nie istniała. Praca całego jego życia legła w gruzach. W tym świecie nie było dla niej miejsca. Jon. Jego syn. Nie ma go. Już nigdy go nie zobaczy. Jego praca, syn, wszystko, co znał, nie istniało.

- Musimy wrócić - powiedział naraz Ryan.

Kastner zamrugał.

- Słucham?

- Musimy z powrotem zawieźć notatki do kontinuum, z którego je zabraliśmy. Nie sposób dokładnie odtworzyć tej sytuacji, ale możemy oddać dokumenty w ręce rządu. To przywróci wszystkie istotne czynniki.

- Czy pan żartuje?

Ryan wstał chwiejnie i podszedł do Kastnera.

- Proszę mi oddać notatki. Sytuacja jest poważna. Trzeba niezwłocznie zacząć działać, przywrócić utracony porządek.

Kastner zrobił krok do tyłu i wyciągnął pistolet. Ryan skoczył. Uderzył ramieniem biznesmena, zbijając go z nóg. Pistolet z grzechotem potoczył się po podłodze i odbił się od ściany. Kartki rozsypały się na wszystkie strony.

- Ty cholerny głupcze! - Ryan opadł na kolana i zaczął je zbierać.

Kastner rzucił się w pogoń za pistoletem. Podniósł broń, na okrągłej twarzy widać było determinację. Ryan zauważył go kątem oka. Przez chwilę miał ochotę się roześmiać. Policzki Kastnera spurpurowiały. Szarpał się z bronią, próbując wycelować.

- Kastner, na miłość boską...

Palce małego biznesmena zacisnęły się na cynglu. Ryana zmroził strach. Zerwał się pospiesznie. Zagrzemiał huk wystrzału, płomień ogarnęły statek. Ryan uskoczył na bok, oparzony słupem ognia.

Rozrzucone na podłodze notatki Schonermana zajęły się w mgnieniu oka. Przez jedną krótką chwilę płonęły, po czym zamieniły się w popiół. W nozdrza Ryana uderzył gryzący fetor, oczy zaszczyły mu łzami.

- Przepraszam - mruknął Kastner. Odłożył pistolet na tablicę rozdzielczą. - Nie sądzi pan, że powinniśmy wylądować? Lecimy nad powierzchnią.

Ryan mechanicznie stanął za sterem. Po chwili zajął miejsce i w milczeniu przystąpił do redukcji prędkości statku.

- Zaczynam rozumieć Jona - mruknął Kastner. - Musiał być obdarzony czymś w rodzaju równoległego poczucia czasu. Świadomością istnienia innych możliwych przyszłości. W miarę posuwania się prac nad statkiem wizje przybrały na sile, prawda? Z każdym dniem stawały się coraz bardziej rzeczywiste. Tak jak i sam statek.

Ryan kiwnął głową.

- To otwiera pole do spekulacji. Mistyczne wizje średniowiecznych świętych. Być może dotyczyły innych przyszłości, innych strumieni czasowych. Wizje piekła ukazywały gorsze z możliwych światów. Wizje nieba lepsze. Nasza musi stanowić któryś ze stanów pośrednich. No i wizja wiecznego, niezmiennego świata. Może jest to świadomość beczasowości. W grę nie wchodzi inny świat, lecz właśnie ten, widziany spoza czasu. To również należy przemyśleć.

Statek wylądował na skraju jednego z parków. Kastner stanął przy oknie i popatrzył na rosnące

na zewnątrz drzewa.

- W książkach zachowanych przez moją rodzinę były obrazki przedstawiające drzewa - powiedział w zamyśleniu. - Te tutaj to drzewa pieprzowe, tamte zaś należą do gatunku wiecznie zielonych. Nie gubią liści przez calutki rok. Stąd ta nazwa.

Kastner podniósł teczkę i przycisnął ją do siebie. Skierował się do wyjścia.

- Poszukajmy jakichś ludzi, abyśmy mogli omówić pewne kwestie. Kwestie metafizyczne. - Uśmiechnął się do Ryana. - Zawsze mnie one pociągały.

KŁUSOWNICY PRZESTRZENI

- Co to za statek? - zapytał kapitan Shure, wpatrując się w monitor i zaciskając dłonie na regulatorze ostrości.

Nawigator Nelson zajrzał mu przez ramię.

- Jedną chwilę. - Chwycił aparat fotograficzny i utrwalił widniejący na monitorze obraz. Następnie puścił zdjęcie kanałem informacyjnym wiodącym do kabiny plansz i wykresów. - Proszę zachować spokój. Barnes zaraz wszystko ustali.

- Co oni tutaj robią? Czego szukają? Przecież wiedzą, że układ Syriusza jest zamknięty.

- Niech pan zwróci uwagę na wyrzuszenia. - Nelson powiódł po ekranie palcem. - To frachtowiec. Proszę spojrzeć. Przewozi towar.

- Niech pan lepiej popatrzy na to. - Shure powiększył obraz. Wizerunek statku rozszerzył się, aż wreszcie wypełnił cały monitor. - Widzi pan rząd tych wypustek?

- I co z tego?

- To działa. Lufy znajdują się równo z powierzchnią kadłuba, przystosowane do walki w przestrzeni kosmicznej. Frachtowiec, ale w pełni uzbrojony.

- Może to piraci.

- Może. - Shure bawił się mikrofonem komunikacyjnym. - Mam ochotę powiadomić Terrę.

- Po co?

- To może być zwiadowca. Nelsonowi rozbłysły oczy.

- Myśli pan, że nas szpiegują? Ale skoro jest ich więcej, to co na to nasze monitory?

- Pozostali mogą przebywać poza zasięgiem.

- Oddaleni o ponad dwa lata świetlne? Ustawiłem monitory na maksymalną czujność. Poza tym, to najlepszy sprzęt.

Nadesłana z kabiny wykresowej wiadomość wylądowała na stole. Shure otworzył ją i szybko przebiegł wzrokiem. Następnie podał kartkę Nelsonowi.

- Proszę.

Statek stanowił pierwszorzędny egzemplarz z najnowszej linii frachtowców adharańskiej produkcji. Barnes dopisał odręcznie: "Jednak nie powinien być uzbrojony. Musieli dodatkowo zamontować działa, nie należące do standardowego wyposażenia adharańskich frachtowców".

- Zatem to nie przynęta - mruknął Shure. - Tę hipotezę możemy wykluczyć. O co chodzi na tej Adharze? Czego szukałby adharański statek w obrębie układu Syriusza? Terra zamknęła ten obszar dawno temu. Muszą wiedzieć, że nie wolno im tu handlować.

- Nikt nie dysponuje szczegółowymi informacjami na temat Adharan. Brali udział w Ogólnogalaktycznej Konferencji Handlowej, to wszystko.

- Jaka to rasa?

- Pajęczaki. Typowe dla tego regionu. Wywodzą się z wielkiego rodu Murzima; stanowią wariant jego pierwotnej postaci. Przeważnie trzymają się własnego stada. Tworzą złożoną strukturę społeczną kierującą się bardzo rygorystycznymi przepisami. Grupowanie według ścisłych zasad przynależności.

- To znaczy, są insektami.

- Chyba tak. Tak jak my jesteśmy lemurami.

Shure ponownie skierował swoją uwagę na monitor. Obserwując go badawczo, zredukował powiększenie. Ekran automatycznie podążał za statkiem.

Adharański statek był ciężki i czarny, niezgrabny w porównaniu ze zwinnym krążownikiem terrańskim. Był pękaty jak dobrze odżywiona glista; jego ocienione boki przybrały niemal kulisty kształt. Kiedy sunął ku najdalej wysuniętej planecie układu Syriusza, z rzadka rozbłyskiwały umieszczone na nim światła. Leciał powoli i ostrożnie, jak gdyby po omacku wybierając drogę. Wszedł w orbitę dziesiątej planety i przystąpił do lądowania. Rakiety hamulcowe wypuściły snop czerwieni. Pękaty kadłub pożegłował w dół, opadał ku powierzchni planety.

- Lądują - mruknął Nelson.

- Świetnie. Nieruchomi będą stanowili łatwy cel.

Adharański frachtowiec spoczął na powierzchni dziesiątej planety wśród cichnącego ryku milknących silników. Osnuła go chmura uniesionych podmuchem drobin. Wylądował pomiędzy dwoma pasmami gór na ogołoconej połaci szarego piasku. Powierzchnia dziesiątej planety była całkowicie jałowa. Brakowało tu życia, atmosfery wody. Na planecie dominowały zimne, poszarzałe skały, których rozorana szczelinami, spowita cieniem powierzchnia tchnęła wrogością i smutkiem.

Naraz w adharański statek wstąpiło życie. Rozwarto na oścież włazy. Z wnętrza wysypały się małe czarne punkciki. Wkrótce było ich mnóstwo, przypominały zalewającą piasek falę. Część z nich dotarła do wzgórz, po czym rozproszyła się wśród kraterów i wierzchołków. Pozostałe przeszły dalej, gdzie zniknęły w wydłużonym cieniu.

- A niech mnie - wymamrotał Shure. - To bez sensu. O co im chodzi? Przecież dokładnie przeczesałiśmy już te planety. Nie ma tam nic, na co można by się połąsić.

- Oni mogą mieć inne potrzeby lub dysponować odmiennymi metodami.

Shure zeszywniał.

- Niech pan patrzy. Ich pojazdy wracają na statek.

Z cienia i spośród kraterów ponownie wynurzyły się czarne punkty i przez pustynię pędziły w kierunku obłego kadłuba. Otwarto włazy. Jeden po drugim pojazdy ginęły w czeluściach statku. Nadjechało kilku spóźnialskich i poszło śladem swoich poprzedników. Na powrót zatrzaśnięto włazy.

- Co, u licha, mogli tam znaleźć? - zastanawiał się Shure.

Do kabiny nawigacyjnej, pochylając głowę, wkroczył oficer do spraw łączności Barnes.

- Jeszcze tam są? Pozwólcie mi rzucić okiem. Nigdy nie widziałem adharańskiego statku.

Spoczywający na powierzchni planety adharański statek drgnął. Naraz zatrząsnął się od dziobu do rufy. Wzbił się i szybko nabierał wysokości. Obrął kurs na dziewiątą planetę. Kołował nad nią przez chwilę, lustrując jej dziobatą, pokrytą erozją powierzchnię. Puste koryta wyschniętych oceanów przywodziły na myśl gigantyczne rondle.

Upatrzawszy sobie jedno z koryt, adharański statek osiadł na powierzchni, wzbijając obłoki pyłu.

- Znowu to samo - mruknął Shure.

Otwarto włazy. Z wnętrza wynurzyły się czarne punkty i rozproszyły we wszystkich kierunkach.

Shure ze złością zacisnął zęby.

- Musimy się dowiedzieć, co oni knują. Spójrzcie tylko na nich! Dokładnie wiedzą, co robią. - Porwał mikrofon. Następnie wypuścił go z ręki. - Sami damy sobie radę. Terra nie będzie nam

potrzebna.

- Proszę nie zapominać, że jest uzbrojony.

- Złapiemy go podczas lądowania. Zatrzymują się po kolei na wszystkich planetach. Dojdziemy z nimi aż do czwartej. - Shure gwałtownie przysunął wykres. - Kiedy wylądują na czwartej planecie, będziemy już tam na nich czekać.

- Mogą wszcząć walkę.

- Możliwe. Musimy jednak dowiedzieć się, co ładują - cokolwiek to jest, należy do nas.

Czwarta planeta układu Syriusza miała atmosferę i pewne ilości wody. Shure osadził krążownik pośród ruin od dawna opuszczonego starego miasta.

Statek adharański jeszcze się nie pojawił. Shure badawczo zlustrował niebo i podniósł główny właz. On, Barnes i Nelson uzbrojeni w karabiny typu slem ostrożnie wyszli na zewnątrz. Właz zatrzasnął się za nimi i krążownik wystartował.

Trzymając w pogotowiu broń, odprowadzili go wzrokiem. Powietrze było chłodne i rześkie. Czuli, jak owiewa ich ciała w kombinezonach ciśnieniowych.

Barnes podkręcił temperaturę swojego kombinezonu.

- Dla mnie za zimno.

- To nam uświadamia, że nadal jesteśmy Terranami, mimo iż znajdujemy się od domu o całe lata świetlne - rzekł Nelson.

- Oto zarys sytuacji - powiedział Shure. - Nie możemy ich wysadzić w powietrze. Chodzi nam o ładunek. Jeżeli ich rozwalimy, on również ulegnie zniszczeniu.

- Jaki więc mamy wybór?

- Zestrzelimy na nich chmurę oparów.

- Opary? Ale...

- Kapitanie - rzekł Nelson. - Nie możemy skorzystać z chmury oparów. Dopóki chmura nie znieruchomieje, nie będziemy mogli do nich podejść.

- Jest wiatr, opary rozproszą się bardzo szybko. Tak czy inaczej, to nasze jedyne wyjście. Musimy zaryzykować. Jak tylko się pojawi bądźcie gotowi do otwarcia ognia.

- A co zrobimy, jeśli chmura przeleci obok nich?

- Wówczas pozostanie nam tylko walka. - Shure bacznie spoglądał w niebo. - To chyba oni. Chodźmy.

Pobiegli w stronę pagórka utworzonego ze stert nagromadzonych skał oraz szczątków kolumn i wież przemieszanych z rumoszami i gruzem.

- To wystarczy. - Shure ukląkł, przyciskając do siebie broń. - Nadlatują.

Nad nimi pojawił się adharański statek. Szykował się do lądowania. Wśród kłębow pyłu i wycia silników opada. Z łoskotem dotknął ziemi, lekko podskoczył i wreszcie znieruchomiał.

Shure chwycił nadajnik.

- Teraz.

W górze ukazał się krążownik i zatoczył łuk nad adharańskim statkiem. Turbiny ciśnieniowe krążownika wyemitowały biało-błękitny obłok, który opadł wprost na statek, zakotłował się i wessał go.

Powierzchnia adharańskiego kadłuba rozjaśniła się na moment. Następnie, pod wpływem żrącego działania obłoku zaczęła kurczyć się w sobie i zapadać. Terrański krążownik przemknął obok, dopełniając dzieła, po czym wzbił się i zniknął im z oczu.

Wyłaniające się z adharańskiego statku postacie zaczęły zeskakiwać na ziemię. Długonogie i skoczne, rozbiegały się we wszystkie strony. Większość z nich w podnieceniu wskakiwała na statek i ginęła w chmurze oparów, wiedziona chęcią ratowania pozostawionego tam sprzętu.

- Rozpylają.

Pojawiło się więcej Adharan, niczym tknięci obłędem skakali jak szaleni w górę i dół, niektórzy wskakiwali na statek, inni bez widocznego celu krążyli wokół.

- Zupełnie jakbyś nadepnął na mrowisko - mruknął Barnes.

Kadłub adharańskiego statku oblepiony był zawziętymi Adharanami, którzy coś rozpylając, usiłowali zahamować postęp korozji. Nad nimi ponownie zamajaczył terrański krążownik. Błyskając w świetle rzucanym przez Syriusza, przybierał coraz większe rozmiary, przechodząc w ostro zakończony obiekt o kształcie łyzy. Działa na frachtowcu desperacko poderwały się, usiłując namierzyć mknący krążownik.

- Zrzucić bomby - rzucił w słuchawkę Shure. - Ale nie bezpośrednio na nich. Nie chcę, aby ładunek ucierpiał.

Na krążowniku otwarto wyrzutnię pocisków. Wypadły z niej dwie bomby i zatoczywszy łuk w powietrzu, spadły po obu stronach nieruchomego statku. Frachtowiec zniknął w chmurze uniesionego kurzu i kamieni. Czarny kadłub zadygotał, Adharanie zeskoczyli na ziemię. Od strony dział poleciała seria niecelnych strzałów, a krążownik przeleciał obok i zniknął.

- Nie mają szans - mruknął Nelson. - Nie mogą wystartować, dopóki nie spryskają całego kadłuba.

Większość Adharan zaczęła opuszczać statek i rozpraszać się po okolicy.

- Już wkrótce - oznajmił Shure. Wstał i wyszedł zza ruin. - Idziemy.

Znad Adharan uniosła się biała raca i obsypała iskrami niebo. Zaskoczeni atakiem przybysze bezradnie miotali się dokoła. Raca była umownym znakiem kapitulacji. Nad frachtowcem ponownie zakołował krążownik oczekujący rozkazów Shure'a.

- Patrzcie na nich - rzekł Barnes. - Owady, owady wielkości ludzi.

- Chodźcie! - zawołał niecierpliwie Shure. - Nie mogę się doczekać, aby zobaczyć, co jest w środku.

Przywódca adharański wyszedł im naprzeciw. Wyraźnie oszołomiony napaścią ruszył w ich kierunku.

Nelson, Shure i Barnes popatrzyli na niego zaszokowani.

- Chryste - mruknął Barnes. - A więc tak wyglądają. Zamknięte w czarnej chitynowej skorupie ciało Adharanina liczyło prawie pięć stóp wzrostu. Stwór stał na czterech smukłych nogach; dodatkowa para powiewała niepewnie w połowie wysokości ciała. Nosił luźny pas, do którego przytroczona była broń i rozmaite przybory. Miał fasetkowe oczy. Usta stanowiły wąską szczelinę u podstawy wydłużonej czaszki. Uszu nie dostrzegli.

Za plecami przywódcy stała niepewnie grupka członków załogi z na wpeł uniesioną bronią. Machając czułkami, przywódca wyrzucił z siebie serię pospiesznych kliknięć. Adharanie opuścili broń.

- W jaki sposób należy komunikować się z tą rasą? - zapytał Nelsona Barnes.

Shure zrobił krok do przodu.

- To bez znaczenia. Nie mamy im nic do powiedzenia. Wiedzą, że ich pobyt tutaj jest nielegalny. Interesuje nas wyłącznie ładunek.

Wyminął adharańskiego przywódcę. Oddział Adharan ustąpił mu z drogi. Wszedł na statek, Nelson i Barnes podążali tuż za nim.

Wnętrze statku cuchnęło i ociekało szlamem. Korytarze były wąskie i mroczne niczym długie tunele, podłoga śliska. Kilku członków załogi przemknęło w ciemnościach, nerwowo powiewając czułkami i chwytnikami. Shure oświetlił latarką jedno z przejść.

- Tędy. To chyba główny korytarz.

Przywódca adharański kroczył tuż za nimi. Shure zignorował go. Na zewnątrz, w pobliżu wylądował krążownik. Nelson widział stojących wszędzie wokół żołnierzy terrańskich.

Natrafili na zamykające korytarz metalowe drzwi. Shure wskazał je, nakazując gestem otwarcie.

- Otwieraj.

Adharański przywódca cofnął się o krok, nie kwapiąc się z wykonaniem polecenia. Nadbiegło kilku Adharan z bronią.

- Jeszcze mogą wszcząć walkę - powiedział spokojnie Nelson.

Shure wycelował w drzwi swojego slemą.

- Będę musiał je wysadzić.

Adharanie kliknęli coś w podnieceniu. Żaden z nich nie podszedł do drzwi.

- Jak sobie chcecie - rzekł ponuro Shure. Wystrzelił. Drzwi roztopiły się i zamieniły w dymiące szczątki. Powstały otwór umożliwił wejście. Adharanie biegali dokoła, klikając jeden do drugiego. Większość z nich opuściła kadłub i weszła do środka, skupiając się wokół trzech Terran.

- Za mną - zakomenderował Shure, przechodząc przez dziurę. Nelson i Barnes poszli w jego ślady ze slemami gotowymi do strzału.

Korytarz prowadził w dół. Otaczało ich ciężkie, gęste powietrze. Adharanie zwawo pchali się za nimi.

- Z powrotem. - Shure obrócił się na pięcie, unosząc broń. Obcy przystanęli. - Zostać tu. Idziemy.

Terranie wzięli zakręt i znaleźli się w ładowni. Shure ruszył do przodu, ostrożnie stawiając stopy. Kilku adharańskich wartowników stało z wyciągniętą bronią.

- Z drogi. - Shure machnął slemem. Wartownicy z ociąganiem ustąpili na boki. - Jazda!

Strażnicy zwolnili przejście. Shure ruszył naprzód.

I stanął jak wryty.

Na wprost nich spoczywał ładunek frachtowca. Wnętrze dolnego pokładu do połowy wypełnione było pieczołowicie ułożonymi mlecznobiałymi kulami, klejnotami o kształcie gigantycznych pereł. Było tego tysiące, jak okiem sięgnąć. Nieprzeliczone sterty ginęły w mrocznych zakątkach statku. Wszystkie promieniowały delikatnym blaskiem, poświatą, która rozświetlała

przestronne wnętrze frachtowca.

- Niesamowite! - wymamrotał Shure.

- Nic dziwnego, że usiłowali się tu wślizgnąć bez pozwolenia. - Wytrzeszczając oczy, Barnes głęboko zaczerpnął tchu. - Chyba postąpiłbym tak samo. Tylko spójrzcie!

- Wielkie, prawda? - rzucił Nelson.

Popatrzyli po sobie.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem - powiedział oszołomiony Shure. Wartownicy spoglądali na nich czujnie, trzymając broń w pogotowiu. Shure podszedł do pierwszego rzędu ułożonych z matematyczną precyzją klejnotów. - To nieprawdopodobne. Zupełnie jak magazyn wypełniony po brzegi gałkami od drzwi.

- Kiedyś może stanowiły własność Adharan - rzekł z namysłem Nelson. - Może zostały ukradzione przez budowniczych miast układu Syriusza. A teraz chcą je odzyskać.

- Ciekawe - odezwał się Barnes. - To tłumaczyłoby fakt, dlaczego odnalezienie ich przyszło Adharanom z taką łatwością. Musieli mieć wykresy lub mapy.

Shure odchrząknął.

- Tak czy inaczej, obecnie są nasze. Wszystko, co znajduje się w układzie Syriusza, należy do Terry. Ten układ został podpisany, przypieczętowany i zatwierdzony.

- Ale skoro skradziono je Adharanom...

- Nie powinni byli wyrazić zgody na traktaty wewnątrzukładowe. Mają własne układy. Ten stanowi własność Terry. - Shure wyciągnął rękę po jeden z klejnotów. - Ciekawe, jaki jest w dotyku.

- Ostrożnie, kapitanie. Może być radioaktywny.

Shure dotknął klejnotu.

Adharanie pochwycili go i odciągnęli. Shure szarpnął się. Jeden z napastników chwycił slemą i wyrwał mu go z ręki.

Barnes wystrzelił. Grupa przybyszów rozplynęła się w powietrzu. Nelson przyklęknął, celując w wylot korytarza, przy którym kłębili się Adharanie. Kilku odpowiedziało wystrzałami. Nad głową Nelsona przeleciały cienkie wiązki żaru.

- Nie dostaną nas - wydusił Barnes. - Ze względu na kosztowności boją się strzelać.

Obcy wycofywali się z ładowni z powrotem na korytarz. Uzbrojone jednostki zostały przywołane przez dowódcę.

Shure porwał karabin Nelsona i powalił wystrzałem grupkę przeciwników. Adharanie zamykali wyjście. Dosuwali ciężkie płyty awaryjne i pospiesznie łączyli je ze sobą.

- Wypalić dziurę - warknął Shure. Skierował karabin na ścianę statku. - Próbują nas tutaj uwięzić.

Barnes poszedł za jego przykładem. Dwie wiązki promieni slema uderzyły w ścianę statku. Przez wypalony okrągły otwór wyjrzeni na zewnątrz.

Na zewnątrz pomiędzy żołnierzami terrańskimi i Adharanami rozpoczęła się regularna bitwa. Obcy w podskokach przystąpili do odwrotu i uciekali, strzelając za siebie. Niektórzy wskakiwali na statek. Inni, porzuciwszy broń, ratowali się bezładną ucieczką. Biegali dokoła bezradni, skacząc na wszystkie strony i wymieniając hałaśliwe kliknięcia.

Naraz krążownik ożył, szykował do strzału działa.

- Nie strzelać - ostrzegł przez nadajnik Shure. - Zostawcie ich statek w spokoju. To nie jest konieczne.

- Koniec z nimi - stęknął Nelson, zeskakując na ziemię. Shure i Barnes podążyli za nim. - Nie mają szans. Kompletnie nie znają się na walce.

Shure przywołał gestem grupkę terrańskich żołnierzy.

- Tutaj! Szybciej, do cholery.

Mlecznobiałe klejnoty gęsto sypały się na ziemię przez powstałą w kadłubie dziurę. Część mocujących ścianę przeseł uległa zniszczeniu. Kaskady pereł leciały im pod nogi, utrudniając chodzenie.

Barnes podniósł jedną z nich. Oświetliła blado jego obciążoną rękawiczką dłoń, wywołując mrowienie w palcach. Uniósł ją do światła. Była nieprzejrzysta; w jej wnętrzu dryfowały jakiegś mgliste zarysy, kołysząc się tam i z powrotem. Kula pulsowała i świeciła, jak gdyby drzemało w niej życie.

Nelson uśmiechnął się do niego.

- To ci dopiero coś, no nie?

- Cudowna. - Barnes podniósł kolejną. Od strony kadłuba jakiś Adharanin desperacko strzelał w jego kierunku. - Popatrz tylko na nie. Muszą ich być tysiące.

- Sprowadzimy tu statek towarowy i załadujemy wszystkie - oznajmił Shure. - Nie zaznam spokoju, dopóki nie znajdą się na Terze.

Na ogół już nie strzelano. Terrańscy żołnierze schwytali ostatnich Adharan.

- Co z nimi? - zapytał Nelson.

Shure nie odpowiedział. Spoglądał na klejnot, obracając go na wszystkie strony. - Spójrzcie na to - wymamrotał. - Zmienia kolor w zależności od kąta, pod jakim się patrzy. Czy kiedykolwiek widzieliście coś podobnego?

Na powierzchni planety osiadł wielki terrański frachtowiec. Otwarto drzwi ładowni i na zewnątrz wytoczyły się pękate ciężarówki, które zaraz ruszyły w kierunku adharańskiego statku. Ustawiono rampy i koparki przygotowały się do pracy.

- Zbierzcie je - krzyknął Silvanus Fry, podchodząc do kapitana Shure'a. Zarządca Przedsiębiorstw Terrańskich wytarł czoło czerwoną chustką. - Zdumiewający łup, kapitanie. Cóż za znalezisko. - Wyciągnął wilgotną dłoń i wymienili uściski.

- Nie mogę pojąć, jakim cudem je przeoczyliśmy - powiedział Shure. - Adharanie po prostu zjawili się i je pozbiali. Na naszych oczach przelatywali z jednej planety na drugą, jak jakieś pszczoły. Nie wiem, dlaczego nasze ekipy ich nie znalazły.

Fry wzruszył ramionami.

- A co to ma za znaczenie? - Obejrzał jeden klejnot, podrzucając go w dłoni. - Teraz każda kobieta na Terze przyozdobi nim swoją szyję - bądź też będzie chciała to uczynić. Za pół roku nie będą sobie wyobrażały życia bez nich. Tacy są ludzie, kapitanie. - Wsunął klejnot do swojej teczki i zatrzasnął ją. - Wezmę dla żony.

Jeden z żołnierzy przyprowadził adharańskiego przywódcę. Ten milczał uparcie. Ocalałym Adharanom odebrano broń i pozwolono wrócić do pracy przy statku. Załatali kadłub i usunęli większość skutków korozji.

- Pozwalamy wam odlecieć - powiedział do przywódcy Shure. - Moglibyśmy sądzić was jako piratów i rozstrzelać, ale to nie miałoby większego sensu. Zamiast tego poinformujcie wasz rząd, aby od tej pory trzymał łapy z dala od układu Syriusza.

- On pana nie rozumie - łagodnie zwrócił uwagę Barnes.

- Wiem. To czysta formalność. Ogólne przesłanie powinno do niego dotrzeć.

Przywódca adharański czekał w milczeniu.

- To wszystko. - Shure niecierpliwie machnął ręką w stronę adharańskiego statku. - Idź już. Zabieraj się. I nigdy tu nie wracaj.

Żołnierz uwolnił Adharanina. Ten z wolna ruszył w kierunku statku i niebawem zniknął w jego

wnętrzu. Reperujący kadłub Adharanie zebrali sprzęt i podążyli za dowódcą.

Zamknięto włazy. Statek zadrzał, jego silniki z rykiem obudziły się do życia. Ociężale poderwał się i pomknął w przestrzeń kosmiczną.

Shure spoglądał za nim, dopóki nie zniknął mu z oczu.

- I po sprawie. - Wraz z Frym dziarskim krokiem skierowali się ku krążownikowi.

- Sądzi pan, że klejnoty wzbudzą zainteresowanie na Terze?

- Naturalnie. Czy ma pan co do tego wątpliwości?

- Nie. - Shure pogрузzył się w myślach. - Mieli dostęp do pięciu spośród dziesięciu planet. Na pozostałych powinniśmy znaleźć więcej. Po dostarczeniu pierwszej partii na Terrę niezwłocznie przystąpimy do pracy. Skoro Adharanom się powiodło, nam też powinno.

Przysłonięte okularami oczy Fry'ego zaślniły.

- Doskonale. Nie oczekiwałem, że będzie więcej.

- Ależ tak. - Shure, marszcząc brwi, potarł szczękę. - Przynajmniej powinno być.

- Co się stało?

- Nie mogę pojąć, dlaczego my ich nie znaleźliśmy.

Fry poklepał go po plecach.

- Proszę się tym nie przejmować!

Shure z namysłem kiwnął głową.

- Nie rozumiem jednak, dlaczego sami nie natrafiliśmy na ich ślad. Czy uważa pan, że to o czymś świadczy?

Adharański przywódca zasiadł na wprost ekranu kontrolnego i uruchomił swój obwód komunikacyjny.

Połączył się z bazą drugiej planety układu adharańskiego. Uniósł do szyi stożek dźwiękowy.

- Mieliśmy pecha.

- Co się stało?

- Terranie zaatakowali nas i przejęli cały ładunek.

- Ile jeszcze mieliście na pokładzie?
- Połowę. Byliśmy tylko na pięciu planetach.
- To rzeczywiście pech. Czy zabrali ładunek na Terrę?
- Chyba tak.

Przez chwilę panowała cisza.

- Jak ciepło jest na Terze?
- Przypuszczam, że raczej ciepło.
- Może wszystko potoczy się jak należy. Wprawdzie nie braliśmy pod uwagę wyklucia na Terze, no ale...

- Nie podoba mi się pomysł, że Terranie mają mieć lwią część naszego przyszłego pokolenia. Przykro mi, że dystrybucja zakończyła się na tym etapie.

- Nic się nie martw. Wniesiemy petycję do Matki z prośbą o uzupełnienie niedoborów.

- Ale na co Terranom nasze jaja? Wyklucie narobi sporo zamieszania. Nie rozumiem ich. Umysły terrańskie są doprawdy nieodgadnione. Przechodzą mnie dreszcze na samą myśl o tym, co się stanie, kiedy zaczną się wylęg. A na tak ciepłej i wilgotnej planecie rychło możemy się tego doczekać...

POTOMSTWO

Ed Doyle w pośpiechu zatrzymał jakiś samochód, machnął pięćdziesięcioma kredytami przed obliczem mechanicznego kierowcy i otarł zarumienioną twarz czerwoną chustką. Spocony, rozpiął kołnierzyk i przez całą drogę do szpitala bezustannie przelatywał ślinę i nerwowo oblizywał usta.

Samochód przyhamował przed wielkim, przykrytym białą kopułą budynkiem szpitala. Ed wyskoczył i sadząc po trzy schody naraz, przepchnął się przez tłum gości i rekonwalescentów stojących na przestronnym tarasie. Pędem skierował się ku drzwiom i ku zdumieniu sanitariuszy i pochłoniętych swoimi sprawami pracowników wpadł do holu.

- Gdzie? - zapytał zdyszany, stojąc na rozstawionych nogach, zaciskając pięści i tocząc wokół obłąkanym spojrzeniem. Z jego piersi dobywał się charczący niczym u zwierzęcia oddech. Wszyscy popatrzyli na niego, przerywając swoje zajęcia. - Gdzie? - powoli pytanie Ed. - Gdzie ona jest? Gdzie oni są?

Szczerliwym trafem Janet urodziła właśnie tego dnia. Proxima Centauri położona była daleko od Terry, a transport pozostawiał wiele do życzenia. Spodziewając się narodzin dziecka, Ed opuścił

Proxime kilka tygodni wcześniej. Dopiero co znalazł się w mieście. Kiedy ładował walizkę na taśmociąg bagażowy na stacji, wręczono mu kartkę z wiadomością: “Szpital Centralny Los Angeles. Natychmiast”.

Ed nie zwlekał ani chwili. W biegu nie odmówił sobie przyjemności stwierdzenia, że wybierając ten dzień, utrafił w sedno. Podobnego uczucia samozadowolenia doświadczył już przedtem, w trakcie prowadzonych przez lata interesów w “koloniach”, na granicy, na obrzeżach cywilizacji terrańskiej, gdzie ulice nadal oświetlano elektrycznymi latarniami, a drzwi otwierało się ręcznie.

Do tego z pewnością trudno mu będzie przywyknąć. Ogarnięty nagłym zakłopotaniem odwrócił się w stronę drzwi. Otwarte przez niego z rozmachem, teraz powoli wracały na miejsce. Uspokoił się nieco, schował chustkę do kieszeni. Pracownicy wrócili do swoich zajęć. Jeden z członków obsługi, późny model robota, zwrócił ku Edowi swoją przysadzistą sylwetkę.

Wprawnie przekartkował zapisy danych, z uwagą obserwując purpurową twarz Eda fotokomórkami oczu.

- Czy można spytać, kogo pan szuka, sir? Kogo chciałby pan znaleźć?

- Moją żonę.

- Jej nazwisko, sir?

- Janet. Janet Doyle. Właśnie urodziła.

Robot przejrzał swoje notatki.

- Tędy, sir. - Pożegłował wzdłuż korytarza.

Ed nerwowo ruszył za nim.

- Czy wszystko w porządku? Przybyłem na czas? - Poczł kolejny przyływ niepokoju.

- Pańska żona czuje się dobrze, sir. - Na znak metalowego ramienia boczne drzwi się rozsunęły.

- Tutaj, sir.

Przed mahoniowym biurkiem, skrzyżowawszy smukłe nogi, siedziała pochłonięta rozmową Janet w szykownym niebieskim kostiumie i z papierosem pomiędzy palcami. Po drugiej stronie biurka siedział w milczeniu elegancko ubrany lekarz.

- Janet! - zawołał Ed, przestępując próg.

- Cześć, Ed. - Podniosła na niego spojrzenie. - Dopiero przyszedłeś?

- Pewnie. Czy... czy już po wszystkim? Czy ty... to znaczy, czy to już się stało?

Janet wybuchnęła śmiechem, połyskując białymi zębami.

- Naturalnie. Chodź tu i usiądź. To doktor Bish.

- Dzień dobry, doktorze. - Ed nerwowo usiadł naprzeciwko obojga. - Zatem już po wszystkim?

- Już po wszystkim - oznajmił doktor Bish piskliwym, mechanicznym głosem. Ed, zdumiony zdał sobie sprawę, że lekarz był robotem. Robotem najwyższej klasy, wykonanym na podobieństwo człowieka, a nie kolejnym z grupy zwykłych, obdarzonych metalowymi kończynami robotników. To wprowadziło go w błąd - zbyt wiele czasu spędził poza domem. Doktor Bish wydawał się pulchny i dobrze odżywiony, o łagodnych rysach i z okularami na nosie. Miał na sobie garnitur w jodełkę i krawat z brylantową szpilką. Starannie wypielęgnowane paznokcie i równo przyczesane czarne włosy.

Lecz jego głos go zdradził. Nigdy nie potrafili nadać swym głosom prawdziwie ludzkiego brzmienia. Sprężone powietrze i oparty na wirującym dysku układ najwyraźniej nie potrafiły sprostać temu zadaniu. Wyjawszy ten mankament, reszta była bardzo przekonująca.

- Mniemam, że przebywał pan niedaleko Proximy, panie Doyle - powiedział uprzejmie doktor Bish.

Ed przytaknął.

- To daleko stąd, prawda? Nigdy tam nie byłem. A zawsze chciałem. Czy to prawda, że szykują się do przejścia Syriusza?

- Niech pan posłucha, doktorze...

- Miejże cierpliwość, Ed. - Janet zgasiła papierosa, rzucając mu pełne nagany spojrzenie. Nie zmieniła się w ciągu pół roku. Drobna, blada twarz, czerwone usta, oczy jak chłodne, niebieskie kamyki. I teraz ponownie odzyskała nienaganną figurę. - Zaraz go przyniosą. To potrwa kilka minut. Muszą go umyć, zakropić mu oczy i przeprowadzić odczyt fal mózgowych.

- Go? A więc to chłopiec?

- Oczywiście. Nie pamiętasz? Byłeś ze mną, kiedy przyjmowałam zastrzyki. Wtedy podjęliśmy decyzję. Chyba nie zmieniłeś zdania?

- Za późno na zmianę decyzji, panie Doyle - zabrzmiał wysoki, opanowany głos doktora Bisha. - Pańska żona postanowiła dać mu na imię Peter.

- Peter. - Z lekka oszołomiony Ed kiwnął głową. - Rzeczywiście. Podjęliśmy decyzję, prawda? Peter. - Powtarzał w myślach imię. - Tak. Świetnie. Podoba mi się.

Naraz ściana stała się przejrzysta. Ed obrócił się szybko. Zagłądali do rześście oświetlonej sali, wypełnionej szpitalnym sprzętem i ubranymi na biało robotami. W ich kierunku podążał jeden z robotów, pchając przed sobą wózek, na którym spoczywało duże metalowe naczynie.

Ed oddychał pospiesznie. Poczuł zawrót głowy. Nie odrywając wzroku od metalowego naczynia, podszedł do ściany.

Doktor Bish wstał.

- Czy pani też chce go zobaczyć, pani Doyle?

- Ależ tak. - Janet stanęła obok Eda. Spoglądała krytycznie, z założonymi rękami.

Na znak doktora Bisha robot wyjął z naczynia drucianą tacę, trzymając uchwyty magnetycznymi chwytnikami. Na tacy leżał ociekający wodą po kąpieli Peter Doyle i wytrzeszczał ze zdumienia oczy. Wyjąwszy kępkę włosów na czubku głowy, był cały różowy i miał ogromne błękitne oczy. Mały, pomarszczony i bezzębny niczym wiekowy mędrzec.

- A niech mnie - powiedział Ed.

Doktor Bish wykonał kolejny ruch ręką. Ściana rozsunęła się i robot wkroczył do gabinetu, trzymając przed sobą ociekającą tacę. Doktor Bish wziął Petera na ręce i podniósł go celem oględzin. Obracał go na boki, przyglądając mu się ze wszystkich stron.

- Dobrze wygląda - osądził wreszcie.

- Jak brzmi rezultat odczytu fal? - zapytała Janet.

- Wynik jest zadowalający. Wykazuje wybitne skłonności. To nader obiecujące. Wysoko rozwinięte... - Lekarz urwał. - O co chodzi, panie Doyle?

Ed wyciągnął do niego ręce.

- Proszę mi go podać, doktorze. Chcę go potrzymać. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Zobaczmy, ile waży. Mały to on nie jest.

Doktor Bish w osłupieniu otworzył usta. Razem z Janet utkwili w Edzie zdumione spojrzenia.

- Ed! - rzuciła ostro Janet. - Co się z tobą dzieje?

- Na miłość boską, panie Doyle - mruknął lekarz.

Ed zamrugał oczami.

- Słucham?

- Obawiałem się, że to wpadnie panu do głowy. - Doktor Bish pospiesznie zwrócił Petera pomocnikowi. Ten natychmiast wyniósł dziecko z pokoju i umieścił w metalowym naczyniu. Robot wraz z wózkiem zniknęli i ściana z hałasem zasunęła się na miejsce.

Janet gniewnie chwyciła Eda za ramię.

- Chryste, Ed! Czyś ty oszalał? Przestań. Chodźmy stąd, nim znów coś wymyślisz.

- Ale...

- Idziemy. - Janet posłała lekarzowi nerwowy uśmiech. - Musimy uciekać, doktorze. Ogromne dzięki za wszystko. Niech pan nie zwraca na niego uwagi. Tak długo przebywał z dala od domu.

- Rozumiem - odparł doktor Bish. Odzyskał swoją niewzruszoną postawę. - Ufam, że niebawem się pani odezwie, pani Doyle.

Janet wypchnęła Eda na korytarz.

- Ed, co się z tobą dzieje? W życiu nie czułam się tak zakłopotana. - Na jej policzkach widniały rumieńce. - Miałabym ochotę dać ci kopniaka.

- Ale co takiego...

- Dobrze wiesz, że nie możemy go dotykać. Co ty, chcesz zrujnować całe jego życie?

- Ale przecież...

- Chodźmy. - Wyszli ze szpitala prosto na taras. Spłynęły na nich ciepłe promienie słońca. - Trudno powiedzieć, ileś szkody narobił. Może już został beznadziejnie wypaczony. Jeśli wyrośnie taki... taki podatny na emocje i neurozy, będzie to wyłącznie twoja zasługa.

Naraz Ed przypomniał sobie. Zmarkotniał.

- Racja, zapomniałem. Tylko roboty mają dostęp do dzieci. Przepraszam, Jan. Poniosło mnie. Mam nadzieję, że nie zrobiłem nic, czego nie można by naprawić.

- Jak mogłeś zapomnieć?

- Na Proximie wszystko wygląda zupełnie inaczej. - Strapiony i zdruzgotany Ed pomachał na taksówkę. Kierowca zatrzymał się tuż przed nimi. - Jan, cholernie mi przykro. Mówię poważnie. Byłem taki przejęty. Chodźmy na kawę i porozmawiajmy. Chcę wiedzieć, co powiedział lekarz.

Ed zamówił filiżankę kawy, a Janet kieliszek brandy z lodem. Wyjąwszy mdłe światło sączące się z dzielącego ich stołu, Nymphite Room pogrążony był w całkowitej ciemności. Stół emitował osnuwającą wszystko bladą poświatę na pozór pozbawioną źródła. Mechaniczna kelnerka krążyła tam i z powrotem, roznosząc na tacy drinki. Cicho grała muzyka.

- Mów dalej - poprosił Ed.

- Dalej? - Janet zsunęła zakiet i powiesiła go na oparciu krzesła. W bladym świetle jej piersi delikatnie załśniły. - Niewiele jest do dodania. Wszystko przebiegło jak należy. To nie trwało długo. Większość czasu przegadałam z doktorem Bishem.

- Cieszę się, że przyjechałem.

- Jak minęła podróż?

- W porządku.

- Czy są jakieś widoki na poprawienie komunikacji? Czy nadal trwa tak długo jak kiedyś?

- Bez większych zmian.

- Nie rozumiem, co cię tam ciągnie. Tamto miejsce jest takie... takie odcięte od świata. Jakie masz z tego korzyści? Czy rzeczywiście istnieje aż takie zapotrzebowanie na urządzenia hydrauliczne?

- Potrzebują ich. W obrębie regionu granicznego wszyscy potrzebują ulepszeń. - Ed wykonał nieokreślony ruch ręką. - Co mówił o Peterze? Jaki on będzie? Potrafi to określić? Trochę chyba na to za wcześnie.

- Właśnie miał zamiar mi powiedzieć, kiedy tobie odbiło. Po powrocie zatelefonuję do niego. Odczyt fal powinien być bez zarzutu. Ostatecznie dziecko wywodzi się z najlepszego gatunkowo kręgu.

Ed odchrząknął.

- Przynajmniej z twojej strony.

- Jak długo tu zostaniesz?

- Nie wiem. Niedługo. Muszę wracać. Nim wyjadę, chciałbym znów go zobaczyć. - Z nadzieją popatrzył na żonę. - Myślisz, że mogę?

- Chyba tak.

- Jak długo będzie musiał tam zostać?

- W szpitalu? Niedługo. Kilka dni. Ed zawahał się.

- W sumie nie miałem na myśli szpitala. Chodziło mi o to, jak długo będzie musiał zostać z nimi. Kiedy nam go oddadzą? Kiedy będzie mógł zamieszkać w domu?

Zapadła cisza. Janet dopiła brandy. Odchyliła się na krześle i zapaliła papierosa. Dym popłynął w kierunku Eda, łącząc się z bladym światłem.

- Ed, ty chyba nadal nie rozumiesz. Tak długo cię nie było. Od czasów twojego dzieciństwa nastąpiło wiele zmian. Nowe metody, nowe technologie. Odkryli tyle rzeczy, o których wcześniej nie mieli pojęcia. Czynią ogromne postępy. Już oni wiedzą, co robią. Prowadzą metodyczne badania nad postępowaniem z dziećmi podczas okresu dorastania. Rozwój określonych postaw. Szkolenie. -

Obdarzyła Eda promiennym uśmiechem. - Mnóstwo czytałam na ten temat.

- Zatem kiedy zamieszka z nami?

- Za kilka dni opuści szpital. Przeniosą go do dziecięcego centrum prowadzenia, gdzie zostanie poddany testom i oględzinom. Dzięki temu określą jego umiejętności i utajone talenty, by jego rozwój mógł podążyć odpowiednim torem.

- A potem?

- Potem wstąpi do odpowiedniego wydziału edukacyjnego, dzięki czemu otrzyma właściwe przeszkolenie. Wiesz, Ed, czuję, że on naprawdę będzie kimś! Wnioskuje to na podstawie miny doktora Bisha. Kiedy weszłam, właśnie studiował odczyty. Miał na twarzy dziwny wyraz. Jak by go tu określić? - Szukała odpowiedniego słowa. - No, prawie zachłanny. Był prawdziwie przejęty. Zawsze tacy są, jeśli chodzi o ich pracę. On...

- Mówiąc o nim, nie powinnaś używać rodzaju męskiego.

- No wiesz, Ed! Co cię napadło?

- Nic. - Ed posępnie spuścił wzrok. - Mów dalej.

- Poczynią wszelkie wysiłki, aby rozwój Petera przebiegał we właściwym kierunku. Przez cały czas jego pobytu przeprowadzane są testy umiejętnościowe. Następnie, w wieku około dziewięciu lat, zostanie przeniesiony do...

- Dziewięciu! Dziewięciu lat?

- Oczywiście.

- Ale kiedy wróci do nas?

- Ed, sądziłam, że wiesz. Czy naprawdę muszę wyłuszczyć ci wszystko krok po kroku?

- Boże, Janet! Przecież nie możemy czekać dziewięć lat! - Ed wyprostował się gwałtownie. - W życiu o czymś takim nie słyszałem. Dziewięć lat? Przecież do tego czasu będzie prawie dorosły.

- W tym sęk. - Janet pochyliła się ku niemu, opierając na stole nagi łokieć. - Czas dorastania musi spędzić z nimi, a nie z nami. Później, kiedy już dorośnie, kiedy utraci swoją plastyczność, wtedy będziemy mogli nacieszyć się nim do woli.

- Później? Kiedy ukończy osiemnaście lat? - Ed zerwał się na równe nogi, odpychając krzesło. - Jadę tam i zabieram go.

- Siadaj, Ed. - Janet spokojnie podniosła na niego wzrok, przerzucając od niechcienia rękę przez oparcie krzesła. - Siadaj i dla odmiany zachowuj się jak dorosły.

- Czy to dla ciebie nic nie znaczy? Nie dbasz o to?

- Oczywiście, że dbam. - Janet wzruszyła ramionami. - Ale ta procedura jest konieczna. Inaczej dziecko nie rozwinie się we właściwy sposób. To dla jego dobra. Nie dla naszego. Nie istnieje po to, by nam dogodzić. Wolałbyś, aby wzrastał wśród sprzeczności?

Ed odsunął się od stołu.

- Do zobaczenia.

- Dokąd idziesz?

- Idę się przejść. Nie znoszę podobnych miejsc. Denerwują mnie. Na razie. - Ed podążył w kierunku wyjścia. Drzwi otworzyły się i wyszedł na skąpaną w słońcu ulicę. Zamrugał, przyzwyczajając wzrok do oślepiającego blasku. Wokół niego maszerowały zastępy ludzi. Nic, tylko ludzie i wrzawa. Dołączył do nich.

Nie mógł dojść do siebie. Oczywiście, że wiedział. Tkwiło to gdzieś na obrzeżach jego świadomości. Nowe sposoby wychowywania dzieci. Jednak aż do tej pory zdawało się to tak abstrakcyjne i ogólne. Wcale go nie dotyczyło. Ani jego dziecka.

Idąc, opanował się stopniowo. Też mi powód do złości. Naturalnie Janet miała rację. To dla dobra Petera. Nie istniał dla nich, jak piesek czy kotek. Domowe zwierzę-przysłanka. Szkolenie przeprowadzano dla niego, a nie dla nich, celem rozwinięcia umiejętności i pełnego wykorzystania drzemiącego w nim potencjału. Miał zostać wyszkolony i ukształtowany.

W tej dziedzinie roboty miały największe pole do popisu. To one zdolne były wyszkolić go wedle nakazów racjonalnej techniki, a nie emocjonalnego widzimisię. Roboty nie wpadały w złość. Roboty nie czepiały się i nie marudziły. Nie wrzeszczały na dziecko ani nie dawały mu klapsów. Nie wydawały sprzecznych poleceń. Nie wiodły między sobą sporów ani nie posługiwały się dzieckiem dla osiągnięcia własnych celów. No i przy wyłącznym kontakcie z robotami nie było mowy o kompleksie Edypa.

W grę nie wchodziły żadne kompleksy. Dawno temu odkryto, że neurozy brały swój początek we wczesnym dzieciństwie; ze sposobu, w jaki rodzice wychowywali potomstwo. Metodą kar i nagród egzekwowano określone typy zachowań, wskrzeszając przy tym zahamowania i neurozy. Podstawową przyczyną zniekształconego rozwoju była subiektywna relacja pomiędzy rodzicami a dzieckiem. Gdyby zatem wyeliminować rodziców jako czynnik sprawczy...

Rodzice nie byli zdolni do obiektywnego traktowania swojego potomstwa. Ich stosunek niezmiennie opierał się na stronniczym i emocjonalnym podejściu. Punkt widzenia rodzica był z gruntu wypaczony. Żadne z rodziców nie nadawało się na instruktora.

Roboty zaś badały dziecko, analizowały jego potrzeby i zachcianki oraz testowały umiejętności i zainteresowania. Nie były skłonne na siłę dopasowywać dziecko do ściśle wyznaczonej roli. Miało ono podążać własną drogą; stosownie do określonych naukowo indywidualnych potrzeb i

zainteresowań.

Ed doszedł do rogu. Obok niego z szumem przetaczały się pojazdy. Z roztargnieniem zrobił krok do przodu.

Rozległ się łomot i trzask. Tuż przed nim opuszczono kraty, odcinając mu drogę. Automatyczna kontrola bezpieczeństwa.

- Proszę uważać, sir! - zabrzmiał przenikliwy głos.

- Przepraszam. - Ed cofnął się. Kraty powędrowały w górę. Poczekał na zmianę świateł. To dla dobra Petera. Roboty zapewnią mu właściwe szkolenie. Później, kiedy zakończy etap wzrostu, kiedy utraci swą giętkość i chłonność... - Tak jest lepiej dla niego - wymamrotał Ed. Powtórzył to na wpół głośno. Jacyś ludzie spojrzeli na niego i poczerwieniał. Oczywiście, że tak było lepiej. Bez dwóch zdań.

Osiemnaście. Nie mógł przebywać z synem, dopóki ten nie skończy osiemnastu lat. Dopóki nie będzie prawie dorosły.

Zmieniły się światła. Pograżony w myślach Ed podążył za innymi, ściśle trzymając się strefy bezpieczeństwa. Dla Petera stanowiło to najlepsze rozwiązanie. Lecz osiemnaście lat to długo.

- Diabelnie długo - mruknął Ed, marszcząc brwi. - Zbyt długo.

Doktor 2g-Y Bish bacznie lustrował stojącego przed nim mężczyznę. Kliknął mechanizmem banków pamięci, zawężając identyfikację obrazu, i przeskanował wiele wartości prawdopodobieństwa.

- Pamiętam pana, sir - powiedział wreszcie doktor Bish. - To pan jest tym człowiekiem z Proximy. Z kolonii. Doyle, Edward Doyle. Zaraz, upłynęło trochę czasu. To musi być już...

- Dziewięć lat - odpowiedział groźnie Ed Doyle. - Dokładnie dziewięć lat, niemal co do dnia.

Doktor Bish założył ręce.

- Niech pan usiądzie, panie Doyle. Czym mogę panu służyć? Jak się miewa pani Doyle? Niezwykle interesująca kobieta, o ile dobrze pamiętam. Odbyliśmy zachwycającą rozmowę w trakcie porodu. Jak...

- Doktorze Bish, czy pan wie, gdzie jest mój syn?

Doktor Bish z namysłem postukał palcami w wypolerowaną powierzchnię mahoniowego biurka. Lekko przymknął oczy, spoglądając w dal.

- Tak. Wiem, gdzie jest pański syn, panie Doyle.

Ed Doyle odprężył się wyraźnie.

- To świetnie. - Oddychając z ulgą, kiwnął głową.

- Dokładnie wiem, gdzie przebywa pański syn. Jakiś rok temu umieściłem go w Badawczej Stacji Biologicznej Los Angeles. Przechodzi tam specjalne szkolenie. Pański syn, panie Doyle, wykazuje wyjątkowe zdolności. Śmiem twierdzić, że należy do nielicznych, bardzo nielicznych osób, u których stwierdziliśmy ogromne możliwości.

- Czy mogę go zobaczyć?

- Zobaczyć? Co pan przez to rozumie?

Doyle opanował się z wysiłkiem.

- Chyba wyrażam się jasno.

Doktor Bish potarł szczękę. Jego mózg zaszumiał na najwyższych obrotach. Kiedy spoglądał na mężczyznę, nastąpił zwiększony dopływ mocy.

- Czy chce go pan obejrzyć? Oto jedno z możliwych znaczeń. Czy raczej porozmawiać z nim? Niekiedy używa się tego słowa na określenie bardziej bezpośredniego kontaktu. To szerokie pojęcie.

- Chcę z nim pomówić.

- Rozumiem. - Bish powoli wyciągnął z pojemnika na biurku jakieś formularze. - Oto kilka rutynowych dokumentów, które oczywiście należy uprzednio wypełnić. Jak długo chciałby pan z nim rozmawiać?

Ed Doyle utkwiał nieruchome spojrzenie w łagodnym obliczu doktora Bisha.

- Kilka godzin. Na osobności.

- Na osobności?

- Bez żadnych robotów wokół.

Doktor Bish nie odpowiedział. Pogładził trzymane dokumenty i zagiął paznokciem brzegi.

- Panie Doyle - rzekł ostrożnie. - Nie jestem pewien, czy pański stan emocjonalny pozwala na spotkanie z synem. Dopiero co przybył pan z kolonii?

- Wyleciałem z Proximy trzy tygodnie temu.

- Czyli właśnie zjawił się pan w Los Angeles?

- Tak.

- I przyjechał pan na spotkanie z synem? Czy ma pan coś innego do załatwienia?

- Przyjechałem po syna.

- Panie Doyle, Peter osiągnął bardzo krytyczne stadium. Niedawno został przeniesiony do Stacji Biologicznej celem bardziej zaawansowanego przeszkolenia. Jak do tej pory nauka miała charakter ogólny, zwany przez nas etapem nieodróżnicowania. Niedawno wkroczył w nową fazę. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy Peter rozpoczął zaawansowaną pracę w swojej określonej dziedzinie, czyli chemii organicznej. Będzie...

- Jakie Peter ma zdanie na ten temat?

Bish zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem, sir.

- Jak on się czuje? Czy otrzymuje to, czego pragnie?

- Panie Doyle, przed pańskim synem rysuje się perspektywa zostania jednym z wiodących biochemików świata. Przez cały czas poświęcony pracy nad rozwojem ludzi nie natknęliśmy się na bardziej zintegrowaną zdolność przyswajania danych, konstrukcji teorii czy formułowania materiału niż ta, którą ma pański syn. Wszystkie testy wskazują na to, że dotrze do granic możliwości wybranej dziedziny. To jeszcze dziecko, panie Doyle, ale to właśnie dzieci mają podlegać szkoleniu.

Doyle wstał.

- Niech pan mi powie, gdzie mogę go znaleźć. Porozmawiam z nim przez dwie godziny i ostateczną decyzję pozostawię jemu.

- Ostateczną decyzję?

Doyle z całej siły zacisnął zęby. Wsunął ręce w kieszenie. Na jego rozpalonej twarzy malowały się zawziętość i determinacja. W ciągu ostatnich dziewięciu lat znacznie przytył, stał się krępy i rumiany. Rzednące włosy posiwiały. Odzież była zmięta i nieświeża. Cała jego postać tchnęła niezłomnym uporem.

Doktor Bish westchnął.

- Niech będzie, panie Doyle. Oto pańskie papiery. Prawo zezwala panu patrzeć na syna w sytuacji, gdy złoży pan odpowiednie podanie. Skoro zakończył już etap nieodróżnicowania, może pan też z nim rozmawiać, ale najwyżej dziewięćdziesiąt minut.

- Na osobności?

- Może pan na ten czas zabrać go poza teren Stacji. - Doktor Bish popchnął papiery w kierunku Doyle'a. - Proszę je wypełnić; wtedy zawołam Petera.

Utkwił spojrzenie w stojącym naprzeciw niego mężczyźnie.

- Mam nadzieję, że pamięta pan, iż jakiegokolwiek doświadczenie emocjonalne na tym krytycznym etapie może w znacznym stopniu wpłynąć na zahamowanie jego rozwoju. Obrął już swoje pole działania, panie Doyle. Należy pozwolić mu podążać wytyczonym szlakiem bez przeszkód w postaci bloków sytuacyjnych. W ciągu całego okresu szkolenia Peter pozostawał w kontakcie z naszym personelem technicznym. Nie nawykł do obcowania z ludźmi. Dlatego niech pan będzie łaskawy uważać.

Doyle nie odpowiedział. Chwycił papiery i wyciągnął pióro.

Kiedy dwa roboty wyprowadziły Petera z masywnego, betonowego budynku Stacji i zostawiły go kilka jardów od samochodu Eda, ten prawie nie poznał syna.

Otworzył drzwi.

- Pete! - Serce boleśnie waliło mu w piersi. Patrzył, jak syn podchodzi do samochodu, mrużąc oczy w blasku słońca. Dochodziła czwarta po południu. Przez parking przetoczył się wątki powiew, szeleszcząc papierami i kawałkami żwiru.

Peter stał bez ruchu, prostując swoją szczupłą sylwetkę. Miał duże, brązowe oczy, podobne do oczu Eda. Jego włosy były jasne, bardziej jak włosy Janet. Jednak mocno zarysowany podbródek nosił ślady podobieństwa do podbródka Eda. Ed uśmiechnął się do niego. Dziewięć lat. Minęło dziewięć lat od chwili, gdy mechaniczny sanitariusz uniósł pokrywę znad metalowego naczynia, by pokazać mu pomarszczonego noworodka, czerwonego niczym ugotowany homar.

Peter wyrósł. Już nie był małym dzieckiem. Był młodym chłopakiem, dumnym i wyprostowanym, o wyraźnych rysach i uważnym, przenikliwym spojrzeniu.

- Pete - powtórzył Ed. - Jakże się miewasz?

Chłopiec przystanął przy drzwiach samochodu. Zmierzył Eda opanowanym spojrzeniem. Jego oczy rozbłysły, kiedy oglądał samochód, kierowcę robota i przysadzistego mężczyznę w wygniecionym garniturze, który nie przestawał śłać w jego stronę nerwowych uśmiechów.

- Wsiadaj. Wchodź do środka. - Ed zrobił mu miejsce. - Dalej. Musimy odwiedzić wiele miejsc.

Chłopiec ponownie przeniósł na niego wzrok. Naraz Ed zdał sobie sprawę ze swojego workowatego garnituru, brudnych butów i nie ogolonego podbródka. Oblał się rumieńcem i z zakłopotaniem otarł czoło czerwoną chustką.

- Dopiero co wysiadłem ze statku, Pete. Wróciłem z Proximy. Nie miałem czasu, aby się przebrać i odświeżyć. To długa podróż.

Peter kiwnął głową.

- 4,3 lat świetlnych, prawda?

- Podróż trwa trzy tygodnie. Wsiadaj. Nie masz zamiaru wsiąść?

Peter opadł na siedzenie obok niego. Ed zatrzęsął drzwiami.

- Jedziemy. - Samochód ruszył z miejsca. - Zawieź nas... - Ed wyrztał przez okno. - Tam. Niedaleko wzgórza. Poza miasto. - Zwrócił się do Petera. - Nie cierpię dużych miast. Trudno mi do nich przywyknąć.

- W koloniach nie spotyka się dużych miast, prawda? - mruknął Pete. - Odwykłeś od życia miejskiego.

Ed oparł się wygodnie. Jego serce powoli zaczynało bić normalnym rytmem.

- Nie, w gruncie rzeczy sytuacja wygląda zupełnie na odwrót, Pete.

- Jak to?

- Poleciałem na Proxime, ponieważ nie znosiłem miast.

Peter nie odpowiedział. Samochód podążał stalową autostradą w kierunku wzgórz. Tuż pod nimi rozciągał się wielki i odpychający budynek Stacji, niczym sterta cementowych cegieł. Szosą jechało niewiele pojazdów. Obecnie większość transportu odbywała się drogą powietrzną. Samochodów lądowych było coraz mniej.

Droga wyrównała się. Jechali wzdłuż przełęczy. Po obu stronach rosły drzewa i krzewy.

- Ładnie tu - stwierdził Ed.

- Tak.

- Jak... jak ci się wiedzie? Dawno cię nie widziałem. Właściwie to tylko raz. Tuż po tym, jak przyszedłeś na świat.

- Wiem. Twoje odwiedziny są wpisane w archiwa.

- Dobrze sobie radzisz?

- Tak. Dosyć dobrze.

- Traktują cię jak należy?

- Oczywiście.

Po chwili Ed pochylił się do przodu.

- Zatrzymaj tutaj - polecił kierowcy.

Samochód zwolnił, zjeżdżając na pobocze.

- Sir, tu nie ma...

- Nie szkodzi. Wypuść nas. Dalej pójdziemy.

Samochód zatrzymał się. Z ociąganiem otwarto drzwi. Ed szybko wyskoczył na chodnik. Oszołomiony Peter z wolna podążył za nim.

- Gdzie my jesteśmy?

- Nigdzie. - Ed zatrasnął drzwi. - Wracaj do miasta - nakazał kierowcy. - Nie będziemy cię potrzebować.

Samochód odjechał. Ed przeszedł na pobocze. Peter ruszył w ślad za nim. Wzgórze opadało ku leżącym w dole obrzeżom miasta. W popołudniowym słońcu rozciągała się pod nimi rozległa panorama olbrzymiej metropolii. Wyciągając ręce na boki, Ed wziął głęboki oddech. Zdjął płaszcz i przerzucił go przez ramię.

- Idziemy. - Skierował się w dół skarpy. - Tędy.

- Dokąd?

- Na spacer. Zejdźmy z tej choleralnej szosy.

Schodzili ostrożnie po zboczu, przytrzymując się kęp trawy i wystających z ziemi korzeni. Wreszcie dotarli do płaskiego skrawka nieopodal dużego jaworu. Ed rzucił się na ziemię, pochrzając i ocierając pot z karku.

- Tutaj. Usiadźmy tutaj.

Peter usiadł ostrożnie w pewnym oddaleniu od niego. Na niebieskiej koszuli Eda widniały plamy potu. Poluzował krawat i rozpiął kołnierzyk. Następnie zaczął szperać po kieszeniach płaszcza. Wyjął fajkę i tytoń.

Peter obserwował, jak Ed napełnia fajkę i zapalają wielką, siarkową zapalką.

- Co to takiego? - wymamrotał.

- To? Moja fajka. - Ed uśmiechnął się, ssąc ustnik. - Czy nigdy nie widziałeś fajki?

- Nie.

- To dobra rzecz. Zdobyłem ją podczas pierwszej wizyty na Proximie. Dawne dzieje, Pete. To się zdarzyło dwadzieścia pięć lat temu. Miałem wtedy zaledwie dziewiętnaście lat. Byłem mniej więcej dwa razy starszy od ciebie.

Schował tytoń i położył się, pochłonęły go wspomnienia.

- Zaledwie dziewiętnaście lat. Pojechałem tam jako hydraulik. Naprawiałem bądź sprzedawałem urządzenia, kiedy nadarzyła się okazja. Hydraulika Terrańska. Jedna z tych dużych reklam, które się niegdyś widywało. Nieograniczone możliwości. Dziewicze lądy. Zarób milion. Złoto na ulicach. - Ed parsknął śmiechem.

- I jak dałeś sobie radę?

- Nieźle. Wcale nieźle. Wiesz, teraz obsługuję cały układ Proximy. Prowadzimy naprawy, konserwację, budujemy. Pracuje dla mnie sześciuset ludzi. To zabrało sporo czasu. I wcale nie przyszło łatwo.

- Nie.

- Głodny?

Peter odwrócił się.

- Co?

- Pytam, czy jesteś głodny? - Ed wyjął z kieszeni płaszcza brunatny pakunek i rozwinął go. - Mam jeszcze parę kanapek z podróży. Kiedy wracam z Proximy, zawsze zabieram ze sobą prowiant. Nie lubię kupować w jadłodajniach. Zdzierają tam z człowieka skórę. - Wyciągnął ku niemu zawiniątko. - Chcesz jedną?

- Nie, dziękuję.

Ed wyjął kanapkę i zabrał się do jedzenia. Jadł nerwowo, co chwila zerkając na syna. Peter siedział w milczeniu, spoglądał przed siebie pustym wzrokiem. Jego gładka twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Wszystko w porządku? - zapytał Ed.

- Tak.

- Chyba nie jest ci zimno, co?

- Nie.

- Żebyś tylko się nie przeziębiał.

Na wprost nich przemknęła wiewórka i pobiegła w kierunku jaworu. Ed rzucił jej kawałek kanapki. Wiewórka oddaliła się nieco, po czym powoli wróciła. Stanąwszy na tylnych łapkach, zmierzyła ich gniewnym wzrokiem i zakołysała puszystym szarym ogonem.

Ed roześmiał się.

- Spójrz tylko na nią. Widziałeś kiedyś wiewiórkę?

- Chyba nie.

Zwierzę umknęło, unosząc ze sobą zdobycz. Zniknęło wśród poszycia i krzewów.

- W okolicach Proximy nie ma wiewiórek - oświadczył Ed.

- Nie.

- Miło raz na jakiś czas wrócić na Terrę. Zobaczyć to, co stare i dobrze znane. Choć i to przemija.

- Przemija?

- Tak. Ulega zniszczeniu. Terra podlega ciągłym zmianom. - Ed machnął ręką w kierunku zbocza. - I to przemienie któregoś dnia. Wytną drzewa. Potem wyrównają powierzchnię. Kiedyś skasują całą przełęcz i wywiozą, by użyć jej do wypełnienia jakichś obszarów wzdłuż wybrzeża.

- To wykracza poza nasz zakres - powiedział Peter.

- Słucham?

- Nie otrzymuję tego rodzaju wiadomości. Chyba doktor Bish ci powiedział. Zajmuję się biochemią.

- Wiem - mruknął Ed. - Powiedz mi, jakim cudem wplątałeś się w to dziwactwo? Biochemia?

- Testy wykazały, że przejawiam w tym kierunku pewne zdolności.

- I lubisz to, co robisz?

- Co za dziwne pytanie. Oczywiście, że lubię. To zajęcie, do którego się nadaję.

- Dla mnie to śmieszne, aby wdrażać w podobne sprawy dziewięcioletniego dzieciaka.

- Dlaczego?

- Boże, Pete. Kiedy ja miałem dziewięć lat, rozbijałem się po mieście. Niekiedy spędzałem czas w szkole, choć częściej poza nią, włócząc się to tu, to tam. Bawiłem się. Czytałem. I bez przerwy zaglądałem na pola wyrzutni raketowych. - Zamyślił się. - Robiłem masę rzeczy. Po ukończeniu szesnastu lat wyskoczyłem na Marsa i zabawiłem tam jakiś czas. Potem Ganimedes. W owym czasie był doszczętnie zapchany, nie było mowy o jakiegokolwiek pracy. Z Ganimedesa poleciałem na Proxime. Już podczas drogi, na dużym frachtowcu, napracowałem się za wszystkie czasy.

- Zostałeś na Proximie?

- Jasne, że tak. Tam znalazłem to, czego szukałem. To całkiem przyjemne miejsce. Teraz, jak wiesz, szykujemy się do rozpoczęcia pracy na Syriuszu. - Ed wyprężył się dumnie. - Rynek zbytu w tamtejszym układzie jest nie do pogardzenia. To obszar o małej sprzedaży detalicznej i niewielu punktach serwisowych.

- Syriusz jest oddalony od Słońca o 8,8 lat świetlnych.

- To znaczna odległość. Siedem tygodni drogi stąd. Ciężka harówka. Roje meteorytów. Przez całą drogę jest naprawdę gorąco.

- Wyobrażam sobie.

- Wiesz, co wymyśliłem? - Ed obrócił do syna twarz ożywioną nadzieją i entuzjazmem. - Długo się nad tym zastanawiałem. Pomyślałem sobie, że chyba tam polecę. Na Syriusza. To dobra okazja. Sam opracowałem plan oparty na założeniach zgodnych z cechami układu.

Peter kiwnął głową.

- Pete...

- Tak?

- Myślisz, że to mogłoby cię zaciekawić? Polecieć na Syriusza i trochę się rozejrzeć? To dobre miejsce. Cztery nie tknięte planety. Mnóstwo miejsca, całe mile do zagospodarowania. Klify i góry. Oceany. I wokół ani żywej duszy, prócz garstki kolonizatorów z rodzinami, budowniczych. Rozległe, płaskie równiny.

- Co według ciebie znaczy: zaciekawić?

- No... żeby tam pojechać. - Ed zbladł. Wykrzywił nerwowo usta. - Sądziłem, że miałbyś ochotę skoczyć tam ze mną i sam zobaczyć. Bardzo przypomina Proxime sprzed dwudziestu pięciu lat. Jest przyjemny i czysty. Żadnych miast.

Peter uśmiechnął się.

- Dlaczego się uśmiechasz?

- Tak sobie. - Peter raptownie wstał z miejsca. - Jeśli mamy dotrzeć na Stację pieszo, lepiej ruszajmy w drogę. Co ty na to? Robi się późno.

- Jasne. - Ed podniósł się z wysiłkiem. - Jasne, no ale...

- Kiedy znów zawitasz w Układzie Słonecznym?

- Znów? - Ed ruszył za synem. Peter wspinał się na wzgórze w kierunku autostrady. - Zwolnij trochę, dobrze?

Peter zwolnił. Ed dołączył do niego.

- Nie wiem, kiedy wrócę. Nie bywam tu zbyt często. Nic mnie tu nie trzyma, zwłaszcza od czasu separacji z Janet. Tak naprawdę sprowadziło mnie tu...

- Tędy. - Peter wszedł na drogę.

Ed, dysząc, usiłował dotrzymać mu kroku, wiązał przy tym krawat i wkładał płaszcz.

- Peter, powiedz coś. Poleciałbyś ze mną? Nie chciałbyś rzucić okiem na Syriusza? To naprawdę ciekawe miejsce. Moglibyśmy razem pracować. Tylko my dwaj. Jeśli chcesz.

- Przecież mam już swoją pracę.

- Masz na myśli tę cholerną chemię?

Peter znów się uśmiechnął.

Ed najeżył się, raptownie poczerwieniał na twarzy.

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytał. Syn nie odpowiedział. - O co ci chodzi? Co cię tak strasznie bawi?

- Nic - odrzekł Peter. - Nie denerwuj się. Czeka nas długa droga. - Lekko przyspieszył, stawiał równe, pewne kroki. - Robi się późno. Nie mamy czasu do stracenia.

Doktor Bish popatrzył na zegarek, podciągając do góry rękaw mary - Cieszę się, że wróciłeś.

- Odesłał samochód - mruknął Peter. - Musieliśmy wracać od wzgórza na piechotę.

Na dworzu zapadł zmierzch. Wzdłuż szeregów budynków i laboratoriów Stacji automatycznie zapalały się światła.

Doktor Bish wstał zza biurka.

- Podpisz to, Peter. Na dole tego formularza.

Peter podpisał.

- Co to jest?

- Potwierdzenie, że wizyta odbyła się zgodnie z regułami prawnymi. Nie próbowaliśmy nijak temu przeciwdziałać.

Peter oddał dokument. Bish dołączył go do pozostałych. Chłopiec skierował się ku wyjściu.

- Pójdę do kafeterii na kolację.

- Nic nie jadłeś?

- Nie.

Założywszy ręce, doktor Bish zmierzył chłopca uważnym spojrzeniem.

- No i? - zapytał. - Co o nim myślisz? Widziałeś ojca po raz pierwszy. To musiało być dla ciebie dziwne doświadczenie. Przez cały czas obracasz się jedynie wśród nas.

- Było... niezwykle.

- Jakież wrażenia? Czy coś szczególnie przykuło twoją uwagę?

- Bardzo podlega emocjom. Przez wszystko, co mówił lub robił, przebijała wyraźna stroniczość. Tkwi w nim praktycznie jednolite zniekształcenie.

- Coś jeszcze?

Peter zawahał się, stając w drzwiach. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Jedna rzecz.

- Co takiego?

- Zwróciłem uwagę na... - Peter wybuchnął śmiechem - ...na unoszącą się wokół niego intensywną woń. Wyczuwalny w trakcie całej rozmowy mdlący zapach.

- Obawiam się, że to dotyczy ich wszystkich - odparł doktor Bish. - Wydzielina pewnych gruczołów skórnych, usuwane z krwi nieczystości. Kiedy spędzisz z nimi więcej czasu, wkrótce do tego przywykniesz.

- Czy w ogóle muszę spędzać z nimi czas?

- Należysz do ich rasy. Jakże inaczej miałbyś z nimi pracować? Właśnie taki jest cel twojego szkolenia. Kiedy już nauczymy cię wszystkiego, wówczas...

- Przypomniało mi się coś. W związku z mdlącym zapachem. Przez cały czas jego wizyty nie mogłem przestać o nim myśleć, próbowałem go z czymś skojarzyć.

- Czy teraz potrafisz go zidentyfikować?

Peter pogrążył się w głębokim namyśle, marszczył z wysiłkiem drobną twarz. Doktor Bish czekał cierpliwie przy swoim biurku ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Automatyczny system grzewczy przestawił się na funkcję nocną i wypełnił gabinet dryfującym wokół nich powiewem.

- Mam! - wykrzyknął nagle Peter.

- No i?

- Zwierzęta w pracowni biologicznej wydzielają dokładnie tę samą woń. Pachniał tak samo jak zwierzęta doświadczalne.

Popatrzyli na siebie, mechaniczny lekarz i obiecujący młody chłopiec. Wymienili porozumiewawcze, konspiracyjne uśmiechy. Uśmiechy pełne zrozumienia.

- Chyba wiem, co masz na myśli - powiedział doktor Bish. - W gruncie rzeczy wiem dokładnie, co masz na myśli.

PEWNE FORMY ŻYCIA

Joan, na miłość boską!

Pomimo głośnika Joan Clarke wyczuła w głosie męża nutę irytacji. Y Wstała z ustawionego przed widekranem krzesła i pośpieszyła do sypialni. Bob wściekle buszował w szafie, zrywając z wieszaków płaszcze i garnitury i rzucając je na łóżko. Jego twarz płonęła z irytacji.

- Czego szukasz?

- Swojego munduru. Gdzie on jest? Czy nie tutaj?

- Oczywiście, że tak. Zaraz sprawdzę.

Ponuro ustąpił jej z drogi. Wyminąwszy go, Joan uruchomiła automatyczny sorter i przystąpiła do przeglądu obracającego się na wprost niej rzędu ubrań.

Był wczesny poranek, około godziny dziewiątej. Niebo przybrało intensywnie błękitną barwę. Na horyzoncie nie było widać ani jednej chmurki. Nastął ciepły, wiosenny, kwietniowy dzień. W wyniku wczorajszych opadów grunt był mokry i czarny. Z parującej gleby zaczynały gdzieś wychodzić zielone pędy. Chodnik pociemniał od wilgoci. Rozległe trawniki połyskiwały w blasku słońca.

- Oto i on. - Joan wyłączyła sorter. Chwyciła mundur i podała mężowi. - Następnym razem nie denerwuj się tak.

- Dzięki. - Uśmiechnął się z zakłopotaniem. Wygładził ręką bluzę. - Spójrz tylko, jest cała wygnieciona. Myślałem, że zaniesiesz ją do prania.

- Nic nie szkodzi. - Joan nastawiła automatyczne ścielenie łóżka. Mechanizm wygładził

prześcieradła i koce, układając je na miejsce. Delikatnie okrył narzutą poduszki. - Chwilę ją ponosisz i będzie prezentować się bez zarzutu. Bob, jesteś najbardziej gderliwym człowiekiem, jakiego znam.

- Przepraszam, kochanie - mruknął.

- Co się stało? - Joan podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. - Martwisz się czymś?

- Nie.

- Powiedz.

Bob zaczął rozpinać mundur.

- To nic ważnego. Nie chciałem zawracać ci głowy. Wczoraj Erickson zadzwonił do mnie do pracy, aby zakomunikować, że ponownie powołują mój oddział. Wygląda na to, że obecnie wzywają dwie grupy naraz. Sądziłem, że przez następne pół roku będę miał spokój.

- Ach, Bob! Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Długo rozmawiałem z Ericksonem. "Na miłość boską!" - mówię mu. - "Przecież dopiero co byłem wzywany". "Wiem o tym, Bob - on mi na to. - Diabelnie mi przykro, ale nic nie mogę na to poradzić. Jedziemy na tym samym wózku. Tak czy inaczej, to nie potrwa długo. Niebawem się z tym uporamy. Wszystko z powodu tych Marsjan. Mają na ich punkcie kompletnego bzika". Tyle mi powiedział. W ogóle był w porządku. Jak na Organizatora Sektorowego, Erickson to całkiem miły gość.

- Kiedy... kiedy będziesz musiał pojechać?

Bob popatrzył na zegarek.

- Do południa powinienem zjawić się na lotnisku. To daje mi trzy godziny.

- Kiedy wrócisz?

- Och, pewnie za parę dni... jeśli wszystko pójdzie jak trzeba. Wiesz, jak to jest. Różnie bywa. Pamiętasz zeszły październik, kiedy nie było mnie przez cały tydzień? Ale to wyjątek. Obecnie tak często wymieniają oddziały, że zanim na dobre zaczniesz, już możesz wracać.

Od strony kuchni nadszedł Tommy.

- Co słyhać, tato? - Zauważył mundur. - No proszę, znowu wzywają twój oddział?

- Zgadza się.

Na twarzy nastolatka wykwitł szeroki, rozradowany uśmiech.

- Będziesz brał udział w sprawie marsjańskiej? Śledziłem ją na widekranie. Ci Marsjanie

wyglądają jak związana do kupy garść chwastów. Z nimi poradzicie sobie bez trudu.

Bob ze śmiechem grzmotnął syna w plecy.

- Sam im to powiedz, Tommy.

- Żałuję, że nie mogę jechać.

Wyraz twarzy Boba uległ raptownej zmianie. Jego spojrzenie stało się twarde jak kamień.

- Nieprawda, synu. Nie mów tak.

Zapadła krępująca cisza.

- Nie miałem niczego złego na myśli - wymamrotał Tommy.

Bob roześmiał się lekko.

- Daj spokój. A teraz zmykajcie stąd, bo chcę się przebrać.

Joan i Tommy wyszli z pokoju. Drzwi zasunęły się. Bob ubierał się pośpiesznie, rzucał na łóżko szlafrok i piżamę i wciągał ciemnozielony mundur. Zasznurował buty i otworzył drzwi.

Joan wydobyła z pawlacza walizkę.

- Bierzesz ją, prawda? - zapytała.

- Dziękuję. - Bob podniósł walizkę. - Chodźmy do samochodu. - Siedzący przed widekranem Tommy rozpoczął szkolne zajęcia. Na ekranie z wolna toczyła się lekcja biologii.

Bob i Joan zeszli po schodkach i podążyli ścieżką w stronę zaparkowanego na skraju drogi samochodu. Drzwi otworzyły się przed nimi. Bob wrzucił do środka walizkę i usiadł za kierownicą.

- Po co właściwie musimy walczyć z Marsjanami? - zapytała nieoczekiwanie Joan. - Powiedz mi, Bob. Wyjaśnij mi - dlaczego.

Bob zapalił papierosa. Wypuścił do kabiny szarawy kłęb dymu.

- Dlaczego? Wiesz równie dobrze jak ja. - Wyciągnął rękę i poklepał solidną deskę rozdzielczą samochodu. - Dlatego.

- Co masz na myśli?

- Mechanizm kontrolny wymaga zastosowania rexeroidu, a jedyne złoża w całym układzie mieszczą się na Marsie. Jeżeli stracimy Marsa, stracimy i to. - Przesunął dłonią po oświetlonej tablicy. - A jeśli stracimy to, w jaki sposób będziemy przemieszczać się z miejsca na miejsce?

Odpowiedz mi.

- Nie moglibyśmy powrócić do sterowania ręcznego?

- Dziesięć lat temu, owszem. Lecz dziesięć lat temu jeździliśmy z prędkością nie przekraczającą stu mil na godzinę. W tej chwili żaden człowiek by tego nie wytrzymał. Nie możemy wrócić do sterowania ręcznego, nie zwalniając obecnego tempa.

- A to czemu?

Bob się roześmiał.

- Kochanie, od miasta dzieli nas dziewięćdziesiąt mil. Czy naprawdę uważasz, że zachowałbym pracę, jadąc z szybkością trzydziestu pięciu mil na godzinę? Całe życie spędziłbym na drodze.

Joan milczała.

- Widzisz, musimy mieć to świństwo... ten cały rexeroid. Umożliwia funkcjonowanie naszego sprzętu kontrolnego. Jesteśmy od niego zależni. Potrzebujemy go. Musimy prowadzić na Marsie prace wydobywcze. Nie możemy pozwolić sobie na to, aby Marsjanie odcięli nam dostęp do rexeroidu. Rozumiesz?

- Rozumiem. W zeszłym roku chodziło o wenusjańską rudę kryonu. Musieliśmy ją mieć. Tak więc pojechałeś walczyć na Wenus.

- Kochanie, bez kryonu ściany naszych domów nie utrzymałyby stałej temperatury. Kryon jest jedyną nieożywioną substancją w układzie, która dopasowuje się do zmian temperatury. Przecież... przecież wszyscy musielibyśmy wrócić do pieców podłogowych. Całkiem jak mój dziadek.

- A dwa lata temu w grę wchodził lonolit z Plutona.

- Lonolit to jedyna znana substancja przydatna do tworzenia banków pamięci w naszych kalkulatorach. To jedyny metal z trwałymi właściwościami. Bez niego stracilibyśmy wszystkie nasze urządzenia komputerowe. Sama wiesz, jak daleko zaszlibyśmy bez nich.

- Naturalnie.

- Kochanie, przecież wiesz, że nie chcę jechać. Ale muszę. Wszyscy musimy. - Machnął ręką w kierunku domu. - Chciałabyś z tego zrezygnować? Wrócić do dawnych czasów?

- Nie. - Joan odsunęła się od samochodu. - Dobrze, Bob. Wobec tego do zobaczenia za dzień lub dwa?

- Mam nadzieję. Wkrótce powinno być po kłopotcie. Powołano większość oddziałów nowojorskich. Oddziały z Oslo i Berlina już tam są. To nie potrwa długo.

- Powodzenia.

- Dzięki. - Bob zamknął drzwi. Silnik uruchomił się automatycznie. - Pożegnaj ode mnie Tommy'ego.

Samochód odjechał, kierowany automatycznym pulpitem sterowania sprawnie włączył się w ruch pędzących autostradą pojazdów. Joan spoglądała za nim, dopóki nie zniknął wśród bezkresnej wstęgi sunących ku odległemu miastu błyszczących metalowych karoserii. Następnie powoli wróciła do domu.

Bob nie wrócił z wyprawy na Marsa, przez co, ogólnie mówiąc, Tommy stał się panem domu. Joan uzyskała dla niego zwolnienie ze szkoły i wkrótce zaczął pracować jako technik laboratoryjny dla oddalonego o kilka mil Rządowego Projektu Badawczego.

Bryan Erickson, Organizator Sektorowy, zajrzał któregoś wieczoru, aby sprawdzić, jak im się wiedzie.

- Przytulne mieszkanie - stwierdził Erickson, przechadzając się dokoła.

Tommy napęczniał z dumy.

- Prawda? Proszę usiąść i czuć się jak w domu.

- Dziękuję. - Erickson zajrzał do kuchni. Trwały tam właśnie przygotowania do wieczornego posiłku. - Co za kuchnia.

Tommy stanął u jego boku.

- Widzi pan ten przyrząd na piecu?

- Do czego służy?

- To nasz kuchenny selektor. Codziennie układa nowe kombinacje. Nie musimy trudzić się wymyślaniem potraw.

- Niesamowite. - Erickson zerknął na Tommy'ego. - Nieźle sobie radzisz.

Joan podniosła głowę znad widekranu.

- Na tyle, na ile można by tego oczekiwać. - Jej głos był matowy i pozbawiony życia.

Erickson chrząknął. Wrócił do pokoju.

- Cóż, chyba będę uciekał.

- Po co pan przyszedł? - zapytała Joan.

- Właściwie po nic, pani Clarke. - Erickson przystanął w drzwiach; masywny, blisko czterdziestoletni mężczyzna o czerwonej twarzy. - Ach, chodzi o jedno.

- Co mianowicie? - spytała pozbawionym emocji głosem.

- Tommy, wypełniłeś już kartę jednostki sektorowej?

- Kartę jednostki sektorowej!

- Według prawa masz zostać zarejestrowany jako część tego sektora... mojego sektora. - Sięgnął do kieszeni. - Mam przy sobie kilka pustych kart.

- Rany! - rzucił z lekkim przestraszeniem Tommy. - Tak prędko? Myślałem, że muszę najpierw skończyć osiemnaście lat.

- Zmienili zasady. Na Marsie dostaliśmy solidne cięgi. W kilku sektorach stwierdzono niedobory. Od dziś należy przedsięwziąć środki zaradcze. - Erickson uśmiechnął się dobrodusznie. - Wiesz, to porządny sektor. Ćwiczenia i testowanie nowego sprzętu to nie lada zabawa. Wreszcie nakłoniłem Waszyngton do dostarczenia nam całego szwadronu nowych dwusilnikowców bojowych. Każdy mężczyzna w moim sektorze będzie z takiego korzystał.

Oczy Tommy'ego rozblęły.

- Naprawdę?

- Poza tym każdy użytkownik może zabrać go sobie do domu na weekend. Mógłbyś zaparkować go na trawniku.

- Mówi pan serio? - Tommy usiadł przy biurku. Ochocho wypełnił kartę.

- Tak, zabawę mamy przednią - wymamrotał Erickson.

- Pomiedzy jedną wojną a drugą - wtrąciła cicho Joan.

- Co pani mówiła, pani Clarke?

- Nic.

Erickson przyjął wypełnioną kartę. Schował ją do portfela.

- A tak przy okazji... - powiedział.

Tommy i Joan obrócili się w jego stronę.

- Przypuszczam, że śledziliście na wideokranie przebieg wojny o gleko. Pewnie jesteście dobrze

zorientowani w temacie.

- Wojny o gleko?

- Wszystkie nasze zasoby gleko otrzymujemy z Callisto. Wytwarzany jest ze skór pewnych gatunków zwierząt. Cóż, ostatnio mieliśmy mały problem z tubylcami. Twierdzą oni...

- Co to jest gleko? - przerwała twardo Joan.

- Jest to tworzywo, dzięki któremu pani frontowe drzwi stają otworem wyłącznie przed panią. Jest czuły na pani ciśnienie. Robią go z pewnych zwierząt.

Cisza, która zapadła po ostatnich słowach, należała do tych, które można ciąć nożem.

- Pójdę już. - Erickson ruszył ku wyjściu. - Do zobaczenia na następnej sesji treningowej, Tom. Zgoda? - Otworzył drzwi.

- Zgoda - mruknął Tommy.

- Dobranoc. - Erickson wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Ale ja muszę jechać! - wykrzyknął Tommy.

- Dlaczego?

- Jedzie cały sektor. Tak trzeba.

Joan wyjrzała przez okno.

- To nie w porządku.

- Ale jeśli nie pojedziemy, utracimy Callisto. A jeśli utracimy Callisto...

- Wiem. Wówczas będziemy musieli paradować z kluczami do drzwi. Jak nasi dziadkowie.

- Właśnie. - Tommy wypiął pierś i okręcił się. - Jak wyglądam?

Joan nie odpowiedziała.

- Jak wyglądam? Czy wyglądam jak należy?

W ciemnozielonym mundurze Tommy prezentował się nienagannie. Był o wiele przystojniejszy od Boba, szczupły i wyprostowany. Bob ostatnio zaczął przybierać na wadze. Przerzedziły mu się włosy. Włosy Tommy'ego były czarne i gęste. Policzki płonęły mu podnieceniem, niebieskie oczy błyszczały. Nałożył kask i zapiął pasek.

- Dobrze? - zapytał.

Joan skinęła głową.

- Tak.

- Pocałuj mnie na do widzenia. Wyjeżdżam na Callisto. Wrócę za kilka dni.

- Do widzenia.

- Nie wydajesz się najszcześliwsza.

- Bo nie jestem - odparła Joan. - Wcale nie jestem szczęśliwa. Tommy co prawda wrócił z Callisto, lecz podczas wojny trektonowej na Europie coś popsuło się w jego dwusilnikowcu bojowym i jednostka powróciła bez niego.

- Trekton - pospieszył z wyjaśnieniem Bryan Erickson - używany jest do przewodów widekranowych. Pełni niezwykle ważną funkcję, Joan.

- Rozumiem.

- Zdajesz sobie sprawę ze znaczenia widekranu. Dzięki niemu przekazywane są informacje. Dzieci się z niego uczą. A wieczorami kanały rozrywkowe dostarczają nam dobrej zabawy. Chyba nie chcesz, abyśmy cofnęli się do...

- Nie, nie... oczywiście, że nie. Przepraszam. - Joan machnęła ręką i do pokoju wślizgnął się stolik do kawy z parującym dzbankiem na blacie. - Śmietanki? Cukru?

- Tylko cukru, dziękuję. - Erickson wziął swoją filiżankę i usiadł na tapczanie, upił łyk i wymieszał. W domu panowała cisza. Był późny wieczór, około jedenastej. Opuszczono story. Z rogu dochodził przytłumiony szum widekranu. Świat na zewnątrz spowijała ciemność, panował bezruch, wyjąwszy lekki powiew wiatru szeleszczącego wśród rosnących na skraju podwórza cedrów.

- Jakież wieści z frontów? - zapytała po chwili Joan, odchylając się do tyłu i wygładzając spódnice.

- Z frontów? - Erickson zastanowił się. - Cóż, pewien postęp w wojnie o iderium.

- Gdzie to jest?

- Na Neptunie. Iderium mamy z Neptuna.

- Do czego używa się iderium? - Głos Joan był niewyraźny i daleki, jak gdyby dobiegał z oddali. Napięta twarz przybrała odcień bieli na podobieństwo maski, która przylgnęła i zza której kobieta obserwowała świat.

- Wszystkie urządzenia medialne wymagają użycia iderium - wyjaśnił Erickson. - Okładzina z

tego tworzywa umożliwia równoczesne śledzenie wydarzeń i przesyłanie ich na widekrany. Bez iderium musielibyśmy wrócić do samodzielnego spisywania i składania sprawozdań. To pociągnęłoby za sobą osobiste uprzedzenia i odchylenia od prawdy. Produkowane dzięki iderium urządzenia medialne są bezstronne.

Joan kiwnęła głową.

- Coś jeszcze?

- Niewiele. Mówi się, że na Merkurym przypuszczalnie wybuchnie jakiś konflikt.

- Czego dostarczają z Merkurego?

- Stamtąd pochodzi ambrolina, którą wykorzystuje się we wszystkich rodzajach selektorów. Na przykład selektor w twojej kuchni, ten, co tworzy kombinacje na kolejne posiłki, powstał dzięki ambrolinie.

Joan spoglądała pustym wzrokiem w swoją filiżankę.

- Czy Merkurianie... atakują nas?

- Miały miejsce zamieszki, agitacje czy coś w tym stylu. Już powołano część jednostek sektorowych. Moskiewską i paryską. Przypuszczam, że to potężne jednostki.

Po chwili Joan odezwała się:

- Wiesz co, Bryan, czuję, że jednak sprowadził cię tu jakiś konkretny powód.

- Ależ skąd. Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

- Po prostu czuję. O co chodzi?

Dobroduszne oblicze Ericksona oblało się rumieńcem.

- Bystra jesteś, Joan. W gruncie rzeczy istotnie po coś przyszedłem.

- Mianowicie?

Erickson sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej kopię dokumentu. Podał ją Joan.

- Zrozum, to nie mój pomysł. Jestem tylko pionkiem w tej grze. - Nerwowo zagryzł wargi. - To rezultat dotkliwych strat poniesionych w wojnie o trekton. Musieli połączyć siły; doszły mnie słuchy, że popadli w poważne tarapaty.

- Co to wszystko ma znaczyć? - Joan oddała mu dokument. - Nie umiem rozszyfrować tej całej prawnej terminologii.

- Cóż, to znaczy, że w wyniku... w wyniku nieobecności męskich członków rodziny, ich miejsce w jednostkach sektorowych zajmą kobiety.

- Ach tak. Rozumiem.

Erickson poderwał się z poczuciem dobrze wypełnionego obowiązku.

- Chyba na mnie już czas. Chciałem, abyś rzuciła na to okiem. Wszystkim je wręczają. - Ponownie wepchnął dokument do kieszeni płaszcza. Wyglądał na śmiertelnie znużonego.

- Nie pozostanie wielu ludzi, prawda?

- Co masz na myśli?

- Najpierw mężczyźni. Potem dzieci. Teraz kobiety. Najwyraźniej nikogo to nie omija.

- Chyba masz rację. Cóż, na pewno nie bez powodu. Musimy utrzymać te fronty, nieustannie zasilać je nowymi ludźmi. Tak trzeba.

- Pewnie tak. - Joan powoli uniosła się z miejsca. - Do zobaczenia, Bryan.

- Tak, powinienem wpaść za jakiś tydzień. Do zobaczenia.

Bryan Erickson powrócił w chwili wybuchu wojny o nymfit na Saturnie. Powitał panią Clarke przepraszającym uśmiechem.

- Przepraszam, że tak wcześnie zawracam ci głowę - powiedział Erickson. - Bardzo się spieszę, czeka mnie obchód całego sektora.

- O co chodzi? - Joan zamknęła za nim drzwi. Ubrany był w bladozielony mundur Organizatora ze srebrnymi pagonami. Joan wciąż miała na sobie szlafrok.

- Jak tu ciepło - rzekł Erickson, ogrzewając sobie dłonie o ścianę. Dzień był jasny i mroźny. Nadszedł listopad. Wszystko pokrywała puchowa kołderka śniegu. Kilka nagich drzew wystawiało swoje zamarzniete gałęzie. Niegdyś wstęga pędzących po autostradzie samochodów zamieniła się w wąską strużkę. Obecnie niewielu ludzi udawało się do miasta. Większość pojazdów stała beczynnie.

- Pewnie już wiesz o kłopotach na Saturnie - mruknął Erickson. - Słyszałaś.

- Chyba widziałam jakieś relacje. Na widekranie.

- Sprawy przybrały skomplikowany obrót. Ci Sarurnianie są naprawdę duzi. Rany, oni muszą liczyć przynajmniej pięćdziesiąt stóp.

Trąc oczy, Joan skinęła z roztargnieniem głową.

- Fatalnie się składa, że w ogóle potrzebujemy czegoś z Saturna. Jadłeś już śniadanie, Bryan?

- O tak, dziękuję, jadłem. - Erickson odwrócił się plecami do ściany. - Przyjemnie jest schronić się przed chłodem. Naprawdę utrzymujesz tu porządek. Chciałbym, aby moja żona robiła tak samo.

Joan podeszła do okien i odsunęła story.

- Co otrzymujemy z Saturna?

- Przede wszystkim nymfit. Moglibyśmy zrezygnować z całej reszty, ale nie z nymfitu.

- Do czego jest wykorzystywany?

- Do wszystkich urzędzeń służących do pomiaru uzdolnień. Bez niego nie bylibyśmy w stanie stwierdzić, kto jest odpowiedni na dane stanowisko, włączając przewodniczącego Rady Światowej.

- Rozumiem.

- Dzięki nymfitowym testerom możemy ustalić, do czego nadaje się każda osoba i jaki rodzaj pracy powinna wykonywać. Nymfit to podstawowe narzędzie nowoczesnego społeczeństwa. Dzięki niemu ustalamy rangi i kryteria klasyfikacji poszczególnych osobników. Jeśli coś przytrafi się dostawie...

- I wszystkie złoża znajdują się na Saturnie?

- Niestety tak, a tubylcy wszczynają zamieszki, usiłując przejąć kontrolę nad kopalniami nymfitu. Zapowiada się ostra walka. Ich rozmiarów nie można lekceważyć. Rząd zmuszony jest powoływać, kogo się da.

Joan gwałtownie zaczerpnęła tchu.

- Kogo się da? - Przykryła dłonią usta. - Nawet kobiety?

- Obawiam się, że tak. Przykro mi, Joan. Wiesz, że to nie mój pomysł. Lecz jeżeli mamy zachować to wszystko, musimy...

- Ale wobec tego, kto zostanie?

Erickson nie odpowiedział. Siedział przy biurku, wypełniając kartę. Wręczył ją Joan. Kobieta wzięła ją machinalnie.

- Twoja karta jednostki.

- Kto zostanie? - powtórzyła Joan. - Potrafisz odpowiedzieć? Czy ktokolwiek zostanie?

Rakieta z Oriona z łoskotem wylądowała na ziemi. Kompresory silnikowe zamilkły, a zawory wydechowe wypuściły w powietrze kłęb nieczystości.

Przez chwilę panowała cisza. Następnie ostrożnie odśrubowano właz i otwarto go do środka. N'tgari-3, zachowując czujność, wyszedł, machnął urządzeniem badającym atmosferę.

- I jak? - do N'tgari-3 dotarły myśli jego towarzysza.

- Zbyt rozrzedzone, aby nim oddychać. Przynajmniej dla nas. Jednak dla pewnych form życia pasuje jak ulał. - Rozejrzawszy się wokół, N'tgari-3 popatrzył w kierunku leżących w oddali wzgórz i równin. - Ależ tu cicho.

- Najłżejszego odgłosu. Ani śladu życia. - Jego towarzysz wyłonił się ze statku. - Co tam jest?

- Gdzie? - zapytał N'tgari-3.

- Tam. - Luci'n-6 wskazał kierunek anteną. - Widzisz?

- Wygląda na budynki mieszkalne. Rodzaj konstrukcji seryjnych.

Dwaj Orionanie unieśli szalupę na wysokość włazu i opuścili ją na ziemię.

N'tgari-3 zasiadł za kierownicą i poprzez równinę pojechali ku widocznemu na horyzoncie wzniesieniu. Całą okolicę porastały rośliny, niektóre wysokie i mocne, inne delikatne i nieduże, obsypane barwnym kwieciem.

- Mnóstwo nieruchomych form - zauważył Luci'n-6.

Przebyli pole, na którym prężyły się łodygi tysięcy identycznych szaro-pomarańczowych roślin.

- Zupełnie jakby je sztucznie zasiano - mruknął N'tgari-3.

- Zwolnij. Dojeżdżamy do jakiejś konstrukcji.

N'tgari-3 przyhamował. Dwaj Orionanie z zaciekawieniem wychylili się przez okno.

Przed nimi wyrósł uroczy budynek, otoczony wszelkimi gatunkami roślinności; u ich stóp słały się dywany niskich roślin i rzędy wysokich, widzieli też klomby w pełni rozkwitu. Sama budowla była schludna i przyjemna dla oka; najwyraźniej stanowiła przykład dorobku zaawansowanej kultury.

N'tgari-3 wyskoczył z szalupy.

- Może staniemy oko w oko z legendarnymi istotami z Terry. - Przeszedł po równo porastającym grunt zielonym dywanem i ruszył w kierunku frontowej części budynku.

Luci'n-6 podążył jego śladem. Obejrżeli drzwi.

- Jak to się otwiera? - zapytał Luci'n-6.

Wypalili w zamku niewielką dziurę i drzwi stanęły otworem. Światła zapaliły się automatycznie. Zasilany energią płynącą ze ścian dom był ciepły.

- Jaki postęp! Jaki stopień zaawansowania.

Wędrowali z jednego pomieszczenia do drugiego, spoglądając na widekran, doskonale wyposażoną kuchnię, meble w sypialni, zasłony, krzesła, łóżko.

- Ale gdzie podziewają się Terranie? - zapytał w końcu N'tgari-3.

- Niedługo wrócą.

N'tgari-3 chodził tam i z powrotem.

- Mam dziwne przeczucia. Trudno określić je za pomocą anteny. Strasznie to dokuczliwe. - Zawahał się. - To chyba niemożliwe, aby oni nie wrócili, prawda?

- Dlaczego niby mieliby nie wrócić?

Luci'n-6 zaczął majstrować przy widekranie.

- Mało prawdopodobne. Poczekamy na nich. Wrócą.

N'tgari-3 nerwowo wyjrzał przez okno.

- Jakoś ich nie widać. Ale przecież muszą gdzieś tu być. Nie mogli tak po prostu odejść, pozostawiając wszystko. Dokąd mieliby się udać? I w jakim celu?

- Wrócą. - Luci'n-6 uzyskał na widekranie nieruchomy obraz. - Niezbyt imponujące.

- Mam wrażenie, że to jednak nie nastąpi.

- Jeśli Terranie nie wrócą - rzekł w zamyśleniu Luci'n-6, naciskając przyciski widekranu - stanie się to największą zagadką w dziejach archeologii.

- Będę ich wypatrywał - odparł beznamiętnie N'tgari-3.

CHMARA

Ted Barnes wrócił do domu roztrzęsiony i ponury. Rzucił na krzesło płaszcz i gazetę.

- Kolejna chmara - mruknął. - Cała chmara! Jeden siedział na dachu Johnsona. Ściągali go na dół drągiem.

Nadeszła Lena i schowała jego płaszcz do szafy.

- Cieszę się, że przyszedłeś prosto do domu.

- Widok choćby jednego z nich przyprawia mnie o dreszcze. - Ted opadł na tapczan, szperając po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. - Jak Boga kocham, to naprawdę mnie bierze.

Zapalił i zniknął w obłokach dymu. Ręce stopniowo przestały mu drżeć. Otarł pot znad górnej wargi i poluzował krawat.

- Co na kolację?

- Szynka. - Lena schyliła się, aby go pocałować.

- Jak to? Jest jakaś okazja?

- Nie. - Ruszyła z powrotem w kierunku kuchni. - To duńska szynka konserwowa, którą dostaliśmy od twojej matki. Przyszło mi do głowy, że już czas ją otworzyć.

Ted patrzył, jak znika w drzwiach kuchni, szczupła, urocza, we wzorzystym fartuszk. Z westchnieniem oparł się wygodnie. Panujący w domu spokój, obecność Leny w kuchni i grający w kącie telewizor wpłynęły na poprawę jego nastroju.

Rozsznurował i ściągnął buty. Cały incydent trwał niespełna kilka minut, lecz w gruncie rzeczy wydawał się o wiele dłuższy. Cała wieczność, podczas której stał jak wrośnięty w ziemię, spoglądając na dach Johnsona. Tłum rozwrzeszczanych ludzi. Długi kij. I...

...i to, uwieszone wierzchołką dachu, bezkształtna szara masa, czyniąca rozpaczliwe wysiłki, aby uniknąć kontaktu z końcem drąga, który za wszelką cenę usiłował ściągnąć ją w dół.

Ted zadrżał. Przewróciło mu się w żołądku. Stał tam jak zakłęty, niezdolny odwrócić wzrok. Wreszcie ktoś przebiegający obok nadepnął mu na nogę. Czar prysł i przepełniony ulgą Ted pospieszył przed siebie tak szybko, jak tylko mógł. Chryste...!

Trzasnęły drzwi. Do pokoju z rękami w kieszeniach wszedł Jimmy.

- Cześć, tato. - Stał przy drzwiach od łazienki, spoglądając na ojca. - Co się stało? Dziwnie wyglądasz.

- Jimmy, podejdź tutaj. - Ted zgasił papierosa.

- Chcę z tobą pomówić.

- Muszę umyć się przed kolacją.

- Chodź tu i usiądź. Kolacja nie ucieknie.

Jimmy posłuchał i usiadł na tapczanie.

- Co się stało? Co jest?

Ted bacznie przyjrzał się synowi. Drobną okrągłą twarz, wpadające do oczu zmierzwiłone kosmyki. Smuga brudu na policzku. Jimmy miał jedenaście lat. Czy to odpowiednia pora, aby mu powiedzieć? Ted zacisnął zęby. Lepsza niż inna - póki obraz tkwił mu przed oczami jak żywy.

- Jimmy, na dachu Johnsona siedział Marsjanin. Widziałem go po drodze z przystanku.

Jimmy wytrzeszczył oczy.

- Pluskwiak?

- Ściągali go drągiem. Przybyła ich cała chmara. To zdarza się raz na kilka lat. - Dłonie ponownie zaczęły mu drżeć. Zapalił kolejnego papierosa. - Co dwa, trzy lata. Nie tak często jak niegdyś. Napływają chmarami z Marsa, całe setki. Zasypują świat jak liście. - Zadygotał. - Jak mnóstwo niesionych wiatrem suchych liści.

- Rany! - zawołał Jimmy. Zerwał się gwałtownie. - Czy on nadal tam jest?

- Nie, mieli go ściągnąć. Posłuchaj. - Ted nachylił się w stronę chłopca. - Posłuchaj mnie - mówię ci to, abyś trzymał się od nich z daleka. Jeżeli któregoś zobaczysz, po prostu odwróć się i biegnij, ile sił w nogach. Słyszałeś? Nie podchodź blisko. Nie... - Zawahał się. - Nie zwracaj na nie uwagi. Po prostu odwróć się i uciekaj. Sprowadź kogoś, zatrzymaj pierwszego napotkanego człowieka, powiedz mu, a potem wracaj do domu. Zrozumiałeś? Jimmy kiwnął głową.

- Wiesz, jak wyglądają. W szkole pokazywali wam zdjęcia. Musiałeś je...

Lena stanęła na progu kuchni.

- Kolacja na stole. Jimmy, jeszcze się nie umyłeś?

- Ja go zatrzymałem - wtrącił Ted, wstając z tapczanu. - Chciałem zamienić z nim słowo.

- Słuchaj, co mówi tata - powiedziała Lena. - O pluskwiakach... pamiętaj, co ci powiedział, bo tak dostaniesz w skórę, że długo nie zapomnisz.

Jimmy pobiegł do łazienki.

- Idę się umyć. - Zniknął, zatrząskując za sobą drzwi.

Ted podchwycił spojrzenie Leny.

- Mam nadzieję, że wkrótce się nimi zajmą. Niedobrze mi na samą myśl o wyjściu na dwór.

- Powinni. Słyszałam w telewizji, że tym razem są lepiej przygotowani niż ostatnio. - Lena dokonała w myślach pośpiesznego rachunku. - To już piąty raz. Piąta chmara. Zjawisko chyba traci na sile. Nie pojawiają się już tak często jak kiedyś. Pierwszy raz przypadł na tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty ósmy. Następny rok później. Ciekawe, kiedy to się skończy.

Jimmy wybiegł z łazienki.

- Siadajmy do stołu!

- Dobrze - odparł Ted. - Siadajmy.

Było skąpane w blasku słońca popołudnie. Jimmy Barnes opuścił boisko szkolne i wyminąwszy bramę, wybiegł na chodnik. Serce mocno biło mu z podniecenia. Biegiem skierował się ku Mapie Street i następnie wkroczył na Cedar Street.

Przy trawniku Johnsona wciąż stała garstka ludzi - policjant i kilku ciekawskich. Pośrodku trawnika, w miejscu gdzie zdarto kawał darni, ziała ogromna wyrwa. Kwiaty wokół domu zostały doszczętnie zdeptane. Jednak po pluskwiaku nie zostało ani śladu.

Do zatopionego w obserwacji Jimmy'ego podszedł Mike Edwards i poczęstował go kuksańcem w ramię.

- Co słychać, Barnes?

- Cześć. Widziałeś go?

- Pluskwiaka? Nie.

- Mój tato widział go, wracając z pracy.

- Bujasz!

- Nie, naprawdę. Mówi, że ściągali go kijem.

Nadjechał Ralf Drake na rowerze.

- Gdzie on jest? Zabrali go?

- Rozszarpali już na kawałki - odparł Mikę. - Barnes twierdzi, że jego stary widział go, wracając wczoraj wieczorem do domu.

- Mówił, że szturchali go drągiem. Usiłował przytrzymać się dachu.

- Oni wszyscy są tacy wysuszeni i zwiędnięci - powiedział Mikę - jak coś, co długo wisało w garażu.

- Skąd wiesz? - dopytywał się Ralf.

- Widziałem kiedyś jednego.

- Taa. Akurat.

Maszerowali chodnikiem, głośno rozprawiając, Ralf prowadził swój rower. Skręcili w Vermont Street i przecięli rozległą pustą działkę.

- Spiker w telewizji powiedział, że wyłapali większość - rzekł Ralf. - Tym razem nie było ich tak dużo.

Jimmy kopnął kamień.

- Chciałbym zobaczyć jednego, nim wyłapią wszystkie.

- Ja wolałbym dostać go w swoje ręce - odparł Mikę.

Ralf ironicznie wyszczerzył zęby.

- Na jego widok zwiewałbyś, azby się za tobą kurzyło.

- Tak?

- Leciałbyś jak głupi.

- Gadaj zdrów. Zdzieliłbym pluskwiaka kamieniem.

- I zaniósł do domu w puszcze?

Mikę puścił się za nim biegiem i pogonił do rogu. Dyskusja ciągnęła się nieprzerwanie przez całą drogę od miasta aż do przeciwległej strony torów. Minęli wytwórnię atramentu i peron ładowniczy Zachodniego Przedsiębiorstwa Drzewnego. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Nadciągał wieczór. Zimny wiatr targnął wierzchołkami palm rosnących na skraju siedziby firmy budowlanej Hartleya.

- Na razie - powiedział Ralf. Wskoczył na rower i odjechał. Mikę i Jimmy razem wrócili do miasta. Rozstali się na rogu Cedar Street.

- Jak zobaczysz pluskwiaka, daj mi znać - rzucił Mikę.

- Jasne. - Jimmy z rękami w kieszeniach powlókł się Cedar Street. Wraz z zejściem słońca nastał chłód. Zapadał zmierzch.

Szedł powoli ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Zapalono latarnie. Ulicą przejechało kilka samochodów. Zza zaciągniętych zasłon widział oświetlone ciepłym, żółtym blaskiem kuchnie i pokoje. Huk głośno nastawionego telewizora niósł się w ciemnościach donośnym echem. Wędrował wzdłuż ceglanego muru posiadłości Pomeroya. Mur przeszedł w żelazny płot, za którym wznosiły się spowite wieczornym mrokiem nieruchome iglaki.

Jimmy przystanął na chwilę, by zawiązać sznurowadło. Owiął go chłodny powiew, kołysząc lekko wierzchołkami drzew. W oddali rozległ się posępny gwizd pociągu. Pomyślał o kolacji, o tacie, jak siedzi w samych skarpetkach pogrążony w lekturze gazety. O mamie w kuchni - cicho szumiącym w kącie telewizorze - ciepłym, jasno oświetlonym pokoju.

Jimmy wyprostował się. Wysoko nad jego głową coś poruszyło się w gałęziach iglaków. Zdrętwiały popatrzył w górę. Wśród kołysanych wiatrem ciemnych gałęzi tkwił jakiś przedmiot. Stał jak wryty, nie mógł oderwać od niego wzroku.

Pluskwiak. Przyczajony na drzewie pluskwiak.

Był stary. Jimmy od razu to zauważył. Jego wysuszona postać tchnęła starością i kurzem. Wiekowy szary kształt, cichy i nieruchomy, wczepiony w pień i gałęzie iglaka. Masa szarych pajęczych odnóży oplatających drzewo. Mgliste poczucie obecności stwora sprawiło, że zjeżyły mu się włoski na karku.

Kształt wykonał prawie niedostrzegalny ruch. Zaczął pełznąć wzdłuż pnia, ostrożnie badając drogę, jak gdyby niedowidział. Posuwał się cal po calu, ślepy kopczyk pajęczych nówek i kurzu.

Jimmy odsunął się od płotu. Zapadła całkowita ciemność. Niebo nad nim przybrało barwę głębokiej czerni. W górze połyskiwały dalekie ogniki gwiazd. W dole ulicy przetoczył się autobus i skręcił za rogiem.

Na drzewie ponad jego głową wisiał pluskwiak. Jimmy odskoczył. Serce tak mocno waliło mu w piersi, że prawie się udławił. Ledwie mógł oddychać. Strach przyćmił mu wzrok. Pluskwiak znajdował się tuż obok, oddalony zaledwie o kilka jardów.

Pomoc - musiał sprowadzić pomoc. Mężczyzn z drągami, by zepchnęli pluskwiaka na ziemię. Z przymkniętymi oczami odsunął się od płotu. Odniósł wrażenie, że tkwi w samym środku przypiływu, że pochłania go potężna fala, uniemożliwiając odwrót. Nie był w stanie wyrwać się z uwięzi. Tkwił w pułapce. Oparł się całym wysiłkiem woli. Jeden krok... następny... i jeszcze jeden...

I wtedy usłyszał.

Czy raczej poczuł. Nie rozległ się żaden dźwięk. To było niczym bębny, pomruk oceanu wewnątrz jego głowy. Odgłos bez reszty wypełnił mu czaszkę. Przystanął. Pomruk był łagodny i rytmiczny, choć jednocześnie uporczywy i naglący. Rozdzielił się, osiągając formę - formę i masę. Falował, przybierając postać odległych wrażeń, obrazów i scenerii.

Dotyczyły one innego świata - świata należącego do tamtej istoty. Pluskwiak przemawiał do

niego, opowiadał mu o swoim świecie, pospiesznie roztaczając przed nim jedną wizję za drugą.

- Idź sobie - wymamrotał Jimmy.

Jednak wciąż napływały kolejne obrazy, z uporem oddziałując na jego umysł.

Równiny - bezkresne pustkowia, jak okiem sięgnąć. Ciemnoczerwone, spękane i poprzecinane wąwozami. Daleka linia zerodowanych wzgórz pokrytych pyłem. Na prawo rozległe koryto, obwiedziony białymi kryształkami soli wyschnięty i pusty lej, w miejscu, gdzie niegdyś pluskała woda.

- Idź sobie! - powtórzył Jimmy, cofając się o krok.

Wizja przybrała na sile. Martwe niebo, drobinki piasku, nieustannie nawiewane przez wiatr. Płachty wydm, skłębione obłoki piasku i kurzu, bez końca osnuwające pobrużdżoną powierzchnię planety. Garstka wątłych roślin wśród skał. Rozpięte w cieniu gór stare, zakurzone pajęczyny uprzedzione przed wiekami. Zdechłe pająki w szczelinach.

Obraz rozrósł się. Zobaczył wystającą z uprażonej ziemi rurę. Przewód wentylacyjny wiodący do podziemnej siedziby. Widok uległ zmianie. Zajrzał w głąb planety, mijał kolejne warstwy pomarszczonych skał. Nigdzie nie było śladu życia, ognia bądź wilgoci. Skóra planety popękała, jej wyschnięty miąższ wzbijał się w górę w postaci kłębow pyłu. Daleko w głębi, w samym jej sercu tkwiła podziemna komnata.

Znalazł się w środku. Wszędzie widział pełzające pluskwiaki. Maszyny, rozmaite budowle, rzędy roślin, generatory, domy, pomieszczenia wypełnione skomplikowanym sprzętem.

Poszczególne sekcje komnaty były zamknięte na głucho. Nadżarte rdzą metalowe drzwi, popadające w ruinę urządzenia, zakręcone zawory, butwiejące rury, połamane i zniszczone tarcze. Zapchane przewody, narzędzia z powyłamywanymi zębami, coraz więcej zamkniętych sekcji. Mniej pluskwiaków - coraz mniej...

Nastąpiła ponowna zmiana obrazu. Widziana z daleka Ziemia - odległa zielona kula, obracająca się wolno w otoczeniu chmur. Rozległe oceany, głębokie na mile rozlewiska - wilgotna atmosfera. I pluskwiaki dryfujące pustymi bezmiarami przestrzeni, rok po roku, coraz bliżej Ziemi. Dryfujące z morderczą powolnością poprzez spowitą mrokiem próżnię.

Teraz powiększeniu uległ wizerunek Ziemi. Widok stał się znajomy. Powierzchnia oceanu, mile spienionej wody, kilka mew w górze, odległa linia wybrzeża. Ocean Ziemi. Wędrujące po niebie obłoki.

Na powierzchni wody osiadły płaskie obiekty, wielkie metalowe dyski. Sztuczne twory unoszące się na falach w promieniu kilkuset mil. Pluskwiaki spoczywały na nich w milczeniu, absorbując z oceanu wodę i minerały.

Pluskwiak usiłował mu coś przekazać, jakąś prawdę o sobie. Dyski na wodzie - pluskwiaki chciały korzystać z wody, egzystować na jej powierzchni, na powierzchni oceanu. Właśnie to

próbował mu powiedzieć - że pragnęły wykorzystać powierzchnię rozciągającej się pomiędzy kontynentami wody. Teraz prosił, błagał. Chciał uzyskać odpowiedź. W nadziei czekał na jego słowa, reakcję, pozwolenie...

Obecne w jego umyśle sceny zniknęły. Jimmy zatoczył się do tyłu i potknął o krawężnik. Ponownie zerwał się, ocierając z dłoni wilgotne źdźbła trawy. Stał w rynsztoku. Widział uczonego gałęzi pluskwiaka. Był prawie niewidoczny. Chłopiec z trudem mógł wyłowić z ciemności jego kształt.

Pomruk w jego głowie ustał. Pluskwiak dał za wygraną.

Jimmy odwrócił się i pobiegł przed siebie. Zdyszany pognał na drugą stronę ulicy. Dotarł do rogu i skręcił w Douglas Street. Na przystanku stał przysadzisty mężczyzna z blaszanką pod pachą.

Jimmy podbiegł do niego.

- Pluskwiak. Na drzewie. - Zaczerpnął tchu. - Na dużym drzewie.

Mężczyzna odchrząknął.

- Uciekaj stąd, dzieciaku.

- Pluskwiak! - Głos Jimmy'ego przybrał uporczywy, świdrujący ton.

- Pluskwiak na drzewie!

W ciemności zamajaczyło dwóch mężczyzn.

- Co? Pluskwiak?

- Gdzie?

Pojawiło się więcej ludzi.

- Gdzie on jest?

Jimmy wskazał kierunek.

- Dom Pomeroya. Drzewo. Tuż przy płocie. - Dysząc, wymachiwał rękami.

Nadszedł policjant.

- Co tu się dzieje?

- Dzieciak znalazł pluskwiaka. Niech ktoś przyniesie drąg.

- Pokaż mi, gdzie on jest - rzekł policjant, ujmując Jimmy'ego pod ramię. - Idziemy.

Jimmy zaprowadził ich pod kamienny mur. Sam stanął z boku, z dala od płotu.

- Tam.

- Które to drzewo?

- Chyba... chyba tamto.

Zapalono latarkę i świetlisty snop omiółł iglaki. W domu Pomeroya rozblysły światła. Otwarto frontowe drzwi.

- Co tam? - zagrzemiał gniewny głos Pomeroya.

- Mamy tu pluskwiaka. Proszę tu nie podchodzić.

Trzasnęły zamykane w pośpiechu drzwi.

- Tam! - Jimmy pokazał palcem. - Tamto drzewo. - Serce prawie przestało mu bić. - Tam. Tam wysoko!

- Gdzie?

- Widzę go. - Policjant cofnął się, wyciągając pistolet.

- Nie zastrzeli go pan. Kule przechodzą na wylot.

- Niech ktoś przyniesie drąg.

- Za wysoko na drąg.

- Dajcie pochodnię.

- Niech ktoś da pochodnię!

Dwóch mężczyzn oddaliło się biegiem. Na ulicy przystawały samochody. Nadjechał wóz policyjny; podjechał do krawężnika i wyłączył syrenę. Otwarto drzwi i na zewnątrz wylegli mężczyźni. Włączono reflektory, oślepiając gapiów. Snop światła odszukał pluskwiaka i zamknął go w swym kręgu.

Pluskwiak trwał nieruchomo, kurczowo obejmując gałąź. W rzęsimym świetle przypominał gigantyczny kokon niepewnie wiszący na swoim miejscu. Z wahaniem zaczął pełznąć wzdłuż pnia. W poszukiwaniu punktu oparcia wyprostował odnóża.

- Pochodnię, do licha ciężkiego! Przynieście pochodnię!

Nadbiegł mężczyzna z odłamaną z płotu płonąca żagwią. Oblali benzyną ułożone wokół pnia

gazety. Dolne gałęzie zajęły się ogniem, początkowo słabo, potem coraz mocniej.

- Przynieście więcej benzyny!

Mężczyzna w białym mundurze przytaszczył kanister. Chlusnął benzyną na drzewo. Płomienie raptownie skoczyły w górę. Kruszyły się nadpalone gałęzie.

W siedzącego wysoko nad nimi pluskwiaka nagle wstąpiło życie. Niepewnie wspiął się na wyższą gałąź. Płomienie sięgały coraz wyżej. Pluskwiak szybko się podciągnął. I jeszcze raz.

- Patrzcie go.

- Nie ucieknie. Jest prawie na czubku.

Przyniesiono więcej benzyny. Ogień potężniał. Wokół płotu zgromadził się tłum ludzi. Policja pilnowała porządku.

- Jest. - Przesunięto reflektor, aby oświetlić pluskwiaka.

- Wlazł na szczyt.

Pluskwiak dotarł do wierzchołka drzewa. Przystanął, kołysząc się na boki. Płomienie skakały po gałęziach, podchodząc coraz bliżej niego. Pluskwiak pomacał wokół siebie na oślep, szukając oparcia. Język ognia liznął jego odnóże.

Ze skwierczącego ciała wzbija się smuga dymu.

- Pali się! - Przez tłum przetoczył się szmer podniecenia. - Koniec z nim.

Pluskwiak płonął. Próbując uciec, wykonywał niezgrabne ruchy. Naraz stracił równowagę i spadł na niższą gałąź. Przez chwilę wisiał na niej, cały czas płonął. Naraz gałąź pękła z rozdzierającym trzaskiem.

Pluskwiak runął w dół między gazety i rozlaną benzynę.

Tłum zawył. Niepohamowaną falą ruszył w kierunku drzewa.

- Rozdeptać go!

- Brać go!

- Zdeptać paskudztwo!

Buty na przemian wznosiły się i opadały, wgniatając pluskwiaka w ziemię. Jakiś mężczyzna stracił równowagę i upadł, okulary zwisały mu z jednego ucha. Ludzie przepychali się, usiłując dotrzeć bliżej drzewa. Spadła płonąca gałąź. Część gawiedzi ustąpiła.

- Ja go dostałem!

- Cofnąć się!

Z trzaskiem runęło więcej gałęzi. Tłum rozdzielił się i wycofał wśród śmiechu i przepychanek.

Jimmy poczuł na ramieniu ciężką dłoń policjanta.

- To koniec, chłopcze. Już po wszystkim.

- Złapali go?

- Pewnie. Jak się nazywasz?

- Jak się nazywam? - Jimmy otworzył usta, ale pomiędzy dwoma mężczyznami wywiązała się szamotanina i policjant oddalił się pośpiesznie.

Jimmy postać jeszcze przez chwilę. Noc była zimna. Mroźny podmuch przeniknął go na wskroś. Naraz pomyślał o kolacji i wyciągniętym na tapczanie ojcu. O matce krzającą się w kuchni. I przytulnym ciepłe domowego ogniska.

Odwrócił się i przecisnął przez tłum w kierunku rogu ulicy. Za jego plecami wznosiła się zwęglona i dymiąca sylwetka drzewa. Zdeptano tłące się szczątki. Pluskwiak zniknął i nie było już co oglądać.

Jimmy popędził do domu, jakby siedziało mu na karku całe ich stado.

- I co wy na to? - zapytał Ted Barnes, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na odsuniętym od stołu krześle. Knajpkę wypełniał hałas i woń jedzenia. Ludzie popychali przed sobą tacki, nabierając potrawy z pojemników.

- Naprawdę zrobił to twój chłopak? - zapytał ciekawie siedzący na wprost niego Bob Walters.

- Na pewno nas nie nabierasz? - dorzucił Frank Hendricks, na moment opuszczając gazetę.

- To szczerą prawdą. Mówię o tym, którego złapali przy posiadłości Pomeroya. To był dopiero skurczybyk!

- Zgadza się - przyznał Jack Green. - W gazecie napisali, że jakiś dzieciak zauważył go pierwszy i powiadomił policję.

- To mój chłopak - oznajmił z dumą Ted. - I co wy na to?

- Nie bał się? - zapytał Bob Walters.

- A gdzieżby się bał! - rzucił z dumą Ted Barnes.

- Daję głowę, że tak. - Frank Hendricks pochodził z Missouri.

- A ja ci mówię, że się nie bał. Sprowadził policję, to się zdarzyło zeszłego wieczoru. Siedzieliśmy przy stole, zachodząc w głowę, gdzie ten nicpoń się podziewa. Zaczynałem się niepokoić. - Ted Barnes promieniał zadowoleniem.

Jack Green zerwał się pospiesznie, spoglądając na zegarek.

- Pora wracać do biura.

Frank i Bob też wstali.

- Do zobaczenia, Ted.

Green grzotnął Teda w plecy.

- Ty to masz syna, Bames - nie musisz się za niego wstydzić.

Ted odpowiedział mu uśmiechem.

- Ani trochę się nie bał. - Patrzył, jak wychodzą na ruchliwą ulicę. Dopił kawę i powoli wstał, ocierając podbródek. - Ani odrobinę, choćby tyci.

Zapłacił za lunch i wyszedł, wciąż napęczniały od dumy. W drodze do biura z uśmiechem spoglądał na mijanych przechodniów. Czuł, jak gdyby chlubny wyczyn syna przysporzył chwały także i jemu.

- Ani trochę się nie bał! - wymamrotał, kipiąc z dumy. - Ani odrobinę!

PODRÓŻNY

Człowieczek był zmęczony. Powoli przecisnął się przez krąg oblegających poczekalnię ludzi w kierunku okienka biletowego. Niecierpliwie czekał na swoją kolej, ze znużenia garbiąc obleczone brązowym płaszczem ramiona.

- Następny - zawołał Ed Jacobson, sprzedawca biletów.

Człowieczek cisnął na kontuar banknot pięciodolarowy.

- Poproszę nowy karnet podróży. Już zużyłem stary. - Zerknął na wiszący ponad ramieniem Jacobsona zegar ścienny. - Boże, czy naprawdę jest już tak późno?

Jacobson przyjął banknot.

- Dobrze, proszę pana. Jeden karnet. Na jaką trasę?

- Macon Heights - odparł człowieczek.

- Macon Heights. - Jacobson sprawdził na rozkładzie jazdy. - Macon Heights. Takie miejsce nie istnieje.

Twarz człowieczka ściągnęła się podejrzliwie.

- Usiłuje pan być dowcipny?

- Proszę pana, nie ma żadnego Macon Heights. Nie mogę sprzedać panu biletu do miejsca, które nie istnieje.

- Nie rozumiem pana. Przecież ja tam mieszkam!

- A co mnie to obchodzi. Od sześciu lat sprzedaję bilety i wiem, że nie ma takiego miejsca.

Człowieczek wybałuszył w zdumieniu oczy.

- Ależ tam jest mój dom! Co wieczór do niego wracam. Ja...

- Proszę. - Jacobson popchnął w jego stronę rozkład jazdy. - Niech pan sam sprawdzi.

Człowieczek przysunął rozkład i gorączkowo zaczął go przeglądać, wodząc drżącym palcem po spisie miast.

- I co? - zapytał Jacobson, opierając się łokciami o kontuar. - Nie ma go tam, prawda?

Oszołomiony człowieczek potrząsnął głową.

- Nic z tego nie rozumiem. Przecież to bez sensu. W czymś musi tkwić błąd. Tak, na pewno gdzieś musi...

Naraz zniknął. Rozkład spadł na cementową posadzkę. Człowieczek jak stał, tak nagle rozpląnął się w powietrzu.

- Święty Duchu Cezara - zipnął Jacobson. Otwierał i zamykał usta, spoglądając na porzucony rozkład.

Człowieczek po prostu przestał istnieć.

- I co dalej? - zapytał Bob Paine.

- Przeszedłem naokoło i podniosłem rozkład.

- Czy on naprawdę zniknął?

- Jeszcze jak. - Jacobson otarł czoło. - Szkoda, że pana tam nie było. Jak kamień w wodę. Ot tak. Bez najłżejszego szmeru.

Paine zapalił papierosa, odchylając się na krześle.

- Czy widział go pan kiedykolwiek przedtem?

- Ależ skąd.

- O jakiej porze dnia to się zdarzyło?

- Mniej więcej tak jak teraz. Około piątej. - Jacobson podszedł do okienka. - Nadchodzi grupa ludzi.

- Macon Heights. - Paine przewracał kartki stanowego przewodnika po miastach. - Nie jest wyszczególnione w żadnej z ksiąg. Jeśli znów się pojawi, chciałbym zamienić z nim słowo. Proszę przyprowadzić go do biura.

- Jasne. Nie chcę mieć z nim do czynienia. To nienormalna sytuacja. - Jacobson odwrócił się do okienka. - Słucham panią.

- Dwa bilety w obie strony do Lewisburga.

Paine zgasił papierosa i sięgnął po następnego.

- Mam wrażenie, że gdzieś już słyszałem tę nazwę. - Wstał i podszedł do mapy ściennej. - Ale nie jest tu wymieniona.

- Nie jest wymieniona, bo to miejsce zwyczajnie nie istnieje - rzekł Jacobson. - Wyobraża pan sobie, że mógłbym stać tutaj dzień w dzień, sprzedając dziesiątki biletów, i nie wiedzieć? - Z powrotem odwrócił się do okienka. - Słucham pana.

- Poproszę karnet podróży do Macon Heights - powiedział człowieczek, rzucając nerwowe spojrzenia na zegar ścienny. - I to szybko.

Jacobson przymknął oczy. Zebrał się w sobie. Kiedy znów otworzył oczy, człowieczek wciąż tam był. Drobna, pomarszczona twarz. Rzednące włosy. Okulary. Wymięty płaszcz.

Odwróciwszy się, Jacobson ruszył przez biuro w kierunku Paine'a.

- Wrócił. - Poblądły na twarzy Jacobson przełknął ślinę. - To znowu on.

Oczy Paine'a rozbliły.

- Niech pan go przyprowadzi.

Jacobson skinął głową i wrócił do okienka.

- Proszę pana - powiedział. - Czy zechciałby pan wejść do środka? - Wskazał ręką drzwi. - Zastępca kierownika chciałby z panem pomówić.

Twarz człowieka pociemniała.

- O co chodzi? Mój pociąg zaraz odjeżdża. - Pomrukując pod nosem, otworzył drzwi i wszedł do biura. - Po raz pierwszy mam do czynienia z podobną sytuacją. Rzeczywiście coraz trudniej jest nabyć karnet. Jeżeli spóźnię się na pociąg, wasza firma poniesie za to...

- Proszę usiąść - przerwał mu Paine, wskazując ustawione na wprost biurka krzesło. - A więc to pan chciałby wykupić bilety do Macon Heights?

- A cóż w tym dziwnego? Co się z wami wszystkimi dzieje? Dlaczego nie możecie sprzedać mi ich tak jak zawsze?

- Tak... jak zawsze?

Człowieczek opanował się z wysiłkiem.

- W grudniu moja żona i ja przenieśliśmy się do Macon Heights. Jeżdżę waszym pociągiem dziesięć razy w tygodniu, dwa razy dziennie. Co miesiąc kupuję nowy karnet podróży.

Paine nachylił się w jego stronę.

- A dokładniej, to którym pociągiem pan jeździ, panie...

- Critchet. Ernest Critchet. Pociągiem trasy B. Nie znacie własnych rozkładów?

- B? - Paine przesunął ołówkiem wzdłuż rozkładu. Nie widniało na nim żadne Macon Heights. - Ile trwa pańska podróż?

- Dokładnie czterdzieści dziewięć minut. - Critchet popatrzył na zegar. - O ile zdążę na pociąg.

Paine szybko przeliczył w myślach. Czterdzieści dziewięć minut. Około trzydziestu mil za miastem. Wstał i podszedł do mapy.

- Co się stało? - zapytał z nie skrywaną podejrzliwością Critchet.

Paine wyrysował na mapie trzydziestomilowy okrąg. W jego obrębie znalazło się kilka miast, żadne z nich nie nosiło jednak nazwy Macon Heights. A na trasie B nie widniało absolutnie nic podobnego.

- Co to za miasto, Macon Heights? - zapytał Paine. - Ilu, według pana, liczy mieszkańców?

- Nie mam pojęcia. Jakies pięć tysięcy. Większość czasu spędzam w mieście. Jestem

buchalterem w zakładzie ubezpieczeniowym Bradshawa.

- Czy Macon Heights to stosunkowo nowe miasto?

- Wystarczająco. Mam nieduży, kilkuletni dom z dwiema sypialniami. - Critchet poruszył się niespokojnie. - Co z moim karnetem?

- Obawiam się - odparł z wolna Paine - że nie mogę go panu sprzedać.

- Co takiego? Niby dlaczego nie?

- Na naszym rozkładzie nie widnieje żadne Macon Heights.

Critcheta podskoczył.

- Co pan przez to rozumie?

- Po prostu go nie ma. Niech pan sam zobaczy na mapie.

Critcheta wytrzeszczył na niego oczy. Następnie odwrócił się w stronę mapy i popatrzył na nią uważnie.

- To przedziwna sytuacja, panie Critchet - ciągnął Paine. - Nie ma go ani na mapie, ani na stanowym wykazie miast. Nie widnieje na żadnym z naszych rozkładów, a więc nie może pan kupić do niego biletu. My nie...

Urwał. Critchet zniknął. Przed chwilą stał tam, studiując mapę ścienną. I naraz zniknął. Rozpłynął się w powietrzu.

- Jacobson! - warknął Paine. - Nie ma go!

Jacobson wytrzeszczył oczy. Pot wystąpił mu na czoło.

- Rzeczywiście - wymamrotał.

Paine w zamyśleniu spoglądał na opustoszałe po Ernestie Critchecie miejsce.

- Coś tu jest nie tak - mruknął. - Bardzo dziwne. - Chwycił swój płaszcz i skierował się ku wyjściu.

- Proszę mnie nie zostawiać! - błagał Jacobson.

- W razie potrzeby będę u Laury. Numer leży gdzieś na moim biurku.

- Nie pora na zabawy z dziewczętami.

Paine otworzył drzwi.

- Wątpię - odparł surowo - czy rzeczywiście chodzi tu o zabawę.

Paine wbiegał po schodach prowadzących do mieszkania Laury Nichols, przeskakując po dwa stopnie naraz. Naciskał dzwonek dopóty, dopóki drzwi nie stanęły otworem.

- Bob! - Laura zamrugała w zdumieniu. - Czemu zawdzięczam twoją...

Paine minął ją i wszedł do mieszkania.

- Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkadzam.

- Nie, ale...

- Sprawa jest poważna. Będę potrzebował pomocy. Czy mogę na ciebie liczyć?

- Na mnie? - Laura zamknęła za nim drzwi. Jej atrakcyjnie urządzone mieszkanie spowijał częściowo półmrok. Przy końcu ciemnozielonej kanapy jaśniała pojedyncza lampa stołowa. Zaciągnięto ciężkie zasłony. W kącie cicho przygrywał gramofon.

- Chyba tracę zmysły. - Paine opadł na wytworną kanapę. - Chciałbym się co do tego upewnić.

- Na czym ma polegać moja pomoc? - Laura wolno podeszła ku niemu. Założyła ręce, w ustach trzymała papierosa. Odgarnęła z oczu długie, czarne pasmo włosów. - Co dokładnie miałeś na myśli?

Paine obdarzył ją pełnym uznania uśmiechem.

- Zdziwisz się. Chcę, abyś jutro z samego rana pojechała do miasta i...

- Jutro rano! Ja pracuję, pamiętasz o tym? A na ten tydzień w redakcji przypada nowa seria sprawozdań.

- Do diabła z tym. Weź sobie wolne przedpołudnie. Pojedź do miasta, do biblioteki głównej. Jeżeli tam nie znajdziesz potrzebnych informacji, udaj się do sądu hrabstwa i przejrzyj archiwa podatkowe. Szukaj, aż ją znajdziesz.

- Ją? To znaczy co?

Paine z namysłem zapalił papierosa.

- Wzmiankę na temat miejsca o nazwie Macon Heights. Wiem, że obita mi się kiedyś o uszy, lata wstecz. Zrozumiałaś? Przejrzyj stare atlasy. Stare gazety w czytelnii. Czasopisma, raporty. Projekty miejskie składane przed radą ustawodawczą.

Laura usiadła powoli na poręczu kanapy.

- Żartujesz sobie ze mnie?

- Nie.
- Do ilu lat wstecz?
- Może dziesięciu... jeśli to będzie konieczne.
- Matko Święta! Przecież to zajmie mi...
- Siedź tam, dopóki nie znajdziesz. - Paine raptownie poderwał się z miejsca. - Na razie.
- Wychodzisz. Nie zabierzesz mnie na kolację?
- Przykro mi. - Paine skierował się ku drzwiom. - Będę zajęty. Naprawdę zajęty.
- Czym?
- Wizytą w Macon Heights.

Za oknami pociągu rozciągały się bezkresne pola, tylko gdzieniegdzie urozmaicane gospodarstwami rolnymi. Słupy telefoniczne posępnie celowały w wieczorne niebo.

Paine spojrział na zegarek. Pozostał niewielki kawałek drogi. Pociąg minął nieduże miasto. Kilka stacji benzynowych, parkingi na poboczach, sklep RTV. Ze zgrzytem hamulców wtoczył się na stację. Lewisburg. Wysiadła garstka podróżnych, mężczyźni w płaszczach, z wieczornymi dziennikami pod pachą. Trzasnęły drzwi i pociąg ruszył.

Paine w zamyśleniu opadł z powrotem na siedzenie. Critchet zniknął w trakcie spoglądania na mapę. Za pierwszym razem stało się to, gdy Jacobson pokazał mu rozkład jazdy. Kiedy uświadamiano mu, że miejsce o nazwie Macon Heights nie istnieje. Czyżby w tym tkwił klucz do zagadki? Cała historia pozbawiona była wszelkich znamion realności.

Paine wyjrzał przez okno. Prawie dotarł na miejsce - jeśli ono w ogóle istniało. Jak okiem sięgnąć, widać było brunatne połacie pól. Wzgórza i równiny. Słupy telefoniczne. Pędzące autostradą stanowią czarne punkciki samochodów.

Lecz ani śladu Macon Heights.

Pociąg sunął naprzód. Paine sprawdził czas na swoim zegarku. Upłynęło pięćdziesiąt jeden minut. I nic. Nic prócz pól.

Przeszedł przez wagon i usiadł obok konduktora, siwowłosego dżentelmena.

- Czy kiedykolwiek słyszał pan o Macon Heights? - zapytał Paine.
- Nie, sir.

Paine pokazał swoją kartę identyfikacyjną.

- Jest pan pewien?

- Na sto procent, panie Paine.

- Od jak dawna jeździ pan tą trasą?

- Jedenaście lat, panie Paine.

Paine dojechał do następnej stacji, Jacksonville. Tam przesiadł się na jadący z powrotem w kierunku miasta pociąg trasy B. Słońce już zaszło. Niebo było prawie zupełnie czarne. Z trudem rozróżniał jakiegokolwiek kształty za oknem.

Naraz zamarł, wstrzymując oddech. Pozostała jedna minuta. Czterdzieści sekund. Czyżby coś? Równinne pola. Posępne słupy telefoniczne. Opustoszały, nagi krajobraz leżący pomiędzy miastami.

Pomiędzy? Pociąg ze stukotem sunął przez mrok. Paine uporczywie spoglądał za okno. Czy coś tam było? Coś oprócz pól?

Ponad polami wisiała podłużna warstwa przejrzystych oparów, które ciągnęły się niemal przez milę. Co to mogło być? Para z silnika? Niemożliwe, przecież to silnik Diesla. Może z jadącej szosą ciężarówka? A może gdzieś płonęły zarośla? Wygląd pól nie wskazywał na pożar.

Naraz pociąg zaczął zwalniać, co wzbudziło natychmiastową czujność Paine'a. Zgrzytnęły hamulce, wagony zakołysały się na boki. Następnie zapadła cisza.

Po drugiej stronie przejścia wysoki mężczyzna w jasnym prochowcu wstał z miejsca, nałożył kapelusz i żwawo ruszył w kierunku wyjścia. Zeskoczył na ziemię. Paine obserwował go zafascynowany. Mężczyzna maszerował przez ciemne pole, coraz bardziej oddalając się od składu. Pewnym krokiem zmierzał ku wiszącej nad ziemią warstwie mgły.

W pewnej chwili oderwał się od podłoża. Wędrował obecnie stopę nad ziemią. Zboczył w prawo i uniósł się na wysokość trzech stóp. Przez jakiś czas szedł równoległe do pola, wciąż oddalając się od pociągu. Zaraz potem dotarł do kłębowiska oparów. I zniknął.

Paine rzucił się wzdłuż przejścia. Lecz pociąg zdążył już nabrać prędkości i uciekający za oknem krajobraz zlał się w jedno. Paine odnalazł opartego o ścianę konduktora, młodzieńca o twarzy podobnej do puddingu.

- Słuchaj pan - wycedził Paine. - Co to był za przystanek?!

- Co proszę, sir'?

- Tamten przystanek! Gdzie my, do cholery, byliśmy?

- Zawsze się tam zatrzymujemy. - Konduktor powoli sięgnął do kieszeni i dobył z niej plik

rozkładów. Przerzucił je i wręczył jeden Paine'owi. - B zawsze przystaje w Macon Heights. Nie wiedział pan o tym?

- Nie!

- Tak jest na rozkładzie. - Młodzieniec powrócił do przerwanej lektury brukowca. - Zawsze tam stajemy. Zawsze stawaliśmy. I zawsze będziemy stawać.

Paine otworzył rozkład jazdy. Rzeczywiście. Macon Heights umiejscowiono pomiędzy Jacksonville i Lewisburgiem. Dokładnie trzydzieści mil od miasta.

Macon Heights!

Następnego ranka zastał Laurę w jej mieszkaniu. Siedziała przy stoliku do kawy, ubrana w różowy sweterek i kapcie. Na wprost niej leżała sterta notatek, ołówek, gumka oraz słodzone mleko.

- Jak ci poszło? - zapytał Paine.

- W porządku. Zdobyłam potrzebne ci informacje.

- I o co w tym wszystkim chodzi?

- Jest masa materiałów na ten temat. - Postukała w plik notatek. - Zestawiłam dla ciebie większą część.

- Zatem zbierzmy to w całość.

- W sierpniu upłynie siedem lat, odkąd rada nadzorcza hrabstwa przeprowadziła głosowanie nad trzema obszarami mieszkalnymi mającymi powstać za miastem. Jednym z nich miało być Macon Heights. Wywiązała się zawzięta debata. Większość lokalnych kupców sprzeciwiła się powstaniu nowych osiedli. Twierdzili, że odciągną one od miasta zbyt wielu drobnych kupców.

- Mów dalej.

- Spór toczył się bardzo długo. Wreszcie zatwierdzono dwa spośród trzech projektów. Waterville i Cedar Groves. Kandydatura Macon Heights odpadła.

- Rozumiem - mruknął Paine.

- Projekt stworzenia Macon Heights upadł. Debatujący poszli na kompromis: dwa osiedla zamiast trzech. Wybudowano je natychmiast. Wiesz. Przejeżdżaliśmy kiedyś przez Waterville. Całkiem ładne miasteczko.

- Ale nie Macon Heights.

- Nie. Ten projekt odrzucono. Paine potarł ręką podbródek.

- Zatem to jest cała historia.

- Tak. Czy zdajesz sobie sprawę, że z jej przyczyny straciłam pół dniówki? Dziś wieczorem musisz mnie gdzieś zabrać. Może powinnam znaleźć sobie innego faceta. Zaczynam myśleć, że nie jesteś wart zachodu.

Paine przytaknął z roztargnieniem.

- Siedem lat temu. - Naraz przyszła mu do głowy pewna myśl. - Głosowanie! Ilu głosów zabrakło do zatwierdzenia Macon Heights?

Laura sprawdziła w notatkach.

- Projekt odrzucono jednym głosem.

- Zabrakło jednego głosu. Siedem lat temu. - Paine wyszedł na korytarz. - Dzięki, skarbie. Wszystko zaczyna się wyjaśniać. I to jak!

Przed domem złapał taksówkę i kazał się zawieźć na stację kolejową. Za oknem migały pozostawiane w tyle ulice i szyldy. Ludzie, sklepy, samochody.

Intuicja go nie zawiodła. Naprawdę napotkał już tę nazwę. Siedem lat wcześniej, podczas zagorzałej debaty w sprawie propozycji utworzenia podmiejskiego osiedla. Dwa projekty zatwierdzono; jeden upadł i został zapomniany.

Lecz obecnie zapomniane miasto budziło się do życia - z siedmioletnim opóźnieniem. Miasto wraz z nieokreślonym wycinkiem rzeczywistości. Dlaczego? Czyżby zmianie uległ pewien aspekt przeszłości? Czyżby w jakimś przeszłym kontinuum nastąpiła alternacja?

To istotnie mogłoby prowadzić do rozwiązania zagadki. Niewiele brakowało do zatwierdzenia projektu. Macon Heights zostało prawie zaaprobowane. Może ten szczególny okres sprzed siedmiu lat należał do krytycznych. Może nigdy w pełni nie "steżzał". Cóż za osobliwa koncepcja: zmieniają się minione wydarzenia, mimo iż miały miejsce dawno temu.

Naraz coś przykuło wzrok Paine'a. Wyprostował się na siedzeniu. Po drugiej stronie ulicy dostrzegł szyld wiszący w połowie wysokości budynku. Reklamował małą, niepozorną instytucję. Kiedy taksówka podjechała bliżej, Paine wyteżył wzrok.

BRADSHAW

UBEZPIECZENIA

(LUB)

NOTARIUSZ

Dało mu to do myślenia. Miejsce pracy Critcheta. Czyżby ono również na przemian znikало i się pojawiało? Ogarnął go nieokreślony niepokój.

- Szybciej - polecił kierowcy. - Jedźmy dalej.

Kiedy pociąg zwalniał w Macon Heights, Paine pospiesznie wstał z miejsca i skierował się ku wyjściu. Gdy koła zgrzytnęły i znieruchomiały, wyskoczył na rozgrzany żwirowy nasyp. Rozejrzał się.

W świetle popołudniowego słońca Macon Heights skrzyło się i migotało, równe rzędy domów ciągnęły się we wszystkich kierunkach. Pośrodku stał olbrzymi namiot teatru.

Proszę, nawet teatr. Paine ruszył drogą w kierunku miasta. Za dworcem znajdował się parking. Przeciął go, idąc za stacją benzynową ścieżką prowadzącą w kierunku deptaka.

Znalazł się na głównej ulicy. Na wprost niego rozciągał się podwójny rząd sklepów. Towary żelazne. Dwie drogerie. Sklep z artykułami po dziesięć centów za sztukę. Nowoczesny dom towarowy.

Paine wędrował przed siebie z rękami w kieszeniach, bacznie lustrując otaczające go Macon Heights. Dostrzegł wysoki i opasły blok mieszkalny. Dozorca szorował frontowe schody. Wszystko pachniało nowością. Domy, sklepy, ulice i chodniki. Liczniki parkingowe. Ubrany na brązowo policjant wręczał komuś mandat. Rosnące w odstępach, schludnie przystryżone drzewa.

Minał duży supermarket. Na zewnątrz stała skrzynia z owocami, pomarańczami i winogronami. Podniósł jedno grono i ugryzł.

Bez wątplenia owoc był prawdziwy. Duże, czarne grono, słodkie i soczyste. A dwadzieścia cztery godziny wcześniej w tym miejscu widniało jedynie opustoszałe pole.

Paine wszedł do jednej z knajpek. Przekartkował jakieś czasopismo, po czym usiadł przy ladzie. U czerwonolicej kelnerki zamówił filiżankę kawy.

- Ładne miasteczko - rzekł Paine, kiedy przyniosła kawę.

- Prawda?

Paine zawahał się.

- Od... od jak dawna pani tu pracuje?

- Od trzech miesięcy.

- Trzech miesięcy? - Paine zmierzył hożą blondyneczkę wzrokiem. - Mieszka pani w Macon Heights?

- Ach, tak.

- Jak długo?

- Chyba będzie już kilka lat. - Oddaliła się, by obsłużyć młodego żołnierza, który zajął miejsce przy kontuarze.

Popijając kawę i paląc papierosa, Paine od niechcienia obserwował przechodzących ulicą ludzi. Nie wyróżniało ich nic szczególnego. Mężczyźni i kobiety, głównie kobiety. Niektóre niosły torby z zakupami i popychały przed sobą małe druczane wózki. Szosą wolno toczyły się w obie strony pojazdy. Senne miasteczko na obrzeżach aglomeracji. Nowoczesne, zasiedlone na ogół przez dobrze sytuowanych mieszkańców. I do tego przyzwoite. Żadnych slumsów. Nieduże, ładne domki. Sklepy o porośniętych trawą pochyłych frontach i neonowych szyldach.

Do kawiarni wpadła grupka rozbawionych licealistów. Dwie dziewczyny w jaskrawych swetrach usiadły obok Paine'a i zamówiły napoje limonowe. Dolatywały ku niemu strzępy ich prowadzonej wśród śmiechu rozmowy.

Przyjrzał się im z namysłem. W realność dziewcząt nie sposób było wątpić. Miały umalowane usta i czerwone paznokcie. Swetry i naręcza podręczników. Chmara licealistów tłumnie zalegała knajpkę.

Paine ze znużeniem potarł czoło. Przecież to niemożliwe. Może on zwariował. Miasto było prawdziwe. Absolutnie prawdziwe. Musiało istnieć od zawsze. Całe miasto nie mogło powstać ot tak, z niczego; z oparów szarej mgły. Pięć tysięcy ludzi, domy, ulice oraz sklepy.

Sklepy. Zakład ubezpieczeniowy Bradshawa.

Przejęła go chłodem nagła myśl. Zrozumiał. Zjawisko zataczało coraz szersze kręgi. Wykraczało poza Macon Heights. Sięgało miasta. Ono również ulegało przeobrażeniu. Zakład ubezpieczeniowy Bradshawa. Miejsce pracy Critcheta.

Bez zmiany charakteru miasta Macon Heights nie mogłoby istnieć. Były ze sobą nierozłącznie związane. Owe pięć tysięcy ludzi pochodziło z miasta. Ich praca. Ich życie. Miasto było w to zaangażowane.

Ale do jakiego stopnia? Na czym polegały zmiany zachodzące w mieście?

Paine rzucił na ladę dwadzieścia pięć centów i pognął w stronę dworca. Musiał wrócić do miasta. Laura, zmiana. Czy jeszcze ją tam zastanie? I czyjego życiu nic nie groziło?

Owładnął nim lęk. Laura, cały jego majątek, plany, nadzieje i marzenia. Macon Heights w jednej chwili stało się nieważne. Niebezpieczeństwo zawisło nad jego światem. Obecnie liczyło się jedno. Musiał się upewnić; upewnić, że jego życie toczyło się niezmiennym trybem, nie tknięte przez

wzrastający zasięg promieniujących z Macon Heights zmian.

- Dokąd, kolego? - zapytał taksówkarz, kiedy Paine wybiegł z dworca.

Podał mu adres mieszkania. Taksówka włączyła się do ruchu. Paine nerwowo opadł na siedzenie. Za oknem migały ulice i biurowce. Kończący właśnie pracę urzędnicy gromadnie wychodzili na chodnik i oblegali każdy róg.

Jak bardzo się zmieniło? Z uwagą popatrzył na rząd domów. Duży dom towarowy. Czy zawsze tam stał? Tuż obok mały kramik pucybuta. Nigdy przedtem nie zwrócił na niego uwagi.

NORRIS MEBLE.

Tego na pewno nie pamiętał. Lecz czy ów fakt mógł o czymkolwiek świadczyć? Poczul się zbity z tropu. Co pozwoli mu uzyskać całkowitą pewność?

Wysiadł z taksówki przed wejściem do domu. Stał przez chwilę, rozglądając się wokół. Na skraju bloku właściciel włoskich delikatesów podciągał story. Czy kiedykolwiek przedtem widział te delikatesy?

Nie mógł sobie przypomnieć.

Co się stało z rozległym targowiskiem mięsnym po drugiej stronie ulicy? Zamiast niego stały tam schludne domki; chyba znajdowały się tam od jakiegoś czasu. Czy targowisko mięsne w ogóle kiedyś tam było? Domy wyglądały na trwałe.

Na kolejnym bloku połyskiwał pasiasty szyld fryzjera. Czy zawsze tam wisiał?

Może tak, a może nie. Wszystko ulegało ciągłej przemianie. Powstawały nowe rzeczy, stare przemijały. Przeszłość się zmieniała, a pamięć była z nią nierozzerwalnie związana. Jakże mógł ufać swojej pamięci? Jakże mógł być pewien?

Chwycił go strach. Laura. Jego świat...

Paine wbiegł na frontowe schody i otworzył drzwi na klatkę schodową. Po okrytych chodnikiem stopniach popędził na drugie piętro. Drzwi do mieszkania nie były zamknięte na klucz. Otworzył je i z sercem w gardle wszedł do środka, modląc się w duchu.

W salonie panował półmrok i cisza. Zasłony były zaciągnięte do połowy. Potoczył dokoła dzikim wzrokiem. Jasnoniebieska kanapa z czasopismami na poręczach. Niski stolik z dębowego drewna. Telewizor. Ale pokój był pusty.

- Laura! - krzyknął.

Laura stanęła w progu kuchni z rozszerzonymi strachem oczami.

- Bob! Co ty robisz w domu? Czy coś się stało?

Paine odetchnął z ulgą.

- Cześć, kochanie. - Mocno przycisnął ją do siebie i ucałował. Była ciepła i namacalna; absolutnie prawdziwa. - Nie, nic się nie stało. Wszystko w porządku.

- Na pewno?

- Na pewno. - Zdjął płaszcz i przerzucił go przez oparcie kanapy. Obszedł pokój i ze wzrastającą pewnością siebie zbadał znajdujące się w nim przedmioty. Znajoma niebieska kanapa z wypalonymi dziurami po papierosach. Jego wystrzępiony podnózek. Biurko, przy którym pracował w nocy. Wędki oparte o ścianę za biblioteczką.

Duży telewizor, który kupił nie dalej jak w zeszłym miesiącu; on również był nie tknięty.

Wszystko, co miał, było bezpieczne. Nie naruszone.

- Kolacja będzie dopiero za pół godziny - mruknęła z obawą Laura, zdejmując fartuch. - Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie. Obijałam się przez cały dzień. Chociaż nie, wymyłam kuchenkę. Jakiś komiwojazer zostawił próbkę nowego proszku do czyszczenia.

- Nic nie szkodzi. - Przyjrzał się wiszącej na ścianie ulubionej reprodukcji Renoira. - Nie spiesz się. Dobrze znów to wszystko widzieć. Ja...

Z sypialni dobiegł odgłos płaczu. Laura odwróciła się żywo.

- Chyba obudziliśmy Jimmy'ego.

- Jimmy'ego?

Laura roześmiała się.

- Kochanie, czyżbyś zapomniał, że masz syna?

- Ależ skąd - mruknął z irytacją Paine. Wolno podążył za Laurą do sypialni. - Jedyne przez chwilę wszystko wydawało się obce. - Zmarszczył brwi i potarł czoło. - Obce i dziwne. Całkiem nie na miejscu.

Stanęli przy kołysce i popatrzyli na dziecko. Jimmy odwzajemnił ich spojrzenia.

- To pewnie przez to słońce - stwierdziła Laura. - Na dworzu jest tak okropnie gorąco.

- Na pewno masz rację. Ale teraz już dobrze. - Wyciągnawszy rękę, Paine dotknął dziecka. Objął żonę i przytulił ją do siebie. - To na pewno przez słońce - powtórzył. I z uśmiechem popatrzył jej w oczy.

ŚWIAT, KTÓREGO PRAGNĘŁA

Larry Brewster objął na wpół przytomnym wzrokiem szereg częściowo opróżnionych butelek z piwem oraz porzucane na stole niedopałki i zmięte pudełka od zapalek. Wyciągnął rękę i poprawił ustawienie jednej z butelek, osiągając tym samym optymalny efekt.

Z tylnej części "Wind-Upu" dobiegał jazgot kapeli jazzowej. Chropowate dźwięki mieszały się z pomrukiem głosów, rozproszoną ciemnością i pobrzękiwaniem szklanek przy barze. Larry Brewster wydał pełne zadowolenia westchnienie.

- To jest właśnie nirwana - powiedział. Na potwierdzenie tych słów powoli skinął głową. - A przynajmniej siódmy poziom buddyjskiego nieba.

- W niebie buddyjskim nie ma siedmiu nieb - zabrzmiał nad jego głową pełen przekonania kobiecy głos.

- To prawda - przyznał po namyśle Larry. - Powiedziałem to w sensie metaforycznym, a nie dosłownym.

- Powinieneś bardziej uważać; należy mówić to, co się myśli.

- Dokładnie to, co się myśli? - Larry podniósł wzrok. - Czy miałem przyjemność panią poznać, młoda damo?

Szczupła, złotowłosa dziewczyna o połyskujących w półmroku bystrych oczach siadła na krześle po drugiej stronie stołu. Uśmiechnęła się, błyskając białymi zębami.

- Nie - odparła. - Nie spotkaliśmy się nigdy przedtem; nasz czas dopiero nadszedł.

- Nasz... nasz czas? - Larry z wolna oprzytomniał. Coś w rozpromienionej, rzeczowej twarzy dziewczyny sprawiło, że mimo alkoholowego zamroczenia targnął nim lekki niepokój. Jej uśmiech tchnął podejrzanym spokojem i pewnością siebie. - O co tak naprawdę pani chodzi? - mruknął Larry. - Co tu jest grane?

Dziewczyna zsunęła płaszcz, odsłaniając pełne, krągłe piersi i zgrabną figurę.

- Ja poproszę martini - rzekła. - A tak w ogóle, to nazywam się Allison Holmes.

- Larry Brewster. - Larry zmierzył ją badawczym spojrzeniem. O co pani prosiła?

- O martini. Wytrawne. - Allison posłała mu zza stołu chłodny uśmieszek. - Zamów też jedno dla siebie.

Larry chrząknął. Skinął na kelnera.

- Wytrawne martini, Max.

- OK, panie Brewster.

Kilka minut później Max powrócił z kieliszkiem martini i postawił go na stole. Kiedy znów się oddalił, Larry zwrócił się ku jasnowłosej dziewczynie.

- A teraz, panno Holmes...

- Nic nie zamówiłeś?

- Nic nie zamówiłem. - Larry spoglądał, jak popija swojego drinka. Miała małe, delikatne dłonie. Uznał ją za całkiem niebrzydką, choć nie podobało mu się pełne samozadowolenia opanowanie w jej oczach. - O co chodzi z tym naszym czasem? Proszę wprowadzić mnie w szczegóły.

- To niezwykle proste. Zobaczyłam, jak tu siedzisz, i zaraz wiedziałam, że to właśnie ty. Mimo całego bałaganu. - Ze zmarszczonym nosem popatrzyła na zaśmiecające stół przedmioty. - Dlaczego nie każesz ich posprzątać?

- Bo tak mi się podoba. Wiedziała pani, że to ja? Co to znaczy? - Zainteresowanie Larry'ego rosło. - Proszę mówić dalej.

- Larry, to bardzo ważna chwila w moim życiu. - Allison rozejrzała się wokół. - Któż by przypuszczał, że odnajdę cię w miejscu takim jak to? Jednak zawsze tak się dzieje. To po prostu kolejne ogniwo łańcucha, który istniał, odkąd tylko sięgam pamięcią.

- Łańcucha?

Allison roześmiała się.

- Biedny Larry. Ty nic nie rozumiesz. - Pochyliła się ku niemu z roziskrzonymi oczami. - Widzisz, Larry, wiem coś, o czym nie wie nikt inny - nikt na tym świecie. Coś, o czym przekonałam się, będąc małą dziewczynką. Coś...

- Chwileczkę. Co ma pani na myśli, mówiąc "ten świat"? Czy mam przez to rozumieć, że istnieją światy sympatyczniejsze od tego? Lepsze? Tak jak u Platona? Że ten świat to po prostu...

- Ależ skąd! - Allison zmarszczyła brwi. - To jest najlepszy świat, Larry. Najlepszy ze wszystkich możliwych światów.

- Ach tak. Herbert Spencer.

- Jest najlepszy z możliwych dla mnie. - Posłała mu chłodny, tajemniczy uśmiech.

- A to dlaczego dla pani?

W kunsztownie rzeźbionych rysach dziewczyny pojawił się prawie drapieżny wyraz.

- Ponieważ - odrzekła spokojnie - to jest mój świat.

Larry uniósł brew.

- Pani świat? - Uśmiechnął się dobrodusznie. - Jasne, że tak, skarbie; należy do nas wszystkich.

- Zatoczył ręką szeroki gest. - Pani świat, mój świat, świat muzyka grającego na banjo...

- Nie. - Allison z przekonaniem potrząsnęła głową. - Nie, Larry. To mój świat; należy tylko do mnie. Wszystko i wszyscy. To moja własność. - Przysunęła krzesło i usiadła naprzeciwko niego. Poczł w nozdrzach zapach jej perfum, ciepły, słodki i obezwładniający. - Czy nie pojmujesz? To wszystko jest moje. Każda rzecz istnieje tutaj dla mnie, aby zapewnić mi szczęście.

Larry odsunął się nieznacznie.

- Tak? Wysłanie stosownych argumentów na poparcie tej doktryny filozoficznej sprawiłoby chyba nieco trudności. Przyznaję, że Kartezjusz utrzymywał, iż poznajemy świat wyłącznie za pomocą zmysłów, a te odzwierciedlają nasze...

Allison położyła drobną dłoń na jego ramieniu.

- Nie to miałam na myśli. Widzisz, Larry, istnieje wiele światów, najprzeróżniejszego rodzaju. Całe miliony. Tyle, ilu jest ludzi. Każdy człowiek posiada własny świat, Larry, własny, prywatny świat. Świat, którego istnienie polega na zapewnieniu mu szczęścia. - Skromnie spuściła wzrok. - Tak się składa, że ten jest mój.

Larry zastanowił się.

- To niezmiernie ciekawe, ale co z innymi? Na przykład ze mną?

- Ty, oczywiście, istniejesz dla mojego szczęścia; właśnie o tym mówię. - Uścisk małej ręki przybrał na sile. - Jak tylko cię ujrzałam, wiedziałam, że to ty. Myślałam o tym już od kilku dni. Czas, aby on się wreszcie pojawił. Mężczyzna przeznaczony dla mnie. Mężczyzna, za którego mam wyjść - tak aby moje szczęście osiągnęło pełnię.

- Hej! - zawołał Larry, odsuwając się gwałtownie.

- Co się stało?

- A co ze mną? - zapytał Larry. - To nie w porządku! Czy moje szczęście się nie liczy?

- Liczy... ale nie tutaj, nie w tym świecie. - Wykonała nieokreślony ruch ręką. - Twój świat istnieje gdzie indziej; w tym stanowisz zaledwie cząstkę mojego życia. Nie jesteś całkiem prawdziwy. W tym świecie tylko ja jestem całkowicie rzeczywista. Wszystko inne istnieje tutaj dla mnie. Ty... ty jesteś częściowo prawdziwy.

- Rozumiem. - Larry powoli rozparł się na krześle, potarł podbródek. - Wobec tego ja niby mam żyć w całej masie różnych światów. To tu, to tam, w zależności od tego, gdzie mnie potrzebują. Dajmy na to, tak jak teraz, w tym świecie. Przez dwadzieścia pięć lat błąkałem się tu i ówdzie, aby móc się stawić, kiedy będzie mnie pani potrzebowała.

- Zgadza się. - Oczy Allison zaślniły radośnie. - Trafiłeś w sedno. - Nagle spojrzała na zegarek. - Już późno. Musimy iść.

- Iść?

Allison poderwała się z miejsca, chwyciła swoją małą torebkę, a potem otuliła się płaszczem.

- Mamy tyle do zrobienia, Larry! Musimy odwiedzić tyle miejsc! - Ujęła go pod ramię. - Idziemy. Pospiesz się.

Larry powoli wstał z krzesła.

- Zaraz, proszę posłuchać...

- Czeka nas świetna zabawa. - Allison ciągnęła go w kierunku wyjścia. - Zastanówmy się... Co byłoby miłe...

Larry przystanął ze złością.

- Rachunek! Nie mogę tak po prostu wyjść. - Poszperał w kieszeni. - Muszę zapłacić około...

- Jaki tam rachunek; nie dzisiaj. To mój szczególny wieczór. - Allison odwróciła się w kierunku Maksa, który uprzętał naczynia ze zwolnionego stolika. - Nieprawdaż?

Stary kelner niespiesznie podniósł głowę.

- O co chodzi, panienko?

- Dziś nie trzeba żadnych rachunków.

Max potrząsnął głową.

- Żadnych rachunków, panienko. Urodziny szefa; drinki na koszt firmy.

Larry osłupiał.

- Co takiego?

- Chodźmy. - Allison szarpnęła go za ramię i otworzywszy ciężkie, obite pluszem drzwi, wyprowadziła na zimną, pogrążoną w mroku nowojorską ulicę. - Chodźmy, Larry. Mamy tyle do zrobienia!

- Nadal nie wiem, skąd się wzięła ta taksówka - mruknął Larry.

Samochód odjechał z dużą szybkością. Larry rozejrzał się. Dokąd oni zajechali? Na ciemnych, wyludnionych ulicach panowała cisza.

- Przede wszystkim - odezwała się Allison - chciałabym mieć bukiet. Nie sądzisz, Larry, że powinienem podarować swojej narzeczonej bukiet? Muszę ładnie wyglądać.

- Bukiet? W środku nocy? - Larry machnął ręką w kierunku pograżonych w mroku cichych ulic. - Chyba pani sobie żartuje?

Po chwili namysłu Allison zdecydowanie przeszła na drugą stronę jezdni; Larry ruszył za nią. Zbliżyła się do zamkniętej kwiaciarni ze zgaszonym neonem. Monetą postukała w witrynę.

- Czy pani zwariowała? - krzyknął Larry. - Przecież o tej porze nikogo już tam nie ma!

W głębi sklepu dostrzegli jakiś ruch. Do szyby podszedł starszy mężczyzna; zdjął okulary i schował je do kieszeni. Pochylił się i odryglował drzwi.

- O co chodzi, proszę pani?

- Prosiłabym o bukiet, najładniejszy, jaki pan ma. - Allison wepchnęła się do wnętrza kwiaciarni, bacznie spoglądając na kwiaty.

- Niech pan nie zwraca na nią uwagi, przyjacielu - powiedział ściszym głosem Larry. - Ona...

- Nie ma sprawy. - Staruszek westchnął. - Właśnie pracuję nad podatkiem dochodowym; krótka przerwa nie zawadzi. Powinienem mieć kilka gotowych. Otworzę chłodnię.

Pięć minut później ponownie znaleźli się na ulicy. Allison spoglądała z zachwytem na przypiętą do płaszcza ogromną orchideę.

- Jest piękna, Larry! - szepnęła. Ścisnęła jego rękę i spojrzała mu w twarz. - Ogromnie ci dziękuję, ale teraz musimy już iść.

- Dokąd? O godzinie pierwszej w nocy trafiła pani na nieszczęśnika ślęczącego nad swoimi podatkami, jednak nie sądzę, aby na tym odludziu miała się nadarzyć podobna okazja.

Allison rozejrzała się wokół.

- Zobaczmy... Tędy. Tamten duży budynek. Wcale bym się nie dziwiła... - Postukując w ciszy wysokimi obcasami, pociągnęła Larry'ego za sobą.

- No dobrze - odrzekł z lekkim uśmiechem Larry. - Pójdę z panią, to powinno być interesujące.

Przez zaciągnięte story wielkiego, kwadratowego domu nie przeświecało najmniejsze światło. Allison po omacku popędziła przed siebie i wbiegła na werandę.

- Hej! - wykrzyknął zaskoczony Larry. Allison otworzyła drzwi na oścież.

Z wnętrza buchnął potok światła i dobiegła wrzawa. Pomruk głosów. Za ciężką zasłoną znajdowała się sala krążących tam i z powrotem ludzi. Nad podłużnymi stołami i kontuarami pochylali się wytwornie odziani mężczyźni i kobiety.

- Och, och - wydusił Larry. - Teraz dopiero pani narozrabiała; to nie jest odpowiednie dla nas miejsce.

Podeszło do nich trzech ochroniarzy z rękami w kieszeniach.

- OK, panie, idziemy.

Larry drgnął.

- Jak panowie sobie życzą. Spokojny ze mnie człowiek.

- Bzdura. - Allison chwyciła go za ramię z roziskrzonymi z emocji oczami. - Zawsze chciałam odwiedzić dom gier. Popatrz tylko na te stoły! Co oni robią? Co to za przedmiot?

- Na miłość boską - jęknął zdesperowany Larry. - Wynośmy się stąd. Ci ludzie nas nie znają.

- Pewnie, że nie - wtrącił niezbyt zachęcająco jeden z zabijaków. Kiwnął na swoich kompanów. - Idziemy. - Złapali Larry'ego i powlekli go w kierunku wyjścia.

Allison zamrugnęła.

- Co wy z nim wyprawiacie? Przestańcie natychmiast! - Skupiła się, poruszając lekko ustami. - Niech no... niech no tylko zamienię kilka słów z Conniem.

Trzech osiłków zamarło. Powoli odwrócili się w jej stronę.

- Z kim? Co pani powiedziała?

Allison odpowiedziała szerokim uśmiechem.

- Z Conniem... jak sądzę. Właśnie tak powiedziałam? Z Conniem. Gdzie on jest? - Rozejrzała się. - Czy to aby nie on?

Siedzący przy jednym ze stołów niewysoki, elegancki człowiek odwrócił się, ukazując wykrzywioną grymasem irytacji twarz.

- Proszę dać mu spokój - wtrącił pospiesznie ochroniarz. - Lepiej nie zawracać Conniemu głowy, on bardzo tego nie lubi. - Zamknął drzwi, wpychając Larry'ego i Allison za zasłonę, do

wnętrza sali. - Grajcie sobie; życzę miłej zabawy.

Larry zerknął na stojącą u jego boku dziewczynę. Słabo pokręcił głową.

- Potrzebuję drinka... i to mocnego.

- Dobrze - odparła rozradowana Allison, nie odrywając wzroku od stołu z ruletką. - Ty idź się napić, tymczasem ja zagram!

Wypiwszy kilka szklanek szkockiej z wodą, Larry zsunął się ze stołka i ruszył w kierunku ustawionego pośrodku sali stołu z ruletką.

Wokół stołu zgromadził się tłum ludzi. Larry zachwiał się odrobinę i przymknął oczy; już wiedział. Kiedy doszedł do siebie, przepchnął się wśród gawiedzi i zbliżył do stołu.

- Co ten oznacza? - zapytała krupiera Allison, podnosząc do góry niebieski żeton. Na wprost niej wyrosła góra wielobarwnych żetonów. Przez tłum przebiegł szmer i wszyscy zwrócili ku niej oczy.

Larry podszedł do dziewczyny.

- Jak pani idzie? Zdążyła już pani stracić swój posag?

- Jeszcze nie. Zdaniem tego człowieka, jestem górą.

- Pewnie ma rację - westchnął z rezygnacją Larry. - W końcu to jego praca.

- Czy też masz ochotę zagrać? - spytała Allison, przyjmując furę żetonów. - Możesz je sobie wziąć. Mam dużo więcej.

- Widzę. Ale nie, dziękuję, to nie w moim stylu. Chodźmy. - Larry odciągnął ją od stołu. - Myślę, że przyszła pora, abyśmy ucieli sobie małą pogawędkę. Przejdźmy do kąta, tam jest cicho.

- Pogawędkę?

- Przemyślałem to; sprawy zaszły już wystarczająco daleko.

Allison podążyła za nim. Larry wielkimi krokami przeszedł w kąt sali. W ogromnym kominku trzaskały płomienie. Larry usadowił się w głębokim fotelu i wskazał jej drugi.

- Proszę usiąść - powiedział.

Usiadła, po czym założyła nogę na nogę i wygładziła spódniczkę. Oparła się i westchnęła.

- Czy to nie miłe? Ten ogień i w ogóle? Właśnie tak to sobie zawsze wyobrażałam. - Rozmarzona przymknęła oczy.

Zamyślony Larry wyjął papierosa i zapalił.

- Proszę posłuchać, panno Holmes...

- Allison. Ostatecznie mamy się pobrać.

- A więc dobrze, Allison. Słuchaj, Allison, ta cała sytuacja jest zupełnie bez sensu. Przy barze dokładnie wszystko przemyślałem. Ta twoja zwariowana teoria nie trzyma się kupy.

- Dlaczego? - zapytała sennym, dalekim głosem.

Larry ze złością machnął ręką.

- Zaraz ci powiem. Twierdzisz, że jestem tylko częściowo prawdziwy, czyż nie tak? Jediną osobą, która jest prawdziwa, jesteś ty.

Allison skinęła głową.

- Zgadza się.

- Chwileczkę! Nie mogę wypowiadać się na temat pozostałych. Larry z dezaprobatą machnął ręką w kierunku obecnych na sali osób. - Może co do nich masz rację. Może istotnie są jakimiś zjawami. Ale nie ja! Nie masz prawa mówić, że i ja nią jestem. - Uderzył pięścią w poręcz fotela. - Widzisz? I to określasz mianem częściowo prawdziwego?

- Fotel również zalicza się do obiektów jedynie częściowo rzeczywistych.

Larry jęknął.

- Do diabła, chodzę po tym świecie od dwudziestu pięciu lat i spotkałem cię zaledwie kilka godzin temu. Naprawdę mam uwierzyć, że nie jestem w pełni z krwi i kości? W pełni... w pełni sobą? I że stanowią po prostu fragment scenerii twojego świata? Jeden z jego integralnych elementów?

- Larry, kochanie. Ależ ty masz własny świat. Każdy z nas go ma. Jednak tak się składa, że ten jest mój, a ty istniejesz w nim dla mnie. - Allison otworzyła swoje wielkie, błękitne oczy. - W twoim świecie może i ja mam swoją małą rację bytu. Kochanie, nasze światy nakładają się na siebie; czyżbyś tego nie dostrzegał? Ty w moim istniejesz dla mnie. W twoim prawdopodobnie ja dla ciebie. - Uśmiechnęła się. - Wielki Projektant musiał postępować ekonomicznie - jak wszyscy artyści z prawdziwego zdarzenia. Wiele światów jest do siebie podobnych, niemal się nie różnią. Lecz każdy z nich należy tylko do jednej osoby.

- A ten jest twój. - Larry odetchnął. - W porządku, skarbie. Skoro tak twardo obstajesz przy swoim, pobawię się wraz z tobą... przynajmniej przez jakiś czas. Dotrzymam ci kroku. - Objął wzrokiem zatopioną w głębokim fotelu dziewczynę. - Wiesz co, w sumie jesteś niczego sobie.

- Dziękuję.

- A więc zgoda. Przynajmniej na razie. Może w gruncie rzeczy jesteśmy sobie pisani. Jednak musisz odrobinę przyhamować; trochę za ostro próbujesz szczęścia. Jeśli masz zamiar być ze mną, zwolnij nieco tempa.

- Co przez to rozumiesz, Larry?

- Wszystko. Choćby to miejsce. A gdyby tak zjawiała się policja? Hazard. Bezustanna gonitwa. - Larry popatrzył przed siebie. - Nie, nie tak ma być. Nie tak wyobrażam sobie swoje życie. Wiesz, co mi chodzi po głowie? - Larry rozmarzył się. - Mały domek, skarbie. Gdzieś na wsi. Daleko stąd. Okolice rolnicze. Równinne pola. Może w Kansas. Albo Kolorado. Malutka chatka. Ze studnią. I krowy.

Allison zmarszczyła brwi.

- Doprawdy?

- I wiesz co jeszcze? Ja, w ogrodzie. Uprawiający pole. Albo... albo karmiący kurczęta. Karmiłaś kiedyś kurczęta? - Uszczęśliwiony Larry potrząsnął głową. - To ci dopiero frajda, skarbie. No i wiewiórki. Spacerowałaś kiedyś po parku i je karmiłaś? Takie szare, z wielkimi, puszystymi ogonami? Tak długimi jak same wiewiórki?

Allison ziewnęła. Naraz poderwała się z miejsca i podniosła torebkę.

- Chyba musimy już lecieć.

Larry podniósł się z wolna.

- Tak, pewnie masz rację.

- Jutro czeka nas pracowity dzień. Chciałabym zacząć od samego rana. - Przepchnęła się przez tłum i ruszyła ku wyjściu. - Przede wszystkim chyba powinniśmy zacząć szukać...

- Twoje żetony - przerwał jej Larry.

- Co takiego?

- Twoje żetony. Wymień je.

- Na co?

- Na pieniądze - chyba właśnie wzywają do wymiany.

- Och, daj spokój. - Allison zwróciła się ku przysadzistemu mężczyźnie siedzącemu przy stole do black jacka. - Proszę! - Rzuciła mu żetony na kolana. - Proszę je sobie wziąć. W porządku, Larry. Idziemy!

Taksówka zatrzymała się przed drzwiami domu Larry'ego.

- To tutaj mieszkasz? - zapytała, spoglądając na budynek. - Nie jest zbyt nowoczesny, co?

- Nie. - Larry otworzył drzwiczki. - Kanalizacja również pozostawia wiele do życzenia. Ale do diabła z tym.

- Larry? - Allison zatrzymała go, kiedy już miał wysiąść.

- Słucham?

- Nie zapomnisz o jutrze, prawda?

- O jutrze?

- Mamy tyle do zrobienia. Masz być wcześniej na nogach, gotowy na kolejne wrażenia. Tak abyśmy zdążyli się ze wszystkim uporać.

- Może zatem o osiemnastej? Czy to cię zadowala? - Larry ziewnął. Było późno, i na dodatek zimno.

- Ależ skąd. Przyjadę po ciebie o dziesiątej.

- O dziesiątej! A co z moją pracą? Muszę iść do pracy!

- Nie jutro. Jutro jest nasz dzień.

- Jakim cudem mam przeżyć, skoro nie będę...

Allison oplótła go smukłymi rękoma.

- Nic się nie martw; wszystko będzie w porządku. Pamiętaj? To mój świat. - Przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Miała słodkie, chłodne usta. Przyłgnęła do niego z zamkniętymi oczami.

Larry wyswobodził się z uścisku.

- No już dobrze. - Poprawił krawat i stanął na chodniku.

- A więc do jutra. I nie przejmuj się swoją starą pracą. Do widzenia, Larry, kochanie. - Allison zatrzasnęła drzwiczki. Taksówka oddaliła się spowitą w ciemności ulicą. Larry odprowadził ją wzrokiem, wciąż nie mógł dojść do siebie. Wreszcie wzruszył ramionami i ruszył w stronę wejścia.

Na stoliku w holu leżał adresowany do niego list. Zabrał go i otworzył, gdy wchodził na piętro. List pochodził z jego biura, Towarzystwa Ubezpieczeniowego Braya. Był to roczny plan urlopowy dla personelu, wyznaczający każdemu pracownikowi dwa tygodnie wolnego. Nawet nie trudził się odszukaniem swojego nazwiska, aby stwierdzić, kiedy przypada j ego urlop.

“Nic się nie martw” - powiedziała Allison.

Wciskając kopertę do kieszeni płaszcza, Larry uśmiechnął się ponuro. Otworzył drzwi mieszkania. O dziesiątej? Cóż, przynajmniej zdąży się wyspać.

Dzień był jasny i ciepły. Usiadłszy na prowadzących do budynku schodach, Larry Brewster zapalił papierosa i pogrążył się w myślach, czekając na przybycie Allison. Nie ulegało wątpliwości, iż nie mogła narzekać na brak szczęścia. Całe mnóstwo spraw przybierało pomyślny dla niej obrót. Nic dziwnego, że sądziła, iż to jej świat. Jednak niektórzy po prostu tacy byli. Szczęściarze. Na każdym kroku stwierdzali, że koło fortuny toczy się dokładnie po ich myśli; wygrywali teleturnieje; znajdowali pieniądze w rynsztoku; stawiali na właściwego konia. Takie rzeczy się zdarzają.

Jej świat? Larry uśmiechnął się krzywo. Allison najwyraźniej w to wierzyła. Ciekawe. Tak czy inaczej, jeszcze przez jakiś czas dotrzyma jej towarzystwa; ostatecznie była całkiem sympatyczna.

Rozległ się klakson i Larry podniósł głowę. Na wprost niego stanął kabriolet z opuszczonym dachem. Allison pomachała ręką.

- Cześć! Wskakuj!

Larry wstał i podszedł bliżej.

- Skąd go wytrzasnęłaś? - Otworzył drzwi i powoli wsiadł do samochodu.

- To? - Allison zapuściła silnik. Kabriolet dołączył do ruchu. - Zapomniałam; chyba ktoś mi go dał.

- Zapomniałaś! - Wlepił w nią zdumione spojrzenie. Następnie oparł się o miękkie siedzenie. - No i? Od czego zaczniemy?

- Jedziemy do naszego nowego domu.

- Czyjego nowego domu?

- Naszego. Twojego i mojego.

Larry wcisnął się w fotel.

- Co? Ależ ty...

Allison energicznie wzięła zakręt.

- Spodoba ci się; jest ładny. Ile pokoi ma twoje mieszkanie?

- Trzy.

Allison wybuchnęła radosnym śmiechem.

- Ten ma jedenaście. Dwie kondygnacje. Zajmuje pół akra. Przynajmniej tak mi mówiono.

- To znaczy, że jeszcze go nie widziałaś?

- Nie. Dziś rano otrzymałam telefon od mojego prawnika.

- Twojego prawnika?

- To część pozostawionej mi posesji.

Larry powoli doszedł do siebie. Ubrana w szkarłatny kostiumik Allison nie odrywała wzroku od drogi, na jej drobnej twarzy malowało się zadowolenie.

- Zaraz, wyjaśnijmy to sobie. Nigdy nie widziałaś tego domu na oczy; dopiero co dzwonił do ciebie twój prawnik; otrzymałaś to jako część spadku.

- Zgadza się. Po jakimś starym wujaszku. Nie pamiętam, jak się nazywał. Nawet nie liczyłam na to, że uwzględni mnie w testamencie. - Obrzuciła Larry'ego ciepłym spojrzeniem. - Jednak to dla mnie taki szczególny czas. Ważne, aby wszystko poszło jak należy. Mój cały świat...

- Jasne. Twój cały świat. Mam nadzieję, że ten dom w ogóle ci się spodoba.

Allison roześmiała się.

- Na pewno. Ostatecznie właśnie dla mnie istnieje; po to jest.

- Wszystko dopięte na ostami guzik - mruknął Larry. - Najdrobniejsza rzecz, która ci się przytrafia, jest jedynie dla twojego dobra i nieodmiennie sprawia ci satysfakcję. Zatem to musi być twój świat. A może to jedynie kwestia autosugestii - po prostu wmawiasz sobie, że to wszystko cię cieszy.

- Tak sądzisz?

Z namysłem zmarszczył brwi, podczas gdy samochód dalej pędził przed siebie.

- Powiedz mi - rzekł wreszcie - co nasunęło ci myśl o tych wielu światach? Skąd ta pewność, że właśnie ten należy do ciebie?

Odpowiedziała mu z uśmiechem:

- Sama do tego doszłam. Podczas studiów nad logiką i filozofią, no i historią, zawsze zdumiewała mnie jedna rzecz. Dlaczego w losach ludzi i narodów zachodziło tyle istotnych zmian, które jakby były zsyłane przez opatrność, dokładnie w odpowiednim momencie? Dlaczego wydawało się, że mój świat był właśnie taki, a nie inny dzięki rozmaitym dziwnym trafom zdarzającym się od zarania dziejów? Zapoznałam się z ową teorią Najlepszego ze Wszystkich

Możliwych Światów, ale nie miała dla mnie większego sensu. Poznałam religie ludzkości i naukowe spekulacje na temat istnienia Stwórcy - lecz czegoś mi tu brakowało, czegoś, co albo nie mogło zostać wyjaśnione, albo zostało przeoczone.

Larry skinął głową.

- Jasne. To proste; jeżeli to ma być najlepszy ze wszystkich możliwych światów, to dlaczego spotykamy w nim tyle cierpienia - niepotrzebnego cierpienia - skoro istnieje łaskawy i wszechmocny Bóg, jak wierzyły, nadal wierzą i niewątpliwie będą wierzyć miliony ludzi, to czym wyjaśnić istnienie zła? - Posłał jej krzywy uśmiezek. - I ty rozpracowałeś to wszystko, hm, bez najmniejszych trudności?

Allison pociągnęła nosem.

- Nie musisz ujmować tego w taki sposób.... Cóż, to rzeczywiście nieskomplikowane i istnieje więcej osób, które na to wpadły, chociaż w tym świecie jestem tylko ja jedna...

- W porządku - przerwał jej Larry. - Wstrzymam się z krytyką, dopóki nie powiesz mi, jak tego dokonałaś.

- Dziękuję, kochanie - odrzekła. - Widzisz, jednak okazujesz mi zrozumienie, choć nie we wszystkim się zgadzamy... Ale jestem pewna, że to i tak byłoby nudne. Zabawnie jest, kiedy muszę cię przekonywać... Och, nie denerwuj się, zaraz przejdę do sedna sprawy.

- Dziękuję - powiedział.

- To tak proste jak sztuczka z jajkiem, jak tylko połapiesz się w regułach. Przyczyną, dla której zarówno istnienie łaskawego Stwórcy, jak i teoria Najlepszego ze Wszystkich Możliwych Światów podlegają dyskusji, jest przyjęcie nieuzasadnionej tezy - mianowicie, że to jest jedyny świat. Gdybyśmy jednak, dajmy na to, założyli istnienie Stwórcy dysponującego nieograniczoną mocą, to nie wykluczałoby możliwości, iż mógłby on stworzyć nieograniczoną ilość światów... a przynajmniej tyle, iż ich ilość nam wydawałaby się nieograniczona.

- Jeżeli to przyjmiemy, wówczas wszystko nabiera realnych kształtów. Stwórca wprowadził żywioły w ruch; stworzył osobny świat dla każdej istoty, której następnie on niepodzielnie podlega. Stwórca jest artystą, ale oszczędnym w środkach, stąd powtarzalność poszczególnych tematów, wydarzeń i motywów w obrębie wszystkich światów.

- Ach tak - odrzekł spokojnie Larry. - Zaczynam rozumieć, do czego zmierzasz. W pewnych światach Napoleon wygrał bitwę pod Waterloo, i choć w swoim własnym dopracował uważnie każdy szczegół, w tym musiał ponieść klęskę...

- Nie sądzę, aby Napoleon kiedykolwiek istniał w moim świecie - powiedziała z namysłem Allison. - Nie jest niczym więcej, jak tylko nazwiskiem w kronikach, mimo iż taka osoba istotnie żyła w innych światach. W moim świecie Hitler został pokonany; Roosevelt umarł - byłoby mi przykro z tego powodu, gdybym tylko go znała, zresztą i tak nie był w pełni prawdziwy; obaj stanowili

zaledwie zarzysy postaci przetransponowane ze światów innych ludzi...

- Dobrze - powiedział. - A tobie wszystko idzie jak z płatka, co? Nigdy nie byłaś poważnie chora ani głodna, ani naprawdę zraniona...

- Prawie trafiłeś w sedno - potwierdziła. - Miałam co prawda różne kłopoty i frustracje, ale nie były naprawdę... cóż, naprawdę druzgoczące. I każdy odgrywał jakąś rolę w moim osiągnięciu tego, czego pragnęłam, bądź zrozumieniu czegoś istotnego. Widzisz, Larry, mój tok rozumowania jest bez zarzutu; utwierdziłam się w tym przekonaniu na podstawie realnych dowodów. Nie ma argumentów na obalenie go.

Larry uśmiechnął się.

- Czy moja opinia ma tutaj jakiegokolwiek znaczenie? I tak nie zmienisz zdania.

Larry omiótł budynek zde gustowanym spojrzeniem.

- Czy to w ogóle jest dom? - mruknął wreszcie.

Rozpromieniona Allison nie odrywała wzroku od imponującej posesji.

- Co takiego, kochanie? Co mówiłeś?

Dom był ogromny i supernowoczesny. Wspierały go potężne kolumny, łączone pochyłymi belkami i przyporami. Pokoje umieszczono pod odpowiednim kątem na szczycie każdej z nich, na podobieństwo pudełek do butów. Cały budynek pokryty został metalicznym, jaskrawym gontem o przeraźliwej barwie maślanej żółci. W blasku słońca dom mienił się i połyskiwał.

- Co... co to ma być? - Larry wskazał na wijące się po nieregularnych ścianach niepozorne rośliny. - Czy one mają tutaj rosnać?

Allison zamrugła, lekko marszcząc brwi.

- Co powiedziałaś, kochanie? Masz na myśli bugenwillę? To egzotyczna roślina. Pochodzi z południowego Pacyfiku.

- I czemu ma służyć? Podpiera ściany?

Uśmiech Allison zniknął. Uniosła brwi.

- Kochanie, dobrze się czujesz? Czy coś się stało?

Larry ruszył w kierunku samochodu.

- Wracajmy do miasta. Zaczynam być głodny.

- Dobrze - odrzekła Allison, spoglądając na niego dziwnym wzrokiem. - Dobrze, wracamy.

Tego wieczora, po kolacji Larry był nadąsany i mrukliwy.

- Chodźmy do "Wind-Upu" - rzucił nagle. - Dla odmiany mam ochotę na coś swojskiego.

- Co przez to rozumiesz?

Larry kiwnął głową w kierunku drogiej restauracji, z której właśnie wyszli.

- Te wszystkie błyskotki. I ludzie w liberiach, szepczący ci do ucha. Po francusku.

- Przy zamawianiu dań powinno się trochę znać francuski - zauważyła Allison. - Larry, zaczynasz mnie zastanawiać. To twoje zachowanie przy domu. I dziwne rzeczy, które mówiłeś.

Larry wzruszył ramionami.

- Jego widok przyprawił mnie o chwilowy obłąd.

- Cóż, mam nadzieję, że dojdiesz do siebie.

- Stopniowo to robię.

Dotarli do "Wind-Upu". Allison przestąpiła próg. Larry zatrzymał się na chwilę, aby zapalić papierosa. Stary, dobry "Wind-Up"; na sam jego widok od razu poczuł się lepiej. Ciepły, mroczny, hałaśliwy, z jazzową muzyką w tle...

Nabrał otuchy. Spokój i pogodna atmosfera zniszczonej knajpy. Z westchnieniem otworzył drzwi.

I stanął jak wryty.

W "Wind-Upie" nastąpiły radykalne zmiany. Wnętrze było rześkie oświetlone. Zamiast starego Maksa wszędzie krzątały się kelnerki w schludnych, białych fartuszkach. Lokal był pełen rozgadanych, eleganckich kobiet, sączących swoje drinki. W tyle jakiś długowłosego przebieraniec na czele orkiestry stylizowanej na cygańską rzepolił na skrzypcach.

Allison odwróciła się.

- No chodź! - zawołała niecierpliwie. - Zwracasz na siebie uwagę, stercząc tak w drzwiach.

Larry długo patrzył na imitację orkiestry cygańskiej; na uwijające się kelnerki; żywo rozprawiające panie; na umieszczone w niszach świetlówki. I nie był zdolny zrobić kroku.

- Co jest? - Allison szarpnęła go za ramię. - O co ci chodzi?

- Co... co się tutaj stało? - Słabym ruchem ręki ogarnął wnętrze. - Jakiś wypadek?

- Ach, to. Zapomniałam ci powiedzieć. Rozmawiałam na ten temat z panem O'Mallery. Tuż zanim cię poznałam zeszłej nocy.

- Z panem O'Mallery?

- Jest właścicielem tego budynku. I moim starym przyjacielem. Uświadomiłam mu jak... jak brudny i niezachęcający stał się jego lokal. I zasugerowałam wprowadzenie paru drobnych poprawek.

Larry wyszedł na zewnątrz. Zgniół papierosa obcasem i wcisnął ręce do kieszeni.

Zarumieniona z gniewu Allison wybiegła za nim.

- Larry! Dokąd idziesz?

- Dobranoc.

- Dobranoc? - Popatrzyła na niego ze zdumieniem. - Co to ma znaczyć?

- Idę.

- Dokąd?

- Do domu. Do parku. Dokądkolwiek. - Larry zgarbił się i z rękami w kieszeniach ruszył przed siebie chodnikiem.

Allison dogoniła go i ze złością zastąpiła mu drogę.

- Czyś ty zwariował? Czy w ogóle wiesz, co mówisz?

- Jak najbardziej. Odchodzę; rozstajemy się. Cóż, było miło. Może jeszcze kiedyś się spotkamy.

Na twarz Allison wystąpiły purpurowe rumieńce.

- Nie tak szybko, panie Brewster. Chyba o czymś pan zapomniał. - Jej ostry głos załamał się z lekka.

- Zapomniałem? A niby o czym?

- Nie możesz odejść; nie możesz mnie porzucić.

Larry uniósł brwi.

- Czyżby?

- Lepiej będzie, jeżeli dokładnie to przemyślisz, póki masz jeszcze na to czas.

- Nie wiem, do czego zmierzasz. - Larry ziewnął. - Chyba wrócę do swojego trzypokojowego mieszkania i pójdę spać. Jestem zmęczony. - Wyminął ją.

- Zapomniałeś? - krzyknęła Allison. - Zapomniałeś, że nie jesteś całkiem realny? I że istniejesz tylko jako część mojego świata?

- Boże! Ta znowu swoje.

- Lepiej to przemyśl, zanim odejdziesz. Istnieje pan dla mojej przyjemności, panie Brewster. To mój świat, proszę mieć to na uwadze. Może w pańskim świecie sprawy przybierają inny obrót, ale to jest mój świat. A w nim wszystko toczy się po mojej myśli.

- Na razie - odrzekł Larry Brewster.

- Czy... czy naprawdę odchodzisz?

Larry Brewster wolno potrząsnął głową.

- Nie - odparł. - Nie, tak właściwie to nie; zmieniłem zdanie. Przysparzasz zbyt wiele kłopotu. Ty odchodzisz.

Kiedy wypowiadał te słowa, na Allison Holmes spłynęła delikatnie świetlna kula, otulając ją aurą blasku. Kula poszybowała ku górze, bez trudu unosząc pannę Holmes ponad dachy budynków, w głąb wieczornego nieba.

Larry Brewster spokojnie obserwował, jak panna Holmes unosi się coraz wyżej. Bez zdziwienia dostrzegł, że stopniowo zanika i zatracą realne kształty, aż wreszcie całkowicie znikła mu z oczu.

Na niebie widniał blady, migotliwy zarys. Po Allison Holmes nie zostało ani śladu.

Pogrążony w myślach Larry Brewster stał długo, z namysłem trąc podbródek. Będzie mu jej brakowało. W jakiś sposób ją lubił; przez chwilę stanowiła źródło niezłej zabawy. Cóż, zginęła bezpowrotnie. W tym świecie Allison Holmes nie była całkiem prawdziwa. To, co Larry określał mianem "Allison Holmes", nie było niczym innym, jak tylko chwilowym zjawiskiem.

Naraz przystanął, ogarnięty nagłym wspomnieniem: w chwili kiedy świetlna kula unosiła ją w dal, za jej plecami pochwycił obraz innego świata, przypuszczalnie należącego do niej, świata, którego pragnęła. Budynki były niepokojąco znajome; tamten dom głęboko zapadł mu w pamięć...

A przecież... Allison w gruncie rzeczy była prawdziwa - istniała w świecie Larry'ego do chwili, kiedy nadszedł czas powrotu do jej świata. Czy znajdzie tam innego Larry'ego Brewstera - który podporządkuje się jej bez sprzeciwu? Wzdrygnął się na samą myśl.

W ogóle całe to zdarzenie było nieco denerwujące.

- Ciekawe dlaczego? - mruknął. Wrócił myślami do innych nieprzyjemnych sytuacji, które koniec końców doprowadziły do szczęśliwych rozwiązań - pozwalając mu osiągnąć nie lada doświadczenie; w inny sposób nie mógłby go zdobyć. - No cóż - westchnął. - Nie ma tego złego...

Powoli, z rękami w kieszeniach, poszedł w stronę domu, co chwilę, jak gdyby dla potwierdzenia, kierując wzrok ku niebu...

OBLAWA

Harl opuścił poziom trzeci i złapał kolejkę zmierzającą na północ.

Poniosła go zwinnie poprzez jedną z kapsuł łączących, a następnie popłynęła w dół, w kierunku poziomu piątego. Harl widział przelotnie ludzi pochłoniętych bieganiną.

Niebawem kapsuła pozostała w tyle, a on znalazł się w pobliżu miejsca przeznaczenia. Sekcja przemysłowa, rozległy poziom piąty, rozciągała się u podnóża całej reszty na podobieństwo gigantycznej, pokrytej sadzą ośmiornicy, złowrogiej władczyni ciemności.

Pozostawiwszy go na miejscu, lśniąca kolejka ruszyła w dalszą drogę, ginąc w mrokach tunelu. Harl zwinnie przeskoczył na pasmo łączące i z wprawą kołysząc się w przód i w tył, utrzymał równowagę.

Po kilku minutach stanął u wejścia do biura swojego ojca. Na jego znak drzwi kodowe rozsunęły się. Serce z przejęcia mało nie wyskoczyło mu z piersi, kiedy wszedł do środka. Nareszcie.

Edward Boynton przebywał w dziale planowania, studiując schemat budowy nowego wiertła automatycznego, kiedy poinformowano go, że w obrębie głównego biura znalazł się jego syn.

- Zaraz wracam - rzucił Boynton, przechodząc obok zespołu taktyków, i po rampie wspiął się do biura.

- Cześć, tato - zawołał Harl, rozprostowując ramiona. Wymienili uścisk dłoni. Następnie Harl powoli usiadł na krześle. - Co słyszeć? - zapytał. - Chyba spodziewałeś się mojego przybycia.

Edward Boynton zasiadł za swoim biurkiem.

- Czego tutaj szukasz? - rzucił. - Wiesz, że jestem zajęty.

Harl posłał ojcu kwaśny uśmiezek. Ubrany w brązowy mundur przemysłowego projektanta Edward Boynton górował nad synem; był postawnym mężczyzną o szerokich barach i gęstych jasnych włosach. Jego chłodne, niebieskie oczy odwzajemniły nieruchome spojrzenie syna.

- Przypadkiem natrafiłem na pewne informacje. - Harl potoczył po gabinecie niepewnym

wzrokiem. - Nie ma tu podsłuchu, prawda?

- Oczywiście, że nie - zapewnił go starszy Boynton.

- Żadnych ekranów ani pluskiew? - Harl odprężył się nieznacznie. - Doszły mnie słuchy, że wraz z kilkoma innymi członkami tego działu wkrótce udajesz się na powierzchnię. - Harl z zapalem pochylił się ku ojcu. - Na powierzchnię, celem przeprowadzenia obławy na sapy.

Twarz Edwarda Boyntona pociemniała.

- Gdzie to słyszałeś? - Utkwił w synu baczne spojrzenie. - Czy ktoś z tego działu...?

- Nie - odparł pośpiesznie Harl. - Nie było żadnego przecieku. Sam uzyskałem tę informację dzięki swoim zajęciom edukacyjnym.

Edward Boynton zaczynał pojmować.

- Rozumiem. Zabawiałeś się przyciskami i uzyskałeś dostęp do tajnych kanałów. Tak jak uczą cię tego w komunikacji.

- Właśnie. Przez przypadek podsłuchiłem twoją rozmowę z Robinem Turnerem dotyczącą obławy.

Atmosfera w pomieszczeniu rozluźniła się. Odprężony Ed Boynton odchylił się na krześle.

- Mów dalej - ponaglił syna.

- To był czysty przypadek. Przeleciałem dziesięć czy dwanaście kanałów, zatrzymując się na każdym zaledwie przez sekundę. Korzystałem ze sprzętu Ligi Młodzieżowej. Od razu poznałem twój głos. Dlatego postanowiłem wysłuchać rozmowy do końca.

- Wobec tego znasz prawie wszystkie fakty.

Harl skinął głową.

- Kiedy dokładnie jedziesz na górę, tato? Czy wyznaczyłeś datę?

Ed Boynton zmarszczył brwi.

- Nie - odparł. - Nie wyznaczyłem. Ale pewnie w tym tygodniu. Prawie wszystko jest dopięte na ostatni guzik.

- Ilu was jedzie? - wypytywał Harl.

- Zabieramy jeden statek macierzysty oraz około trzydziestu szalup. Wszystkie pochodzą z tego działu.

- Trzydzieści szalup? Zatem sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu ludzi.

- Zgadza się. - Ed Boynton nie spuszczał wzroku z syna. - To nie będzie duża obława. Zero w porównaniu z obławami przeprowadzanymi przez zarząd w ciągu ubiegłych kilku lat.

- Lecz wystarczająca jak dla pojedynczego działu.

Oczy Eda Boyntona rozbłysły.

- Uważaj, Harl. Jeżeli to się rozniesie...

- Wiem. Jak tylko uchwyciłem sens twoich słów, od razu wyłączyłem nagrywanie. Zdaję sobie sprawę z tego, co by się stało, gdyby zarząd dowiedział się, że dział przeprowadza nieautoryzowaną obławę dla własnych celów.

- Naprawdę jesteś tego świadomy? Ciekawe.

- Jeden statek macierzysty i trzydzieści szalup - zawołał Harl, puszczać mimo uszu ostatnią uwagę. - Na powierzchni spędzicie około czterdziestu godzin?

- Mniej więcej. To zależy od tego, czy się nam poszczęści.

- Ilu sapów potrzebujecie?

- Co najmniej dwóch tuzinów - odrzekł starszy Boynton.

- Mężczyzn?

- Przede wszystkim. Kilku kobiet, ale w większości mężczyzn.

- Przypuszczam, że do pracy w podstawowych jednostkach przemysłowych. - Harl wyprostował się na krześle. - Dobrze. Teraz, kiedy wiem więcej o samej obławie, pora przejść do sedna sprawy.

Zmierzył ojca nieugiętym spojrzeniem.

- Do sedna? - Boynton raptownie poderwał głowę. - O co ci tak właściwie chodzi?

- O bezpośrednią przyczynę mojego przybycia tutaj. - Harl w napięciu pochylił się nad biurkiem. - Razem z tobą wezmę udział w obławie. Chcę pojechać... i schwytać kilku sapów dla siebie.

Przez chwilę panowała pełna zdumienia cisza. Następnie Ed Boynton wybuchnął śmiechem.

- O czym ty mówisz? Co ty możesz wiedzieć o sapach?

Wewnętrzne drzwi rozsunęły się i do gabinetu szybkim krokiem wszedł Robin Turner. Stanął za

biurkiem obok Boyntona.

- On nie może jechać - powiedział kategorycznie Turner. - To dziesięciokrotnie zwiększyłoby ryzyko.

Harl podniósł wzrok.

- Zatem był podsłuch.

- Naturalnie. Turner zawsze słucha. - Ed Boynton obrzucił syna zamyślonym spojrzeniem. - W jakim celu chcesz jechać?

- To moja sprawa - odparł Harl, zaciskając usta.

Turner prychnął.

- Niedojrzałość emocjonalna. Irracjonalne dziecinne pragnienie przygody. Nadal istnieje garstka ludzi podobnych do niego, którzy nie są w stanie całkowicie wyrugować starego sposobu myślenia. Po upływie dwustu lat można by oczekiwać...

- A więc o to chodzi? - zapytał Boynton. - Kieruje tobą dziecinne pragnienie wyjazdu na górę i zobaczenia powierzchni?

- Może - przyznał zarumieniony Harl.

- Nie możesz jechać - oznajmił z mocą Ed Boynton. - To zbyt niebezpieczne. Nie wyruszamy tam w pogoni za romantyczną przygodą. To nasza praca... żmudna, trudna i wytężona. Sapy nabierają czujności. W tej chwili niełatwo jest sprowadzić pełny transport. Nie wolno nam poświęcić żadnej szalupy z powodu romantycznej nieodpowiedzialności...

- Wiem, że jest coraz trudniej - przerwał mu Harl. - Nie musisz przekonywać mnie, że prawie niemożliwe jest skompletowanie pełnego ładunku. - Harl popatrzył uparcie na Turnera i ojca. Ostrożnie dobierał słowa. - Wiem też, że właśnie dlatego zarząd uznaje prywatne obławy za zdradę stanu.

Cisza.

Ed Boynton westchnął, w jego oczach można było dostrzec niechętny podziw. Zmierzył syna uważnym spojrzeniem.

- Dobrze, Harl - powiedział. - Wygrałeś.

Turner milczał. Jego twarz zastygła w wyrazie dezaprobaty.

Harl poderwał się z miejsca.

- Zatem postanowione. Wrócę do siebie i poczynię niezbędne przygotowania. Jak tylko

będziecie gotowi do wyjazdu, niezwłocznie dajcie mi znać. Dołączę do was na polu wyjazdowym poziomu pierwszego.

Starszy Boynton potrząsnął głową.

- Nie wyruszamy z poziomu pierwszego. To niesłoby ze sobą nadmierne ryzyko. - Mówił zrezygnowanym głosem. - Myszkuje tam zbyt wielu strażników zarządu. Statek znajduje się tutaj, na poziomie piątym, w jednym z magazynów.

- Gdzie wobec tego mamy się spotkać?

Ed Boynton powoli uniósł się z miejsca.

- Powiadomimy cię, Harl. Obiecuję, że wkrótce to nastąpi. Najdalej za kilka jednostek okresowych. Bądź w swoim internacie.

- Powierzchnia jest całkowicie wychłodzona, prawda? - zapytał Harl. - Nie istnieją już żadne obszary radioaktywne?

- Nie ma ich od ponad pięćdziesięciu lat - zapewnił go ojciec.

- Zatem nie ma co zawracać sobie głowy osłoną przeciwpromienną - stwierdził Harl. - Jeszcze jedno, tato. Jakim językiem będziemy się posługiwać? Czy możemy mówić naszym zwykłym...

Ed Boynton potrząsnął głową.

- Nie. Sapy nigdy nie przyswoiły sobie żadnego z racjonalnych systemów semantycznych. Trzeba będzie uciec się do tradycyjnych form.

Harlowi zredła mina.

- Nie znam żadnej z tradycyjnych form. Już ich nie uczą.

Ed Boynton wzruszył ramionami.

- To nie ma znaczenia.

- A co z ich systemem obronnym? Jaką broń powinienem zabrać? Czy osłona i karabin wystarczą?

- Sama osłona zupełnie ci wystarczy - odrzekł starszy Boynton. - Na nasz widok sapy rozbiegają się we wszystkich kierunkach. Od razu rzucają się do ucieczki.

- Świetnie - powiedział Harl. - Dam swoją osłonę do przeglądu. - Ruszył ku wyjściu. - Wracam na poziom trzeci. Będę czekał na twój sygnał. Przygotuję sprzęt.

- Dobrze - odparł Ed Boynton.

Dwaj mężczyźni odprowadzili chłopca wzrokiem.

- Co za chłopak - mruknął Turner.

- Może wreszcie coś z niego będzie - odparł cicho Ed Boynton. - Czeka go jeszcze długa droga.

- Z namysłem potarł ręką podbródek. - Ciekawe, jak zachowa się na powierzchni podczas obławy.

Godzinę po opuszczeniu gabinetu ojca, na poziomie trzecim Harl spotkał się z przywódcą swojej grupy.

- Zatem wszystko postanowione? - zapytał Fashold, podnosząc głowę znad szpul raportowych.

- Postanowione. Powiadomią mnie, jak tylko statek będzie gotowy.

- Tak przy okazji. - Odkładając szpule, Fashold odsunął na bok skaner. - Dowiedziałem się czegoś o sapy. Jako przywódca LM mam dostęp do kartotek zarządu. Uzyskałem informacje, których nie zna praktycznie nikt.

- Co mianowicie? - zapytał Harl.

- Harl, sapy są z nami spokrewnione. Należą do innego gatunku, ale łączy nas bardzo bliskie pokrewieństwo.

- Co dalej? - ponaglił go Harl.

- Onegdaj żył tylko jeden gatunek - sapy. Ich pełna nazwa brzmi Homo sapiens. To od nich się wywodzimy. Stanowimy rasę biogenetycznych mutantów. Przemiana nastąpiła podczas trzeciej wojny światowej, dwieście pięćdziesiąt lat temu. Aż do tamtej pory nie istnieli żadni techno.

- Techno?

Fashold uśmiechnął się.

- Początkowo właśnie tak nas zwano. Wtedy kiedy uważali nas po prostu za odrębną klasę, a nie osobny gatunek. Techno. W ten sposób zawsze o nas mówili.

- Ale dlaczego? Cóż za dziwaczna nazwa. Dlaczego techno, Fashold?

- Ponieważ pierwsi mutanci pojawili się w kręgach technokratycznych i stopniowo zaczęli docierać do pozostałych wykształconych klas. Pojawili się wśród badaczy, naukowców, grup szkoleniowych oraz innych klas wyspecjalizowanych.

- A sapy nie zdawały sobie sprawy...

- Uważali nas jedynie za klasę, przecież ci mówiłem. Działo się to podczas trzeciej wojny i później. Dopiero w czasie Wojny Ostatecznej objawiliśmy się w całej swojej odmienności. Wówczas stało się jasne, że nie stanowimy po prostu kolejnego wyspecjalizowanego odgałęzienia

Homo sapiens. Nie byliśmy jeszcze jedną klasą ludzi odstających od reszty poziomem wykształcenia i wyższym potencjałem intelektualnym.

Fashold utkwiał przed siebie nieobecne spojrzenie.

- Podczas Wojny Ostatecznej ukazaliśmy pełną prawdę o sobie, o wyższym gatunku mającym zastąpić Homo sapiens, tak jak oni zajęli miejsce neandertalczyka.

Harl rozważył słowa Fasholda.

- Nie wiedziałem, że jesteśmy aż tak blisko z nimi spokrewnieni. Nie miałem pojęcia, że powstaliśmy tak późno.

Fashold kiwnął głową.

- Nastąpiło to zaledwie dwa wieki temu, podczas wojny, która obróciła w ruinę powierzchnię planety. Większość z nas pracowała w podziemnych laboratoriach i fabrykach mieszczących się pod różnymi łańcuchami górskimi - pod Uralem, Alpami i Górami Skalistymi. Od powierzchni dzieliły nas mile skał, ziemi i gliny. Homo sapiens doprowadzali do stopniowego zniszczenia ziemi za pomocą broni, którą dla nich wytwarzaliśmy.

- Zaczynam rozumieć. Produkowaliśmy dla nich broń, aby mogli toczyć wojnę. Korzystali z niej, nie wiedząc...

- Produkowaliśmy broń, a sapy używały jej przeciwko sobie - wtrącił Fashold. - Była to narzucona przez Naturę próba, przeprowadzona celem wyeliminowania jednego gatunku na rzecz ustanowienia dominacji drugiego. Daliśmy im broń, by mogli wyniszczyć się nawzajem. Kiedy wojna dobiegła końca, na stopionej powierzchni pozostał jedynie pył radioaktywny.

Rozesłaliśmy grupy zwiadowców, które odkryły niemą, spustoszoną równinę. Dzieło zniszczenia dobiegło końca. Tamci zniknęli. Teraz my mieliśmy zająć ich miejsce.

- Przecież wszyscy nie mogli zginąć - zaproponował Harl. - Nadal żyje ich na powierzchni cała masa.

- To prawda - przyznał Fashold. - Niektórzy ocaleli. Rozproszone niedobitki tu i ówdzie. Stopniowo, w miarę chłodzenia powierzchni, przystąpili do odnawiania dawnego porządku i wspólnymi siłami zaczęli tworzyć niewielkie osady oraz domy. Tak, nawet oczyścili fragment gruntu, chcąc hodować na nim rośliny. To jednak nie zmienia faktu, że są obecnie przedstawicielami rasy zmierzającej ku nieuchronnej zagładzie, która spotkała także neandertalczyka.

- Zatem są to po prostu mężczyźni i kobiety bez dachu nad głową.

- Istnieją porozsiewane gdzieniegdzie osiedla - w miejscach, które zdołali oczyścić. Jednakże ich mieszkańcy zdzicześli do cna i żyją jak zwierzęta, odziani w skóry polują za pomocą kamieni i oszczepów. Zeszli do rangi dzikusów, którzy nie potrafią stawić zorganizowanego oporu w sytuacji, gdy zjawiamy się w ich wiosce w poszukiwaniu robotników do naszych fabryk.

- Wobec tego - na nikły dźwięk dzwonka Harl urwał raptownie. Odwrócił się wystraszony i włączył wideofon.

Na monitorze ukazały się twarde i srogie rysy jego ojca.

- W porządku, Harl - powiedział. - Jesteśmy gotowi.

- Tak szybko? Ale...

- Przyspieszamy wyjazd. Staw się w moim biurze. - Obraz na monitorze rozpląnął się i zniknął.

Harl siedział jak skamieniały.

- Musieli poważnie się zaniepokoić - rzekł z krzywym uśmiechem Fashold. - Najwidoczniej bali się, że przekażesz komuś tę wiadomość.

- Jestem gotów - odparł Harl. Wziął ze stołu swój pistolet. - Jak wyglądam?

W srebrnym mundurze funkcjonariusza łączności Harl prezentował się nienagannie. Włożył ciężkie wojskowe buty i rękawice. W jednej ręce trzymał broń. Miał na sobie pas kontrolny swojej osłony.

- Co to jest? - zapytał Fashold, gdy Harl przysłonił oczy czarnymi okularami.

- To? Ach, mają chronić przed słońcem.

- Rzeczywiście. Słońce. Zupełnie zapomniałem.

Harl z wprawą zważył pistolet w dłoni.

- Oślepiłoby mnie. Okulary mają za zadanie chronić moje oczy. Z osłoną, pistoletem i okularami tam na górze nic mi nie grozi.

- Mam nadzieję. - Z uśmiechem wciąż przylepionym do twarzy Fashold klepnął go po plecach. - Tylko sprowadź tu dużo sapów. Spraw się jak należy - i nie zapomnij o kobietach!

Z magazynu z wolna wyłonił się statek macierzysty i wpłynął na podjazd; okrągły, czarny obiekt w kształcie łyży. Rampy uniosły się na spotkanie otworów ładunkowych. Wkrótce zapasy i sprzęt powędrowały w górę, by zniknąć w czeluściach statku.

- Prawie gotowe - powiedział Turner, krzywiąc nerwowo twarz. Nie spuszczał wzroku z ramp ładowniczych. - Mam nadzieję, że wszystko pójdzie jak z płatka. Gdyby zarząd się dowiedział...

- Przestań się wreszcie zamartwiać! - rzucił Ed Boynton. - Wybrałeś niewłaściwy moment, żeby pozwolić, by zawładnęły tobą impulsy talamiczne.

- Przepraszani. - Zacisnąwszy usta, Turner odwrócił się od okna. Podnośnik był gotowy do

odjazdu.

- Ruszajmy - ponaglił Boynton. - Czy na każdym poziomie masz ludzi z działu?

- Do podnośnika mają dostęp wyłącznie członkowie działu - odparł Turner.

- Gdzie jest reszta załogi? - zapytał Boynton.

- Na poziomie pierwszym. Wysłałem ich tam w ciągu dnia.

- Doskonale. - Na znak Boyntona podnośnik, na którym spoczywał statek, powoli zaczął unosić się w kierunku wyższego poziomu.

Harl spoglądał przez iluminator na ginący w dole poziom piąty i niebawem powitał czwarty, rozległe podziemne centrum handlowe.

- To nie potrwa długo - rzekł Ed Boynton, kiedy pozostawili pod sobą poziom czwarty. - Jak na razie wszystko przebiega bez zarzutu.

- W którym miejscu wyjdziemy na powierzchnię? - zapytał Harl.

- W końcowych etapach wojny nasze struktury podziemne połączone były siecią tuneli, która utworzyła podstawę obecnego systemu. Wykorzystamy jedno z pierwotnych wyjść, położone w paśmie górskim o nazwie "Alpy".

- Alpy - mruknął Harl.

- Tak, w Europie. Dysponujemy mapami, na których zaznaczono rozmieszczenie osad sępów w tym regionie. Wiele z nich leży na północy oraz północnym wschodzie, na terenach niegdyś noszących nazwę Danii i Niemiec. Nigdy przedtem nie przeprowadziliśmy tam żadnej obławy. Sapy zdołały usunąć zanieczyszczenia z kilku tysięcy akrów w tym regionie i niedługo będą chciały uprawiać całą Europę.

- Ale po co, tato? - zapytał Harl.

Ed Boynton wzruszył ramionami.

- Skąd niby mam to wiedzieć. Nie dostrzegam w tym żadnego określonego celu. W gruncie rzeczy nie istnieją najmniejsze dowody na to, że porzucili swoje barbarzyńskie zwyczaje. Cała tradycja uległa zagładzie - książki, archiwa, wynalazki, zdobycze techniki. Gdybyś pytał mnie o zdanie... - Zamilkł raptownie. - Oto i trzeci poziom. Prawie dotarliśmy do celu.

Statek macierzysty niespiesznie podążał w górę, wysuwając się ponad powierzchnię planety. Zaabsorbowany widokiem Harl wyglądał przez okno.

Na powierzchni planety spoczywała warstwa żwiru, bezkresny obszar poczerńiałych skał. Zasób minerałów pozostał właściwie nie naruszony, tylko gdzieś tam można było dostrzec pokryte

pyłem wzgórze, których porośnięte wątlymi krzewami wierzchołki ostro celowały w górę. Prócz dryfujących po niebie obłoków pyłu dokoła panował całkowity bezruch. Ziemia była martwa i jałowa, pozbawiona jakichkolwiek oznak życia.

- Czy cała jest taka? - zapytał Harl.

Ed Boynton potrząsnął głową.

- Nie, nie cała. Sapy oczyściły część gruntu. - Chwycił syna za ramię i wyciągnął przed siebie rękę. - Widzisz? Odwaliły tam kawał roboty.

- W jaki sposób usuwają żużel? - spytał Harl.

- To trudne zadanie - odparł jego ojciec. - Usuwanie krok po kroku stopionej w wyniku eksplozji bomb wodorowych lawy pociąga za sobą lata żmudnej pracy. Wykonują ją własnymi rękami, kawałkami skał oraz toporami wykonanymi z samej lawy.

- Dlaczego nie stworzą lepszych narzędzi?

Ed Boynton uśmiechnął się krzywo.

- Znasz odpowiedź na to pytanie. To my przez stulecia przyczynialiśmy się do powstania większości rodzajów ich broni oraz wynalazków.

- Łądujemy - oznajmił Turner.

Statek osiadł na pokrytej żużlem powierzchni. Poczerniała skała pod nimi zahuczała. Następnie zapadła cisza.

- Jesteśmy na miejscu - rzucił Turner.

Ed Boynton dokonał za pomocą skanera pospiesznego przeglądu mapy.

- Na początek wyślemy dziesięć szalup. Jeśli poszukiwania w tym miejscu nie przyniosą pożądanego rezultatu, poszukamy szczęścia dalej na północy. Jednakże powinno się udać. W tej okolicy nigdy przedtem nie przeprowadzono żadnej obławy.

- Jak wygląda plan akcji? - zapytał Turner.

- Szalupy rozproszą się w różnych kierunkach; na każdą będzie przypadał określony wycinek lądu. Nasza wyruszy na prawo. W razie powodzenia natychmiast powracamy na statek. Inaczej doczekamy tu zmroku.

- Zmroku? - wtrącił Harl.

Ed Boynton uśmiechnął się.

- Zapadnięcia ciemności. Czasu, kiedy ta półkula odwróci się od słońca.

- Ruszajmy - powiedział niecierpliwie Turner.

Otwarto włazy. Bieżniki pierwszych szalup zatoneły w śliskiej powierzchni. Jedna po drugiej wyłaniały się ze statku macierzystego, niewielkie kule zakończone rurami silników odrzutowych, o tępo ściętych przodach, na których mieściły się wieżyczki kontrolne.

- Kolej na naszą - rzekł Ed Boynton.

Harl kiwnął głową i cisnął broń. Zsunął na oczy okulary ochronne; Turner i Boynton uczynili to samo. Weszli do szalupy. Boynton zasiadł za pulpitem sterowniczym.

Po chwili wyjechali ze statku na gładką powierzchnię planety.

Harl wyjrzał na zewnątrz. Jak okiem sięgnąć, widział jedynie bezkresne pokłady żużlu. Żużel i dryfujące obłoki pyłu.

- Okropność - wymamrotał. - Nawet pomimo okularów słońce razi mnie w oczy.

- Nie patrz na nie - ostrzegł go Ed Boynton. - Odwracaj wzrok.

- Kiedy nie mogę się powstrzymać. Jest takie... takie dziwne.

Ed Boynton odchrząknął i zwiększył prędkość szalupy. Na wprost nich zamajaczył w oddali jakiś kształt. Skierowali się ku niemu.

- Co to takiego? - zapytał zaalarmowany Turner.

- Drzewa - odparł uspokajająco Boynton. - Drzewa rosnące w zbitej gromadzie. One wyznaczają kres żużlu. Za nimi na pewnym obszarze rozciąga się warstwa pyłu, po której następują pola zasiane przez sapy.

Boynton doprowadził szalupę do krawędzi pokrytego żużlem terenu. Zatrzymał ją na skraju zagajnika, po czym wyłączył silniki i unieruchomił koła. Wyszli, trzymając w pogotowiu broń.

W okolicy panował całkowity bezruch. Ciszy nie mącił żaden dźwięk. Spomiędzy dryfujących obłoków pyłu wyzierał bladoniebieski skrawek nieba. Powietrze było rozrzedzone i rześkie; dokoła roztaczała się przyjemna woń. Słońce słało na ziemię przyjazne ciepło.

- Uruchomcie osłony - ostrzegł Ed Boynton. Nacisnął przycisk na swoim pasku i z szumem roztoczyła się wokół niego osłona. Sylwetka Boyntona zbladła, po czym rozplynęła się w powietrzu, w jednej chwili znikając im z oczu.

Harl włączył swoją osłonę. Od stóp do głów osnuł go na moment zimny, przejmujący mrowieniem ogień. Następnie i jego ciało stało się niewidzialne. Osłony funkcjonowały bez zarzutu.

W słuchawkach Harla rozległ się cichy stukot, wskazujący na bliską obecność pozostałych dwóch towarzyszy.

- Słyszę was - powiedział Harl. - Odbieram w słuchawkach odgłos waszych osłon.

- Nie oddalaj się zbyt - odrzekł Ed Boynton. - Trzymaj się blisko nas i uważaj na dźwięki w słuchawkach. Niebezpiecznie jest rozdzielać się na powierzchni.

Harl ostrożnie ruszył do przodu. Pozostali dwaj mężczyźni znajdowali się po jego prawej stronie w odległości kilku jardów. Przecinali wyschnięte, żółte pole porośnięte roślinami o długich łodygach, które z trzaskiem pękały pod naciskiem stóp. Harl pozostawił za sobą wydeptany szlak. Wyraźnie dostrzegł podobne ślady za ojcem i Turnerem.

Teraz jednak musiał się od nich odłączyć. Na wprost niego wyrosła wioska sapy, z chatkami skleconymi z roślinnych włókien narzuconych na drewniane szkielety. Spostrzegł ocienione zarysy przywiązanych do chat zwierząt. Wioskę otaczał pierścień drzew i roślinności. Harl zauważył ruchliwe sylwetki ludzi, dobiegł go szmer głosów.

Ludzie - sapy. Serce gwałtownie zabiło mu w piersi. Przy odrobinie szczęścia schwyta trzech lub czterech dla Ligi Młodzieży. Naraz opuściła go wszelka niepewność i strach. To nie powinno przysporzyć mu najmniejszych trudności. Pola, uwiązane zwierzęta, rozchwiane, pochylone chaty...

W miarę zbliżania się do wioski, zapach gnoju przemieszany z żarem późnego popołudnia stawał się nie do zniesienia. Prócz krzyków docierały do niego inne odgłosy gorączkowej działalności mieszkańców. Grunt był płaski i suchy, całą okolicę porastały chwasty. Opuścił żółte pole i wstąpił na wąską ścieżkę upstrzoną odchodami ludzi i zwierząt.

Tuż za drogą rozciągała się wioska.

Stukot w jego słuchawkach ucichł, by za chwilę zaniknąć całkowicie. Harl uśmiechnął się pod nosem. Oddalił się od Turnera i Boyntona i stracił z nimi kontakt. Nie mieli pojęcia, gdzie przebywał.

Skreślił w lewo, przezornie trzymając się skraju wioski. Minał jedną chatę, a następnie kilka stojących tuż obok siebie. Wokół niego gęsto rosły drzewa oraz kępy roślinności, przed sobą dostrzegł połyskliwą wstęgę wąskiego strumyka o pochyłych, porośniętych mchem brzegach.

Przy krawędzi strumienia kąpało się kilka osób, dzieci skakały do wody, by zaraz z powrotem wygramolić się na brzeg.

Harl stanął jak wryty, spoglądając na nie w zdumieniu. Ich skóra była ciemna, prawie czarna. W zasadzie miała barwę ciemnego brązu, przemieszanego z kolorem ziemi. A może to była ziemia?

Naraz doszedł do wniosku, że skóra dzieci przybrała ten odcień wskutek ciągłego wystawienia na promienie słońca. Eksplozje wodorowe przerzedziły atmosferę, eliminując znaczną część warstwy chmur, w związku z czym ludzie od dwustu lat narażeni byli na bezlitosne działanie słońca - w przeciwieństwie do jego rasy. Pod ziemię nie docierały promienie ultrafioletowe mogące spalić

skórę bądź zwiększyć poziom pigmentu. Zarówno on, jak i pozostali techno utracili kolor skóry. W podziemnym świetle nie był on potrzebny.

Jednakże kąpiący się byli niewiarygodnie ciemni. I do tego nie mieli na sobie absolutnie nic. Z zapałem skakali do strumienia, rozchlapując wodę, i wygrzewali się na brzegu w promieniach słońca.

Harl obserwował ich przez pewien czas. Dzieci oraz trzy lub cztery wychudłe, podstarzałe kobiety. Czy ci się nadają? Potrząsnąwszy głową, ostrożnie wyminął strumień.

Wszedł pomiędzy chaty, uważnie stawiając każdy krok i unosząc broń.

Owiał go delikatny powiew wiatru i zaszeleścił w rosnących po prawej stronie drzewach. Do głosów kąpiących się dzieci dołączył zapach gnoju, wiatr oraz kołysanie drzew.

Harl szedł przed siebie. Był niewidzialny, lecz mimo to wiedział, że ślady czy odgłos kroków mogą w każdej chwili go zdradzić. A gdyby ktoś przypadkiem na niego wpadł...

Ukradkiem przemknął obok chaty i wydostał się na otwartą przestrzeń, płaski teren ubitej ziemi. W cieniu chaty spał pies. Po jego zapadniętych bokach spacerowały muchy. Na ganku nędznej posesji siedziała stara kobieta i kościanym grzebieniem czesała długie siwe włosy.

Harl wyminął ją ostrożnie. Pośrodku placu stała grupa młodych mężczyzn. Gestykulując, prowadzili ożywioną dyskusję. Niektórzy czyścili swoją broń, długie oszczepy oraz niesłychanie prymitywne noże. Na ziemi spoczywało martwe zwierzę, ogromna bestia o długich, błyszczących kłach i gęstej sierści. Z jej pyska sączyła się gęsta, ciemna posoka. Naraz jeden z mężczyzn odwrócił się i kopnął zwierzę.

Harl podszedł do nich i przystanął. Mężczyźni ubrani byli w długie płócienne spodnie i koszule. Zamiast butów na nogach mieli luźno uplecione sandały. Ich gładko ogolona skóra lśniła głębokim odcieniem czerni. Podwinięte wysoko rękawy ukazywały wydatne mięśnie, ociekające potem w promieniach palącego słońca.

Harl nie rozumiał, o czym rozprawiali, domyślał się jednak, że musieli posługiwać się jednym z archaicznych dialektów.

Ruszył dalej. Po drugiej stronie placu siedzieli w kręgu starcy zajęci tkaniem zgrzebnego płótna na prymitywnych krosnach. Harl przez chwilę obserwował ich w milczeniu. Dolatywał do niego hałaśliwy jazgot ich rozmowy. Wszyscy uważnie pochylali się nad krosnami, nie odrywali wzroku od prowizorycznych urządzeń.

Za rzędem chat grupka młodych mężczyzn i kobiet orała pole, ciągnąc za sobą pług przywiązany do talii i ramion.

Oszołomiony Harl podjął wędrówkę. Wszyscy pochłonięci byli jakimś zajęciem - z wyjątkiem smacznie śpiącego pod gankiem psa. Młodzieńcy ze swoimi oszczepami, czesząca włosy stara

kobieta, tkający starcy.

W jednym z narożników przysadzista kobieta uczyła dziecko dodawania i odejmowania, posługując się przy tym patyczkami. Dwaj mężczyźni pieczołowicie zdzierali skórę z małego zwierzęcia futerkowego.

Harl wyminął rząd rozwieszonych do suszenia skór. Mdły fetor podrażnił mu nozdrza, nieomal wywołując kichnięcie. Przeszedł obok grupy dzieci tłukących ziarno na posiłek w wydrążonym kamieniu. Żadne z nich nie podniosło głowy.

Nieopodal stało stadko uwiązanych zwierząt. Niektóre leżały w cieniu, ogromne bestie z wielkimi wymionami. Popatrzyły na niego w milczeniu.

Dotarł do skraju osady i przystanął. Dalej rozciągały się jedynie opustoszałe pola. Mniej więcej milę za nimi rosły drzewa oraz krzewy, za którymi zaczynała się bezkresna płachta żużlu.

Odwrócił się i ruszył tą samą drogą, którą przybył. Na uboczu siedział młody mężczyzna zajęty ociosywaniem kawałka lawy za pomocą kilku prostych narzędzi. Najwidoczniej szykował jakąś broń. Harl śledził wzrokiem miarowe ruchy opadającego raz po raz narzędzia. Lawa była twarda. Obrobienie jej stanowiło długie i żmudne zajęcie.

Poszedł dalej. Kilka kobiet naprawiało połamane strzały. Przez pewien czas docierał do niego szmer ich rozmowy; żałował, że nie może jej zrozumieć. Wszyscy w zapamiętaniu oddawali się jakiemuś zajęciu. Ciemne, lśniące ramiona wznosiły się i opadały, zewsząd dolatywał dźwięk głosów.

Praca. Śmiech. Niespodziewanie przez wioskę przetoczył się wybuch dziecięcej radości i kilka osób odwróciło głowy. Harl pochylił się, spoglądając z bliska na twarz mężczyzny.

Miała twarde rysy. Poplątane, skręcone włosy mężczyzny były krótkie, a zęby równe i białe. Na rękach nosił miedziane bransolety, których odcień niewiele odbiegał od soczystej barwy jego skóry. Odkrytą pierś znaczyły liczne barwne tatuaże.

Harl ponownie minął siedzącą na ganku staruchę i znów przystanął, by bacznie jej się przyjrzeć. Obecnie czesała włosy dziecku, zaplatając je w misterny wzór. Harl obserwował ją pełen podziwu. Wzór był skomplikowany, a jego ułożenie bardzo czasochłonne. Stara nie odrywała wyblakłych niebieskich oczu od włosów dziecka. Jej pomarszczone ręce poruszały się z zawrotną prędkością.

Ruszył w kierunku strumienia. Ponownie minął kąpiące się dzieci. W tym czasie wszystkie zdążyły wyjść na brzeg i suszyły się teraz na słońcu. A więc to są sapy. Ich rasa stopniowo wymierała - wkrótce całkiem zginie. Oto jej pozostałości.

Nie wyglądali jednak na takich, których czeka rychły koniec. Oddawali się niestrudzonej pracy, niezmordowanie ciosali lawę, strugali strzały, polowali, orali pola, młócili ziarno, tkali, rozczesywali włosy...

Nagle stanął jak wryty, ścisnął broń. Przed sobą wśród porastających brzeg strumienia drzew dostrzegł jakiś ruch. Następnie usłyszał dwa głosy - należące do mężczyzny i kobiety - pogrążone w żarliwej dyskusji.

Harl ostrożnie się zbliżył. Wyminąwszy obsypany kwieciami krzak, zajrzał w zalegający pomiędzy drzewami półmrok.

Nad brzegiem wody, w głębokim cieniu rzucanym przez drzewa siedział mężczyzna oraz kobieta. Mężczyzna wyrabiał misy, formując je z czerpanej ze strumienia mokrej gliny. Jego dłonie pracowały zręcznie i z wprawą. Obracał misy na umieszczonej pomiędzy jego kolanami kręcącej się platformie.

Jak tylko mężczyzna kończył jedną misę, przekazywał ją kobiecie, która ozdabiała naczynie energicznymi ruchami umoczonego w czerwonym barwniku pędzla.

Kobieta była piękna. Harl spoglądał na nią w pełnym oszołomienia podziwieniu. Siedziała niemal bez ruchu, oparta o drzewo, ostrożnie trzymając w trakcie malowania każdą misę. Kaskada czarnych włosów opadała jej aż do pasa. Miała delikatnie rzeźbione wyraziste rysy i ogromne ciemne oczy. Nieznacznie poruszając wargami, z uwagą patrzyła na każdą misę. Harl zwrócił uwagę na delikatny kształt jej drobnych dłoni.

Chyłkiem ruszył w jej kierunku. Kobieta nie słyszała go ani nie podniosła głowy. Z rosnącym zdumieniem uświadomił sobie kruchość i urodę jej miedzianego ciała, smukłość i jędrność członków. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z jego obecności.

Naraz mężczyzna ponownie zabrał głos. Kobieta uniosła głowę i położyła misę na ziemi. Odpoczywała przez chwilę, czyszcząc liściem swój pędzel. Ubrana była w sięgające do kolan spodnie z szorstkiego płótna przewiązane w pasie poskręcanym lnianym sznurkiem. Nie miała na sobie nic więcej. Jej ramiona i stopy były nagie, oświetlona popołudniowym słońcem pierś wznosiła się i opadała w przyspieszonym oddechu.

Mężczyzna dodał coś jeszcze. Po chwili kobieta uniosła kolejną misę i powtórnie przystąpiła do malowania. Oboje pracowali w milczeniu, skupieni na swoim zajęciu.

Harl przyjrzał się misom. Wykonano je według jednego wzoru. Mężczyzna formował je pospiesznie z czerpanej garściami gliny, którą następnie raz po raz obracał, modelując naczynie. Ochlapował glinę wodą, wygładzając i utwardzając powierzchnię. Wreszcie układał naczynia rzędami, by wyschły na słońcu.

Kobieta wybierała suche misy i malowała je.

Harl nie spuszczał z dziewczyny wzroku. Studiował ruchy jej miedzianego ciała, wyraz napięcia na twarzy, ledwo uchwytnie drżenie warg i podbródka. Smukłe palce zakończone były długimi, ostrymi paznokciami. Ostrożnie trzymała każdą misę, obracała ją wprawnie i zamaszystymi pociągnięciami pędzla pokrywała wzorem.

Harl przyjrzał się uważniej. Każdą misę zdobił identyczny wzór. Najpierw powstawał ptak, a potem drzewo. Linia, mająca reprezentować powierzchnię ziemi. I zawieszona tuż nad nią chmurka.

Jakie było dokładne znaczenie tego powtarzającego się motywu? Harl pochylił się jeszcze niżej, wyętzając wzrok. Czyżby rzeczywiście obrazki niczym nie różniły się od siebie? Obserwował zręczne ruchy jej dłoni, kiedy sięgała po kolejne naczynia, by pokryć je rysunkiem. Wzór był z grubsza ten sam - jednak za każdym razem kobieta wprowadzała drobne zmiany, w związku z czym każda misa różniła się nieco od poprzedniej.

Przejęło go zdumienie i podziw. Wzór był niby ten sam, a jednak odrobinę inny. To zmianie ulegała barwa upierzenia ptaka - to znów długość jego piór. Rzadziej pozycja drzewa lub chmury. W pewnym momencie kobieta namalowała dwa obłoki wiszące nad powierzchnią ziemi. Czasami dodawała trawę i widoczny w tle zarys wzgórz.

Naraz mężczyzna wstał i wytarł ręce w płótno. Powiedziawszy coś do dziewczyny, wszedł między zarośla i wkrótce zniknął z pola widzenia.

Harl rozejrzał się z przejęciem. Dziewczyna ze spokojem kontynuowała swoje zajęcie. Mężczyzna oddalił się i została sama.

Harl miotał się targany sprzecznymi emocjami. Pragnął przemówić do dziewczyny, zapytać ją o obrazki, o wzór. Chciał zapytać, dlaczego zmieniała go za każdym razem.

Chciał usiąść i porozmawiać z nią. Przemówić do niej i wysłuchać odpowiedzi. Dziwne. Sam tego nie rozumiał. Obraz przed oczami zaszedł mu mgłą, na kark i zgarbione ramiona padały krople potu. Dziewczyna nie przerywała malowania. Nie podejrzewała, że stoi tuż na wprost niej. Dłonie Harla powędrowały do paska. Z wahaniem wstrzymał oddech. Czy się odważy? Czy powinien? Mężczyzna niebawem zjawi się z powrotem... Harl nacisnął przycisk na swoim pasku. Rozpostarta wokół niego osłona rozplynęła się z sykiem.

Dziewczyna w zdumieniu uniosła głowę. I szeroko otworzyła oczy.

Krzyknęła.

Przerażony własnym czynem Harl uczynił raptowny krok w tył i chwycił za broń.

Dziewczyna zerwała się z miejsca, odrzucając gwałtownie farby i misy. Osłupiała patrzyła na niego z otwartymi ustami. Powoli cofała się w kierunku zarośli. Nagle odwróciła się i z krzykiem rzuciła do ucieczki.

Harl zeszywniał w nagłym przypiływie strachu. W pośpiechu uruchomił osłonę. Od strony wioski dobiegał rosnący zgiełk. Słyszał uniesione w panice głosy, tupot biegnących, trzask łamanych gałęzi - całą osadę ogarnęło gwałtowne poruszenie.

Harl pomknął wzdłuż strumienia, wyminął zarośla i wypadł na otwartą przestrzeń.

Naraz przystanął z dziko bijącym sercem. Tłum sapów podążał w kierunku strumienia -

mężczyźni uzbrojeni w oszczepy, stare kobiety i rozwrzeszczane dzieci. Zatrzymali się na skraju krzewów, nadstawiając ucha i rozglądając się wokół, z twarzami zastygłymi w osobliwym, baczny wyrazie. Następnie wkroczyli między zarośla, z furią odgarniając z drogi gałęzie - w poszukiwaniu Harla.

Usłyszał stukot w słuchawkach.

- Harl! - dobiegł wyraźny i ostry głos Eda Boyntona. - Harl, chłopcze! Harl podskoczył i wykrzyknął przepełniony desperacką wdzięcznością.

- Tato, tutaj jestem!

Ed Boynton szarpnął Harla za ramię, niemal zbijając go z nóg.

- Co ty wyprawiasz? Gdzie się włóczysz? Co zrobiłeś?

- Masz go? - wtrącił głos Turnera. - Zatem pospieszcie się... obaj! Musimy jak najprędzej się stąd wydostać. Wszędzie rozsypują biały proszek.

Sapy krążyły dokoła, rozsypując na boki kłęby proszku. Dryfująca w powietrzu substancja osiadała na wszystkim. Najwyraźniej był to rodzaj sproszkowanej kredy. Pozostałe sapy rozlewały z dużych pojemników olej i wymieniały podniecone okrzyki.

- Wynośmy się stąd - przyznał ponuro Boynton. - Kiedy wpadną w gniew, lepiej z nimi nie zadzierać.

Harl zawahał się.

- Ale przecież...

- Chodźże! - ponaglił ojciec, ciągnąc go za ramię. - Idziemy. Nie mamy chwili do stracenia.

Harl popatrzył przez ramię. Nie widział kobiet, tylko nadbiegających zewsząd mężczyzn, którzy rozsypywali kredę i rozlewali olej. Sapy o złowrogich, zakończonych metalem oszczepach, przeszukujące każdą piędź ziemi i kępkę chwastów w okolicy.

Harl pozwolił poprowadzić się ojcu. W głowie mu szumiało. Kobieta zniknęła i nie ulegało wątpliwości, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Kiedy ukazał jej swoją postać, z krzykiem rzuciła się do ucieczki.

Dlaczego? To nie miało najmniejszego sensu. Dlaczego wzbudził w niej taki strach? Co takiego zrobił?

W zasadzie co to miało za znaczenie, czy zobaczy ją jeszcze, czy nie? Niby dlaczego była taka ważna? Nie rozumiał. Nie rozumiał siebie. Nie znajdował racjonalnego wytłumaczenia na to, co się wydarzyło. Przechodziło to granice pojmowania.

Wciąż oszołomiony i zdruzgotany podążył za ojcem i Turnerem do szalupy, usiłując pochwycić sens tego, co zaszło pomiędzy nim a kobietą. Nie był w stanie tego uczynić. Najpierw on postradał zmysły, a później ona. Należało przypisać temu jakieś znaczenie - tylko jakie?

Przy szalupie Ed Boynton przystanął i obejrzał się przez ramię.

- Mieliśmy szczęście - powiedział do Harla, potrząsając głową. - Kiedy są źli, przypominają bestie. To zwierzęta, Harl. Nie są niczym innym, jak dzikimi zwierzętami.

- Chodźcie - rzucił niecierpliwie Turner. - Uciekajmy stąd, dopóki wciąż możemy chodzić.

Julie nie przestała dygotać nawet po tym, jak troskliwie wykapano ją w strumieniu i namaszczone oliwą.

Drżąc niepokonywanie, zwinęła się w kłębek i opłótła rękami kolana. Ken, jej brat, nasrożony stał obok i trzymał dłoń na jej nagim, miedzianym ramieniu.

- Co to było? - mamrotała Julie. - Co to było? - Przejął ją kolejny dreszcz. - To... to było straszne. Sam widok przyprawił mnie o mdłości.

- Czy możesz to opisać? - zapytał Ken.

- To... to wyglądało jak człowiek. Ale nie mogło nim być. Od stóp do głów pokryte było metalem i miało olbrzymie dłonie i stopy. Jego twarz była biała jak... jak mąka. Obrzydliwa. Potworna. To było białe, metaliczne i obrzydliwe. Zupełnie jak wyciągnięty z ziemi korzeń.

Ken zwrócił się do słuchającego z uwagą starca.

- I co? - zapytał. - Co to mogło być, panie Stebbins? Zna się pan na tym. Co ona tam widziała?

Pan Stebbins powoli wstał.

- Twierdzisz, że miał białą skórę? Jak mąka? Albo surowe ciasto? I do tego olbrzymie dłonie oraz stopy?

Julie skinęła głową.

- I... coś jeszcze.

- Mianowicie?

- Był ślepy. Miał coś zamiast oczu. Dwie czarne jamy. - Zadrżała i skierowała wzrok w stronę strumienia.

Naraz pan Stebbins zacisnął zęby. Kiwnął głową.

- Wiem - oświadczył. - Wiem, co to było.

- Co takiego?

Marszcząc brwi, pan Stebbins wymamrotał coś pod nosem.

- Ale to niemożliwe. Chociaż twój opis... - Zapatrzył się w dal, ukośna zmarszczka przecinała mu czoło. - Mieszkają w dole - powiedział wreszcie. - Pod powierzchnią ziemi. Przychodzą od strony gór. Egzystują w ziemi, w ogromnych tunelach i komnatach, które własnoręcznie wyryli. Wyglądają jak ludzie, lecz nimi nie są. Czerpią z ziemi metal. Wydobywają go i hartują. Rzadko kiedy pojawiają się na powierzchni. Nie mogą patrzeć na słońce.

- Jak się zwą? - zapytała Julie.

Pan Stebbins poszperał w pamięci, cofając się w myślach o dziesiątki lat, do starych ksiąg i zasłyszanych legend, dotyczących zamieszkujących podziemie stworów... Przypominających ludzi, ale nimi nie będących... Stworów, które ryły w ziemi tunele i wydobywały metal... Niewidomych stworów o wielkich dłoniach i stopach oraz białej jak mąka skórze.

- Gobliny - oznajmił pan Stebbins. - Zobaczyłaś goblina.

Julie kiwnęła głową, wbiła wzrok w ziemię i z całych sił ścisnęła rękami kolana.

- Tak - odrzekła. - To bardzo prawdopodobne. Przeraził mnie. Tak bardzo się bałam. Odwróciłam się i uciekłam. Był taki straszny. - Przeniosła spojrzenie na brata i uśmiechnęła się blado. - Ale już mi lepiej...

Ken zatarł swoje duże, ciemne dłonie i z ulgą pokiwał głową.

- To dobrze - powiedział. - Teraz możemy wrócić do zajęć. Mamy wiele do zrobienia. Czeka nas masa pracy.

PROJEKT: ZIEMIA

Dźwięk niósł się głuchym echem przez wielki dom. Zatrząsał naczyniami w kuchni i przetoczył się przez biegnące dachem rynny na podobieństwo odległego grzmotu. Co pewien czas następowała cisza, po czym uporczywe, porażające swoją regularnością dudnienie rozbrzmiewało ponownie. Dobiegało z najwyższego piętra domu.

W łazience, popychając się i uciszając wzajemnie, troje dzieci walczyło o dostęp do krzesła.

- Jesteście pewni, że on nas nie widzi? - zapytał Tommy.

- Niby jak miałyby nas widzieć? Po prostu siedźcie cicho. - Dave Grant poruszył się na krześle i przybliżył twarz do ściany. - Nie gadaj tak głośno. - I spoglądał dalej, ignorując pozostałą dwójkę.

- Daj mi popatrzeć - szepnęła Joan, szturchając brata kościstym łokciem. - Złaz na dół.

- Cicho bądź. - Dave odepchnął ją. - Teraz widzę lepiej. - Przekreślił kontakt.

- Chcę popatrzeć - powiedział Tommy. Zepchnął Dave'a na podłogę. - Puszczaj.

Dave odsunął się z ociąganiem.

- To nasz dom.

Tommy ostrożnie wszedł na krzesło. Przystawił oko do szczeliny, dotykając twarzą ściany. Przez chwilę nic nie widział. Szpara była wąska, a światło po drugiej stronie kiepskie. Stopniowo jednak zaczął rozróżniać poszczególne kształty.

Edward Billings siedział za ogromnym, staromodnym biurkiem. Przestał stukać na swojej maszynie i pozwolił odpocząć oczom. Z kieszeni kamizelki wydobył okrągły zegarek. Nakręcił go powoli. Bez okularów jego szczupła, wyschnięta twarz wydawała się posępna, niczym oblicze podstarzałego ptaka. Następnie znów założył okulary i przysunął krzesło bliżej biurka.

Przystąpił do pisania, biegając wprawnymi palcami po wznoszącej się przed nim masie żelastwa. Dom ponownie wypełniło złowrogie dudnienie, odzyskało swój uporczywy rytm.

Pokój pana Billingsa był mroczny i zaśmiecony. Wszędzie piętrzyły się sterty książek i papierów; na biurku, na stole i na podłodze. Ściany pokrywały plansze z przekrojami anatomicznymi, mapami, wykresami gwiazdnymi oraz znakami zodiaku. Pod oknem stały rzędy zakurzonych próbek i opakowań. Na szczycie biblioteczki tkwił zszarzały wypchany ptak. Na biurku leżała ogromna lupa, greckie i hebrajskie słowniki, pudełko ze znaczkami i kościany otwieracz do listów. Przy drzwiach furkotał zmięty lep na muchy poruszany podmuchami z gazowego grzejnika.

Pod ścianą walały się szczątki laterna magica. Czarna skórzana torba z narzuconą na nią stertą ubrań. Koszule, skarpetki i długi surdut, sfatygowany i wypłowiały. Przewiązane brązowym sznurkiem gazety i czasopisma. Oparty o stół czarny parasol, którego metalowy szpikulec tkwił w kałuży brudnej wody. Ramka z kolekcją motyli umocowanych na pożółkłym, bawełnianym tle.

Przy biurku siedział pochylony nad przestarzałą maszyną i plikami notatek potężny starzec.

- O rany - powiedział Tommy.

Edward Billings pracował nad raportem, który leżał na biurku na wprost niego; ogromna, oprawiona w skórę księga o splekanych krawędziach. Wpisywał do niej zawarte w licznych notatkach informacje.

Regularne stukanie wielkiej maszyny wprawiało w drżenie ustawione w łazience przedmioty, sprzęty oraz buteleczki i tubki w apteczce. Wibrowała nawet podłoga pod stopami dzieci.

- Pewnie jest jakimś agentem komunistycznym - doszła do wniosku Joan. - Sporządza szkic miasta, aby na sygnał dany przez Moskwę zdetonować bomby.

- Bzdury gadasz - odparł z irytacją Dave.

- Nie widziałeś tych wszystkich map, ołówków i papierów? Co innego mógłby...

- Siedź cicho - rozkazał Dave. - Jeszcze nas usłyszysz. To żaden szpieg. Za stary na szpiega.

- Kim wobec tego jest?

- Skąd mam wiedzieć. Ale to nie szpieg. Jesteś głupia jak but. Poza tym szpiedzy mają brody.

- Może to przestępca - podsunęła Joan.

- Rozmawiałem z nim kiedyś - rzekł Dave. - Schodził właśnie po schodach. Zagadał do mnie i dał mi cukierka.

- Jakiego?

- Nie wiem. Twardego. Wcale mi nie smakował.

- Czym on się zajmuje? - zapytał Tommy, odrywając wzrok od szczeliny.

- Całymi dniami przesiaduje w pokoju i pisze na maszynie.

- Nie pracuje?

Dave ironicznie wyszczerzył zęby.

- Właśnie na tym polega jego praca. Sporządza swój raport. Jest urzędnikiem w firmie.

- Jakiej?

- Zapomniałem.

- W ogóle nie wychodzi na dwór?

- Wychodzi na dach.

- Na dach?

- Ma tam werandę. Sami ją zrobiliśmy. Stanowi część mieszkania. I ma ogródek. Schodzi na dół i przynosi ziemię z podwórka.

- Sza! - ostrzegł Tommy. - Odwrócił się.

Edward Billings wstał. Okrył maszynę czarną tkaniną, odsunął ją i zebrał ołówki i gumki. Otworzywszy szufladę, schował do niej ołówki.

- Skończył - oznajmił Tommy. - Na dzisiaj koniec zajęć.

Stary zdjął okulary i włożył je do etui. Znużony potarł czoło, po czym poluzował kołnierzyk i krawat. Na obleczonej poźółkłą skórą szyi odznaczały się nabrzmiałe żyły. Kiedy pociągnął ze szklanki łyk wody, jego grdyka podskoczyła w górę i w dół.

Miał bladoniebieskie, wyblakłe oczy. Przez chwilę skierował w stronę Tommy'ego sokołą, pozbawioną wyrazu twarz. Naraz wstał i pospiesznie opuścił pokój.

- Idzie spać - powiedział Tommy.

Pan Billings wrócił do pokoju z ręcznikiem przerzuconym przez ramię. Zatrzymał się przy biurku i przewiesił ręcznik przez oparcie krzesła. Podniósł oburącz ciężką księgę i zaniósł ją do biblioteczeki. Postawił na półce i znów wyszedł z pokoju.

Raport znajdował się bardzo blisko. Tommy widział wybite na skórzanej okładce złoczone litery. Wpatrywał się w nie przez dłuższy czas, aż wreszcie zniecierpliwiona Joan odepchnęła go od szczeliny.

Tommy zszedł z krzesła, przejęty i zafascynowany tym, co przed chwilą ujrzał. Wielka księga, zawierająca materiał, któremu stary poświęcał całe dni wytężonej pracy. W migoczącym świetle ustawionej na biurku lampy bez trudu odczytał widniejący na wyświechtanej okładce napis.

PROJEKT B: ZIEMIA

- Chodźmy stąd - powiedział Dave. - Za parę minut zjawi się tutaj i złapie nas na podglądaniu.

- Boisz się go - odrzekła szyderczo Joan.

- Tak jak i ty. I mama. I w ogóle każdy. - Zerknął na Tommy'ego. - A ty się go boisz?

Tommy potrząsnął głową.

- Chciałbym wiedzieć, co zawiera ta księga - mruknął. - Ciekawi mnie, co też ten stary knuje.

Późnopołudniowe słońce słało na ziemię jaskrawe i zimne promienie. Edward Billings powoli zszedł tylnymi schodami z pustym wiaderkiem w dłoni i plikiem zrolowanych gazet pod pachą. Przystanął na chwilę, przysłonił ręką oczy i rozejrzał się dokoła. Następnie ruszył przez mokry trawnik w kierunku podwórza.

Tommy wychynął zza garażu. Cicho wbiegł na schody, przesadzając po dwa naraz. Znalazłszy się w budynku, żwawo podążył przez ciemny korytarz.

Niebawem stanął zdyszany przed drzwiami prowadzącymi do mieszkania Edwarda Billingsa i wytężył słuch.

Ciszy nie mącił żaden dźwięk.

Chwycił za gałkę. Obrócił ją bez trudu. Kiedy otworzył drzwi, na korytarz wtargnęła stęchła fala ciepłego powietrza.

Miał niewiele czasu. Stary wróci zaraz z wiaderkiem wypełnionym ziemią z podwórka.

Tommy wszedł do pokoju i z bijącym sercem podszedł do biblioteczki. Księga spoczywała wśród stert notatek i wycinków prasowych. Odgarnął je na bok. Na chybił trafił otworzył księgę, przewracając jej grube, szeleszczące kartki.

Dania.

Niezliczone rzędy statystyk, wypełnione kolumnami stronice. Czcionka zatańczyła mu przed oczami, uniemożliwiając odczytanie zapisu. Przeszedł do następnego działu.

Nowy Jork.

Dane dotyczące Nowego Jorku. Usiłował rozszyfrować wieńczące kolumny nagłówki. Liczba mieszkańców. Czym się zajmowali. Jakie wiedli życie. Ile zarabiali. W jaki sposób spędzali czas. Ich przekonania. Religia. Polityka. Filozofia. Zasady moralne. Wiek. Stan zdrowia. Inteligencja. Wykresy i statystyki, przeciętne i oceny.

Oceny. Pochwały. Potrzęsnał głową i przewrócił stronicę.

Kalifornia.

Populacja. Stopień zamożności. Działalność rządu stanowego. Porty. Fakty, fakty, fakty...

Informacje dotyczące wszystkiego. Każdego miejsca. Przekartkował raport. Wszystkich zakątków świata. Każdego miasta, stanu, państwa. Dane dotyczące każdej możliwej dziedziny życia.

Przejęty obawą Tommy zamknął raport. Obszedł pokój, przeglądając sterty papierzysk, pliki notatek, wycinków i map. Stary ślęczał nad maszyną całymi dniami. Gromadził informacje dotyczące całego świata. Ziemi. Szykował raport o Ziemi i wszystkich związanych z nią zagadnieniach. o jej mieszkańcach; o tym, co robili i myśleli, o ich zajęciach, dokonaniach, poglądach i uprzedzeniach. Wielki raport zawierający informacje na temat całego świata.

Tommy podniósł z biurka lupę. Posługując się nią, zbadał drewnianą powierzchnię biurka. Zaraz odłożył szkło powiększające z powrotem i sięgnął po kościany otwieracz do listów. Potem przyjrzał się stojącej w kącie zepsutej latarna magica. Następnie skierował uwagę na ramę z

motylami. Na wypchanego ptaka. Butelki z preparatami chemicznymi.

Wyszedł na dach. Słońce migotało kapryśnie; wkrótce miał zapaść zmierzch. Pośrodku werandy stała drewniana konstrukcja okolona warstwą ziemi z darnią. Wzdłuż barierki ustawiono zabrudzone słoje, worki z nawozem oraz wilgotne paczki z nasionami. Przewrócony spryskiwacz. Brudny rydel. Wycięte z dywanu pasy i wiklinowe krzesło. Konewka.

Pokrywą drewnianej konstrukcji stanowiła siatka druciana. Tommy pochylił się i zajrzał przez jej oczka. Zobaczył rzędy niepozornych roślin. Porastający podłoże mech. Splątane rośliny, nadzwyczaj drobne i o złożonej budowie.

W jednym miejscu na podobieństwo kokonu leżał stos zeschniętej trawy.

Owady? Jakiś gatunek zwierząt?

Chwycił słomkę i przełożywszy ją przez siatkę, trącił stertę. Splątana masa trawy drgnęła. Wewnątrz coś było. Zauważył też inne kokony, poumieszczane tu i ówdzie pomiędzy roślinami.

Naraz z wnętrza kokonu wyskoczyło jakieś stworzenie i pędem puściło się przez trawę. Wydało pełen przerażenia pisk. Za nim podążyło następne. Było różowe i poruszało się nadzwyczaj szybko. Wkrótce oczom Tommy'ego ukazało się całe stadko różowych, piszczących i ruchliwych istot, z których każda liczyła nie więcej niż dwa cale wzrostu.

Pochyliwszy się nad siatką, Tommy zmierzył je badawczym wzrokiem. Nie miały włosów. Należały do jakiegoś gatunku bezwłosych zwierząt. Lecz były małe, nie większe od koników polnych. Czyżby potomstwo? Serce zabiło mu gwałtownie. Potomstwo albo...

Odgłos. Odwrócił się zdrętwiały.

Na progu stał zdyszany Edward Billings. Z westchnieniem odstawił wiaderko z ziemią i sięgnął do kieszeni granatowego płaszcza w poszukiwaniu chustki. W milczeniu otarł czoło, nie spuszczać wzroku ze stojącego obok drewnianej konstrukcji chłopca.

- Kim jesteś, młody człowieku? - zapytał po chwili Billings. - Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek cię widział.

Tommy potrząsnął głową.

- Nie.

- Co ty tu robisz?

- Nic.

- Czy mógłbyś wnieść to wiaderko na werandę? Jest cięższe, niż przypuszczałem.

Tommy przez chwilę stał bez ruchu. Następnie podszedł bliżej i podniósł wiaderko. Wniósł je

na werandę i postawił obok drewnianej konstrukcji.

- Dziękuję - powiedział Billings. - Jestem ci niezmiernie wdzięczny. - Bystre, roziskrzone spojrzenie wypłowiłych oczu omiotło chłopca. Twarz starego była przebiegła, aczkolwiek nie pozbawiona życzliwości. - Wyglądasz mi na osiłka. Ile masz lat? Jedenaście?

Tommy przytaknął. Cofnął się w kierunku barierki. Pod nią, dwie lub trzy kondygnacje niżej, rozciągała się ulica. Nieopodal przechodził wracający z biura pan Murphy. Na rogu bawiło się kilkoro dzieci. Po drugiej stronie ulicy młoda kobieta w niebieskim swetrze narzuconym na szczupłe ramiona podlewała trawnik. Był w miarę bezpieczny. Gdyby staremu strzeliło coś do głowy...

- Po co tutaj przyszedłeś? - zapytał Billings.

Tommy nie odpowiedział. Stali naprzeciw siebie; zgarbiony, potężny starzec w ciemnym surducie o staromodnym kroju i młody, piegowaty chłopiec w czerwonym swetrze i džinsach, tenisówkach i czapeczce na głowie. Naraz Tommy popatrzył na drewnianą, okrytą siatką konstrukcję, po czym ponownie przeniósł wzrok na Billingsa.

- To? Zatem to chciałeś zobaczyć?

- Co tam jest? Kim one są?

- One?

- Te stworzenia. Czy to owady? Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Kim one są?

Billings podszedł do niego wolnym krokiem. Pochylił się nad konstrukcją i uchylił jej pokrywę.

- W takim razie popatrz, skoro cię to interesuje. - Odbezpieczył pokrywę i odłożył ją na bok.

Tommy podszedł bliżej, wytrzeszczając oczy.

- No i? - rzekł Billings. - Teraz już wiesz.

Tommy gwizdnał cicho.

- Przyszło mi to do głowy. - Pobladły na twarzy wyprostował się powoli. - Pomyślałem o tym, ale... nie byłem pewny. Małe ludziki!

- Niezupełnie - poprawił Billings. Ciężko spoczął na wiklinowym krześle. Z kieszeni płaszcza wyciągnął fajkę i sfatygowany kapciuch. Niespiesznie napełnił fajkę, wytrząsając do niej tytoń. - To nie całkiem są ludzkie.

Tommy nie odrywał wzroku od konstrukcji. Kokony okazały się maleńkimi chatkami skleconymi własnoręcznie przez ludziki. Kilku z nich wyległo na zewnątrz. Stali w grupie i patrzyli na niego, zadzierając do góry głowy. Małe, różowe istotki, nie więcej niż dwa cale wzrostu. Nie

mieli na sobie ubrań.

- Przyjrzyj się im uważnie - mruknął Billings. - Popatrz na ich głowy. Co widzisz?

- Są tacy mali...

- Przynies z biurka szkło. To duże szkło powiększające. - Patrzył, jak Tommy wpada do pokoju, by za chwilę wybiec z niego z lupą. - Teraz powiedz mi, co widzisz.

Tommy zbadał figurki za pomocą lupy. Rzeczywiście miały ludzki kształt. Ramiona, nogi - niektóre spośród nich były płci żeńskiej. Głowy. Tommy pisnął.

I odskoczył.

- Co się stało? - chrząknął Billings.

- Co za... co za dziwadła.

- Dziwadła? - Billings nie mógł powstrzymać uśmiechu. - Cóż, wszystko zależy od punktu widzenia. Różnią się... od ciebie. Ale to nie dziwadła. Nie ma w nich żadnej nieprawidłowości. Przynajmniej mam taką nadzieję; - Uśmiech na jego twarzy ustąpił miejsca wyrazowi głębokiego namysłu.

- Czy to pan ich stworzył? - zapytał Tommy.

- Ja? - Billings wyjął fajkę z ust. - Nie, nie ja.

- Skąd pan ich ma?

- Wypożyczono mi ich. Stanowią grupę próbną. Są nowi. Zupełnie nowi.

- Czy... czy nie chciałby pan sprzedać jednego z nich?

Billings roześmiał się.

- Nie, niestety nie. Muszę ich zatrzymać.

Tommy kiwnął głową, powracając do oględzin. Przez lupę wyraźnie dostrzegał głowy. Nie byli ludźmi w pełnym tego słowa znaczeniu. Pośrodku czoła każdego z nich wyrastała antena, podobna do drutu, zakończona zgrubieniem narośl. Zupełnie jak czułki owadów. Pomijając anteny, wydawali się całkiem normalni - tylko te anteny oraz niepozorne rozmiary.

- Czy pochodzą z innej planety? - zapytał Tommy. - Z Marsa? Wenus?

- Nie.

- No to skąd?

- Trudno udzielić odpowiedzi na to pytanie. W ich przypadku jest pozbawione znaczenia.
- Czemu ma służyć pański raport?
- Raport?
- No, ta wielka księga zawierająca różnego rodzaju dane. To, nad czym pan pracuje.
- Poświęciłem jej bardzo dużo czasu.
- To znaczy?

Billings uśmiechnął się.

- Na to również nie można odpowiedzieć. Temu pytaniu brakuje treści. Ale naprawdę dużo. Powoli zbliżam się do końca.

- I co pan z nią zrobi? Kiedy już pan skończy?
- Przekażę ją swoim przełożonym.
- Kim oni są?
- I tak ich nie znasz.
- Gdzie są? Czy w naszym mieście?
- Tak. I nie. Nie ma na to odpowiedzi. Być może któregoś dnia...
- Ten raport dotyczy nas - rzucił Tommy.

Billings odwrócił głowę. Utkwił w Tommym bystre spojrzenie.

- Czyżby?
- Tak. Sam widziałem.
- Co nasunęło ci tę myśl?
- Przeczytałem tytuł. Jest o Ziemi, prawda?

Billings kiwnął głową.

- Tak. Jest o Ziemi.
- Nie pochodzi pan stąd, prawda? Przybył pan spoza układu.
- Skąd... skąd wiesz?

Tommy uśmiechnął się z pełną wyższości dumą.

- Widzę. Mam swoje sposoby.

- Co zdażyłeś przeczytać w raporcie?

- Niewiele. Czemu on ma służyć? Po co pan go sporządza? Co oni mają zamiar z nim zrobić?

Billings długo ważył w myślach odpowiedź. Wreszcie przemówił.

- To - powiedział - będzie zależało od nich. - Machnął ręką w kierunku drewnianej konstrukcji.

- To, co zrobią z raportem, zależy od przebiegu Projektu C.

- Projektu C?

- Trzeciego projektu. Przed nim były tylko dwa. Czekali bardzo długo. Każdy projekt jest starannie planowany. Przed podjęciem decyzji skrzętnie analizuje się nowe czynniki.

- A tamte dwa poprzednie?

- Ci otrzymali anteny oraz całkiem nowy układ zdolności kognitywnych. Zależność od motywów wewnętrznych praktycznie żadna. Zwiększona możliwość dostosowania. Pewne obniżenie ogólnego wskaźnika emocjonalnego, lecz utrata libido powoduje wzrost racjonalnej kontroli. W miejsce oparcia na tradycyjnym nauczaniu grupowym oczekiwałbym większego zaakcentowania wagi indywidualnych doświadczeń. Mniej stereotypowe myślenie i szybszy postęp w opanowywaniu sytuacji.

Tommy zagubił się wobec pełnego obcych terminów wykładu.

- Jak wyglądali tamci? - zapytał.

- Tamci? Projekt A miał miejsce dawno temu. Słabo go pamiętam. Skrzydła.

- Skrzydła?

- Mieli skrzydła; polegali na ruchliwości i wykazywali wyraźne cechy indywidualne. W ostatecznym podsumowaniu pozwoliliśmy im na zbyt dużą samowystarczalność. Dumę. Dysponowali pojęciem dumy i honoru. Mieli silnie rozwinięty instynkt walki. Jeden przeciwko pozostałym. Podzielili się na drobne frakcje antagonistyczne i...

- A reszta?

Billings postukał fajką o barierkę. Niebawem podjął, kierując swą opowieść bardziej do siebie niż do stojącego przed nim chłopca.

- Typ uskrzydłony stanowił naszą pierwszą próbę w celu stworzenia organizmów wyższego rzędu. Projekt A. Kiedy okazał się niewypałem, zwołaliśmy konferencję, której rezultatem był

Projekt B. Tutaj porażka wydawała się nie wchodzić w rachubę. Usunęliśmy wiele wybuchających cech indywidualnych i wstawiliśmy zamiast niej proces orientacji grupowej. Stadną metodę przyswajania wiedzy i zdobywania doświadczeń. Sądziliśmy, że w ten sposób zapewnimy sobie pełną kontrolę nad projektem. Pierwszy projekt nauczył nas, że jeżeli chcemy odnieść sukces, należy zwiększyć nadzór nad eksperymentem.

- Jak wyglądali drudzy? - zapytał Tommy, usiłując znaleźć w wypowiedzi Billingsa jakiś zrozumiały wątek.

- Tak jak powiedziałem, usunęliśmy skrzydła. Wygląd ogólny pozostał nie zmieniony. Mimo że przez pewien czas zdołaliśmy utrzymać ich w korbach, również wyłamali się ze schematu, tworząc niezależne grupy nie podlegające naszej kontroli. Nie ulega wątpliwości, iż w znacznym stopniu wpłynęli na nich żyjący przedstawiciele typu pierwszego. Powinniśmy byli zlikwidować ich, jak tylko...

- Czy pozostali jacyś z nich?

- Z Projektu B? Naturalnie. - Na twarzy Billingsa odmalowała się irytacja. - Sam do nich należysz. Dlatego właśnie tutaj jestem. Jak tylko praca nad raportem dobiegnie końca, ostateczne dyspozycje w związku z twoim gatunkiem zostaną wprowadzone w życie. Moje sugestie nie odbiegają od tych, które dotyczyły Projektu A. Skoro twój Projekt do tego stopnia zaczął żyć własnym życiem, mimo naszych największych starań przestaliście być funkcjonalni...

Lecz Tommy nie słuchał. Pochylił się nad konstrukcją i spoglądał na figurki. Dziewięcioro ludzików, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Na całym świecie było ich jedynie dziewięcioro.

Tommy zadrżał. Ogarnęło go podniecenie. W jego myślach zaczął rysować się pewien plan. Starał się nie dać po sobie nic poznać.

- Chyba już pójdę. - Wrócił do pokoju i skierował się ku wyjściu.

- Już? - Billings wstał. - Ale przecież...

- Muszę iść. Robi się późno. Do widzenia. - Otworzył drzwi.

- Do widzenia - odparł ze zdziwieniem Billings. - Mam nadzieję, że jeszcze mnie odwiedzisz, młody człowieku.

- Na pewno - obiecał Tommy.

Popędził do domu, ile sił w nogach. Wbiegł po schodkach na ganek i wpadł do domu.

- Akurat zdążyłeś na kolację - zawołała z kuchni mama.

Tommy przystanął na podeście.

- Muszę znowu wyjść.

- Wykluczone! Zostaniesz w...

- Tylko na chwilę. Niedługo wrócę. - Tommy wbiegł do swojego pokoju i rozejrzał się wokół.

Jaskrawożółty pokój. Obwieszane proporcami ściany. Ogromna komoda z lustrem, szczotka i grzebień, modele samolotów, zdjęcia graczy baseballowych. Papierowa torebka z kapsłami od butelek. Nieduże radio o zniszczonej plastikowej obudowie. Drewniane pudełka po cygarach pełne drobiazgów i rupieci, które nieustannie gromadził.

Tommy chwycił jedno z pudełek i wysypał jego zawartość na łóżko. Następnie opróżnione wepchnął pod kurtkę i skierował się ku wyjściu.

- A ty dokąd? - zapytał ojciec, podnosząc wzrok znad wieczornej gazety.

- Zaraz wrócę.

- Mama powiedziała, że niedługo będzie kolacja. Nie słyszałeś?

- Zaraz wrócę. To ważne. - Tommy otworzył drzwi. Do środka wtargnęło zimne, wieczorne powietrze. - Naprawdę. To niezwykle ważne.

- Dziesięć minut. - Vince Jackson popatrzył na zegarek. - Ani chwili dłużej. Inaczej zapomnij o kolacji.

- Dziesięć minut. - Tommy zatrzasnął drzwi. Zbiegł po schodach i wtopił się w ciemność.

Pod framugą i przez dziurkę od klucza w drzwiach prowadzących do mieszkania pana Billingsa zamigotało światło.

Tommy zawahał się. Następnie podniósł rękę i zapukał. Przez chwilę panowała cisza, po czym zza drzwi dobiegł szmer i odgłos ciężkiego stąpania.

Otwarto drzwi. Pan Billings wyjrzał na korytarz.

- Dobry wieczór - powiedział Tommy.

- Wróciłeś! - Pan Billings otworzył na oścież drzwi i Tommy pospiesznie przestąpił próg. - Zapomniałeś czegoś?

- Nie.

Billings zamknął drzwi.

- Usiądź. Masz na coś ochotę? Jabłko? Mleko?

- Nie. - Tommy nerwowo przemierzał pokój, dotykając poszczególnych przedmiotów, książek, dokumentów i wycinków prasowych.

Billings przyglądał mu się przez chwilę. Następnie powrócił do biurka i z westchnieniem opadł na krzesło.

- Wobec tego zajmę się moim raportem. Mam nadzieję, że niedługo skończę. - Postukał w leżący przed nim plik notatek. - To już ostatnie. Później będę mógł wyjechać stąd i przedstawić raport wraz z moimi sugestiami.

Pochylony nad gigantyczną maszyną Billings przystąpił do pisania. Uporczywe dudnienie wypełniło pokój. Tommy obrócił się na pięcie i wyszedł na werandę.

Panowała na niej całkowita ciemność. Przystanął, czekając, aż jego wzrok przywyknie do mroku. Po chwili dostrzegł zarys worków z nawozem i wiklinowy fotel. Pośrodku wznosiła się drewniana, przysłonięta siatką konstrukcja, oblepiona trawą i ziemią.

Tommy zerknął przez ramię w kierunku pokoju. Billings pochylał się nad maszyną, bez reszty pochłonięty pracą. Zdjął swój granatowy płaszcz i przewiesił go przez oparcie krzesła. Pracował w kamizelce, rękawy miał wysoko podwinięte.

Tommy przykucnął przy ramie. Wyjął spod kurtki pudełko po cygarach i położył je na ziemi. Chwycił siatkę i wyciągnął spod przytrzymujących gwoździ.

Z wnętrza konstrukcji dobiegły ciche, pełne lęku popiskiwanie i nerwowy tupot wśród żdźbeł wyschniętej trawy.

Tommy zanurzył rękę w głąb konstrukcji. Jego błądzące na oślep palce zacisnęły się na małym przedmiocie, który natychmiast zaczął czynić rozpaczliwe wysiłki, aby się wyrwać z uścisku. Tommy wepchnął go do pudełka i zabrał się do szukania następnego.

Wkrótce miał wszystkich dziewięcioro, zamkniętych w drewnianym pudełku po cygarach.

Zasunął wieczko i z powrotem schował pudełko pod kurtkę. Szybko opuścił werandę i wszedł do pokoju.

Billings podniósł znad maszyny roztargniony wzrok i w jednej ręce trzymał pióro, a notatki w drugiej.

- Chciałeś ze mną porozmawiać? - mruknął, poprawiając na nosie okulary.

Tommy potrząsnął głową.

- Muszę iść.

- Już? Przecież dopiero co przyszedłeś!

- Muszę iść. - Tommy otworzył drzwi na korytarz. - Dobranoc. Billings potarł dłonią pobrużdżoną znużeniem twarz.

- Dobrze, chłopcze. Może jeszcze się spotkamy, nim wyjadę. - Powrócił do pracy, garbiąc się nad maszyną.

Tommy zamknął za sobą drzwi. Zbiegł po schodach na dół. Spoczywające na jego piersi pudełko po cygarach trzęsło się i ruszało. Dziewięcioro. Miał wszystkich. Teraz należeli do niego - a na całym świecie było ich jedynie dziewięcioro. Wszystko potoczyło się zgodnie z planem.

Czym prędzej pobiegł w kierunku domu.

W garażu znalazł starą klatkę, w której kiedyś trzymał białe szczury. Wyczyścił ją i zaniósł na górę do swojego pokoju. Spód klatki wyłożył papierami i postawił w niej miseczkę z wodą oraz trochę piasku.

Kiedy klatka była gotowa, umieścił w niej zawartość pudełka po cygarach.

Dziewięć maleńkich figurek zbiło się pośrodku klatki w zwartą różową gromadkę. Tommy zatrzasnął drzwiczki i pieczołowicie je zabezpieczył. Następnie zaniósł klatkę na komodę i przystawił do niej krzesło, by móc swobodnie ją obserwować.

Dziewięcioro ludzików z wahaniem przystąpiło do poznawania klatki. Patrzącemu na nich Tommy'emu serce z podniecenia zabiło w piersi.

Odebrał je panu Billingsowi. Teraz stanowili jego własność. A pan Billings nie znał ani jego adresu, ani nawet imienia.

Rozmawiali ze sobą, poruszając czułkami w sposób, jaki zaobserwował u mrówek. Jeden z ludzików podszedł do ściany klatki. Chwyciwszy za druty, wyrzwał na pokój. Dołączył do niego drugi, tym razem płci żeńskiej. Oboje byli nadzy. Nie licząc włosów na głowie, całe ciała mieli gładkie i różowe.

Zastanawiał się, co jedzą. Ze stojącej w kuchni lodówki wyjął kawałek sera i odrobinę hamburgera, dokładając do tego okruchy chleba, listki sałaty i spodeczek mleka.

Z apetytem zjedli chleb i mleko. Mięsa nie tknęli. Liście sałaty wykorzystali do budowy szałasów.

Tommy był pełen podziwu. Obserwował ich przez cały ranek przed pójściem do szkoły, później kolejny raz w porze obiadu oraz przez całe popołudnie aż do kolacji.

- Co ty tam masz? - zapytał przy kolacji tata.

- Nic.

- Chyba nie trzymasz w pokoju węża, co? - rzuciła z lękiem mama.

- Młody człowieku, jeżeli przyniosłeś do domu kolejnego węża...

- Nie. - Tommy potrząsnął głową, w pośpiechu pochłaniając kolację. - To nie wąż.

Po jedzeniu pobiegł na górę.

Ludziki skończyły budowę szałasów. Niektóre siedziały w środku. Inne przechadzały się po klatce, badając nowe otoczenie.

Tommy usadowił się przed komodą i patrzył. Były mądre. Nieco mądrzejsze od białych szczurów, które niegdyś hodował. I znacznie czystsze. Korzystały z piasku, który dla nich wysypał. Były mądre - i całkiem oswojone.

Po pewnym czasie Tommy zamknął drzwi od pokoju. Wstrzymując oddech, otworzył klatkę. Wyciągnął rękę i chwycił jedną z figurek. Następnie wyjął rękę z klatki i ostrożnie poluzował uścisk.

Człowieczek kurczowo trzymał się jego dłoni i wyjrzawszy przez jej krawędź, przeniósł na niego wzrok, dziko machając czułkami.

- Nie bój się - powiedział Tommy.

Człowieczek ostrożnie stanął. Przemaszerował przez dłoń Tommy'ego w kierunku nadgarstka. Powoli wspiął się po ramieniu chłopca i spojrzał w dół. Kiedy dotarł do szczytu, przystanął i popatrzył Tommy'emu prosto w twarz.

- Aleś ty malutki - stwierdził Tommy. Wyjął z klatki następnego i postawił obu na łóżku. Przechadzali się po nim przez dłuższą chwilę. Reszta ludzików podeszła do brzegu klatki i z obawą wyglądała na zewnątrz. Jeden znalazł grzebień Tommy'ego. Zbadał go, szarpiąc za zęby. Dołączył do niego drugi. Dwie figurki usiłowały wspólnymi siłami przesunąć grzebień, ale bez powodzenia.

- Co chcecie zrobić? - zapytał Tommy. Figurki dały za wygraną. Następnie zainteresowały się leżącą na komodzie pięciocentówką. Jeden z nich zdołał postawić ją na wąskiej krawędzi. Popchnął. Moneta nabrała prędkości, tocząc się w kierunku skraju komody. Figurki popędziły za nią z konsternacją. Pięciocentówką spadła na podłogę.

- Bądźcie ostrożni - ostrzegł Tommy. Nie chciał, aby coś im się stało. Snuł zbyt wiele planów. Wymyślenie dla nich sztuczek nie powinno stanowić problemu - przecież widział kiedyś wytresowane pchły w cyrku. Małe wózki do ciągnięcia. Huśtawki, zjeżdżalnie. Przedmioty, które mogłyby obsługiwać. Wyszkolił ich, a potem będzie pobierał opłatę za wstęp.

Może zabierze je na tournée. Może nawet opiszą go w gazecie. Myśli przebiegały mu przez głowę jak szalone. Wyobrażnia podsuwała mu nieskończone możliwości. Jednakże na początku powinien wykazać sporo spokoju i ostrożności.

Następnego dnia zabrał jednego do szkoły w słoiku po dżemie. Wywiercił w pokrywie otwory,

aby umożliwić mu oddychanie.

Na przerwie pokazał go Dave'owi i Joan Grant. Nie kryli podziwu.

- Skąd to masz? - zapytał Dave.

- To moja sprawa.

- Nie chcesz tego sprzedać?

- Nie mów to. On jest płci męskiej.

Joan poczerwieniała na twarzy.

- Jest goły. Lepiej zaraz coś mu nałóż.

- Czy mogłabyś uszyć dla niego ubranie? Mam jeszcze ośmiu. Czterech mężczyzn i cztery kobiety.

- Uszyję... jeśli dasz mi jednego z nich - rzuciła w podnieceniu Joan.

- Jeszcze czego. Należą do mnie.

- Skąd oni pochodzą? Kto ich stworzył?

- To nie twój interes.

Joan uszyła dla kobiet małe ubranka. Spódniczki i bluzki. Tommy włożył je do klatki. Ludziki otoczyły niepewnie stos, nie wiedząc, co z nim począć.

- Lepiej im pokaż - poradziła Joan.

- Pokazać? Chyba zgłupiałas.

- Ja je ubiorę. - Joan wyjęła z klatki jedną z kobiet i ostrożnie przyodziała ją w spódnicę i bluzkę. Następnie włożyła ją z powrotem do klatki. - Zobaczmy, co się teraz stanie.

Pozostali otoczyli ubraną kobietę i z zaciekawieniem dotykali jej odzieży. Wkrótce rozdzielili między sobą ubrania, w związku z czym niektórzy dostali bluzki, a inni spódnice.

Tommy zaśmiewał się do łez.

- Lepiej uszyj spodnie dla mężczyzn, niech wszyscy mają się w co ubrać.

Wyjął kilku z klatki i pozwolił im spacerować po swoich ramionach.

- Uważaj - ostrzegła Joan. - Uciekną ci.

- Są oswojeni. Nie uciekną. Zaraz ci pokażę. - Tommy postawił ludziki na podłodze. - Mamy swoją zabawę. Patrz.

- Zabawę?

- Chowają się, a ja ich znajduję.

Figurki rozproszyły się w poszukiwaniu kryjówek. Chwilę potem zniknęły im z oczu. Tommy poruszał się na czworakach, sięgał ręką pod komodę i sprawdzał między prześcieradłami. Rozległ się pisk. Jednego już znalazł.

- Widzisz? Lubią to. - Po kolei odniósł ich do klatki. Ostatniego nie mógł odszukać przez dłuższy czas. Schował się w szufladzie komody w torebce z kulkami, którymi się nakrył.

- Są sprytni - powiedziała Joan. - Nie dałbyś mi choćby jednego?

- Nie - oznajmił z mocą Tommy. - Należą do mnie. Nie pozwolę im odejść. Nikomu nie dam żadnego z nich.

Tommy i Joan spotkali się następnego dnia po szkole. Uszyła dla mężczyzn spodenki i koszule.

- Proszę. - Podała mu je. Poszli razem chodnikiem. - Mam nadzieję, że będą pasować.

- Dzięki. - Tommy schował ubrania do kieszeni. Przeszli przez pustą działkę. Na jej krańcu natknęli się na Dave'a Granta, który w towarzystwie kilkorga innych dzieci grał w kulki.

- Kto wygrywa? - zapytał Tommy, przystając.

- Ja - odparł Dave, nie podnosząc głowy.

- Pozwól mi zagrać. - Tommy przykucnął. - No dalej. - Wyciągnął rękę. - Daj mi swój agat.

Dave pokręcił głową.

- Idź sobie.

Tommy trącił go w ramię.

- Daj spokój! Tylko raz. - Zastanowił się. - A powiem ci, co...

Padł na nich cień.

Tommy podniósł głowę. I zdrętwiał.

Edward Billings spoglądał na niego spokojnie, wspierając się na swoim parasolu, którego metalowa końcówka ginęła w rozmiękłym gruncie. Milczał. Na podstarzałej, pomarszczonej twarzy

widniał twardy wyraz; oczy były niczym wyblakłe, błękitne kamienie.

Tommy powoli wstał. Wśród dzieci zapadła cisza. Niektóre oddaliły się chyłkiem, zabierając swoje kulki.

- Czego pan chce? - zapytał Tommy ochryplym, świszczącym, prawie niedosłyszalnym głosem.

Lodowate spojrzenie Billingsa zdawało się przewiercać go na wskroś.

- Zabrałeś ich. Masz oddać. I to zaraz. - Mówił twardym, bezbarwnym głosem. Wyciągnął rękę.

- Gdzie oni są?

- O czym pan mówi? - wymamrotał Tommy. Cofnął się o krok. - Nie mam pojęcia, o co panu chodzi.

- O Projekt. Ukradłeś ich z mojego pokoju. Chcę ich odzyskać.

- Bzdura. O co panu chodzi?

Billings zwrócił się do Dave'a Granta.

- To jego miałeś na myśli, prawda?

Dave kiwnął głową.

- Widziałem ich. Są w jego pokoju. Nikomu nie pozwala się do nich zbliżyć.

- Przyszedłeś do mnie i ich ukradłeś. Dlaczego? - Billings zrobił krok w kierunku Tommy'ego.

- Dlaczego ich zabrałeś? Do czego są ci potrzebni?

- Pan zwariował - mruknął Tommy, ale głos nieco go zawiódł. Dave Grant milczał.

Tchórzliwie odwrócił wzrok. - To kłamstwo - powiedział Tommy.

Billings szarpnął nim. Lodowate, starcze dłonie wpiły się w jego ramiona.

- Oddawaj! Muszę ich mieć. Odpowiadam za nich.

- Niech pan puści. - Tommy wyrwał się z uścisku. - Nie mam ich przy sobie. - Zaczerpnął tchu.

- To znaczy...

- A więc naprawdę są u ciebie. W domu. W twoim pokoju. Przynieś ich tutaj. Idź i zrób to.

Wszystkich dziewięcioro.

Tommy wcisnął ręce w kieszenie. Odzyskał nieco odwagi.

- No, nie wiem - powiedział. - A co mi pan da?

Oczy Billingsa rozblęskły.

- Co ci dam? - Z pogrózką podniósł rękę. - Ty mały...

Tommy odskoczył.

- Nie może mnie pan zmusić, abym ich oddał. Nie ma pan nad nami żadnej kontroli. - Uśmiechnął się zuchwale. - Sam pan to powiedział. Znajdujemy się poza pańskim zasięgiem. Na własne uszy słyszałem, jak pan to mówi.

Twarz Billingsa przybrała wygląd granitu.

- Zabiorę ich. Należą do mnie.

- Niech pan tylko spróbuje, a zawołam gliny. Mój tato też tam będzie. Mój tato i gliny.

Billings chwycił swój parasol. Otworzył i zamknął usta, na jego twarzy rozlał się odpychający rumieniec. Ani on, ani Tommy nie wypowiedzieli słowa. Pozostałe dzieci gapiły się na nich pełne lęku.

Nagła myśl wykrzywiła rysy Billingsa. Popatrzył na ziemię na niedbale wyrysowany krąg i kulki. Jego oczy załśniły.

- Posłuchaj no. Zagram... zagram z tobą o nich.

- Co takiego?

- Zagramy w kulki. Jeśli wygrasz, są twoi. Jeżeli wygram ja, natychmiast mi ich zwrócisz. Co do jednego.

Tommy z namysłem przenosił wzrok z pana Billingsa na wyrysowany na ziemi krąg.

- Jeżeli wygram, to czy nie będzie pan próbował mi ich odebrać? Pozwoli mi pan zatrzymać ich... na stałe?

- Owszem.

- Dobrze. - Tommy ruszył z miejsca. - Umowa stoi. Jeżeli pan wygra, może pan sobie ich wziąć. Ale jeśli wygrana przypadnie mnie, są moi. I nigdy pan ich nie odzyska.

- Natychmiast ich tu przynieś.

- Jasne. Już idę. - I po mój agat, dorzucił w myślach. - Zaraz wrócę.

- Poczekam - oznajmił pan Billings, zaciskając dłonie na swoim parasolu.

Tommy zbiegł ze schodów na ganek, przeskakując po dwa stopnie naraz.

W drzwiach stanęła jego mama.

- Nie powinienes znów tak późno wychodzić. Jeśli nie zjawisz się w domu za pół godziny, nie dostaniesz kolacji.

- Pół godziny - zawołał Tommy, pędząc mroczną uliczką z rękami przyciśniętymi do rozpychającego mu kurtkę pakunku. Do drewnianego pudełka po cygarach, które dygotało i piszczało. Biegł przed siebie, z trudem chwytając oddech.

Pan Billings w dalszym ciągu stał na krańcu działki i czekał. Słońce już zaszło; nadciągał wieczór, dzieci poszły do domów. Kiedy Tommy wpadł na opustoszałą działkę, zimny, wrogi wiatr zakołysał zielskiem i trawą, tarmosząc go za nogawki.

- Przyniosłeś? - zapytał pan Billings.

- Pewnie. - Tommy przystanął, oddychając pospiesznie. Powoli sięgnął pod kurtkę i wyjął ciężkie drewniane pudełko po cygarach. Zdjął z niego gumkę i uchylił wieczko. - Tutaj.

Pan Billings podszedł bliżej, oddychając chrapliwie. Tommy zatrzasnął wieko i ponownie zacisnął na nim gumkę.

- Najpierw zagramy. - Postawił pudełko na ziemi. - Należą do mnie... chyba że pan wygra.

Billings opanował się.

- Dobrze. Wobec tego zaczynamy.

Tommy przeszukał kieszenie. Ostrożnie wyciągnął swój agat. W błędnym świetle dnia duży, czerwono-czarny kamyk zamigotał. Prawie jak Jowisz. Ogromny, czarny kamień.

- Zaczynamy - rzekł Tommy. Ukłął, rysując na piasku przybliżony kształt koła. Wysypał w jego obrębie garść kulek. - Ma pan jakieś

- Co?

- Kulki. Czym będzie pan strzelał?

- Jedną z twoich.

- Zgoda. - Tommy zabrał z kręgu jedną kulkę i rzucił mu ją. - Woli pan, abym strzelał pierwszy?

Billings kiwnął głową.

- Świetnie. - Tommy uśmiechnął się pod nosem. Z uwagą wycelował, przymykając jedno oko. Na chwilę jego ciało znieruchomiało, wygięte w łuk. Naraz rzucił. Kulki zagrzechotały, tocząc się w obrębie okręgu i poza nim, gdzie zniknęły wśród traw i chwastów. Dobry rzut. Zebrał swoje wygrane

i schował z powrotem do woreczka.

- Czy teraz moja kolej? - zapytał Billings.

- Nie. Mój agat wciąż znajduje się wewnątrz kręgu. - Tommy ponownie przykucnął. - Przysługuje mi jeszcze jeden strzał.

Rzucił. Tym razem zebrał trzy kulki. I znów jego agat pozostał w okręgu.

- Jeszcze jeden - powiedział z krzywym uśmiechem Tommy. Zebrał prawie połowę. Ukląkł i wycelował, wstrzymując oddech. Zostały dwadzieścia cztery kulki. Kolejne cztery zapewniłyby mu zwycięstwo. Tylko cztery...

Rzucił. Dwie kulki wypadły z kręgu. I jego agat, który potoczył się między chwasty.

Tommy zebrał dwie kulki oraz agat. W sumie zyskał dziewiętnaście. Wewnątrz okręgu pozostały dwadzieścia dwie kulki.

- Dobrze - powiedział z ociąganiem. - Teraz pańska kolej. Proszę rzucać.

Edward Billings ukląkł sztywno, dysząc i chwiejąc się niebezpiecznie. Jego twarz poszarzała. Niepewnie obrócił w rękę kamyk.

- Nigdy przedtem pan w to nie grał? - zapytał Tommy. - Nie wie pan, w jaki sposób się ją trzyma, prawda?

Billings potrząsnął głową.

- Nie wiem.

- Musi pan trzymać kulkę pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem. - Tommy obserwował, jak zeszywniałe palce walczą z opornym kamykiem. Billings upuścił go i podniósł szybko. - Zadaniem kciuka jest wyrzucić ją do przodu. O tak. Zaraz panu pokażę.

Tommy ujął starcze palce i zacisnął je na kamyku. Wreszcie uzyskał pożądany układ.

- Niech pan rzuca. - Tommy wyprostował się. - Zobaczmy, jak panu pójdzie.

Stary zwlekał przez dłuższy czas. Z drżącymi rękoma spoglądał na zgromadzone w okręgu kulki. W wieczornej ciszy Tommy słyszał jego chrapliwy, świszczący oddech.

Stary zerknął na leżące z boku pudełko po cygarach. Następnie przeniósł spojrzenie na okrąg. Poruszył palcami...

Błysnęło oślepiające światło. Tommy krzyknął, przyciskając dłonie do oczu. Wszystko dokoła niego zawirowało. Potknął się i upadł, kryjąc twarz w wilgotnej trawie. Huczało mu w głowie. Siedział na ziemi, trąc oczy, i potrząsał głową, usiłując odzyskać zdolność normalnego widzenia.

Wreszcie płamy przed jego oczami zniknęły. Mrugając, rozejrzał się wokół.

Krąg był pusty. Nie znajdowała się w nim żadna kulka. Billings zebrał wszystkie.

Tommy wyciągnął rękę. Jego palce natrafiły na coś gorącego. Podskoczył. Był to rozżarzony kawałek ciekłego szkła. Wszędzie dokoła niego, wśród wilgotnych chwastów widniały z wolna stygnące okruchy szkła. Tysiąc gwiazdnych odłamków jaśniejących i blednących wokół niego.

Edward Billings wstał powoli i zatarł ręce.

- Cieszę się, że już po wszystkim - stęknął. - Jestem za stary na taką gimnastykę.

Jego oczy wyłowiły z mroku leżące na ziemi pudełko po cygarach.

- Teraz wróć, gdzie ich miejsce. A ja będę mógł kontynuować pracę. - Podniósł pudełko i wsadził pod pachę. Zabrał parasol i powlókł się w kierunku ciągnącego się za działką chodnika.

- Żegnaj - powiedział Billings, odwracając się na chwilę. Tommy nie odpowiedział.

Billings ruszył trotuarem, mocno przyciskając do siebie pudełko.

Oddychając pospiesznie, wszedł do mieszkania. Cisnął parasol w kąt i usiadł za biurkiem, położył przed sobą pudełko. Siedział przez chwilę, oddychając głęboko i spoglądając na brązowo-białe sześcian wykonane z drewna i kartonu.

Wygrał. Odzyskał ich. Znow stanowili jego własność. W samą porę. Termin zdania raportu praktycznie wisiał mu już nad głową.

Billings zsunął płaszcz i kamizelkę. Drżąc lekko, podwinął rękawy. Miał szczęście. Kontrola nad typem B była niezmiernie ograniczona. Znajdował się niemalże poza ich jurysdykcją. To, naturalnie, samo w sobie stanowiło problem. Zarówno ludziki typu A, jak i B wyzwoliły się spod nadzoru. Zbuntowały się, odrzucając nakazy i tym samym wykraczając poza ramy planu.

Lecz teraz byli ci - nowy typ C. Wszystko zależało od nich. Na chwilę stracił ich z oczu, ale ponownie znaleźli się w jego ręku. Pod kontrolą, zgodnie z zamierzeniami.

Billings zdjął z pudełka gumkę. Ostrożnie i powoli uchylił wieko.

Nim zdążył się spostrzec, już byli na zewnątrz. Jedni skierowali się na prawo, drudzy na lewo. Dwie kolumny biegnących z pochylonymi głowami figurek. Jedna dotarła do krawędzi biurka i skoczyła. Tocząc się i koziółkując, wylądowała na chodniku. W jej ślady poszła następna, potem trzecia.

Billings otrząsnął się z zaskoczenia. Gwałtownie wyciągnął przed siebie ręce. Pozostały tylko dwie. Usiłował schwytać jedną z nich i chybił. Druga zaś...

Chwycił ją i uwięził pomiędzy zaciśniętymi palcami. Jej towarzysz odwrócił się. Trzymał coś w ręku. Drzazgę. Drewnianą drzazgę odłamana z wnętrza pudełka po cygarach.

Podbiegł bliżej i wbił ostrze drzazgi w palec Billingsa.

Billings jęknął z bólu. Uścisk jego palców zelżał. Wypuszczona ofiara upadła na plecy. Towarzysz pomógł jej wstać i zaciągnął na skraj biurka. Razem skoczyły w dół.

Billings pochylił się, na oślepie macał wokół ręką. Pędziły w kierunku drzwi werandy. Jedna z nich dotarła do kontaktu. Szarpnęła za wtyczkę od lampy. Dołączyła do niej druga i dwie małe figurki zaczęły ciągnąć wspólnymi siłami. Wtyczka wyskoczyła z kontaktu. Pokój pograżył się w ciemnościach.

Billings po omacku sięgnął do szuflady. Otworzył ją, wysypując zawartość na podłogę. Znalazł garść zapalek i zapalił jedną.

Zniknęły - wszystkie uciekły na werandę.

Billings pospieszył za nimi. Zapałka wypaliła się. Zapalił następną, osłaniając płomień dłonią.

Figurki dotarły do balustrady. Przesadziły ją i przytrzymując się bluszczu, jedna po drugiej zniknęły w ciemnościach.

Spóźnił się. Zniknęły wszystkie, co do jednej. Wszystkie dziewięć ześlizgnęły się po dachu i pograżyły w czerni nocy.

Billings zbiegł na dół po schodach i wypadł na ganek. Okrążył dom, zmierzając do miejsca, gdzie ścianę domu oplatał bluszcz.

Cisza. Najmniejszego ruchu. Nie zostało po nich ani śladu.

Uciekły. Opracowały plan ucieczki i wprowadziły go w życie. Dwie kolumny, podążające w przeciwnych kierunkach, jak tylko wieko zostało uchylone. Perfekcyjnie zaplanowane i wykonane.

Billings powoli wrócił do pokoju. Otworzył drzwi i zdyszany stanął w progu, nie mogąc otrząsnąć się ze wzburzenia. Uciekły. Projekt C dobiegł końca. Przebiegł tak jak reszta. Zupełnie tak samo. Bunt i samowola. Wyrwanie się spod nadzoru. Projekt A wpłynął na przebieg Projektu B, a obecnie owa infekcja rozprzestrzeniła się także na Projekt C.

Billings ciężko zasiadł za biurkiem. Długi czas spoczywał bez ruchu, stopniowo kojarząc fakty. To nie wynikało z jego winy, taka sytuacja zdarzyła się już przedtem, i to dwukrotnie. I jej nawrót był nieunikniony. Każdy Projekt przeniesie swoje rozgoryczenie na następny. Bez względu na to, ile zaplanują Projektów, ich przedsięwzięcie skazane jest na niepowodzenie. Bunt i ucieczka. Wyłamania się z nakreślonych ram.

Po pewnym czasie Billings wyciągnął rękę i przysunął do siebie księgę z raportem. Bez pośpiechu otworzył ją na stronie, na której przerwał pracę. Usunął z raportu całą ostatnią sekcję.

Streszczenie. Nie ma sensu go wyrzucać. Jest dobry jak każdy inny. Wszystkie przyniosą jednakową porażkę.

Wiedział, jak tylko ich zobaczył. Jak tylko uchylił wieko. Mieli na sobie ubrania. Małe, uszyte na miarę. Zupełnie jak tamci, na długo przed nimi.

STWÓRZ WŁASNY ŚWIAT

Nathan Hull wysiadł z samochodu i przeszedł przez chodnik, wdychał mroźne poranne powietrze. W pobliżu snuły się pierwsze mechaniczne ciężarówki porządkowe. Rów odpływowy żarłocznie pochłaniał sterty nocnego gruzu. Spojrzenie mężczyzny na moment spoczęło na znikającym napisie:

PRACE NAD TUNELEM PACYFIK ZAKOŃCZONE;

PRZYŁĄCZENIE KONTYNENTU AZJATYCKIEGO

Z rękami w kieszeniach oddalił się od rogu, wypatrując domu Farleya.

Minął filię Worldcraftu z jej przyciągającym uwagę mottem: “Stwórz własny świat!”. Krótką, okoloną trawnikiem ścieżką dotarł na pochyłą werandę. Wspiął się po trzech schodkach z imitacji marmuru. Następnie machnął ręką przed wiązką promieni kodowych i drzwi stanęły otworem.

Dom tchnął niczym nie zmaconym spokojem. Hull odnalazł wiodącą na drugie piętro windę i popatrzył do góry. Cisza. Owiało go ciepłe powietrze przesycone mieszaniną słabych woni - zapachów jedzenia, ludzi i znajomych przedmiotów. Czy już sobie poszli? Nie. To dopiero trzeci dzień; muszą gdzieś tu być, może na górnym tarasie.

Pojechał na drugie piętro, które również ziało pustką. Dobiegł go szmer dalekich odgłosów. Perlisty śmiech, głos mężczyzny. Kobięcy głos, być może należący do Julii. Łudził się, że tak - miał nadzieję, że nadal była przytomna.

Gotów na wszystko otworzył pierwsze z brzegu drzwi. Trzeci i czwarty dzień Przyjęć Konkursowych przybierał niekiedy dość burzliwą formę. Jednakże pokój był pusty. Wewnątrz dojrzał tapczany, puste szklanki, popielniczki, zużyte rurki stymulacyjne i porozrzucane wszędzie fragmenty odzieży.

Naraz pojawili się idący ramię w ramię Julia Marlow i Max Farley w towarzystwie rozbawionej grupki osób o zarumienionych twarzach i błyszczących, rozgorączkowanych oczach.

Wkroczywszy do pokoju, gwałtownie przystanęli.

- Nat! - Julia odłączyła się od Farleya i zdyszana stanęła u jego boku. - Czy naprawdę jest już tak późno?

- Trzeci dzień - odparł Hull. - Witaj, Max.

- Jak się masz, Hull. Usiądź i czuj się jak w domu. Przynieść ci coś?

- Nie. Nie mogę zostać. Julia...

Przywoławszy gestem mechanicznego służącego, Farley wziął z jego tacy dwa kieliszki.

- Trzymaj, Hull. Chyba zdążysz wypić jednego drinka.

Do pokoju wszedł Bart Longstreet w towarzystwie smukłej blondynki.

- Hull! Ty tutaj? Tak wcześnie?

- Trzeci dzień. Przyjechałem po Julię. Jeśli ma zamiar stąd wyjść.

- Nie zabieraj jej - zaproponowała szczupła blondynka. Miała na sobie niewidoczną sukienkę, kiedy patrzyło się pod kątem, która przybierała postać nieprzezroczystej fontanny, gdy bezpośrednio skierowało się na nią wzrok. - Właśnie radzą nad wyborem. W holu. Zostańcie. Zabawa dopiero się rozkręca. - Mrugnęła do niego szklistym, zasnutym mgiełką narkotycznego odurzenia okiem o ciężkiej, niebieskiej powiece.

Hull zwrócił się do Julii.

- Jeśli chcesz zostać...

Julia nerwowo przylgnęła do jego ramienia. Z niezmiennym uśmiechem przyklepionym do ust wyszeptała do jego ucha:

- Nat, na miłość boską, zabierz mnie stąd. Nie zniosę tego ani chwili dłużej. Błagam!

Hull dostrzegł w jej rozjarzonych oczach żarliwą prośbę. Napięte do granic możliwości ciało kipiało niemą desperacją.

- Dobrze, Julio. Zaraz wyjdziemy. Może zjemy jakieś śniadanie. Kiedy ostatnio miałaś coś w ustach?

- Dwa dni temu. Chyba. Sama już nie wiem. - Głos jej zadrżał. - Teraz podejmują decyzję. Chryste, Nat, powinieneś być to widzieć...

- Nie możecie wyjść do chwili ogłoszenia wyników - zagrzemiał Farley. - Chyba prawie skończyli. Ty nie brałeś udziału, Hull? Nie zgłaszałeś swojego projektu?

- Nie zgłaszałem.

- Na pewno jesteś właścicielem...

- Nie. Przykro mi - odrzekł Hull z przebłyskiem ironii w głosie. - Nie posiadam własnego świata, Max. Nie widzę go.

- Nie wiesz, co tracisz. - Max zakołysał się na piętach. - Co za frajda, najlepsze Przyjęcie Konkursowe od tygodni. A prawdziwa zabawa rozpoczyna się po ogłoszeniu wyników. To zaledwie wstęp.

- Wiem. - Hull pospiesznie poprowadził Julię do windy. - Do zobaczenia. Na razie, Bart. Zadzwoń do mnie, kiedy już opuścisz to miejsce.

- Zaczekajcie! - mruknął naraz Bart, unosząc głowę. - Narada dobiegła końca. Teraz nastąpi ogłoszenie zwycięzcy. - Ruszył w kierunku holu z chmarą ludzi w podnieceniu deptających mu po piętach. - Idziesz, Hull? Julio?

Hull zerknął na dziewczynę.

- Dobrze. - Z ociąganiem podążyli za nim. - Ale tylko na chwilę.

Uderzyła ich wrzawa głosów. W holu kotłował się drepczący tłum kobiet i mężczyzn.

- Wygrałam! - krzyczała w ekstazie Lora Becker. Ludzie przepychali się wokół niej, cisnąc się wokół stołu konkursowego w poszukiwaniu swoich prac. Ich głosy stawały się coraz donośniejsze, tworząc złowrogi dysonans. Roboty z niezmaconym spokojem odsuwały z drogi meble i bibeloty. Wielką salę stopniowo zaczynało ogarniać niepoohamowane szaleństwo zbiorowej hysterii.

- Wiedziałam! - Palce Julii zacisnęły się na ramieniu Hulla. - Chodźmy. Wydostańmy się stąd, zanim zaczną na dobre.

- Zaczną?

- Posłuchaj ich! - W oczach Julii zamigotał lęk. - Chodźmy, Nat! Mam dosyć. Nie zniosę tego ani chwili dłużej.

- Mówiłem ci, że tak będzie.

- Mówiłeś, mówiłeś. - Posłała mu przelotny uśmiech i wyszarpnęła swój płaszcz z rąk automatycznego lokaja. Otuliła się nim pospiesznie. - Przyznaję, że tak. Wszystko przewidziałeś. A teraz chodźmy już, na miłość boską. - Odwróciwszy się, poczęła przepychać się przez kłębowisko ludzkie w kierunku windy. - Wynośmy się stąd. Zjemy śniadanie. Miałeś rację. To nie jest zajęcie dla nas.

Lora Becker, pulchna kobieta w średnim wieku, zaczęła wdrapywać się na podest obok jurorów, oburącz trzymała swoje dzieło. Hull przystanął na chwilę, obserwując niezgrabne ruchy jej zwalistej postaci i operacyjnie skorygowane rysy szarej i obrzmiałej w nieruchomym świetle lamp twarzy. Trzeci dzień odcisnął swoje piętno na obliczach podstarzałych uczestników konkursu, nawet pomimo ich sztucznych masek.

Lora dotarła na podest.

- Patrzcie! - zawołała, unosząc swoją pracę. Kula zamigotała, odbijając światło. Wbrew sobie Hull odczuł przyływ podziwu. Jeśli zawarty w niej świat był równie doskonały w środku, jak z zewnątrz...

Lora uruchomiła kulę, która rozpromieniła się swoim blaskiem. Wśród zgromadzonych zapadło milczenie; wszyscy spoglądali na zwycięską pracę, która przyćmiła inne.

Dzieło Lory Becker stanowiło istny majstersztyk. Nawet Hull musiał to przyznać. Ustawiła powiększenie, mikroskopijna centralna planeta urosła. Przez salę przetoczył się pomruk zachwyty.

Lora ponownie dokręciła powiększenie. Planeta rozrosła się, ukazując bladozielone fale oceanu, podmywające niską linię wybrzeża. Oczom zebranych ukazało się miasto, wieże i przestronne ulice, doskonale wstęgi złota i stali. Umieszczone powyżej dwa bliźniacze słońca opromieniały miasto ciepłym blaskiem. W dole sunęły miriady pochłoniętych swoimi sprawami mieszkańców.

- Cudowne - powiedział cicho Bart Longstreet, podchodząc do Hulla. - W końcu ta stara wiedźma tkwi w tym od sześćdziesięciu lat. Nic dziwnego, że wygrała. Od kiedy pamiętam, zawsze brała udział w konkursie.

- Ładne - przyznała zdławionym głosem Julia.

- Nie podoba ci się? - zapytał Longstreet.

- Żadna z nich mi się nie podoba!

- Ona chce stąd wyjść - wyjaśnił Hull, ruszając w kierunku windy. - Na razie, Bart.

Bart Longstreet skinął głową. - Rozumiem, o co wam chodzi. I pod wieloma względami się z tym zgadzam. Mielibyście coś przeciwko, gdybym...

- Patrzcie! - krzyknęła z płonąca twarzą Lora Becker. Maksymalnie zwiększyła ostrość, ukazując szczegóły miniaturowego miasta. - Widzicie ich? Widzicie?

Mieszkańcy miasta stali się wyraźni jak na dłoni. Całkowicie zapełniali ulice. Poruszali się samochodami bądź pieszo, wśród budynków zapierających dech w piersi swoją doskonałością.

Pospiesznie chwytając oddech, Lora uniosła wysoko kulę. Potoczyła dokoła spojrzeniem. Jej oczy gorzały niezdrowym blaskiem. Szmer podnieconych głosów przybrał na sile. Wiele zaciśniętych

w gorliwym uścisku kul powędrowało w górę śladem swojej poprzedniczki.

Lora otworzyła usta. Po brzdach jej opuchniętej twarzy spłynęły krople potu. Skrzywiła wargi. Uniosła swoją kulę wysoko nad głową, konwulsyjnie napinając bezkształtną pierś. Naraz odrzuciła głowę w tył i jej twarz wykrzywił dziki grymas. Tłuste ciało zakołysało się groteskowo, a wyrzucona z rąk kula runęła na podest u stóp kobiety.

Rozprysnęła się na tysiąc kawałków. Metal i szkło, kawałki plastiku, dźwignie, kolumny, rurki, serce mechanizmu kuli, potoczyły się we wszystkich kierunkach.

Nastąpiło istne piekło. Pozostali właściciele niszczyli swoje światy, roztrzaskiwali je i tłukli, deptali po nich, miażdżąc butami misterne mechanizmy. Na sygnał dany przez Lorę Becker, ogarnięci szałem niszczenia mężczyźni i kobiety rozpętali orgię prawdziwie dionizyjskiej żądzy. Po kolei dewastowali swoje z pietyzmem skonstruowane światy.

- Boże - jęknęła Julia, brnąc ku wyjściu wraz z Hullem i Longstreetem.

Błyszczące od potu twarze, płonące gorączką oczy. Uchylone w tępych wyrazie usta kipiały kakofonią bezsensownych dźwięków. Rozdzierano ubrania. Jedna z dziewcząt upadła na podłogę, jej krzyki pochłonęła ogólna wrzawa. Następna kobieta się wywróciła, ściągnięta w dół przez kłębiący się tłum. Ludzie szaleli do wtóru rozdzierających wrzasków i jęków. Zewsząd dobiegały odgłosy miażdżonego metalu i szkła, nieustanny hałas niszczonego kolejno światów.

Pobielająca na twarzy Julia wyprowadziła Hulla z sali. Dygocząc na całym ciele, przymknęła oczy.

- Czuję, co się święci. Ukoronowanie tych trzech dni. Niszczą wszystkie. Wszystkie światy.

Bart wy dostał się tuż za nimi.

- Szaleńcy. - Drżącą ręką przypalił papierosa. - Co w nich, do diabła, wstępuje? To ma miejsce nie pierwszy raz. Zaczynają rozwalać swoje światy w drobny mak. Przecież to zupełnie bez sensu.

Hull dotarł do windy.

- Jedź z nami, Bart. Zjemy śniadanie - i wyłożę ci moją teorię na ten temat.

- Jedną chwileczkę. - Bart Longstreet pochwycił swoją kulę z rąk robota. - Moja praca konkursowa. Nie chcę jej stracić.

Pospieszył za Julią i Hullem.

- Jeszcze kawy? - zapytał Hull.

- Ja dziękuję - mruknęła Julia. Z westchnieniem odchyliła się na krześle. - Jestem absolutnie szczęśliwa.

- Ja poproszę. - Bart popchnął swoją filiżankę w stronę ekspresu. Urządzenie napełniło ją i podsunęło z powrotem. - Ładnie mieszkasz, Hull.

- Nie byłeś tu nigdy?

- Nie bywam w tej okolicy. Od lat nie odwiedzałem Kanady.

- Posłuchajmy twojej teorii - rzekła Julia.

- Mów - zachęcił Bart. - Czekamy.

Hull milczał przez chwilę. Poprzez stół i ustawione na nim naczynia rzucił ponure spojrzenie na przedmiot spoczywający na występie okiennym. Na kulę Barta Longstreeta, jego pracę konkursową.

- "Stwórz własny świat" - zacytował szyderczo Hull. - Niezły slogan.

- Packman sam go wymyślił - wtrącił Bart. - Kiedy był młody. Prawie sto lat temu.

- Tak dawno?

- Packman przechodzi rozmaite kuracje. Człowiek na jego stanowisku może sobie na to pozwolić.

- Oczywiście. - Hull powoli podniósł się z miejsca. Przeszedł przez pokój i wrócił z kulą w dłoniach. - Czy można? - zapytał Barta.

- Śmiało.

Hull wyregulował zamontowane na powierzchni kuli pokrętła. Ich oczom ukazało się wnętrze kuli. Wolno obracająca się miniaturowa planeta. Małeńkie, niebieskobiałe słońce. Hull zogniskował obraz, przez co planeta zwiększyła swoje rozmiary.

- Niezłe - stwierdził po chwili.

- Prymitywne. Koniec jury. Nie mam do tego drygu. Nie potrafię dobrnąć do etapu powstania ssaków. To moja szesnasta próba. Nigdy nie mogę uczynić następnego kroku.

Obraz przedstawiał zarośniętą dżunglę, parującą cuchnącym rozkładem. Wśród gnijących bagien i paproci krążyły ogromne kształty. Spiralne, połyskujące ciała płazów pełzające w gęstym błocie...

- Wyłącz to - mruknęła Julia. - Dosyć się naoglądałam. Podczas konkursu przeglądaliśmy ich całe setki.

- Nie miałem szans. - Bart chwycił kulę i wyłączył. - Aby wygrać, potrzeba czegoś więcej niż jury. Rywalizacja jest ostra. Połowa startujących doprowadziła swoje kule do eocenu, a co najmniej dziesięciu do pliocenu. Praca Lory nie sięgnęła o wiele dalej. Naliczyłem kilka cywilizacji zdolnych

do stworzenia miast. Ale jej prawie równała się naszej.

- Sześćdziesiąt lat - powiedziała Julia.

- Włożyła w to wiele lat starań. Ogromny nakład pracy. Należy do tych, dla których to nie zabawa, lecz prawdziwa pasja. Sposób na życie.

- A potem ją niszczy - rzekł w zamyśleniu Hull. - Rozbija na kawałki. Świat, któremu poświęciła lata pracy. Prowadząc go od jednej ery do następnej. Coraz wyżej. Rozbija go na milion kawałków.

- Dlaczego? - zapytała Julia. - Nat, dlaczego tak się dzieje? Tworzą go krok po kroku, dochodzą tak daleko - a potem wszystko niszczą.

Hull odchylił się na krzesło.

- To się zaczęło - oświadczył - kiedy nasze próby odnalezienia życia na innych planetach spaliły na panewce. Kiedy nasze sondy badawcze powróciły z niczym. Osiem martwych planet - bez żadnych oznak życia. Do niczego. Nic, nawet porostów. Tylko skały i piasek. Bezkresne pustynie. Jedna po drugiej, aż do Plutona.

- Przykra konstatacja - zauważył Bart. - Naturalnie, to się zdarzyło przed naszym narodzeniem.

- Niedługo przed. Packman pamięta. Sto lat temu. Czekaliśmy tak długo na podróże kosmiczne, lot na inne planety. Wszystko po to, aby nic nie znaleźć...

- Jak Kolumb który chciał sprawdzić, czy świat rzeczywiście jest płaski - dodała Julia. - Z krawędzią, za którą czai się pustka.

- Gorzej. Kolumb poszukiwał krótszej drogi do Chin. On mógł szukać w nieskończoność. Lecz kiedy my zbadaliśmy układ i nic w nim nie znaleźliśmy, stanęliśmy w obliczu nie lada kłopotów. Ludzkość liczyła na nowe światy, nowe lądy na niebie. Kolonizację. Kontakt z mnogością ras. Handel. Wymianę minerałów i dóbr kulturowych. Ale większość pociągała perspektywa wylądowania na planetach o zdumiewających formach życia.

- A zamiast tego...

- Nic, z wyjątkiem gołych skał i jałowej ziemi. Nic, co mogłoby podtrzymać życie - nasze bądź też jakiegokolwiek inne. Wszystkie sfery społeczeństwa ogarnęło poczucie głębokiego zawodu.

- I wtedy Packman wystąpił z pomysłem kuli Worldcraftu - mruknął Bart. - "Stwórz własny świat". Nie było dokąd się udać. Brak możliwości odwiedzenia innych światów. Nie mogłeś opuścić Terry i wyruszyć gdzie indziej. A więc zamiast tego...

- Zamiast tego zostałeś w domu i skonstruowałeś własny świat. - Hull uśmiechnął się posępnie. - Wiecie, że wypuścił właśnie wersję dla dzieci? Coś w rodzaju zestawu przygotowawczego. Tak aby dziecko mogło zgłębić tajniki tworzenia świata, zanim będzie miało samą kulę.

- Ale posłuchaj, Nat - przerwał Bart. - Początkowo kule wydawały się niezłym pomysłem. Nie mogliśmy opuścić Terry, a więc budowaliśmy własne światy na miejscu. Subatomowe światy, umieszczone pod ścisłą kontrolą w zbiornikach. Zapoczątkowujemy w nich życie, karmimy problemami, aby nakłonić je do ewolucji i coraz wyższych etapów rozwoju. Teoretycznie w tym zamyśle nie ma nic złego. Bez wątpienia jest to twórcze spędzanie wolnego czasu. Niepodobne do biernego spoglądania w ekran telewizora. W gruncie rzeczy tworzenie świata to krańcowa forma wyrazu artystycznego. Przejmuje miejsce innych rozrywek, zarówno biernych form rekreacji, jak i muzyki czy malarstwa.

- Jednak coś poszło nie tak.

- Na początku nie - zaproponował Bart. - Najpierw był to akt twórczy. Każdy kupował kulę i konstruował własny świat. Samodzielnie popychał ewolucję. Tworzył życie. Sprawował nad nim kontrolę. Rywalizował z innymi celem przekonania się, kto osiągnie dalej posunięty etap rozwoju.

- To z kolei rozwiązało następny problem - wtrąciła Julia. - Problem spędzania wolnego czasu. Z wyręczającymi nas maszynami i usługującymi robotami...

- Tak, to istotnie był kłopot - przyznał Hull. - Za dużo wolnego czasu. Nic do roboty. To oraz poczucie zawodu spowodowane faktem, iż nasza planeta stanowi jedyną zamieszkaną w układzie.

- Kule Packmana jakby rozwiązywały obydwaj problemy jednocześnie. Jednak coś poszło nie tak. Nastąpiła zmiana. Od razu ją zauważyłem. - Hull zdusił niedopałek i zapalił następnego papierosa. - Owa zmiana nastąpiła dziesięć lat temu - i od tamtej pory sytuacja ulega stopniowemu pogorszeniu.

- Ale dlaczego? - powtórzyła Julia. - Wytłumacz mi, dlaczego wszyscy zaprzestali twórczego budowania swoich światów i zaczęli je niszczyć?

- Czy widziałaś kiedykolwiek, jak dziecko obrywa musze skrzydełka?

- No pewnie. Ale...

- W grę wchodzi to samo. Sadyzm? Nie, niedokładnie. Raczej pewien rodzaj ciekawości. Poczucie władzy. A dlaczego dziecko niszczy przedmioty? Z tego samego powodu. Nie wolno nam o czymś zapomnieć. Te kule są substytutami. Pełnią inną funkcję, zastępują prawdziwe życia na planetach naszego układu. I najzwyczajniej w świecie są na to zbyt małe.

Przypominają puszczone w wannie stateczki. Albo modele rakiet, którymi bawią się dzieci. Pełnią funkcję zastępczą. Ludzie, którzy nimi kierują - właściwie po co im one? Otóż po to, że ludzie nie są w stanie odkrywać prawdziwych dużych planet. Mają w sobie mnóstwo stłoczonej energii. Energii, dla której nie znajdują ujścia.

A taka skumulowana energia gorzknieje. Przybiera postać agresji. Ludzie spędzają jakiś czas nad swoimi modelami, budując je krok po kroku. Jednak wreszcie następuje moment, kiedy ich utajona wrogość, poczucie krzywdy wraz z...

- Można to ująć prościej - przerwał mu spokojnie Bart. - Twoja teoria jest zbyt kwiecista.

- Mianowicie?

- Wrodzone tendencje niszczyielskie człowieka. Jego naturalne pragnienie, aby zabijać i siać zniszczenie.

- Coś takiego nie istnieje - odparł oschle Hull. - Człowiek to nie mrówka. O jego dążeniach nie decydują odgórnie narzucone motywy. Nie pragnie instynktownie zabijać, tak samo jak obce mu jest instynktowne pragnienie do rzeźbienia otwieraczy do listów z kości słoniowej. Ma energię - a to, co z niej uzyska, zależy od okoliczności.

Właśnie tu tkwi błąd. Wszyscy mamy energię, wolę czynu. Lecz nasze miejsce; tu, na jednej planecie, ogranicza nas. A więc kupujemy kule Worldcraftu i kreujemy własne małe światy. Jednak to nie wystarcza. Owe mikroskopijne światy są dla nas zaledwie namiastką, tym, czym dla człowieka jest statek zabawka, kiedy w istocie marzy on o żeglowaniu.

Pogrążony w zadumie Bart rozważał te słowa przez dłuższy czas.

- Może masz rację - przyznał wreszcie. - To brzmi sensownie. Ale jak wygląda twoje rozwiązanie? Skoro na żadnej z ośmiu planet nie istnieje życie...

- Nie ustawać w poszukiwaniach. Wykroczyć poza układ.

- Robimy to.

- Spróbować znaleźć ujścia, które nie byłyby tak sztuczne.

Bart uśmiechnął się.

- Mówisz tak, bo nigdy nie złapałeś tego bakcyła. - Delikatnie postukał w swoją kulę. - Wcale nie uważam tego za sztuczne.

- Jednak większość ludzi tak właśnie sądzi - wtrąciła Julia. - Nie satysfakcjonuje ich to. Dlatego właśnie opuściliśmy Przyjęcie Konkursowe.

Bart odchrząknął.

- Faktycznie zrobiło się gorąco. Co za scena, prawda? - Z namysłem zmarszczył brwi. - Ale to lepsze niż nic. Co proponujesz? Porzucić to zajęcie? I co w zamian mielibyśmy robić? Spędzać czas na częściej gadaniu?

- Nat uwielbia mówić - mruknęła Julia.

- Jak wszyscy intelektualiści. - Bart poklepał rękaw Hulla. - Kiedy siedzisz na swoim miejscu w Dyrektoracie, należysz do sekcji Profesorów i Intelektualistów - szary pasek.

- A ty?

- Niebieski. Sekcja przemysłowa. Przecież wiesz.

Hull kiwnął głową.

- Rzeczywiście. Pracujesz dla Terrańskiego Działu Badań Kosmicznych. Pełna niezachwianych złudzeń instytucja.

- Zatem chcesz, abyśmy zaprzestali pracy nad kulami i siedzieli z założonymi rękami. To rzeczywiście doskonałe rozwiązanie.

- Będziecie musieli skończyć z tym zajęciem. - Twarz Hulla zapłonęła czerwienią. - Co zrobicie później, to już wasza sprawa.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Hull zwrócił płonący wzrok na Longstreeta.

- Przedłożyłem w Dyrektoracie projekt ustawy. Ustawy, która powstrzymałaby dalszą działalność Worldcraftu.

Bart otworzył usta. - Co zrobiłeś?

- Na jakiej podstawie? - zapytała z nagłym ożywieniem Julia.

- Moralnej - odrzekł ze spokojem Hull. - I chyba uda mi się go przeforsować.

W siedzibie Dyrektoratu rozbrzmiewały szemrzące echa, na ścianach tańczyły cienie zajmujących swoje miejsca uczestników zebrania.

Przewodniczący Eldon von Stern stał z Hullem w pewnym oddaleniu od mównicy.

- Powiedzmy to jasno - powiedział nerwowo Stern, przeczesując palcami stalowoszare włosy. - Ma pan zamiar bronić swego projektu? Sam pan chce przedstawić argumenty przemawiające za jego zatwierdzeniem?

Hull skinął głową.

- Zgadza się. A dlaczego nie?

- Maszyny analityczne mogą rozpatrzyć projekt i przedstawić członkom bezstronny raport. Czarowanie słuchaczy wyszło z mody. Kipiące emocjami oracje nie przysporzą panu zwolenników. Członkowie...

- Zaryzykuję. To zbyt istotne, aby polegać na maszynach.

Hull zlustrował powoli cichnącą salę. Przedstawiciele z całego świata zasiedli na swoich miejscach. Ubrani na biało właściciele ziemscy. Niebiescy magnaci finansów i przemysłu. Czerwone koszule przywódców związków fabrycznych i farm komunalnych. Ubrani na zielono mężczyźni i kobiety reprezentujący grupę konsumentów klasy średniej. I zupełnie na prawo, skupisko ubranych na szaro lekarzy, prawników, naukowców, pedagogów oraz intelektualistów z innych dziedzin, do którego należał i on.

- Zaryzykuję - powtórzył Hull. - Pragnę zatwierdzenia tej ustawy. Pora uzmysłwić ludziom pewne sprawy.

Von Stern wzruszył ramionami.

- Jak pan chce. - Zmierzył Hulla zaciekawionym spojrzeniem. - Co pan ma przeciwko Worldcraftowi? To zbyt potężna instytucja, aby się na nią porywać. Sam Packman gdzieś tutaj jest. Dziwię się, że pan...

Błysnął świetlny sygnał. Zostawiwszy Hulla, von Stern wszedł na mównicę.

- Jesteś pewien, że chcesz na forum bronić tego projektu? - zapytała Julia, stając za nim w półmroku. - Może on ma rację. Niech maszyny go przeanalizują.

Hull spoglądał w kierunku morza głów, wypatrując Packmana. Właściciel Worldcraftu siedział w swojej nieskazitelnie białej koszuli na podobieństwo zastygłego w czasie, zasuszonego anioła. Trzymał się grupy właścicieli ziemskich, uważając Worldcraft raczej za posiadłość niż przedsiębiorstwo przemysłowe. Oni wciąż cieszyli się pewnym prestiżem.

Von Stern dotknął ramienia Hulla.

- Proszę bardzo. Niech pan zajmie miejsce na mównicy i przedstawi swoją propozycję.

Hull wstąpił na mównicę i usiadł na wielkim marmurowym krześle. Nieprzeliczone rzędy patrzących na niego twarzy były doszczętnie pozbawione wyrazu.

- Zapoznaliście się z warunkami propozycji, o której zamierzam mówić - zaczął Hull głosem zwielokrotnionym przez ustawione na wszystkich biurkach głośniki. - Twierdzę, że powinniśmy ogłosić, że przedsiębiorstwo Worldcraft stanowi publiczne zagrożenie i przekazać jego majątek państwu. W kilku słowach przedstawię zarys mojej argumentacji.

Teoria i zamysł produktu Worldcraftu, czyli mikroskopijnego systemu wszechświata, są wam znane. Istnieje nieskończona ilość modeli stanowiących odpowiednik naszego układu. Prawie sto lat temu Worldcraft rozwinął metodę kontroli sił warunkujących funkcjonowanie tych mikro-współrzędnych płaszczyzn, tworząc uproszczoną maszynę, której obsługa nie wykraczała poza zdolności jakiegokolwiek dorosłej osoby.

- Rozpoczęto masową produkcję i sprzedaż tych urządzeń, opatrzoną sloganem "Stwórz własny

świat”. Idea polega na tym, że właściciel urządzenia staje się właścicielem świata w dosłownym tego słowa znaczeniu, jako że owo urządzenie kieruje siłami sprawczymi mikroskopijnego wszechświata, będącego dokładną kopią naszego.

- Kupując jedno z urządzeń Worldcraftu, czy też kulę, człowiek przejmuje władzę nad wirtualnym wszechświatem, którym może rozporządzać wedle własnego uznania. Dostarczone przez producenta instrukcje informują go, w jaki sposób kierować owym światem, tak aby zasiedliły go organizmy żywe, które pokonując poszczególne etapy ewolucji, osiągną wreszcie - przy założeniu, iż właściciel wykaże się odpowiednią zręcznością - stopień cywilizacji równy naszemu.

- W ciągu ostatnich kilku lat mogliśmy zaobserwować wzrost sprzedaży tych urządzeń, dzięki czemu obecnie prawie każdy ma jeden bądź więcej subatomowych, w pełni zaludnionych światów. Wiemy również, że wielu z nas bezlitośnie niszczy swoje prywatne cywilizacje wraz z ich wszystkimi mieszkańcami.

- Nie istnieje prawo zabraniające nam tworzenia skomplikowanych układów podlegających przebiegającym w zawrotnym tempie procesom ewolucyjnym i niszczenia ich pod wpływem nagłego kaprysu. Właśnie dlatego występuję ze swoją propozycją. Owe mikroskopijne cywilizacje to nie sen. Są prawdziwe. Naprawdę istnieją. Ich mieszkańcy...

Przez salę przetoczył się niespokojny pomruk. Rozległy się szepty i pokaszływania. Paru uczestników wyłączyło głośniki. Hull zawahał się. Wyczuł chłód zebranych. Ich twarze były puste, lodowate i pozbawione zainteresowania. Niezwłocznie podjął swoją wypowiedź.

- Ich mieszkańcy całkowicie podlegają kaprysom swoich właścicieli. Jeśli przyjdzie nam ochota zniszczyć ich świat, uruchomić fale przyływu, zesłać trzęsienie ziemi, tornado, pożar czy erupcje wulkanów - jeśli zechcemy obrócić ich świat w perzynę, nic na to nie poradzą.

- Nasza pozycja w stosunku do tych cywilizacji nosi znamiona boskości. Jednym ruchem ręki możemy zgładzić całe miliony. Możemy zesłać na nich błyskawice, zrównać z ziemią miasta, zdeptać maleńkie budowle jak mrowiska. Możemy miotać nimi na wszystkie strony jak zabawkami, bezwolnymi ofiarami naszego widzimisię.

Zesztywniały z obawy Hull zamilkł. Kilku uczestników powstało z miejsc i opuściło salę. Twarz von Sterna wykrzywił grymas ironicznego rozbawienia.

Hull bez przekonania mówił dalej.

- Pragnę zdelegalizowania kul Worldcraftu. Jesteśmy to winni owym cywilizacjom z przyczyn humanitarnych i moralnych...

Dobrnął do końca, usiłując sfinalizować swoją przemowę najlepiej, jak potrafił. Kiedy wstał, od strony opatrzonych szarymi paskami intelektualistów rozbrzmiały słabe oklaski. Lecz grupa ubranych na biało właścicieli zachowała całkowite milczenie. Tak samo niebiescy przemysłowcy. Na twarzach milczących właścicieli czerwonych koszul i zielonych przedstawicieli konsumentów widniało lekkie rozbawienie.

Przytłoczony obezwładniającą świadomością porażki Hull odszedł na stronę.

- Przegraliśmy - wymamrotał. - Nic z tego nie rozumiem.

Julia ujęła go pod ramię.

- Może apelacja coś wskóra... Albo te maszyny wciąż mogą...

Z półmroku wyłonił się Bart Longstreet.

- Niedobrze, Nat. Wszystko na nic.

Hull kiwnął głową.

- Wiem.

- Nie możesz za pomocą garści morałów usunąć Worldcraftu. To żadne wyjście.

Von Stern dał sygnał. Członkowie przystąpili do głosowania, z brzęczeniem uruchomiono maszyny rachujące. Zdruzgotany Hull w milczeniu spoglądał na rozgadaną salę.

Naraz wyrosła przed nim czyjaś sylwetka, przysłaniając mu widok. Odsunął się niecierpliwie - i znieruchomiał na dźwięk zgrzytliwego głosu.

- Kiepsko, panie Hull. Powodzenia następnym razem.

Hull zeszywniał.

- Packman! - mruknął. - Czego pan chce?

Forrest Packman wyszedł z cienia i po omacku kroczył w jego kierunku.

Bart Longstreet popatrzył na starca z jawną wrogością.

- Do zobaczenia, Nat. - Obrócił się na pięcie.

Julia zastąpiła mu drogę.

- Bart, czy musisz...

- Wzywają mnie pilne sprawy. Zaraz wrócę. - Ruszył wzdłuż nawy w kierunku sekcji przemysłowej.

Hull nie spuszczał wzroku z Packmana. Nigdy nie oglądał go z tak bliska. Patrzył, jak powoli kroczy przed siebie, wspierając się na ramieniu robota.

Forrest Packman był stary - liczył sobie sto siedem lat. Zakonserwowany dzięki hormonom i transfuzjom, skomplikowanym kuracjom odmładzającym, które podtrzymywały życie w jego starym, wyschłym ciele. Utkwił w Hullu spojrzenie głęboko osadzonych oczu i kurczowo chwycił żylastą dłonią ramię swojego robota, z piersi dobywał mu się płytki, chrapliwy oddech.

- Hull? Nie ma pan nic przeciwko krótkiej pogawędce, kiedy będą głosować? Nie zabiorę panu dużo czasu. - Niedowidzące spojrzenie prześlizgnęło się ponad ramieniem Hulla. - Kto to wyszedł? Nie widziałem...

- Bart Longstreet. Badania Kosmiczne.

- Ach, tak. Znam go. Pańskie przemówienie było nader interesujące, Hull. Przypomniało mi stare czasy. Ci ludzie ich nie pamiętają. Rzeczywistość ulega ciągłym przemianom. - Zamilkł, pozwalając, aby robot otarł mu usta i brodę. - Kiedyś interesowałem się retoryką. Niektórzy spośród dawnych mistrzów...

Starzec kontynuował swoją wypowiedź. Hull spoglądał na niego ciekawie. Czy ta krucha, pomarszczona istota naprawdę stanowiła rdzeń potęgi Worldcraftu? To nie wydawało się możliwe.

- Bryan - wyszeptał Packman suchym jak popiół głosem. - William Jennings Bryan. Naturalnie sam nigdy go nie słyszałem. Mówią jednak, że nie miał sobie równych. Pańskie przemówienie nie było złe. Ale pan nie rozumie. Słuchałem uważnie. Ma pan kilka dobrych pomysłów. Lecz to, co usiłuje pan osiągnąć, to absurd. Nie dysponuje pan wystarczającą wiedzą o ludziach. W gruncie rzeczy nikogo nie interesuje...

Urwał w ataku kaszlu, a robot podtrzymał go metalowymi podporami.

Hull niecierpliwie usiłował go wyminąć.

- Głosowanie prawie dobiegło końca. Chcę to usłyszeć. Jeżeli ma mi pan coś do powiedzenia, proszę przesłać mi stosowne oświadczenie.

Robot Packmana zagroził mu przejście. Packman podjął trzęsącym się głosem.

- Nikogo nie interesują podobne apelacje, Hull. Ładnie pan przemawiał, ale błądzi pan w mroku. Przynajmniej na razie. Jednak dobrze pan mówi, lepiej niż zdarzyło mi się słyszeć od dłuższego czasu. Ci młodzi, z wypranymi twarzami, biegający w kółko jak chłopcy na posyłki...

Hull w napięciu oczekiwał wyniku głosowania. Niewzruszone ciało robota przysłaniało mu widok, ale jękliwy głos Packmana umożliwiał usłyszenie rezultatów. Von Stern powstał z miejsca i odczytał werdykt.

- Czteryście przeciw, trzydzieści pięć za - oświadczył. - Projekt został odrzucony. - Rzuciwszy odczyt na stół, sięgnął po swój harmonogram. - Przystąpmy do kolejnego punktu obrad.

Stojący za Hullem Packman umilkł raptownie, przechylając na bok obleczoną cienką skórą czaszkę. Głęboko osadzone oczy zalśniły i na wargach zamajaczył cień uśmiechu.

- Odrzucony? Nie uzyskał pan poparcia nawet ze strony wszystkich szarych, Hull. Teraz może wysłucha pan, co mam do powiedzenia.

Hull stanął tyłem do sali. Robot opuścił ramię.

- To koniec - powiedział Hull.

- Chodźmy. - Julia odsunęła się od Packmana. - Wyjdźmy stąd.

- Widzi pan - ciągnął niestrudzenie Packman - tkwi w panu potencjał, który należałoby wykorzystać. Kiedy byłem w pana wieku, kierowały mną podobne motywy. Sądziłem, że jeżeli ludzie dostrzegą udział wartości moralnych, nastąpi z ich strony jakiś odzew. Ale nie. Jeśli zamierza pan cokolwiek osiągnąć, musi pan zejść na ziemię. Ludzie...

Hull prawie nie słyszał suchego, chrapliwego szeptu. Porażka. Worldcraft, kule będą nadal istnieć. Przyjęcia Konkursowe - gromada znudzonych mężczyzn i kobiet, cierpiących na nadmiar czasu, będzie wśród tańca i pijatyki porównywać światy, nieuchronnie dążąc do punktu kulminacyjnego - orgii niszczenia i dewastacji. I tak w kółko. Bez końca.

- Nikt nie może stawić czoła Worldcraftowi - stwierdziła Julia. - Jest zbyt potężny. Będziemy zmuszeni zaakceptować kule jako część naszego życia. Jak mówi Bart, dopóki nie znajdziemy czegoś, co je zastąpi...

Niespodziewanie stanął przed nimi Bart Longstreet.

- Pan wciąż tutaj? - powiedział do Packmana.

- Przegrałem - rzekł Hull. - Głosowanie...

- Wiem. Słyszałem. Ale to nie ma znaczenia. - Longstreet wyminął Packmana i jego robota. - Zostańcie tutaj. Za chwilę do was przyjdę. Muszę pomówić z von Sternem.

Coś w głosie Longstreeta sprawiło, że Hull uniósł głowę.

- Co jest? Co się stało?

- Dlaczego to nie ma znaczenia? - dodała Julia.

Longstreet wstąpił na mównicę i podszedł do von Sterna. Wręczył mu planszę z informacją i zszedł z podium.

Von Stern zerknął na wiadomość.

I zamilkł. Powoli wstał, ściskając w rękach planszę.

- Muszę coś ogłosić - powiedział drżącym, ledwo słyszalnym głosem. - Wiadomość ze stacji orbitalnej na Proximie Centauri.

Salę ogarnął szmer podekscytowanych głosów.

- Sondy badawcze w układzie Proximy skontaktowały się z grupą handlową spoza galaktycznej cywilizacji. Nastąpiła wymiana informacji. Do układu arkturańskiego wysłano już statki z nadzieją odnalezienia...

Krzyki, wrzawa głosów. Kobiety i mężczyźni zerwali się z miejsc, wydając pełne szalonej radości okrzyki. Von Stern przestał czytać i ze spokojem na poszarzałej twarzy czekał, aż dadzą mu skończyć.

Forrest Packman stał nieruchomo z przymkniętymi oczami, zaciskając zasuszone dłonie. Jego robot otoczył go ochronną tarczą metalu.

- No i? - krzyknął Longstreet, przeciskając się z powrotem do nich. Rzucił spojrzenie na kruchą sylwetkę w metalowych objęciach robota, po czym przeniósł wzrok na Hulla i Julię. - I co powiesz, Hull? Wyjdźmy stąd - trzeba to uczcić.

- Odwiozę cię do domu - powiedział do Julii Hull. Rozejrzał się w poszukiwaniu międzykontynentalnego krążownika. - Szkoda, że tak daleko mieszkasz. Hongkong jest tak cholernie nie po drodze.

Julia chwyciła go za ramię.

- Przecież sam możesz pojechać. Nie pamiętasz? Otwarto Tunel Pacyfik. Teraz jesteśmy połączeni z Azją.

- Rzeczywiście. - Hull otworzył drzwiczki samochodu i Julia wślizgnęła się do środka. Hull usiadł za kierownicą i zatrzasnął drzwi. - Przez to wszystko zupełnie zapomniałem. Może będziemy mogli częściej się widywać. Nie miałbym nic przeciwko spędzeniu krótkich wakacji w Hongkongu. O ile mnie zaprosisz.

Za pomocą zdalnego sterowania włączył samochód do ruchu.

- Powiedz mi coś jeszcze - poprosiła Julia. - Chcę wiedzieć, co mówił Bart.

- Niewiele ponad to, co sama usłyszałaś. Od jakiegoś czasu podejrzewali, że coś się szykuje. Dlatego nie przejmował się zbytnio Worldcraftem. Wiedział, że bomba wybuchnie, jak tylko to ogłoszą.

- Dlaczego nic ci nie powiedział?

Hull uśmiechnął się krzywo.

- Niby jak miał to zrobić? A gdyby początkowe raporty okazały się fałszywym alarmem? Wolał poczekać, aż uzyskają absolutną pewność. Doskonale przewidział rezultaty. - Wskazał na coś ręką. - Popatrz.

Po obu stronach jezdni z budynków i podziemnych fabryk wysypywały się tłumy mężczyzn i kobiet, sunące bezładnie we wszystkich kierunkach kłębowisko świętujących i rozkrzyczanych ludzi, ciskających do góry rozmaite przedmioty, rzucających z okien kulki papieru i noszących się nawzajem na plecach.

- Muszą to z siebie wyrzucić - powiedział Hull. - Prawidłowa reakcja. Bart twierdzi, że Arktur powinien mieć siedem lub osiem urodzajnych planet, z których część jest zamieszkała, inne zaś pokryte są tylko lasami i wodą. Ci handlowcy spoza naszej Galaktyki utrzymują, że większość układów posiada przynajmniej jedną nadającą się do użytku planetę. Odwiedzili nasz układ już dawno temu. Być może prowadzili transakcje z naszymi przodkami.

- Wobec tego w Galaktyce istnieją rozmaite formy życia?

Hull roześmiał się.

- Jeśli mówią prawdę. A świadczy o tym choćby fakt, że oni istnieją.

- Zatem koniec Worldcraftu?

- Koniec. - Hull potrząsnął głową. Koniec Worldcraftu. Jego akcje już poleciały na łeb na szyję. Bezwartościowe. Prawdopodobnie rząd przejmie istniejące kule i odpieczętuje je, pozostawiając ich mieszkańcom prawo decydowania o swoim dalszym losie.

Neurotyczne niszczenie z trudem uzyskiwanych kultur należało do przeszłości. Cywilizacje żywych istot przestaną służyć za rozrywkę bóstwom cierpiącym z powodu ennuji i frustracji.

Julia z westchnieniem oparła się o Hulla.

- Teraz pora na odpoczynek. Oczywiście, że możesz zostać. Jeśli chcesz, możemy wyciągnąć papiery stałego wspólnego zamieszkania...

Hull w napięciu pochylił się do przodu.

- Gdzie jest tunel? - zapytał. - Lada chwila powinniśmy do niego wjechać.

Zmarszczywszy brwi, Julia wyteżyła wzrok.

- Coś się dzieje. Zwolnij.

Hull zmniejszył prędkość. Nad jezdnią błyskał sygnał ostrzegawczy. Spieszące zewsząd samochody przystawały, by zjechać na awaryjne pasma wolnego ruchu.

Zatrzymał samochód. W górze przemykały krążowniki raketowe, mącąc swoim warkotem wieczorną ciszę. Przez pole biegł tuzin umundurowanych mężczyzn, kierowali sunącym opornie automatycznym dźwigiem.

- Co, u licha - mruknął Hull. Do samochodu podszedł żołnierz wywijający latarnią

komunikacyjną.

- Skręcajcie. Potrzebujemy całej drogi.

- Ale...

- Co się stało? - zapytała Julia.

- Tunel. Nastąpiło trzęsienie ziemi, mniej więcej w połowie. W dziesięciu miejscach rozerwało tunel. - Żołnierz oddalił się pospiesznie. Sunące bokiem roboty budowlane zbierały po drodze sprzęt.

Julia i Hull popatrzyli na siebie rozszerzonymi oczami.

- Dobry Boże - mruknął Hull. - W dziesięciu miejscach. Przecież tunel musiał być pełen samochodów.

Wylądował samolot Czerwonego Krzyża, ze zgrzytem otwarto włązy. Zaczęto przenosić rannych.

Nadeszło dwóch pracowników z pierwszej zmiany. Otworzyli drzwi samochodu Hulla i usiedli z tyłu.

- Zawieźcie nas do miasta. - Wyczerpani oparli się o siedzenia. - Musimy sprowadzić więcej ludzi. Szybciej.

- Jasne. - Hull zapuścił silnik i nabrał szybkości.

- Jak to się stało? - Zapytała Julia jednego z pracowników, który mimowolnie dotykał skaleczeń na swojej twarzy i szyi.

- Trzęsienie ziemi.

- Ale jak to możliwe? Czyż nie zbudowali go...

- Potężne trzęsienie. - Mężczyzna ze zmęczeniem potrząsnął głową. - Kto by pomyślał. Totalna katastrofa. Tysiące samochodów. Dziesiątki tysięcy ludzi.

Drugi pracownik odchrząknął.

- Wola boska.

Hull zamarł. Rozbłysły mu oczy.

- Co się stało? - zapytała Julia.

- Nic.

- Jesteś pewny? Czy coś nie tak?

Hull nie odpowiedział. Zamyślił się głęboko, z wyrazem zastygłego przerażenia na twarzy.

ŚNIADANIE O ZMIERZCHU

- Tato? - powiedział Earl, wybiegając z łazienki. - Czy podwieziesz nas dzisiaj do szkoły?

Tim McLean nalał sobie drugą filiżankę kawy.

- Moglibyście dla odmiany się przejść. Samochód jest w garażu.

Judy zrobiła kwaśną minę.

- Pada deszcz.

- Wcale nie - poprawiła siostrę Virginia. Odciągnęła storę. - Jest mgła, ale nie pada.

- Niech no spojrzę. - Mary McLean osuszyła dłonie i odeszła od zlewu. - Co za dzień. Czy to mgła? Wygląda raczej jak dym. Nic nie widać. Co powiedział meteorolog?

- Nie mogłem złapać żadnej stacji - odrzekł Earl. - Same trzaski.

Tim poruszył się gniewnie.

- Czyżby znowu jakaś usterka? Niedawno naprawiałem to cholerstwo. - Wstał i ospale ruszył w stronę radia. Leniwie poruszał pokrętłami. Troje dzieci biegało tam i z powrotem, szykując się do szkoły. - Dziwne - powiedział Tim.

- Wychodzę. - Earl otworzył frontowe drzwi.

- Zaczekaj na siostry - rzuciła z roztargnieniem Mary.

- Jestem gotowa - oświadczyła Virginia. - Czy dobrze wyglądam?

- Prześlicznie - rzekła Mary i pocałowała ją.

- Zadzwoń do zakładu naprawczego z biura - oznajmił Tim.

Zamilkł raptownie. W drzwiach kuchni stanął poblady i oniemiały Earl, w jego szeroko otwartych oczach czaiło się przerażenie.

- Co się stało?

- Ja... wróciłem.

- Ale co się stało? Niedobrze ci?

- Nie mogę iść do szkoły.

Nie spuszczała z niego wzroku.

- Co jest? - Tim pochwycił rękę syna. - Dlaczego nie możesz pójść do szkoły?

- Oni... oni mi nie pozwolą.

- Kto?

- Żołnierze - wyrzucił z siebie chłopiec. - Są wszędzie. Żołnierze i broń. Już tutaj idą.

- Idą? Tutaj? - powtórzył w zdumieniu Tim.

- Idą, a potem... - przerażony Earl urwał. Z werandy dobiegł łoskot ciężkich butów. Huk pękających desek. Głosy.

- Boże miłosierny - jęknęła Mary. - Co to znaczy, Tim?

Tim wszedł do dużego pokoju, serce waliło mu w piersi. Na progu stali trzej mężczyźni, w zielono-szarych mundurach, dźwigali broń i stosy ekwipunku. Rury i węże. Liczniki na grubych powrozech. Pudła, skórzane pasy i anteny. Ich twarze osłonięte były skomplikowanymi maskami. Tim dostrzegł zmęczone, pokryte szczeciniastym zarostem twarze, z których wyzierały pełne dezaprobaty spojrzenia otoczonych czerwonymi obwódkami oczu.

Jeden z żołnierzy uniósł karabin i wycelował w brzuch McLeana. Tim popatrzył na niego bezmyślnie. Karabin. Długi i cienki. Jak igła. Dołączony do zwoju przewodów.

- Co do wszystkich... - zaczął, ale żołnierz przerwał mu brutalnie.

- Kim jesteś? - rzucił szorstkim, gardłowym głosem. - Co tu robisz? - Zsunął maskę. Na jego brudnej, ziemistej twarzy widniały liczne krosty i zadrapania. Wśród połamanych zębów ziały puste szczeliny.

- Odpowiadaj! - rozkazał drugi żołnierz. - Pokaż nam swój numer sektorowy. - Jego spojrzenie powędrowało ku stojącym bez słowa w drzwiach dzieciom i Mary. Otworzył usta.

- Kobieta!

Trzej żołnierze spoglądali na nią z niedowierzaniem.

- Co to, u diabła, ma znaczyć? - powiedział pierwszy. - Jak długo ona tu przebywa?

Tim odzyskał mowę.

- To moja żona. O co w tym wszystkim chodzi? Co...

- Twoja żona? - Nie wierzyli mu.

- Moja żona i dzieci. Na miłość boską...

- Twoja żona? Sprowadziłeś ją tutaj? Chyba postradałeś zmysły!

- On ma chorobę pyłową - stwierdził jeden. Opuścił broń i ruszył przez pokój w kierunku Mary. - Chodź, siostrze. Pójdiesz z nami.

Tim skoczył do przodu.

Napotkał niewidzialną zaporę. Otoczony chmurą ciemności runął jak długi na podłogę. W jego uszach zabrzmiał nieznośny zgiełk. W głowie huczało. Zabrakło mu jakiegokolwiek punktu oparcia. Przed oczami migwały niewyraźne kształty. Głosy. Pokój. Skoncentrował się ogromnym wysiłkiem.

Żołnierze wyprowadzali dzieci. Jeden chwycił Mary. Zdarł jej z ramion sukienkę.

- Rany - warknął. - Przyprowadził ją tutaj bez żadnych zabezpieczeń.

- Zabierzcie ją.

- Tak jest, kapitanie. - Żołnierz powlókł Mary w stronę wyjścia. - Zrobimy z nią, co się da.

- Dzieciaki. - Kapitan przywołał prowadzącego dzieci żołnierza. - Też je zabierzcie. Nic nie rozumiem. Żadnych masek. Żadnych kart identyfikacyjnych. Jakim cudem ten dom ocalał? Od miesięcy nie mieliśmy takiej nocy jak ostatnia!

Tim z wysiłkiem stanął na nogi. Krwawiły mu usta. Obraz przed oczami wciąż był niewyraźny. Przyłgął do ściany.

- Poczekajcie - wymamrotał. - Na miłość boską...

Kapitan zajrzał do kuchni.

- Czy... czy to jest... jedzenie? - Powoli przeszedł przez jadalnię. - Patrzcie!

Pozostali żołnierze pospieszyli za nim, zapominając o Mary i dzieciach. W zdumieniu otoczyli stół.

- Patrzcie na to!

- Kawa. - Jeden porwał dzbanek i opróżnił go łapczywie. Zakrztusił się, czarna kawa prysnęła na jego bluzę. - Gorąca. Chryste. Gorąca kawa.

- Śmietana! - Inny żołnierz zamasyście otworzył lodówkę. - Zobaczcie. Mleko. Jajka. Masło. Mięso. - Załamał mu się głos. - Pełno tu jedzenia.

Kapitan zniknął w głębi spiżarni. Po chwili wyłonił się z niej, taszcząc skrzynkę konserwowego groszku.

- Ściągnijcie resztę. Zwołajcie wszystkich.

Z hałasem upuścił skrzynkę na stół. Bacznie obserwując Tima, pogrzebał w zakamarkach przybrudzonej bluzy i wydobyl papierosa. Zapalił go niespiesznie, nie spuszczając wzroku z mężczyzny.

- No dobrze - powiedział. - Posłuchajmy, co masz do powiedzenia.

Tim otwierał i zamykał usta, lecz nie wydobyl z siebie żadnego dźwięku. W głowie miał całkowitą pustkę. Zero. Nie był w stanie myśleć.

- To jedzenie. Skądje wzięłeś? I wszystkie pozostałe przedmioty? - Kapitan ogarnął gestem kuchnię. - Naczynia. Meble. Jakim cudem ten dom nie został trafiony? Jak to się stało, że przetrwał minioną noc?

- Ja... - stęknął Tim.

Kapitan podszedł do niego, w jego oczach czaiła się groźba.

- Kobieta. I dzieci. Wy wszyscy. Co tutaj robicie? - Mówił twardym głosem. - Lepiej pan odpowiadaj. Lepiej wyjaśnij, co tu robicie, inaczej zetrzemy was na proch.

Tim usiadł przy stole. Spazmatycznie zaczerpnął tchu, usiłując zebrać myśli. Bolało go całe ciało. Otarł krew z ust, czując w nich pokruszone kawałki zębów. Wyciągnął chustkę i wypluł je. Nie mógł opanować drżenia rąk.

- Słucham - ponaglił kapitan.

Mary wraz z dziećmi wślizgnęła się do pokoju. Judy płakała. Virginia miała zmartwiałą ze zgrozy twarz. Blady jak ściana Earl spoglądał na żołnierzy wytrzeszczonymi oczami.

- Tim - powiedziała Mary, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Dobrze się czujesz?

Tim skinął głową.

- Nic mi nie jest.

Mary otuliła się sukienką.

- Tim, to nie może ujść im płazem. Ktoś przyjdzie. Listonosz. Albo sąsiedzi. Nie mogą tak po prostu...

- Zamknij się - rzucił kapitan. Jego oczy zalśniły dziwnym blaskiem. - Listonosz? O czym ty mówisz? - Wyciągnął rękę. - Pokaż mi swoją żółtą kartę, siostró.

- Żółtą kartę? - zająknęła się Mary.

Kapitan potarł szczękę.

- Ani żółtej karty. Ani masek. Ani dowodów tożsamości.

- To uniwersale - osądził jakiś żołnierz.

- Może. A może nie.

- Mówię panu, że tak, kapitanie. Lepiej ich wykończyć. Nie wolno nam podejmować żadnego ryzyka.

- Tu dzieje się coś dziwnego - powiedział kapitan. Sięgnął po zawieszoną na linie u jego szyi niedużą skrzynkę. - Wzywam polika.

- Polika? - Przez grupę żołnierzy przeszedł szmer. - Proszę poczekać, kapitanie. Poradzimy sobie sami. Niech pan nie wzywa polika. Skieruje nas na 4, a wtedy już nigdy...

Kapitan odezwał się do skrzynki.

- Połączcie mnie z Siecią B.

Tim zerknął na Mary.

- Słuchaj, kochanie. Ja...

- Zaniknij się. - Żołnierz szturchnął go. Tim zamilkł.

- Sieć B - zaskrzeczała skrzynka.

- Czy macie wolnego polika? Natrafiliśmy na coś dziwnego. Pięcioro osobników. Mężczyzna, kobieta i troje dzieci. Nie mają masek, kart, miejsce zamieszkania kompletnie nie naruszone. Meble, zagroda, około dwustu funtów jedzenia.

Głos w skrzynce zawahał się.

- W porządku. Polik w drodze. Zostańcie tam. Nie pozwólcie im uciec.

- Na pewno nie. - Kapitan umieścił skrzynkę z powrotem za koszulą. - Polik zjawi się tutaj lada chwila. Tymczasem załadujmy żywność.

Na zewnątrz rozległ się głęboki, grzmiący łoskot. Wstrząsnął domem, wprawiając w drżenie naczynia w kredensie.

- Rany - powiedział żołnierz. - Mało brakowało.

- Mam nadzieję, że osłony wytrzymają do zmroku. - Kapitan podniósł skrzynię z groszkiem. - Zwołajcie pozostałych. Musimy załadować jedzenie przed przybyciem polika.

Dwaj żołnierze chwycili żywność i podążyli za nim w kierunku drzwi frontowych. Ich głosy cichły, w miarę jak oddalali się ścieżką.

Tim wstał.

- Zostańcie tutaj - polecił szorstko.

- Co robisz? - zapytała nerwowo Mary.

- Może uda mi się wydostać. - Podbiegł do tylnego wyjścia i drżącymi rękami odsunął zasuwę. Otworzył na oścież drzwi i wyszedł na ganek. - Nikogo nie widzę. Gdybyśmy tylko mogli...

Stanął jak wryty.

Dokoła niego przesuwały się szare obłoki. W polu widzenia wszystko pokryte było warstwą szarego popiołu. Rozróżnił niewyraźne kształty. Nadszarpnięte zarysy budowli, ciche i obumarłe, spowite bezmierną szarością.

Ruiny.

Zrujnowane budynki. Rumowiska. Wszędzie sterty gruzu. Powoli zszedł po schodkach. Betonowa ścieżka urywała się niespodziewanie. Tuż za nią ziemia usiana była żwirem i kamieniami. I nic więcej, jak okiem sięgnąć.

Ciszy nie mąciło najłżejsze poruszenie. Wszystko było kompletnie martwe. Żadnego ruchu. Jedyne chmury dryfującego pyłu, żwir i niezliczone sterty odłamków.

Miasto zniknęło. Budynki uległy zniszczeniu. W ich miejscu nie pozostało nic. Ani żywego ducha. Poszarpane, ziejące pustką ściany. Garstka pociemniałych chwastów pośród rumowiska. Pochyliwszy się, Tim dotknął zielska. Miało twardą, zgrubiałą łodygę. Żużel okazał się warstwą stopionego metalu. Tim wyprostował się...

- Wracaj do środka - polecił mu oschły głos.

Odwrócił się bezmyślnie. Za jego plecami, na ganku stał mężczyzna, podpierał biodra rękami. Niskiego wzrostu, o zapadniętych policzkach. Miał małe i rozżarzone jak dwa węgielki oczy. Jego mundur różnił się od munduru żołnierzy. Żółtawą skórę na policzkach znaczył blady rumieniec. Była to chora twarz, nosząca ślady gorączki i znużenia.

- Kim pan jest? - zapytał Tim.

- Douglas. Polityczny komisarz Douglas.

- Pan jest... pan jest z policji - rzucił Tim.

- Zgadza się. Teraz wejdźmy do środka. Spodziewam się uzyskać od ciebie odpowiedzi na moje pytania. Mam ich kilka. Przede wszystkim chciałbym wiedzieć - zaczął komisarz Douglas - jakim sposobem ten dom uniknął zniszczenia?

Tim i Mary wraz z dziećmi w milczeniu stłoczyli się na tapczanie, ich twarze pozbawione były wyrazu.

- A więc? - ponaglił Douglas.

Tim odzyskał mowę.

- Niech pan posłucha - powiedział. - Nie wiem. Ja nic nie wiem. Obudziliśmy się rano jak zwykle. Ubraliśmy się i zjedliśmy śniadanie...

- Na dworze było mgliście - wtrąciła Virginia. - Wyrzeliśmy przez okno i zobaczyliśmy mgłę.

- I radio nie działało - dorzucił Earl.

- Radio? - Wychudłą twarz Douglasa przeciął grymas. - Od miesięcy nie nadawano żadnych sygnałów. Chyba że dla celów rządowych. Ten dom. I wy wszyscy. Nie rozumiem. Gdybyście byli uniwersalami...

- A kto to taki? - mruknęła Mary.

- Sowieckie oddziały uniwersalne.

- A więc mamy wojnę.

- Ameryka Północna została zaatakowana dwa lata temu - zakomunikował Douglas. - W 1978 roku.

Tim skurczył się w sobie.

- W 1978. Zatem obecnie mamy 1980. - Naraz sięgnął do kieszeni. Wyjął portfel i rzucił go Douglasowi. - Proszę tam zajrzeć.

Douglas podejrzliwie otworzył portfel.

- Po co?

- Karta biblioteczna. Kwity na paczkę. Niech pan popatrzy na daty. - Tim zwrócił się do Mary. - Teraz zaczynam rozumieć. Zaświtało mi to, kiedy zobaczyłem ruiny.

- Wygrywamy? - pisnął Earl.

Douglas spoglądał badawczo na portfel Tima.

- Ciekawe. Te wszystkie rzeczy są stare. Mają po siedem, osiem lat. - Rozbłysły mu oczy. - Co próbujesz powiedzieć? Czy to, że przybyliście z przeszłości? Podróżujecie w czasie?

Do środka wszedł kapitan.

- Wąż załadowany, sir.

Douglas krótko skinął głową.

- Dobrze. Możecie zabrać swój oddział i odjechać.

Kapitan zerknął na Tima.

- Czy pan...

- Ja się nimi zajmę.

Kapitan zasalutował.

- Tak jest, sir. - Zniknął za drzwiami. Wraz ze swoimi ludźmi wdrapał się na podłużną, wąską ciężarówkę, przypominała rurę umieszczoną na gąsienicach. Z cichym warkotem pojazd ruszył z miejsca.

Po chwili za oknem pozostały tylko szare opary i niewyraźny zarys zrujnowanych budynków.

Douglas przemierzał tam i z powrotem duży pokój, oglądając tapetę, meble i drobne sprzęty. Podniósł kilka czasopism i przekartkował je.

- Z przeszłości. Ale niezbyt odległej.

- Siedem lat?

- Czy to możliwe? Na to wygląda. W ciągu ostatnich miesięcy wiele się wydarzyło. Podróż w czasie. - Douglas uśmiechnął się ironicznie. - Kiepski wybór, McLean. Powinniście byli pójść trochę dalej.

- Niczego nie wybierałem. Stało się i już.

- Musieliście coś zrobić.

Tim potrząsnął głową.

- Nie. Zupełnie nic. Wstaliśmy z łóżka. I znaleźliśmy się - tutaj.

Douglas pogрузzył się w myślach.

- Tutaj. O siedem lat później. Przesunięci w czasie. Nie wiemy nic o podróży w czasie. Nie przeprowadzono w tej dziedzinie żadnych badań. W rachubę wchodzi istnienie realnych możliwości militarnych.

- Jak zaczęła się ta wojna? - zapytała cicho Mary.

- Jak się zaczęła? Wcale się nie zaczęła. Pamiętacie przecież. Toczyła się już przed siedmioma laty.

- Mam na myśli prawdziwą wojnę. To.

- Nie ma mowy o żadnym konkretnym epizodzie, który to zapoczątkował. Walczyliśmy w Korei. Walczyliśmy w Chinach. Tak samo w Niemczech, Jugosławii i Iranie. To zaczęło już zataczać coraz szersze kręgi. Wreszcie bomby spadły i tutaj. Nadeszło niczym zaraza. Wojna się rozrastała. Nie miała początku. - Gwałtownie odłożył swój notes. - Sprawozdanie w waszej sprawie wzbudziłoby podejrzenia. Mogliby pomyśleć, że mam chorobę pyłową.

- Co to takiego? - zapytała Virginia.

- Radioaktywne cząsteczki w powietrzu. Przenoszone do mózgu powodują obłęd. Każdy z nas nosi w sobie jakiś tego ślad, nawet maski nie pomagają.

- Naprawdę chciałbym wiedzieć, kto wygrywa - powtórzył Earl. - A co to było to na zewnątrz? Ta ciężarówka. Czy miała napęd rakietowy?

- Wąż? Nie. Jest wyposażony w silniki. Przód działa na zasadzie rylca. Przebija się przed rumowiska.

- Siedem lat - powiedziała Mary. - I tyle zmian. To brzmi nieprawdopodobnie.

- Tyle? - Douglas wzruszył ramionami. - Pewnie tak. Pamiętam, co robiłem siedem lat temu. Jeszcze chodziłem do szkoły. Uczyłem się. Miałem mieszkanie i samochód. Chodziłem na tańce. Kupiłem sobie telewizor. Jednak to wszystko już tam tkwiło. Zmierzch. Tyle że wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nikt z nas nie zdawał sobie z tego sprawy. Lecz fakt pozostaje faktem.

- Jest pan politycznym komisarzem? - zapytał Tim.

- Nadzoruję działania wojska. Jestem czujny na jakiegokolwiek polityczne odchylenia. W sytuacji wojny totalnej należy trzymać ludzi pod nieustającą obserwacją. Jeden czerwony w Sieci mógłby spaskudzić całą sprawę. Nie wolno nam podejmować ryzyka.

Tim przytaknął.

- To prawda. Zmierzch już istniał w owym czasie. Po prostu go nie dostrzegaliśmy.

Douglas obejrzał książki w biblioteczce.

- Zabiorę kilka z nich. Od miesiący nie miałem w ręku książki. Większość zaginęła. Spłonęła w

77.

- Spłonęła?

Douglas zerknął na obwoluty.

- Shakespeare. Milton. Dryden. Wezmę te stare. Tak będzie bezpieczniej. Nic Steinbecka ani Dos Passosa. Nawet polik mógłby wpaść w tarapaty. Jeśli macie zamiar tu pozostać, lepiej pozbądźcie się tego. - Postukał w Braci Karamazow Dostojewskiego.

- Jeśli mamy zamiar tu pozostać! Cóż możemy zrobić innego?

- A chcecie?

- Nie - odparła cicho Mary.

Douglas zmierzył ją od stóp do głów.

- Nie, domyślam się, że nie. Gdybyście zostali, oczywiście by was rozdzielono. Dzieci powędrowałyby do Kanadyjskiego Centrum Relokacyjnego. Kobiety mieszkają w podziemnych obozach pracy, a mężczyźni zostają automatycznie wcielani do armii.

- Tak jak ci, którzy odjechali - uzupełnił Tim.

- Chyba że nadawałbyś się do bloku pp.

- Co to jest?

- Centrum Planowania Przemysłowego i Technologii. Jakie masz przygotowanie? Czy coś związanego z pracą badawczą?

- Nie. Księgowość.

Douglas wzruszył ramionami.

- Cóż, i tak zostaniesz poddany standardowemu testowi. Jeżeli masz IQ wystarczająco wysoki, mógłbyś pracować dla Służby Politycznej. Korzystamy z usług wielu ludzi. - Przerwał z namysłem, trzymając w rękach stos książek. - Lepiej wracajcie, McLean. Trudno będzie wam się do tego przyzwyczaić. Sam bym wrócił, gdybym tylko mógł. Ale nie mogę.

- Wrócić? - powtórzyła Mary. - Tylko jak?

- Tą samą drogą.

- Nie było żadnej drogi.

Douglas przystanął przy frontowych drzwiach.

- Ostatniej nocy nastąpił najgorszy jak do tej pory atak aspów.

- Aspów?

- Automatycznie sterowanych pocisków. Sowieci metodycznie, mila po mili, rujną cały kontynent. Aspy są tanie. Produkują je masowo i wystrzelują. Cały proces odbywa się automatycznie. Obsługiwane przez roboty fabryki wytwarzają je i zrzucają na nas. Minionej nocy dotarły tutaj - i to w przytłaczającej liczbie. Rano nadjechał patrol i niczego nie znalazł. Naturalnie oprócz was.

Tim powoli skinął głową.

- Zaczynam rozumieć.

- Skumulowana energia musiała wytworzyć jakieś zaburzenia czasowe. Coś w rodzaju wstrząsu sejsmicznego. To my ponosimy winę za trzęsienia ziemi. Ale kto słyszał o trzęsieniu czasowym... Ciekawe. Przypuszczam, że w grę wchodzi właśnie to. Uwolnienie energii i zniszczenie materii wessały wasz dom w przyszłość. Przeniosły go o siedem lat do przodu. Ta ulica, całe to miejsce zostało starte na proch. Wasz dom sprzed siedmiu lat został porwany prądem wybuchu, którego oddziaływanie musiało przedrzeć się przez barierę czasową.

- Wessany do przyszłości - powiedział Tim. - W ciągu nocy. Kiedy wszyscy spaliśmy.

Douglas nie spuszczał z niego uważnego spojrzenia.

- Dziś wieczorem - powiedział - nastąpi kolejny atak aspów. Z pewnością dopełni dzieła zniszczenia. - Popatrzył na zegarek. - Teraz jest czwarta po południu. Atak zacznie się za parę godzin. Powinniście znaleźć się pod ziemią. Tutaj nie przetrwa nic. Jeżeli chcecie, mogę was zabrać ze sobą. Ale jeśli chcecie zaryzykować, jeśli wolicie tu pozostać...

- Uważa pan, że wybuch mógłby ściągnąć nas z powrotem?

- Może. Nie mam pojęcia. To czysta loteria. Mógłby pozwolić wam wrócić albo i nie. A jeżeli nie...

- Wówczas nie będziemy mieć najmniejszej szansy na przeżycie.

Douglas wyciągnął mapę kieszonkową i rozłożył ją na tapczanie.

- Patrol zostanie w tej okolicy jeszcze przez najbliższe pół godziny. Jeśli zdecydujecie się pojechać z nami, idźcie tą ulicą. - Powiódł palcem po mapie. - Aż dotrzecie na otwartą przestrzeń. Patrol należy do Służby Politycznej. Oni zabiorą was na dół. Sądzicie, że uda się wam odszukać to pole?

- Chyba tak - odrzekł Tim, spoglądając na mapę. Wykrzywił usta. - To pole było niegdyś

podstawówką, do której uczęszczały moje dzieci. Właśnie tam szły, kiedy zatrzymali ich żołnierze. Dosłownie chwilę temu.

- Siedem lat temu - sprecyzował Douglas. Złożył mapę i umieścił ją z powrotem w kieszeni. Nałożył maskę i wyszedł na werandę. - Być może jeszcze się spotkamy. A może i nie. To zależy od was. Sami musicie podjąć decyzję. Tak czy inaczej - powodzenia.

Obrócił się i pospiesznie opuścił dom.

- Tato - zawołał Earl - czy pójdziesz do wojska? Będziesz nosił maskę i strzelał z takiego pistoletu? - Oczy żarzyły mu się z podniecenia. - I będziesz prowadził węża?

Tim McLean przykucnął i przyciągnął do siebie syna.

- Czy tego właśnie pragniesz? Chciałbyś tutaj zostać? Jeżeli mam nosić maskę i strzelać z takiego pistoletu, to nie ma mowy o powrocie.

Earl zrobił niepewną minę.

- A nie moglibyśmy wrócić później?

Tim potrząsnął głową.

- Obawiam się, że to wykluczone. Musimy teraz zdecydować, czy wracamy, czy nie.

- Słyszałeś, co powiedział pan Douglas - wtrąciła z niesmakiem Virginia. - Atak rozpocznie się za kilka godzin.

Tim wstał i zaczął przemierzać pokój.

- Jeśli tu zostaniemy, zamienią nas w mokrą plamę. Spójrzmy prawdzie w oczy. Szansa na to, że zdołamy wrócić, jest minimalna. Nie ma co się oszukiwać. Czy chcecie zostać tu wśród walących się ścian, ze świadomością, że każda następna chwila może być ostatnią, słysząc, jak spadają coraz bliżej i bliżej, czekając, nasłuchując...

- Czy rzeczywiście chcesz wrócić? - przerwała mu Mary.

- Oczywiście, ale ryzyko...

- Nie pytam cię o ryzyko. Pytam, czy naprawdę chcesz wrócić. Może wolałbyś tu zostać. Niewykluczone, że Earl ma rację. Ty w mundurze i w masce, uzbrojony w jeden z tych spikulcowatych karabinów. Prowadzący węża.

- A ty w podziemnym obozie pracy! I dzieci w rządowym centrum relokacyjnym! Jak to sobie wyobrażasz? Sądzisz, że oni będą w stanie czegokolwiek nauczyć nasze dzieci? Twoim zdaniem, na kogo wyrosną? I wierzysz, że...

- Prawdopodobnie wpoją im poczucie konieczności bycia użytecznym.

- Użytecznym! Do czego? Dla siebie? Dla ludzkości? Czy dla wojny...?

- Przynajmniej będą żyły - odparła Mary. - Nic im nie będzie groziło. A tak, jeśli zostaniemy w domu, czekając na atak...

- Jasne - warknął Tim. - Przeżyją. I będą się cieszyć niezłym zdrowiem. Godziwie wykarmione, przyrodziane i otoczone należyłą troską. - Ze stężoną twarzą popatrzył na dzieci. - Przeżyją, to nie ulega wątpliwości. Przeżyją, aby dorosnąć. Ale jakimi dorosłymi się staną? Słyszałaś, co on powiedział! Książki zostały spalone w '77. Z czego będą się uczyć? Jakie idee pozostały po '77? Jakie przekonania przekaże im rządowe centrum relokacyjne? Jakim wartościom będą hołdować?

- Jest jeszcze blok pp - podsunęła Mary.

- Centrum Planowania Przemysłowego i Technologii. Dla inteligentów. Dla błyskotliwych, obdarzonych bujną wyobraźnią. Gdzie w ruch idą suwaki logarytmiczne i ołówki. Siedlisko rysowania, planowania i epokowych odkryć. Dziewczynki by się nadawały. Mogłyby projektować karabiny. Earl natomiast pracowałby dla Służby Politycznej. Dopilnowałby, aby te karabiny przyniosły należyty pożytek. Gdyby nastąpił rozłam w armii, gdyby żołnierze nie chcieli strzelać, Earl złożyłby stosowny raport i zaaplikowano by im porcję dodatkowego szkolenia. Celem wzmocnienia ich wiary politycznej - w świecie, gdzie ci z głową na karku wymyślają broń, a ci bez niej - strzelają.

- Ale przeżyłyby - powtórzyła Mary.

- Masz osobliwe pojęcie na temat tego, co oznacza przeżycie! Ty to nazywasz przeżyciem? Może masz rację. - Tim ze zmęczeniem potrząsnął głową. - Może i tak jest. Może powinniśmy wraz z Douglasem schronić się w podziemiach. Pozostać w tym świecie. Przeżyć.

- Tego nie powiedziałam - odrzekła łagodnie Mary. - Tim, musiałam się przekonać, czy naprawdę pojmujesz wagę tego posunięcia, pozostania w domu i zaryzykowania porażki.

- Zatem chcesz zaryzykować?

- Oczywiście! Musimy. Nie możemy oddać im dzieci - temu całemu centrum relokacyjnemu. Aby nauczone je, jak nienawidzić, zabijać i niszczyć. - Mary uśmiechnęła się słabo. - Poza tym, zawsze chodziły do szkoły Jeffersona. A w tym świecie na jej miejscu widnieje tylko puste pole.

- Wracamy? - pisnęła Judy. Błagalnie chwyciła rękaw Tima. - Czy teraz wracamy?

Tim uwolnił rękę.

- Niedługo, kochanie.

Mary otworzyła kredens z zapasami i zajrzała do środka.

- Niczego nie brakuje. Co oni zabrali?

- Skrzynkę groszku konserwowego. Opróżnili lodówkę. I wyłamali drzwi frontowe.

- Dam głowę, że jesteśmy górą! - krzyknął Earl. Podbiegł do okna i wyjrzał. Widok przetaczających się na zewnątrz kłębow pyłu rozczarował go. - Nic nie widzę! Tylko mgła! - Pytająco zwrócił się do Tima. - Czy tutaj zawsze tak jest?

- Tak - odrzekł Tim.

Earlowi wyciągnęła się twarz.

- Tylko mgła? I nic poza tym. Czy kiedykolwiek świeci słońce?

- Zrobię kawę - powiedziała Mary.

- Dobrze. - Tim poszedł do łazienki i obejrzał się w lustrze. Miał przeciętą wargę, pokrytą skorupą zaschłej krwi. Bolała go głowa. Było mu niedobrze.

- To nie wydaje się możliwe - rzekła Mary, kiedy zasiedli przy kuchennym stole.

Tim pociągnął łyk kawy.

- Istotnie, nie. - Z miejsca, gdzie siedział, mógł obserwować okno. Chmury pyłu. Niewyraźny, poszarpany zarys zrujnowanych budowli.

- Czy ten człowiek wróci? - zapytała Judy. - Był taki chudy i śmiesznie wyglądał. On nie wróci, prawda?

Tim spojrział na zegarek. Wskazywał dziesiątą. Przystawił wskazówki na kwadrans po czwartej.

- Douglas twierdził, że zaczną o zmroku. Nie zostało wiele czasu.

- Zatem naprawdę zostajemy - rzekła Mary.

- Zgadza się.

- Nawet pomimo niewielkiej szansy?

- Nawet pomimo niewielkiej szansy na powrót. Jesteś zadowolona?

- Owszem - odrzekła z rozjaśnionym obliczem Mary. - Warto zaryzykować, Tim. Wiesz, że tak. Bez względu na to, jak dużą mamy szansę. Aby wrócić. Jest jeszcze coś. Będziemy tu wszyscy razem. Nie mogą nas rozłączyć. Rozdzielić.

Tim dolał sobie kawy.

- Równie dobrze możemy się odprężyć. Zostało nam około trzech godzin. Postarajmy się przyjemnie je spędzić.

O szóstej trzydzieści spadł pierwszy pocisk. Odczuli wstrząs, przetaczającą się falę uderzeniową, która ogarnęła dom.

Pobladła na twarzy Judy wybiegła z jadalni.

- Tatusiu! Co to jest?

- Nic takiego. Nie martw się.

- Wracaj tu - krzyknęła niecierpliwie Virginia. - Twoja kolej. - Grali w Monopol.

Earl skoczył na równe nogi.

- Ja chcę to zobaczyć. - Podekscytowany podbiegł do okna. - Widzę miejsce wybuchu!

Tim odsunął storę i wyrżał na zewnątrz. W oddali gorzały białe płomienie, wysoko unosiła się połyskliwa chmura dymu.

Kolejne uderzenie wstrząsnęło domem. Jakies naczynie z trzaskiem spadło z półki do zlewu.

Na dworzu było prawie całkiem ciemno. Poza dwoma białymi punktami Tim nie dostrzegał nic. Kłęby pyłu zniknęły w mroku wraz ze zrujnowanymi pozostałościami budynków.

- Ten uderzył bliżej - zauważyła Mary.

Za chwilę spadł trzeci pocisk. Szyby w dużym pokoju rozprysnęły się, obsypując chodnik deszczem odłamków.

- Lepiej wracajmy - powiedział Tim.

- Dokąd?

- Do piwnicy. Chodźcie. - Tim otworzył drzwi do piwnicy i szybko zbiegli na dół.

- Jedzenie - powiedziała Mary. - Lepiej przynieśmy to, co jeszcze zostało.

- Niezły pomysł. Dzieciaki, idźcie na dół. Zaraz do was dołączymy.

- Ja mogę coś przynieść - zaofiarował się Earl.

- Idź na dół. - Nastąpiło czwarte uderzenie, dalej niż poprzednie. - I trzymaj się z dala od okien.

- Podłożę coś pod okno - zaproponował Earl. - Tę dużą dyktę, której używaliśmy przy puszczeniu mojej kolejki.

- Świetnie. - Tim i Mary wrócili do kuchni. - Żywność. Naczynia. Co jeszcze?

- Książki. - Mary rozejrzała się nerwowo. - Nie wiem. Chyba nic. Chodźmy.

Jej ostatnie słowa utonęły w ogłuszającym łoskocie. Pękła szyba w oknie kuchennym, opryskując ich odłamkami. Naczynia nad zlewem runęły na podłogę, rozległ się szcęk tłuczonej porcelany. Tim chwycił Mary i pociągnął na dół.

Przez okno napłynęły złowrogie kłęby dymu. Wieczorne powietrze przesycone było kwaśną wonią zgnilizny. Tim zadrżał.

- Zostawmy jedzenie. Wracajmy na dół.

- Ale...

- Daj spokój. - Pociągnął ją po schodach wiodących do piwnicy. Zbiegli na dół i Tim zatrzasnął za nimi drzwi.

- Gdzie jedzenie? - upomniała się Virginia.

Tim drżącą ręką otarł czoło.

- Daj spokój. I tak nie będziemy go potrzebować.

- Pomóż mi - stęknął Earl. Tim pomógł mu przenieść dyktę pod okno ponad baliami z brudną bielizną. W piwnicy panował chłód i cisza. Cementowa podłoga była trochę wilgotna.

Dwa następne pociski spadły równocześnie. Tima rzuciło na podłogę. Ciężko uderzył o beton. Na chwilę ogarnęła go ciemność. Zaraz jednak podźwignął się na kolana, usiłując wstać.

- Wszyscy cali? - wymamrotał.

- Ja tak - odrzekła Mary. Judy zaczęła płakać. Earl po omacku szedł przez pomieszczenie.

- Ja też - powiedziała Virginia. - Chyba.

Światło zamigotało i zbladło. Ni stąd, ni zowąd zgasło i w piwnicy zrobiło się całkowicie ciemno.

- No tak - rzekł Tim. - Proszę bardzo.

- Mam latarkę. - Earl zapalił ją. - I jak teraz?

- Dobrze - powiedział Tim.

Uderzyło więcej pocisków. Grunt pod ich stopami zatrząsał się i rozkołysał. Przez dom przeszła potężna fala energii.

- Lepiej się połóżmy - powiedziała Mary.

- Tak. Połóżcie się. - Tim niezgrabnie wyciągnął się na posadzce. Dokoła nich spadały kawałki tynku.

- Kiedy to się skończy? - zapytał niecierpliwie Earl.

- Niedługo - odparł Tim.

- I wtedy wrócimy?

- Tak. Wtedy wrócimy.

Kolejny wybuch nastąpił prawie natychmiast. Tim poczuł, jak beton pod nim podchodzi w górę. Rósł, coraz wyżej i wyżej, podnosząc ze sobą Tima. Mężczyzna zamknął oczy. Unosił się, niesiony pęczniejącym betonem. Wokół trzaskały pękające belki i podpory. Tynk sypał się gęsto. Słyszał brzęk tłuczonego szkła i trzask pełgających w oddali płomieni.

- Tim - dobiegł go niewyraźny głos Mary.

- Słucham.

- Nie... nie damy rady.

- Nie wiem.

- Mówię ci. Czuję to.

- Może i nie. - Na plecach spadła mu deska, jęknął z bólu. Leciały na niego kawałki gipsu i desek, aż zagrzebały go pod sobą. Poczł kwaśny zapach, zapach nocnego powietrza i pyłu. Wtargnął przez wybite okno i kotłował się pod sufitem.

- Tatusiu - posłyszał słaby głosik Judy.

- Co takiego?

- Przecież mieliśmy wracać.

Otworzył usta, aby odpowiedzieć. Ogłuszający huk sprawił, że słowa uwięzły mu w gardle. Szarpnął nim następny wybuch. Przedmioty wokół niego ożyły. Smagał go silny, gorący wiatr. Trzymał się ze wszystkich sił. Napór wiatru nasilił się, porywając go ze sobą. Krzyknął, kiedy poczuł gorący powiew.

- Mary...

Zapadła cisza. Nic, tylko ciemność i cisza.

Samochody.

W pobliżu zatrzymywały się samochody. Potem usłyszał głosy. I tupot czyichś stóp. Tim poruszył się, zaczął strząsać z siebie deski. Wstał.

- Mary. - Potoczył dookoła wzrokiem. - Wróciliśmy.

Piwnica znajdowała się w opłakanym stanie. Ściany były pochylone i pokruszone. Przez dziury widać było zielone pasmo trawnika. Deptak. Niewielki ogród różany. Biały, pokryty stiukiem dom sąsiadów.

Ciąg słupów telefonicznych. Dachy. Domy. Miasto. W nie zmienionej formie. Jak każdego ranka.

- Wróciliśmy! - Ogarnęła go szalona radość. Wrócili. Są bezpieczni. Skończyło się. Tim pospiesznie przedarł się przez rumowisko. - Mary, nic ci nie jest?

- Jestem tutaj. - Mary usiadła i strząsnęła z siebie gipsowy pył. Jej włosy, skóra i odzież były białe. Twarz miała skaleczoną i podrapaną, a sukienkę podartą. - Naprawdę wróciliśmy?

- Panie McLean! Czy jest pan cały?

Do piwnicy wbiegł policjant w niebieskim mundurze. W ślad za nim podążali dwaj odziani w białe fartuchy ludzie. Na zewnątrz zbici w gromadkę sąsiedzi niespokojnie wyciągali szyje.

- Nic mi nie jest - powiedział Tim. Pomógł wstać Judy i Virginii. - Chyba wszyscy jesteśmy cali.

- Co się stało? - Policjant odepchnął deski i podszedł bliżej. - Bomba?

- Dom jest w stanie kompletnej ruiny - dorzucił jeden z medyków. - Jest pan pewien, że nikomu nic się nie stało?

- Wszyscy byliśmy na dole. W piwnicy.

- Nic ci nie jest, Tim? - zawołała pani Hendricks, ostrożnie wchodząc do piwnicy.

- Co się stało? - krzyknął Frank Foley. Z łomotem zeskoczył na dół.

- Chryste, Tim! Coś ty, u licha, wyprawiał?

Dwaj lekarze podejrzliwie spoglądali na ruiny.

- Miał pan szczęście. Diabelne szczęście. Na górze nic nie zostało.

Foley zbliżył się do Tima.

- A. niech to, stary! Mówiłem, żebyś dał do przeglądu ten bojler!

- Co? - zapytał nieprzytomnie Tim.

- Bojler! Mówiłem ci, że coś nie gra z wyłącznikiem. Musiał grać bez przerwy... - Foley mrugnął nerwowo. - Ale nie pisnę słówkiem, Tim. Ubezpieczenie. Możesz na mnie liczyć.

Tim otworzył usta, ale nic nie powiedział... Cóż mógł na to odrzec? Nie, nie chodzi wcale o zepsuty bojler, którego zapomniałem naprawić. Nie, to nie żadne wadliwe połączenie w piecu. Nic z tych rzeczy. Ani nieszczelna rura z gazem, ani włączony bojler, ani piekarnik ciśnieniowy, którego zapomnieliśmy wyłączyć.

To była wojna. Totalna wojna. I nie dotyczyła wyłącznie mnie. Czy mojej rodziny. Albo domu.

Dotyczyła również twojego domu. Twojego, mojego i całej reszty. Tej dzielnicy, i następnej, drugiego miasta, stanu, kraju i kontynentu. Cały świat tak wyglądał. Wszędzie gruz i ruiny. Mgła i chwasty rosnące w zżeranej rdzą żwirze. Wojna dotyczyła nas wszystkich. Wszystkich cisnących się w piwnicach, z przerażeniem na pobladłych twarzach i niejasnym przeczuciem rychłej katastrofy.

A kiedy naprawdę nastąpi, kiedy minie pięć lat, znikąd nie nadejdzie pomoc. Żadnej drogi powrotu, ucieczki w przeszłość, z dala od niej. Kiedy ogarnie wszystko, pochłonie ich; nikt nie przebędzie drogi powrotnej tak, jak on to uczynił.

Mary nie spuszczała z niego wzroku. Obserwowali go wszyscy - policjant, sąsiedzi, ubrani na biało lekarze. Czekali na słowo wyjaśnienia. Aż powie im, co się wydarzyło.

- Czy to rzeczywiście bojler? - zapytała nieśmiało pani Hendricks.

- Pewnie tak, prawda, Tim? Takie rzeczy się zdarzają. Nigdy nie można być pewnym...

- A może grzane piwo - niezręcznie zązartował jeden z sąsiadów. - No, powiedz?

Nie mógł im powiedzieć. Nie rozumieją, ponieważ nie chcieli rozumieć. Nie chcieli wiedzieć. Potrzebowali zapewnienia. Widział to w ich oczach. Godny pożałowania, nędzny strach. Wyczuwali coś strasznego - i bali się. Obserwowali jego twarz, szukając pomocy. Słów otuchy. Słów, które rozproszyłyby strach.

- Tak - odparł chrapliwie Tim. - To bojler.

- A nie mówiłem! - podchwycił Foley. Wśród zebranych przetoczyło się westchnienie ulgi. Szmery, drżące śmieszki. Z grymasem na twarzach kiwali głowami.

- Powinienem był go naprawić - ciągnął Tim. - I to dawno temu. Zanim doszedł do takiego stanu. - Tim popatrzył na krąg chłonących jego słowa ludzi. - Należało go oddać do przeglądu. Zanim zrobiło się za późno.

PREZENT DLA PAT

- Co to jest? - zapytała z przejęciem Patricia Blake.

- O co ci chodzi? - mruknął Eric Blake.

- Co przywiozłeś? Wiem, że coś mi przywiozłeś! - Rozgorączkowana oddychała pospiesznie. - Przywiozłeś dla mnie prezent. Czuję to!

- Kochanie, leciałem na Ganimedesa w interesach, a nie po to, aby wyszukiwać dla ciebie pamiątki. Teraz pozwól, że rozpakuję rzeczy. Bradshaw powiedział, że mam stawić się w biurze jutro wczesnym rankiem. Mówi, że lepiej, bym zgłosił jakieś porządne złoza.

Ze stosu walizek ustawionego przy drzwiach przez mechanicznego bagażowego Pat porwała niewielkie pudełko.

- Czy to biżuteria? Nie, za duże na biżuterię. - Oстрыmi paznokciami zaczęła rozsupływać tasiemkę.

Eric, zmieszany, zmarszczył brwi.

- Nie bądź zawiedziona, kochanie. Takie sobie dziwactwo. Nie to, o czym myślałaś. - Obserwował ją z obawą. - Tylko się nie wściekaj. Wszystko ci wyjaśnię.

Pat otworzyła usta. Zbladła. Z rozszerzonymi strachem oczami upuściła pudełko na stół.

- Dobry Boże! Co to jest?

Eric poruszył się nerwowo.

- To była prawdziwa okazja, kochanie. Z reguły nie można ich dostać. Ganimedejczycy nie lubią ich sprzedawać, a ja...

- Co to jest?

- Bóg - mruknął Eric. - Bóstwo ganimedejskie pośledniejszego gatunku. Nabyłem je praktycznie za darmo.

Pat spoglądała na pudełko z rosnącym niesmakiem i lękiem.

- To? To ma być... bóg?

W pudełku znajdowała się mała, nieruchoma postać licząca w przybliżeniu około dziesięciu cali. Była stara, niezwykle stara. Maleńkie, szponiaste ręce przyciskała do łuskowatej piersi. Jej owadzią twarz wykrzywił grymas złości - z domieszką cynicznej lubieżności. Wspierała się na

plątaninie macek wyrastających z ciała w miejscu nóg. Dolna część twarzy przechodziła w złożony dziób, żuchwę ukształtowaną z jakiejś twardej substancji. Wokół niej unosił się odór nawozu i stęchłego piwa. Wszystko wskazywało na to, że była obupłciowa.

Eric przezornie wyościł pudełko słomą i kawałkami gazet i umieścił w nim miseczkę z wodą, a także wywiercił w pokrywie dziury.

- Masz na myśli figurę. - Pat z wolna odzyskiwała równowagę. - Symbol przedstawiający bóstwo.

- Nie. - Eric uparcie potrząsnął głową. - To autentyczne bóstwo. Istnieje na to gwarancja czy coś w tym stylu.

- Czy on jest... martwy?

- Ależ skąd.

- No to dlaczego się nie rusza?

- Trzeba go pobudzić. - Dół brzucha postaci przechodził w wydrążoną misę skierowaną otworem na zewnątrz. Eric postukał w nią palcem. - W tym miejscu składamy daninę i wówczas ożywa. Pokażę ci.

Pat cofnęła się o krok.

- Nie, dziękuję.

- Daj spokój! Ciekawie się z nim rozmawia. Nazywają go... - Zerknął na widniejący na pudełku opis. - Nazywają go Tinokuknoi Arevulopapo. Przegadaliśmy większość drogi powrotnej. Był rad z nadarzającej się okazji. A ja zyskałem sporo wiedzy na temat bogów.

Eric przeszukał kieszenie i wyciągnął resztki kanapki z szynką. Oderwał kawałek wędliny i wepchnął go do wystającego brzuchonaczynia bożka.

- Wychodzę - oznajmiła Pat.

- Czekaj. - Eric chwycił ją za rękę. - To potrwa zaledwie chwilę. Od razu zaczyna trawić.

Brzuchonaczyniem wstrząsnął dreszcz. Łuskowate ciało bożka pofałdowało się. Wkrótce naczynie wypełniło się brunatną wydzieliną. Szynka zaczęła z wolna znikać.

Pat parsknęła z obrzydzeniem.

- Czy on nawet nie używa ust?

- Nie do jedzenia. Wyłącznie do mówienia. Znacznie różni się od zwykłych istot żyjących.

Spojrzenie miniaturowego oka padło prosto na nich. Pojedyncza, nieruchoma gałka ziejąca lodowatą niechęcią. Macki drgnęły.

- Pozdrowienia - rzekł bożek.

- Cześć. - Eric wypchnął Pat do przodu. - To moja żona. Pani Blake. Patricia.

- Jak się masz - wycedził bożek.

Pat wydała z siebie trwożliwy pisk.

- On mówi po angielsku.

Bożek z niesmakiem zwrócił się do Erica.

- Miałeś rację. Jest głupia. Eric poczerwieniał.

- Bogowie mogą uczynić cokolwiek zapragną, kochanie. Są wszechmocni.

Bożek skinął głową.

- To prawda. Mniemam, iż jesteśmy na Terze.

- Tak. I jak według ciebie wygląda?

- Zgodnie z moimi oczekiwaniami. Słyszałem już raporty. Pewne raporty na temat Terry.

- Eric, czy to na pewno jest bezpieczne? - szepnęła z niepokojem Pat. - Nie podoba mi się jego spojrzenie. Poza tym jest coś w sposobie jego mówienia. - Zadrżała nerwowo.

- Nic się nie martw, skarbie - odparł niedbale Eric. - To miły bożek. Sprawdziłem to przed wyjazdem z Ganimedesa.

- Jestem życzliwy - wyjaśnił z prostotą bóg. - Miałem uprawnienia Bóstwa Pogodowego na użytek aborygenów ganimedejskich. W razie konieczności zsyłałem deszcz oraz inne pokrewne zjawiska.

- Ale to już kwestia przeszłości - uzupełnił Eric.

- Prawda. Pełniłem funkcję Bóstwa Pogodowego przez dziesięć tysięcy lat. Nawet cierpliwość boga ma swoje granice. Zapragnąłem zmiany otoczenia. - Przez szpetne oblicze przemknął osobliwy grymas. - Dlatego zorganizowałem tę transakcję i wysłanie na Terę.

- Widzisz - powiedział Eric - Ganimedejczycy wcale nie chcieli go sprzedać. Ale rozpętał burzę i nie mieli innego wyjścia. Stąd poniekąd jego niska cena.

- Twój mąż ubił dobry interes - dodał bożek. Ciekawie potoczył wkoło jedynym okiem. - To

wasze mieszkanie? Tu jecie i śpicie?

- Zgadza się - odpowiedział Eric. - Pat i ja...

Brzęknął dzwonek u drzwi frontowych.

- Na progu stoi Thomas Matson - zakomunikowały drzwi. - Prosi o wpuszczenie do środka.

- Świetnie - rzekł Eric. - Poczciwy stary Tom. Wpuszczę go.

Pat wskazała bożka.

- Czy nie powinieneś lepiej...

- Ach, nie. Chcę, aby Tom rzucił na niego okiem. - Eric podszedł do drzwi i je otworzył.

- Witam - powiedział Tom, wchodząc do środka. - Cześć, Pat. Ładny dziś dzień. - Uścisnęli sobie z Erikiem dłonie. - Cała pracownia zachodzi w głowę, kiedy wrócisz. Stary Bradshaw nie może się doczekać twojego sprawozdania. - Tyczkowate ciało Matsona pochyliło się z nagłym zainteresowaniem. - Ty, co masz w tym pudełku?

- To mój bóg - odparł skromnie Eric.

- Naprawdę? Przecież Bóg nie jest naukowym pojęciem.

- To jest inny bóg. Nie wymyśliłem go. Kupiłem. Na Ganimesie. To ganimeskie Bóstwo Pogodowe.

- Powiedz coś - nakazała bożkowi Pat. - Niech uwierzy twojemu właścicielowi.

- Przedyskutujmy moje istnienie - powiedział szyderczo bożek. - Ty obstajesz przy stanowisku negatywnym. Zgadza się?

Matson uśmiechnął się.

- Co to jest, Eric? Miniaturowy robot? Żdziebko paskudny.

- Mówię prawdę. To jest bóg. Po drodze uczynił dla mnie kilka cudów. Nic wielkiego, rzecz jasna, ale wystarczyły, aby mnie przekonać.

- Co ty gadasz - rzucił Matson. Jednak nie krył zainteresowania. - Ześlij nam jakiś cud, bożku. Zamieniam się w słuch.

- Nie jestem podrzędnym magikiem - warknął bożek.

- Nie denerwuj go - ostrzegł Eric. - Jak raz się wkurzy, to już żadna siła nie da mu rady.

- Jak powstaje bóg? - zapytał Tom. - Czy sam siebie stwarza? Jeśli jest zależny od czegoś

wyższego, wówczas musimy przyjąć wcześniejszy punkt wyznaczający początek kolejności istnienia, który...

- Bogowie - przerwała mu figurka - zamieszkują wyższą płaszczyznę, doskonalszy poziom rzeczywistości. Bardziej cywilizowany wymiar. Istnieje wiele płaszczyzn bytu. Wymiarowych kontinuu tworzących hierarchię. Moje leży ponad waszym.

- Co tutaj robisz?

- Niekiedy poszczególne istoty przechodzą z jednego kontinuum w drugie. Kiedy dotyczy to przejścia z wyższego kontinuum do niższego - tak jak w moim przypadku - są czczone jako bogowie.

Tom nie krył zawodu.

- Wcale nie jesteś bogiem. Stanowisz zaledwie pochodzącą z innego porządku wymiarowego formę żyjącą, która zmieniła fazę i wkroczyła w nasz wektor.

Figurka rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Upraszczasz sprawę. W istocie podobna transformacja wymaga niezwyklej zręczności i jest dokonywana niezmiernie rzadko. Przybyłem tutaj, gdyż członek mojej rasy, niejaki cuchnący Nar Dolk, popełnił straszną zbrodnię i schronił się w tym kontinuum. Nasze prawo zobowiązało mnie do bezzwłocznego pościgu. Tymczasem ów nędznik, ta plwocina, zdołał uciec i przybrać inną postać. Nie ustaję w poszukiwaniach, jednak na razie nie zdołałem go zdemaskować. - Bożek urwał. - Twoje wścibstwo jest nieznośne. Działa mi na nerwy.

Tom odwrócił się do bożka plecami.

- Miernota. W Pracowni Metali Terrańskich jesteśmy w stanie zdziałać więcej niż to stworzenie kiedykolwiek...

Powietrze z trzaskiem przeciął błysk, zapachniało ozonem. Tom Matson krzyknął. Niewidzialne ręce uniosły go i popchnęły w kierunku wyjścia. Drzwi otworzyły się i Matson przeleciał nad chodnikiem, młócąc kończynami powietrze, po czym wylądował wśród krzaków róż.

- Pomocy! - wrzasnął Matson, usiłując wstać.

- Raju - jęknęła Pat.

- A niech mnie. - Eric obrzucił figurkę pospiesznym spojrzeniem. - To twoja sprawka?

- Pomóż mu - ponagliła pobladła na twarzy Pat. - Chyba jest ranny. Dziwnie wygląda.

Eric wybiegł na dwór i pomógł Matsonowi wstać.

- Nic ci nie jest? To twoja wina. Uprzedzałem cię, że jak będziesz go denerwował, to coś może się wydarzyć.

Twarz Matsona płonąła furją.

- Żaden zakichany bożek nie będzie mnie tak traktował! - Odepchnął Erica, zmierzając z powrotem w kierunku domu. - Zabiorę go do pracowni i wsadzę do butelki z formaldehydem. Zrobię mu sekcję, obedrę ze skóry i powieszę na ścianie. Przeprowadzę analizę pierwszego gatunku boga...

Wokół Matsona zajaśniała kula światła. Ogarnęła jego wychudzoną postać, tak że przypominał rozżarzone blaskiem włókno żarowe.

- Co za cholera! - mruknął Matson. Naraz targnął nim wstrząs. Jego ciało zaczęło się raptownie kurczyć. Z cichym sykiem malał. Dygotał, ulegając osobliwej przemianie.

Światło zgasło. Na chodniku siedziała mała zielona ropucha.

- Widzisz? - zawołał rozzwierajaco Eric. - Mówiłem, żebyś siedział cicho! Teraz popatrz, coś narobił!

Ropucha niemrawo skoczyła w stronę domu. Przy ganku znieruchomiła, napotykając przeszkodę w postaci schodów. Wydała z siebie żaloszny, beznadziejny skrzek.

Głos Pat przeszedł w paniczne zawrodozenie.

- Ach, Eric! Zobacz, co on narobił! Biedny Tom!

- Sam się prosił - skwitował Eric. - Dobrze mu tak. - Jednak i on zaczął się denerwować. - Popatrz tylko - zwrócił się do bożka. - Nieładnie tak postępować z dorosłym człowiekiem. Co pomyślą jego żona i dzieci?

- Co pomyśli pan Bradshaw? - krzyknęła Pat. - Przecież on nie może tak iść do pracy!

- To prawda - przyznał Eric. Usiłował przemówić bożkowi do rozsądku. - Myślę, że otrzymał wystarczającą nauzkę. Może byś go tak odmienił? Dobrze?

- Lepiej go odmień! - krzyknęła Pat, zaciskając pięści. - Jeśli tego nie zrobisz, będziesz miał na karku Metale Terrańskie. Nawet bóg nie jest w stanie przeciwstawić się Horacemu Bradshawowi.

- Mówię ci, lepiej przywróć mu poprzednią postać - poradził Eric.

- Wyjdzie mu to na zdrowie - oświadczył bożek. - Pozostawię go tak przez kilka stuleci...

- Stuleci! - wybuchnęła Pat. - Ty nędzna kupo śluzu! - Trzęsąc się ze złości, złowrogo podeszła do pudełka. - Posłuchaj no! Albo go odmienisz, albo wyciągnę cię z twojego pudła i wyrzucę do zsypu!

- Ucisz ją - polecił Ericowi bożek.

- Siedź cicho, Pat - poprosił Eric.

- Właśnie, że nie mam zamiaru siedzieć cicho! Co on sobie wyobraża? Prezent! Jak śmiałeś przynieść tego śmiecia do naszego domu? Czy to według ciebie ma być...

Urwała gwałtownie.

Eric odwrócił się z niepokojem. Pat stała wyprostowana, z otwartymi ustami, na których zawisło ostatnie słowo. Nie ruszała się. Cała pobladła. Przybrała odcień stalowej bieli, na której widok Ericowi ciarki przebiegły po grzbiecie.

- Chryste - wykrztusił.

- Zamieniłem jaw kamień - wyjaśnił bożek. - Robiła za dużo hałasu. - Ziewnął. - Myślę, że nadeszła pora odpoczynku. Po podróży czuję się odrobinę zmęczony.

- Nie wierzę - powiedział Eric Blake. Oniemiały potrząsnął głową. - Mój najlepszy przyjaciel zamieniony w ropuchę, a żona w kamień.

- Nie ma co tu kryć - rzekł bożek. - Wymierzamy sprawiedliwość stosownie do postępowania. Oboje mają, na co zasłużyli.

- Czy... czy ona mnie słyszy?

- Przypuszczam, że tak.

Eric podszedł do posągu.

- Pat - odezwał się błagalnie. - Proszę, nie bądź zła. To nie moja wina. - Objął jej lodowato zimne ramiona. - Nie miej mi za złe! Nie ja to zrobiłem. - Granit był w dotyku twardy i gładki. Pat wlepiła przed siebie pusty wzrok.

- Metale Terrańskie, dobre sobie - mruknął kwaśno bożek. Jego jedyne oko zmierzyło Erica badawczym spojrzeniem. - Kto to jest Horacy Bradshaw? Pewnie jakieś lokalne bóstwo?

- Horacy Bradshaw jest właścicielem Metali Terrańskich - odparł ponuro Eric. Usiadł i drżącą ręką zapalił papierosa. - Pewnie najpotężniejszy człowiek na Terze. Do Metali Terrańskich należy połowa planet w układzie.

- Królestwa tego świata mnie nie interesują - powiedział nonszalancko bożek, moszcząc się wygodnie i przymykając oko. - Teraz odpocznę. Muszę przemyśleć pewne sprawy. Potem możesz mnie obudzić, jeśli masz ochotę. Omówimy zagadnienia teologiczne, tak jak na statku.

- Zagadnienia teologiczne - powtórzył gorzko Eric. - Moja żona zamieniona w obelisk, a ten tu chce rozprawiać o religii.

Lecz zamyślony bożek nie słuchał.

- Akurat cię to obchodzi - mruknął Eric. Ogarnął go gniew. - I to ma być wdzięczność za

zabranie cię z Ganimedesa. Ruina życia domowego i pozycji społecznej. Dobry z ciebie bóg!

Bez odpowiedzi.

Eric desperacko skoncentrował myśli. Może kiedy bożek się obudzi, będzie w lepszym nastroju. Może wtedy zdoła przekonać go do przywrócenia Matsonowi i Pat ich normalnej postaci. Poczł nikły przebłysk nadziei. Mógłby odwołać się do życzliwej natury bożka. Jak wypocznie i prześpi się kilka godzin...

O ile wcześniej nie zjawi się ktoś w poszukiwaniu Matsona.

Zrozpaczona ropucha wciąż tkwiła na chodniku. Eric pochylił się nad nią.

- Hej, Matson!

Ropucha z wolna uniosła głowę.

- Nie przejmuj się, stary. Zmuszę go, aby cię odczarował. Na mur beton. - Ropucha ani drgnęła.
- Na mur żelazobeton - powtórzył nerwowo Eric.

Ropucha oklapła jeszcze bardziej. Eric popatrzył na zegarek. Było późne popołudnie, dochodziła czwarta. Zmiana Toma zaczynała się za pół godziny. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Jeśli bożek nie obudzi się w ciągu pół godziny...

Brzęczyk. Wideofon.

W Ericu zamarło serce. Zebrał się na odwagę i włączył monitor. Po chwili ukazały się ostre, arystokratyczne rysy Horacego Bradshawa. Zmierzył Erica bystrym, świdrującym na wskroś spojrzeniem.

- Blake - odchrząknął. - Widzę, że wróciłeś z Ganimedesa.

- Tak, sir. - Myśli w szalonym tempie gnały przez głowę Erica. Wypełnił sobą ekran, przysyłając Bradshawowi widok pokoju. - Właśnie się rozpakowuję.

- Daj temu spokój i natychmiast tu przyjeźdź! Czekamy na twój raport.

- Teraz? Rany, panie Bradshaw. Proszę dać mi szansę uporania się z kilkoma sprawami. - Desperacko próbował zyskać na czasie. - Zamelduję się u pana zaraz z samego rana.

- Czy Matson jest u ciebie?

Eric przełknął ślinę.

- Tak, sir. Niestety...

- Daj mi go. Chcę zamienić z nim słowo.

- On... on nie może obecnie z panem rozmawiać.

- Co? Dlaczego nie?

- Nie jest w stanie... to znaczy, on...

Bradshaw burknął niecierpliwie.

- No to przyprowadź go ze sobą. I niech lepiej będzie trzeźwy. Za dziesięć minut w moim biurze. - Przerwał połączenie. Ekran zgasł.

Eric ze znużeniem opadł na krzesło. Kręciło mu się w głowie. Dziesięć minut! Oszołomiony potrząsnął głową.

Siedząca na chodniku ropucha podskoczyła. Wydała z siebie ciche, przygnębione skrzeknięcie.

Eric wstał ciężko z krzesła.

- Chyba trzeba spojrzeć prawdzie w oczy - mruknął. Schyliwszy się, podniósł ropuchę i ostrożnie umieścił w kieszeni. - Zakładam, że słyszałeś. To był Bradshaw. Jedziemy do pracowni.

Ropucha poruszyła się niepewnie.

- Ciekawe, co powie na twój widok. - Eric ucałował zimny, granitowy policzek żony. - Do widzenia, skarbie. - Otępiały ruszył chodnikiem w stronę ulicy. Chwilę potem zatrzymał taksówkę i wsiadł. - Mam wrażenie, że trudno będzie mu to wytłumaczyć. - Taksówka ruszyła z miejsca. - Trudno jak diabli.

Horacy Bradshaw patrzył na niego z niemym zaskoczeniem. Zdjął swoje okulary w stalowych oprawkach i wytarł je powoli. Umieściwszy je z powrotem na haczykowatym nosie, skierował wzrok w dół. Ropucha siedziała spokojnie na środku wielkiego mahoniowego biurka.

Bradshaw wskazał ją drżącą dłonią.

- To... to jest Thomas Matson?

- Tak, sir - odrzekł Eric.

Bradshaw zamrugał w zdumieniu.

- Matson! Co, u licha, ci się stało?

- Jest ropuchą - wyjaśnił Eric.

- To widzę. Niewiarygodne. - Bradshaw wcisnął przycisk na biurku. - Przyślijcie tu Jenningsa

z pracowni biologicznej - rozkazał. - Ropucha. - Postukał w nią ołówkiem. - Czy to naprawdę ty, Matson?

Ropucha zaskrzeczała.

- Chryste. - Bradshaw opadł na krzesło, wycierając czoło. Ponury wyraz na jego twarzy ustąpił miejsca pełnej współczucia trosce. Ze smutkiem potrząsnął głową. - Trudno mi w to uwierzyć. Pewnie rodzaj wirusa bakteryjnego. Matson wiecznie prowadził na sobie jakieś eksperymenty. Poważnie traktował pracę. Dzielny człowiek. Doskonały pracownik. Metale Terrańskie wiele mu zawdzięczają. Przykro, że musiał tak skończyć. Naturalnie przydzielimy mu pełną stawkę.

Do gabinetu wkroczył Jennings.

- Pan mnie wzywał, sir!

- Wejdz. - Bradshaw przywołał go niecierpliwym gestem. - Mamy tu zadanie dla twojego działu. Znasz Erica Blake'a?

- Cześć, Blake.

- I Thomasa Matsona. - Bradshaw wskazał ropuchę. - Z pracowni substancji nieżelaznych.

- Znam Matsona - odparł powoli Jennings. - To znaczy, znam jakiegoś Matsona z tej pracowni. Jednak o ile pamiętam... tamten był wyższy. Mierzył bez mała sześć stóp.

- To właśnie on - powiedział grobowym głosem Bradshaw. - Zamienił się w ropuchę.

- Co się stało? - Naukowa dociekliwość Jenningsa była wyraźnie pobudzona. - Gdzie tkwi haczyk?

- To długa historia - rzekł wymijająco Eric.

- Nie możesz powiedzieć? - Jennings poddał ropuchę fachowym oględzinom. - Wygląda jak zwykła ropucha. Czy to na pewno Matson? Nie czaruj, Blake. Musisz wiedzieć coś więcej!

Bradshaw spoglądał na Erica badawczo.

- Tak, co się stało, Blake? Masz podejrzaną minę. Czy to twoja sprawka? - Bradshaw na wpół uniósł się z krzesła z wyrazem twarzy, który nie wróżył nic dobrego. - Posłuchaj. Jeżeli to ty przyczyniłeś się - do uczynienia niezdolnym do pracy jednego z moich najlepszych ludzi...

- Nie ma co się denerwować - rzekł Eric. Myśli przelatywały mu przez głowę w oszalałym tempie. Nerwowo poklepał ropuchę. - Nic mu nie grozi... jeśli tylko nikt na niego nie nadeptnie. Możemy utworzyć osłonę i automatyczny system komunikacyjny, który umożliwi mu wypowiedanie słów. Będzie w stanie kontynuować swoją pracę. Przy kilku usprawnieniach tu i ówdzie wszystko powinno pójść jak z płatka.

- Odpowiadaj! - ryknął Bradshaw. - Czy jesteś za to odpowiedzialny? Czy to twoja sprawka?

Eric wiał się bezsilnie.

- Poniekąd, chyba tak. Ale nie całkiem. Nie bezpośrednio. - Zawiódł go głos. - W zasadzie jednak można by powiedzieć, że gdyby nie ja...

Twarz Bradshawa zastygła w nieruchomą maskę wściekłości.

- Blake, jesteś zwolniony. - Z pojemnika na biurku wyszarpnął plik formularzy. - Wynos się i żeby twoja noga więcej tu nie powstała. I ręce precz od tej ropuchy. Stanowi własność Metali Terrańskich. - Popchnął w jego kierunku jakiś świstek. - Oto twój czek. I nie trudź się szukaniem pracy gdzie indziej. Umieszczam cię na międzyukładowej czarnej liście. Miłego dnia.

- Ale, panie Bradshaw...

- Nie proś. - Bradshaw machnął ręką. - Zabieraj się stąd. Jennings, niezwłocznie postaw na nogi swoją załogę. Trzeba rozwiązać ten problem. Chcę, abyś przywrócił Matsonowi dawną postać. Jest dla nas zbyt cenny. Czekają na niego zadania, którym jedynie on może sprostać. Nie dopuścimy, aby coś takiego powstrzymywało naszą pracę.

- Panie Bradshaw - błagał desperacko Eric. - Proszę, niech pan mnie wysłucha. Chciałbym, aby Tom odzyskał dawną postać. Lecz istnieje tylko jedna możliwość. Musimy...

Oczy Bradshawa ziały lodowatą wrogością.

- Ty jeszcze tutaj, Blake? Czy powinienem zawołać strażę, aby się tobą zajęły? Daję ci minutę na opuszczenie terenu firmy. Zrozumiano?

Eric załośnie skinął głową.

- Zrozumiano. - Odwrócił się i powlókł w stronę wyjścia. - Na razie, Jennings. Na razie, Tom. Będę w domu, na wypadek gdyby pan mnie potrzebował, panie Bradshaw.

- Czarownik - wypluł Bradshaw. - Baba z wozu, koniom lżej!

- Co byś zrobił - zapytał mechanicznego taksówkarza Eric, gdyby twoja żona zamieniła się w kamień, najlepszy przyjaciel w ropuchę i gdybyś stracił pracę?

- Roboty nie mają żon - odrzekł kierowca. - Są bezpłciowe. Nie mają również przyjaciół. Nie są w stanie nawiązywać więzi emocjonalnych.

- A czy mogą zostać wyrzucone z pracy?

- Czasami. - Robot zaparkował przed skromnym, sześciopokojowym bungalowem Erica. - Ale

niech pan tylko pomyśli. Roboty są często topione, po czym z ich pozostałości wytapia się nowe. Proszę sobie przypomnieć Ibsenowskiego Wyciskacza Guzików z Peer Gynta. Ten fragment stanowi symboliczną zapowiedź mającej nastąpić traumy robotów.

- Tak. - Drzwi otworzyły się i Eric wysiadł. - Pewnie wszyscy mamy na głowie problemy.

- Problemy robotów nie dają się porównać z niczym innym. - Drzwi zatrzasnęły się i taksówka odjechała z powrotem w kierunku wzgórza.

Z niczym innym? Gadaj zdrow. Eric powoli wszedł do domu, drzwi rozsunęły się przed nim automatycznie.

- Witam, panie Blake - zabrzmiało pozdrowienie.

- Przypuszczam, że Pat nadal tutaj jest.

- Owszem, ale znajduje się w stanie kataleptycznym tudzież do takiego podobnym.

- Została przemieniona w kamień. - Eric złożył na jej chłodnych ustach pełen rezygnacji pocałunek. - Cześć, kochanie.

Wyjął z lodówki odrobinę mięsa i pokruszył je w brzuchonaczynie bożka. Zaraz wylały się soki trawienne i pokryły jedzenie. Wkrótce jedyne oko bożka otworzyło się, kilkakrotnie zamrugało i spoczęło na Ericu.

- Dobrze się spało? - zapytał Eric lodowatym tonem.

- Nie spałem. Moje myśli zwrócone były ku kwestiom niezwyklej wagi. Wyczuwam w twoim głosie wrogi ton. Czy wydarzyło się coś niedobrego?

- Nic. Zupełnie nic. Po prostu na domiar wszystkiego straciłem pracę.

- Straciłeś pracę? Ciekawe. Co jeszcze masz na myśli?

Eric wybuchnął gniewem.

- Spaskudziłeś całe moje życie, ty! - Wskazał palcem cichą, nieruchomą postać żony. - Popatrz! Moja żona! Zamieniona w granit. A mój najlepszy przyjaciel w ropuchę!

Tinokuknoi Arevulopapo ziewnął.

- I co z tego?

- Dlaczego? W czym ci zawiniłem? Dlaczego tak mnie traktujesz? Weź pod uwagę wszystko, co dla ciebie zrobiłem. Przywiozłem cię na Terrę. Karmiłem. Zainstalowałem cię w pudełku ze słomą, wodą i gazetami. I co ty na to?

- Prawda. Sprowadziłeś mnie na Terrę. - Ciemną twarz bożka rozjaśnił na chwilę dziwny wyraz. - W porządku. Zwrócę twojej żonie jej dawną postać.

- Naprawdę? - Erikiem targnęła niepohamowana radość. Łzy napłynęły mu do oczu. Czuł zbyt wielką ulgę, by zadawać dalsze pytania. - Jezu, będę ci wdzięczny!

Bożek skoncentrował się.

- Zejdź z drogi. Łatwiej naruszyć molekularny układ ciała, niż przywrócić jego oryginalną konfigurację. Mam nadzieję, że będzie dokładnie taka jak przedtem. - Wykonał lekki ruch.

Powietrze wokół Pat zadrżało. Granit zadygotał. Z wolna na jej policzki zaczął wracać kolor. Gwałtownie zaczerpnęła tchu, w ciemnych oczach błysnął strach. Kolor rozprzestrzenił się, stopniowo ogarniając ramiona, barki i piersi. Zachwiała się na nogach, wydając z siebie rozpaczliwy okrzyk.

- Eric!

Eric chwycił ją w ramiona i mocno przytulił.

- O rany, skarbie. Ależ się cieszę, że nic ci nie jest. - Przycisnął Pat do siebie, czuł, jak ze strachu bije jej serce. Raz po raz całował jej ciepłe wargi. - Dobrze, że wróciłaś.

Pat raptownie wyszarpnęła się z uścisku.

- Ten przebrzydły wąż. Ten żaloszny śmieć. Niech no tylko go dorwę. - Z płonącym spojrzeniem postąpiła ku bożkowi. - Słuchaj, ty. O co tu chodzi? Jak śmiałeś!

- Widziałeś? - zapytał bożek. - One nigdy się nie zmieniają.

Eric mitygował żonę.

- Lepiej się zamknij albo znów zamieni cię w kamień. Rozumiesz?

Pat wyczuła w jego głosie nagłą nutę. Cofnęła się z ociąganiem.

- Dobrze, Eric, poddaję się.

- Posłuchaj - powiedział do bożka Eric. - Co z Tomem? Może i jego byś odmienił?

- Ropuchę? A gdzie on się podziewa?

- W pracowni biologicznej. Pracuje nad nim Jennings i jego załoga.

Bożek zastanowił się.

- Nie podoba mi się to. Pracownia biologiczna? Gdzie to jest? Jak daleko stąd?

- Główna siedziba Metali Terrańskich. - Eric zniecierpliwiał się. - Około pięciu mil. No i? Może gdybyś go odmienił, Bradshaw oddałby mi posadę. Jesteś mi to winien. Przywróć rzeczom dawny porządek.

- Nie mogę.

- Nie możesz! Dlaczego, u licha, nie?

- Sądziłam, że bogowie są wszechmocni - prychnęła ze złością Pat.

- Mogę zrobić wszystko - z niewielkiej odległości. Pracownia biologiczna Metali Terrańskich leży zbyt daleko. Pięć mil przekracza moje możliwości. Potrafię przetwarzać układy molekularne tylko w pewnym ograniczonym promieniu.

Eric spoglądał na niego z niedowierzaniem.

- Co takiego? Czy to oznacza, że nie możesz odczarować Toma?

- Nic na to nie poradzę. Nie powinieneś być wynosić go z domu. Bogowie podlegają prawu naturalnemu na równi z wami. Nasze prawa są inne, co nie zmienia faktu, że są prawami.

- Rozumiem - mruknął Eric. - Powinieneś być mnie uprzedzić.

- Jeżeli chodzi o twoją pracę, nie masz się o co martwić. Proszę, załatwię ci trochę złota. - Bożek machnął łuskowatymi rękami. Niespodziewanie rozbłysł fragment zasłony, po czym osypał się na podłogę z metalicznym brzęczeniem. - Lite złoto. To powinno starczyć wam na kilka dni.

- Złoto przestało stanowić jednostkę płatniczą.

- Cóż, czegokolwiek potrzebujecie. Mogę zrobić wszystko.

- Z wyjątkiem przywrócenia Tomowi ludzkiej postaci - wtrąciła Pat. - Niezły z ciebie bóg.

- Zamknij się, Pat - mruknął pogrążony w myślach Eric.

- Gdybym mógł znaleźć się bliżej niego - podsunął ostrożnie bożek. - Gdyby przebywał w zasięgu...

- Bradshaw nie wypuści go z rąk. A moja noga nie ma prawa już tam stać. Strażnicy roznieśliby mnie na kawałki.

- A co powiesz na platynę? - Bożek uczynił zwrot i sekcja ściany zajaśniała bielą. - Czysta platyna. Prosta zmiana masy atomowej. Czy to pomoże?

- Nie! - Eric chodził tam i z powrotem. - Musimy odebrać ropuchę Bradshawowi. Jeżeli zdołamy ją tu sprowadzić...

- Mam pomysł - oznajmił bożek.

- Jaki?

- Może byś mnie tam zabrał? Może gdybym znalazł się na terenie firmy, w zasięgu pracowni biologicznej...

- Warto spróbować - powiedziała Pat, kładąc rękę na ramieniu Erica. - Ostatecznie Tom jest twoim najlepszym przyjacielem. Wstyd go tak traktować. To takie... takie nieterrańskie.

Eric chwycił płaszcz.

- Postanowione. Podjadę tak blisko, jak się da. Powinienem podjechać dostatecznie blisko, nim strażnicy zwrócą na mnie uwagę, aby...

Huk. Frontowe drzwi w jednej chwili obróciły się w stertę pyłu. Do pokoju wtargnął oddział mechanicznej policji z uniesioną do strzału bronią.

- W porządku - powiedział Jennings. - To on. - Szybkim krokiem wszedł do domu. - Brać go. I nie zapomnijcie o tym w pudełku.

- Jennings! - Zaalarmowany Eric przełknął ślinę. - O co, do cholery, chodzi?

Jennings zacisnął usta.

- Nie udawaj, Blake. Mnie nie nabierzesz. - Postukał w niewielką metalową skrzynkę, którą trzymał pod pachą. - Ropucha wyjawiała wszystko. Zatem przetrzymujesz pod swoim dachem istotę spoza Terry, co? - Roześmiał się lodowato. - Prawo zakazuje sprowadzania na Ziemię nie-Terran. Jesteś aresztowany, Blake. Ani chybi wlepią ci dożywocie.

- Tinokuknoi Arevulopapo! - krzyknął Eric Blake. - Tym razem nie wystaw mnie do wiatru!

- Nadchodzę - chrząknął bożek. Dźwignął się gwałtownie. - Co powiesz na to?

W zetknięciu z falą mocy wyemitowaną z pudełka szyki mechanicznej policji uległy doszczętej ruinie. W jednej chwili roboty znikły, a w miejscu, gdzie przedtem stały, biegała gromadka mechanicznych myszy, która czym prędzej ratowała się ucieczką na podwórze.

Zdumienie na twarzy Jenningsa przeszło w wyraz niewymownej paniki. Cofnął się, złowieszczo wymachując bronią.

- Uważaj, Blake. Nie myśl sobie, że mnie przestraszysz. Dom jest otoczony.

Struga mocy trafiła go prosto w brzuch, uniosła i potrząsnęła jak szmacianą lalką. Pistolet wyślizgnął mu się z palców i upadł na podłogę. Jennings rozpaczliwie sięgnął w jego kierunku. Pistolet zamienił się w pająka, który oddalił się w pośpiechu, poza jego zasięg.

- Puść go - ponaglił Eric.

- Dobrze.

Oszołomiony Jennings gruchnął na podłogę. Natychmiast zerwał się i wybiegł z domu.

- A niech mnie - powiedziała Pat.

- Co?

- Sam zobacz.

Wokół domu ustawiono zwarty rząd dział atomowych. Ich lufy połyskiwały złowieszczo w świetle późnopołudniowego słońca. Wokół dział zgrupowały się oddziały policyjne w oczekiwaniu na rozkazy.

Eric jęknął.

- Koniec z nami. Jeden wystrzał i po nas.

- Zrób coś! - syknęła Pat. Szturchnęła pudełko. - Zaczaruj ich. Nie siedź tak.

- Są poza moim zasięgiem - stwierdził bożek. - Tak jak mówiłem, moja moc jest ograniczona odległością.

- Wy tam! - zabrzmiał głos zwielokrotniony setką megafonów. - Wychodzić z podniesionymi rękami. Inaczej otworzymy ogień!

- Bradshaw - stęknął Eric. - To on. Wpadliśmy w pułapkę. Jesteś pewien, że nie możesz nic zrobić?

- Przykro mi - odparł bożek. - Mogę wytworzyć osłonę przed działami. - Skupił się. Wokół domu uformowała się nieprzejrzysta bariera w postaci raptownie twardniejącej kuli.

- Dobrze - dobiegł zniekształcony osłoną głos Bradshawa. - Sami tego chcieliście.

Padł pierwszy strzał. Eric znalazł się na podłodze, w uszach mu dzwięczało, a pokój wokół niego wirował. Przerażona Pat leżała obok. Z domu niewiele pozostało. Ściany, krzesła, meble, wszystko legło w gruzach.

- To mi dopiero osłona - wydusiła Pat.

- To wina wstrząsu - zaproponował bożek. Jego pudełko leżało w rogu przewrócone na bok. - Osłona powstrzymała pocisk, natomiast wstrząs...

Padł kolejny strzał. Przez Erica przetoczyła się paralizująca fala ciśnienia. Rzucony podmuchem uderzył o stertę gruzu będącą niegdyś jego domem.

- Nie damy rady - rzekła słabo Pat. - Każ im przestać, Eric. Proszę!

- Twoja żona ma rację - z przewróconego pudełka doleciał opanowany głos bożka. - Poddaj się, Ericu.

- Chyba tak zrobię. - Eric podciągnął się na kolana. - Ale nie mam zamiaru spędzić reszty życia w więzieniu. Wiem, że złamałem prawo, przemycając to cholerstwo, ale nigdy nie przyszło mi do głowy...

Padł trzeci strzał. Zbity z nóg Eric wyrznął podbródkiem o podłogę. Posypały się na niego kawałki tynku, dusząc go i oślepiając. Wstał po omacku, opierając się na jakimś występie.

- Przestańcie! - krzyknął.

Zapadła nagła cisza.

- Chcesz się poddać? - huknął głos.

- Poddaj się - odpowiedział bożek.

Eric rozmyślał intensywnie.

- Proponuję... proponuję pewien układ. Kompromis. - Jego mózg pracował na wysokich obrotach. - Mam propozycję.

Długa pauza.

- Mianowicie?

Eric ostrożnie przedarł się przez zgliszcza w kierunku krawędzi osłony, z której niewiele już pozostało. Przez wątlą migotliwą warstwę dostrzegał otoczony przez policję rząd dział atomowych.

- Matson - wydusił Eric, chwytając oddech. - Ropucha. Zawrzemy następujący układ. My przywrócimy Matsonowi jego dawną postać. Odwieziemy nie-Terranina na Ganimedesa. W zamian za to pan wycofa oskarżenie i ponownie mnie zatrudni na dawnym stanowisku.

- Bzdura! Moi ludzie odczarują Matsona bez waszej pomocy.

- Doprawdy? Niech pan zapyta Matsona. On panu powie. Jeżeli nie wyrazi pan zgody, Matson pozostanie ropuchą przez następne dwieście lat - co najmniej!

Zapadła długa chwila ciszy. Eric widział przemieszczające się za działami, pogrążone w żywiołowej dyskusji postacie.

- Zgoda - zabrzmiał wreszcie głos Bradshawa. - Masz moje słowo. Zlikwidujcie osłonę i podejdźcie bliżej. Przyślę Jenningsa z ropuchą. Żadnych sztuczek, Blake!

- Żadnych sztuczek. - Eric osłabł z ulgi. - Idziemy - powiedział do bożka, podnosząc nadwerężone pudełko. - Zdejmij osłonę i skończmy z tym raz na zawsze. Te działa mnie denerwują.

Bożek odprężył się. Osłona - lub raczej jej żalosne resztki - zafalowała i znikła.

- Wychodzę. - Eric niepewnie zrobił krok do przodu, w rękach trzymał pudełko. - Gdzie jest Matson?

Jennings zbliżył się ku niemu.

- Ja go mam. - Jego ciekawość wzięła górę nad podejrzliwością. - To powinno być interesujące. Powinniśmy przeprowadzić gruntowną analizę pozawymiarowego życia. Przymuszczalnie dysponują zasobami wiedzy znacznie przekraczającymi nasze.

Jennings przykucnął, kładąc małą, zieloną ropuchę ostrożnie na trawie.

- Jest - powiedział do bożka Eric.

- Czy odległość jest wystarczająca? - zapytała lodowato Pat.

- Owszem - odparł bożek. - W sam raz. - Zatopił w ropusze spojrzenie jedyne oko i wykonał łuskowatymi szponami kilka pospiesznych ruchów.

Przestrzeń wokół ropuchy zamigotała. Zadziałyły pozawymiarowe siły, wywierając wpływ na molekuly płaza. Naraz ropucha drgnęła. Przez jej ciało przeszła seria uporczywych wibracji. Następnie...

Pojawił się Matson, znajoma tyczkowata sylwetka górująca nad Erikiem, Jenningsem i Pat.

- Boże - odetchnął roztrzęsiony Matson. Wyjął chustkę i otarł twarz. - Dobrze, że to już koniec. W życiu nie chciałbym ponownie przez to przejść.

Jennings pospiesznie oddalił się w kierunku dział. Matson podążył za nim. Eric, jego żona i bożek zostali sami na środku trawnika.

- Hej! - wrzasnął tknięty złym przeczuciem Eric. - Co to ma znaczyć? Co tu się, u diabła, dzieje?

- Przykro mi, Blake - zabrzmiał głos Bradshawa. - Odczarowanie Matsona było konieczne. Jednakże nie możemy zmienić prawa. Ono jest ponad wszystkimi, nawet nade mną. Jesteś aresztowany.

Wokół Erica i Pat zaroilo się od policji.

- Ty skunksie - wydusił Eric, stawiając słaby opór.

Bradshaw wyszedł zza dział z rękami w kieszeniach i uśmiechem na ustach.

- Przykro mi, Blake. Jednak za jakieś dziesięć czy piętnaście lat powini cię wypuścić. Twoja posada będzie na ciebie czekać - masz na to moje słowo. Co się tyczy owej nadwymiarowej istoty, to chętnie rzuciłbym na nią okiem. Słyszałem o podobnych zjawiskach. - Popatrzył na pudełko. - Z przyjemnością się nią zajmę. Nasze laboratoria przeprowadzą na niej testy oraz eksperymenty, które...

Zamilkł raptownie. Jego twarz posiniała. Otworzył i zamknął usta, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk.

Z wnętrza pudełka dobiegł oszalały, rosnący pomruk gniewu.

- Nar Dolk! Wiedziałem, że cię odnajdę!

Bradshaw cofnął się, dygocząc na całym ciele.

- A niech mnie wszyscy diabli. Tinokuknoi Arevulopapo! Co robisz na Terze? - Potknął się i prawie upadł. - Jakim cudem, to jest, po tak długim czasie, jak zdołałeś...

Bradshaw rzucił się do ucieczki, rozpychając na boki mechaniczną policję.

- Nar Dolk! - krzyczał bożek, puchnąc z wściekłości. - Plaga Siedmiu Świątyń! Szumowino przestrzeni kosmicznej! Wiedziałem, że przebywasz na tej nędznej planecie! Wracaj tu i odbierz zasłużoną karę!

Bożek wyprysnął z pudełka i wzbił się w powietrze. Przemknął obok Erica i Pat, z każdą chwilą osiągając coraz większe rozmiary. W miarę jak nabierał prędkości, twarze stojących owiał mdlący, ciepło-wilgotny, obrzydliwy powiew.

Bradshaw - Nar Dolk - na oślep biegł przed siebie. I kiedy tak biegł, zmieniał się.

Z ramion wykiełkowały mu potężne skrzydła. Wielkie, błoniaste skrzydła młóćące powietrze w oszalałym pośpiechu. Jego ciało kurczyło się i zniekształcało. W miejsce nóg pojawiły się odnóza, w miejsce ramion - łuskowate szpony. Kiedy hałaśliwie trzepocząc ulatywał w górę, na ziemię sypały się płaty szarej skóry.

Tinokuknoi Arevulopapo uderzył. Na chwilę ich ciała szczepiły się w powietrzu w jednolitą masę roztrzepotanych skrzydeł i drapiących pazurów.

Wówczas Nar Dolk uwolnił się, podlatując wyżej. Nastąpił oślepiający błysk, trzask i już go nie było.

Tinokuknoi Arevulopapo przez chwilę kołował nad głowami patrzących. Odwróciwszy pokrytą łuskami głowę, jedynym okiem spojrział w kierunku Erica i Pat. Lekko skinął głową, po czym zamigotał i zniknął.

Niebo było puste, jeśli nie liczyć garści piór i mdlącego fetoru palonych łusek.

Eric odezwał się pierwszy.

- No cóż - powiedział. - A więc dlatego chciał dostać się na Terrę. Chyba zostałem nieco wykorzystany. - Uśmiechnął się głupio. - Pierwszy wykorzystany Terranin.

Matson wciąż sterczał z zadartą do góry głową.

- Zniknęli. Obydwaj. Pewnie wrócili do swojego wymiaru.

Mechaniczny policjant pociągnął Jenningsa za rękaw.

- Czy mamy kogoś aresztować, sir? Po zniknięciu pana Bradshawa teraz pan decyduje.

Jennings zerknął na Erica i Pat.

- Chyba nie. Dowód rzeczowy się ulotnił. Zresztą to wszystko jakoś niemądrze brzmi. - Potrząsnął głową. - Bradshaw. I kto by pomyślał! A pracowaliśmy dla niego od lat. Co za dziwna sprawa.

Eric objął ramieniem żonę. Mocno ją przytulił.

- Przepraszam, kochanie - powiedział cicho.

- Za co?

- Twój prezent. Zniknął. Chyba będę musiał ofiarować ci coś innego.

Pat roześmiała się, obejmując go.

- Nie szkodzi. Zdradzę ci pewną tajemnicę.

- Jaką?

Ciepłe wargi dotknęły jego policzka.

- W gruncie rzeczy... wcale mi go nie brak.

TWÓRCA KAPTURÓW

Kaptur!

- Człowiek w kapturze!

Robotnicy i przechodnie biegli chodnikiem, dołączając, do gromadzącego się tłumu. Młody

człowiek o ziemistej cerze rzucił swój rower i podszedł bliżej. Tłum gęstniał, biznesmeni w szarych prochowcach, sekretarki o znużonych twarzach, urzędnicy i robotnicy.

- Brać go! - Ludzie tłoczyli się wokół. - Brać starego!

Młodzieniec o ziemistej cerze podniósł z rynsztoka kamień i rzucił. Kamień przeleciał obok starszego mężczyzny i trafił w witrynę sklepową.

- On ma kaptur!

- Zabrać mu go!

Posypało się więcej kamieni. Zdyszany, przerażony mężczyzna usiłował wyminąć dwóch blokujących mu drogę żołnierzy. Kamień uderzył go w plecy.

- Co masz do ukrycia? - Młodzieniec o ziemistej cerze zabiegł mu drogę. - Dlaczego boisz się sondy?

- On ma coś do ukrycia! - Jakiś robotnik zerwał staremu kapelusz. W kierunku okalającej jego głowę wąskiej metalowej obręczy wyciągnął się las rąk.

- Nikt nie ma prawa niczego ukrywać!

Mężczyzna upadł na kolana, jego parasol potoczył się na bok. Urzędnik chwycił za kaptur i szarpnął. Tłum zafalował, wszyscy rzucili się w jego kierunku. Naraz młodzieniec krzyknął. Cofnął się, trzymając kaptur w wyciągniętej do góry ręce.

- Mam go! Mam! - Pędem wrócił do roweru i odjechał, unosząc nadwerżoną zdobycz.

Przy krawężniku z wyciem syreny zatrzymał się wóz policyjny. Ze środka wyskoczyli mechaniczni policjanci i przystąpili do rozpędzania tłumu.

- Jest pan ranny? - Pomogli staremu wstać.

Oszołomiony mężczyzna potrząsnął głową. Okulary wisiały mu na jednym uchu. Twarz obryzgana była śliną i krwią.

- To dobrze. - Uścisk metalowych palców zelżał. - Lepiej niech pan zejdzie z ulicy i schroni się w jakimś domu. Dla własnego dobra.

Kierownik do spraw Oczyszczania Ross odłożył tabliczkę informacyjną.

- Jeszcze jeden. Naprawdę odetchnę z ulgą, kiedy w końcu zatwierdzą ustawę anty-immunitetową.

Peters podniósł wzrok.

- Jeszcze jeden?

- Jeszcze jeden człowiek w kapturze - osłonie przeciwsondowej. To już dziesiąty w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Rozsyłają je bez przerwy.

- Rozsyłają, wsuwają pod drzwiami, wpychają do kieszeni, zostawiają na biurkach - możliwości dystrybucji są nieograniczone.

- Gdybyśmy otrzymywali więcej informacji...

Peters uśmiechnął się krzywo.

- I tak dziw bierze, że w ogóle je otrzymujemy. Ci ludzie dostają kaptury nie bez przyczyny. Nie są wybierani na chybił trafił.

- Dlaczegoż więc?

- Mają coś do ukrycia. Inaczej po cóż wysyłano by im kaptury?

- A ci, którzy nas informują?

- Boją się je nosić. Wolą przekazać kaptury nam - celem uniknięcia podejrzeń.

Ross pogрузił się w posępnej zadumie.

- Może i tak.

- Niewinny człowiek nie ma powodu do zatajania swoich myśli. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent społeczeństwa z przyjemnością poddaje się sondowaniu umysłu. Większość ludzi chce udowodnić swoją lojalność. Jednak pozostały procent ma coś na sumieniu.

Ross otworzył grubą kopertę i wyjął z niej pogiętą metalową obręcz. Obejrzał ją uważnie.

- Tylko popatrz. Zwyczajny pasek jakiegoś stopu. Jednak z powodzeniem uniemożliwia przeprowadzenie jakiegokolwiek sondowania. Typy dostają szału. Przy każdej próbie przeniknięcia przez osłonę doznają wstrząsu. Coś na kształt porażenia prądem.

- Wysłałeś, rzecz jasna, próbki do laboratorium?

- Nie. Nie chcę, aby laboranci rozpoczęli produkcję własnych kapturów. I bez tego mamy dosyć problemów!

- Komu odebrano ten egzemplarz?

Ross nadusił przycisk na biurku.

- Zaraz się dowiemy. Tip złoży nam raport.

Drzwi rozsunęły się i do gabinetu wkroczył chudy młodzian o ziemistej cerze. Na widok metalowej obręczy w rękach Rossa na jego ustach wykwitł oschły, czujny uśmiezek.

- Pan mnie wzywał?

Ross zmierzył go badawczym spojrzeniem. Jasne włosy, niebieskie oczy. Niczym nie wyróżniający się chłopak, może student drugiego roku. Ale Ross wiedział lepiej. Ernest Abbud był telepatycznym mutantem - tipem. Jednym z kilkuset zatrudnionych przez Urząd Czystek celem przeprowadzania sondowania lojalności.

Nim nastał czas tipów, sondowanie lojalności przeprowadzano dorywczo i na chybił trafił. Przysięgi, testy, podsłuchy nie zdawały egzaminu. Teorii, że każdy musiał dowieść swojej lojalności, nie miano nic do zarzucenia - samej w sobie. W praktyce zaś niewielu ludzi mogło to uczynić. Wyglądało na to, że pora zarzucić pojęcie "winny", dopóki nie wykaże swojej "niewinności", i zamiast niego przywrócić prawo rzymskie.

Wyjście z tego pozornie nierozwiązywalnego problemu przyniósł Wybuch Madagaskarski z 2004 roku, a dokładniej fale przenikliwego promieniowania, które dosięgły kilku tysięcy stacjonujących w okolicy żołnierzy. Nieliczni z ocalonych zachowali zdolność spłodzenia potomstwa. Jednakże wiele spośród kilkuset narodzonych z nich dzieci wykazało cechy całkiem nowego gatunku. Po raz pierwszy od tysięcy lat na świat przyszedł człowieczy mutant.

Tipy pojawiły się przypadkowo, lecz rozwiązały najistotniejsze problemy, z którymi borykała się Wolna Unia: stwierdzenie braku lojalności i odpowiednia kara. Dla rządu Wolnej Unii tipy stanowiły wartość bezcenną - i doskonale zdawały sobie z tego sprawę.

- Masz go? - zapytał Ross, stukając w kaptur.

Abbud kiwnął głową.

- Tak.

Chłopak śledził jego myśli, a nie wypowiedane słowa. Ross poczerwieniał ze złości.

- Jak wyglądał ten człowiek? - zapytał szorstko. - Tabliczka informacyjna nie podaje żadnych szczegółów.

- Nazywa się doktor Franklin. Jest dyrektorem Federalnej Komisji Zasobów. Sześćdziesiąt siedem lat. Przebywa tu z wizytą u krewnej.

- Walter Franklin! Słyszałem o nim. - Ross wpatrywał się w Abbuda. - Zatem już zdążyłeś...

- Jak tylko zdjąłem mu kaptur, mogłem go przeskanować.

- Dokąd udał się po napaści?

- Do domu. Tak jak nakazała mu policja.

- Przyjechali na miejsce?

- Oczywiście po zdjęciu kaptura. Wszystko przebiegło idealnie. Franklin został zauważony przez innego telepatę, nie przeze mnie. Dano mi znać, że nadchodzi w moim kierunku. Jak tylko znalazł się w pobliżu, krzyknąłem, że ma kaptur. Natychmiast zebrali się gapie i podchwycili mój okrzyk. Przybył inny telepata i pokierowaliśmy tłumem, by podejść dostatecznie blisko. Sam zabrałem kaptur - resztę już pan zna.

Ross milczał przez chwilę.

- Wiesz, jakim sposobem zdobył kaptur? Dowiedziałeś się?

- Otrzymał go pocztą.

- Czy on...

- Nie ma pojęcia ani kto mu go przysłał, ani skąd pochodzi.

Ross zmarszczył brwi.

- A więc nie może przekazać nam żadnych informacji. Informacji dotyczących nadawcy.

- Twórcy Kapturów - uzupełnił chłodno Abbud.

Ross pospiesznie podniósł głowę.

- Co takiego?

- Twórcy Kapturów. Ktoś przecież je wytwarza. - Twarz Abbuda nabrała zdecydowanego wyrazu. - Ktoś produkuje osłony przeciwsondowe, aby utrzymać nas z daleka.

- Jesteś pewien...

- Franklin nic nie wie! Przybył do miasta zeszłego wieczoru. Kaptur dostarczono mu poranną pocztą. Wahał się przez chwilę. Następnie kupił kapelusz i przykrył nim kaptur. Na piechotę udał się w odwiedzin do swojej siostrzenicy. Zauważyliśmy go kilka minut później, kiedy wkroczył w nasz zasięg.

- Wydaje się, że ostatnimi czasy powiększyli swoje szeregi. Rozsyłają coraz więcej kapturów. Ale ty o tym wiesz. - Ross zacisnął zęby. - Musimy zlokalizować doręczycieli.

- To zabierze trochę czasu. Najwyraźniej nie zdejmują kapturów z głów. - Twarz Abbuda wykrzywił grymas. - Musimy podchodzić do nich cholernie blisko! Nasz zasięg jest w znacznym stopniu ograniczony. Jednak prędzej czy później umiejscowimy jednego z nich. Prędzej czy później zedrzymy któremuś kaptur z głowy - i znajdziemy go...

- Przez ostatni rok wykryliśmy pięć tysięcy osób noszących kaptury - oświadczył Ross. - Pięć tysięcy - a żadna z nich nic nie wie. Ani skąd pochodzą kaptury, ani kto je wytwarza.

- Kiedy będzie nas więcej, wzrosną nasze szanse - powiedział z przekonaniem Abbud. - Teraz jest nas za mało. Lecz w końcu...

- Przesondujesz Franklina, prawda? - zapytał Rossa Peters. - To powinna być naturalna kolej rzeczy.

- Chyba tak. - Ross skinął na Abbuda. - Nie masz co z tym zwlekać. Niech jeden z twojej grupy przeprowadzi rutynowe sondowanie ogólne i sprawdzi, czy coś ciekawego nie kryje się w głębi jego podświadomości. Następnie tak jak zwykle poinformuj mnie o rezultatach.

Abbud sięgnął do kieszeni płaszcza. Dobył z niej szpulę taśmy i rzucił na biurko Rossa.

- Proszę bardzo.

- Co to jest?

- Ogólna sonda stanu podświadomości Franklina. Wszystkie płaszczyzny - dokładnie spenetrowane i utrwalone na taśmie.

Ross utkwiał w nim spojrzenie.

- Czy ty...

- Nie traciliśmy czasu. - Abbud ruszył w stronę wyjścia. - To kawałek dobrej roboty. Dzieło Cummingsa. Stwierdziliśmy znaczny brak lojalności. Bardziej ideologiczny niż jawny. Przypuszczalnie będzie pan chciał go aresztować. W wieku dwudziestu czterech lat wszedł w posiadanie starych książek i płyt. Silnie wpłynęły one na jego psychikę. Dalsza część taśmy zawiera wyczerpującą analizę jego dewiacji.

Drzwi rozsunęły się i Abbud wyszedł.

Ross i Peters spoglądali za nim. Wreszcie Ross podniósł szpulę i położył ją obok wygiętego metalowego kaptura.

- A niech mnie - rzekł Peters. - Już przeprowadzili sondowanie.

Ross w zamyśleniu skinął głową.

- Tak. I nie jestem pewien, czy mi się to podoba.

Dwaj mężczyźni popatrzyli po sobie, wiedząc, że przebywający poza gabinetem Ernest Abbud skanuje ich myśli.

- Cholera! - powiedział bezsilnie Ross. - Cholera!

Oddychając pospiesznie, Walter Franklin rozejrzał się dokoła. Drżącą ręką otarł z pomarszczonej twarzy zimny pot.

Na korytarzu rozbrzmiewało coraz głośniejsze echo kroków agentów Urzędu do spraw Oczyszczania.

Zdołał uciec przed napastliwością tłumu. To było cztery godziny temu. Słońce już zaszło i nad Nowym Jorkiem zapadał zmrok. Przebył połowę drogi przez miasto, docierając prawie do jego obrzeży - a oto wydano rozkaz jego aresztowania.

Dlaczego? Przecież całe życie poświęcił pracy dla rządu Wolnej Unii. Nie zrobił nic świadczącego o braku lojalności. Nic, poza otwarciem porannej poczty, znalezieniem kaptura oraz chwilą wahania, po której postanowił go założyć. Pamiętał przytwierdzoną do niego niewielką metkę:

POZDROWIENIA!

Przesyłamy Ci niniejszą osłonę przeciwsondową z wyrazami szacunku od jej twórcy oraz szczerą nadzieję, że przyniesie Ci pożytek. Dziękujemy!

I nic więcej. Żadnej innej wiadomości. Długo nad tym rozmyślał. Czy powinien go nosić? Przecież nic złego nigdy nie zrobił. Nie miał nic do ukrycia - żadnych negatywnych uczuć w stosunku do Unii. Jednak zafascynowała go sama idea. Jeśli założy kaptur, będzie sprawował nad swoim umysłem wyłączną władzę. Nikt nie będzie miał weń wglądu. Odzyska swój umysł na własność; prywatny, sekretny, otwarty dla wszelkich, nieograniczonych przemyśleń niedostępnych dla nikogo prócz niego samego.

Wreszcie podjął decyzję i założył kaptur, a następnie nasadził nań starego homburga. Kiedy wyszedł z domu, obiegła go krzycząca i napastliwa zgraja. A teraz ogłoszono alarm publiczny.

Franklin rozmyślał gorączkowo. Co miał robić? Mogli zaciągnąć go przed oblicze Komitetu Oczyszczenia. Nie wniosą żadnego oskarżenia: będzie zależało jedynie od niego, czy zdoła oczyścić się i udowodnić swoją lojalność. Czy kiedykolwiek uczynił coś złego? Czyżby wspomnienie owego czynu zatarło się w jego pamięci? Założył kaptur. Może właśnie o to chodziło. W Kongresie wspomniano o jakiejś ustawie antyimunitetowej określającej noszenie osłony przeciwsondowej mianem zbrodni, ale nie została jeszcze zatwierdzona...

Agenci prawie deptali mu po piętach. Ruszył przez korytarz, rzucając wokół desperackie spojrzenia. Z boku zajaśniał czerwony napis: WYJŚCIE. Skierował się ku niemu i zbiegł po schodach piwnicznych wprost na pogrążoną w ciemnościach ulicę. Niebezpiecznie było przebywać tam, gdzie tłum. Usiłował trzymać się w cieniu budynków. Jednak obecnie nie miał wyjścia.

Za jego plecami zabrzmiał czyjś ostry głos. Coś przemknęło obok, pałac fragment chodnika. Wiązka promieni ze slema. Zdyszany Franklin puścił się pędem, skręcił i wbiegł w boczną uliczkę.

Mijani ludzie rzucali mu zaciekawione spojrzenia.

Przeciął ruchliwą jezdnię i wmieszał się w grupę idących do teatru ludzi. Czy agenci go widzieli? Rozejrzał się nerwowo. Nie dostrzegał żadnego z nich.

Na rogu przeszedł ulicę na światłach. Dotarł do leżącej pośrodku wysepki, obserwował zbliżający się do niego lśniący samochód Urzędu. Czy widziano go, jak dochodził do wysepki? Opuścił ją i ruszył w stronę naprzeciwległego krawężnika. Samochód Urzędu skoczył raptownie do przodu, nabierając prędkości. Pojawił się drugi, nadjeżdżał z przeciwnej strony.

Franklin dotarł do krawężnika.

Pierwszy samochód przyhamował ze zgrzytem. Ze środka wysypali się agenci i pobiegli w kierunku chodnika.

Znalazł się w potrzasku. Nie miał dokąd uciec. Zgromadzeni wokół niego zmęczeni ludzie robiący zakupy i urzędnicy patrzyli ciekawie z pozbawionymi współczucia twarzami. Kilku wyszczerzyło zęby w bezmyślnym rozbawieniu. Franklin potoczył wokół oszalałym wzrokiem. Znikąd pomocy...

Na wprost niego zatrzymał się samochód, otwarto drzwi.

- Niech pan wsiada! - Młoda dziewczyna pochyliła się ku niemu z nagłym wyrazem na ładnej twarzy. - Niech pan wsiada, do cholery!

Wsiadł. Dziewczyna zatrasnęła drzwi i samochód gwałtownie ruszył z miejsca. Jeden samochód Urzędu przemknął i odciął im drogę. Drugi podążał tuż za nimi.

Dziewczyna pochyliła się i ujęła drążek sterowniczy. Pojazd oderwał się od ziemi. Momentalnie nabral wysokość, pozostawiając w dole resztę samochodów. Powietrze za nimi przecięło pasmo fioletu.

- Proszę się pochylić! - rozkazała. Franklin wcisnął się w siedzenie. Pojazd zatoczył szeroki łuk i skrył się pod osłoną rzędu wysokich budynków. Pozostawione w dole samochody Urzędu dały za wygraną i zawróciły.

Franklin usiadł, ocierając czoło.

- Dzięki - mruknął.

- Nie ma o czym mówić. - Dziewczyna zwiększyła prędkość. Opuszczali urzędową część miasta, kierując się w stronę przedmieścia mieszkalnego. Dziewczyna milczała, skupiona na prowadzeniu.

- Kim pani jest? - zapytał Franklin.

Dziewczyna rzuciła mu jakiś przedmiot.

- Niech pan to założy.

Kaptur. Franklin rozpiął go i niezgrabnie założył na głowę.

- Zrobione.

- Inaczej zlokalizują nas dzięki skanowaniu telepatycznemu. Cały czas musimy być ostrożni.

- Dokąd jedziemy?

Z jedną ręką na kierownicy dziewczyna odwróciła się do niego i omiotła go spokojnym spojrzeniem szarych oczu.

- Jedziemy do Twórcy Kapturów - odparła. - Alarm publiczny to dla pana ostatni sygnał ostrzegawczy. Gdybym teraz pana zostawiła, nie przetrwałby pan ani godziny.

- Nic z tego nie pojmuję. - Franklin ze zdumieniem potrząsnął głową. - Czego oni ode mnie chcą? Co ja takiego zrobiłem?

- Wrabiają pana. - Dziewczyna zatoczyła pojazdem szeroki łuk; wśród metalowych listew i błotników samochodu zaświstał cicho wiatr. - To sprawka tipów. Sprawy potoczyły się niezwykle szybko. Nie ma czasu do stracenia.

Mały, łysy człowieczek zdjął okulary i wyciągnął do Franklina rękę, mrużąc krótkowzroczne oczy.

- Miło pana poznać, doktorze. Z ogromnym zainteresowaniem śledziłem pańskie poczynania w Komitecie.

- Kim pan jest? - zapytał Franklin.

Człowieczek uśmiechnął się nieśmiało.

- James Cutter. Twórca Kapturów, jak nazywają mnie typy. A oto nasza fabryka. - Ogarnął gestem pomieszczenie. - Proszę się rozejrzeć.

Franklin popatrzył dokoła. Znajdował się w magazynie, starym drewnianym budynku pochodzącym z ubiegłego stulecia. Sklepienie podtrzymywały wysokie, nadzarte przez korniki belki, popękane i suche. Podłogę wylano betonem. Pod sufitem świeciły i mrugały staromodne lampy fluorescencyjne. Poprzecinane pękatymi rurami ściany upstrzone były plamami wilgoci.

Franklin ruszył przez halę z Cutterem u boku. Owładnęło nim zdumienie. Wszystko przebiegało w takim tempie. Najwyraźniej znalazł się poza Nowym Jorkiem w jakiejś zrujnowanej podmiejskiej dzielnicy przemysłowej. Wszędzie pracowali pochyleni nad matrycami ludzie. Archaiczny wiatrak rozgarniał gęste od upału powietrze. Pomieszczenie wibrowało echem nieustającego bębnienia.

- To - wymamrotał Franklin. - Tutaj...

- Tutaj właśnie wytwarzamy kaptury. Niezbyt imponujące, prawda? Później mamy nadzieję przenieść się do nowej siedziby. Chodźmy, pokażę panu resztę.

Cutter otworzył boczne drzwi i weszli do małego laboratorium doszczętnie zastawionego butelkami i probówkami.

- Tutaj przeprowadzamy badania. Czyste i stosowane. Nauczyliśmy się paru rzeczy. Z niektórych możemy skorzystać, co do innych mamy nadzieję, że okażą się nieprzydatne. Poza tym to daje zajęcie naszym uciekinierom.

- Uciekinierom?

Cutter odsunął jakieś przyrządy i usiadł na stole.

- Większość osób przebywa tutaj z tych samych powodów co pan. Zostali wrobieni przez tipów. Oskarżeni o dewiację. Jednak my dotarliśmy do nich pierwsi.

- Ale dlaczego...

- Dlaczego został pan wrobiony? Z racji pańskiej pozycji. Dyrektor działu rządowego. Ci wszyscy ludzie pełnili ważne funkcje - i wszyscy zostali wrobieni przez tipów. - Cutter zapalił papierosa, opierając się o poplamioną ścianę. - Istniejemy dzięki odkryciu dokonanemu dziesięć lat temu w pracowni rządowej. - Postukał w kaptur. - Ten stop nie przepuszcza sondy. Odkrycie było dziełem przypadku, dokonał go jeden z tych ludzi. Typy niezwłocznie interweniowały, ale zdążył uciec. Wykonał kilka egzemplarzy i rozesłał kolegom po fachu. Tak wyglądały początki.

- Ilu ich tutaj jest?

Cutter roześmiał się.

- Tego nie mogę panu powiedzieć. Wystarczająco wielu, aby produkować kaptury i puszczać w obieg. Dostarczać ich ludziom na wysokich stanowiskach w rządzie. Reprezentantom władzy. Naukowcom, urzędnikom, nauczycielom...

- W jakim celu?

- Ponieważ chcemy dotrzeć do nich, nim uczynią to typy. Do pana trafiliśmy zbyt późno. Sondowanie ogólne zostało przeprowadzone, zanim wysłano kaptur.

Typy stopniowo przejmują kontrolę nad rządem. Wybierają najlepszych ludzi, denuncjują i doprowadzają do ich aresztowania. Jeżeli tip utrzymuje, że dana osoba jest nielojalna, Urząd do spraw Oczyszczania musi natychmiast się nią zająć. Gdyby pan miał na sobie kaptur, nie mogliby przekazać Urzędowi swojego raportu. Jednak przechytrzyli nas. Napuścili na pana tłum i zabrali kaptur. Wkrótce po jego zdjęciu dostarczyli Urzędowi raport.

- A więc dlatego chcieli mi go zedrzeć.

- Tipy nie są w stanie wyprodukować kłamliwego raportu na temat człowieka, którego umysł nie poddaje się sondowaniu. Urząd nie jest aż taki głupi. Najpierw muszą zdjąć kaptur. Każdy człowiek noszący kaptur jest poza ich zasięgiem. Jak do tej pory udawało im się manipulować tłumem, lecz ten sposób na dłuższą metę nie przynosi efektów. Obecnie pracują w Kongresie nad tą ustawą. Antyimmunetową ustawą senatora Waldo. Ona zakazuje noszenia kapturów. - Cutter uśmiechnął się ironicznie. - Skoro człowiek jest niewinny, to dlaczego nie miałby pozwolić na przesondowanie swojego umysłu? Zgodnie z tą ustawą założenie osłony przeciwsondowej będzie przestępstwem. Ani jeden człowiek spośród dziesięciu tysięcy nie odważy się zatrzymać kaptura, jeżeli będzie to równoznaczne z karą pozbawienia wolności i konfiskatą mienia.

- Kiedyś spotkałem Waldo. Trudno mi uwierzyć, że zdaje sobie sprawę z konsekwencji ustawy. Gdyby można mu uświadomić...

- O to chodzi! Gdyby można mu to uświadomić. Należy zapobiec zatwierdzeniu ustawy. Jeżeli wniosek przejdzie, koniec z nami. A typy odniosą ostateczne zwycięstwo. Ktoś musi porozmawiać z Waldo i wyjaśnić mu sytuację. - Oczy Cuttera zaślniły. - Pan go zna. Na pewno pana pamięta.

- Co pan przez to rozumie?

- Franklin, wysyłamy pana z powrotem - na spotkanie z Waldo. To nasza jedyna szansa, aby zapobiec ustawie. Należy ją wykorzystać.

Krażownik z wyciem przeleciał nad przełęczą i widocznym w dole pasmem splątanej zieleni.

- Po prawej stronie musi być równinne pastwisko - oznajmił Cutter. - Wyląduję, jak tylko uda mi się je znaleźć.

Wyłączył silniki. Wycie ucichło. Płynęli ponad wierzchołkami wzgórz.

- Na prawo - powiedział Franklin.

Cutter płynnym ślizgiem sprowadził krążownik w dół.

- Stąd pieszo dostaniemy się do posiadłości Waldo. - W zetknięciu z podłożem odczuli nagły wstrząs - po czym spoczęli bezpiecznie na ziemi.

Drzewa wokół nich lekko kołysały się na wietrze. Poranne powietrze było chłodne i przeredzone. Znajdowali się na znacznej wysokości, w obrębie łańcucha górskiego po stronie Kolorado.

- Jakie mamy szansę na dotarcie do niego? - zapytał Franklin.

- Raczej nikłe.

Franklin wzdrygnął się.

- Co? Dlaczego?

Cutter odsunął klapę i zeskoczył na ziemię.

- Dalej. - Pomógł Franklinowi wysiąść i zatrzasnął za nim właz. Waldo jest dobrze strzeżony. Pilnuje go gwardia robotów. Dlatego to dopiero nasza pierwsza próba. Gdyby to nie było absolutnie konieczne, teraz również dalibyśmy spokój.

Opuścili pastwisko, schodząc w dół zbocza wąską, zachwaszczoną ścieżką.

- Po co oni to robią? - zapytał Franklin. - Te typy. W jakim celu tak dążą do władzy?

- To chyba tkwi w naturze ludzkiej.

- Ludzkiej?

- Typy nie różnią się od jakobinów, jajogłowych, nazistów czy bolszewików. Zawsze istnieje pewna grupa, która pragnie dowodzić ludzkością - naturalnie dla własnego dobra tej ostatniej.

- Czy typy w to wierzą?

- Większość z nich wychodzi z założenia, że stanowią naturalnych przywódców ludzkości. Istoty pozbawione zdolności telepatycznych należą do pośledniejszego gatunku. Typy stoją o jeden szczebel wyżej, są Homo superior. A skoro są lepsi, ich prawo do przewodzenia - i decydowania o naszych losach - nie podlega dyskusji.

- Ale pan się z tym nie zgadza - dopowiedział Franklin.

- Typy różnią się od nas, lecz to nie oznacza, że są lepsi. Zdolności telepatyczne nie są równoznaczne z ogólną przewagą. Typy nie stanowią rasy wyższej. Są obdarzonymi specjalnymi zdolnościami ludźmi. To jednakże nie upoważnia ich do narzucania nam swojego zdania. Ten problem jest stary jak świat.

- Kto wobec tego powinien prowadzić ludzkość? - zapytał Franklin.

- Jacy powinni być jej przywódcy?

- Nikt nie powinien kierować ludzkością. Sama sobą ma kierować.

- Naraz Cutter z wyrazem napięcia na twarzy pochylił się do przodu.

- Jesteśmy prawie na miejscu. Posiadłość Waldo leży tuż przed nami. Proszę się przygotować. Wszystko zależy od tego, co przyniesie kilka najbliższych minut.

- Kilku mechanicznych wartowników. - Cutter opuścił lornetkę. - Ale nie to mnie martwi. Jeśli Waldo ma tu gdzieś tipa, niechybnie wykryje on nasze kaptury.

- A nie możemy ich zdjąć.

- Nie. Cała sprawa natychmiast by się rozniosła, od jednego tipa do drugiego. - Cutter ostrożnie przesunął się do przodu. - Roboty zatrzymają nas i zażądają dokumentów. Musimy polegać na pańskiej plakietce dyrektorskiej.

Wyszli z zarośli i ruszyli przez otwarty teren w kierunku budynków wchodzących w skład posesji senatora Waldo. Dotarli do piaszczystej drogi i szli nią bez słowa, spoglądając na rozciągający się przed nimi krajobraz.

- Stać! - W ich kierunku ruszył mechaniczny strażnik. - Kim jesteście?

Franklin pokazał swój identyfikator.

- Kadra kierownicza. Przybyliśmy tutaj, aby spotkać się z senatorem. Jestem jego starym znajomym.

Rozległ się stukot przesuwanych dźwigni i robot starannie obejrzał plakietkę.

- Kadra kierownicza?

- Zgadza się - odparł z rosnącym niepokojem Franklin.

- Z drogi - rozkazał niecierpliwie Cutter. - Nie mamy czasu do stracenia.

Robot cofnął się niepewnie.

- Przepraszam, że pana zatrzymałem, sir. Senator znajduje się w głównym budynku. Zaraz na wprost.

- Dobrze. - Cutter i Franklin minęli go. Okrągłą twarz Cuttera pokrywały krople potu. - Udało się - mruknął. - Teraz tylko miejmy nadzieję, że w środku nie ma żadnych tipów.

Franklin dotarł do werandy. Powoli wspiął się po schodach, Cutter szedł tuż za nim. Przy drzwiach przystanął, spoglądając na niższego mężczyznę.

- Czy powinienem...

- Niech pan idzie - odparł w napięciu Cutter. - Wejdzmy do środka. Tam będzie bezpieczniej.

Franklin podniósł rękę. Umieszczony w drzwiach obiektyw z trzaskiem zrobił zdjęcie i sprawdził jego podobiznę. Franklin modlił się w duchu. Jeżeli alarm Urzędu dotarł aż tutaj...

Drzwi stanęły otworem.

- Do środka - ponaglił Cutter.

Franklin usłuchał, po czym rozejrzał się po pogrążonym częściowo w mroku holu. Zamrugał, przyzwyczajając wzrok do przyćmionego światła. Coś sunęło w jego kierunku. Jakaś niewysoka, zwinna postać. Czyżby Waldo?

Do holu wkroczył chudy młodzian o ziemistej cerze z uśmiechem przyklepionym do warg.

- Dzień dobry, doktorze Franklin - powiedział. Podniósł slema i wystrzelił.

Cutter i Ernest Abbud spoglądali w dół na topniejącą masę będącą niegdyś doktorem Franklinem. Żaden z nich nie odezwał się słowem. Wreszcie poblady na twarzy Cutter podniósł rękę.

- Czy to było konieczne?

Abbud drgnął, uświadamiając sobie jego obecność.

- A dlaczego nie? - Wzruszył ramionami, celując ze slema w brzuch Cuttera. - Był stary. Wreszcie długo by nie pociągnął.

Cutter wyjął paczkę papierosów i powoli zapalił, nie odrywając spojrzenia od twarzy chłopaka. Widział go po raz pierwszy. Ale to nazwisko nie było mu obce. Patrzył, jak młodzian o ziemistej cerze niedbale trąca butem leżące na podłodze szczątki.

- Zatem Waldo jest tipem - powiedział Cutter.

- Owszem.

- Franklin nie miał racji. On jest w pełni świadomy konsekwencji ustawy.

- Oczywiście, że tak! Ustawa antyimmunetowa stanowi integralną część naszej działalności. - Abbud machnął bronią. - Zdejmij swój kaptur. Nie mogę cię przeskanować i... denerwuje mnie to.

Cutter zawahał się. W zamyśleniu rzucił papierosa na podłogę i zgniótł go butem.

- Co ty tu robisz? Zazwyczaj trzymasz się Nowego Jorku. A to daleko stąd.

Abbud uśmiechnął się.

- Przechwyciliśmy myśli doktora Franklina, kiedy wchodził do samochodu dziewczyny - zanim zdążyła dać mu kaptur. Zbyt długo zwlekała. Uzyskaliśmy jej wyraźny obraz, naturalnie widziany z tylnego siedzenia. Ale musiała odwrócić się, aby podać kaptur. Dwie godziny temu została schwytana. Sporo wiedziała - nasz pierwszy rzeczywisty kontakt. Byliśmy w stanie zlokalizować fabrykę i złapać większość pracowników.

- Ach tak? - mruknął Cutter.

- Przebywają w areszcie. Ich kaptury, a także materiał przygotowany do dystrybucji zostały przejęte. Matryce rozmontowano. O ile mi wiadomo, mamy całą grupę. Ty jesteś ostatni.

- Wobec tego, co to ma za znaczenie, czy zdejmę kaptur, czy nie?

Oczy Abbuda zalśniły.

- Zdejmuj. Chcę cię przeskanować - panie Twórczo Kapturów.

Cutter odchrząknął.

- Co masz na myśli?

- Kilku twoich ludzi przekazało nam wizerunki i szczegóły waszej podróży tutaj. Przybyłem osobiście, oczywiście przedtem uprzedziłem Waldo. Chciałem zobaczyć to na własne oczy.

- Dlaczego?

- To prawdziwa gratka.

- Jaką pozycję zajmujesz? - zapytał Cutter.

Ziemista twarz Abbuda nabrała odpychającego wyrazu.

- Jazda! Zdejmuj kaptur! Mógłbym z miejsca cię zabić. Ale najpierw chcę cię przeskanować.

- Dobrze. Zdejmę. Rób, co chcesz. Sonduj od góry do dołu. - Cutter spauzował z namysłem. - To twój pogrzeb.

- Co to ma znaczyć?

Cutter ściągnął kaptur i rzucił go na stojący przy drzwiach stolik.

- Cóż? I co tam widzisz? Co ja takiego wiem, czego nikt inny nie wie?

Przez chwilę Abbud milczał.

Naraz wykrzywił twarz, bezgłośnie poruszając ustami. Poruszył trzymanym w dłoni slemem. Zachwiał się, jego chudym ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz. Z rosnącym przerażeniem spoglądał na Cuttera.

- Odkryłem to dopiero niedawno - odparł Cutter. - W naszym laboratorium. Nie chciałem tego wykorzystywać, ale sam zmusiłeś mnie do zdjęcia kaptura. Aż do tej pory za swoje najistotniejsze odkrycie uważałem stop. Jednak to pod wieloma względami jest donioślejsze. Zgodzisz się ze mną?

Abbud nie odpowiedział. Jego twarz przybrała barwę chorobliwej szarości. W dalszym ciągu bezgłośnie poruszał ustami.

- Miałem przecucie - i zawierzyłem mu pomimo braku całkowitej pewności. Wiedziałem, że wy telepaci narodziliście się z pojedynczej grupy na skutek wypadku — madagaskarskiej eksplozji wodorowej. To dało mi do myślenia. Większość znanych nam mutantów powstawała w wyniku osiągnięcia przez dany gatunek fazy mutacyjnej. Nie dotyczyło to pojedynczego skupiska owego gatunku, lecz wszystkich zasiedlanych przez niego regionów na całym świecie.

Przyczyną waszego powstania było uszkodzenie plazmy zarodkowej u określonej grupy ludzi. Nie byliście mutantami w takim sensie, że reprezentowaliście naturalne stadium procesu ewolucyjnego. Pod żadnym pozorem nie można stwierdzić, że Homo sapiens osiągnął fazę mutacyjną. Toteż może wcale nie byliście mutantami.

Zacząłem prowadzić obserwacje, po części biologiczne, po części statystyczne. Badania socjologiczne. Zaczęliśmy gromadzić na wasz temat fakty, na temat każdego członka waszej grupy, którego mogliśmy zlokalizować. Ile mieliście lat. W jaki sposób zarabialiście na życie. Ilu z was zawarło związek małżeński. Liczba dzieci. Po pewnym czasie uzyskałem informacje, które w tej chwili skanujesz.

Cutter pochylił się w stronę Abbuda, omiatając go badawczym spojrzeniem.

- Nie jesteś mutantem, Abbud. Twoja grupa powstała w wyniku przypadkowej eksplozji. Różnicie się od nas z powodu uszkodzenia aparatu reprodukcyjnego waszych rodziców. Brakuje wam jednej cechy, która charakteryzuje prawdziwych mutantów. - Przez twarz Cuttera przemknął bledy uśmiech. - Wielu z was ma męża lub żonę. Jednak nie ma żadnych danych dotyczących ewentualnych urodzin. Ani jednego! Ani jednego telepatycznego dziecka! Nie możecie się rozmnażać, Abbud. Jesteście bezpłodni, cała wasza liczna grupa. Kiedy umrzecie, nie pozostanie ani jeden telepata. Nie jesteście mutantami. Jesteście wybrykami natury!

Abbud odburknął coś niewyraźnie, trzęsąc się na całym ciele.

- Widzę to w twoich myślach. - Opanował się z wysiłkiem. - Zachowałeś ten sekret, prawda? Jesteś jedyną osobą, która o tym wie?

- Wie jeszcze ktoś - odparł Cutter.

- Kto?

- Ty. Przeskanowałeś mnie. A skoro jesteś tipem, wszystkie pozostałe...

Abbud wystrzelił, wciskając lufę w swój brzuch. Jego ciało rozpadło się na kawałki. Cutter cofnął się, osłaniając twarz dłońmi. Wstrzymał oddech i zamknął oczy.

Kiedy ponownie je otworzył, nie było już nic.

Cutter potrząsnął głową.

- Za późno, Abbud. Nie działałeś wystarczająco szybko. Skanowanie trwa chwilę, a Waldo znajduje się niedaleko... A nawet gdyby nie zdążyli dotrzeć do ciebie, nie unikną kontaktu ze mną.

Dźwięk. Cutter odwrócił się. Do holu wtargnęli agenci Urzędu i popatrzyli na Cuttera oraz na zalegające podłogę szczątki.

Roztrzęsiony i dezorientowany dyrektor Ross niepewnie wymierzył broń w Cuttera.

- Co się stało? Gdzie...

- Przeskanować go! - skoczył Peters. - Prędko sprowadźcie tu tipa. Sprowadźcie Waldo. Musimy się dowiedzieć.

Cutter uśmiechnął się ironicznie.

- Jasne - powiedział, kiwając głową. Poczł ulgę. - Przeskanujcie mnie. Nie mam nic do ukrycia. Sprowadźcie tipa - jeśli zdołacie jakiegoś znaleźć...

JABŁOŃ

Coś stukało w okno. Raz po raz uderzało o framugę. Coś przyniesionego wiatrem. Pukanie było ciche i uporczywe. Siedząca na tapczanie Lori udawała, że nie słyszy. Ścisnęła w rękach książkę i przewróciła stronę. Stukanie powtórzyło się, tym razem głośniej i bardziej rozkazująco. Nie należało go lekceważyć.

- Cholera! - powiedziała Lori. Rzuciła książkę na stolik do kawy i podbiegła do okna. Ujęła ciężkie mosiężne uchwyty i szarpnęła w górę.

Przez chwilę okno stawiało opór. Zaraz jednak ustąpiło z protestującym zgrzytem. Do pokoju wtargnęło zimne jesienne powietrze. Liść przestał pukać i musnąwszy szyję kobiety, zawirował tanecznie, a następnie opadł na podłogę.

Lori podniosła go. Był stary i brunatny. Z przyspieszonym biciem serca wsunęła go do kieszeni dżinsów. Klucie liścia wywołało na jej skórze uczucie delikatnego mrowienia, napełniając ciało od góry do dołu przyjemnym dreszczem. Stała przy otwartym oknie, oddychając głęboko. Powietrze przesycone było wonią drzew i wzgórz, skał oraz odległych miejsc. Nadszedł czas - czas, aby ponownie udać się w drogę. Wzywano ją.

Lori pospiesznie wyszła z dużego pokoju i korytarzem pobiegła do jadalni. Świeciła pustką. Z kuchni doleciał wybuch śmiechu. Lori otworzyła drzwi.

- Steve?

Jej mąż siedział przy stole w towarzystwie swojego ojca, palił cygaro i popijał parującą czarną kawę.

- O co chodzi? - zapytał Steve, spoglądając na młodą żonę spod zmarszczonych brwi. - Ed i ja załatwiamy właśnie ważne sprawy.

- Chcę... chcę cię o coś zapytać.

Mężczyźni popatrzyli na nią; brązowowłosy Steve o ciemnych oczach pełnych upartej godności właściwej rodowitym mieszkańcom Nowej Anglii oraz jego ojciec, w jej obecności zawsze milczący i pełen rezerwy. Ed Patterson ledwie zwrócił na synową uwagę. Odwrócony do niej szerokimi plecami, szeleścił plikiem rachunków za paszę.

- O co chodzi? - powtórzył niecierpliwie Steve. - Czego chcesz? Czy to nie może poczekać?

- Muszę wyjść - wyrzuciła z siebie Lori.

- Dokąd?

- Na dwór. - Ogarnął ją lęk. - Ostatni raz. Obiecuję. Po tym już nigdy więcej nie wyjdę. Dobrze? - Próbowwała się uśmiechnąć, choć serce mocno tłukło jej w piersi. - Proszę, pozwól mi, Steve.

- Dokąd ona chce iść? - burknął Ed.

Steve odchrząknął z rozdrażnieniem.

- Gdzieś na wzgórze. Jest tam jakieś opuszczone miejsce.

Oczy Eda rozbłysły.

- Opuszczone gospodarstwo?

- Tak. Znasz je?

- Farma starego Rickleya. Wyprowadził się z niej wiele lat temu. Nic nie chciało mu tam rosnąć. Zbyt skaliste podłoże. Kiepska gleba. Masa gliny i kamieni. Całe gospodarstwo zarosło i popadło w ruinę.

- Co hodował?

- Owoce. Miał tam sad. Nigdy nie przyniósł najmniejszych plonów. Wyszły stare drzewa. Stracony wysiłek.

Steve zerknął na zegarek.

- Wrócisz, aby przygotować kolację?

- Tak! - Lori ruszyła w stronę drzwi. - A więc mogę iść?

Na twarzy Steve'a pojawił się grymas wahania. Lori czekała niecierpliwie, wstrzymując oddech. Nigdy nie przywykła do mieszkańców Vermont z tym ich powolnym i rozważnym sposobem bycia. Ludzie z Bostonu byli całkiem inni. Poza tym ona pochodziła ze środowiska studenckiego, nawykłego do zabaw tanecznych, śmiechu i prowadzonych do późnej nocy dyskusji.

- Po co ty tam chodzisz? - marudził Steve.

- Nie pytaj, Steve. Po prostu daj mi iść. Ostatni raz. - Skręcała się z niecierpliwości. Zaciśnęła pięści. - Proszę!

Steve wyjrzał przez okno. Zimny jesienny wiatr targał koronami drzew.

- Dobrze. Ale wkrótce zacznie sypać śnieg. Nie rozumiem po co...

Lori skoczyła do szafy po płaszcz.

- Przyjdę na czas, aby zrobić kolację! - krzyknęła radośnie. Zapinając płaszcz, z bijącym sercem wybiegła na ganek. Kiedy zamykała drzwi, jej policzki oblał silny rumieniec, krew tętniła w żyłach.

Uderzył w nią zimny wiatr i potargał włosy. Zaczerpnąwszy tchu, zeszła po schodach.

Szybkim krokiem ruszyła przez pole, kierując się ku niewyraźnej linii leżących za nim wzgórz. Wyjąwszy szum wiatru, okolicę spowijała głucha cisza. Dotknęła swojej kieszeni. Liść pokruszył się i przywarł do materiału.

- Idę - szeptała z lekkim przestraszeniem. - Zaraz tam będę...

Kobieta wspinała się coraz wyżej. Minęła leżącą pomiędzy dwiema przełęczami rozpadlinę. Wszędzie jeżyły się wystające z ziemi korzenie starych pni. Poszła wzdłuż wijącego się wyschniętego koryta strumienia.

Po pewnym czasie wkroczyła w obszar nisko otulających ziemię oparów. Przystanąła na szczycie przełęczy i oddychając głęboko, obejrzała się za siebie.

Wśród liści zaszeleściły krople deszczu. Wiatr ponownie przemknął wśród ciągnących się wzdłuż przełęczy martwych drzew. Lori skręciła i z pochyloną głową i dłońmi wciśniętymi w kieszenie płaszcza ruszyła w dalszą drogę.

Znalazła się na skalistym polu zarośniętym chwastami oraz kępkami uschłej trawy. Niebawem dotarła do połamanego, butwiejącego ogrodzenia. Przeszła przez nie. Minęła zrujnowaną studnię, do połowy zasypaną kamieniami i ziemią.

Przepełnione nerwowym podnieceniem serce trzepotało jej w piersi. Była prawie na miejscu. Minęła szczątki budynku, pochyłe belki i okruchy szkła oraz rozsiane wokół połamane kawałki mebli.

Oblepiona błotem, spękana opona samochodowa. Wilgotne strzępy tkaniny na pordzewiałych, wygiętych sprężynach łóżka.

I wówczas dostrzegła coś dokładnie przed sobą.

Krawędź pola porastał gaj prastarych drzew. Drzew pozbawionych życia, uschłych i martwych, wyciągających do góry odarte z liści, poczerniałe gałęzie. Wetknięte w ziemię połamane żerdzie. Rzędy martwych drzew, niektóre połamane i wygięte bądź wyrwane ze skalistego podłoża przez nieustannie wiejący wiatr.

Oddychając z trudem, Lori ruszyła przez pole w kierunku drzew. Wiatr nacierał na nią bez wytchnienia, napełniając jej nozdrza i owiewając twarz cuchnącą wonią zgnilizny. Jej skóra była wilgotna i lśniła od mgły. Odkaszlnęła i pospieszyła dalej, potykając się o odłamki skalne i grudy ziemi, drżała z oczekiwania oraz strachu.

Okrążyła zagajnik i dotarła prawie do skraju przełęcz. Ostrożnie wyminęła śliskie sterty kamieni. I wtedy...

Zastygła bez ruchu, oddychając z wysiłkiem.

- Przyszłam - rzekła.

Przez dłuższy czas spoglądała na starą uschniętą jabłoń. Nie mogła oderwać od niej wzroku. Widok prastarego drzewa jednocześnie fascynował ją i odpychał. Było to jedyne żywe drzewo w zagajniku. Pozostałe dawno już obumarły i wyschły na wiór. Przegrały walkę. To drzewo jednak wciąż kurczowo trzymało się życia.

Było twarde i nagie. Pozostało na nim zaledwie kilka ciemnych liści - i wyschniętych jabłek, pomarszczonych, wysmaganych wiatrem i zwilżonych mgłą. Zostały na gałęziach, zapomniane i porzucone. Ziemia wokół drzewa była popękana i zmarznięta. Wszędzie leżały stopy kamieni i gnijących, opadłych liści.

- Przyszłam - powtórzyła Lori. Wyjęła z kieszeni liść i z obawą wyciągnęła rękę. - To zastukało do okna. Od razu wiedziałam. - Na jej usta wpłynął figlarny uśmiech. - Stukał i stukał, próbując dostać się do środka. Nie zwracałam na niego uwagi. To było takie... nie znoszące sprzeciwu. Rozzłościł mnie.

Drzewo zakołysało się złowrogo. Potarło sękatymi gałęziami. Coś w tym dźwięku sprawiło, że Lori cofnęła się o krok. Owładnął ją strach. Pobiegnęła z powrotem wzdłuż przełęcz, rozpaczliwie próbując uciec od niego.

- Nie - szepnęła. - Proszę.

Wiatr ustał. Drzewo ucichło. Lori przyglądała mu się z lękiem przez dłuższą chwilę.

Nadciągał zmierzch. Niebo gwałtownie ciemniało. W kobietę uderzył powiew lodowatego wiatru, prawie okręcając ją wokół własnej osi. Zadrżała i otuliła się płaszczem. Daleko w dole dno

kotliny ginęło w zapadającym mroku.

W ciemniejącej mgłę drzewo zdawało się bardziej srogie i złowieszcze niż zazwyczaj. Opadło z niego kilka porwanych wiatrem liści. Jeden przeleciał obok niej i wyciągnęła rękę, usiłując go złapać. Uciekł, wirując z powrotem w kierunku jabłoni. Lori ruszyła za nim, po czym przystanęła, śmiejąc się i chwyając oddech.

- Nie - oznajmiła twardo, wspierając ręce na biodrach. - Nie ma mowy.

Zapadła cisza. Naraz sterty zmurszałych liści wzbily się do góry i otoczyły drzewo tanecznym kręgiem. Po chwili opadły z powrotem na ziemię.

- Nie - powtórzyła Lori. - Nie boję się ciebie. Nie możesz mnie skrzywdzić. - Jednak serce mocno zabiło jej w piersi. Cofnęła się jeszcze dalej.

Poskręcane gałęzie drzewa trwały w bezruchu i ciszy.

Lori odzyskała odwagę.

- Jestem tu ostatni raz - powiedziała. - Steve mówi, że nie mogę więcej przychodzić. Nie lubi tego.

Czekała, ale drzewo nie dało znaku życia.

- Siedzą w kuchni. Obydwaj. Palą cygara i popijają kawę. I podliczają rachunki za paszę. - Zmarszczyła nos. - To ich jedyne zajęcie. Dodawanie i odejmowanie rachunków za paszę. Cyfra do cyfry. Suma zysków i strat. Podatki rządowe.

Drzewo ani drgnęło.

Lori zadrżała. Deszcz nasilił się, po jej policzkach spływały wielkie, lodowate krople, kapały na szyję i za kołnierz płaszcza.

Przysunęła się bliżej jabłoni.

- Już nie wrócę. Więcej się nie zobaczymy. To ostatni raz. Chciałam cię uprzedzić...

Drzewo poruszyło się. W jego gałęzie niespodziewanie wstąpiło życie. Lori poczuła, jak coś twardego i cienkiego smagają przez ramię. Coś chwyciło ją w pasie i pociągnęło do przodu.

Szarpnęła się desperacko, próbując się uwolnić. Naraz drzewo zwolniło uścisk. Odbiegła, śmiejąc się i drżąc ze strachu.

- Nie! - krzyknęła zdyszana. - Nie dostaniesz mnie! - Podbiegła do skraju przełęczy. - Już nigdy mnie nie dostaniesz! Rozumiesz? Nie boję się ciebie!

Stała, czekając i patrząc, wstrząsana dreszczem chłodu i lęku. Nagle odwróciła się i puściła

pędem w dół zbocza, potykając się i przewracając na luźnych kamieniach. Owładnął ją ślepy strach. Biegła po pochyłym zboczu, czepiając się wystających korzeni i chwastów.

Coś potoczyło się w pobliżu jej buta. Jakiś mały i twardy przedmiot. Schyliła się i podniosła go.

Było to maleńkie, zasuszone jabłko.

Lori podniosła wzrok i spojrzała na drzewo. Prawie zginęło w skłębionych oparach mgły. Stało tam; sztywna, nieruchoma sylwetka na tle czarnego nieba.

Schowała jabłko do kieszeni i ruszyła dalej w dół pagórka. Kiedy dotarła do dna kotliny, wyciągnęła jabłko z kieszeni.

Było późno. Poczowała nagle ssanie w żołądku. Pomyślała o kolacji, ciepłej kuchni i białym obrusie. O dymiącym gulaszu i herbatnikach.

Idąc, skubała zębami jabłko.

Lori usiadła na łóżku, odrzucając kołdrę. Dom pogrążony był w ciemnościach i ciszy. W oddali rozbrzmiewały jakieś dźwięki. Minęła północ. Steve leżał obok niej pogrążony w głębokim śnie.

Co ją obudziło? Odgarnęła z oczu ciemne włosy i potrząsnęła głową Co...

Jej wnętrznościami targnął nagły ból. Sieknęła, przyciskając ręce do brzucha. Siedziała przez chwilę z zaciśniętymi zębami i kołysała się w przód i w tył.

Ból zelżał. Lori opadła na łóżko. Wydała z siebie cichy, słaby okrzyk.

- Steve...

Steven poruszył się. Drgnął nieznacznie, pomrukując przez sen.

Ból powrócił. Tym razem bardziej dotkliwy. Lori pochyliła się twarzą do łóżka, wijąc się w męczarniach. Rozdzierał jej wnętrzności. Z jej ust wyrwał się ostry krzyk przerażenia i bólu.

Steve usiadł.

- Na miłość boską... - Potarł oczy i szybko włączył lampę. - Co u licha...

Lori leżała po swojej stronie łóżka, dysząc i zawodząc, ze spojrzeniem utkwionym przed siebie i rękami przyciśniętymi do brzucha. Ból szarpał ją, wżerając się coraz głębiej w jej ciało.

- Lori! - warknął Steven. - Co ci się stało?

Krzyknęła. Jeszcze raz, i jeszcze. Aż cały dom rozbrzmiał echem. Ześlizgnęła się z łóżka na podłogę i leżała tam z drgającym spazmatycznie ciałem i zmienioną nie do poznania twarzą.

Ed wbiegł do pokoju, otulając się szlafrokiem.

- Co tu się dzieje?

Obydwaj mężczyźni obrzucili bezradnymi spojrzeniami spoczywające na podłodze ciało kobiety.

- Chryste - powiedział Ed. Zamknął oczy.

Dzień był zimny i ciemny. Śnieg sypał cicho na ulice i domy oraz na ceglany budynek okręgowego szpitala. Doktor Blair wolnym krokiem poszedł żwirową ścieżką w kierunku swojego forda. Wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce. Zapuścił silnik i zwolnił hamulec ręczny.

- Później do pana zadzwonię - powiedział doktor Blair. - Trzeba załatwić pewne drobiazgi.

- Wiem - mruknął Steve. Wciąż nie doszedł do siebie. Jego twarz była zszarzała i opuchnięta od braku snu.

- Zostawiłem panu jakieś środki uspokajające. Proszę spróbować trochę odpocząć.

- Czy myśli pan - zapytał zniecierpliwiony Steve - że gdybyśmy wezwali pana wcześniej...

- Nie. - Blair podniósł na niego pełen współczucia wzrok. - Nie myślę. W takiej sytuacji szansę są znikome. Nie po tym, jak pęknie.

- A więc to był wyrostek?

Blair skinął głową.

- Tak.

- Gdybyśmy nie mieszkali tak cholernie daleko - powiedział gorzko Steve. - Jak te kołki w szczyrim polu. Żadnego szpitala. Nic. Z dala od miasta. Poza tym początkowo nie zdawaliśmy sobie sprawy...

- Teraz już jest po wszystkim. - Ford ujechał kawałek do przodu. Naraz lekarzowi przyszła do głowy pewna myśl. - Jeszcze jedno.

- Słucham? - odrzekł posępnie Steve.

Blair zawahał się.

- Sekcja zwłok... to nader niefortunne. Sądzę, że w tym wypadku nie zachodzi taka konieczność. W zasadzie jestem przekonany... Ale chciałbym się upewnić...

- O co chodzi?

- Czy dziewczyna mogła coś połknąć? Czy wkładała cokolwiek do ust? Może igły... podczas szycia? Szpilki, monety lub coś w tym rodzaju? Nasiona? Czy kiedykolwiek jadła arbuza? Niekiedy wyrostek...

- Nie. - Steve ze zmęczeniem potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia.

- Tak tylko sobie pomyślałem. - Doktor Blair odjechał powoli wąską, obrzeżoną drzewami ulicą, pozostawiając za sobą dwie ciemne pręgi burzące połyskliwą harmonię świeżo opadłego śniegu.

Nadeszła ciepła i słoneczna wiosna. Ziemia przybrała czarną, soczystą barwę. Nad głowami świeciło słońce; biała, emanująca energią rozgrzana kula.

- Zatrzymaj się tutaj - mruknął Steve.

Ed Patterson zatrzymał samochód na skraju drogi. Zgasił silnik. Obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu.

Na skraju ulicy bawiły się dzieci. Licealista kosił trawnik, popychając kosiarkę po wilgotnej trawie. Ulicę spowijał cień rosnących po obu stronach okazałych drzew.

- Ładnie tu - powiedział Ed.

Steve bez słowa skinął głową. Ponuro obserwował młodą dziewczynę z torbą zakupów pod pachą. Dziewczyna wspięła się po schodach werandy i zniknęła we wnętrzu staroświeckiego, żółtego domu.

Steve otworzył drzwi.

- Chodźmy. Miejmy to już za sobą.

Ed wziął z tylnego siedzenia bukiet kwiatów i położył je synowi na kolanach.

- Sam to załatw. To twoja sprawa.

- Dobrze. - Steve porwał kwiaty i wyszedł na chodnik.

Mężczyźni w zamyśleniu ruszyli ulicą.

- To już siedem czy osiem miesięcy - powiedział naraz Steve.

- Co najmniej. - Ed zapalił papierosa i idąc, rozdmuchiwał wokół siebie kłęby dymu. - Może nawet trochę więcej.

- Nigdy nie powinienem był jej tu sprowadzać. Całe życie spędziła w mieście. Nic nie wiedziała o wsi.

- Tak czy inaczej to było nieuniknione.

- Gdybyśmy mieszkali bliżej szpitala...

- Lekarz powiedział, że to nie miało żadnego znaczenia. Nawet gdybyśmy wezwali go od razu, zamiast czekać do rana. - Dotarli do rogu i skręcili. - A jak sam wiesz...

- Daj spokój - przerwał mu z nagłym rozdrażnieniem Steve.

Głosy pozostawionych z tyłu dzieci ucichły. Szereg domów przerzedził się. Idąc, stukali głośno butami o chodnik.

- Jesteśmy prawie na miejscu - oznajmił Steve.

Doszli do wzniesienia. Za nim rozciągał się ciężki mosiężny płot okalający niewielkie pole. Zielone, równe i schludnie utrzymane pole. Poprzecinane starannie ułożonymi marmurowymi tablicami.

- Jesteśmy - powiedział w napięciu Steve.

- Dbają o niego jak należy.

- Czy możemy wejść od tej strony?

- Nie zaszkodzi spróbować. - Ed ruszył wzdłuż ogrodzenia w poszukiwaniu wejścia.

Naraz Steve stanął jak wryty. Zapatrzył się na coś, poblądł na twarzy.

- Co tam jest? - Ed zdjął okulary. - Na co patrzysz?

- Miałem rację - odparł Steve niskim i niewyraźnym głosem. - Wiedziałem, że tam coś jest. Ostatnim razem.... Zauważyłem.... Widzisz?

- Nie jestem pewien. Widzę drzewo, jeśli o to ci chodzi.

Pośrodku schludnego, zielonego pola dumnie wznosiła się nieduża jabłonka. Jej zielone listki połyskiwały w ciepłym blasku słońca. Drzewko było silne i zdrowe. Pewnie opierało się podmuchom wiatru, jego giętki pień pokryty był słodką, wiosenną żywicą.

- Są czerwone - powiedział miękko Steve. - One już są czerwone. Jakim cudem? Przecież dopiero kwiecień. Jak, do cholery, mogą już być czerwone?

- Nie wiem - odparł Ed. - Nie znam się na jabłkach. - Przejął go nagły chłód. Ale na cmentarzach zawsze czuł się nieswojo. - Może powinniśmy już iść.

- Jej policzki miały taki sam kolor - powiedział ściszym głosem Steve. - Kiedy biegła. Pamiętasz?

Mężczyźni spoglądali niepewnie na małą jabłonkę, czerwone owoce lśniące w blasku wiosennego słońca i lekko poruszane wiatrem gałęzie.

- Jasne, że pamiętam - odrzekł ponuro Ed. - Chodźmy. - Wziął syna pod ramię, zapominając o kwiatach. - Dalej, Steve. Chodźmy stąd.

CZŁOWIEKIEM JEST

Niebieskie oczy Jill Heniek wypełniły się łzami. Rzuciła mężowi spojrzenie pełne niewypowiedzianej zgrozy.

- Jesteś... jesteś okropny! - krzyknęła.

Lester Herrick kontynuował swoje zajęcie, układając sterty notatek i wykresów w precyzyjne kupki.

- Okropny - zwrócił jej uwagę - jest orzeczeniem wartości. Nie zawiera żadnej faktycznej informacji. - Przez biurowy skaner przepuścił taśmę z danymi na temat centaurskiego życia pasożytniczego. - To jedynie osąd. Wyrażenie emocji, nic więcej.

Jill wróciła do kuchni. Apatycznym machnięciem ręki uruchomiła piec. Umieszczone w ścianie pasy transmisyjne z szumem zaczęły zwozić z podziemnej spiżarni jedzenie na wieczorny posiłek.

Po raz ostatni zwróciła się do męża.

- Ani trochę? - powiedziała błagalnie. - Ani nawet...

- Ani miesiąca dłużej. Powiesz mi o tym, kiedy przyjdzie. Jeśli nie masz odwagi, ja to zrobię. Nie zniosę hasającego po domu dzieciaka. Mam zbyt dużo pracy. Termin oddania raportu o Betelgeuse XI wypada za dziesięć dni. - Lester wrzucił do skanera szpulę z informacjami o archaicznych narzędziach fomalhautańskich. - Co się dzieje z twoim bratem? Dlaczego nie może zatroszczyć się o własne dziecko?

Jill dotknęła chusteczką opuchniętych oczu.

- Nie rozumiesz? Chcę, żeby Gus tu był! Ubłagałam Franka, aby pozwolił mu przyjechać. A ty...

- Będę zadowolony, kiedy wyrośnie na tyle, aby mógł służyć rządowi. - Lester skrzywił z irytacją chudą twarz. - Cholera, Jill, dlaczego obiad jeszcze nie gotowy? To już dziesięć minut! Co jest z tym piecem?

- Zaraz będzie. - Na piecu zapaliło się czerwone światełko. Ze ściany wyszedł mechaniczny kelner gotów do podania jedzenia.

Jill usiadła i głośno wydmuchała nos. W dużym pokoju Lester z niezmaconym spokojem kontynuował pracę. Praca. Badania. Dzień za dniem. Lester piął się w górę; to nie ulegało wątpliwości. Pochylał wygięte jak sprężyna chude ciało nad skanerem i gorączkowo chłonał informacje, prowadził analizy, szacował, a jego zdolności pojęciowe funkcjonowały jak doskonałe naoliwiona maszyna.

Usta Jill zadrżały z żalu i urazy. Gus - mały GUS. Jak ona mu to powie? Do jej oczu napłynęły kolejne łzy. Już nigdy nie zobaczy tego kochanego, tłustego chłopaczka. Nigdy nie będzie mógł tu wrócić, gdyż dziecinny śmiech i odgłosy zabawy przeszkadzały Lesterowi w pracy. Utrudniały mu badania.

Na piecu zapaliło się zielone światło. Jedzenie wyjechało na zewnątrz wprost w objęcia mechanicznego kelnera. Zabrzmiał delikatny dźwięk wzywającego na obiad dzwonka.

- Słyszę - wycedził Lester. Wyłączył skaner i wstał. - Pewnie przyjdzie, jak będziemy w trakcie posiłku.

- Mogę zadzwonić do Franka i zapytać...

- Nie. Ja to załatwię. - Lester skinął niecierpliwie na robota. - Dobra. Postaw to. - Zacisnął wąskie wargi w gniewną kreskę. - Do diabła, przestań się lenić! Chcę wracać do pracy!

Jill zdusiła szloch cisnący się do gardła.

Mały Gus przywłókł się do domu, kiedy kończyli jeść obiad.

Jill wydała na jego widok okrzyk radości - Gussie! - Porwała go w ramiona. - Tak się cieszę, że cię widzę!

- Uważaj na mojego tygrysa - mruknął GUS. Położył na chodniku małego, szarego kociaka, który natychmiast umknął pod tapczan. - Chowa się.

Oczy Lestera, wpatrzone w małego chłopca i wystający spod tapczanu koniuszek szarego ogona, niebezpiecznie rozbłyły.

- Dlaczego nazywasz go tygrysem? Przecież to zwykły dachowiec.

Na twarzy Gusa odbił się smutek. Spochmurniał.

- Właśnie, że tygrys. Ma pręgi.

- Tygrysy są żółte i dużo większe. Mógłbyś w końcu przyswoić sobie zasady klasyfikowania przedmiotów zgodnie z ich poprawnymi nazwami.

- Lester, proszę - powiedziała Jill błagalnym tonem.

- Siedź cicho - rozkazał gniewnie. - Gus jest wystarczająco duży, aby pozbyć się dziecińczych iluzji i rozwinąć realistyczną orientację. Gdzie są psychoanalitycy? Dlaczego nie wykorzenia tych bzdur?

Gus podbiegł do swojego tygrysa i wziął go na rękę.

- Daj mu spokój!

Lester przyjrzał się kotkowi. Na jego ustach zaigrał dziwny, chłodny uśmiešek.

- Przyjdź kiedyś do naszego laboratorium, GUS. Pokażemy ci mnóstwo kotów. Używamy ich do swoich badań. Koty, świnki morskie, króliki...

- Lester! - rzuciła Jill. - Jak możesz!

Lester roześmiał się piskliwie. Naraz zamilkł niespodziewanie i wrócił do swojego biurka.

- A teraz wynosić mi się stąd. Muszę skończyć te raporty. I nie zapomnij powiedzieć Gusowi.

Gus ożywił się.

- Co masz mi powiedzieć? - Jego policzki poczerwieniały. Rozbłyły mu oczy. - Co to takiego? Jakiś prezent? Tajemnica?

Serce Jill ciążyło niczym ołów. Położyła dłoń na ramieniu dziecka.

- Chodźmy, Gus. Pójdziemy do ogrodu i tam ci powiem. Weź... weź ze sobą tygrysa.

Awaryjny widfax włączył się z kliknięciem. Lester skoczył na równe nogi.

- Cicho tam! - Oddychając pospiesznie, podbiegł do maszyny. - Wszyscy milczeć!

Jill i Gus przystanęli w drzwiach. Przez szparę wysuwała się poufna wiadomość. Lester porwał ją i złamał pieczęć. Zatopił się w uważnej lekturze.

- Co to jest? - zapytała Jill. - Coś złego?

- Złego? - Twarz Lestera jaśniała wewnętrznym blaskiem. - Nie, skądże. - Popatrzył na zegarek. - Najwyższa pora. Chwileczkę, będę potrzebował...

- Co się stało?

- Wyruszam w podróż. Nie będzie mnie dwa lub trzy tygodnie. Rexor IV został włączony w zakres naszych badań.

- Rexor IV? Jedziesz tam? - Jill ochoczo klasnęła w ręce. - Ach, zawsze chciałam zobaczyć stary układ, ruiny i miasta! Lester, czy też mogłabym pojechać? Mogę jechać z tobą? Nigdy nie byliśmy na wakacjach, a zawsze obiecywałeś...

Lester Herrick spoglądał w zdumieniu na żonę.

- Ty? - powiedział. - Ty miałabyś ze mną jechać? - Zaśmiał się nieprzyjemnie. - A teraz jazda, przygotować mi rzeczy do podróży. Długo na nią czekałem. - Z zadowoleniem zatarł ręce. - Chłopiec może zostać do mojego powrotu. Ale ani dnia dłużej. Rexor IV! Nie mogę się doczekać!

- Musisz wziąć na niego poprawkę - powiedział Frank. - Ostatecznie jest naukowcem.

- Nie obchodzi mnie to - odparła Jill. - Odchodzę. Jak tylko wróci z Rexora IV. Klamka zapadła.

Pogrążony w namyśle brat milczał. Wyciągnął nogi na trawniku niewielkiego ogródka.

- Cóż, jeżeli go zostawisz, nic nie stanie na przeszkodzie, abyś powtórnie wyszła za mąż. Wciąż należysz do kategorii seksualnie odpowiednich, prawda?

Jill twardo skinęła głową.

- Jasne, że tak. Nie miałabym z tym żadnych kłopotów. Może udałoby mi się znaleźć kogoś, kto lubi dzieci.

- Sporo myślisz o dzieciach - zauważył Frank. - Gus uwielbia cię odwiedzać. Ale nie przepada za Lesterem. Les mu dokucza.

- Wiem. Miniony tydzień bez niego to był istny raj. - Jill przygładziła miękkie, jasne włosy i zarumieniła się ładnie. - Doskonale się bawiłam. Dzięki niemu czuję, że żyję.

- Kiedy Lester wraca?

- Może wrócić w każdej chwili. - Jill zacisnęła drobne pięści. - Pobraliśmy się pięć lat temu i z roku na rok jest coraz gorzej. On jest taki... taki nieludzki. Zimny i bezwzględny do szpiku kości. Tylko on i jego praca. Dzień i noc.

- Les jest ambitny. Chce w swojej dziedzinie wspiąć się na szczyt. - Frank leniwie zapalił papierosa. - Ma w sobie dużo determinacji. Cóż, może mu się uda. W czym on siedzi?

- W toksykologii. Opracowuje dla armii nowe trucizny. To on wymyślił nasyconą siarczanem miedziowym skórkę od limony, którą wykorzystano przeciwko Callisto.

- To niewielka branża. A weźmy na przykład mnie. - Frank z zadowoleniem oparł się o ścianę domu. - Istnieją tysiące prawników Urzędu Oczyszczania. Mógłbym pracować przez lata bez żadnych godnych uwagi wyczynów. Po prostu cieszę się, że żyję. Wypełniam swoje obowiązki i czerpię z tego prawdziwą satysfakcję.

- Chciałabym, aby Lester podobnie rozumował.

- Może się zmieni.

- On nigdy się nie zmieni - odparła gorzko Jill. - Dlatego właśnie podjęłam decyzję o odejściu. On zawsze pozostanie taki sam.

Lester Herrick wrócił z Rexora IV jako inny człowiek. Rozpromieniony wręczył swoją antygravitacyjną walizkę czekającemu robotowi.

- Dziękuję.

Jill zaniemówiła - Les! Co...

Lester uchylił kapelusza, wykonując lekki ukłon.

- Dzień dobry, moja droga. Prześlicznie wyglądasz. Masz takie jasne i błękitne spojrzenie. Twoje oczy błyszczą niczym dziewicze jezioro zasilane dopływem górskich potoków. - Pociągnął nosem. - Czyżbym czuł wyborną woń gotującego się posiłku?

- Ach, Lester. - Jill zamrugowała niepewnie, czując w sercu cień nadziei. - Lester, co ci się stało? Jesteś taki... odmieniony.

- Czyżby, kochanie? - Lester chodził po domu i z westchnieniem dotykał różnych przedmiotów. - Co za uroczy domek. Taki miłutki i pełen ciepła. Nawet nie wiesz, jak cudownie jest tutaj wrócić. Możesz mi wierzyć.

- Obawiam się, że wierzę.

- W co?

- W to, że naprawdę tak myślisz. Że nie jesteś taki jak przedtem. Taki jak zawsze.

- Czyli jaki?

- Małostkowy. Małostkowy i okrutny.

- Ja? - Lester zmarszczył brwi, pocierając wargę. - Hmm. To ciekawe. - Rozchmurzył się. - Cóż, było, minęło. Co dzisiaj na obiad? Mdleję z głodu.

Idąc do kuchni, Jill nie spuszczała z niego podejrzliwego wzroku. - Co tylko chcesz, Lester. Przecież wiesz, że nasz piec oferuje maksymalny wybór.

- Naturalnie. - Lester odkasznął pospiesznie. - Cóż, wobec tego... czy możemy spróbować plaster polędwicy wołowej, średnio wysmażony, z cebulą? Do tego sos grzybowy. I białe bułeczki. Z gorącą kawą. A na deser może lody i jabłecznik.

- Nigdy nie przykładałeś szczególnej wagi do jedzenia - powiedziała z namysłem Jill. o07

- Tak?

- Zawsze powtarzałeś, że masz nadzieję, iż wreszcie dojdzie do skutku powszechne stosowanie dożylnego karmienia. - Bacznie spoglądała na męża. - Lester, co się stało?

- Nic. Zupełnie nic. - Lester nonszalancko sięgnął po fajkę i zapalił ją szybko, choć odrobinę niezgrabnie. Na chodnik posypało się kilka drobinek tytoniu. Pochylił się nerwowo i usiłował je zebrać. - Proszę cię, rób swoje i nie zwracaj na mnie uwagi. Może mam pomóc ci przygotować... to jest, czy w ogóle mógłbym w czymkolwiek pomóc?

- Nie - rzekła Jill. - Sama dam radę. Jak chcesz, możesz trochę popracować.

- Popracować?

- Nad swoimi badaniami. Nad toksynami.

- Toksyny! - Lester wyglądał na zbitego z tropu. - Na miłość boską! Toksyny. Do diabła z nimi!

- Słucham, kochanie?

- Chciałem powiedzieć, że w tej chwili czuję się zbyt zmęczony. Później popracuję. - Lester krążył niezdecydowanie po pokoju. - Chyba posiedzę sobie i nacieszę się domem. Szczęściem wróciłem już z tego przebrzydłego Rexora IV.

- Było aż tak źle?

- Okropnie. - Lester wykrzywił się z obrzydzeniem. - Jest wyschnięty i martwy. Stary jak świat i wyżęty na miązgę przez słońce i wiatr. Potworne miejsce, moja droga.

- Przykro mi to słyszeć. Zawsze chciałam tam polecieć.

- Boże broń! - wykrzyknął ze wzruszeniem Lester. - Zostaniesz tutaj, moja droga. Ze mną. Tylko... tylko my dwoje. - Omiótł spojrzeniem pokój. - Tak, tylko my dwoje. Terra jest cudowną planetą. Wilgotną i pełną życia. - Promieniał czystym szczęściem. - W sam raz.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziała Jill.

- Powtórz wszystko, co pamiętasz - rzekł Frank. Jego mechaniczny ołówek przybrał czujną postawę. - Zmiany, które w nim zaobserwowałaś. Bardzo jestem ciekaw.

- Dlaczego?

- Tak sobie. Mów dalej. Powiedziałaś, że natychmiast wyczułaś różnicę?

- Od razu. Wyraz jego twarzy. Pozbawiony swego zwykłego, rzeczowego rysu. Zamiast tego pojawiła się jakaś miękkość. Odprężenie. Dobroduszość. I spokój.

- Rozumiem - odparł Frank. - Co jeszcze?

Jill rzuciła nerwowe spojrzenie w kierunku otwartych tylnych drzwi.

- On nie może nas słyszeć, prawda?

- Nie. Bawi się z Gusem. W dużym pokoju. Dzisiaj odgrywają rolę wenusjańskich ludzi-wydr. Twój mąż zbudował ślizgawkę na tyle pracowni. Widziałem, jak ją odsłaniał.

- Jego mowa.

- Jego co?

- Sposób, w jaki się wypowiada. Dobór słów. Słów, jakich nigdy przedtem nie używał. Całkiem nowe sformułowania. Metafory. W ciągu pięciu lat wspólnego życia nie słyszałam, aby używał metafor. Twierdził, że są nieściste. Wprowadzają w błąd. I...

- I co? - Ołówek niezmordowanie skrobał po papierze.

- I to są dziwne słowa. Stare. Słowa, których już na co dzień się nie słyszy.

- Archaiczna frazeologia? - zapytał w napięciu Frank.

- Tak. - Jill spacerowała tam i z powrotem po trawniku z rękami w kieszeniach plastikowych szortów. - Formalne słownictwo. Zupełnie jak...

- Zupełnie jak w książce?

- Trafiłeś w sedno! Czyżbyś też na to zwrócił uwagę?

- Tak - Frank przybrał ponury wyraz twarzy. - Mów dalej.

Jill przystanęła.

- O co ci chodzi? Czy masz na ten temat jakąś teorię?

- Muszę poznać więcej faktów.

Zastanowiła się.

- Bawi się. Z Gusem. Bawi się i żartuje. No i... je.

- A przedtem nie jadł?

- Nie tak jak obecnie. Teraz uwielbia jedzenie. Chodzi do kuchni i próbuje niezliczonych kombinacji. Wspólnie z piecem przygotowują niestworzone rzeczy.

- Wydawało mi się, że przybrał na wadze.

- I to dziesięć funtów. Je, uśmiecha się. Przez cały czas jest uprzejmy. - Jill nieśmiało spuściła wzrok. - Nawet... romantyczny! A zawsze mówił, że to dopiero jest irracjonalne. Kompletnie stracił zainteresowanie pracą. Swoimi badaniami nad toksynami.

- Rozumiem. - Frank przygryzł dolną wargę. - Coś jeszcze.

- Zdumiewa mnie jedna rzecz. Co chwila przykuwa moją uwagę.

- Cóż takiego?

- On popełnia najdziwniejsze...

Wybuch śmiechu. Rozpromieniony Lester Herrick wypadł z domu z małym Gusem depczącym mu po piętach.

- Chcemy coś ogłosić! - wykrzyknął Lester.

- Ogłozidź! - po wtórzył jak echo GUS.

Frank złożył swoje notatki i razem z ołówkiem schował je do kieszeni płaszcza. Wstał.

- Co takiego?

- Ty powiedz - rzekł Lester, biorąc Gusa za rękę i wysuwając go na przód.

Okrągła twarz Gusa zmarszczyła się w skupieniu.

- Będę z wami mieszkał - oznajmił. Z obawą czekał reakcji Jill. - Lester mówi, że mogę. Mogę? Mogę, ciociu Jill?

Jej serce wypełniła niewypowiedziana radość. Przenosiła spojrzenie z jednego na drugiego.

- Czy... czy mówicie poważnie? - zapytała ledwo słyszalnym głosem.

Lester objął ją i przyciągnął do siebie.

- Oczywiście, że tak - powiedział czule. Jego oczy były pełne ciepła i zrozumienia. - Nie nabieralibyśmy cię, kochanie.

- Żadnego nabierania! - krzyknął podniecony GUS. - Nigdy więcej! - Wszyscy troje zbliżyli się do siebie. - Nigdy więcej!

Zasepiony Frank stał w pewnym oddaleniu od nich. Jill dostrzegła go i gwałtownie odłączyła się od pozostałych.

- Co się stało? - zająknęła się. - Czy coś...

- Kiedy skończycie - powiedział Frank do Lestera Harricka - chciałbym, abyś poszedł ze mną.

Serce Jill ogarnął chłód.

- O co chodzi? Czyja też mogę?

Frank potrząsnął głową. Z miną nie wróżącą nic dobrego przysunął się do Lestera.

- Idziemy, Herrick. Dalej. Ty i ja wybierzemy się na małą przejażdżkę.

Trzej agenci Federalnego Urzędu do spraw Oczyszczania zajęli miejsca w odległości kilku stóp od Lestera Herricka, trzymając w pogotowiu uniesione wibrotuby.

Kierownik Douglas długo spoglądał na Herricka.

- Jest pan pewien? - zapytał w końcu.

- Na sto procent - odparł Frank.

- Kiedy wrócił z Rexora IV?

- Tydzień temu.

- Zmiana rzucała się w oczy od samego początku?

- Jego żona dostrzegła ją natychmiast, gdy powrócił. Nie ma wątpliwości, że nastąpiła na REXORZE. - Frank zrobił znaczącą pauzę. - Sam pan wie, co to oznacza.

- Owszem. - Douglas powoli okrążył siedzącego, oglądając go ze wszystkich stron.

Lester Herrick siedział spokojnie, z porządnie przerzuconym przez kolano płaszczem. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, oparł dłonie na zakończonej kościaną gałką lasce. Miał na sobie miękki szary garnitur, stonowany krawat, francuskie mankiety i wypolerowane czarne buty. Milczał.

- Ich metody są proste i dokładne - powiedział Douglas. - Oryginalna treść psychiczna jest usuwana i przechowywana - w czymś w rodzaju zawieszania. Aplikacja substytutu odbywa się natychmiast. Lester Herrick zapewne właśnie myszkował wśród ruin na Rexorze, lekceważąc zasady bezpieczeństwa - czyli tarczę bądź kontrolowaną manualnie osłonę - i wtedy go dopadli.

Siedzący drgnął.

- Bardzo chciałbym skontaktować się z Jill - mruknął. - Na pewno się martwi.

Frank odwrócił się wstrząśnięty.

- Boże. On nadal udaje.

Kierownik Douglas opanował się z ogromnym wysiłkiem.

- To rzeczywiście zdumiewające. Żadnych zmian fizycznych. Mógłbyś na niego patrzeć i niczego nie podejrzewać. - Z zaciętą twarzą podszedł do siedzącego. - Słuchaj no ty, jak ci tam. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Naturalnie - odparł Lester Herrick.

- Czyżbyś naprawdę uważał, że ujdzie ci to na sucho? Złapaliśmy pozostałych - tych przed tobą. Wszystkich dziesięciu. Jeszcze zanim zdążyli się tu zjawić. - Douglas uśmiechnął się zimno. - Zostali wibronapromieniowani, jeden po drugim.

Lesterowi Herrickowi krew odpłynęła z twarzy. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Otarł je wyjętą z kieszeni na piersiach jedwabną chustką.

- Ach tak? - mruknął.

- Nie nabierzesz nas. Postawiono w stan gotowości całą Terrę. Dziwię się, że w ogóle zdołałeś wymknąć się z Rexora. Herrick musiał być niezwykle lekkomyślny. Pozostałych nakryliśmy jeszcze na pokładzie statku. Usmażyliśmy ich w przestrzeni kosmicznej.

- Herrick posiadał prywatny samolot - wtrącił siedzący. - Ominął stację kontrolną. Nie istniał żaden zapis dotyczący jego przybycia. W ogóle go nie sprawdzano.

- Usmażyć go! - wycedził Douglas. Trzej agenci unieśli swoje tuby, czyniąc krok do przodu.

- Nie. - Frank potrząsnął głową. - Nie możemy. To kiepska sytuacja.

- Co pan przez to rozumie? Niby dlaczego nie możemy? Zrobiliśmy to zresztą...

- Tamtych złapano w przestrzeni kosmicznej. Tego tu, na Terze. Obowiązuje nas prawo terrańskie, a nie wojskowe. - Frank machnął ręką w kierunku siedzącego. - To znajduje się w ciele człowieka. Podlega zwyczajowemu prawu cywilnemu. Musimy udowodnić, że to nie Lester Herrick, lecz rexoriński infiltrator. To może okazać się trudne. Ale możliwe do wykonania.

- W jaki sposób?

- Jego żona. Żona Herricka. Wykorzystamy jej zeznanie. Jill Herrick wykaże różnice pomiędzy Lesterem Herrickiem a tą istotą. Ona wie - i sądzę, że to zadowoli wymiar sprawiedliwości.

Było późne popołudnie. Frank wolno prowadził swój krążownik. Zarówno on, jak i Jill milczeli.

- A więc o to chodzi - powiedziała wreszcie Jill. Jej twarz poszarzała. Oczy były suche i błyszczące, pozbawione wszelkich emocji. - Wiedziałam, że to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. - Próbowała się uśmiechnąć. - A wydawało się takie wspaniałe.

- Wiem - odrzekł Frank. - To paskudna sprawa. Gdyby tylko...

- Dlaczego? - przerwała mu Jill. - Dlaczego on... ta istota to zrobiła? Dlaczego zabrała Lesterowi ciało?

- Rexus IV to stara planeta. Ginąca. Życie na niej obumiera.

- Teraz pamiętam. On... wspominała coś na ten temat. Coś na temat Rexusa. Że cieszy się, iż zdołała się stamtąd wymknąć.

- Rexusianie to stara rasa. Pozostała zaledwie garstka niedobitków. Od stuleci próbują wyemigrować. Jednak ich ciała są na to za słabe. Kilku usiłowało przenieść się na Wenus - i natychmiast umarło. Ten system został opracowany około stu lat temu.

- Ale ileż on wie. O nas. Mówi naszym językiem.

- Niezupełnie. Zmiany, o których wspominałaś. Dziwaczny styl. Widzisz, Rexusianie dysponują nikłą wiedzą na temat człowieka. Na podstawie terrańskich przedmiotów - głównie książek - które znalazły się na Rexusie, wymyślili sobie pewien idealny obraz. Rexusiański obraz Terry powstał na podstawie liczącej stulecia literatury terrańskiej. Romantyczne powieści z przeszłości. Język, zwyczaje, maniery żywcem zaczerpnięte ze starych terrańskich książek.

To wyjaśnia te jego przestarzałe cechy. Badał Terrę. Jednak przeprowadził to w pośredni i bałamutny sposób. - Frank uśmiechnął się krzywo. - Rexusianie znajdują się około dwustu lat za nami, a to znaczna różnica. Dzięki temu potrafimy ich zidentyfikować.

- Czy takie sytuacje są na... porządku dziennym? Czy często się zdarzają? To brzmi niewiarygodnie. - Jill ze zmęczeniem potarła czoło. - Zupełnie jak sen. Trudno uwierzyć, że to wszystko stało się naprawdę. Dopiero zaczynam rozumieć, co to oznacza.

- W galaktyce roi się od najprzeróżniejszych obcych form życia. Są to pasożytnicze i niszczycielskie istoty. Nie obejmuje ich obowiązująca na Terze etyka. Musimy zachowywać nieustanną czujność. Lester niczego nie podejrzewał - i to stworzenie wyrugowało go z ciała, a

następnie zajęło jego miejsce.

Frank zerknął na siostrę. Twarz Jill była pozbawiona wyrazu. Drobną, surową twarz o rozszerzonych, lecz tchnących opanowaniem oczach. Siedziała prosto, zapatrzona przed siebie, ze spokojnie złożonymi na kolanach rękami.

- Załatwimy to w ten sposób, że w ogóle nie będziesz musiała przychodzić do sądu - ciągnął Frank. - Nagramy twoje oświadczenie i przedstawimy jako dowód. Jestem pewien, że to wystarczy. Sądy Federalne przyjdą nam z pomocą, ale musimy mieć jakiś dowód, aby wszcząć sprawę.

Jill milczała.

- I co ty na to? - zapytał Frank.

- Co nastąpi, kiedy sąd już podejmie decyzję?

- Wibronapromieniują go. Zniszczą rexoriński umysł. Terrańska jednostka patrolowa na Rexor IV wyśle ekspedycję, która zlokalizuje... hm... oryginalną zawartość.

Jill zaczerpnęła tchu. W zdumieniu popatrzyła na brata.

- To znaczy...

- Ależ tak. Lester żyje. Trwa w zawieszeniu, gdzieś na Rexorze. W jednym ze starych, zrujnowanych miast. Będziemy musieli nakłonić ich do wydania go. Nie będą chcieli, ale zrobią to. Tak jak robili już nie raz. Następnie wróci do ciebie. Cały i zdrowy. Zupełnie taki sam jak przedtem. Koszmar, w jakim żyłaś, minie bezpowrotnie.

- Rozumiem.

- Jesteśmy na miejscu. - Krążownik zatrzymał się przed imponującą siedzibą Federalnego Urzędu do spraw Oczyszczania. Frank wysiadł szybko, przytrzymując siostrze drzwi. Jill po chwili znalazła się na chodniku. - W porządku? - zapytał Frank.

- W porządku.

Kiedy wkroczyli do budynku, agenci przeprowadzili ich przez ekrany kontrolne, po czym powiedli długimi korytarzami. Wysokie obcasy Jill stukały głośno w złowrogiej ciszy.

- Ale miejsce, co? - zauważył Frank.

- Niezbyt przyjazne.

- Weź pod uwagę, że jest to osławiony posterunek policji. - Frank przystanął. Dotarli do strzeżonych drzwi. - To tutaj.

- Zaczekaj. - Ogarnięta paniką Jill zrobiła krok do tyłu. - Ja...

- Poczekamy, aż będziesz gotowa. - Frank gestem nakazał agentowi odejść. - Rozumiem. To nieprzyjemna sprawa.

Jill stała przez chwilę ze spuszczoną głową. Wzięła głęboki oddech, zaciskając drobne dłonie. Uspokojona podniosła podbródek.

- Już dobrze.

- Gotowa?

- Tak.

Frank otworzył drzwi.

- Jesteśmy.

Kierownik Douglas i trzech agenci pełni oczekiwania zwrócili się w stronę drzwi.

- Dobrze - mruknął z ulgą Douglas. - Już zaczynałem się niepokoić.

Siedzący mężczyzna uniósł się powoli, podnosząc płaszcz. W napięciu zacisnął dłonie na kościanej gałce laski. Milczał. Bez słowa patrzył, jak kobieta w towarzystwie Franka przestępuje próg sali.

- To pani Herrick - powiedział Frank. - Jill, a to kierownik Douglas.

- Słyszałam o panu - rzekła słabo Jill.

- Zatem wie pani, na czym polega nasza praca.

- Tak, wiem.

- To nader niefortunna okoliczność. Takie rzeczy już się zdarzały. Nie wiem, co Frank pani powiedział...

- Objaśnił mi sytuację.

- To dobrze - skwitował z ulgą Douglas. - Bardzo się z tego cieszę. Trudno to wytłumaczyć. A więc pani wie, czego chcemy. Poprzednie incydenty zdarzyły się w przestrzeni kosmicznej. Wibronapromieniowaliśmy tamtych osobników i odzyskaliśmy oryginalną zawartość. Tym razem jednak musimy podążać drogą prawną. - Douglas podniósł dyktawid. - Potrzebujemy pani oświadczenia, pani Herrick. Zważywszy na brak zmian fizycznych, nie mamy żadnych bezpośrednich dowodów na poparcie naszego stanowiska. Będziemy mieli jedynie pani zeznanie na temat zmiany charakteru, które zaprezentujemy w sądzie.

Wręczył jej dyktawid. Jill wzięła go powoli.

- Pani oświadczenie bez wątplenia zostanie zaakceptowane przez sąd. Uzyskawszy pozwolenie od sądu, będziemy mogli podjąć dalsze kroki. Jeśli wszystko przebiegnie bez zakłóceń, mamy nadzieję przywrócić miniony stan rzeczy.

Jill spoglądała w milczeniu na mężczyznę stojącego w kącie z płaszczem i laską o kościanej gałce.

- Miniony stan rzeczy? - powiedziała. - Co pan przez to rozumie?

- Sprzed zamiany.

Jill zwróciła się w kierunku Douglasa. Spokojnie odłożyła dyktawid na stół.

- O jakiej zamianie pan mówi?

Douglas zbladł. Oblizął wargi. Wszystkie spojrzenia powędrowały w stronę Jill.

- O tej, która nastąpiła w nim. - Wskazał na mężczyznę.

- Jill! - warknął Frank. - Co się z tobą dzieje? - Podszedł do niej pospiesznie. - Co ty, u licha, wyrabiasz? Dobrze wiesz, o jaką zamianę chodzi!

- Dziwne - odparła z namysłem Jill. - Ja nie zauważyłam żadnej różnicy.

Frank i kierownik Douglas popatrzyli na siebie.

- Nic z tego nie rozumiem - mruknął oszołomiony Frank.

- Pani Herrick... - zaczął Douglas.

Jill podeszła do stojącego cicho w rogu mężczyzny.

- Czy możemy już iść, kochanie? - zapytała. Ujęła go pod ramię. - A może istnieją jakieś powody, dla których mój mąż miałby tu zostać?

Mężczyzna i kobieta szli w milczeniu ciemną ulicą.

- Chodźmy - powiedziała Jill. - Chodźmy do domu.

Mężczyzna obrzucił ją spojrzeniem.

- Jakie ładne popołudnie. - Głęboko zaczerpnął powietrza w płuca. - Idzie wiosna - chyba. Prawda?

Jill skinęła głową.

- Nie byłem pewien. Tak przyjemnie pachnie. Kwiaty, ziemia, kiełkujące rośliny.

- Tak.

- Pójdziemy na piechotę? Czy to daleko?

- Niezbyt.

Mężczyzna popatrzył na nią bacznie z poważnym wyrazem twarzy.

- Wiele ci zawdzięczam, moja droga - powiedział.

Jill kiwnęła głową.

- Chciałbym ci podziękować. Muszę przyznać, że nie oczekiwałem takiej...

Jill raptownie zwróciła się w jego stronę.

- Jak masz na imię? Jak masz naprawdę na imię?

Szare oczy mężczyzny rozbliły. Uśmiechnął się nieznacznie miłym, delikatnym uśmiechem.

- Obawiam się, że nie byłabyś w stanie go wymówić. Nie sposób wyartykułować tych dźwięków...

Zamyślona Jill nie odpowiedziała. Wokół nich rozbliżywały światła miasta. Jaskrawożółte punkty rozpraszające ciemność.

- O czym myślisz? - zapytał mężczyzna.

- Myślałam o tym, że może nadal będę mówić na ciebie Lester - odrzekła Jill. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Ależ skąd - odparł mężczyzna. Objął ją i przyciągnął. Kiedy wędrowali przez gęstniejący mrok wśród oświetlających drogę żółtych świateł, mężczyzna spoglądał na nią ciepło.

- Cokolwiek sobie życzysz. Obyś tylko czuła się szczęśliwa.

EKIPA DOSTOSOWAWCZA

Był jasny poranek. Promienie słońca padały na wilgotne skwery i chodniki, odbijając się od połyskujących na parkingach samochodów.

Nadszedł Urzędnik, przerzucający ze zmarszczonymi brwiami swoje notatki. Na chwilę

przystanął przed małym zielonym domem ozdobionym sztukaterią, po czym skręcił na podjazd i wszedł na podwórko.

Pies spał w swojej budzie odwrócony plecami do całego świata. Widać było jedynie jego puszysty ogon.

- Na miłość boską - wykrzyknął Urzędnik, biorąc się pod boki. Hałaśliwie postukał mechanicznym ołówkiem w podkładkę do dokumentów. - Ty tam, obudź się.

Pies drgnął. Mrugając w słońcu i ziewając, powoli, głową do przodu wylał z budy.

- Ach, to ty. Już czas? - Ziewnął ponownie.

- Przed nami masa roboty. - Urzędnik powiódł palcem wzdłuż planszy kontroli ruchu. - Dziś rano dostosowują sektor T137. Rozpoczynają punkt dziewiąta. - Zerknął na kieszonkowy zegarek. - Trzygodzinna alteracja. Do południa powinni się z nią uporać.

- T137? To niedaleko stąd.

Urzędnik wykrzywił z pogardą wąskie usta.

- Rzeczywiście. Wykazujesz zadziwiającą przenikliwość, mój czarnowłosy przyjacielu. Może spróbujesz odgadnąć, w jakim celu się tu znalazłem.

- Zachodzimy na T137.

- Dokładnie. W grę wchodzi obiekty z tego sektora. Musimy dopilnować, aby z chwilą rozpoczęcia dostosowania znalazły się tam, gdzie trzeba. - Spojrzenie Urzędnika powędrowało w kierunku zielonego domu pokrytego stiukami. - Twoje zadanie dotyczy mieszkającego tu mężczyzny. Pracuje dla korporacji leżącej w obrębie sektora T137. Konieczne jest, aby dojechał tam przed dziewiątą.

Pies popatrzył na dom. Story podniesiono do góry. W kuchni paliło się światło. Za koronkową firanką widać było krążące wokół stołu niewyraźne sylwetki. Kobieta i mężczyzna. Pili kawę.

- Tam są - mruknął pies. - Mężczyzna, powiadasz? Chyba nic mu się nie stanie, co?

- Oczywiście, że nie. Niemniej jednak musi wcześniej znaleźć się w biurze. Z reguły wychodzi z domu dopiero po dziewiątej. Dziś musi wyjść o ósmej trzydzieści. Powinien być w sektorze T137 jeszcze przed rozpoczęciem procesu, gdyż inaczej nie obejmą go współgrające z dostosowaniem zmiany.

Pies westchnął.

- To oznacza, że muszę dać sygnał.

- Zgadza się. - Urzędnik skontrolował regulamin. - Sygnał ma zostać nadany dokładnie

kwadrans po ósmej. Nie później.

- Co przyniesie sygnał o ósmej piętnaście?

Urzędnik otworzył z trzaskiem regulamin i sprawdził kolumny kodowe.

- Spowoduje przybycie Przyjaciela z Samochodem, który wcześniej zawiezie go do pracy. - Zamknął książkę i w oczekiwaniu skrzyżował ręce na piersiach. - W ten sposób znajdzie się w biurze prawie na godzinę przed czasem. A to ważne.

- Ważne - mruknął pies. Do połowy schował się w budzie. Przymknął oczy. - Ważne.

- Wstawaj! Trzeba wykonać to o ściśle określonej porze. Jeżeli nadasz sygnał za wcześnie lub zbyt późno...

Pies sennie kiwnął głową.

- Wiem. Zrobię to jak należy. Zawsze robię to jak należy.

Ed Fletcher dolał sobie śmietanki do kawy. Z westchnieniem odchylił się na krześle. Piekarnik szumiał cicho za jego plecami, wypełniając kuchnię ciepłymi oparami. Z wiszącej u sufitu lampy padało żółte światło.

- Jeszcze jedną bułkę? - zapytała Ruth.

- Najadłem się. - Ed upił łyk kawy. - Możesz ją wziąć.

- Muszę lecieć. - Ruth wstała i rozwiązała szlafrok. - Pora iść do pracy.

- Już?

- Jasne. Ty szczęściarzu! Też wolałabym jeszcze posiedzieć. - Ruth skierowała się w stronę łazienki, przeczesując palcami długie czarne włosy. - Kiedy się pracuje dla rządu, trzeba zaczynać od samego rana.

- Ale też i wcześniej się kończy - zaznaczył Ed. Rozłożył "Chronicie", studiując dział sportowy. - Cóż, baw się dobrze. Uważaj przy pisaniu na maszynie, nie wystukaj tam żadnych dwuznaczności.

Trzasnęły drzwi od łazienki, po czym Ruth zrzuciła szlafrok i zaczęła się ubierać.

Ed ziewnął i popatrzył na wiszący nad zlewem zegar. Mnóstwo czasu. Nawet nie minęła ósma. Dopił kawę i podrapał się w podbródek. Musi się ogolić. Leniwie wzruszył ramionami. Kwestia dziesięciu minut, nie więcej.

Ruth wypadła z łazienki w nylonowej halce i pobięła do sypialni.

- Jestem spóźniona. - Biegała po pokoju, wciągając bluzkę i spódnice, rajstopy i białe pantofle. Wreszcie pochyliła się nad nim i pocałowała go. - Do widzenia, skarbie. Wieczorem zrobię zakupy.

- Na razie. - Ed opuścił gazetę i czule objął smukłą talię żony. - Ładnie pachniesz. Tylko nie flirtuj mi z szefem.

Ruth wybiegła z domu, stukając na schodach obcasami. Odgłos jej kroków stopniowo przycichł.

Poszła. W domu zapanowała cisza. Został sam.

Wstał, odsuwając krzesło. Leniwie przeszedł do łazienki i wyjął brzytwę. Ósma dziesięć. Umył twarz, nałożył krem do golenia i zaczął się golić. Robił to od niechcienia. Miał przecież mnóstwo czasu.

Nerwowo oblizując wargi, Urzędnik pochylił się nad zegarkiem kieszonkowym. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Duża wskazówka posuwała się do przodu. Ósma czternaście. Już prawie czas.

- Przygotuj się! - wrzasnął Urzędnik. Wyprężył wężkie ciało. - Zostało dziesięć sekund!

- Teraz! - krzyknął.

I nic się nie wydarzyło.

Urzędnik odwrócił się, wybałuszając z przerażenia oczy. Z budy wystawał puszysty czarny ogon. Pies w najlepsze wrócił do spania.

- TERAZ! - wrzasnął Urzędnik. Z furią kopnął puchaty kłębek. - Na litość boską...

Pies drgnął. Odwrócił się pospiesznie i wypadł z budy.

- Raju. - Zakłopotany podbiegł do płotu. Stanąwszy na tylnych łapach, szeroko otworzył pysk. - Hau! - zasygnalizował. Zerknął przeproszająco na Urzędnika. - Przepraszam. Nie rozumiem, jak...

Przejęty zgrozą Urzędnik nie odrywał wzroku od zegarka. Wskazówki pokazywały ósmą szesnaście.

- Zawaliłeś sprawę - wycedził. - Zawaliłeś sprawę! Ty nędzny, zapchlony, parchaty baranie! Zawaliłeś sprawę!

Pies opadł z powrotem na cztery łapy i zaniepokojony wrócił do Urzędnika.

- Mówisz, że zawaliłem sprawę? Czy to znaczy, że sygnał został nadany...

- Za późno. - Nachmurzony Urzędnik powoli schował zegarek. - Nadałeś sygnał za późno. Nie będzie Przyjaciela z Samochodem. Trudno przewidzieć rezultaty. Boję się pomyśleć, co przyniesie ósma szesnastka.

- Mam nadzieję, że on trafi do sektora T137 na czas.

- Nie trafi - jęknął Urzędnik. - Na pewno nie trafi. Popelniliśmy błąd. Naruszyliśmy bieg wypadków!

Ed zmywał właśnie z twarzy krem do golenia, kiedy przez pogrążony w ciszy dom przetoczyło się stłumione echo psiego szczeknięcia.

- Cholera - mruknął Ed. - Obudzi całą okolicę. - Nasłuchując, wytarł twarz. Czyżby ktoś nadchodził?

Wibracje. Po czym...

Zadzwonił dzwonek u drzwi.

Ed wyszedł z łazienki. Kto to mógł być? Czy Ruth o czymś zapomniała? Narzucił białą koszulę i otworzył drzwi.

Wyjrzała na niego rozpromieniona i gorliwa twarz młodego mężczyzny.

- Dzień dobry, sir. ~ Uchylił kapelusza. - Przepraszam, że tak wcześnie zakłócam panu spokój...

- Czego pan chce?

- Należę do Federalnego Towarzystwa Ubezpieczeń na Życie. Przyszedłem w sprawie...

Ed przymknął drzwi.

- Nie jestem zainteresowany. Spieszę się. Muszę iść do pracy.

- Pańska żona twierdziła, że to jedyna pora, kiedy jest pan osiągalny. - Młody człowiek podniósł swoją teczkę i na powrót uchylił drzwi. - Specjalnie prosiła mnie, abym przyszedł tak wcześnie. Zwykle zaczynamy później, jednakże tym razem wziąłem pod uwagę jej prośbę.

- Dobrze. - Z pełnym rezygnacji westchnieniem Ed wpuścił go do środka. - Niech pan przedstawi wasze warunki, ja tymczasem będę się ubierał.

Młody człowiek otworzył na tapczanie swoją teczkę, dobywając z niej sterty broszur i ilustrowanych folderów.

- Jeśli można, pragnąłbym przedstawić panu kilka danych. Dla pana oraz pańskiej rodziny niezmiernie ważne jest, aby...

Ed siedział na tapczanie pochłonięty przeglądaniem broszur. Wykupił dla siebie polisę ubezpieczeniową na dziesięć tysięcy, po czym pozbył się agenta. Spojrzał na zegarek. Prawie wpół do dziesiątej!

- Cholera. - Ani chybi się spóźni. Skończył wiązanie krawata, chwycił płaszcz, wyłączył piec i światło, wrzucił naczynia do zlewu i wypadł na ganek.

Biegąc w stronę przystanku autobusowego, przeklinał w duchu. Agent ubezpieczeniowy. Czy ten idiota musiał zjawić się właśnie wtedy, kiedy on szykował się do wyjścia?

Ed jęknął. Trudno przewidzieć konsekwencje tego spóźnienia. Do biura dotrze kilka minut przed dziesiątą. Stał się czujny. Szósty zmysł podpowiadał mu, że coś się wydarzy. Coś złego. To nie był dobry dzień na spóźnienie.

Gdyby tylko nie napatoczył się ten komiwojażer.

Ed wyskoczył z autobusu jeden budynek przed swoim biurem. Ruszył przed siebie dziarskim krokiem. Na dużym zegarze wiszącym na jubilerskim sklepie Steina dochodziła dziesiąta.

Zamarło w nim serce. Stary Douglas bez wątpienia zrobi mu piekło. Już to widział. Douglasa nerwowo wydmuchującego dym z nabrzmiałą czerwienią twarzą i wymierzonym w niego grubym palcem; pannę Evans kryjącą uśmiech za maszyną do pisania; wykrzywionego szyderczo Jackie pomocnika; Earla Hendricksa; Joego i Toma; ciemnooką Mary o imponującym biuście i długich rzęsach. Ich wszystkich, kpiących z niego przez resztę dnia.

Doszedł do rogu i zatrzymał się na światłach. Po drugiej stronie ulicy wznosił się duży biały budynek z betonu, strzelista kolumna stali i cementu, dźwigary i oszklone okna - siedziba jego firmy. Ed wzdrygnął się. A gdyby tak powiedział, że winda stanęła między piętrami. Na przykład pomiędzy drugim a trzecim.

Zmieniło się światło. Oprócz niego na chodniku nie było nikogo. Samotnie przeszedł na drugą stronę. Wskoczył na krawężnik...

I stanął jak wryty.

Słońce zgasło. Sekundę wcześniej słało na ziemię swoje promienie jak gdyby nigdy nic. I naraz znikło. Ed poderwał głowę. Nad nim przetaczały się szare obłoki. Olbrzymie, bezkształtne obłoki. Nic więcej. Złowrogie, gęste kłęby odbierające przedmiotom ich realny kształt. Poczul przyływ dreszczy. Co tu się dzieje?

Ostrożnie zrobił krok do przodu, brnąc na oślep przez mgłę. Okolicę spowijała głucha cisza. Nie maćił jej żaden dźwięk - choćby odgłos przejeżdżającego samochodu. Ed rozglądał się rozpaczliwie, usiłując przeniknąć wzrokiem kłębiące się opary. Żadnych ludzi. Żadnych pojazdów. Słońca. Kompletna pustka.

Na wprost niego upiornie zamajaczyła sylwetka biura. Miała barwę niewyraźnej szarości. Niepewnie wyciągnął ręce...

Fragment budynku odłamał się. Runął w dół masą wirujących cząsteczek. Jak piasek. Ed spoglądał przed siebie ogłupiałym wzrokiem. Kaskada zszarzałych odłamków legła u jego stóp. W miejscu, którego dotknął ręką, ziała poszarpana dziura - szpetny wyłom psujący harmonię gładkiej betonowej powierzchni.

Oszołomiony, skierował się ku schodom. Wstąpił na nie. Zapadły mu się pod stopami. Brnął z wysiłkiem przez kruszącą się pod jego ciężarem zmurszałą materię.

Wszedł do holu. Był ciemny i niewyraźny. Mrugające u sufitu lampy bez powodzenia usiłowały rozproszyć panujący wewnątrz mrok. Wszystko osnuwała nieziemska zasłona.

Odszukał stoisko z papierosami. Pochylony sprzedawca opierał się o ladę z pustą twarzą i sterczącą między zębami wykałaczką. Był szary. Od stóp do głów spowijała go szarość.

- Hej - wychrypiał Ed. - Co się dzieje?

Sprzedawca nie odpowiedział. Ed wyciągnął rękę. Dotknęła ramienia sprzedawcy i przeszła na drugą stronę.

- Dobry Boże - powiedział Ed.

Ramię sprzedawcy odpadło. Spadło na podłogę, rozsypując się na kawałki. Fragmenty zszarzałych włókien. Jak pył. Ed poczuł nagły zawrót głowy.

- Pomocy! - krzyknął, odzyskując głos.

Bez odpowiedzi. Rozejrzał się wokół. Wyłowił spojrzeniem kilka stojących tu i ówdzie kształtów: mężczyznę czytającego gazetę, dwie kobiety czekające na windę.

Ed podszedł do mężczyzny. Wyciągnął rękę i dotknął go.

Mężczyzna z wolna opadł na ziemię, gdzie zamienił się w stertę szarego popiołu. To samo spotkało dwie kobiety. Pod jego dotknięciem rozsypały się w pył, nie wydając przy tym najlżejszego odgłosu.

Ed odszukał schody. Chwycił balustradę i wspiął się na nie. Zapadły mu się pod nogami. Przyspieszył kroku. Zostawiał za sobą wyraźnie odcisnięte w betonie ślady. Dotarł na drugie piętro w chmurze wirującego pyłu.

Spojrzał w dół cichego korytarza. Dostrzegł więcej dryfujących cząsteczek. Nie dochodził go żaden dźwięk. Wokół królowała ciemność - fale skłębionego mroku.

Niepewnie wspiął się na trzecie piętro. Naraz przebił na wylot butem jeden ze schodów. Na

pełną zgrozy chwilę zawisł nad ziejącą pod nim bezdenną przepaścią.

Następnie podjął wędrówkę, aż wreszcie stanął pod drzwiami swojego biura: DOUGLAS & BLAKE, BIURO NIERUCHOMOŚCI.

Pogrążony w półmroku hol zasnuty był chmurami pyłu. Umieszczone pod sufitem światła migają kapryśnie. Ujął klamkę. Rozpadła się pod jego dotknięciem. Upuścił ją i wbił palce w drzwi. Szklana płyta rozprysnęła się na kawałki. Przedarłszy się przez drzwi, wkroczył do biura.

Panna Evans siedziała przy maszynie do pisania ze spokojnie opartymi na klawiaturze palcami. Nie poruszała się. Jej włosy, skórę i odzież pokrywała warstwa szarości. Była bezbarwna. Ed dotknął jej. Jego palce bez trudu przeszły przez ramię kobiety.

Cofnął się wstrząśnięty. Panna Evans ani drgnęła.

Poszedł dalej. Otarł się o biurko, które natychmiast zmieniło się w zbutwiałą stertę pyłu. Earl Hendricks stał obok chłodziarki z kubkiem w dłoni. Wyglądał jak nieruchomy, szary posąg. Żadnego ruchu. Żadnego dźwięku. Najmniejszych śladów życia. Całe biuro trwało w nieruchomej martwocie szarości.

Ed ponownie znalazł się na korytarzu. Oszołomiony potrząsnął głową. Co to miało znaczyć? Czyżby tracił zmysły? Czyżby...?

Dźwięk.

Odwrócił się, spoglądając w szarą mgłę. Pospiesznie nadciągała ku niemu jakaś postać. Mężczyzna - mężczyzna w białej szacie. Za nim nadchodzili inni. Mężczyźni w bieli, obwieszeni masą sprzętu. Taszczyli jakąś skomplikowaną maszynę.

- Hej - wydusił słabo Ed.

Mężczyźni zamarli z otwartymi ustami. Wybałuszyli oczy.

- Patrzcie!

- Coś poszło nie tak!

- Jeden wciąż na chodzie.

- Dajcie tu deenergetyzator.

- Nie możemy kontynuować, dopóki...

Mężczyźni podeszli do Eda, usiłując zamknąć go w swoim kręgu. Jeden z nich trzymał długą rurę zakończoną czymś w rodzaju dyszy. Nadjechał ręcznie pchany wózek. Pospiesznie wykrzykiwano instrukcje.

Ed otrząsnął się z odrętwienia. Owładnął nim strach. Wpadł w panikę. Działo się coś potwornego. Musiał uciec. Uprzedzić pozostałych.

Odwrócił się i rzucił pędem w kierunku schodów. Zapadały mu się pod stopami. Upadł w połowie schodów i sturlał się w dół w kłębach pyłu. Skoczył na równe nogi i pognął na parter.

Westybul ginał pod warstwą oparów. Na oślep skierował się ku drzwiom. Za nim pędzili biało odziani mężczyźni, ciągnąc za sobą swój sprzęt i krzycząc jeden przez drugiego.

Wypadł na chodnik. Za jego plecami budynek zatrzęsł się i przechylił na jedną stronę, syjąc kaskadami pyłu. Podbiegł do rogu, mężczyźni deptali mu po piętach. Wokół niego zawirował obłok szarości. Przeciął ulicę z wyciągniętymi przed siebie rękami. Dotarł do przeciwległego krawężnika...

Słońce ponownie wróciło na firmament, oblewając go ciepłym, złocistym blaskiem. Zatrąbiły klaksony samochodów. Zmieniły się światła drogowe. Wokół sunęły tłumy kobiet i mężczyzn w barwnych wiosennych ubraniach: robiący zakupy, ubrany na niebiesko policjant, obnośni sprzedawcy z walizczkami. Sklepy, witryny, znaki... hałaśliwe pojazdy przemykające ulicą...

A nad głowami świeciło słońce i rozciągała się znajoma błękitna płachta nieba.

Ed przystanął, chwytając oddech. Odwrócił się i popatrzył w kierunku, z którego przybył. Po drugiej stronie jezdni w nie zmienionej postaci wznosił się jego biurowiec. Solidny i wyrazisty. Masywna sylwetka z betonu, szkła i stali.

Cofając się, wpadł na zdążającego z przeciwnej strony przechodnia.

- Hej - chrząknął mężczyzna. - Uważaj pan.

- Przepraszam. - Ed potrząsnął głową, usiłując pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia. Z miejsca, gdzie stał, widział biurowiec w całej jego niezmiennej okazałości.

Jednak minutę temu...

Może zwariował. Przecież widział, jak budynek obraca się w ruinę. Budynek - i ludzie. Rozsypywali się w szare sterty pyłu. I gonili go mężczyźni w bieli. Mężczyźni w białych szatach, wykrzykujący rozkazy i ciągnący za sobą skomplikowany sprzęt.

Zwariował. Nie znajdował na to innego wytłumaczenia. Ostatkiem sił odwrócił się na pięcie i powłókł chodnikiem, czując zamęt w głowie. Szedł na oślep i bez celu, zagubiony w labiryncie niepewności i przerażenia.

Sprowadzono Urzędnika do najwyższej izby administracyjnej i kazano mu czekać.

Nerwowo spacerował tam i z powrotem, z niepokojem załamując ręce. Zdjął okulary i wytarł je drżącymi rękami.

Chryste. To ci dopiero ambaras. Ale przecież to nie jego wina. Lecz, rzecz jasna, on zbierze cięgi. Do niego należało dopilnowanie, żeby Nawoływacze należycie wywiązali się ze swoich zadań. A ten nędzny pchlarz w najlepsze wrócił do spania - w związku z czym on za to odpowie.

Otwarto drzwi.

- W porządku - mruknął czyjś zaafierowany głos - zmęczony i przesycony troską. Urzędnik zadrżał i powoli przestąpił próg, czuł, jak krople potu kapią mu na celuloidowy kołnierz.

Odkładając księgę, Starzec podniósł wzrok. Mierzył Urzędnika spokojnym spojrzeniem tchnących łagodnością bladoniebieskich oczu - ich głęboka, wiekowa łagodność, sprawiła, że drżenie Urzędnika się wzmogło. Wyjął chustkę i otarł czoło.

- Rozumiem, iż nastąpiła pomyłka - mruknął Starzec. - W związku z sektorem T137. Miała coś wspólnego z obiektem z sąsiedniej okolicy.

- Zgadza się - odparł świszczącym głosem Urzędnik. - Nader niefortunny incydent.

- Co się właściwie stało?

- Rano wyruszyłem zgodnie z instrukcjami. Naturalnie materiałowi związanemu z T137 przysługiwało niekwestionowane pierwszeństwo. Powiadomiłem Nawoływacza na swoim terenie o konieczności nadania sygnału o ósmej piętnaście.

- Czy Nawoływacz rozumiał powagę sytuacji?

- Tak, sir. - Urzędnik zawahał się. - Ale...

- Ale co?

Urzędnik skręcał się żałośnie.

- Gdy stałem odwrócony plecami, Nawoływacz wpełzł z powrotem do budy i zasnął. Byłem zajęty kontrolowaniem zegarka. Powiadomiłem go o oznaczonej porze - lecz nie nastąpił żaden odzew.

- Czy powiadomiłeś go dokładnie o ósmej piętnaście?

- Tak, sin Co do sekundy. Ale Nawoływacz spał. Nim przywołałem go do porządku, zegarek wskazywał ósmą szesnaście. Nadał sygnał, lecz zamiast Przyjaciela z Samochodem zjawił się Agent Ubezpieczeniowy. - Urzędnik z niesmakiem wykrzywił twarz. - Przetrzywał nasz obiekt aż do wpół do dziesiątej. W ten sposób zamiast wcześniej przybyć do pracy, obiekt się spóźnił.

Przez chwilę Starzec milczał.

- Zatem obiekt nie znajdował się w obrębie T137, kiedy rozpoczęto dostosowanie.

- Nie. Dotarł na miejsce około dziesiątej.

- W samym środku procesu. - Starzec wstał i splótłszy z tyłu ręce, zaczął ponuro chodzić tam i z powrotem, powiewając długą szatą. - Poważna sprawa. Podczas dostosowywania sektora należy uwzględnić wszystkie obiekty wspólne z innych sektorów. W przeciwnym razie ich orientacje kolidują z nowymi fazami. Kiedy nasz obiekt trafił do T137, dostosowanie trwało już od pięćdziesięciu minut. Obiekt znalazł się na miejscu w najbardziej zdeenergetyzowanym stadium procesu. Przemierzał okolicę aż do momentu, gdy wpadł na jedną z ekip.

- Złapali go?

- Niestety nie. Uciekł poza sektor. W pobliską, w pełni naenergetyzowaną strefę.

- I... i co?

Starzec przystanął, na jego pobrużdżonej twarzy malował się ponury wyraz. Przesunął dłonią po długich, białych włosach.

- Nie wiemy. Straciliśmy z nim kontakt. Oczywiście wkrótce ponownie go nawiążemy. Jednakże w chwili obecnej jest poza naszym zasięgiem.

- Co macie zamiar zrobić?

- Należy skontaktować się z nim i sprowadzić go tutaj. Nie ma innego wyjścia.

- Tutaj!

- Za późno na jego deenergetyzację. Nim to nastąpi, powiadomi resztę. Oczyszczenie jego umysłu jedynie pogmatwałoby sprawę. Zwykle metody nie wystarczą. Osobiście muszę uporać się z tym problemem.

- Mam nadzieję, że wkrótce go zlokalizujecie - wtrącił Urzędnik.

- Nie ma obawy. Wszyscy Obserwatorzy postawieni są w stan gotowości. Obserwatorzy i Nawoływacze. - Spojrzenie Starca rozblęskło. - Nawet Urzędnicy, choć nie jesteśmy skłonni na nich polegać.

Urzędnik splonął rumieńcem.

- Kiedy to się skończy, kamień spadnie mi z serca - mruknął.

Ruth zbiegła po schodach i wyszła z budynku wprost na oblaną południowym żarem ulicę. Zapaliła papierosa i pospieszyła chodnikiem, głęboko wdychając wiosenne powietrze.

- Ruth. - Ed stanął za jej plecami.

- Ed! - Zaskoczona odwróciła się na pięcie. - Dlaczego nie jesteś w...?

- Chodź. - Ed chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą. - Nie zatrzymujemy się.

- Ale co...?

- Później ci powiem. - Twarz Eda była blada i ponura. - Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Na osobności.

- Miałam zamiar iść do Louie na lunch. Tam możemy porozmawiać. - Ruth z trudem dotrzymywała mu kroku. - Co jest? Co się stało? Tak dziwnie wyglądasz. Dlaczego nie jesteś w pracy? Czy... czyżby cię zwolnili?

Przeszli przez ulicę i wpadli do niewielkiej restauracji. Wszędzie tłoczyli się ludzie kupujący lunch. W rogu lokalu Ed znalazł odosobniony stolik.

- Tutaj. - Z rozmachem opadł na krzesło. - Tu będzie dobrze. - Kobieta usiadła na drugim krześle.

Ed zamówił filiżankę kawy. Ruth wzięła sałatkę i tuńczyka w śmietanie na grzance, kawę oraz placek brzoskwinowy. Nachmurzony Ed w milczeniu obserwował, jak je.

- Powiedz mi wreszcie - poprosiła Ruth.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Oczywiście, że tak! - Ruth z niepokojem położyła drobną dłoń na jego rękę. - Ostatecznie jestem twoją żoną.

- Dzisiaj coś się wydarzyło. Dziś rano. Spóźniłem się do pracy. Zatrzymał mnie cholerny agent ubezpieczeniowy. Spóźniłem się o pół godziny.

Ruth wstrzymała oddech.

- Douglas cię zwolnił.

- Nie. - Ed powoli rozdarł na kawałki papierową serwetkę. Jej strzępy wepchnął do na wpół opróżnionej szklanki z wodą. - Martwiłem się jak diabli. Wysiadłem z autobusu i pobiegłem ulicą. Zauważyłem to, kiedy stanąłem na krawężniku na wprost biura.

- Co zauważyłeś?

Ed opowiedział jej. Całą historię. Od początku do końca.

Kiedy skończył, pobladła na twarzy Ruth trzęsła się na całym ciele.

- Rozumiem - mruknęła. - Nic dziwnego, że wyprowadziło cię to z równowagi. - Wzięła łyk

chłodnej kawy i z brzękiem odstawiła filiżankę. - Co za okropność.

Ed z uwagą nachylił się w kierunku żony.

- Ruth. Czy uważasz, że zwariowałem?

Ruth skrzywiła usta.

- Nie wiem, co powiedzieć. To takie dziwne...

- Taa. Dziwne to mało powiedziane. Normalnie ręce przechodziły mi przez nich na wylot. Zupełnie jakby byli z gliny. Starej, wyschniętej gliny. Kruszyli się na proch. - Ed zapalił papierosa z paczki Ruth. - A gdy wyszedłem, biurowiec stał jakby nigdy nic. Jak zawsze.

- Bałeś się, że pan Douglas cię wyrzuci, prawda?

- Jasne. I do tego czułem się winny. - Oczy Eda zaśniły. - Wiem, co sobie myślisz. Spóźniłem się, obawiałem się spojrzeć mu w oczy. I owładnęło mną coś w rodzaju psychozy obronnej. Ucieczka od rzeczywistości. - Ze złością zgasił papierosa. - Ruth, od tamtej pory cały czas włóczyłem się po mieście. Dwie i pół godziny. Jasne, że się boję. Okropnie boję się tam wrócić.

- Boisz się Douglasa?

- Nie! Tych ludzi w bieli. - Ed zadrżał. - Boże. Oni mnie gonili. Targali za sobą te swoje rury i... i cały sprzęt.

Ruth milczała. Wreszcie spojrzała na męża rozjaśnionym wzrokiem.

- Musisz wrócić, Ed.

- Wrócić? Dlaczego?

- Aby się przekonać.

- O czym?

- O tym, że wszystko jest w porządku. - Ruth ścisnęła jego rękę. - Naprawdę musisz, Ed. Musisz wrócić i stawić temu czoło. Aby udowodnić sobie, że nie ma się czego obawiać.

- A po cholere mi to! Po tym wszystkim, co widziałem? Słuchaj, Ruth. Zajrzałem przez szparę w rozdartej tkaninie rzeczywistości. Zajrzałem pod podszewkę. Pod spód. Zobaczyłem, co naprawdę się tam kryje. I nie chcę wracać. Nie chcę ponownie oglądać tych ulepionych z kurzu istot. Nigdy więcej.

Ruth utkwiała w nim badawcze spojrzenie.

- Pójdę z tobą - powiedziała.

- Nie zgadzam się.

- Dla twojego spokoju. Żebyś nie myślał, że postradałeś zmysły. Przekonasz się. - Ruth gwałtownie poderwała się z miejsca i narzuciła płaszcz. - Dalej, Ed. Pójdę z tobą. Razem pójdziemy do biura nieruchomości Douglasa i Blake'a. Mogę nawet wejść z tobą do jego gabinetu.

Ed wstał powoli, nie spuszczać wzroku z żony.

- Myślisz, że ze strachu przed szefem padło mi na mózg. - Mówił cichym, napiętym głosem. - Czyż nie tak?

Ruth już przeciskała się w kierunku kasy.

- Chodź już. Sam zobaczysz. Wszystko będzie po staremu. Bez zmian.

- Dobrze - odrzekł Ed. Z wolna podążył za nią. - Pójdziemy tam i zobaczymy, kto z nas miał rację.

Kiedy przechodzili przez ulicę, Ruth mocno ścisnęła go za ramię. Przed nimi wznosiła się strzelista sylwetka z betonu, metalu i szkła.

- Oto i on - oznajmiła Ruth. - Widzisz?

W rzeczy samej. Imponujący budynek górował nad ulicą, z szybami połyskującymi we wczesnopopołudniowym blasku słońca.

Ed i Ruth weszli na krawężnik. Ed zeszywniał na całym ciele. Z obawą postawił stopę na chodniku...

Ale nic się nie stało: wrzawa uliczna rozbrzmiewała jak przedtem; samochody, spieszący zewsząd ludzie; mały gazeciarz. Wokół nich unosiły się zapachy i dźwięki charakterystyczne dla godzin szczytu w sercu miasta. W górze na błękitnym niebie świeciło słońce.

- Widzisz? - powtórzyła Ruth. - Miałam rację.

Wspiąwszy się po frontowych schodach, weszli do westybulu. Przy stoisku tytoniowym sprzedawca z założonymi rękami oglądał mecz.

- Witam, panie Fletcher - zawołał do Eda. Jego twarz rozjaśniła się dobrodusznie. - Co to za pani? Czy pańska żona o tym wie?

Ed zaśmiał się z przymusem. Poszli w kierunku windy. Czekają tam już czterech lub pięciu biznesmenów. Grupa nienagannie ubranych mężczyzn w średnim wieku stała niecierpliwie u wejścia do windy.

- Hej, Fletcher - rzucił jeden. - Gdzież pan się podziewał przez cały dzień? Douglas drze się jak opętany.

- Cześć, Earl - mruknął Ed. Chwycił Ruth za ramię. - Byłem trochę chory.

Nadjechała winda. Wsiedli i ruszyli do góry.

- Ja się masz, Ed - powiedział windziarz. - Co to za ładniutka panienka? Dlaczego jej nie przedstawisz?

Ed uśmiechnął się mechanicznie.

- To moja żona.

Ed i Ruth wysiedli na trzecim piętrze i pospieszyli w stronę oszklonych drzwi biura nieruchomości Douglasa i Blake'a.

Ed przystanął, oddychając płytko.

- Zaczekaj. - Zwilżył językiem wargi. - Ja...

Ruth cierpliwie poczekała, aż Ed otrze chustką szyję i kark.

- Już dobrze?

- Tak. - Zrobił krok do przodu i otworzył szklane drzwi.

Panna Evans podniosła oczy znad maszyny do pisania, przerywając pracę.

- Ed Fletcher! Gdzieś ty, na Boga, był?

- Źle się czułem. Witaj, Tom.

Tom oderwał wzrok od swojego zajęcia.

- Cześć, Ed. Douglas łaknie twojej krwi. Gdzie ty się podziewałeś?

- Wiem, wiem. - Ed ze znużeniem zwrócił się do Ruth. - Chyba czas, abym wszedł w paszczę lwa.

Ruth zacisnęła palce na jego ramieniu.

- Nic ci nie będzie. Ja to wiem. - Posłała mu pełen ulgi uśmiech. - W porządku? W razie potrzeby daj mi znać.

- Pewnie. - Ed musnął przelotnie jej usta. - Dzięki, kochanie. Wielkie dzięki. Nie mam zielonego pojęcia, co mnie napadło. Ale chyba już po wszystkim.

- Zapomnij o tym. Na razie. - Ruth wyszła z biura, drzwi zamknęły się za nią. Ed słyszał, jak biegnie korytarzem do windy.

- Niebrzydka - stwierdził z uznaniem Jackie.

- Tak. - Ed kiwnął głową, poprawiając krawat. Z rezygnacją ruszył w kierunku wewnętrznych drzwi. Cóż, nic innego mu nie pozostawało. Ruth miała rację. Tak czy inaczej, będzie musiał gęsto się tłumaczyć przed szefem. Oczami wyobraźni widział ryczącego Douglasa z purpurową, wykrzywioną grymasem wściekłości twarzą...

Ed stanął jak wryty u wejścia do gabinetu. Zamarł. Gabinet był... odmieniony.

Poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Ogarnął go zimny, zapierający dech w piersi strach. Gabinet był odmieniony. Powoli obrócił głowę, obejmując spojrzeniem biurka, krzesła, segregatory i zdjęcia.

Były to niewielkie zmiany. Bardzo subtelne. Ed przymknął oczy i otworzył je powoli. Oddychał pospiesznie, serce biło mu przyspieszonym rytmem. Wnętrze gabinetu uległo zmianie, nie było cienia wątpliwości.

- Co się stało, Ed? - zapytał Tom. Wszyscy przerwali pracę i wlepili w niego zaciekawione spojrzenia.

Ed nie odpowiedział. Wolno wszedł do gabinetu. Jak na dłoni widział wszystkie zmiany. Poprzestawiane przedmioty. Nic oczywistego - nic, co mógłby wskazać palcem. Jednakże pomyłka nie wchodziła w rachubę.

Joe Kent powitał go niepewnie.

- O co chodzi, Ed? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. Czy coś...?

Ed utkwiał w nim spojrzenie. I on uległ przeobrażeniu. Był jakiś inny. Na czym polegała różnica?

Jego twarz. Była nieco bardziej zaokrąglona. Zwrócił uwagę na deseń koszuli Joego. Nigdy przedtem nie nosił koszul w niebieskie prążki. Ed rzucił okiem na jego biurko. Dostrzegł na nim dokumenty i rozliczenia. Biurko było zbyt przesunięte na prawo. I do tego większe. Po prostu inne.

Obrazek na ścianie. I tu coś się nie zgadzało. Był zupełnie inny. I przedmioty na szafce z kartotekami - dostawiono kilka nowych, niektóre usunięto.

Obejrzał się przez ramię. Dopiero teraz zauważył, że włosy panny Evans zostały inaczej ułożone i miały jaśniejszy odcień.

Zerknął na siedzącą pod oknem Mary; piłowała paznokcie. Była wyższa, miała bujniejsze kształty. Na biurku przed nią leżała czerwona, dziana torebka.

- Czy zawsze... miałaś tę torebkę? - zapytał Ed.

Mary uniosła głowę. Trzepocząc skromnie długimi rzęsami, nieśmiało wygładziła spódniczkę

na kształtnych udach.

- Ależ, panie Fletcher. Co pan ma na myśli?

Ed odwrócił się. Wiedział. Nawet jeśli ona nie. Została przetworzona, przeobrażona: jej torebka, ubranie, sylwetka; wszystko, co jej dotyczyło. Żadne z nich nie zdawało sobie z tego sprawy - oprócz niego. Jego myśli pędziły w oszalałym tempie. Wszyscy ulegli przemianie. Wszyscy zostali ulepieni na nowo. Zmiany były subtelne, acz niewątpliwe.

Kosz na śmieci. Był zdecydowanie mniejszy. Story - białe, a nie o barwie kości słoniowej. Tapeta miała inny wzorek. Lampy przenośne...

Nieskończony szereg drobnych zmian.

Ed zastukał do gabinetu Douglasa.

- Wejść.

Otworzył drzwi. Nathan Douglas niecierpliwie podniósł głowę.

- Panie Douglas - zaczął Ed. Niepewnym krokiem wszedł do gabinetu - i osłupiał.

Douglas nie był taki jak zawsze. Różnił się całkowicie. To samo dotyczyło jego gabinetu: wykładziny, zasłon. Biurko było dębowe, a nie mahoniowe, sam Douglas...

Był młodszy, szczuplejszy. Włosy przybrały odcień brązu. Skóra straciła intensywną czerwoną barwę. Twarz się wygładziła. Żadnych zmarszczek. Zmieniony zarys podbródka. Oczy zielone, a nie czarne. Niby ten sam Douglas, a jednak inny. Inna wersja!

- Co się stało? - rzucił niecierpliwie Douglas. - Ach, to pan, Fletcher. Gdzie pan był dziś rano?

Ed pospiesznie wykonał w tył zwrot.

Zatrzasnął drzwi i przebiegł przez pokój pracowników. Zdumieni Tom i panna Evans podnieśli głowy. Ed minął ich i szarpnięciem otworzył na oścież drzwi.

- Hej! - krzyknął Tom. - Co...?

Ed gnał już przez korytarz. Owładnął nim paniczny strach. Musiał się spieszyć. Wiedział. Nie zostało wiele czasu. Dotarł do windy i dźgnął palcem przycisk.

Ani chwili do stracenia.

Rzucił się w kierunku schodów i popędził na dół. Dobiegł do drugiego piętra. Jego strach przybrał na sile. Wszystko było kwestią sekund.

Sekund!

Budka telefoniczna. Ed podbiegł do niej i zatrzasnął się w środku. Wepchnął w otwór dziesiątkę i wykręcił numer. Musi zadzwonić na policję. Z bijącym sercem przyciskał do ucha słuchawkę.

Ostrzec ich. Te zmiany. Ktoś manipuluje rzeczywistością. Miał racje. Mężczyźni w bieli... ich przyrządy... myszkowali po biurowcu.

- Halo! - wrzasnął w słuchawkę Ed. Bez odpowiedzi. Żadnego sygnału. Absolutnie nic.

Potoczył dokoła dzikim wzrokiem.

I dotarła do niego świadomość klęski. Powoli odwiesił słuchawkę.

Już nie przebywał na drugim piętrze. Budka wlatywała do góry, unosząc go coraz wyżej i wyżej. Bez szmeru, gładko mijała poszczególne piętra.

Przemknąwszy przez sklepienie budynku, znalazła się w oślepiającym blasku słońca. Nabrała prędkości. Ziemia pozostała daleko w dole. Ulice i domy z każdą chwilą stawały się coraz mniejsze. Widać było małe punkciki pędzących samochodów i ludzi.

Od ziemi oddzielała go obecnie warstwa chmur. Ed przymknął oczy; ze strachu zakręciło mu się w głowie. Kurczowo ścisnął gałkę od drzwi.

Budka pięta się coraz wyżej. Odległość od ziemi stale rosła.

Ed rozejrzał się gorączkowo. Dokąd? Dokąd zmierzał? Dokąd go zabierano?

Czekał z palcami zaciśniętymi na gałce drzwi.

Urzędnik krótko skinął głową.

- Tak, to on. Oto obiekt, o który nam chodzi.

Ed Fletcher rozejrzał się dokoła. Znajdował się w ogromnej komnacie, której krawędzie ginęły w cieniu. Stojący przed nim człowiek z plikiem dokumentów pod pachą spoglądał na niego znad okularów w stalowej oprawce. Był to nerwowy, niewysoki człowieczek o surowym spojrzeniu, ubrany w niebieski serżowy garnitur, celuloidowy kołnierzyk i kamizelkę. Z kieszeni wystawał mu zegarek na łańcuszku. Na nogach miał czarne, lśniące buty.

A za nim...

Stary mężczyzna siedział w milczeniu na ogromnym, nowoczesnym krześle. Utkwił we Fletcherze spokojne spojrzenie łagodnych, zmęczonych oczu. Fletchera przeszedł dreszcz. Nie przerażenia - było to raczej wibrujące uczucie przemieszanej z lękiem fascynacji.

- Gdzie... co to za miejsce? - zapytał słabym głosem. Jeszcze nie doszedł do siebie po zawrotnej jeździe w górę.

- Żadnych pytań! - rzucił gniewnie nerwowo człowieczek, postukując ołówkiem w książkę. - Jesteś tutaj, aby odpowiadać na pytania, a nie je zadawać.

Starzec poruszył się nieznacznie. Podniósł rękę.

- Sam porozmawiam z obiektem - przemówił niskim głosem, którego wibrujące echo przetoczyło się przez komnatę. Eda ponownie przejęło uczucie fascynacji.

- Sam? - Człowieczek cofnął się, trzymając oburącz swoje książki i papiery. - Naturalnie. - Posłał Edowi wrogie spojrzenie. - Cieszę się, że nareszcie go zatrzymano. Tyle zamieszania i kłopotu z powodu jednego...

Zniknął za drzwiami, które bezszelestnie zamknęły się za nim. Ed i Starzec zostali sami.

- Proszę, niech pan siądzie - powiedział Starzec.

Ed znalazł krzesło. Przysiadł na nim niezgrabnie. Wyjął papierosy, po czym znów je schował.

- Coś nie tak? - zapytał Starzec.

- Po prostu zaczynam rozumieć.

- Co takiego?

- Że umarłem.

Na ustach Starca pojawił się przelotny uśmiezek.

- Umarł pan? Nie, wcale pan nie umarł. Jedyne składa pan... wizytę. To niecodzienne zjawisko, aczkolwiek w tej sytuacji konieczne. - Pochylił się w stronę Eda. - Panie Fletcher, zaplątał się pan w coś.

- Owszem - zgodził się Ed. - Chciałbym tylko wiedzieć w co. I jak to się stało.

- To nie pańska wina. Padł pan ofiarą urzędniczej pomyłki. Została popełniona - nie przez pana. Jednakże pana dotyczyła.

- Jaka znowu pomyłka? - Ed ze znużeniem potarł czoło. - Niechcący wziąłem w coś udział. Przejrzałem. Zobaczyłem coś, czego nie powinienem był oglądać.

Starzec skinął głową.

- To prawda. Zobaczył pan coś, czego nie powinien; coś, czego świadoma była garstka obiektów, nie wspominając o tych, którzy widzieli to na własne oczy.

- Obiektów?

- To określenie formalne. Dajmy temu spokój. Popelniono błąd, lecz mamy nadzieję go skorygować. Nadzieja tkwi...

- Ci ludzie - przerwał Ed. - Kupki popiołu. Poszarzali od stóp do głów. Zupełnie jakby byli martwi. Zresztą nie tylko oni: schody, ściany, podłoga. Pozbawione koloru i życia.

- Tamten sektor został chwilowo zdeenergetyzowany. Dzięki temu ekipa dostosowawcza mogła wkroczyć i wprowadzić konieczne zmiany.

- Zmiany. - Ed kiwnął głową. - Zgadza się. Kiedy potem wróciłem, wszystko znów toczyło się normalnym trybem. Ale nie było takie samo. Uległo całkowitemu przeobrażeniu.

- Dostosowanie zakończono do południa. Następnie ekipa ponownie zenergetyzowała sektor.

- Rozumiem - mruknął Ed.

- W chwili rozpoczęcia dostosowania powinien był się pan znajdować w obrębie sektora. Przez pomyłkę tak się nie stało. Przybył pan za późno - już w trakcie procesu. Uciekł pan, a kiedy znów wrócił, było po wszystkim. Zobaczył pan, choć nie powinien. Miał pan wziąć w tym udział niejako świadek, lecz jako element procesu. I tak jak pozostali, ulec przeobrażeniu.

Na czoło Eda Fletchera wystąpiły krople potu. Wytrzeł je. Poczul ucisk w żołądku. Odchrząknął z wysiłkiem.

- Rozumiem - powiedział ledwo słyszalnym głosem. Spłynęło nań przeczucie najgorszego. - Miałem zostać zmieniony tak jak tamci. Ale chyba coś poszło nie tak.

- Istotnie. Nastąpiła pomyłka. W wyniku której obecnie mamy poważny problem. Zobaczył pan wszystko. Dużo pan wie. I nie jest pan sprzężony z nowo powstałą konfiguracją.

- Rany - mruknął Ed. - Nikomu nie powiem. - Oblał się zimnym potem. - Możecie na mnie polegać. W moim przypadku obędzie się bez żadnych zmian.

- Już pan komuś powiedział - stwierdził lodowato Starzec.

- Ja? - Ed zamrugał. - Komu?

- Swojej żonie.

Ed zadygotał. Jego twarz przybrała chorobliwie blady odcień.

- Rzeczywiście. Powiedziałem.

- Pańska żona już wie. - Starzec z irytacją wykrzywił twarz. - Kobieta. Komu jak komu...

- Skąd mogłem wiedzieć. - Ogarnięty paniką Ed cofnął się o krok. - Teraz już wiem. Może pan na mnie liczyć. Proszę mnie uznać za przeobrażonego.

Błękitne, wiekowe spojrzenie zdawało się przewiercać go na wskroś.

- I na dodatek miał pan zamiar dzwonić na policję. Chciał pan powiadomić władze.

- Przecież nie wiedziałem, kto stoi za tymi zmianami.

- Teraz pan wie. Należy uzupełnić naturalny proces - skorygować tu i ówdzie. Wprowadzić pewne poprawki. Jesteśmy w pełni upoważnieni do takich zadań. Nasza ekipa dostosowawcza wykonuje niezwykle istotne zadania.

Ed zdobył się na odwagę.

- A propos tego konkretnego dostosowania. Douglas. Biuro. Po co to wszystko? Jestem pewien, że kryje się za tym jakiś ważki cel.

Starzec machnął ręką. Za jego plecami w półmroku rozjarzyła się ogromna mapa. Ed wstrzymał oddech. Krawędzie mapy ginęły w ciemnościach. Ujrzał splątaną pajęczynę szczegółowych sekcji, sieć kwadratów i poliniowanych obszarów. Na każdym kwadracie widniało oznaczenie. Niektóre lśniły błękitnym światłem. Światła zmieniały się nieustannie.

- Oto Plansza Sektorów - oznajmił Starzec. Westchnął ze zmęczeniem. - Koszmarne zajęcie. Czasem zastanawiamy się, jak zdołamy dotrzeć do kolejnego okresu. Jednak należy to wykonać. Dla dobra wszystkich. Dla pańskiego również.

- A... a zmiana w naszym sektorze?

- Pańskie biuro zajmuje się nieruchomościami. Stary Douglas był sprytnym jegomościem, lecz ostatnio stan jego zdrowia uległ gwałtownemu pogorszeniu. Kondycja fizyczna słabła. Za kilka dni Douglas otrzyma ofertę zakupu dużego, nie zagospodarowanego obszaru leśnego w zachodniej Kanadzie. Inwestycja będzie wymagała uruchomienia wszystkich jego aktywów. Starszy, mniej żywotny Douglas zawahałby się. Sęk w tym, aby tego nie robił. Musi niezwłocznie kupić teren i oczyścić go. Jedynie młodszy człowiek - młodszy Douglas - podjąłby takie ryzyko.

Kiedy już oczyszczą teren, nastąpi odkrycie pewnych szczątków antropologicznych. Zostały już złożone na miejscu. Douglas wydzierżawi swoją ziemię rządowi kanadyjskiemu do prowadzenia badań naukowych. Odnalezione szczątki wzbudzą międzynarodową wrzawę w kręgach uczonych.

Uruchomiony zostanie ciąg wydarzeń. Z wielu krajów zaczną zjeżdżać się ludzie celem obejrzenia znaleziska. Naukowcy z Czech, Polski i Związku Radzieckiego wyruszą w podróż.

Ci ludzie zetkną się ze sobą po raz pierwszy od lat. W świetle ponadnarodowych odkryć badania na skalę krajową zjedną na dalszy plan. Jeden z wiodących uczonych radzieckich zaprzyjaźni się z uczonym belgijskim. Przed wyjazdem postanowią ze sobą korespondować - naturalnie bez wiedzy swoich rządów.

Krąg rozszerzy się. Dołączą do niego inni naukowcy z obu stron. Coraz większa liczba wykształconych ludzi zacznie poświęcać uwagę sprawom owego międzynarodowego towarzystwa. Badania czysto krajowe zejną jakby na drugi plan. Napięcie wojenne nieznacznie się zmniejszy.

Ta alteracja jest nieodzowna. A zależy od kupna i oczyszczenia fragmentu kanadyjskiej puszczy. Stary Douglas nie odważyłby się na takie przedsięwzięcie. Jednakże zmieniony Douglas wraz ze swoim przeobrażonym, odmłodzonym personelem odda sprawie swój cały entuzjazm. Z tego wyniknie ciąg istotnych wydarzeń. Wy na nim zyskacie. Może pan uznać nasze metody za dziwaczne i pośrednie. Nawet mało zrozumiałe. Lecz zapewniam pana, iż wiemy, co robimy.

- Teraz już wiem - odrzekł Ed.

- No właśnie. Dużo pan wie. O wiele za dużo. Żaden obiekt nie powinien posiadać takiej wiedzy. A może by tak sprowadzić tu ekipę dostosowawczą...

Oczami wyobraźni Ed ujrzał następujący obraz: skłębione chmury pyłu, zszarżali mężczyźni i kobiety. Zadrżał.

- Proszę posłuchać - wychrypiał. - Zrobię wszystko. Dokładnie wszystko. Tylko mnie nie deenergetyzujcie. - Po twarzy spłynęły mu krople potu. - Zgoda?

Starzec zadumał się.

- Być może dałoby się znaleźć inne wyjście... Istnieje pewna możliwość...

- Jaka? - zapytał gorliwie Ed. - Jaka?

Starzec przemawiał wolno i z namysłem.

- Czy jeśli pozwolę panu wrócić, obiecuje pan nigdy nie poruszać tego tematu? Przysięgnie pan nie zdradzać nikomu tego, co pan widział? Tego, co pan wie?

- Pewnie! - wydusił gorączkowo Ed. Przyływ ulgi niemal odebrał mu władzę w nogach. - Przysięgam!

- Jeżeli chodzi o pańską żonę, nie wolno panu szepnąć jej ani słowa więcej. Niech trwa w przekonaniu, że był to jedynie chwilowy napad psychozy - forma ucieczki od rzeczywistości.

- Już tak uważa.

- Więc niech pan nie wyprowadza jej z błędu.

Ed mocno zacisnął zęby.

- Dopilnuję, aby nadal myślała, że było to zaburzenie umysłowe. Nigdy nie dowie się, co naprawdę się zdarzyło.

- Jest pan pewien, że nie zdradzi jej pan prawdy?

- Tak - odparł z przekonaniem Ed. - Wiem, że tego nie zrobię.

- Dobrze. - Starzec powoli skinął głową. - Odeślę pana z powrotem. Ale nikomu ani słowa. - W sposób widoczny zwiększył swoje rozmiary. - Proszę pamiętać: koniec końców i tak trafi pan do mnie - każdego to czeka - a pański los nie będzie godny pozazdroszczenia.

- Nie powiem jej - zapewnił Ed, pocąc się obficie. - Obiecuję. Ma pan moje słowo. Dam sobie z Ruth radę. Proszę sobie nie zawracać tym głowy.

Ed zawitał w domu o zachodzie słońca.

Zamrugał, oszołomiony szybką jazdą w dół. Przez chwilę stał na chodniku, odzyskując równowagę i chwytając oddech. Następnie pospiesznie wszedł na ścieżkę.

Otworzywszy drzwi, znalazł się w zielonym, stiukowym domku.

- Ed! - zalana łzami Ruth wpadła na niego z impetem. Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno się do niego przytuliła. - Gdzieś ty był, do cholery?

- Gdzie byłem? - wymamrotał Ed. - W biurze, rzecz jasna.

Ruth odsunęła się od niego jak rażona prądem.

- Właśnie, że nie.

Ed odczuł lekki powiew niebezpieczeństwa.

- Ależ tak. A gdzie mógłbym...?

- Około trzeciej zadzwoniłam do Douglasa. Powiedział, że wyszedłeś. I to prawie zaraz po tym, jak spuściłam cię z oczu. Eddie...

Ed poklepał ją nerwowo.

- Spokojnie, kochanie. - Zaczął rozpinąć płaszcz. - Wszystko w porządku. Rozumiesz? Wszystko gra.

Ruth przysiadła na poręczu tapczanu. Wydmuchała nos i otarła oczy.

- Gdybyś wiedział, jak bardzo się martwiłam. - Schowała chustkę i splotła ręce. - Chcę wiedzieć, gdzie byłeś.

Ogarnięty niepewnością Ed powiesił płaszcz w szafie. Podeszedł do żony i pocałował ją. Miała lodowato zimne usta.

- Wszystko ci opowiem. Ale co ty na to, abyśmy najpierw coś zjedli? Umieram z głodu.

Ruth spoglądała na niego badawczo. Uniosła się z poręczy.

- Przebiorę się i przygotuję kolację.

Poszła do sypialni i ściągnęła buty oraz rajstopy. Ed podążył za nią.

- Nie chciałem cię martwić - powiedział ostrożnie. - Kiedy odeszłaś, uświadomiłem sobie, że miałaś rację.

- Tak? - Ruth rozpięła bluzkę i spódnicę, po czym powiesiła je na wieszaku. - Jeżeli chodzi o co?

- O mnie. - Z wysiłkiem zdobył się na szeroki uśmiech. - O to... o to, co się wydarzyło.

Ruth przerzuciła przez wieszak swoją halkę. Nakładając opięte dzinsy, nie spuszczała z męża badawczego spojrzenia.

- Mów dalej.

Nadeszła pora. Teraz albo nigdy. Ed Fletcher zebrał się w sobie i ostrożnie dobierał słowa.

- Uświadomiłem sobie - oznajmił - że cała sprawa była wytworem mojego umysłu. Miałaś rację, Ruth. Absolutną rację. Wiem też, co było przyczyną tego stanu.

Ruth obciągnęła podkoszulek i wepchnęła go w spodnie.

- Mianowicie?

- Przepracowanie.

- Przepracowanie?

- Potrzebuję odpoczynku. Od lat nie byłem na wakacjach. Nie potrafię już skupić się na pracy. Błądzą gdzieś myślami. - Akcentował wyrazy, ale serce podeszło mu do gardła. - Muszę wyjechać. Najlepiej w góry. Połowić okonie. Albo... - Gorączkowo szukał jakiegoś pomysłu. - Albo...

Ruth podeszła do niego złowrogo.

- Ed! - powiedziała ostro. - Spójrz na mnie!

- O co chodzi? - zapytał ogarnięty paniką. - Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Gdzie spędziłeś dzisiejsze popołudnie?

Uśmiech na twarzy Eda zbladł.

- Przecież mówiłem. Poszedłem na spacer. Nie powiedziałem ci? Na spacer. Aby wszystko w spokoju przemyśleć.

- Nie kłam, Eddie Fletcher! Widzę, że kłamiesz! - Oczy Ruth wypełniły się świeżą porcją łez. Oddychała pospiesznie. - Przyznaj się! Wcale nie byłeś na spacerze!

Ed zająknął się. Oblał się potem. Bezradnie stanął przy drzwiach.

- O co ci chodzi?

Czarne oczy Ruth błyszczały z gniewu.

- Przestań! Chcę wiedzieć, gdzie byłeś! Powiedz! Mam prawo wiedzieć. Co się naprawdę stało?

Ed cofnął się w przerażeniu, jego zdecydowanie stopniało niczym wosk. Sytuacja przebiegała nie po jego myśli.

- Mówię prawdę. Poszedłem na...

- Mów mi zaraz! - Ostre paznokcie Ruth wpiły się w jego ramię. - Chcę wiedzieć, gdzie byłeś - i z kim!

Ed otworzył usta. Usiłował się uśmiechnąć, ale mięśnie twarzy odmówiły mu posłuszeństwa.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Już ty dobrze wiesz. Z kim byłeś? Gdzie poszedłeś? Gadaj! I tak prędzej czy później się dowiem.

Znikąd pomocy. Został przyparty do muru - doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nie był w stanie utrzymać tego w tajemnicy przed nią. Utknął - i gorączkowo modlił się o czas. Gdyby tylko mógł odwrócić jej uwagę. Gdyby choć na chwilę skupiła się na czymś innym. Wtedy mógłby wymyślić bardziej wiarygodną opowieść. Czas - potrzebował więcej czasu.

- Ruth, musisz...

Naraz przez dom przetoczyło się echem szczekanie psa.

Ruth czujnie uniosła głowę.

- Przecież to Dobbie. Chyba ktoś idzie.

Zadzwonił dzwonek u drzwi wejściowych.

- Zostań tu. Zaraz przyjdę. - Ruth wybiegła z pokoju. - A niech to diabli. - Otworzyła drzwi.

- Dobry wieczór! - Do środka wszedł obładowany różnymi przedmiotami młody człowiek z szerokim uśmiechem na ustach. - Jestem pracownikiem firmy produkującej odkurzacze Obrządek Sprzątania.

Ruth rzuciła mu niecierpliwe spojrzenie.

- Ależ właśnie mieliśmy zasiąść przy stole.

- Ach, to potrwa tylko chwilę. - Młody człowiek z łoskotem położył na podłodze swój balast. Szybkim ruchem rozwinął plakat przedstawiający odkurzacz w akcji. - Będzie pani łaskawa go potrzymać, podczas gdy ja podłączę odkurzacz...

Krzętał się ochoczo, odłączając telewizor, podłączając odkurzacz i rozstawiając krzesła.

- Najpierw zademonstruję pani ssawkę do zasłon. - Do wielkiego lśniącego kadłuba zainstalował zakończoną dyszą rurę. - Proszę sobie wygodnie usiąść, tymczasem ja objaśnię pani działanie tych niezwykle prostych urządzeń. - Jego rozradowany głos górował nad rykiem odkurzacza. - Proszę zauważyć...

Ed Fletcher usiadł na łóżku. Zaczął szperać po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. Roztrzęsiony zapalił jednego i osłabły z ulgi oparł się o ścianę.

Podniósł wzrok z wyrazem wdzięczności na twarzy.

- Dzięki - powiedział miękko. - Chyba w końcu nam się uda. Stokrotne dzięki.

NIEMOŻLIWA PLANETA

- Nadal tam stoi - powiedział nerwowo Norton. - Kapitanie, musi Pan z nim porozmawiać.

- Czego chce?

- Chce biletu. Jest głucha jak pień. Stoi, wytrzeszcza oczy i nie zamierza się ruszyć. Normalnie mam ciarki.

Kapitan Andrews powoli wstał.

- Dobrze. Porozmawiam z nią. Poproś ją do środka.

- Dziękuję. - Norton wyszedł na korytarz. - Kapitan porozmawia z panią. Proszę wejść.

Na zewnątrz kabiny dał się słyszeć ruch. Coś błysnęło metalicznie. Kapitan Andrews odsunął swój biurkowy skaner i czekał.

- Tutaj. - Norton wrócił do kabiny. - Tędy. Bardzo proszę.

Za nim podążała stara, zasuszonego kobiecina. U jej boku kroczył połyskujący robot, wysoki mechaniczny opiekun podtrzymujący ją ramieniem. Robot i staruszka powoli przestąpili próg.

- Oto jej dokumenty. - Z obawą w głosie Norton złożył na biurku arkusz. - Ma trzysta pięćdziesiąt lat. Jedna z najstarszych pozostałych przy życiu. Z Rigi II.

Andrews niespiesznie przerzucił dokumenty. Kobieta stała w milczeniu na wprost biurka ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Jej wyblakłe oczy miały kolor bladego błękitu. Jak starożytna porcelana.

- Irma Vincent Gordon - mruknął Andrews. Podniósł wzrok. - Zgadza się?

Kobieta nie odpowiedziała.

- Jest zupełnie głucha, sir - powiedział robot.

Andrews odchrząknął i wrócił do studiowania dokumentów. Irma Gordon należała do pierwszych osadników układu Rigi. Pochodzenie nieznane. Przypuszczalnie urodziła się na jednej z przemierzających przestrzeń starych jednostek sub-C. Ogarnęło go dziwne uczucie. Zwiędła, wąta istota. Te wszystkie stulecia, które oglądała na własne oczy! Zmiany.

- Ma zamiar podróżować? - zapytał robota.

- Tak, sir. Przyjechała tutaj, aby kupić bilet.

- Czy wytrzyma podróż kosmiczną?

- Przebyła cały szmat drogi z Rigi na Fomalhaut IX.

- Dokąd chce lecieć?

- Na Ziemię, sir - odrzekł robot.

- Ziemię! - Andrews otworzył usta. Zaklął nerwowo. - Co to ma znaczyć?

- Pragnie się udać na Ziemię, sir.

- Widzi pan? - szepnęła Norton. - Kompletnie zwariowała.

Chwytnyjąc za blat biurka, Andrews zwrócił się do kobiety.

- Proszę pani, nie możemy pani sprzedać biletu na Ziemię.

- Ona pana nie słyszy, sir - oświadczył robot.

Andrews znalazł skrawek papieru. Napisał dużymi literami:

NIE MOŻEMY PANI SPRZEDAĆ BILETU NA ZIEMIĘ

Podniósł kartkę do góry. Staruszka przebiegła wzrokiem tekst. Skrzywiła usta.

- Dlaczego nie? - zapytała wreszcie. Mówiła ochryłym i cichym głosem. Jak szeleszczące na wietrze chwasty.

Andrews nabazgrał odpowiedź.

TAKIE MIEJSCE NIE ISTNIEJE

Dopisał zawzięcie:

MIT - LEGENDA - NIGDY NIE ISTNIAŁO

Wyblakłe spojrzenie kobiety ześlizgnęło się z kartki. Zwróciła na Andrewsa pozbawioną wyrazu twarz. Mężczyznę ogarnęło nieprzyjemne wrażenie. Stojący obok niego Norton pocił się niemiłosiernie.

- O rany - mruknął Norton. - Zabierzcie ją stąd. Rzuci na nas urok.

Andrews zwrócił się do robota.

- Proszę przemówić jej do rozsądku. Nie ma miejsca o nazwie Ziemia. Dowiedziono tego tysiące razy. Taka planeta nigdy nie istniała. Wszyscy naukowcy są zgodni co do tego, że ludzkie życie powstało wraz z...

- Podróż na Ziemię to jej marzenie - odparł cierpliwie robot. - Ma trzysta pięćdziesiąt lat i zaprzestano poddawania jej kuracji podtrzymującej. Nim umrze, chciałaby odwiedzić Ziemię.

- Ależ to mit! - eksplodował Andrews. Bezgłośnie otwierał i zamykał usta.

- Ile? - dopotywała się starowina. - Ile?

- Nie mogę! - krzyknął Andrews. - Nie ma...

- Posiadamy kilo pozytywów - oznajmił robot.

Andrews uspokoił się w jednej chwili.

- Tysiąc pozytywów. - Poblądł z wrażenia. Zacisnął szczęki, krew odpłynęła mu z twarzy.

- Ile? - powtórzyła stara. - Ile?

- Czy to wystarczy? - zapytał robot.

Andrews przez chwilę w milczeniu przełykał ślinę. Naraz odzyskał głos.

- Jasne - powiedział. - Dlaczego by nie?

- Kapitanie! - zaproponował Norton. - Czy pan oszalał? Przecież zdaje pan sobie sprawę z tego, że Ziemia nie istnieje! Jakże, u licha, mielibyśmy...

- Naturalnie, że ją zabierzemy. - Andrews zapiął bluzę drżącymi rękami. - Zabierzemy ją, dokądkolwiek sobie życzy. Proszę jej to powiedzieć. Za tysiąc pozytywów z przyjemnością zawiozę ją na Ziemię. Zgoda?

- Oczywiście - rzekł robot. - Oszczędzała na to od wielu dziesiątek lat. Niezwłocznie wręczy panu całą sumę. Mają przy sobie.

- Niech pan posłucha - powiedział Norton. - Może pan za to dostać dwadzieścia lat. Zabiorą panu uprawnienia, kartę i...

- Niechże pan się zamknie. - Andrews wykręcił numer na tarczy śródkładowego przełącznika. Pod nimi huczały i wibrowały silniki. Powolny transport dotarł do przestrzeni kosmicznej. - Proszę główną księżniczkę informacyjną na Centaurze II - powiedział do mikrofonu.

- Nie może pan tego zrobić nawet za cenę tysiąca pozytywów. Nikt nie może tego dokonać. Próby odnalezienia Ziemi zajęły całe lata. Statki zarządu badały każdą nadzartą przez mole planetę w obrębie całego...

Błysnął ekran.

- Centaur II.

- Księżnica informacyjna.

Norton chwycił Andrewsa za ramię.

- Proszę, kapitanie. Nawet za dwa kilo pozytywów...

- Potrzebuję następujących informacji - odezwał się do monitora Andrews. - Chodzi o wszystkie fakty dotyczące Ziemi. Legendarnego miejsca narodzin ludzkości.

- Brak jakichkolwiek danych - odparł daleki głos monitora bibliotecznego. - Termin podchodzi pod klasyfikację zagadnień metaszczegółowych.

- Czy przetrwały jakieś nie zweryfikowane, lecz powszechnie dostępne raporty?

- Większość związanych z Ziemią podań zaginęła podczas konfliktu centaursko-rigańskiego z 4-B33a. Przetrwały zaledwie fragmenty. Różnorakie opisy Ziemi przedstawiają ją raz jako otoczoną pierścieniem dużą planetę o trzech księżycach, innym razem jako małą, gęstą planetę o jednym księżycu lub jako pierwszą z dziesięcioplanetarnego układu położonego wokół białego karła...

- Jak brzmi najbardziej rozpowszechniona wersja?

- Raport Morrisona z 5-C2 1 r dokonał analizy całkowitego zbioru etnicznych i subliminalnych opowieści o temat legendarnej Ziemi. Ostateczne podsumowanie wykazało, że pod pojęciem Ziemia kryje się niewielka trzecia planeta o jednym księżycu, wchodząca w skład układu dziewięciu planet. Poza tym wśród legend nie znaleziono żadnych cech wspólnych.

- Rozumiem. Trzecia planeta dziesięcioplanetarnego układu. Jeden księżyc. - Andrews przerwał połączenie i ekran zgasł.

- No i? - zapytał Norton.

Andrews zerwał się na nogi.

- Ona przypuszczalnie zna każdą legendę. - Pokazał palcem w kierunku leżących pod nimi kajut pasażerskich. - Wszystko musi się zgadzać.

- Jak to? Co pan ma zamiar zrobić?

Andrews rozwinął mapę układu gwiazdowego. Powiódł palcem po indeksie i włączył skaner. Po chwili urządzenie wydało odczyt.

Porwał wykres i wsunął go do kieszeni automatycznego pilota.

- Układ Emfory - mruknął w zamyśleniu.

- Emfory? Czy tam lecimy?

- Według wykresu istnieje dziewięćdziesiąt układów, które pokazują trzecią planetę z dziewięciu, o jednym księżycu. Spośród tych dziewięćdziesięciu, Emfory leży najbliżej. Obecnie

zmierzamy w jej kierunku.

- Nie rozumiem - zaprotestował Norton. - Emfora to zwykły układ handlowy. Emfora III nie jest nawet punktem kontrolnym klasy D.

Kapitan Andrews uśmiechnął się przez zaciśnięte zęby.

- Emfora III ma jeden księżyc oraz jest trzecia w kolejności w układzie dziewięciu planet. To nam wystarczy. Czy ktokolwiek dysponuje dokładniejszymi informacjami na temat Ziemi? - Zerknął w dół. - Czy ona nimi dysponuje?

- Rozumiem - odparł z wolna Norton. - Zaczynam pomału pojmować.

Pod nimi zamajaczył obraz Emfory III. Zawieszona wśród chmur niewyraźna, czerwona planeta o uprażonej i rozoranej powierzchni, obmywanej zakrzepłymi pozostałościami dawnych oceanów. W niebo celowały pokruszone, dotknięte erozją klify. Płaskie równiny podziurawiono i zdewastowano do cna. Powierzchnię na podobieństwo ran znaczyły niezliczone żłobienia i jamy.

Twarz Nortona wykrzywił grymas niechęci.

- Niech pan na to popatrzy. Czy uchowały się tam jakiegokolwiek przejawy życia?

Kapitan Andrews zmarszczył brwi.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że jest taka wypatroszona. - Raptownie skierował się ku automatycznemu pilotowi. - Gdzieś na dole powinna być baza automatyczna. Spróbuję się z nią skontaktować.

- Baza? Chce pan przez to powiedzieć, że to śmietnisko jest zamieszkane?

- Przez garstkę Emforytów. Jakaś zdegenerowana kolonia handlowa. - Andrews skonsultował się z informacją na wykresie. - Niekiedy przelatują tędy statki handlowe. Od czasu wojny centaursko-rigańskiej kontakt z tym regionem jest sporadyczny.

W korytarzu rozległ się nagły hałas. Do kabiny nawigacyjnej weszła pani Gordon w towarzystwie połyskującego robota. Twarz starej jaśniała ożywieniem.

- Kapitanie! Czy... czy to w dole to Ziemia?

Andrews skinął głową.

- Owszem.

Robot podprowadził panią Gordon do dużego monitora. Przez twarz kobiety przebiegł grymas, dając wyraz targającym nią emocjom.

- Trudno mi uwierzyć, że to naprawdę Ziemia. To wydaje się nieprawdopodobne.

Norton rzucił kapitanowi Andrews ostre spojrzenie.

- To Ziemia - oświadczył Andrews, unikając jego wzroku. - Wkrótce powinien pojawić się księżyc.

Stara milczała. Odwróciła się do monitora plecami.

Andrews nawiązał kontakt z autobazą i podłączył do niej automatycznego pilota. Pod wpływem przyciągania wiązki promieni z Emfory statek zadygotał i zaczął opadać.

- Lądujemy - powiedział do kobiety Andrews, dotykając jej ramienia.

- Ona pana nie słyszy, sir - rzekł robot.

Andrews odchrząknął.

- Cóż, tak czy inaczej sama widzi.

Pod nimi gwałtownie wznosiła się postrzępiona, zrujnowana powierzchnia Emfory III. Po przejściu przez warstwę chmur statek zawisł nad bezkresną, nagą równiną.

- Co tam się wydarzyło? - zapytał Andrews Norton. - Wojna?

- Wojna. Miny. Stare dzieje. Te dziury to prawdopodobnie leje po bombach. Podłużne okopy to ślady po drążeniu powierzchni. Wygląda na to, iż rzeczywiście wyeksploatowano to miejsce całkowicie.

Minęli poszarpany, nierówny rząd górskich szczytów. Zbliżali się do pozostałości oceanu. Rozległy obszar ciemnej wody, pokrytej zaskorupiałą warstwą soli i nieczystości o brzegach ginących w zalegających ład pokładach gruzu.

- Dlaczego to tak wygląda? - zapytała zniecierpliwiona pani Gordon. Na jej twarzy pojawił się cień wątpliwości. - Dlaczego?

- O co pani chodzi? - odrzekł Andrews.

- Nie rozumiem. - Niepewnie spoglądała w dół. - To nie miało tak być. Ziemia jest zielona. Zielona i żywa. Błękitna woda i... - Zawiesiła głos. - Dlaczego?

Andrews chwycił jakiś papier i napisał:

EKSPLOATACJA WYNISZCZYŁA POWIERZCHNIĘ

Pani Gordon przeczytała, krzywiąc usta. Przeszedł ją dreszcz, wstrząsnął jej chudym, wyschlłym ciałem.

- Wyniszczyła... - W jej podniesionym głosie zabrzmiała ostra nuta strachu. - To nie miało tak być! Nie chcę!

Robot ujął jej ramię.

- Niech lepiej odpocznie. Odprowadzę ją do kajuty. Proszę dać nam znać, kiedy wylądujemy.

- Jasne. - Andrews z przymusem kiwnął głową, podczas gdy robot odprowadzał starą od ekranu. Przytrzymała się barierki, a jej twarz zniekształciły lęk i niepewność.

- Coś tu jest nie tak! - zawodziła. - Dlaczego to tak wygląda? Dlaczego...

Robot wyprowadził ją z kabiny. Zatrzaśnięcie hydraulicznych drzwi bezpieczeństwa gwałtownie stłumiło jej krzyki.

Andrews odetchnął.

- Boże. - Roztrzęsionymi rękami zapalił papierosa. - Ależ ona robi hałas.

- Jesteśmy prawie na miejscu - oznajmił lodowato Norton.

Kiedy ostrożnie wyszli na zewnątrz, owiały ich zimne podmuchy wiatru. W powietrzu unosił się kwaśny, zgniły zapach zepsutych jaj. Wiatr sypał im na twarze sól i piasek.

Morze znajdowało się w odległości kilku mil od nich. Słyszeli jego niewyraźny szum. Nad ich głowami przeleciało kilka milczących ptaków, bezgłośnie trzepocząc skrzydłami.

- Diabelnie przygnębiające miejsce - mruknął Andrews.

- Tak. Ciekawe, co sobie myśli ta pani.

Staruszka z pomocą robota zeszła po rampie. Niepewnie stawiała chwiejne kroki, kurczowo ściskając metalowe ramię swojego towarzysza. Jej kruchym ciałem targnął lodowaty powiew wiatru. Zachwiała się, po czym odzyskawszy równowagę, zeszła z rampy i stanęła na nierównym gruncie.

Norton potrząsnął głową.

- Źle wygląda. To powietrze. I wiatr.

- Wiem. - Andrews ruszył w kierunku pani Gordon i robota. - Jak ona się czuje? - zapytał.

- Niedobrze, sir - odparł robot.

- Kapitanie - szepnęła stara.

- Słucham?

- Musi pan powiedzieć prawdę. Czy... czy to naprawdę Ziemia?

Z napięciem spoglądała na jego wargi.

- Przysięga pan? Przysięga? - Piskliwie uniosła głos.

- Ziemia! - rzucił ze złością Andrews. - Przecież już pani mówiłem. Oczywiście, że to Ziemia.

- To nie wygląda jak Ziemia. - Ogarnięta paniką pani Gordon czekała na odpowiedź. - To nie wygląda jak Ziemia, kapitanie. Czy to rzeczywiście ona?

- Tak!

Przeniosła wzrok na ocean. Jej zmęczona twarz przybrała osobliwy wyraz, oczy wypełniły się nagłą tęsknotą.

- Czy to woda? Chcę zobaczyć.

Andrews zwrócił się do Nortona.

- Proszę wyprowadzić szalupę. I zabrać panią Gordon, dokąd zechce.

Norton cofnął się gniewnie.

- Ja?

- To rozkaz.

- Dobrze. - Norton z ociąganiem powrócił na statek. Andrews ponuro zapalił papierosa i czekał. Wkrótce ze statku wysunęła się szalupa i osiadła nieopodal na piasku.

- Możesz pokazać jej, co chce - powiedział Andrews do robota. - Norton z wami popłynie.

- Dziękuję, sir - odparł robot. - Będzie wdzięczna. Przez całe życie marzyła o wizycie na Ziemi. Pamięta, jak opowiadał o niej jej dziadek. Wierzy, że przybył z Ziemi, wiele, wiele lat temu. Jest bardzo stara. Jest ostatnim żyjącym członkiem swojej rodziny.

- Ależ Ziemia to tylko... - Andrews w porę ugryzł się w język. - To znaczy...

- Tak, sir. Ale ona jest bardzo stara. I czekała przez tyle lat. - Robot odwrócił się do kobiety i delikatnie podprowadził ją w kierunku szalupy. Andrews przyglądał się im, marszcząc brwi i trąc podbródek.

- W porządku - dobiegł z szalupy głos Nortona. Otworzył właz i robot ostrożnie wprowadził kobietę do środka. Właz zamknął się za nimi.

Chwilę potem szalupa sunęła po słonym podłożu w stronę nie zachęcającego swym widokiem oceanu.

Norton i kapitan Andrews niespokojnie przemierzali wybrzeże. Niebo ciemniało. Wiatr chłostał ich słonymi kroplami wody. Błotnista równina cuchnęła w gęstniejącym mroku. W oddali widniała niewyraźna linia pograżonych w ciszy wzgórz.

- Proszę mówić dalej - ponaglił Andrews. - Co się później stało?

- To już wszystko. Wysiadła z szalupy. Razem z tym swoim robotem. Ja zostałem w środku. Stali, wpatrując się w ocean. Po jakimś czasie stara odesłała robota do szalupy.

- Po co?

- Nie wiem. Pewnie chciała zostać sama. Stała tak przez chwilę. Na brzegu. Patrząc w wodę. Wiatr się nasilił. Naraz niespodziewanie upadła. Upadła na ziemię, wprost na ten słony piach.

- I co potem?

- Nim zdążyłem oprzytomnieć, robot wyskoczył na zewnątrz i podbiegł do niej. Wziął ją na rękę. Stał chwilę, a następnie ruszył w kierunku wody. Wybiegłem z szalupy, zacząłem coś krzyczeć. Wszedł do wody i zniknął. Zapadł się w błoto. Bez śladu. - Norton zadrżał. - Razem z jej ciałem.

Andrews ze złością wyrzucił papierosa. Rozżarzony niedopałek potoczył się po ziemi.

- Coś jeszcze?

- Nic. To trwało zaledwie chwilę. Stała tam, wpatrzona w wodę. Ni stąd, ni zowąd zadrżała - jak uschła gałąź. Zupełnie jakby naraz opuściły ją wszystkie siły. A robot wypadł z szalupy i znalazł się w wodzie, nim zdołałem zorientować się, o co chodzi.

Niebo było prawie zupełnie ciemne. Potężne obłoki przysłaniały jaśniejące nikłym blaskiem gwiazdy. Obłoki trujących nocnych oparów i cząsteczek nieczystości. Horyzont przecięło stado ogromnych, milczących ptaków.

Za poszarpanych wzgórz wyjrzał księżyc. Naga kula o chorobliwej barwie jasnej żółci. Niczym stary pergamin.

- Wracajmy na statek - powiedział Andrews. - Nie podoba mi się to miejsce.

- Nie potrafię stwierdzić, co się wydarzyło. Ta stara. - Norton potrząsnął głową.

- Wiatr. Radioaktywne toksyny. Sprawdziłem na Centaurze II. Wojna spustoszyła cały układ. Zostawiła planetę w stanie kompletnej ruiny.

- A więc nie będziemy musieli...

- Nie. Nie my za to odpowiemy. - Przez jakiś czas szli w milczeniu. - Niczego nie będziemy musieli wyjaśniać. Wszystko jest jasne. Ktokolwiek by tu się zjawił, a zwłaszcza starsza osoba...

- Nikt by tutaj nie przyleciał - przerwał mu gorzko Norton. - A już w szczególności starsza osoba.

Andrews zbył to milczeniem. Maszerował ze spuszczoną głową i rękami wciśniętymi w kieszenie. Norton bez słowa szedł o krok za nim. Nad nimi jedyny księżyc nabrał wyrazistości, wysunąwszy się ponad warstwę oparów na fragment czystego nieba.

- A tak w ogóle - zza pleców Andrewsa dobiegł chłodny, daleki głos Nortona. - To nasza ostatnia wspólna wyprawa. Jeszcze na statku wypełniłem formularz z prośbą o przeniesienie.

- Ach tak.

- Pomyślałem, że pana uprzedzę. Co się tyczy mojego udziału z tysiąca pozytywów, może go pan sobie zatrzymać.

Andrews poczerwieniał i przyspieszył kroku, pozostawiając Nortona w tyle. Śmierć kobiety wytrąciła go z równowagi. Zapalił kolejnego papierosa, po czym odrzucił go gniewnie.

A niech to jasny szlag - przecież to nie on zawinił. Była stara. Trzysta pięćdziesiąt lat. Zgrzybiała i głucha. Wyblakły liść, niesiony wiatrem. Zatrutym wiatrem nieustannie smagającym zmasakrowaną twarz planety.

Zmasakrowaną twarz. Słony piasek i sterty gruzu. Poszarpana linia wzgórz. I ta cisza. Wieczna cisza. Mącona jedynie szumem wiatru i chlupotem zgęstniałej wody. I posępne ptaki nad głową.

Coś załśniło. Coś u jego stóp, w słonym piasku. Odbijając chorobliwą bladość księżyca.

Andrews schylił się i na oślepie pomacał ręką dokoła. Jego palce zacisnęły się na twardym przedmiocie. Podniósł niewielki krążek i obejrzał go.

- Dziwne - powiedział.

Przypomniał sobie o nim dopiero wówczas, gdy znaleźli się w kosmosie i sunęli z powrotem na Fomalhaut.

Wstał zza tablicy rozdzielczej i przeszukał kieszenie.

Krążek był cienki i wytarty. I niezwykle stary. Andrews tarł i pluł na niego, aż stał się na tyle czysty, by móc odczytać inskrypcję. Błady zarys - nic więcej. Obracał przedmiot na wszystkie strony. Żeton? Uszczelka? Moneta?

Z tyłu widniało kilka pozbawionych znaczenia liter. Jakiś starożytny, zapomniany alfabet.

Podniósł krążek do światła, by odróżnić poszczególne litery.

ET PLURIBUS UNUM

Wzruszył ramionami, wrzucił starożytny kawałek metalu do stojącego obok kosza na śmieci i skierował myśli ku wykresom gwiazd i zbliżającemu się domowi...

IMPOSTOR

Niedługo wezmę sobie trochę wolnego - oznajmił Spence Olham podczas pierwszego dania. Popatrzył na żonę. - Chyba zasłużyłem na odpoczynek. Dziesięć lat to kawał czasu.

- A co z Projektem?

- I beze mnie wygrają wojnę. Tak naprawdę, to tej naszej glinianej kuli nic nie grozi. - Olham usiadł przy stole i zapalił papierosa. - Media zniekształcają faktyczne dane, chcąc wzbudzić przekonanie, że kosmici siedzą nam na głowie. Wiesz, co chciałbym zrobić w czasie urlopu? Chciałbym pojechać na biwak w góry, za miasto, tam gdzie wtedy. Pamiętasz? Zatrąłem się, a ty omal nie nastąpiłaś na węża.

- Do puszczy Sutton? - Mary przystąpiła do uprzątnięcia naczyń. - Spłonęła kilka tygodni temu. Myślałam, że wiesz. W wyniku jakiejś tam eksplozji.

Olham zmarkotniał.

- Nie trudzą się nawet, aby ustalić przyczynę? - Wykrzywił usta. - Nic już nikogo nie obchodzi. Potrafią myśleć jedynie o wojnie. - Zacisnął zęby, widząc oczami wyobraźni kosmitów, wojnę oraz statki igłowe.

- Może wymyślimy coś innego?

Olham skinął głową. Oczywiście miała rację. Ciemne, nieduże statki z Alfy Centauri bez trudu ominęły ziemskie krążowniki, pozostawiając je niczym bezradne żółwie. Walki toczyły się jednokierunkowo, przez całą drogę powrotną na Terrę.

Dopóki laboratoria Westinghouse'a nie zaprezentowały kul ochronnych. Ulokowane wokół głównych ziemskich miast i wreszcie wokół samej planety, kule stanowiły pierwszy sposób obrony z prawdziwego zdarzenia i pierwszą sensowną odpowiedź udzieloną kosmitom, jakim to mianem określały ich media.

Jednak wygrana stanowiła odrębną kwestię. Każda pracownia, każdy zespół harował dzień i noc, bez końca dążąc do wynalezienia broni mającej zapewnić definitywne zwycięstwo w walce. Na przykład jego zespół. Od świtu do zmierzchu, rok po roku.

Olham wstał, gasząc papierosa.

- Jak miecz Damoklesa, ciągle wisi nam nad głową. Męczy mnie to. Pragnę jedynie długiego wypoczynku. Ale pewnie każdy czuje to samo.

Wyjął z szafy kurtkę i wyszedł na ganek. Niebawem powinien zjawić się transport; mały szybki pancernik, który zawiezie go do pracy.

- Mam nadzieję, że Nelson przyjedzie na czas. - Spojrzał na zegarek. - Dochodzi siódma.

- Jedzie - powiedziała Mary, spoglądając między rzędy domów. Słońce wylało się zza dachów, rzucając na ołowiane płyty świetliste refleksy. W okolicy panował spokój; w obejściach krzątała się jedynie garstka ludzi. - Do zobaczenia. Spróbuj nie pracować ponad własną zmianę, Spence.

Olham otworzył drzwi samochodu i wślizgnął się do środka, z westchnieniem opadł na siedzisko. Obok Nelsona w samochodzie znajdował się starszy mężczyzna.

- No i? - zapytał Olham. - Jakieś interesujące wieści?

- Normalka - odparł Nelson. - Uderzyło kilka statków pozaprzeznaczonych, ze względów strategicznych porzucono kolejną asteroidę.

- Doprowadzenie Projektu do końca przyniesie wreszcie jakiś konkretny rezultat. Może to tylko propaganda siana przez media, ale w ciągu ostatniego miesiąca naprawdę poczułem się zmęczony. Wszystko zdaje się tak ponure, pozbawione życia i monotonne.

- Sądzi pan, że wojna toczy się na próżno? - zapytał zniechęcony starszy mężczyzna. - Pan sam jest jej integralną częścią.

- To major Peters - wtrącił Nelson. Olham i Peters uścisnęli dłonie. Olham przyjrzał się starszemu mężczyźnie.

- Co sprowadza pana tak wcześnie? - zapytał. - Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek widział pana w zespole.

- Nie, nie należę do zespołu - odparł Peters - ale co nieco znam się na waszej pracy. Moja polega na czymś zupełnie innym.

Wymienił pospieszne spojrzenie z Nelsonem. Olham dostrzegł to i zmarszczył brwi. Pancernik nabierał prędkości, pędząc przez jałową, pozbawioną życia okolicę w kierunku dalekiego obrzeża siedziby zespołu.

- Czym pan się zajmuje? - zapytał Olham. - Czy może nie wolno panu o tym mówić?

- Pracuję dla rządu - odrzekł Peters. - Dla FAB-u, wydziału bezpieczeństwa.

- Ach tak? - Olham uniósł brew. - Czyżby w tym rejonie doszło do infiltracji ze strony przeciwnika?

- Tak naprawdę, to przybyłem tu, aby zobaczyć się z panem, panie Olham.

Jego odpowiedź zbiła Olhama z tropu. Rozważył ją, ale nie był w stanie wyciągnąć żadnych wniosków.

- Ze mną? Dlaczego?

- Przybyłem tu, aby aresztować pana jako szpiega. Właśnie to spowodowało mnie tak wcześnie. Łapać go, Nelson!

Olham poczuł pod żebrami ucisk pistoletu. Poblady na twarzy Nelson trząsł się cały od hamowanych emocji. Gwałtownie łapał i wydychał powietrze.

- Czy teraz powinniśmy go zabić? - wyszeptał do Petersa. - Chyba tak. Nie ma na co czekać.

Olham spoglądał w twarz przyjacielowi. Bezgłośnie poruszył ustami. Obaj mężczyźni patrzyli na niego nieruchomym wzrokiem z przerażeniem wypisanym na stężałych obliczach. Olham poczuł zawrót głowy.

- Nie rozumiem - mruknął.

Naraz pojazd oderwał się od ziemi i poszybował ku przestrzeni kosmicznej. Pozostawiona w dole siedziba zespołu z każdą chwilą malała coraz bardziej, aż wreszcie znikła. Olham zacisnął usta.

- Możemy chwilę poczekać - rzekł Peters. - Chciałbym najpierw zadać mu kilka pytań.

Olham spoglądał przed siebie otępiałym wzrokiem.

- Aresztowaliśmy go - rzucił w stronę widekranu Peters. Na monitorze pojawiło się oblicze dowódcy wydziału bezpieczeństwa. - Wszystkim kamień powinien spaść z serca.

- Jakież komplikacje?

- Żadnych. Wsiadł do samochodu, niczego nie podejrzewając. Najwyraźniej nie uznał mojej obecności za niecodzienne zjawisko.

- Gdzie teraz jesteście?

- W drodze na zewnątrz, tuż pod powierzchnią kuli ochronnej. Poruszamy się z maksymalną prędkością. Może pan przyjąć, że punkt krytyczny mamy już za sobą. Cieszę się, że silniki startowe podziałały bez zarzutu. Gdyby w owej chwili miały miejsce jakiegokolwiek przeszkody...

- Niech no rzucę na niego okiem - powiedział dowódca wydziału bezpieczeństwa. Popatrzył na siedzącego nieruchomo, zapatrzzonego przed siebie Olhama. Olham milczał. Wreszcie dowódca

skinął na Petersa. - Dobrze. Wystarczy. - Jego twarz przeciął nieznaczny wyraz obrzydzenia. - Zobaczyłem już to, co chciałem. Uczyniliście coś, co zostanie zapamiętane na długo. Szykują o was jakąś wzmiankę pochwalną.

- Ależ nie trzeba - zaproponował Peters.

- Czy nadal istnieje niebezpieczeństwo? Jakie jest prawdopodobieństwo, że...

- Niewielkie. O ile mi wiadomo, konieczne jest zastosowanie kodu werbalnego. Tak czy inaczej, musimy zaryzykować.

- Powiadomię bazę księżycową o waszym przybyciu.

- Nie. - Peters potrząsnął głową. - Wyląduję poza bazą. Nie chciałbym jej narażać.

- Jak pan chce. - Dowódca ponownie spojrzał na Olhama i jego spojrzenie rozbłysło. Następnie obraz rozplynął się i monitor zgasł.

Olham przeniósł wzrok na okno. Pojazd przekroczył już ochronną barierę kuli, cały czas zwiększając szybkość. Peters spieszył się; huczące pod podłogą silniki pracowały na maksymalnych obrotach. Ich szaleńczy pośpiech wynikał ze strachu przed nim.

Siedzący obok niego Nelson poruszył się niepewnie.

- Myślę, że nie powinniśmy z tym zwlekać - powiedział. - Dałbym wszystko, aby raz na zawsze z tym skończyć.

- Tylko spokojnie - rzekł Peters. - Chcę, żeby pan przez jakiś czas poprowadził statek, abym mógł zadać mu kilka pytań.

Usiadł obok Olhama i popatrzył mu prosto w twarz. Podniósłszy rękę, ostrożnie dotknął jego ramienia, a potem policzka.

Olham zbył to milczeniem. Gdybym mógł powiadomić Mary, ponownie przemknęło mu przez głowę. Gdybym znalazł sposób, aby dać jej znać. Rozejrzał się po statku. Tylko jak? Widekran? Uzbrojony w pistolet Nelson siedział przed panelem sterowniczym. Nie mógł wykonać żadnego ruchu. Był w pułapce.

Ale dlaczego?

- Słuchaj - rzucił Peters. - Chcę zadać ci kilka pytań. Wiesz, dokąd lecimy. Podążamy w stronę Księżyca. W ciągu najbliższej godziny wylądujemy na jego nie zasiedlonej części. Zaraz po tym przekażemy cię grupie oczekujących tam ludzi. Twoje ciało zostanie niezwłocznie zniszczone. Rozumiesz? - Popatrzył na zegarek. - Po upływie dwóch godzin twoje szczątki zostaną rozrzucone w terenie. Przystaniesz istnieć.

Olham wyrwał się z otępienia.

- Czy nie mógłby pan mi powiedzieć...

- Ależ mógłbym. - Peters kiwnął głową. - Dwa dni temu otrzymaliśmy raport, że statek z pozaprzestrzeni przedarł się przez kulę ochronną. Na statku znajdował się humanoid. Jego zadanie polegało na tym, aby zniszczyć wyznaczoną istotę ludzką i zająć jej miejsce.

Peters obrzucił Olhama spokojnym spojrzeniem.

- Wewnątrz robota umieszczono Bombę-U. Nasz agent nie wiedział, co miało spowodować jej detonację, ale przypuszczał, że może to być jakaś komenda, wypowiedziane w ustalonym szyku wyrazy. Robot miał żyć życiem zabitego przez siebie człowieka, wykonywać jego zajęcia, wypełniać obowiązki, spotykać się ze znajomymi. Został skonstruowany na podobieństwo tego człowieka. Nikt nie dopatrzyłby się różnicy.

Twarz Olhama zbielała jak kreda.

- Człowiekiem, którego postać przybrał ów robot, był Spence Olham, wysokiej rangi oficer, członek jednego z zespołów badawczych. Z uwagi na to, że Projekt zbliżał się do punktu kulminacyjnego, obecność żywej bomby w samym jego ośrodku...

Olham utkwiał spojrzenie w swoich dłoniach.

- Przecież to ja jestem Omamem!

- Jak tylko robot zlokalizował i zabił Olhama, przejęcie jego roli nie stanowiło żadnego problemu. Robot wydostał się ze statku prawdopodobnie osiem dni temu. Zamiana mogła nastąpić podczas weekendu, kiedy Olham udał się na krótki spacer na wzgórze.

- Przecież to ja jestem Olhamem. - Zwrócił się do siedzącego za sterem Nelsona. - Nie poznajesz mnie? Znamy się od dwudziestu lat. Nie pamiętasz, jak razem chodziliśmy do liceum? - Wstał. - Studiowaliśmy na jednym uniwersytecie. Dzieliliśmy pokój. - Zrobił krok w kierunku Nelsona.

- Nie zbliżaj się! - warknął Nelson.

- Posłuchaj. Pamiętasz, jak byliśmy na drugim roku? Pamiętasz tę dziewczynę? Jak ona miała na imię... - Potarł czoło. - Ta ciemnowłosa. Poznaliśmy ją u Teda.

- Przestań! - Nelson obłąkańczo pomachał pistoletem. - Nie mam zamiaru dłużej tego słuchać. Zabiłeś go! Ty... maszyno.

Olham popatrzył na Nelsona.

- Mylisz się. Nie wiem, co się stało, ale ten robot do mnie nie dotarł. Coś musiało pójść nie tak. Może statek się rozbił. - Zwrócił się do Petersa. - To ja jestem Olhamem. Wiem o tym. Zamiana nie nastąpiła. Jestem taki sam jak zawsze.

Dotknął się rękami i przesunął nimi wzdłuż ciała.

- Musi istnieć jakiś sposób, aby to udowodnić. Zabierzcie mnie z powrotem na Ziemię. Prześwietlenie rentgenowskie, badanie neurologiczne, cokolwiek w tym rodzaju powinno was przekonać. Albo też znajdziemy rozbity statek.

Ani Peters, ani Nelson nie odezwali się słowem.

- To ja jestem Olhamem - powtórzył. - Wiem, że tak. Lecz nie potrafię tego udowodnić.

- Robot - przemówił Peters - nie zdaje sobie sprawy z tego, że nie jest prawdziwym Spence'em Olhamem. Stał się nim zarówno ciałem, jak i umysłem. Zainstalowano mu sztuczny układ pamięciowy, fałszywe wspomnienia. Wygląda dokładnie tak samo, ma jego wspomnienia, myśli i zainteresowania, wykonuje jego pracę.

Jedyna różnica polega na tym, że w jego wnętrzu tkwi Bomba-U, gotowa eksplodować wraz z wypowiedzeniem ustalonego kodu. - Peters odsunął się nieznacznie. - Oto jedyna różnica. Dlatego właśnie zabieramy cię na Księżyc. Rozłożą cię na części i usuną bombę. Być może wówczas wybuchnie, ale tam nie będzie to miało istotnego znaczenia.

Olham powoli opadł na siedzenie.

- Wkrótce dotrzemy na miejsce - oznajmił Nelson.

Rozmyślał gorączkowo, podczas gdy pojazd z wolna opadał. Pod nimi rozciągała się porowata powierzchnia Księżyca, bezkresna płachta ruiny. Co mógł zrobić? Gdzie szukać ocalenia?

- Przygotuj się - powiedział Peters.

Za kilka minut będzie martwy. Dostrzegł położony w dole maleńki punkt, pewnie budynek. W budynku znajdowali się ludzie, niszczycielska załoga gotowa rozedrzeć go na strzępy. Zdziwił się, kiedy nie znajdą bomby; poznają prawdę, ale wtedy będzie już za późno.

Olham rozejrzał się po ciasnej kabinie. Nelson w dalszym ciągu ścisnął pistolet. Znikąd ratunku. Gdyby mógł skontaktować się z lekarzem, przeprowadzić badanie - oto jedyne wyjście. Mary mogłaby mu pomóc. Myśli szaleńczo gnały mu przez głowę. Zostało zaledwie kilka minut. Gdyby zdołał jakoś nawiązać z nią kontakt, w jakiś sposób dać jej znać.

- Ostrożnie - rzekł Peters. Statek powoli opadł i podskoczył na nierównym gruncie. Zaległa cisza.

- Wysłuchajcie mnie - rzucił ostro Olham. - Potrafię udowodnić, że jestem Spence'em Olhamem. Sprowadźcie lekarza. Wezwijcie go tutaj...

- Oto i nasz oddział - pokazał Nelson. - Nadchodzą. - Nerwowo zerknął na Olhama. - Mam nadzieję, że nic się nie wydarzy.

- Znikniemy, nim doprowadzą robotę do końca - oświadczył Peters. - Za chwilę już nas tu nie będzie. - Założył kombinezon ciśnieniowy. Gdy skończył, odebrał pistolet Nelsonowi. - Popilnuję go przez chwilę.

Nelson w pośpiechu niezgrabnie wkładał kombinezon.

- Co z nim? - Wskazał na Olhama. - Czy jemu również będzie on potrzebny?

- Skąd. - Peters potrząsnął głową. - Roboty przypuszczalnie nie potrzebują tlenu.

Grupa mężczyzn prawie dotarła do statku. Przystanęli w oczekiwaniu. Peters dał im znak ręką.

- Chodźcie! - Kiwnął na nich i mężczyźni zbliżyli się ostrożnie; sztywne, groteskowe postacie w nadmuchanych skafandrach.

- Otwarcie drzwi - powiedział Olham - oznacza moją śmierć. To morderstwo.

- Niech pan otwiera - rzucił Nelson. Sięgnął ręką do klamki.

Olham nie spuszczał z niego wzroku. Obserwował, jak dłoń mężczyzny zaciska się na metalowym uchwycie. Za chwilę drzwi otworzą się i powietrze z wnętrza pojazdu wydostanie się na zewnątrz. Umrze, a oni uświadomią sobie pomyłkę. Może kiedyś, kiedy wojna dobiegnie końca, ludzie zaprzestaną podobnych działań, popychania człowieka do śmierci z uwagi na własny strach. Wszystkich ogarnęło przerażenie i każdy gotów był poświęcić los jednostki z powodu ogólnej paniki.

Zabijano go, gdyż nie mieli sposobu, aby upewnić się co do jego winy. Zabrakło na to czasu.

Patrzył na Nelsona. Nelson był jego przyjacielem od lat. Chodzili razem do szkoły. Był świadkiem na jego ślubie. A teraz chciał go zabić. Ale nie wynikało to z niczemności; wina nie leżała po jego stronie. Przyczyna tkwiła w czasach, w których przyszło im żyć. Może podczas zarazy wszystko odbywało się podobnie. Kiedy na kimś wykryto skazę, uśmiercano go bez chwili wahania, opierając się na czcnych domysłach, nie szukając dowodów. W trudnych czasach nie istniało inne rozwiązanie.

Nie miał im tego za złe. Niemniej jednak musiał przeżyć. Jego życie było zbyt cenne, aby je poświęcić. Olham zastanowił się pospiesznie. Cóż mógł zrobić? Czy istniało jakiegokolwiek wyjście? Rozejrzał się.

- Otwieram - rzekł Nelson.

- Macie rację - odezwał się Olham. Zaskoczył go dźwięk jego własnego głosu. Pobrzmiwała w nim silna nuta desperacji.

- Nie potrzebuję powietrza. Otwórzcie drzwi.

Zamarli, spoglądając na niego z mieszaniną zdumienia i ciekawości.

- Proszę. Otwórzcie je. To nie sprawi żadnej różnicy. - Ręka Olhama zniknęła w zanadru kurtki. - Ciekawe, jak daleko zdołacie odbiec.

- Odbiec?

- Zostało wam piętnaście sekund życia. - Zacisnął ukryte pod kurtką, zdrętwiałe nagle palce. Odprężył się z lekkim uśmiechem. - Co do kodu zabezpieczającego, nie mieliście racji. Zostało czternaście sekund.

Zza hełmów wyzierały na niego dwie osłupiałe twarze. Naraz obaj mężczyźni rzucili się do wyjścia i otworzyli drzwi. Powietrze z gwizdem wydostało się na zewnątrz, ginąc w próżni. Peters i Nelson wypadli ze statku. Olham rzucił się za nimi. Chwycił za klamkę i zatrzęsął drzwi. Automatyczny system ciśnieniowy z turkotem uzupełniał niedobór powietrza. Olham spazmatycznie wypuścił wstrzymywane powietrze.

Jeszcze jedna chwila...

Widoczni za oknem dwaj mężczyźni dołączyli do grupy, która rozproszyła się we wszystkich kierunkach. Jeden za drugim rzucali się na ziemię. Olham zasiadł za sterem. Ustawił wskaźniki. Kiedy statek żeglował w górę, mężczyźni gramolili się na nogi i spoglądali za nim z otwartymi ustami.

- Przepraszam - mruknął Olham - ale muszę wrócić na Ziemię.

Poprowadził statek w kierunku, z którego przybył.

Zapadła noc. Wokół statku cykały świerszcze, mącąc lodowatą harmonię ciemności. Olham pochylił się nad widekranem. Na monitorze stopniowo uformował się obraz; połączenie zostało nawiązane bez przeszkód. Odetchnął z ulgą.

- Mary - powiedział. Kobieta utkwiała w nim wzrok. Raptownie chwyciła oddech.

- Spence! Gdzie ty jesteś? Co się stało?

- Nie mogę ci powiedzieć. Posłuchaj, nie mam chwili do stracenia. W każdej chwili mogą przerwać tę rozmowę. Wejdz na teren siedziby zespołu i znajdź doktora Chamberlaina. Jeśli go tam nie ma, poszukaj jakiegokolwiek innego lekarza. Przyrowadź go do domu i zatrzymaj tam. Niech przyniesie sprzęt, aparat rentgenowski, fluoroskop, wszystko.

- Ale...

- Rób, co mówię. Pospiesz się. Niech za godzinę ma wszystko przygotowane. - Olham zbliżył się do monitora. - Czy wszystko w porządku? Jesteś sama?

- Sama?

- Czy ktoś jest tam z tobą? Czy Nelson... albo ktoś inny kontaktował się z tobą?

- Nie. Spence, ja nic nie rozumiem.

- Dobrze. Do zobaczenia za godzinę w domu. I nikomu ani słowa. Wymyśl dla Chamberlaina jakikolwiek pretekst. Powiedz, że jesteś bardzo chora.

Przerwał połączenie i spojrzął na zegarek. Chwilę później opuścił statek i wtopił się w ciemność. Miał do przebycia całą milę. Ruszył przed siebie.

W oknie widniało światło lampki przy biurku. Obserwował je, przyklękawszy pod płotem. Ciszy nie zakłócał najłżejszy odgłos; wokół panował całkowity bezruch. Podniósł zegarek i przy świetle gwiazd sprawdził czas. Godzina prawie już upłynęła.

Ulicą nadjechał pancernik, ale się nie zatrzymał.

Olham zerknął w stronę domu. Lekarz pewnie już przybył. Powinien wraz z Mary czekać w środku. Naraz uderzyła go pewna myśl. Czy Mary mogła wyjść z domu? Może tamci podsłuchali ich rozmowę. A jeśli pakował się prosto w pułapkę.

Ale cóż innego miał zrobić?

Ze zdjęciami i sprawozdaniem lekarskim miał szansę dostarczyć dowodów. Gdyby został zbadany, gdyby żył dość długo, by umożliwić im obejrzenie go...

Wówczas okazałby dowody. Przypuszczalnie było to jedyne wyjście. Jego jedyna nadzieja znajdowała się we wnętrzu domu. Doktor Chamberlain był szanowanym człowiekiem. Wszedł w skład zespołu pracującego nad Projektem. On będzie wiedział, jego słowo odegra tutaj decydującą rolę. Faktami przewycięży ich histerię i szaleństwo.

Szaleństwo - oto właściwe określenie. Gdyby tylko dali sobie trochę czasu, działali metodycznie i z rozmysłem. Ale nie, oni nie mogli czekać. Musiał umrzeć, i to natychmiast, bez dowodu, bez żadnego procesu czy badania. Najprostszy test wykazałby prawdę, lecz im zabrakło czasu nawet na to. Doszczętnie pochłonęła ich myśl o niebezpieczeństwie. To ona zepchnęła wszystko inne na dalszy plan.

Wstał i ruszył w stronę domu. Dotarł na ganek. Przy drzwiach przystanął, nasłuchując. Cisza. W domu panował absolutny spokój.

Podejrzany spokój.

Olham bez ruchu stał na ganku. Obecny w środku osobom zależało na zachowaniu ciszy. Dlaczego? Dom był mały; doktor Chamberlain i Mary powinni się znajdować tuż za drzwiami. A jednak nie dochodził go żaden dźwięk, szmer głosów, nic. Popatrzył na drzwi. Otwierał je tysiące razy, każdego ranka i wieczoru.

Chwycił za klamkę. Następnie, ni stąd, ni zowąd wyciągnął rękę i zadzwonił. Z tyłu domu

zabrzmiął odległy dźwięk. Olham uśmiechnął się. Usłyszał odgłos kroków.

Mary otworzyła drzwi. Jak tylko jego spojrzenie padło na jej twarz, zrozumiał.

Bez namysłu skoczył w zarośla. Oficer bezpieczeństwa odepchnął Mary na bok i strzelił ponad jej ramieniem. Krzaki zostały zmiecione z powierzchni ziemi. Olham okrążył dom. Zerwał się i na osłep pognął przed siebie. Za jego plecami zapalono reflektor, kołował nad nim snop światła.

Przebiegł przez ulicę i wspiał się na płot. Zeskoczywszy na ziemię, przeciął na ukos podwórze. Za nim nadciągał pościg, grupa pokrzykujących do siebie oficerów bezpieczeństwa. Olham z trudem łapał oddech.

Jej twarz - od razu wiedział. Zaciśnięte usta, przejęte zgrozą spojrzenie. A gdyby tak sam otworzył drzwi i wszedł do środka! Podśluchali rozmowę i zjawili się natychmiast, jak tylko skończył. Pewnie im uwierzyła. Bez wątpienia też uważała, że jest robotem.

Olham nieprzerwanie biegł przed siebie. Pozostawił oficerów daleko z tyłu. Najwyraźniej bieganie nie było ich najmocniejszą stroną. Wspiał się na wzgórze i popędził po przeciwnym zboczu. Lada chwila znajdzie się obok statku. Ale dokąd tym razem ma się udać? Zwolnił. Już na tle nieba widział zarys statku w miejscu, gdzie go zostawił. Minał osiedle; dotarł na skraj leżącej pomiędzy zamieszkanymi obszarami puszczy, tu zaczynało się porośnięte drzewami pustkowie. Przebiegł przez nagie pole i wpadł do lasu.

Kiedy zbliżał się do statku, niespodziewanie otwarto drzwi.

Ujrzał rysującą się na tle światła sylwetkę Petersa. W rękach trzymał borisa. Olham stanął jak wryty. Peters potoczył dokoła spojrzeniem, usiłując przebić wzrokiem ciemność.

- Wiem, że gdzieś tam jesteś - powiedział. - Podejdz tu, Olham. Jesteś otoczony przez funkcjonariuszy ochrony.

Olham ani drgnął.

- Posłuchaj mnie. Jesteś robotem, w twoim ciele tkwi bomba. Kod może zostać wypowiedziany w każdej chwili, przez ciebie, przez kogoś innego, przez kogokolwiek. Kiedy to nastąpi, spustoszenie uczynione przez bombę sięgnie wielu mil. Zespół, kobieta, wszyscy zginiemy. Rozumiesz?

Olham nie odpowiedział. Nasłuchiwał. Przez las w jego kierunku ostrożnie podążali ludzie.

- Jeśli nie wyjdiesz, złapiemy cię. To tylko kwestia czasu. Porzuciliśmy plan odtransportowania cię na bazę księżycową. Zniszczymy cię natychmiast, podejmując ryzyko detonacji. Ściągnąłem tu wszystkich oficerów bezpieczeństwa. Każda piędź hrabstwa przeszukiwana jest cal po calu. Nie masz gdzie się ukryć. Las został otoczony kordonem ludzi. Do chwili przeszukania ostatniego kawałka ziemi pozostało ci około sześciu godzin.

Olham odszedł. Peters ciągnął swoją tyradę; wcale go nie widział. Było na to zbyt ciemno. Niemniej jednak Peters miał rację. Nie istniało miejsce, do którego mógłby się udać. Przebywał poza

osiedlem, na skraju puszczy. Spędzi tu jakiś czas, a potem go złapią.

To tylko kwestia czasu.

Olham bezszelestnie wędrował przez las. Każdy skrawek hrabstwa został gruntownie przeczesany i zbadany. Kordon nadciągał nieubłaganie, zamykając go na coraz mniejszym obszarze.

Co mu pozostało? Utracił statek, jedyną nadzieję ucieczki. Siedzieli w jego domu wraz z żoną, która niechybnie uwierzyła w śmierć prawdziwego Olhama. Zaciśnął pięści. A gdzieś niedaleko w rozbitym statku z pozaprzestrzeni leżały szczątki robota. Gdzieś niedaleko statek uderzył o ziemię.

A zniszczony robot tkwił w środku.

Obudził się w nim promyk nadziei. A jeśli zdoła odnaleźć wrak? Gdyby pokazał im miejsce katastrofy, szczątki statku, robota...

Ale gdzie? Odzieje znajdzie?

Zamyślony podążał przed siebie. Gdzieś tutaj, pewnie całkiem niedaleko. Statek wylądowałby nieopodal siedziby zespołu; robot miał zamiar przebyć resztę drogi na piechotę. Wspiął się na zbocze i rozejrzał dokoła. Teren był rozorany i spalony. Czyżby to stanowiło jakiś znak bądź wskazówkę? Czyżby coś na ten temat obilo mu się o uszy? Leżące nieopodal miejsce, do którego można było zajść pieszo. Miejsce dzikie i wyludnione.

Naraz Olham uśmiechnął się. Rozorany i spalony.

Puszcza Sutton.

Przyspieszył kroku.

Nastał ranek. Słońce świeciło pomiędzy połamanymi drzewami, padając na siedzącego na skraju polany człowieka. Olham od czasu do czasu unosił głowę, nasłuchiwał. Nie byli daleko; dzieliło ich od niego zaledwie kilka minut drogi. Uśmiechnął się.

U jego stóp, rozrzucona na polanie i wbita pomiędzy zwęglone szczątki niegdysiejszej puszczy Sutton, leżała poskręcana masa żelastwa. Pod wpływem promieni słonecznych na jej powierzchni ukazało się kilka świetlistych refleksów. Znalazł wrak bez większego trudu. Dobrze znał puszcze Sutton; kiedy był młodszy, niejednokrotnie wspinał się na otaczające ją góry. Wiedział, gdzie znajdzie szczątki. Powiedział mu o tym sterczący wierzchołek, który bez ostrzeżenia wyrósł na wprost niego.

Nie obeznany z puszcza lądujący statek miał niewielką szansę ją ominąć. A teraz on siedział na ziemi i spoglądał na tkwiący w dole wrak.

Olham wstał. Dochodziły do niego coraz bliższe, stłumione odgłosy pogoni. Ogarnęło go

napięcie. Wszystko zależało od tego, czy wzrok pierwszy na niego padnie. Jeżeli Nelsona, nie będzie miał żadnej szansy. Nelson bez namysłu otworzy ogień. Olham zginie, nim tamten zauważy statek. Lecz gdyby zdążył zawołać, powstrzymać ich przez chwilę... jedynie tego mu było trzeba. Jak tylko zobaczą statek, będzie bezpieczny.

Ale jeśli najpierw zaczną strzelać...

Trzasnęła nadpalona gałąź. Ujrzał idącą z wahaniem postać. Olham wziął głęboki oddech. Pozostało kilka sekund, może ostatnich sekund jego życia. Wyężając wzrok, podniósł do góry rękę.

Był to Peters.

- Peters! - Olham pomachał rękami. Peters uniósł broń i wycelował. - Nie strzelaj! - Zadrżał mu głos. - Zaczekaj chwilę. Popatrz za mnie, na polanę.

- Znalazłem go - krzyknął Peters. Ze spalonego lasu wylegli agenci ochrony.

- Nie strzelaj. Popatrz za mnie. Statek, statek igłowy, spoza przestrzeni. Popatrz!

Peters zawahał się. Machnął bronią.

- Jest tutaj - dorzucił pospiesznie Olham. - Wiedziałem, że go tu znajdę. Spalony las. Teraz mi uwierzycie. W środku znajdziecie szczątki robota. Proszę, sprawdźcie.

- Rzeczywiście coś tam jest - powiedział nerwowo jeden z mężczyzn.

- Zastrzelić go! - wykrzyknął jakiś głos. Był to Nelson.

- Chwileczkę! - Peters wykonał gwałtowny obrót. - Ja tu decyduję. Niech nikt nie strzela. Może on mówi prawdę.

- Niech pan go zastrzeli - ponaglił Nelson. - On zabił Olhama. W każdej chwili może zabić nas wszystkich. Jeżeli bomba wybuchnie...

- Niechże pan się zamknie. - Peters ruszył w kierunku zbocza. Popatrzył w dół. - Spójrzcie na to. - Gestem przywołał dwóch ludzi. - Zejdźcie na dół i sprawdźcie, co to jest.

Mężczyźni zbiegli po skarpie i wkroczyli na polanę. Pochylili się, badając wrak.

- No i? - zawołał Peters.

Olham wstrzymał oddech. Uśmiechnął się nieznacznie. Musi tam być; on sam nie miał czasu się co do tego upewnić, ale na pewno tam jest. Naraz spłynęły nań wątpliwości. A może robot żył wystarczająco długo, aby się oddalić? Albo jego ciało zostało doszczętnie strawione przez ogień?

Zwilżył językiem wargi. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Nelson spoglądał na niego z wściekłością na twarzy. Oddychał pospiesznie.

- Zabijcie go - powiedział Nelson. - Zanim on zabije nas.

Dwaj mężczyźni wstali.

- I co tam znaleźliście? - zapytał Peters. Trzymał broń w pogotowiu. - Czy coś tam jest?

- Na to wygląda. Nie ma wątpliwości, że to statek igłowy. W jego wnętrzu coś leży.

- Sam zobaczę. - Peters wyminął Olhama. Olham patrzył, jak schodzi po zboczu i dołącza do swoich ludzi. Za nim pospieszyli następni, ciekawie wyciągając szyje.

- To jakieś ciało - oświadczył Peters. - Tylko spójrzcie!

Olham podążył za nimi. Stanęli w kręgu, spoglądając w dół.

Na ziemi, dziwnie poskręcana i wygięta spoczywała groteskowa sylwetka. Przypominała kształtem człowieka, tyle że jej kończyny nienaturalnie rozrzucone były na boki. Miała otwarte usta i szkliste spojrzenie.

- Zupełnie jak urządzenie, któremu wyczerpały się baterie - mruknął Peters. Olham uśmiechnął się blado. - No i? - powiedział.

Peters skierował na niego wzrok.

- Nie mogę w to uwierzyć. Przez cały czas mówił pan prawdę.

- Robot nie zdążył do mnie dotrzeć - rzekł Olham. Wyjął papierosa i zapalił go. - Uległ zniszczeniu w czasie katastrofy statku. Byliście zbyt pochłonięci wojną, by zastanawiać się nad przyczyną nagłego pożaru puszczy. Teraz już wiecie.

Palił papierosa, obserwując mężczyzn. Wyciągali ze statku groteskowe zwłoki. Korpus zeszywniał, ramiona i nogi były sztywno wyprężone.

- Teraz znajdziecie bombę - powiedział Olham. Mężczyźni ułożyli zwłoki na ziemi. Peters pochylił się.

- Chyba widzę jej skraj. - Wyciągnął rękę, dotykając ciała.

W klatce piersiowej ziała otwarta rana, wewnątrz której metalicznie połyskiwał jakiś przedmiot. Wszyscy w milczeniu utkwili w nim wzrok.

- Gdyby żył, dzięki temu zniszczyłby nas wszystkich - rzekł Peters. - To metalowa skrzynka.

Zapadła cisza.

- Chyba jesteśmy coś panu dłużni - powiedział do Olhama Peters. - To musiał być dla pana koszmar. Gdyby pan nie uciekł... - Urwał.

Olham zgasił papierosa.

- Oczywiście wiedziałem, że robot nigdy do mnie nie dotarł. Ale nie było sposobu, aby to udowodnić. Czasem trudno jest natychmiast przedstawić dowody. Na tym polegał cały problem. Nie istniała możliwość pokazania wam, że jestem sobą.

- A co pan powie na urlop? - zapytał Peters. - Myślę, że dałoby się załatwić dla pana miesiąc wakacji. Odprężylby się pan, zrelaksował.

- Teraz chyba jak najszybciej chciałbym znaleźć się w domu - odpowiedział Olham.

- Dobrze - odparł Peters. - Jak pan uważa.

Nelson uklęknął na ziemi tuż obok ciała. Sięgnął w kierunku wystającego z piersi kawałka metalu.

- Nie dotykaj - uprzedził go Olham. - Nadal może wybuchnąć. Lepiej niech zajmą się tym saperzy.

Nelson nie odpowiedział. Naraz chwycił metal, wkładając rękę w głąb ciała. Szarpnął.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknął Olham.

Nelson wstał. W dłoni trzymał metalowy przedmiot. Jego twarz poszarzała ze zgrozy. Był to używany przez wroga, pokryty krwią metalowy nóż.

- To go zabiło - szepnął Nelson. - Ten przedmiot odebrał życie mojemu przyjacielowi. - Popatrzył na Olhama. - Zabiłeś go i zostawiłeś przy statku.

Olham drżał, głośno szcękając zębami. Przenosił wzrok z noża na ciało i z powrotem.

- To nie może być Olham - powiedział. Poczul zawrót głowy; wszystko wokół niego zdawało się wirować. - Czyżbym się mylił?

Otworzył szeroko oczy.

- Lecz skoro to jest Olham, wobec tego ja...

Wypowiedział jedynie pierwszą część zdania. Wybuch, który potem nastąpił, widoczny był aż na Alfie Centauri.

JAMES P. GROW

Ty przebrzydły, mały... człowieku - wykrzyknął ze złością świeżo powstały robot typu Z.

Donnie splonął rumieńcem i cofnął się o krok. To prawda. Był człowiekiem, ludzkim dzieckiem. I nauka nic nie mogła na to poradzić. Tkwił w tym po uszy. Człowiek w świecie robotów.

Chciał umrzeć. Żałował, że nie leży pod warstwą darni, a robaki nie toczą jego ciała i nędznego, ludzkiego mózgu. Wówczas Z-236r, jego mechaniczny towarzysz, nie miałby się z kim bawić i dopiero by żałował.

- Dokąd idziesz? - zapytał Z-236r.

- Do domu.

- Beksa.

Donnie zbył to milczeniem. Pozbierał swój zestaw czterowymiarowych szachów, wepchnął go do kieszeni i aleją ekardowych drzew ruszył w kierunku ludzkiej dzielnicy. Za jego plecami stał połyskujący w popołudniowym słońcu Z-236r, blada wieża z metalu i plastiku.

- Myślisz, że mnie to coś obchodzi - zawołał przekornie Z-236r. - Kto chciałby bawić się z człowiekiem? Idź sobie do domu. Ty... ty śmierdzielu.

Donnie nie odpowiedział. Przygarbił się. I głowa opadła mu jeszcze niżej na piersi.

- Stało się - rzekł ponuro do żony Edgar Parks, spoglądając na nią przez kuchenny stół.

Grace pospiesznie uniosła głowę.

- Co?

- Donnie poznał dziś przynależne mu miejsce. Powiedział mi, kiedy się przebierałem. Jeden z robotów, z którymi się bawi, nazwał go człowiekiem. Biedny dzieciak. Czy rzeczywiście muszą przypominać nam o tym na każdym kroku? Dlaczego nie zostawią nas w spokoju?

- Więc to dlatego nie chciał jeść kolacji. Siedzi teraz u siebie w pokoju. Wiedziała, że coś się stało. - Grace dotknęła ręki męża. - Przejdzie mu. Wszyscy musimy przez to przechodzić. Jest silny. Da sobie radę.

Ed Parks wstał od stołu i przeszedł do dużego pokoju swojego skromnego, pięciopokojowego mieszkania, położonego w sekcji miasta wydzielonej specjalnie dla ludzi. Nie miał ochoty najedzenie.

- Roboty. - Bezsilnie zacisnął pięści. - Chciałbym dorwać jednego z nich. Jeden jedyny raz. Wsadzić mu ręce do środka i wyszarpnąć garść przewodów i części. Choć jeden raz, zanim umrę.

- Może twoja szansa cię nie ominie.

- Nie. Nigdy do tego nie dojdzie. Tak czy inaczej ludzie nie byliby w stanie kierować wszystkim bez pomocy robotów. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, kochanie. Ludziom brakuje poczucia wspólnoty, koniecznego do utrzymania społeczeństwa. Listy wykazują to jak na dłoni dwa razy do roku. Musimy to sobie uświadomić. Ludzie nie umywają się do robotów. Ale to ich ciągle przypominanie nam o tym fakcie! Jak dzisiaj, z Donniem. Wytykają nam to na każdym kroku. Nie mam nic przeciwko byciu służącym robota. To niezła praca. Lekka i dobrze płatna. Ale kiedy mój chłopak dowiaduje się...

Ed urwał. Donnie powoli wkroczył do dużego pokoju.

- Cześć, tato.

- Cześć, synku. - Ed poklepał chłopca delikatnie po plecach. - Jak się masz? Nie miałbyś ochoty na wieczorne przedstawienie?

Co wieczór na widekranach nadawano pokazy z udziałem ludzi. Ludzie byli ekspertami od rozrywki. W tej dziedzinie roboty nie mogły z nimi konkurować. Ludzie malowali, pisali, tańczyli, śpiewali i odgrywali role ku uciesze robotów. Również i lepiej gotowali, lecz roboty i tak obydwały się bez jedzenia. Ludzie znaleźli swoje miejsce. Byli rozumiani i potrzebni: jako służący, artyści estradowi, urzędnicy, ogrodnicy, budowniczości, mechanicy, specjaliści od drobnych robót naprawczych i robotnicy fabryczni.

Jednak kiedy w grę wchodziło zajęcie typu koordynator kontroli obywatelskiej bądź nadzorca ruchu taśm dostarczających energię do dwunastu hydrosystemów planety...

- Tato - powiedział Donnie. - Czy mogę cię o coś zapytać?

- Jasne. - Ed z westchnieniem usiadł na tapczanie. Oparł się i założył nogę na nogę. - O co chodzi?

Donnie przycupnął obok niego z wyrazem powagi na okrągłej twarzączce.

- Tato, chciałbym zapytać cię o Listy.

- Ach, tak. - Ed poskrobał się w podbródek. - Rzeczywiście. To już za kilka tygodni. Pora, abyś rozpoczął naukę. Zdobędziemy kilka testów próbnych i przerobimy je. Może wspólnymi siłami przygotujemy cię do Klasy Dwudziestej.

- Posłuchaj mnie. - Donnie pochylił się ku ojcu, zniżając głos. - Tato, ilu ludzi kiedykolwiek przebrnęło przez swoje Listy?

Ed zerwał się i wielkimi krokami zaczął przemierzać pokój, marszcząc brwi, napełnił fajkę.

- Cóż, trudno powiedzieć, synku. To znaczy, ludzie nie mają dostępu do archiwum banku-C, dlatego nie mogę sprawdzić. Według przepisów, każdemu człowiekowi, który uzyska czterdzieści

procent, przysługuje prawo stopniowej gradacji w trakcie kolejnych podejść. Nie mam pojęcia, ilu ludziom udało się...

- Czy w ogóle ktoś kiedyś zdał swoją Listę?

Ed nerwowo przełknął ślinę.

- Boże, dzieciaku. Skąd mam wiedzieć. To znaczy, prawdę mówiąc, nie słyszałem o takim przypadku. Może i nie. Listy prowadzone są zaledwie od trzystu lat. Przedtem reakcyjny rząd zabronił ludziom rywalizacji z robotami. Obecnie mamy rząd liberalny, dzięki czemu możemy konkurować z nimi na Listach, a jeżeli uzyskamy dobry wynik... - Mężczyzna zająknął się i zamilkł. - Nie, synku - powiedział z rezygnacją. - Żaden człowiek nie zdołał przebrnąć przez Listę. Po prostu... nie jesteśmy wystarczająco... inteligentni.

W pokoju zapadła cisza. Donnie beznamytnie skinął głową. Ed nie patrzył na niego. Skoncentrował się na trzymanej w drżących rękach fajce.

- Nie ma co narzekać - oświadczył chrapliwie Ed. - Mam niezłą pracę. Jestem służącym sympatycznego robota typu N. Na Wielkanoc i święta otrzymuję hojne napiwki. Kiedy jestem chory, pozwala mi iść do domu. - Odchrząknął hałaśliwie. - Nie ma co narzekać.

Grace stanęła w drzwiach. Obrzuciła go wymownym spojrzeniem i weszła do pokoju.

- Nie, nie ma. W ogóle. Otwierasz przed nim drzwi, targasz jego rupiecie, załatwiasz telefony, biegasz na posyłki, oliwisz go, naprawiasz, śpiewasz mu, rozmawiasz i skanujesz dla niego taśmy...

- Zamknij się - mruknął z irytacją Ed. - A co, do cholery, miałbym robić? Zrezygnować? A może powinienem kosić trawniki jak John Hollister i Pete Klein. Przynajmniej mój robot mówi do mnie po imieniu. Jak do istoty żyjącej. Nazywa mnie Ed.

- Czy człowiekowi kiedykolwiek uda się zdać Listę? - zapytał Donnie.

- Tak - odparła ostro Grace.

Ed skinął głową.

- Oczywiście, synku. Jasne. W końcu nastanie dzień, kiedy człowiek będzie żył z robotem jak równy z równym. Wśród robotów istnieje Partia Równości. Ma swoje miejsce w Kongresie. Wychodzi z założenia, że ludzie powinni być przyjmowani bez List. Skoro oczywiste jest... - Urwał. - To znaczy, skoro żaden człowiek jak dotychczas nie zdołał zdać Listy...

- Donnie - wtrąciła pospiesznie Grace, pochylając się nad synem. - Posłuchaj mnie. Słuchaj uważnie. Nikt o tym nie wie. Roboty nie rozmawiają o tym między sobą, a ludzie nie wiedzą. Ale to prawda.

- Co takiego?

- Słyszałam o człowieku, który został... sklasyfikowany. Zdał swoje Listy. Dziesięć lat temu. I cały czas pnie się w górę. Teraz szykuje się do Klasy Drugiej. Któregoś dnia wejdzie do Pierwszej. Słyszysz mnie? Człowiek. I zaszedł tak daleko.

Na twarzy Donniego pojawiły się wątpliwości.

- Naprawdę? - Zwątpienie ustąpiło miejsca tęsknej nadziei. - Do Klasy Drugiej? Nie nabierasz mnie?

- To tylko taka historia - mruknął Ed. - Słyszę ją od lat.

- To prawda! Słyszałam, jak rozmawiały o tym dwa roboty, kiedy sprzątałam jedną z jednostek inżynierskich. Na mój widok zamilkły.

- Jak on się nazywa? - zapytał Donnie, wytrzeszczając oczy.

- James P. Crow - odparła z dumą Grace.

- Co za dziwne nazwisko - burknął Ed.

- Właśnie tak. Wiem o tym. To nie żaden wymysł, ale prawda! A kiedyś, któregoś dnia, znajdzie się na szczycie. W Radzie Najwyższej.

Bob McIntyre zniżył głos.

- Owszem, to prawda. Nazywa się James P. Crow.

- A więc to nie legenda? - zapytał z ożywieniem Ed.

- Istotnie żyje taki człowiek. I należy do Klasy Drugiej. Przebył całą drogę na szczyt. Poradził sobie z Listami, ot tak. - McIntyre pstryknął palcami. - Roboty nie nadają temu rozgłosu, ale to fakt. I wiadomość o tym dociera do coraz szerszych kręgów. Coraz więcej ludzi wie.

Obaj mężczyźni przystanęli przy bocznym wejściu do wielkiego budynku mieszczącego Zakład Badań Budowlanych. Z przodu siedziby, przy głównym wejściu, kręciły się tłumy mechanicznych urzędników. Tych, którzy kierowali społeczeństwem terrańskim z wprawą i skutecznością.

Ziemią władały roboty. Taki porządek rzeczy miał miejsce od zawsze. Na to wskazywały archiwa. Ludzie zostali stworzeni podczas wojny totalnej jedenastego milibara. Testowano i wykorzystywano wszystkie rodzaje broni; ludzie stanowili jeden z wielu. Wojna doprowadziła społeczeństwo do ruiny. Przez wiele dziesiątków lat, które po niej nastąpiły, wszędzie panowała anarchia i chaos. Porządek zaprowadzono stopniowo, pod cierpliwym przewodnictwem robotów. Ludzie okazali się pomocni w czasie rekonstrukcji. Ale jaki był pierwotny cel ich stworzenia, do czego byli wykorzystywani, jaką dokładnie odgrywali rolę podczas wojny - w trakcie wybuchów bomb wodorowych te informacje zaginęły bezpowrotnie. Historycy musieli zapełnić powstałe luki

domysłami. I tak też uczynili.

- Skąd to dziwaczne nazwisko? - zapytał Ed.

McIntyre wzruszył ramionami.

- Wiem jedynie, że pełni funkcję poddoradcy w Konferencji Bezpieczeństwa Północnego. I szykuje się do uderzenia na Radę, jak tylko dojrnie do Klasy Pierwszej.

- Co na to roboty?

- Nie podoba im się to. Ale nic nie mogą poradzić. Ich prawnym obowiązkiem jest pozwolić wykwalifikowanemu człowiekowi na sprawowanie urzędu. Naturalnie nigdy nie przyszło im do głowy, że do owej kwalifikacji może dojść. A jednak Crow zdał swoje Listy.

- To naprawdę dziwne. Człowiek sprytniejszy od robotów. Ciekawe, jak to się stało.

- Był zwyczajnym mechanikiem, naprawiającym urządzenia i projektującym obwody. Niewykwalifikowanym, rzecz jasna. I ni stąd, ni zowąd zdał pierwszą Listę, dostając się do Klasy Dwudziestej. W następnym półroczu był już w Klasie Dziewiętnastej. Musieli przydzielić mu stanowisko. - McIntyre zachichotał. - To ci dopiero pech, nie? Musieli znosić w swoim gronie obecność człowieka.

- Jaka była ich reakcja?

- Niektórzy złożyli rezygnację. Woleli wyjść, niż siedzieć obok człowieka. Ale większość została. Wiele robotów jest całkiem przyzwoitych. Bardzo się starają.

- Niezmiernie chciałbym poznać tego Crowa.

McIntyre zmarszczył brwi.

- No cóż...

- O co chodzi?

- Z tego, co wiem, niechętnie pokazuje się w towarzystwie ludzi.

- A to dlaczego? - zjeżył się Ed. - Co z nimi nie tak? Od tego siedzenia z robotami woda sodowa uderzyła mu do głowy...

- Nie o to chodzi. - W oczach McIntyre'a pojawił się dziwny wyraz. Tęskny, daleki wyraz. - Nie tylko o to chodzi, Ed. On coś szykuje. Coś ważnego. Nie powinienem nic mówić. Ale to istotne. Niezmiernie istotne.

- Co takiego?

- Trudno powiedzieć. Ale poczekaj, aż znajdzie się w Radzie. - Oczy McIntyre'a zalśniły gorączkowo. - Zobaczysz, to wstrząśnie światem. Wraz ze słońcem zatrzęsą się wszystkie gwiazdy.

- Co to takiego?

- Nie wiem. Lecz Crow chowa coś w zanadrzu. Coś niewiarygodnie potężnego. Wszyscy na to czekamy. Czekamy na ten dzień...

Pogrążony w myślach James P. Crow siedział przy swoim wypolerowanym mahoniowym biurku. Oczywiście to nie było jego prawdziwe nazwisko. Przybrał je po swoich pierwszych eksperymentach, uśmiechając się przy tym sam do siebie. Nikt w życiu nie odgadnie, co oznaczało; pozostanie to jego prywatnym żartem, osobistym i nie ujawnionym. Co nie umniejszało jego dosadnej i kąśliwej wymowy.

Był niewysokim mężczyzną irlandzko-niemieckiego pochodzenia. Drobny, szczupły człowiek o jasnej cerze, niebieskich oczach i płowej, opadającej na twarz czuprynie, którą należało ustawicznie odgarniać. Miał na sobie workowate, pogniecione spodnie; rękawy koszuli podkasał wysoko. Był czujny i podenerwowany. Przez cały dzień palił papierosy i pił czarną kawę, w nocy zazwyczaj nie mógł spać. Pochłaniało go jednak tyle spraw.

Mnóstwo spraw. Crow zerwał się i podszedł do widprzekaznika.

- Przyślijcie tu Komisarza Kolonii - polecił.

Metalowo-plastikowe ciało Komisarza przecisnęło się przez drzwi i wtoczyło do biura. Robot typu R, cierpliwy i sumienny.

- Pan sobie życzył... - Urwał gwałtownie na widok człowieka. W jego wyblakłych, szklanych oczach zamigotało zwątpienie. Na twarzy rozlał mu się wyraz niesmaku. - Pan sobie życzył ze mną rozmawiać?

Crow napotkał już wcześniej podobną reakcję. I to wielokrotnie. Przywykł do niej - prawie. Zdumienie, nagły odwrót i oziębła formalność. Był dla nich "panem Crowem", a nie Jimem. Prawo nakazywało im traktować go jak równego sobie. Doskwierało im to w różnym stopniu. Niektórzy bez ogródek dawali mu to odczuć. Ten nieco pohamował swoją niechęć; Crow był jego oficjalnym przełożonym.

- Owszem, życzyłem sobie z tobą rozmawiać - powiedział spokojnie Crow. - Chciałbym obejrzeć twój raport. Dlaczego jeszcze nie został złożony?

Przyparty do muru robot wciąż okazywał swoją wyższość i poczucie rezerwy.

- Na taki raport potrzeba czasu. Robimy, co możliwe.

- Chcę otrzymać go w ciągu dwóch tygodni. Nie później.

Robot toczył wewnętrzną walkę pomiędzy długoletnimi uprzedzeniami a wymaganiami rządowych zasad.

- Dobrze, sir. Raport w ciągu dwóch tygodni będzie gotowy. - Robot opuścił gabinet.

Crow ze świstem wypuścił powietrze przez zęby. Robią, co możliwe? Akurat. Na pewno nie celem zadowolenia istoty ludzkiej. Nawet pomimo faktu, że znajdowała się na poziomie doradczym w Klasie Drugiej. Wszyscy jak jeden mąż rzucali mu kłody pod nogi. Niby głupstwa, ale zawsze....

Drzwi rozpląnęły się i do gabinetu wjechał kolejny robot.

- Witaj, Crow. Masz chwilę czasu?

- Oczywiście. - Crow uśmiechnął się. - Siadaj. Zawsze miło zamienić z tobą kilka słów.

Robot położył na biurku Crowa jakieś dokumenty.

- Taśmy i różne takie. Urzędowe drobiazgi. - Popatrzył na Crowa badawczo. - Czemu jesteś taki niespokojny? Czy coś się stało?

- Chodzi o potrzebny mi raport. Zwlekają z nim i wcale się tym nie martwią.

L-87t odchrząknął.

- Zawsze to samo. A tak przy okazji... Dziś wieczorem mamy spotkanie. Miałbyś ochotę przyjść i wygłosić przemówienie? To powinno przynieść pożądaný rezultat.

- Spotkanie?

- Partyjne. W sprawie równości. - L-87t zatoczył w powietrzu prawym chwytakiem niewielki łuk. Symbol Równości. - Miło nam będzie, jak się zjawisz, Jim. Przyjdiesz?

- Nie. Chciałbym, ale mam dużo pracy.

- Ach tak. - Robot ruszył w kierunku wyjścia. - W porządku. W każdym razie dzięki. - Przystanął przy drzwiach. - Wiesz, że pobudzasz nas do działania. Stanowisz żywy dowód naszego przekonania, że człowiek jest równy robotowi i należy mu się związaý z tym szacunek.

Crow uśmiechnął się blado.

- Przecież to nieprawda.

L-87t prychnął z urazą.

- Co ty opowiadasz? Czy sam nie stanowisz na to dowodu? Popatrz na wyniki swoich List. Doskonałe. Ani jednego błędu. A za parę tygodni wejdiesz do Klasy Pierwszej. Najwyższej.

Crow potrząsnął głową.

- Przykro mi. Człowiek jest równy robotowi w takim samym stopniu jak piecowi hutniczemu. Albo silnikowi Diesla. Czy odśnieżarce. Istnieje wiele rzeczy, którym człowiek nie jest w stanie sprostać. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy.

L-87t nie posiadał się ze zdumienia.

- Ale...

- Mówię poważnie. Nie przywiązuje wagi do rzeczywistości. Ludzie i roboty różnią się od siebie całkowicie. My potrafimy śpiewać, grać na scenie, pisać sztuki, opery, malować, projektować scenografie, ogrody, budynki, gotować wyśmienite potrawy, kochać się, bawgrać sonety na świstkach papieru - a roboty nie. One za to potrafią tworzyć aglomeracje miejskie i funkcjonujące bez zarzutu urządzenia, pracować bez ustanku, snuć nie skażone emocjami przemyślenia, w mgnieniu oka koordynować skomplikowane dane.

Ludzie przodują w jednych dziedzinach, roboty w drugich. Ludzie w dużej mierze kierują się uczuciami. Mają świadomość estetyczną. Są wrażliwi na kolory, dźwięki, dotyk i smak wina w połączeniu z łagodną muzyką. Takie wyrafinowane, warte zachodu drobiazgi, leżące poza zasięgiem robotów. Roboty są istotami czysto intelektualnymi. Co również jest nie do pogardzenia. Obydwie sfery są istotne. Kierowani emocjami ludzie wrażliwi na sztukę, muzykę i dramat oraz roboty, które myślą, planują i projektują maszyny. To jednak nie oznacza, że jesteśmy tacy sami.

L-87t ze smutkiem potrząsnął głową.

- Nie rozumiem cię, Jim. Nie chcesz pomóc swojemu gatunkowi?

- Ależ chcę. Jednak przyjmuję realistyczny punkt widzenia. Nie można ignorować faktów i pławić się w iluzorycznym przeświadczeniu, że ludzie i roboty są wymienialni. Że stanowią identyczne elementy.

W szklanych oczach L-87t błysnęło zaciekawienie.

- Co wobec tego proponujesz w zamian?

Crow mocno zacisnął zęby.

- Przekonasz się w ciągu kilku najbliższych tygodni.

Crow opuścił siedzibę Urzędu Ochrony Terrańskiej i wyszedł na ulicę, którą sunęły tłumy robotów, połyskliwe kadłuby z metalu i plastiku. Pomijając służących, ludzie rzadko kiedy zaglądali w te rejony. Była to kierownicza sekcja miasta, jego serce i jądro, gdzie odbywało się planowanie i organizacja. To właśnie z tego miejsca sprawowano kontrolę nad życiem miasta. Roboty były wszędzie. W pojazdach, na ruchomych rampach, balkonach, wchodziły i wychodziły z budynków lub

zatopione w rozmowie stały w roziskrzonych grupkach na podobieństwo rzymskich senatorów.

Kilka pozdrowiło go zdawkowym skinieniem metalowych głów, a następnie odwróciło się plecami. Większość zignorowała go bądź ustąpiła na bok, chcąc uniknąć jakiegokolwiek z nim styczności. Niekiedy grupka rozprawiających robotów milkła gwałtownie, kiedy Crow przechodził nieopodal. Czuł utkwione w sobie badawcze i na wpół zdziwione spojrzenia szklanych oczu. Zauważyli naszywkę na jego rękawie, barwy Klasy Drugiej, budzące w nich zdumienie i urazę. Kiedy się oddalał, pojawiał się gniewny szmer niechęci. Patrzyli za nim, kiedy podążał w kierunku dzielnicy dla ludzi.

Przed Urzędem Kontroli Lokalnej stało dwoje ludzi uzbrojonych w nożyce do podcinania żywopłotów i grabie. Ogrodnicy, pielęgnujący roślinność w obrębie wielkiego gmachu publicznego. Odprowadzili Crowa podekscytowanymi spojrzeniami. Jeden z nich gorączkowym i pełnym nadziei gestem uniósł rękę. Podrzędny robotnik pozdrawiający jedyne go człowieka, który zdołał sforsować klasowy podział.

Crow machnął mu przelotnie.

Oczy dwojga mijanych ludzi rozszerzyły się z czcią i lękiem. Nie spuszczała z niego wzroku, dopóki na głównym skrzyżowaniu nie skręcił za róg i nie wmieszał się w tłum kupujących na transplanetarnym targu.

Towary z zamożnych kolonii wenusjańskich, marsjańskich i ganimedejskich wypełniały położone na otwartym powietrzu stoiska. Wszędzie roiły się chmury plotkujących, rozgadanych i targujących się robotów. Gdziekolwiek można było dostrzec kilku ludzi, w większości służących odpowiedzialnych za utrzymywanie gospodarstwa domowego, uzupełniających zapasy. Crow ruszył obrzeżem placu i wyminał targowisko. Zbliżał się do dzielnicy miasta zamieszkałej przez ludzi. Już dolatywał ku niemu jej zapach. Słabo wyczuwalna, mdląca woń ciała człowieka.

Roboty, ma się rozumieć, nie wydzielały żadnego zapachu. W świecie bezwonných maszyn zapach człowieka dawał się we znaki. Dzielnica ludzi stanowiła niegdyś dobrze prosperującą część miasta. Wraz z wprowadzeniem się ludzi ceny nieruchomości poszły w dół. Roboty stopniowo opuszczały swoje domostwa i teraz okolicę zamieszkiwali wyłącznie ludzie. Pomimo swojego stanowiska Crow zmuszony był tutaj mieszkać. Jego pięciopokojowy, niczym nie różniący się od pozostałych, dom znajdował się na skraju dzielnicy. Po prostu jeden z wielu.

Staął przed drzwiami, uniósł rękę i drzwi zniknęły. Kiedy Crow wszedł do środka, wróciły na swoje miejsce. Popatrzył na zegarek. Mnóstwo czasu. Od czasu kiedy powinien z powrotem zasiąść przy swoim biurku, dzieliła go godzina.

Zatarł ręce. Powrót tutaj, na osobiste terytorium, na którym dorastał i żył jako podrzędny obywatel, nim nie natrafił na to i nie rozpoczął swojej zawrotnej kariery, zawsze wiązał się z pewnym budzącym dreszcze doznaniem.

Crow przeszedł przez pogrążony w ciszy mały dom i znalazł się przy położonym w tyle warsztacie. Otworzył zaryglowane drzwi i rozsunał je na boki. Wnętrze warsztatu wypełniało suche, rozgrzane powietrze. Wyłączył system alarmowy, skomplikowane zwoje drutów i przewodów sygnalizacyjnych stanowiące zbytek ostrożności: roboty nigdy nie zapuszczały się do dzielnicy człowieka, ludzie zaś rzadko kiedy okradali się nawzajem.

Zamknawszy za sobą drzwi, Crow zasiadł przed ustawioną pośrodku warsztatu maszyną. Uruchomił zasilanie i urządzenie włączyło się z szumem. Drgnęły wprawione w ruch tarcze i wskaźniki. Rozbłyły światła.

Widoczna na wprost niego plama szarości przybrała barwę jasnoróżową i lekko zamigotała. Okno. Krew w żyłach Crowa pulsowała boleśnie. Nacisnął klawisz. Okno zachmurzyło się, po czym ukazała się scena. Ustawił przed Oknem skaner taśmowy i uruchomił go. Pośród stukania skanera widoczne w Oknie niewyraźne, ruchome zarysy stopniowo nabierały realnych kształtów. Wyregulował ostrość.

Za stołem stały dwa roboty. Wykonywały pospieszne, gwałtowne ruchy. Crow zwolnił obraz. Roboty trzymały coś w rękach. Crow wzmocnił siłę obrazu, przez co obiekty wypełniły ekran, znalazły się w zasięgu skanera i zostały utrwalone na taśmie.

Roboty sortowały Listy. Listy mające prowadzić do Klasy Pierwszej. Klasyfikowały je i dzieliły na grupy. Kilkaset zestawów pytań i odpowiedzi. Przed stołem stał niespokojny tłum pragnących poznać swoje wyniki robotów. Crow przyspieszył obraz. Ożywione nagłym przyływem energii dwa roboty przystąpiły do gorączkowej segregacji i układania List. Naraz Lista zwycięzcy Klasy Pierwszej powędrowała w górę...

Crow tylko na to czekał. Uchwycił ją w Oknie, zmniejszając szybkość do zera. Lista znieruchomiła na podobieństwo uwięzionego w szkiełku mikroskopowym okazu. Skaner szumiał zawzięcie, nagrywając pytania i odpowiedzi.

Nie czuł się winny. Nie odczuwał najłżejszych wyrzutów sumienia z powodu używania Okna Czasowego, w celu sprawdzenia wyników przyszłych List. Robił to od dziesięciu lat, w ciągu których z samego dna zawędrował na szczyt, do Klasy Pierwszej. Nigdy nie miał złudzeń. Bez wglądu w wyniki nie mógłby tego dokonać. Nadal tkwiłby u stóp drabiny wraz z rzeszą innych osobników.

Listy dostosowane były do możliwości robotów. Zostały przez nich stworzone i harmonizowały z ich kulturą. Owa kultura nie miała z ludźmi nic wspólnego i przysparzała im wiele trudu, nim mogli się do niej dostosować. Nic dziwnego, że jedynie roboty zwycięsko przechodziły swoje Listy.

Crow usunął scenę z Okna i odłożył skaner. Wysłane przez niego w przeszłość Okno, wirując pędziło przez stulecia. Nigdy nie miał dosyć oglądania dawnych czasów, czasów przed Wojną Totalną, nim zniszczyła ona społeczeństwo ludzkie, rujnując całą człowieczą tradycję. Czasów, kiedy życie toczyło się bez udziału robotów.

Obrócił tarcze, ustawiając odpowiedni moment. Okno ukazało roboty zajęte tworzeniem swych

powojennych struktur społecznych, oblegające zniszczoną planetę, wznoszące swoje rozległe miasta i budowle, usuwające pokłady gruzu. Z ludźmi w roli niewolników u boku. W roli podrzędnych, uległych obywateli.

Ujrzał Wojnę Totalną, zesłany z nieba deszcz śmierci. Blade, rozkwitające leje zniszczenia. Na jego oczach społeczeństwo człowieka rozsypywało się w garść radioaktywnych cząsteczek. Cała zgromadzona przez niego wiedza i kultura ginęła w ogólnym chaosie.

I wreszcie, po raz kolejny uchwycił swoją ulubioną scenę. Scenę, którą oglądał już wielokrotnie, rozkoszując się niecodziennym widokiem. Scenę przedstawiającą skupionych w podziemnej pracowni ludzi w początkowej fazie wojny. Pochłoniętych pracą nad pierwszymi robotami, oryginalnym typem A, który powstał czterysta lat wcześniej.

Ed Parks powoli zmierzał w stronę domu, trzymając syna za rękę. Donnie utkwił wzrok w ziemi. Milczał. Miał czerwone, opuchnięte oczy i pobladłą z rozpaczy twarz.

- Przepraszam, tato - mruknął.

Uścisk dłoni Eda przybrał na sile.

- Nic się nie stało, synku. Zrobiłeś, co mogłeś. Nic się nie martw. Może następnym razem. Wcześniej zabierzemy się do roboty. - Zaklął pod nosem. - Te obrzydliwe metalowe rury. Cholerne, bezduszne sterty złomu!

Zapadał zmierzch. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Obydwaj powoli wspięli się na werandę i weszli do domu. Grace wyszła im naprzeciw.

- I jak? - Popatrzyła na ich twarze. - Widzę. Ta sama historia.

- Ta sama historia - powtórzył gorzko Ed. - Nie miał szans. Beznadziejna sytuacja.

Z jadalni dobiegł szmer głosów zgromadzonych tam mężczyzn i kobiet.

- Kto tam jest? - zapytał ze złością Ed. - Czy naprawdę potrzebne nam towarzystwo? Na miłość boską, akurat dzisiaj...

- Chodź. - Grace pociągnęła go w stronę kuchni. - Dobrze nowiny. Może one sprawią, że poprawi ci się nastrój. Chodź, Donnie. Ciebie również powinno to zainteresować.

Ed i Donnie weszli do kuchni. Była pełna ludzi. Bob McIntyre i jego żona Pat. John i Joan Hollister z dwiema córkami. Pete Klein i Rosę Klein. Sąsiedzi, Nat Johnson i Tim Davis oraz Barbara Stanley. Pomieszczenie wypełniał szmer podekscytowanych głosów. Wszyscy skupili się wokół stołu, rozgorączkowani i nerwowi. Na stole obok licznych butelek z piwem wznosiły się sterty kanapek. Mężczyźni i kobiety, pogodni, wymieniali uśmiechy.

- O co chodzi? - wymamrotał Ed. - Jaka to okazja?

Bob McIntyre poklepał go po ramieniu.

- Jak się masz, Ed? Przynieśliśmy nowinę. - Zagrzechotał taśmą zawierającą wiadomości publiczne. - Przygotuj się.

- Przeczytaj mu - ponaglił gorączkowo Pete Klein.

- Dalej! Czytaj! - Wszyscy obiegli McIntyre'a. - Wysłuchajmy tego jeszcze raz!

Twarz McIntyre'a była ruchliwa z emocji.

- Widzisz, Ed? Udało mu się. Osiągnął cel.

- Kto? Jaki cel?

- Crow. Jim Crow. Wszedł do Klasy Pierwszej. - Szpula z taśmą drżała w dłoniach McIntyre'a. - Został mianowany członkiem Rady Najwyższej. Rozumiesz? Dokonał tego. I to człowiek. Człowiek został członkiem najwyższego zarządu planety.

- Rany - wydusił oszołomiony Donnie.

- I co teraz? - zapytał Ed. - Co ma zamiar dalej robić?

McIntyre posłał mu drżący uśmiech.

- Wkrótce się dowiemy. On coś szykuje. Czujemy to. I od teraz w każdej chwili może zacząć wcielić swój zamysł w życie.

Ze swoją teczką pod pachą Crow wszedł dziarskim krokiem do Sali Posiedzeń. Ubrany był w szykowny nowy garnitur i miał gładko przyczesane włosy. Wypolerowane buty aż lśniły.

- Dzień dobry - powiedział uprzejmie.

Pięć robotów popatrzyło na niego z mieszanymi uczuciami. Były stare, wszystkie liczyły sobie ponad sto lat. Potężny typ N, który dominował na scenie społecznej od czasu swojego powstania. I niewiarygodnie stary, prawie trzystuletni typ D. Kiedy Crow skierował się na swoje miejsce, pięć robotów rozstąpiło się przed nim, tworząc szerokie przejście.

- To pan - rzekł jeden z typu N. - Pan ma być tym nowym członkiem Rady?

- Owszem. - Crow usiadł. - Życzy pan sobie obejrzeć moje uprawnienia?

- Bardzo proszę.

Crow podał mu plaketkę, którą otrzymał od Komisji Egzaminacyjnej. Roboty przestudiowały ją badawczo. Wreszcie przekazały mu ją z powrotem.

- Najwyraźniej jest w porządku - przyznał niechętnie D.

- Oczywiście. - Crow otworzył swoją teczkę. - Pragnąłbym natychmiast rozpocząć pracę. Należy poruszyć wiele zagadnień. Mam pewne raporty i taśmy, które powinny was zainteresować.

Nie odrywając od niego wzroku, roboty powoli zajęły swoje miejsca.

- To niewiarygodne - oświadczył D. - Czy pan mówi poważnie? Czy naprawdę ma pan zamiar przebywać tutaj wśród nas?

- Ależ oczywiście - rzucił Crow. - Dajmy temu spokój i przejdźmy do konkretów.

Jeden z typu N pochylił ku niemu ze wzdargą swój masywny, pokryty patyną kadłub.

- Panie Crow - rzekł lodowatym tonem. - Musi pan zrozumieć, że to absolutnie niedopuszczalne. Pomimo obowiązujących zasad prawnych i pańskiego teoretycznego prawa, by zasiać na tym...

Crow odpowiedział mu spokojnym uśmiechem.

- Proponuję, aby sprawdził pan moje wyniki egzaminacyjne. Przekona się pan, że w żadnej z dwudziestu List nie popełniłem ani jednego błędu. Uzyskałem idealny wynik. O ile mi wiadomo, nie udało się to żadnemu z was. Stąd też, biorąc pod uwagę zasady zawarte w regulaminie Komisji Egzaminacyjnej, jestem waszym przełożonym.

Ostatnie słowo wywarło piorunujące wrażenie. Zdruzgotane roboty skurczyły się na swoich krzesłach, z niepewnym błyskiem w szklanych oczach. Salę wypełnił niespokojny pomruk.

- Zobaczmy - mruknął N, wyciągając chwytник. Crow rzucił na stół swoje Listy i pięć robotów zaczęło przeglądać je pospiesznie.

- To prawda - poświadczył D. - Niesamowite. Żaden robot nigdy nie uzyskał bezbłędnego wyniku. Według naszych własnych praw jesteśmy podwładnymi tego człowieka.

- A teraz - powiedział Crow - zabierzmy się do pracy. - Rozłożył na stole raporty i taśmy. - Nie mam zamiaru tracić ani chwili. Mam pewną propozycję. Niezmiernie istotną propozycję dotyczącą najbardziej krytycznego problemu tego społeczeństwa.

- Jaki to problem? - zapytał z obawą X.

Crow w napięciu dobierał słowa.

- Problemu istot ludzkich, zajmujących podrzędne stanowisko w świecie rządzone przez roboty. Służących obcej im kulturze. Służących robotom.

Cisza.

Roboty siedziały jak zakłète. Stało się. Działo się coś, czego obawiali się od dawna. Crow odchylił się na krześle i zapalił papierosa. Roboty śledziły badawczo każdy jego ruch, obserwowały dłonie, papierosy, dym i zapalną, którą zapalił potarciem o podeszwę buta. Ta chwila nadeszła.

- Co pan proponuje? - zapytał wreszcie z metaliczną godnością D. - Jak brzmi ta pańska propozycja?

- Proponuję, abyście wy, roboty, niezwłocznie opuścili Ziemię. Zabierajcie manatki i wyjedźcie. Wyjedźcie do kolonii. Na Ganimesesa, Marsa, Wenus. Zostawcie Ziemię nam, ludziom.

Roboty poderwały się z miejsc.

- Niestychane! To my stworzyliśmy ten świat. Należy do nas! Zawsze tak było.

- Czyżby? - zapytał posępnie Crow.

Wśród robotów dał się odczuć lekki niepokój. Zaalarmowane, nie wiedziały, co odpowiedzieć.

- Naturalnie - mruknął D.

Crow sięgnął do sterty raportów i taśm. Roboty obserwowały go z lękiem.

- O co chodzi? - zapytał nerwowo N. - Co pan tam ma?

- Taśmy - odparł Crow.

- Jakże znowu taśmy?

- Archiwalne. - Na znak Crowa do sali wbiegł ubrany na szaro służący ze skanerem taśmowym. - Dziękuję - powiedział Crow. Człowiek zabrał się do odejścia. - Chwileczkę. Może chciałbyś zostać i zobaczyć to na własne oczy, przyjacielu.

Sługa wytrzeszczył oczy. Ukradkiem cofnął się w kąt sali i roztrzęsiony obserwował zajście.

- Ależ to wysoce niestosowne - zaproponował D. - Co pan wyprawia? Co to ma znaczyć?

- Niech pan patrzy. - Crow uruchomił skaner i wsunął do niego pierwszą taśmę. W powietrzu, tuż nad środkiem stołu uformował się trójwymiarowy obraz. - Patrzcie uważnie. Długo będziecie pamiętać tę chwilę.

Obraz wyostrzył się. Spoglądali na Okno Czasowe. Na wprost nich toczyła się scena z Wojny Totalnej. Ludzie, technicy pochłonięci gorączkową pracą w podziemnym laboratorium. Składający coś. Składający...

Sługa wydał z siebie podekscytowany odgłos.

- Przecież to A! Robot typu A! Budują go!

Pięciu mechanicznych członków Rady zaszumiło z konsternacją.

- Zabierzcie stąd tego sługę! - zażądał D.

Obraz uległ zmianie. Pierwsze roboty, oryginalny typ A, sunęły na powierzchnię, by włączyć się w działania wojenne. Pojawiły się inne wczesne roboty, ostrożnie krążące wśród ruin i gruzu. Nastąpiło starcie. Buchnęło białe światło. W górę wzbiły się opalizujące chmury cząsteczek.

- Według początkowych założeń roboty miały pełnić funkcję żołnierzy - wyjaśnił Crow. - Następnie wyprodukowano bardziej zaawansowane typy, by powierzyć im stanowiska techników, laborantów i mechaników.

Na ekranie dostrzegli podziemną fabrykę. Nad prasami i matrycami pochylały się rzędy robotów. Pracowały szybko i skutecznie - nadzorowane przez brygadzystę z krwi i kości.

- Te materiały zostały spreparowane! - wykrzyknął gniewnie N. - Oczekuje pan, abyśmy w to wszystko uwierzyli?

Scena ponownie się zmieniła. Roboty, bardziej zaawansowane, bardziej złożone i dopracowane w każdym calu. Przejmujące coraz więcej funkcji przemysłowych i ekonomicznych, podczas gdy wojna pochłaniała kolejne istnienia ludzkie.

- Początkowo roboty były proste - wyjaśnił Crow. - Miały wypełniać proste zadania. Później, wraz z postępem wojny, skonstruowano udoskonalone typy. Wreszcie ludzie przystąpili do tworzenia typów D i E. W niczym im nie ustępujących, a w kwestii zdolności pojęciowych przerastających ich o głowę.

- Czyste szaleństwo! - stwierdził N. - Roboty ewoluowały. Wczesne typy były nieskomplikowane, gdyż stanowiły początkowe stadium, prymitywną formę, która dała początek dalszym. Prawa ewolucji wyczerpująco tłumaczą ów proces.

Ukazała się nowa scena. Końcowe etapy wojny. Roboty przeciwko ludziom. Ich ostateczne zwycięstwo. Kompletny chaos ostatnich lat. Bezkresne ugory skłębionego pyłu i radioaktywnych cząstek. Ciągące się milami ruiny.

- Wszystkie zdobycze kulturowe uległy zniszczeniu - powiedział Crow. - Roboty objęły panowanie, nie wiedząc, co i jak ani w jaki sposób znalazły się na świecie. Jednak obecnie znacie rzeczywisty rozwój wypadków. Zostały stworzone jako narzędzie człowieka. Podczas wojny wymknęły się spod kontroli.

Wyłączył skaner. Obraz rozplynał się. Żaden z pięciu oszołomionych robotów nie zabrał głosu.

Crow założył ręce.

- No i? Co macie do powiedzenia? - Machnął kciukiem w kierunku przycupniętego w rogu sali

zdumionego sługi. - Wiecie zarówno wy, jak i on. Co według was sobie myśli? Mogę wam powiedzieć. On myśli...

- Skąd pan wziął te taśmy? - przerwał D. - Nie mogą być autentyczne. To falsyfikaty.

- Dlaczego nie odnaleźli ich archeologowie? - krzyknął piskliwie N.

- Własnoręcznie wykonałem nagranie - odrzekł Crow.

- Własnoręcznie? Co pan ma na myśli?

- Dzięki Oknu Czasowemu. - Crow cisnął na stół okazały pakunek. - Oto schemat. Sami możecie je zbudować, jeśli macie ochotę.

- Wehikuł czasu. - D porwał pakunek i przejrzał jego zawartość. - Miał pan wgląd w przeszłość. - Na jego wiekowej twarzy odmalowała się nagle świadomość prawdy. - A potem...

- Zajrzał w przyszłość! - wykrzyknął dziko N. - W przyszłość! To tłumaczy jego doskonałe wyniki. Z góry je przeskanował.

Crow niecierpliwie zaszeleścił papierami.

- Usłyszeliście moją propozycję. Widzieliście taśmy. Jeżeli odrzucicie propozycję, ja dokonam publicznej prezentacji taśm. Schematów również. Wszyscy ludzie poznają prawdę zarówno o swoim pochodzeniu, jak i waszym.

- I co z tego? - zapytał nerwowo N. - Damy sobie z nimi radę. Stłumimy każde zamieszki.

- Naprawdę? - Crow poderwał się z krzesła, jego twarz nabrała twardego wyrazu. - Radzę starannie to przemyśleć. Nad całą planetą zawisnie widmo wojny domowej. Po jednej stronie staną ludzie przepełnieni nagromadzoną przez stulecia nienawiścią. Po drugiej zaś roboty, nagle odarte ze swego mitu. Ze świadomością, iż zostały zaprojektowane jako narzędzia. Sądzicie, że tym razem wybrniecie z tego z tarczą? Jesteście aż tak pewni swego?

Roboty milczały.

- Jeżeli opuścicie Ziemię, ukryje taśmy. Obydwie rasy mogą dalej wieść spokojny żywot, każda ze swoją kulturą i w obrębie własnej struktury społecznej. Ludzie tutaj, na Ziemi. Roboty w koloniach. Nikt nie będzie panem ani niewolnikiem.

Kipiące gniewem i urazą roboty zawahały się.

- Ale przecież poświęciliśmy całe stulecia stworzeniu tej planety! Ten cały nasz wyjazd jest zupełnie pozbawiony sensu. I co powiemy? Jaką podamy przyczynę?

Crow uśmiechnął się szorstko.

- Możecie powiedzieć, że Ziemia nie dorasta do potrzeb wspaniałej pierwotnej rasy władców.

Zapadła cisza. Cztery roboty typu N obrzuciły się nerwowymi spojrzeniami i szepcząc, pochyliły ku sobie. Masywny D siedział bez słowa, z utkwionym w mężczyźnie wiekowym mosiężnym okiem i wypisaną na zdumionej twarzy świadomością porażki.

Pełen spokoju i opanowania Jim Crow czekał.

- Czy mogę uścisnąć ci dłoń? - zapytał nieśmiało L-87t. - Wkrótce odlatuję. Jadę jednym z początkowych transportów.

Crow machinalnie wyciągnął dłoń i wymienił uścisk z lekko zakłopotanym L-87t.

- Mam nadzieję, że wszystko się uda - dorzucił L-87t. - Zadzwoń do nas czasem. Informuj nas na bieżąco.

Na zewnątrz siedziby Rady popołudniową szarugę zaczynały mącić huczące odgłosy megafonów. Zewsząd rozbrzmiewały nawoływania głośników ogłaszających nakaz Rady.

Wracający z pracy ludzie zatrzymywali się, by posłuchać. Zaciekawieni mieszkańcy jednakowych domów ludzkiej dzielnicy z uwagą podnosili głowy. Wszędzie, we wszystkich miastach Ziemi, roboty i ludzie przerywali swoje zajęcia, by wysłuchać nadawanych przez głośniki informacji.

“Ogłasza się, że swoim postanowieniem Rada Najwyższa uznaje bogate planety kolonijne Wenus, Marsa oraz Ganimedesa za przeznaczone do wyłącznego zamieszkania przez roboty. Żaden człowiek nie ma prawa przebywać poza Ziemią. Celem wykorzystania pierwszorzędnych złóż i warunków życiowych panujących na koloniach wszystkie roboty mają udać się do dowolnie wybranej kolonii.

Rada Najwyższa osądziła, iż Ziemia nie stanowi środowiska odpowiadającego wymogom robotów. Jej spustoszenie i nadal częściowo zrujnowany stan nie są godne rasy robotów. Wszystkie roboty zostaną przetransportowane do nowych domów w koloniach z chwilą dostarczenia odpowiednich środków transportu.

Pod żadnym pozorem człowiek nie ma wstępu na teren kolonii. Przeznacza się do wyłącznej dyspozycji robotów. Populacji ludzkiej pozwala się pozostać na Ziemi.

Ogłasza się, że swoim postanowieniem Rada Najwyższa uznaje...”

Crow z zadowoleniem odsunął się od okna.

Powrócił do biurka i kontynuował układanie papierów i sprawozdań w porządkne sterty. Przeglądał je pobieżnie i odkładał na właściwą kupkę.

- Mam nadzieję, że wy, ludzie, jakoś dojdziecie do porozumienia - powtórzył L-87t. Crow nie

przerywał sprawdzania ważnych raportów, oznaczając je ołówkiem. Bez reszty pochłonięty był swoim zajęciem. Ledwie zauważał zwlekającego z odejściem robota. - Czy możesz przedstawić mi chociaż w zarysie projekt nowego rządu?

Crow niecierpliwie podniósł głowę.

- Co takiego?

- Twój projekt rządu. Jakimi zasadami będzie kierowało się twoje społeczeństwo teraz, kiedy doprowadziłeś do naszej eksmisji? Jaki rząd zajmie miejsce naszej Rady Najwyższej i Kongresu?

Crow nie odpowiedział. Zdążył już powrócić do swojej pracy. Na jego twarzy widniał obcy L-87t kamienny wyraz.

- Kto was poprowadzi? - zapytał L-87t. - Kto wejdzie w skład rządu, kiedy nas nie będzie? Sani mówiłeś, że ludzie nie są w stanie zarządzać nowoczesnym, złożonym społeczeństwem. Czy zdołasz znaleźć człowieka, który ujmie ster? Czy istnieje człowiek zdolny poprowadzić ludzkość?

Nie przerywając swojej pracy, Crow uśmiechnął się nieznacznie.

PRZECHODNIA PLANETA

Jaśniejąca na niebie gigantyczna kula słońca słała na ziemię oślepiające promienie. Trent przystanął na chwilę, aby odetchnąć. Przystali meta nieprzepuszczalnym kaskiem twarz ociekała mu potem, który sprawiał, że plastikowa osłona kasku zachodziła mgłą. Z trudem oddychał.

Odsunął na bok swój zestaw awaryjny i podciągnął do góry pas. Ze zbiornika z tlenem wyjął zużyte rurki i cisnął je w zarośla. Rurki potoczyły się po ziemi i zniknęły w nieprzebranej masie czerwono-zielonych liści i pnączy.

Trent skontrolował wskaźnik i stwierdziwszy stosunkowo niskie stężenie, na jedną ceną chwilę zsunął z głowy kask.

Świeże powietrze uderzyło w nozdrza i usta. Głęboko odetchnął. Powietrze miało cudowny zapach - było ciężkie od wilgoci i przepojone wonią roślin. Odetchnął i ponownie zaczerpnął tchu.

Po prawej stronie wyrastał strzelisty zagajnik pomarańczowych krzewów różanych, oplatały pochyły betonowy słup. Pofałdowaną okolicę pokrywały bezkresne połacie trawy i drzew. Zwarta masa roślinności z daleka wyglądała niczym mur; dżungla pnączy, owadów, kwiatów oraz poszycia nieuchronnie skazanego na zagładę, w miarę jak on szedł naprzód.

Na wprost Trenta zatańczyły dwa ogromne motyle. Wiotkie wielobarwne kształty trzepotały raz bliżej niego, raz dalej. Wszystko wokół tętniło życiem - owady, rośliny i drobne zwierzęta

przemykające chyłkiem wśród zarośli. Trent z westchnieniem nasadził na głowę kask. Dwa oddechy to wszystko, na co mógł się zdobyć.

Zwiększył dopływ tlenu do swojego zbiornika i podniósł do ust przekaźnik. Włączył go.

- Mówi Trent. Do Monitora Kopalni. Słyszycie mnie?

Przez chwilę panowała cisza tylko trochę zakłócona trzaskami. Następnie usłyszał przytłumiony, upiorny głos.

- Co tam, Trent? Gdzie ty się, do cholery, podziewasz?

- Nadal zmierzam na północ. Przede mną ruiny. Chyba będę musiał je wyminąć. Wyglądają na takie, przez które trudno się przedrzeć.

- Ruiny?

- Pewnie to Nowy Jork. Sprawdzę na mapie.

W głosie pojawiła się nuta zapału.

- Masz coś?

- Nic. Przynajmniej na razie. Zatoczę koło i mniej więcej za godzinę dam wam znać. - Trent popatrzył na zegarek. - Jest wpół do czwartej. Zamelduję się przed nadejściem wieczoru.

Głos zawahał się.

- Powodzenia. Mam nadzieję, że coś znajdziesz. Jak tam twój zapas tlenu?

- W porządku.

- Prowiant?

- Zostało mi jeszcze mnóstwo. Poza tym mogę poszukać sobie jakichś jadalnych roślin.

- Lepiej nie ryzykuj!

- Dobrze. - Trent wyłączył przekaźnik i z powrotem umieścił go na pasku. - Dobrze - powtórzył. Chwycił broń, narzucił plecak i ruszył naprzód, jego buty zapadały się w bujnym poszyciu i ściółce.

Właśnie minęła czwarta, kiedy ich zauważył. Wyłonili się z otaczającej go dżungli. Było ich dwóch, dwóch młodych, wysokich osiłków o rogowej, stalowobłękitnej niczym popiół skórze. Jeden z nich w pozdrowieniu uniósł dłoń mającą sześć lub siedem palców.

- Dzień dobry - rzekł ciekawym głosem.

Trent stanął jak wryty. - Serce gwałtownie zabiło mu w piersi.

- Dzień dobry.

Dwaj młodzi podeszli do niego wolnym krokiem. Jeden uzbrojony był w ukręconą z listowia siekiere. Drugi miał na sobie jedynie spodnie i strzępy płóciennej koszuli. Liczyli blisko osiem stóp wzrostu. Ciała zdawały się składać z samych kości i kanciastych krawędzi; spod ocienionych ciężkimi powiekami oczu błyskały zaciekawione spojrzenia. Wewnątrz ich organizmów zaszły radykalne zmiany; mieli odmienny metabolizm i budowę komórkową, a także zdolność przyswajania gorących soli, i również układ trawienny był nieco inny. Spoglądali na Trenta z rosnącym zainteresowaniem.

- Ty - rzucił jeden. - Czy jesteś człowiekiem?

- Zgadza się - odparł Trent.

- Nazywam się Jackson. - Młodzieniec wystawił niebieską, zrogowaciałą dłoń i Trent potrząsnął nią niezgrabnie. W zetknięciu z jego ciężką rękawicą dłoń wydała się nadzwyczaj wiotka. Jej właściciel dorzucił: - A to jest Earl Potter, mój przyjaciel.

Trent uściskał rękę Pottera.

- Witam - rzekł Potter. Jego spierzchnięte wargi wykrzywił grymas. - Czy możemy rzucić okiem na twój takielunek?

- Takielunek? - zdumiał się Trent.

- Na twoją broń i sprzęt. Co masz przy pasku? Co to za zbiornik?

- Przekażnik... a to tlen. - Trent zademonstrował im przekażnik. - Działa na baterie. Zasięg stu mil.

- Jesteś z obozu? - zapytał szybko Jackson.

- Tak. Z Pensylwanii.

- Ilu was tam jest?

Trent wzruszył ramionami.

- Kilkudziesięciu.

Niebieskoskóre olbrzymy nie kryły podziwu.

- Jakim cudem zdołaliście przetrwać? Przecież Penn solidnie oberwała, prawda? Leje muszą być tam bardzo głębokie.

- Mieszkamy w kopalniach - wyjaśnił Trent. - Wraz z początkiem wojny nasi przodkowie przenieśli się do kopalni węgla. Tak jest napisane w archiwach. Jesteśmy całkiem niezłe urządzeni. W zbiornikach wytwarzamy pożywienie. Mamy kilka maszyn, pomp, kompresorów i generatorów elektrycznych. Kilka ręcznych tokarek. Krosna.

Ani słowem nie wspomniał o tym, że generatory należało obecnie uruchamiać za pomocą korby i że zaledwie połowa zbiorników funkcjonowała bez zarzutu. Po trzystu latach stan metalu i plastiku pozostawiał wiele do życzenia, nawet pomimo ustawicznych konserwacji i napraw. Żywotność urządzeń powoli dobiegała końca.

- No proszę - stwierdził Potter. - Dave Hunter właśnie wyszedł na głupca.

- Dave Hunter?

- Dave utrzymuje, że wszyscy ludzie wyginęli - wyjaśnił Jackson. Z zaciekawieniem postukał w kask Trenta. - A może byś tak wrócił razem z nami? Mamy w pobliżu osadę - zaledwie godzina drogi traktorem, naszym traktorem do polowań. Earl i ja polowaliśmy właśnie na fruliki.

- Fruliki?

- Fruwające króliki. Dobre mięso, lecz ciężko ściągnąć je w dół; ważą około trzydziestu funtów.

- Czym się posługujecie? Chyba nie tym toporem?

Porter i Jackson wybuchnęli śmiechem.

- Spójrz tylko. - Potter wysunął z nogawki długi mosiężny pręt, który przechowywał w bezpośrednim sąsiedztwie tyczkowatej nogi.

Trent obejrzał go dokładnie. Była to ręczna robota. Urządzenie wykonano z miękkiego mosiądzu, pieczołowicie wyklepanego i utoczonego. Jedna strona zakończona była dyszą. Popatrzawszy do środka, zobaczył umieszczony w masie przejrzystego tworzywa drobny, metalowy szpikulec.

- Jak to działa? - zapytał.

- Wypuszcza się go ręcznie. Ale jak tylko strzałka znajdzie się w powietrzu, nieubłaganie podąża za swoim celem. Trzeba jedynie wprawić ją w ruch. - Potter roześmiał się. - Moja w tym głowa. Sił w płucach mi nie brakuje.

- Ciekawe. - Trent oddał im pręt. Patrząc z wystudiowaną obojętnością na błękimostalowe twarze, powiedział: - Czy jestem pierwszym człowiekiem, którego napotykanie?

- Zgadza się - odparł Jackson. - Starzec z radością cię powita. - W jego piskliwym głosie dał się słyszeć zapal. - Co ty na to? Zaopiekujemy się tobą. Nakarmimy cię, naznosimy ci nie skażonych roślin i zwierząt. Może chociaż na tydzień.

- Przykro mi - odrzekł Trent. - Mam inne sprawy. Jeśli w drodze powrotnej będę tędy przechodził...

Na zrogowaciałych twarzach odmalowało się rozczarowanie.

- Ani na trochę? Chociaż na noc? Damy ci masę zimnego prowiantu. Mamy doskonałą chłodziarkę skonstruowaną przez Starca.

Trent postukał w zbiornik.

- Zostało mi niewiele tlenu. Nie macie czasem kompresora?

- Nie. Nie potrzebujemy takich urządzeń. Ale może Starzec mógłby...

- Przykro mi. - Trent zrobił krok naprzód. - Na mnie już czas. Jesteście pewni, że w okolicy nie ma żadnych ludzi?

- Myśleliśmy, że w ogóle nigdzie ich nie ma. Od czasu do czasu pojawiały się jakieś plotki. Lecz ty jesteś jedynym, którego widzieliśmy. - Porter pokazał ręką na zachód. - Tam mieszka plemię krążników. - Machnął ręką w południowym kierunku. - A tam kilka plemion robaków.

- No i biegacze.

- Widziałeś ich?

- Przybyłem stamtąd.

- Północ zamieszkują podziemni - ten ślepy, ryjący w ziemi gatunek. - Potter zrobił minę. - Osobliwe stwory, z tymi swoimi wiertłami i koparkami. Ale do diabła z nimi. - Uśmiechnął się krzywo. - Każdy ma swój własny sposób na życie.

- A na wschodzie - dorzucił Jackson. - Tam gdzie zaczyna się woda, żyje masa morświnów. Zamieszkują ocean, pływają w podwodnych kopolach powietrznych i zbiornikach. Czasem wychodzą na powierzchnię nocą. Mnóstwo gatunków pojawia się jedynie w nocy. My nadal korzystamy ze światła dziennego. - Potarł swoją zrogowaciałą, błękitnostałową skórę. - To pozwala uniknąć promieniowania.

- Wiem - powiedział Trent. - Do zobaczenia.

- Szczęśliwej drogi. - Odprowadzili wzrokiem sylwetkę oddalającego się człowieka, którego kombinezon rozsiewał świetlne refleksy w popołudniowym słońcu. Wciąż nie mogli otrząsnąć się ze zdumienia.

Ziemia tętniła życiem. Roilo się od roślin, owadów i zwierząt. Stwory nocne, dzienne, gatunki wodne i lądowe, niesłychana mnogość i typy, które nigdy nie zostały skatalogowane i prawdopodobnie nigdy nie zostaną.

U schyłku wojny każdy cal powierzchni był radioaktywny. Cała planeta wystawiona była na działanie ostrego promieniowania. Wszystkie formy życia narażone na falę promieni beta i gamma. Większość z nich wymarła, jednak część pozostała przy życiu. Promieniowanie stało się bezpośrednią przyczyną mutacji - na wszystkich poziomach; dotyczyło to w równym stopniu owadów, roślin i zwierząt. Naturalna mutacja i procesy selekcyjne, które w normalnych warunkach trwałyby miliony lat, nastąpiły w ciągu kilku sekund.

Zniekształcone owoce tego zjawiska zaśmiewały Ziemię. Pełzająca, nad wyraz liczna horda nasyconych promieniowaniem stworzeń. W tym świecie szansę na przetrwanie miały jedynie istoty mogące bez przeszkód stąpać po skażonej ziemi i oddychać gęstym od cząsteczek powietrzem. Owady, zwierzęta i ludzie musieli przystosować się do życia na planecie o powierzchni tak żywej, że świeciła w nocy własnym blaskiem.

Brnąc przez dżunglę i z wprawą torując sobie drogę wśród pnączy, Trent snuł ponure rozmyślenia. Większość oceanów wyparowała. Poziom wody drastycznie spadł, przemieniając grunt w gorącą, błotnistą maź. W dżungli panowała wilgoć. Zewsząd dobiegał szmer poruszających się stworzeń. Przycisnął do siebie broń i dalej podążał naprzód.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Wkrótce miała zapaść noc. Na wprost niego, w fioletowej poświacie zamajaczyło pasmo poszarpanych szczytów. Zachód słońca zapowiadał się nadzwyczaj pięknie, w połączeniu z wiszącymi w powietrzu cząsteczkami, dryfującymi tam od czasu pierwszego wybuchu, który nastąpił kilkaset lat wstecz.

Przystanął na chwilę, by podziwiać widok. Miał za sobą długą drogę. Odczuł przypływ znużenia i rezygnacji.

Zrogowaciałe, niebieskoskóre olbrzymy stanowiły typowe zmutowane plemię. Zwano ich jaszczurowatymi. Zyskali to miano dzięki swojej skórze, przypominającej wyglądem kolczugę jaszczurek pustynnych. Z organami wewnętrznymi przystosowanymi do skażonych roślin i powietrza, bez przeszkód egzystowali w świecie, w którym on potrzebował kombinezonu ochronnego, kasku, zbiornika z tlenem oraz pokarmu w postaci wytwarzanych w podziemnej kopalni pigułek.

Kopalnia - pora znów nawiązać z nimi kontakt. Trent podniósł przekaźnik.

- Tu znowu Trent - mruknął. Zwilżył językiem spierzchnięte wargi. Był głodny i spragniony. Może zdoła odnaleźć jakiś w miarę wychłodzony, wolny od promieniowania skrawek ziemi, żeby choć na kwadrans zdjąć kombinezon i umyć się porządnie. Zmyć z siebie pot i brud.

Wędrował od dwóch tygodni, zamknięty w nieprzepuszczalnym, lepkim kombinezonie podobnym do stroju nurka, podczas gdy wokół niego życie toczyło się normalnym trybem, wolne od zmory promieniowania.

- Kopalnia - doleciał go słaby głos.

- Koniec na dzisiaj. Pora na odpoczynek i kolację. Do jutra nie kiwnę palcem.

- Jakiś sukces? - W głosie zabrzmiało rozczarowanie.

- Najmniejszego.

Cisza.

- Cóż, może jutro - powiedział wreszcie głos.

- Może. Natknąłem się na plemię jaszczurowatych. Całkiem sympatyczni, każdy po osiem stóp wzrostu. - W głosie Trenta dała się słyszeć gorycz. - Spacerują sobie w koszulach i spodniach. Na bosaka.

Monitor Kopalni nie okazał zainteresowania.

- Wiem. Szczęściarze. No cóż, wobec tego prześpij się trochę i jutro rano daj mi znać. Dostałem raport od Lawrence'a.

- Gdzie on jest?

- Zmierza na zachód. Gdzieś w pobliżu Ohio. Dobrze mu idzie.

- Jakież rezultaty?

- Plemię krążników, robaków i nocnych kopaczy - tych ślepych, białych stworzeń.

- Glist.

- Właśnie. Nic poza tym. Kiedy złożysz raport?

- Jutro - odparł Trent. Wyłączył nadajnik i umieścił go na pasku.

Jutro. Ogarnął spojrzeniem majaczące w gęstniejącym mroku odległe pasmo gór. Pięć lat. I zawsze - jutro. Był ostatnim z olbrzymiej rzeszy wysyłanych na powierzchnie mężczyzn, niosących cenne zbiorniki z tlenem, pigułki żywnościowe i broń. Wyczerpujących ostatnie zapasy na bezcelowe eskapady w głąb dżungli.

Jutro? Któregoś jutra, które nie było wcale takie odległe, zabraknie zarówno tlenu, jak i pigułek. Kompresory i pompy przestaną działać. Zepsują się na dobre. Kopalnia pograży się w martwocie i ciszy. Chyba że w tym czasie zdołają nawiązać jakiś kontakt.

Przykucnąwszy, począł badać wskaźnikiem powierzchnię w poszukiwaniu nie skażonego miejsca na odpoczynek. Zemdlał.

- Patrzcie na niego - powiedział cichy, daleki głos.

Trent oprzytomniał w jednej chwili. Zerwał się, na oślep sięgając w miejsce, gdzie powinien znajdować się pistolet. Nastął poranek. Szarawy blask słońca przedostawał się przez gęstwinę liści.

Dokoła dostrzegł ruchliwe kształty.

Broń... zniknęła!

Trent poderwał się jak rażony prądem. Postacie przypominały kształtem ludzi, choć nie całkiem. Robaki.

- Gdzie jest mój pistolet? - spytał lodowatym tonem Trent.

- Tylko spokojnie. - Jeden z robaków postąpił w jego kierunku, za nim podążyła reszta. Panował przeraźliwy chłód. Trent zadrżał. Niezgrabnie wstał, podczas gdy robaki formowały wokół niego zwarty krąg. - Zaraz ci go oddamy.

- Ale to już. - Był zeszywniały i przemarznięty. Nałożył kask i dopiął pas. Trząśnięcie się od stóp do głów. Liście i pnącza ociekały lepкими kroplami. Grunt rozmiękł pod stopami.

Robaki naradziły się między sobą. Było ich dziesięć lub dwanaście. Stanowiły osobliwy widok, bardziej przypominały owady niż ludzi. Pokrywał je gruby, chitynowy pancerz. Fasetkowe oczy. Czułki, za pomocą których wykrywały promieniowanie.

Ich bariera ochronna nie była doskonała. Silna dawka bez trudu dawała im radę. Udawało im się przetrwać głównie dzięki przezorności i unikom, tylko częściowo dzięki odporności. Pokarm przyjmowały niebezpośrednio; najpierw trawiony był przez mniejsze zwierzęta ciepłokrwiste, a następnie przyswajany z kału, z wykluczeniem związków radioaktywnych.

- Jesteś człowiekiem - stwierdził robak cienkim, metalicznym głosem. Robaki były aseksualne - przynajmniej ta grupa. Istniały jeszcze dwa inne typy, trutnie oraz Matka. Te należały do bezpłciowych wojowników, uzbrojonych w pistolety oraz topory ukręcone z listowia.

- Zgadza się - odparł Trent.

- Co ty tu robisz? Czy jest was więcej?

- Kilku.

Robaki znów naradziły się między sobą, energicznie machając czułkami. Trent czekał. Dżungla budziła się do życia. Patrzył, jak wzdłuż pnia wędruje galaretowata masa i wpływa między gałęzie, z widocznym w niej, na wpół przetrawionym ssakiem. Nieopodal przeleciały brązowawe ćmy dzienne. Liście zadrżały pod wpływem podziemnych wibracji wytworzonych przez stroniące od światła dziennego nocne stworzenia.

- Pójdiesz z nami - zdecydował robak. Gestem nakazał Trentowi ruszyć z miejsca. - Idziemy.

Trent z ociąganiem wykonał rozkaz. Wędrowali wąskim szlakiem, wyciętym toporami jakiś czas temu. Gęste macki i sondy dżungli znów zaczynały upominać się o swoje prawa.

- Dokąd idziemy? - zapytał Trent.

- Na Wzgórze.

- Po co?

- Nieważne.

Obserwując idące przed nim lśniące robaki, Trent nie mógł uwierzyć, że kiedyś należały do rodzaju ludzkiego. Czy też ich przodkowie. Pomijając zniekształconą fizjologię, pod względem psychicznym robaki niewiele różniły się od niego. Ich układ plemienny odpowiadał usystematyzowanym organizacjom człowieczym, komunizmowi oraz faszyzmowi.

- Czy mogę o coś zapytać? - rzucił Trent.

- O co?

- Czy jestem pierwszym człowiekiem, którego widzicie? Czy w pobliżu nie ma więcej ludzi?

- Nie.

- A czy istnieją jakiegokolwiek dane na temat ludzkich osad?

- Dlaczego pytasz?

- Z czystej ciekawości - odparł krótko Trent.

- Jesteś jedyny. - Robak dał wyraz swojemu zadowoleniu. - Czeka nas za to premia... to znaczy, za schwytanie ciebie. To stała nagroda. Nikt nigdy jej nie otrzymał.

I tutaj potrzebowali człowieka. Człowieka, który wniesie z sobą cenne gnośis, elementy tradycji niezbędnej mutantom do wcielenia się w ich własną, chwiejną strukturę socjalną. Kultury mutantów wciąż nie mogły poszczycić się spójnością. Brakowało im kontaktu z przeszłością. Człowiek był szamanem, Mędrce, którego zadaniem było nauczać i instruować. Przekazać mutantom wiedzę o niegdysiejszym życiu; o tym, jak żyli i wyglądali ich przodkowie.

Cenna zdobycz dla każdego z plemion - zwłaszcza że w okolicy nie było innych ludzi.

Trent zaklął ze złością. Nie było? Żadnych innych? Musieli gdzieś być. Jeśli nie na północy, to na wschodzie. W Europie, Azji, Australii. Gdzieś na kuli ziemskiej. Ludzie zaopatrzeni w narzędzia, maszyny i sprzęt. Kopalnia nie mogła stanowić jedynej osady, ostatniej siedziby człowieka z krwi i kości. Ludzie jako cenne kurioza - skazane na zagładę z chwilą, gdy do reszty zniszczą ich kompresory, a zbiorniki zjedzeniem się wyczerpią.

Jeśli wkrótce mu się nie poszczęści...

Robaki przystanąły, wyteżyły słuch. Ich czułki zafalowały podejrzliwie.

- O co chodzi? - zapytał Trent.

- O nic. - Podjęły marsz. - Przez chwilę...

Błysk. Idące na przodzie robaki przestały istnieć. Pochłonęła je grzmiąca błyskawica światła.

Trent padł na ziemię. Wcisnął się pomiędzy pnącza i bujne chwasty. Wokół niego robaki toczyły zacieklą walkę, zmagając się z niedużymi, kudłatymi stworzeniami, które raz po raz słały celne strzały ze swojej broni ręcznej, a przybliżywszy się na dostateczną odległość, zadawały ciosy rozwiniętymi tylnymi odnóżami.

Biegacze.

Robaki przegrywały. Przystąpiły do odwrotu, kryjąc się w głębi dżungli. Biegacze ruszyły za nimi w pogoń, skacząc na tylnych nogach jak kangury. Ostatni robak zniknął im z oczu. Zgiełk ucichł.

- W porządku - rzucił jeden z biegaczy. Prostując się, zaczerpnął tchu. - Gdzie jest człowiek?

Trent powoli podniósł się z ziemi.

- Tutaj.

Biegacze pomogły mu wstać. Ich wzrost nie przekraczał czterech stóp. Były pękate i okrągłe, pokryte gęstym futrem. Małe dobroduszne twarze spoglądały na niego z troską. Miały paciorkowate oczy, ruchliwe nosy i wielkie tylne łapy.

- Nic ci nie jest? - zapytał jeden. Wyciągnął w kierunku Trenta manierkę z wodą.

- Nie. - Trent odtrącił manierkę. - Zabrali mój pistolet.

Biegacze rozejrzały się dokoła. Broni nigdzie nie było widać.

- Dajmy temu spokój. - Trent potrząsnął głową, usiłując dojść do siebie po przebytych wstrząsach. - Co się stało? Co to za błysk?

- Granat. - Biegacze nadeły się dumnie. - Rozciągnęliśmy nad szlakiem drut połączony z zawleczką.

- Robaki rządzą większością okolicy - dorzucił inny. - Musimy walczyć o swoje prawa. - Na szyi miał zawieszoną lornetkę. Biegacze uzbrojone były w pistolety i noże.

- Naprawdę jesteś człowiekiem? - zapytał biegacz. - Z pierwotnego rodu?

- Owszem - mruknął niepewnie Trent.

Biegacze były pod wrażeniem. Wytrzeszczyły paciorkowate oczy. Dotykały metalowego kombinezonu i kasku, zbiornika z tlenem oraz plecaka. Jeden przykucnął i ze znanstwem zbadał obwód przekaźnika.

- Skąd pochodzisz? - zapytał przywódca głębokim, mrukliwym głosem. - Jesteś pierwszym człowiekiem, którego widzimy od miesiący.

Trent zakrztusił się.

- Od miesiący? Wobec tego...

- Tutaj ich nie ma. Przybyliśmy z Kanady, z okolic Montrealu. Tam leży osada ludzi.

Trent odetchnął pełną piersią.

- Dojdę tam pieszo?

- Cóż, my przebyliśmy tę odległość w ciągu kilku dni. Ale poruszamy się szybciej niż ty. - Przywódca zerknął z powątpiewaniem na metalowe okucia kombinezonu. - Sam nie wiem. Potrzebowałbyś więcej czasu.

Ludzie. Osada.

- Ilu ich tam jest? Czy to duża osada? O wysokim stopniu rozwoju?

- Nie pamiętam dokładnie. Widziałem ją tylko raz. Mieści się pod ziemią; mają tam jakieś poziomy i cele. Wymieniliśmy nie skażone rośliny na sól. To było dawno temu.

- Czy funkcjonują bez przeszkód? Czy dysponują narzędziami, maszyną, kompresorami? Mają zbiorniki z pożywieniem, aby przetrwać?

Biegacz niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

- W gruncie rzeczy może ich tam już nie być.

Trent zamarł. Poczł dotkliwe ukłucie strachu.

- Jak to? Co masz na myśli?

- Może już sobie poszli.

- Dokąd? - zapytał martwym głosem Trent. - Co się z nimi stało?

- A skąd mam wiedzieć? - rzucił biegacz. - Nie wiem, co się z nimi stało. Tego nie wie nikt.

Gorączkowo podążał na północ. Dżungla przeszła w przejmujący chłodem las roślin przypominających paprocie. Z każdej strony napotykał tylko ogromne drzewa. Powietrze było rozrzedzone i rześkie.

Czuł, jak zmęczenie bierze nad nim górę. W zbiorniku pozostał tylko jeden pojemnik z tlenem.

Potem będzie musiał zdjąć kask. Jak długo zdoła przetrwać? Pierwsza deszczowa chmura sprowadzi na niego zabójcze cząstki, które dostaną się do płuc. Równie dobrze może to nastąpić w wyniku wiatru wiejącego od strony oceanu.

Zdyszany przystanął. Dotarł do szczytu długiego zbocza. W dole rozciągała się porośnięta drzewami równina - rozległa plama zieleni o brunatnym zabarwieniu. Tu i ówdzie jaśniały białe punkty. Pewnie ruiny. Trzysta lat temu w tym miejscu leżało miasto.

Nigdzie ani żywej duszy. Choćby śladu osady.

Trent ruszył w dół zbocza. Otaczał go pogrążony w ciszy las. Wokół dominowała atmosfera przygnębienia. Brakowało nawet szelestu przemieszczającej się drobnej zwierzyny. Zwierzęta, owady, ludzie - wszystko zniknęło. Większość biegaczy przeniosła się na południe. Małe stworzenia przypuszczalnie wyginęły. A ludzie?

Znalazł się w obrębie ruin. Kiedyś istniało tutaj miasto. Później ludzie musieli przenieść się do schronów, kopalń i podziemnych przejść. Następnie rozbudowali swoje podziemne komnaty. Przez trzysta lat ludzie - prawdziwi ludzie - walczyli pod powierzchnią o przetrwanie. Wychodzili na zewnątrz tylko w kombinezonach, wytwarzali pożywienie w zbiornikach, filtrowali wodę, kondensowali wolne od cząstek powietrze. Przysłaniali oczy przed oślepiającym blaskiem słońca.

A teraz - nie zostało z tego nic.

Podniósł swój nadajnik.

- Kopalnia - rzucił. - Mówi Trent.

Z nadajnika dobiegły słabe trzaski. Upłynął dłuższy czas, nim nadeszła odpowiedź. Głos był cichy i daleki. Prawie ginął wśród zakłóceń.

- No i? Znalazłeś ich?

- Odeszli.

- Ale przecież...

- Nikogo. Ani żywej duszy. Osada porzucona. - Trent usiadł na nadkruszony betonowej płycie. Czuł, jak uchodzi z niego życie. - Niedawno tu byli. Ruiny nie zdążyły zarosnąć. Musieli odejść w ciągu ostatnich tygodni.

- Przecież to bez sensu. Mason i Douglas już są w drodze. Douglas jedzie ciągnikiem terenowym. Powinien dotrzeć do ciebie za kilka dni. Na jak długo wystarczy ci tlenu?

- Na dobę.

- Powiemy mu, aby się pospieszył.

- Przykro mi, że to wszystko, co mam do zameldowania. Nie chowam w zanadrzu nic lepszego.
- Jego głos napełnił się goryczą. - Po tych wszystkich latach. Byli tu przez cały czas. A teraz, kiedy wreszcie do nich dotarliśmy...

- Jakież wskazówki? Jesteś w stanie stwierdzić, co się z nimi stało?

- Rozejrzę się. - Trent wstał ociężale. - Jeśli coś znajdę, dam wam znać.

- Powodzenia. - Głos przeszedł w jednolity trzask. - Będziemy czekać.

Trent umieścił nadajnik na pasku. Popatrzył na szare niebo. Prawie zapadła noc. Las był ponury i złowrogi. Padający śnieg pokrył brunatne poszycie cienką warstwą brudnej bieli. Śnieg przemieszany z cząstkami. Zabójczy pył mimo upływu trzystu lat wciąż opadał w dół.

Zapalił światło na kasku. Błady snop oświetlił mu drogę, padając pomiędzy drzewa, zrujnowane betonowe słupy i sporadycznie rozrzucone sterty żwiru. Wkroczył między ruiny.

Pośrodku odnalazł wieże i instalacje. Ogromne kolumny - nadal rozżarzone - oplecione rusztowaniem z siatki. Wyloty odsłoniętych tuneli wiodących w głąb podziemi przypominały nieruchome, czarne jeziora. Zajrzał do jednego z nich, oświetlając go latarką z kasku. Tunel prowadził prosto do serca Ziemi. Jednakże świecił pustką.

Dokąd oni mogli się udać? Co się z nimi stało? Trent bezmyślnie okrążył ruiny. Ludzie mieszkali tu, pracowali, walczyli o przetrwanie. Wychodzili na powierzchnię. Widział ich pojazdy ustawione wśród wież, pokryte teraz zszarzałą warstwą nocnego śniegu. Wrócili na powierzchnię, a potem - odeszli.

Dokąd?

Usiadł pod osłoną zrujnowanej kolumny i włączył ogrzewanie. Kombinezon rozgrzał się, emitował ciepły, czerwony blask, który sprawił, że Trent zaraz poczuł się lepiej. Popatrzył na wskaźnik. Teren był silnie napromieniowany. Jeżeli zamierzał coś zjeść i wypić, powinien udać się gdzie indziej.

Był zmęczony. Zbyt zmęczony, aby gdziekolwiek się przenieść. Został więc tam, gdzie siedział, w wytyczonym na śniegu kręgiem światła latarki. Śnieg padał nieprzerwanie. Wkrótce pokrył też nieruchomą postać, siedzącą bezwładnie u stóp kolumny. Tak cichą i nieruchomą, jak wieże i rusztowania wokół niej.

Zapadł w drzemkę. Grzejnik kojąco brzęczał. Zerwał się wiatr, który porwał garść śniegu i cisnął wprost na niego. Zaczął zsuwać się z płyty, aż wreszcie jego kask spoczął na betonowej nawierzchni.

Koło północy obudził się. Czujnie podniósł głowę. Doszedł go jakiś dźwięk. Wyteżył słuch.

Odległy, monotony jazgot.

Czyżby to już Douglas? Nie, na pewno jeszcze nie przez najbliższe dwa dni. Wstał, otrzepując z siebie śnieg. Jazgot narastał. Serce zaczęło mu tłuc jak szalone. Rozejrzył się; snop światła latarki rozgarnął mrok.

Ziemia zatrzęsała się, wibracje przeniknęły go od stóp do głów, grzechocząc prawie pustym zbiornikiem tlenu. Podniósł wzrok ku niebu - i zapało mu dech.

Po niebie mknęła świetlista smuga, rozpraszając ciemność. Obserwował ją z otwartymi ustami.

Coś szykowało się do lądowania.

Rakieta.

Podłużny, metalowy kadłub zamigotał w świetle wschodzącego słońca. Pochłonięci pracą ludzie ładowali stopy zapasów i sprzętu. Wagoniki śmigały w górę i w dół, przenosząc materiał z podziemnych warstw do czekającego statku. Ludzie pracowali szybko i skutecznie, odziani w kombinezony z metalu i plastiku; w ściśle zabezpieczone, obite ołowiem bariery ochronne.

- Ilu jest w twojej kopalni? - zapytał spokojnie Norris.

- Około trzydziestu. - Trent nie odrywał oczu od statku. - Trzydziestu trzech, razem z tymi na zewnątrz.

- Na zewnątrz?

- Zwiadowcy. Tak jak ja. Kilku zmierza w naszym kierunku. Wkrótce tu będą. Dziś wieczorem lub jutro.

Norris zapisał coś na swoim wykresie.

- Tym razem udźwigniemy około piętnastu. Reszta zabierze się drugą turą. Wytrzymają jeszcze jeden tydzień?

- Tak.

Norris zmierzył go zaciekawionym spojrzeniem.

- Jak nas znalazłeś? Od Pensylwanii dzieli nas szmat drogi. To nasz ostatni przystanek. Gdybyś spóźnił się o kilka dni...

- Biegacze pokazały mi kierunek. Powiedziały, że odjechaliście nie wiadomo dokąd.

Norris roześmiał się.

- Sami tego nie wiedzieliśmy.

- Przecież musicie to wszystko dokądś zabierać. Statek jest stary, prawda? Złożony z części.

- Początkowo stanowił rodzaj bomby. Zlokalizowaliśmy go i naprawiliśmy; pracowaliśmy nad nim od czasu do czasu. Nie byliśmy pewni, co zamierzamy zrobić. Do tej pory nie jesteśmy. Wiemy jedynie, że chcemy odlecieć.

- Odlecieć? Opuścić Ziemię?

- Ma się rozumieć. - Norris gestem nakazał mu pójść za sobą. Po rampie podeszli do jednego z włazów. Norris pokazał na dół. - Spójrz tam, na ładujących.

Robotnicy prawie skończyli. Ostatnie wagony przybywające z podziemi były na wpół puste. Książki, archiwa, zdjęcia, szczątki dóbr kultury. Masa różnorodnych przedmiotów znikła w czeluściach ładowni, by wkrótce zostać wywieziona poza Ziemię.

- Dokąd? - zapytał Trent.

- Na razie na Marsa. Lecz nie zostaniemy tam długo. Prawdopodobnie pojedziemy dalej, ku księżycom Jowisza i Saturna. Kto wie, może Ganimed. Jeśli nie on, to któraś z innych planet. W razie niepomyślnego obrotu sprawy osiedlimy się na Marsie. Jest dość suchy i jałowy, ale przynajmniej nie radioaktywny.

- Czy nie istnieją szansę na uzdatnienie radioaktywnych terenów? Gdybyśmy wychłodzili Ziemię, zneutralizowali skażone opary i...

- Gdybyśmy tego dokonali - przerwał mu Norris - oni wszyscy by zginęli.

- Oni?

- Krążniki, biegacze, jaszczurowaci, robaki i cała reszta. Nieprzebrane odmiany istot. Niezliczone formy przystosowane do życia na tej Ziemi - skażonej Ziemi. Te rośliny i zwierzęta korzystają z radioaktywnych metali. Ogólnie biorąc, podstawą nowego życia tutaj stało się przyswajanie skażonych soli metali. Soli, które dla nas stanowią śmiertelne zagrożenie.

- No, ale gdyby...

- Nawet gdyby, tak naprawdę to wcale nie jest nasz świat.

- To my jesteśmy prawdziwymi ludźmi - odparł Trent.

- Już nie. Ziemia tętni życiem, które staje się coraz bujniejsze. Jesteśmy po prostu jedną z form, przestarzałych form. Aby móc tu żyć, musielibyśmy przywrócić dawne warunki, dawne czynniki, równowagę sprzed trzystu lat. To kolosalne przedsięwzięcie. I nawet gdyby nam się udało, gdybyśmy zdołali wychłodzić Ziemię, nie uchowałyby się nic z tego, co widzimy.

Norris ogarnął gestem rozległą brunatną puszcę. I leżące za nią rejony południa wraz z parującą dżunglą, która ciągnęła się aż do Cieśniny Magellana.

- Z jednej strony to nam się słuszenie należy. My rozpętaliśmy wojnę. My zmieniliśmy Ziemię. Nie zniszczyliśmy jej, tylko zmieniliśmy. Do tego stopnia, że nie możemy dłużej tu przebywać.

Norris wskazał oddziały ludzi w kaskach. Ludzi zakutych w ciężkie kombinezony ochronne pokryte siecią przewodów, wszędzie tylko wskaźniki, zbiorniki z tlenem, osłony, pigułki żywieniowe, przefiltrowaną wodę. Pracowali, pocąc się w swoich kombinezonach.

- Widzisz? Kogo oni przypominają?

Nadbiegł zdyszany robotnik. Na chwilę uniósł kask i nabrał powietrze w płuca. Zaraz nerwowo włożył go z powrotem.

- Gotowi do odlotu, sir. Wszystko załadowane.

- Zmiana planu - oświadczył Norris. - Poczekamy, aż przyjadą tu towarzysze tego człowieka. Ich obóz ciągnie resztkami sił. Jeden dzień zwłoki nie sprawi żadnej różnicy.

- Tak jest, sir. - Robotnik oddalił się pospiesznie; groteskowa postać w ciężkim kombinezonie i pękatym kasku.

- Pełnimy tu funkcję przyjezdnych - powiedział Norris.

- Co takiego? - rzucił ostro Trent.

- Przyjezdnych na obcej planecie. Popatrz na nas. Kombinezony ochronne, kaski - wszystko dla celów badawczych. Należymy do sondy odwiedzającej obcy świat, w którym nie ma szans na przeżycie. Przybywającej tu, by zabrać ładunek i zaraz znów odlecieć.

- Zamknięte kaski - powiedział zmienionym głosem Trent.

- Zamknięte kaski. Ołowiane tarcze. Wskaźniki, specjalny prowiant i woda. Proszę spojrzeć.

Nieopodal stała nieliczna grupka biegaczy, spoglądały z lękiem na lśniący statek. Po prawej stronie, zza drzew wyzierała ich wioska. Szachownice pól, zagrody dla zwierząt i budynki mieszkalne.

- Tubylcy - powiedział Norris. - Mieszkańcy planety. Mogą wdychać jej powietrze, pić wodę, spożywać naturalną roślinność. My nie. To ich planeta, nie nasza. Oni są w stanie tutaj żyć i utworzyć społeczność.

- Mam nadzieję, że będziemy mogli wrócić.

- Wrócić?

- Kiedyś... choć na chwilę.

Norris uśmiechnął się smętnie.

- Również mam taką nadzieję. Lecz najpierw będziemy musieli uzyskać pozwolenie ze strony mieszkańców... zgodę na lądowanie. - Rozbawienie w jego oczach niespodziewanie przerodziło się w ból, który przyćmił wszystko inne. - Będziemy musieli poprosić ich o zgodę. Ich prawem będzie odpowiedzieć "nie". Może nie zechcą mieć z nami do czynienia.

MIASTEczKO

Wlokąc za sobą płaszcz, Verne Haskel wspiął się przygnębiony po frontowych schodkach swojego domu. Był zmęczony. Zmęczony i zniechęcony. Na dodatek bolały go nogi.

- O mój Boże - wykrzyknęła Madge, kiedy zamknął drzwi i zdjął kapelusz i płaszcz. - Ty już w domu?

Haskel rzucił na podłogę teczkę i przystąpił do rozwiązywania butów. Zgarbił ramiona, jego twarz poszarzała.

- Powiedz coś!

- Czy kolacja jest gotowa?

- Nie, kolacja nie jest gotowa. O co tym razem chodzi? Kolejna kłótnia z Larsonem?

Haskel powlókł się do kuchni, gdzie napełnił szklanek ciepłą wodą z sodą.

- Wyprowadźmy się - powiedział.

- Co to ma znaczyć?

- Wyprowadźmy się z Woodland. Do San Francisco. Dokądkolwiek.

- Haskel wypił sodę, opierając swoje przeszło czterdziestoletnie ciało o błyszczący zlewozmywak. - Czuję się wstrętnie. Może powinienem znów odwiedzić doktora Barnes'a. Chciałbym, aby dziś był piątek, a jutro sobota.

- Co byś zjadł na kolację?

- Nic. Sam nie wiem. - Haskel ze zmęczeniem potrząsnął głową. Wszystko jedno. - Usiadł przy stole kuchennym. - Chcę jedynie odpocząć. Otwórz puszkę z gulaszem. Wieprzowinę i fasolę. Cokolwiek.

- Proponuję, abyśmy poszli do smażalni Dona. W poniedziałki mają niezłą polędwicę.

- Nie. Mam na dzisiaj dość widoku ludzi.

- Pewnie jesteś zbyt zmęczony, aby podwieźć mnie do Helen Grant.

- Samochód jest w naprawie. Znow się popsuł.

- Gdybyś lepiej o niego dbał...

- Co, u licha, chciałabyś, żebym robił? Przenosił go w reklamówce?

- Przestań się na mnie wydzierać, Vernie Haskel! - Madge poczerwieniała z gniewu. - Chyba że wolisz sam przygotować sobie kolację.

Haskel podniósł się z wysiłkiem. Ruszył w kierunku piwnicy.

- Na razie.

- Dokąd idziesz?

- Na dół, do piwnicy.

- Boże! - krzyknęła dziko Madge. - Te twoje pociągi! Te zabawki! Jak dorosły mężczyzna, mężczyzna w średnim wieku...

Haskel zbył to milczeniem. Znajdował się już w połowie schodów prowadzących do piwnicy i macał ręką wokół w poszukiwaniu kontaktu.

W piwnicy panował chłód i wilgoć. Haskel zdjął z haczyka swoją czapkę inżyniera i włożył. Podekscytowany czuł, jak w jego znużone ciało wstępuje trochę energii. Szybkim krokiem zbliżył się do ogromnego stołu z dykty.

Tory kolejowe biegły wszędzie. Wzdłuż podłogi, pod skrzynką z węglem, wśród instalacji parowych pieca. Trasy zbiegały się przy stole, prowadząc do góry w postaci nachylonych ramp. Sam stół zaśmiecony był transformatorami, sygnalizatorami, zwrotnicami oraz stertami kabli i oprzyrządowania. Prócz tego...

Prócz tego było tam miasto.

Szczegółowa, wyjątkowo dokładna makieta Woodland. Każde drzewo i dom, każdy sklep, budynek, ulica oraz hydrant. Miniaturowe miasto, w którym każdemu elementowi przysługiwało ściśle określone miejsce. Pieczołowicie konstruowane przez lata. Odkąd sięgał pamięcią. Od czasów dzieciństwa, kiedy po lekcjach pracowicie kleił i budował.

Haskel włączył główny transformator. Wzdłuż torów zaśnity światła sygnalizacyjne. Zasilił ciężki parowóz Lionela, stojący nieruchomo wraz ze swoim ładunkiem w postaci samochodów przewozowych. Parowóz gładko potoczył się po torach. Błyszczący, ciemny pocisk z metalu, którego widok zapierał mu dech w piersi. Otworzył elektryczną zwrotnicę i parowóz skierował się ku rampie, minął tunel i zjechał ze stołu. Następnie zniknął pod ławą.

Jego pociągi. I jego miasto. Haskel nachylił się nad miniaturowymi domkami i ulicami, serce wypełniała mu duma. Oto jego własne dzieło. W każdym calu. Wszystko tchnęło perfekcją. Całe miasto. Dotknął narożnika sklepu spożywczego Freda. Nie brakowało ani jednego szczegółu. Nawet zastawionych towarem witryn. Oznakowania. Lady.

Hotel Uptown. Przejechał dłonią po jego płaskim dachu. Sofy i krzesła w westybulu. Wyraźnie widział je przez okno.

Drogeria Greena. Plastry na odciski. Czasopisma. Części samochodowe Fraziera. Jadłodajnia Mexico City. Odzież Sharpsteina. Sklep monopolowy Boba. Salon bilardowy Ace.

Całe miasto. Przesunął po nim rękami. On je stworzył; należało do niego.

Parowóz wyjechał spod ławki. Jego koła minęły automatyczną zwrotnicę i most zwodzony opuścił się posłusznie. Pociąg przejechał po nim i ruszył dalej, ciągnąc swój balast.

Haskel zwiększył dopływ mocy. Pociąg nabrał szybkości. Rozległ się gwizd. Wszedł w ostry zakręt i ze zgrzytem wjechał na przecznicę. Ponowny wzrost prędkości. Dłonie Haskela konwulsyjnie zacisnęły się na transformatorze. Pociąg raptownie skoczył naprzód. Zakołysał się, biorąc kolejny wiraż. Transformator włączony był na maksimum. Widać było rozklekotaną smugę pociągu pędzącego po torach, mijającego mosty i zwrotnice i kryjącego się za przewodami instalacyjnymi pieca podłogowego.

Parowóz zniknął za skrzynią z węglem. Chwilę później wynurzył się po przeciwnej stronie, szaleńczo rozkołysany na boki.

Haskel zmniejszył prędkość. Ciężko oddychał, jego pierś unosiła się gwałtownie. Usiadł na stołku przy ławie i drżącymi palcami zapalił papierosa.

Pociąg i makieta miasta napawały go osobliwym uczuciem. Trudno mu było je sprecyzować. Zawsze kochał pociągi, modele parowozów, sygnalizatorów i budynków. Ten stan rzeczy utrzymywał się, od kiedy skończył sześć czy siedem lat. Pierwszą kolejkę otrzymał od ojca. Była to lokomotywa i parę kawałków torów. Stary, nakręcany pociąg. Gdy miał dziewięć lat, подарowano mu pierwszą elektryczną kolejkę. Wraz z dwiema zwrotnicami.

Uzupełniał swoją kolekcję rok po roku. Tory, parowozy, zwrotnice, samochody, sygnalizatory. Transformatory dysponujące większą mocą. No i zaczątki miasta.

Budował je krok po kroku. Najpierw, kiedy był w ostatniej klasie podstawówki, powstał model dworca Southern Pacific. Następnie postój taksówek. Kawiarnia, gdzie posilali się kierowcy. Broad Street.

W ten sposób przybywało coraz więcej elementów. Domy, budynki, sklepy. W miarę upływu czasu miasto wyrastało spod jego rąk. Każdego popołudnia wracał ze szkoły i przystępował do pracy. Kleił, ciął, malował i piłował.

Było prawie skończone. Miał czterdzieści trzy lata i praca nad miastem niemal dobiegła końca.

Haskel krążył wokół stołu, z czcią wyciągając ręce. Co chwilę dotykał poszczególnych modeli. Kwaciarnia. Teatr. Firma telekomunikacyjna. Przedsiębiorstwo Pomp i Zaworów Larsona.

Tak, również i ono. Jego miejsce pracy. Model wzniesionej z największą drobiazgowością fabryki.

Haskel zerknął na nią spode łba. Jim Larson. Pracował dla niego w pocie czoła od dwudziestu lat. Po co? Po to, aby widzieć, jak wyprzedzają go inni. Młodszy. Ulubieńcy szefa. Gotowi na każde skinienie młodzieńcy o jaskrawych krawatach, zaprasowanych kantach spodni i szerokich, głupkowatych uśmiechach.

Jego nienawiść i poczucie krzywdy sięgnęły szczytu. Całe życie czuł się zdominowany przez Woodland. Nigdy nie był naprawdę szczęśliwy. Miasto zawsze obracało się przeciwko niemu. Panna Murphy w liceum. Studenci w college'u. Wyniośli sprzedawcy w domach towarowych. Sąsiedzi. Policjanci, listonosze, motorniczy i dostarczyciele przesyłek. Nawet jego żona. Nawet Madge.

Nigdy nie pasował do miejsca swojego zamieszkania, leżącego na przedmieściach San Francisco, w dole półwyspu, za pasem mgielnym. Woodland raziło go tą swoją atmosferą drogiego osiedla zamożnej klasy średniej. Znajdowało się tu zbyt wiele dużych domów, trawników, lśniących samochodów i leżaków. Według niego panował tu nadmierny zaduch i porządek. Odkąd tylko sięgał pamięcią. Jego praca...

Larson. Przedsiębiorstwo Pomp i Zaworów. Dwadzieścia lat wytężonej pracy.

Palce Haskela zacisnęły się na maleńkiej konstrukcji przedstawiającej fabrykę Larsona. Oderwał ją z furią i cisnął na podłogę. Następnie podeptał ją, miażdżąc butem kawałki szkła, metalu i papieru w jednolitą masę.

Boże, trząśnięty całym ciałem od stóp do głów. Z bijącym sercem popatrzył na szczątki. Targnęły nim dziwne, szalone emocje. Myśli, których nigdy przedtem nie doświadczył. Długo spoglądał na walające się u jego stóp resztki. Na to, co niegdyś stanowiło model Przedsiębiorstwa Pomp i Zaworów Larsona.

Naraz ocknął się. Poruszając się jak w transie, wrócił do ławy i sztywno zasiadł na stołku. Zebrał swoje narzędzia i materiały, po czym uruchomił wiertarkę.

Złożenie nowego modelu trwało zaledwie chwilę. Pomagając sobie zręcznymi, szybkimi palcami, Haskel malował, kleił i dopasowywał poszczególne elementy. Wykonał na szyldzie mikroskopijny nadruk i pomalował na zielono trawnik.

Następnie ostrożnie zaniósł nowy model do stołu i przykleił go we właściwym miejscu. W miejscu zajmowanym uprzednio przez Przedsiębiorstwo Pomp i Zaworów Larsona. W padającym z góry świetle obiekt zalśnił nie wyschniętą jeszcze farbą.

DOM POGRZEBOWY WOODLAND

Uradowany Haskel zatarł ręce. Po przedsiębiorstwie nie zostało ani śladu. Zniszczył je. Startł z powierzchni ziemi. Usunął z miasta. Pod nim rozciągało się Woodland, z domem pogrzebowym zamiast przedsiębiorstwa.

Rozbłyły mu oczy. Wykrzywił usta. Obecne w nim emocje przybrały na sile. Pozbył się go. I to niewielkim nakładem sił. W ciągu sekundy. Rzecz okazała się zadziwiająco nieskomplikowana.

Dziwne, że wcześniej nie wpadł na ten pomysł.

Popijając z namysłem z wysokiej szklanki schłodzone piwo, Madge Haskel powiedziała:

- Z Verne'em dzieje się coś dziwnego. Minionego wieczora szczególnie zwróciłam na to uwagę. Kiedy wrócił z pracy.

Doktor Paul Tyler odchrząknął z roztargnieniem.

- Typ wysoce neurotyczny. Ma kompleks niższości, powodujący cofnięcie w głąb siebie i introwersję.

- Ale jego stan wyraźnie się pogarsza. On i ta jego kolejka. Te wszystkie cholerne zabawki. Boże, Paul! Czy ty wiesz, że on ma w piwnicy makietę całego miasta?

Tyler okazał zainteresowanie.

- Naprawdę? Nie miałem o tym pojęcia.

- Miał to przez cały czas naszej znajomości. Zaczął, kiedy był dzieckiem. Wyobraź sobie dorosłego faceta bawiącego się kolejką! To... to obrzydliwe. Każdego wieczora to samo.

- Ciekawe. - Tyler poskrobał się w podbródek. - Cały czas się tym zajmuje? Niezmiennie od lat?

- Co wieczór. Wczoraj nawet nie tknął kolacji. Po prostu wrócił do domu i od razu poszedł na dół.

Na gładkim czole Paula Tylera pojawiła się ukośna zmarszczka. Na wprost niego Madge wolno popijała ze swojej szklanki. Minęła druga po południu. Był ciepły, słoneczny dzień. W salonie panowała atmosfera przyjemnego rozleniwienia. Naraz Tyler poderwał się z miejsca.

- Rzućmy okiem na te makietę. Nie przypuszczałem, że sprawy zaszły aż tak daleko.

- Naprawdę chcesz to zrobić? - Madge podciągnęła rękaw zielonej, jedwabnej piżamy i spojrzała na zegarek. - On nie wróci przed piątą. - Wstała i odstawiła szklanę. - Dobrze. Mamy czas.

- Świetnie. Idziemy na dół. - Tyler chwycił Madge za ramię i poszli do piwnicy, ogarnięci przyływem dziwnego podniecenia. Madge zapaliła światło i zbliżyli się do stołu, chichocząc nerwowo niczym psotne dzieci.

- Widzisz? - powiedziała Madge, ściskając Tylera za ramię. - Tylko popatrz. Oto rezultat wieloletniej pracy. Dzieło jego życia.

Tyler powoli skinął głową.

- Domyślam się. - W jego głosie zabrzmiała nuta strachu. - W życiu czegoś podobnego nie widziałem. Cóż za precyzja... On ma talent.

- Tak, Verne ma bardzo zręczne dłonie. - Madge wskazała na półkę z narzędziami. - Wciąż dokupuje nowe przybory.

Tyler powoli okrążył stół, nachylając się nad nim i patrząc z bliska na makietę.

- Niesamowite. Każdy budynek. Jest tu całe miasto. Popatrz! To mój dom.

Pokazał luksusowy budynek, nieznacznie oddalony od domu Haskelów.

- Przypuszczam, że niczego nie brakuje - odezwała się Madge. - Wyobraź sobie dorosłego mężczyznę przychodzącego tutaj i bawiącego się kolejką!

- Poczucie władzy. - Tyler popchnął mały wagonik. - Właśnie ono leży u podstaw zainteresowania tą zabawą. Pociągi są wielkie, wielkie i hałaśliwe. Stanowią symbol dominacji seksualnej. Chłopiec widzi pędzącą po torach lokomotywę. Jest tak potężna i bezlitosna, że budzi w nim przerażenie. Wtedy kupuje miniaturową kolejkę, podobną do tej. On sprawuje nad nią kontrolę. On ją zatrzymuje bądź wprawia w ruch. Raz każe jej przyspieszać, raz zwalniać. Jest zależna od jego woli. Spełnia jego zachcianki.

Madge zadrżała.

- Chodźmy na górę; tam jest ciepło. Zaraz tu zamarznę.

- Jednak gdy chłopiec dorasta, staje się większy i silniejszy. Może pozbyć się zabawek i opanować prawdziwy obiekt, prawdziwy pociąg i zyskać nad nim autentyczną kontrolę oraz władzę. - Tyler potrząsnął głową. - Niepotrzebne mu są produkty zastępcze. Podobne tendencje u dorosłego człowieka są doprawdy niezwykle. - Zmarszczył brwi. - Nie wiedziałem, że na State Street jest dom pogrzebowy.

- Dom pogrzebowy?

- I to. Sklep zoologiczny Steubena. Zaraz obok punktu naprawczego odbiorników radiowych. Przecież tam nie ma sklepu zoologicznego. - Tyler poszperał w pamięci. - Co właściwie tam jest? Obok punktu naprawczego?

- Futra paryskie. - Madge zadrżała. - Brrr. Daj spokój, Paul. Chodźmy stąd, nim przemarznę na kość.

Tyler roześmiał się.

- Dobrze, mazgaju. - Ruszył w kierunku schodów, ponownie marszcząc brwi. - Ciekawe, dlaczego. Sklep zoologiczny Steubena. Nigdy o nim nie słyszałem. Wszystko jest wykonane z najdrobniejszymi szczegółami. Przecież on musi znać całe miasto na pamięć. Budować sklep w miejscu, gdzie... - Zgasił światło. - Albo ten dom pogrzebowy. Co powinno się tam znajdować? Czy aby nie...

- Daj spokój - zawołała Madge, wbiegając do ciepłego salonu. - W gruncie rzeczy jesteś tak okropny jak on. Mężczyźni to takie dzieci.

Tyler nie odpowiedział. Zamyślił się głęboko. Incydent podważył jego niezłomną pewność siebie i wprowadził w zakłopotanie.

Madge opuściła żaluzje. Salon pogrążył się w bursztynowym półmroku. Osunęła się na kanapę, pociągając za sobą Tylera.

- Przestań - rozkazała. - Nigdy cię takiego nie widziałam. - Objęła go smukłymi ramionami za szyję i musnęła ustami ucho. - Nie wpuściłabym cię do środka, gdybym wiedziała, że masz zamiar się nim przejmować.

Tyler odchrząknął z roztargnieniem.

- Zatem dlaczego mnie wpuściłaś?

Uścisk ramion Madge przybrał na sile. Jej jedwabna piżama zaszeleściła, kiedy przysunęła się bliżej niego.

- Głuptasie - powiedziała.

Rosły, rudowłosey Jim Larson w zdumieniu wytrzeszczył oczy.

- O co panu chodzi? Co się z panem dzieje?

- Odchodzę. - Haskel zgarnął do teczki zawartość swojego biurka. - Prześlijcie mi czek do domu.

- Ale...

- Z drogi. - Wyminąwszy Larsona, Haskel wypadł na korytarz. Larson tkwił jak wrośnięty w podłogę. Na twarzy Haskela zastygł nieugięty wyraz, którego nigdy przedtem nie widział.

- Czy... czy dobrze się pan czuje? - zapytał.

- Oczywiście. - Haskel otworzył frontowe drzwi fabryki i wyszedł. Drzwi głośnie trzasnęły. - Jasne, że dobrze się czuję - wymamrotał do siebie. Krzywiąc wargi, przepchnął się przez tłum późnopołudniowych klientów. - Żebyś wiedział, że nic mi nie jest.

- Uważaj pan - mruknął złowrogo robotnik, gdy Haskel przechodził obok niego.

- Przepraszam. - Haskel ruszył naprzód, ściskając swoją teczkę. Na szczycie wzgórza przystanął na moment, by zaczerpnąć tchu. Pozostawił za sobą Przedsiębiorstwo Pomp i Zaworów Larsona. Roześmiał się piskliwie. Dwadzieścia lat - przekreślone w ciągu sekundy. To koniec. Nigdy więcej Larsona. Nigdy więcej nudnej, monotonnej, ciągnącej się miesiącami roboty, bez żadnych perspektyw na przyszłość. Nigdy więcej rutyny i nudy. Żegnał się z nimi na zawsze. Rozpoczął nowe życie.

Podjął marsz. Słońce chyliło się ku zachodowi. Mijały go samochody, w których jechali wracający do domu biznesmeni. Jutro z powrotem przemierzają tę trasę. Lecz bez niego. On nie zrobi tego już nigdy.

Dotarł do swojej ulicy. Wyrosła przed nim posiadłość Eda Tildona; wielka, stateczna konstrukcja z betonu i szkła. Pies Tildona wybiegł mu naprzeciw, zanosząc się szczekaniem. Haskel wyminął go pospiesznie. Pies Tildona. Wybuchnął obłąkanym śmiechem.

- Lepiej siedź cicho! - huknął na psa.

Doszedł do domu i wbiegł po schodach, przeskakując po dwa naraz. Z impetem otworzył drzwi. W salonie panował mrok i cisza. Naraz jego uwagę przykuł jakiś ruch. Dwa kształty pospiesznie odłączyły się od siebie i zerwały z kanapy.

- Verne! - wydusiła Madge. - O tej porze?

Verne Haskel rzucił na podłogę swoją teczkę, po czym upuścił na krzesło kapelusz i płaszcz. Jego pobrużdżoną twarz zniekształcały targające nim emocje.

- Na miłość boską! - Madge podbiegła ku niemu nerwowo, wyglądając po drodze wygniecioną piżamę. - Czy coś się stało? Nie spodziewałam się ciebie tak... - Urwała, oblewając się rumieńcem. - To znaczy, ja...

Paul Tyler niedbale ruszył w jego kierunku.

- Co słysząc, Verne? - mruknął zaaferowany. - Wpadłem na chwilę, żeby oddać twojej żonie książkę.

Haskel krótko skinął głową.

- Witam. - Odwróciwszy się, podszedł do drzwi od piwnicy, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. - Będę na dole.

- Ależ, Verne! - zaprotestowała Madge. - Co się stało?

Verne przystanął na moment w drzwiach.

- Rzuciłem pracę.

- Co zrobiłeś?

- Rzuciłem pracę. Skończyłem z Larsonem. Koniec z nim. - Trzasnęły drzwi od piwnicy.

- Chryste! - pisnęła Madge, histerycznie wpijając palce w Tylera. - On zwariował!

Tymczasem na dole Haskel niecierpliwie włączył światło. Nałożył swoją czapkę inżyniera i przysunął taboret do wielkiego stołu z dykty.

Co dalej?

Dom Meblowy Morrisa, gdzie wszyscy sprzedawcy zadzierali nosa.

Radośnie zatarł ręce. Koniec z nimi. Koniec z nadętymi sprzedawcami, unoszącymi brwi, kiedy wchodził do sklepu. Nic prócz włosów, muszek i złożonych chusteczek.

Zdjął model Domu Meblowego Morrisa i rozmontował go. Działał gorączkowo, z szalonym pośpiechem. Teraz, kiedy naprawdę zaczął, nie marnował czasu. Chwilę później przyklejał na miejsce dwa nieduże budynki. Pucybut Ritz. Kręgielnia Pete'a.

Haskel zachichotał z przejęciem. Godziwy los dla luksusowego sklepu z meblami. Pucybut i kręgielnia. Nie zasługiwali na nic lepszego.

Bank Stanowy Kalifornii. Zawsze nienawidził tego banku. Kiedyś odmówiono mu tam pożyczki. Oderwał budynek banku.

Dom Eda Tildona. Ten jego cholerny kundel. Któregoś dnia ugryzł go w kostkę. Oderwał model. Zakręciło mu się w głowie. Mógł uczynić absolutnie wszystko.

Sklep z urządzeniami Harry'ego. Sprzedali mu tam kiedyś liche radio. Do diabła z nimi.

Sklep tytoniowy Joego. W maju 1949 Joe wydał mu ołowianą dwudziestopięciocentówkę. Precz z nim.

Wytwórnia atramentu. Nie cierpiał zapachu atramentu. A gdyby tak zamiast niej wstawić piekarnię. Uwielbiał pieczenie chleba. Wytwórnia atramentu podzieliła los swoich poprzedników.

Na Elm Street wieczorami było zbyt ciemno. Kilkakrotnie się tam potknął. Dodatkowe latarnie powinny załatwić sprawę.

Zbyt mało barów na High Street. Za dużo sklepów z odzieżą i futrami oraz sukniami dla pań. Oderwał całą garść i zaniósł na ławę.

Ostrożnie otwarto drzwi prowadzące do piwnicy. Z góry wyjrzała pobladła i przestraszona twarz Madge.

- Verne?

Niecierpliwie podniósł głowę.

- Czego chcesz?

Madge ostrożnie zeszła na dół. Za nią podążał doktor Tyler, nienaganny i przystojny w swoim szarym garniturze.

- Verne... czy wszystko w porządku?

- Oczywiście.

- Czy... czy naprawdę rzuciłeś pracę?

Haskel przytaknął. Przystąpił do rozbiórki wytwórni atramentu, ignorując żonę i doktora Tylera.

- Ale dlaczego?

Haskel odchrząknął niecierpliwie.

- Nie mam czasu.

Doktor Tyler przybrał zmartwiony wyraz twarzy.

- Czy dobrze rozumiem, że jesteś zbyt pochłonięty swoim zajęciem?

- Właśnie.

- Czym właściwie jesteś zajęty? - Tyler uniósł głos; trząsał się przy rym na całym ciele. - Pracujesz nad tym swoim miastem? Zmieniasz wystrój?

- Idźcie sobie - mruknął Haskel. Jego zręczne dłonie składały uroczą, niedużą piekarnię Langedorfa. Uformował ją z czułością, spryskał białą farbą, a ścieżkę przed nią wysypał żwirem i obsadził krzewami. Odłożył ją na bok i przystąpił do tworzenia parku. Wielkiego, zielonego parku. W Woodland zawsze takiego brakowało. Zajmie miejsce State Street Hotel.

Tyler odciągnął Madge od stołu i zaprowadził w kąć pomieszczenia.

- Dobry Boże. - Drżącymi palcami zapalił papierosa. Ten wypadł mu z dłoni i potoczył się po ziemi. Tyler machnął na niego ręką i poszukał następnego. - Widzisz? Widzisz, co on wyprawia?

Madge potrząsnęła głową.

- O co tutaj chodzi? Ja nic nie...

- Jak długo on nad tym pracuje? Całe życie? Pobielała na twarzy Madge skinęła głową.

- Tak, całe życie.

Twarz Tylera wykrzywił grymas.

- Boże, Madge. Przecież to wystarczy, abyś i ty postradała zmysły. Nie mogę w to uwierzyć. Musimy coś zrobić.

- Co tu się dzieje? - jęknęła Madge. - Co...

- Zatracił się w tym. - Twarz Tylera zastygła w maskę niedowierzania. - Proces z każdą chwilą się pogłębia.

- On zawsze tu przychodził - zająknęła się Madge. - To nic nowego. Zawsze szukał w tym ucieczki.

- Tak. Ucieczki. - Tyler zadrżał i zacisnął pięści, ale wziął się w garść. Przeszedł przez piwnicę i stanął u boku Verne'a Haskela.

- Czego chcesz? - zapytał na jego widok Haskel.

Tyler zwilżył językiem wargi.

- Dodajesz co nieco, prawda? Tworzysz nowe budynki?

Haskel przytaknął.

Tyler musnął drżącymi palcami małą piekarnię.

- Co to ma być? Chleb? Gdzie to umieścisz? - Okrążył stół. - Nie przypominam sobie, aby w Woodland była piekarnia. - Odwrócił się. - Czy ty aby nie poprawiasz miasta? Niewielkie przeróbki tu i ówdzie?

- Wynocha stąd - odparł ze złowróżbnym spokojem Haskel. - Obydwoje.

- Verne! - pisnęła Madge.

- Mam masę roboty. Około jedenastej możesz przynieść kanapki. Mam nadzieję wieczorem

doprowadzić rzecz do końca.

- Do końca? - zapytał Tyler.

- Do końca - odrzekł Haskel, wracając do pracy.

- Chodźmy, Madge. - Tyler chwycił ją za ramię i pociągnął w stronę schodów. - Wynośmy się stąd. - Wspiął się na schody i wyszedł na korytarz. - Szybciej! - Kiedy znalazła się na górze, zamknął drzwi.

Madge podniosła ręce do oczu.

- On zwariował, Paul! I co my zrobimy?

Tyler zamyślił się.

- Cicho bądź. Muszę to przemyśleć. - Chodził tam i z powrotem z zasępioną twarzą. - To wkrótce nastąpi. W tym tempie nie będziemy musieli długo czekać. Tylko do wieczora.

- Co? Co masz na myśli?

- Jego ucieczka. W ten wyimaginowany świat. W poprawiony model, nad którym sprawuje kontrolę. W jego kryjówkę.

- Czy nic nie możemy na to poradzić?

- Poradzić? - Tyler uśmiechnął się nieznacznie. - Czy rzeczywiście chcemy coś na to poradzić?

Madge zaczerpnęła tchu.

- Przecież nie możemy tak po prostu...

- Może to rozwiąże nasz problem. Może właśnie tego było nam trzeba. - Tyler popatrzył z namysłem na panią Haskel. - Rozwiązanie leży w zasięgu ręki.

Dochodziła prawie druga w nocy, kiedy przystąpił do nadawania makiecie ostatecznego kształtu. Był zmęczony, lecz wciąż czujny. Wszystko odbywało się tak szybko. Prawie ukończył dzieło.

Efekt jego pracy graniczył z doskonałością.

Przerwał na chwilę, by ogarnąć wzrokiem całość. Miasto uległo całkowitemu przeobrażeniu. Około dziesiątej rozpoczął podstawowe zmiany konstrukcyjne w wyglądzie ulic. Usunął większość budynków publicznych, centrum obywatelskie i przylegającą do niego rozległą dzielnicę handlową.

Postawił nowy ratusz, komendę policji oraz olbrzymi park z fontannami i oświetleniem na obwodzie. Oczyszczył dzielnicę slumsów, stare zrujnowane sklepy, domy i ulice. Poszerzył drogi i lepiej je oświetlił. Domy były obecnie małe i schludne. Sklepy nowoczesne, atrakcyjne i pozbawione ostentacji.

Wszystkie tablice reklamowe zostały usunięte. Większość stacji benzynowych zniknęła. Olbrzymia sekcja fabryczna również. Jej miejsce zajęły pofałdowane tereny wiejskie. Drzewa, pagórki i zielona trawa.

Zmienił także zamożną dzielnicę. Pozostawił w niej zaledwie kilka posiadłości, należących do ludzi, którym sprzyjał. Reszta została usunięta i zastąpiona przez identyczne, jednopoziomowe domki o dwóch sypialniach i pojedynczym garażu.

Ratusz przestał stanowić wyszukaną, rokokową konstrukcję. Był teraz niski i prosty, uformowany na wzór Partenonu, jego ulubieńca.

Znał dziesięć czy dwanaście osób, przez które dotkliwie ucierpiał. Wprowadził do ich domów istotne zmiany. Podarował im mieszczące po sześć mieszkań bloki, jak z czasów wojny, leżące na skraju miasta. Tam dokąd wiatr zanosił zgniłą woń bagien.

Dom Jima Larsona zniknął zupełnie. Doszczętnie starł Larsona z powierzchni ziemi. Przestał istnieć; w nowym, prawie ukończonym Woodland zabrakło dla niego miejsca.

Haskel uważnie obejrzał swoje dzieło. Wszystkie zmiany musiały zostać wprowadzone natychmiast. Nastął czas jego twórczości. Później, kiedy już skończy, nie będzie szans na dalsze przeobrażenia. Należało uchwycić je teraz bądź też o nich zapomnieć.

Nowe Woodland prezentowało się wspaniale. Cechowała je czystość i prostota. Zamożna dzielnica stała się mniej zamożna, a biedna trochę bogatsza. Krzykliwe reklamy, szyldy, wystawy usunięto bądź przekształcono. Okręg handlowy uległ zmniejszeniu. Parki i tereny wiejskie zajęły miejsce fabryk. Centrum obywatelskie było po prostu śliczne.

Dołożył kilka placów zabaw dla dzieci. W miejscu wielkiego teatru Uptown z migającym neonem stanął mały teatr. Po namyśle usunął większość postawionych uprzednio barów. Nowe Woodland miało kierować się zasadami moralności. Surowej moralności. Garstka barów, żadnego bilardu, nie wspominając o dzielniczy czerwonych latarni. A dla niepożądanych obywateli istniało tu wyjątkowo przyzwoite więzienie.

Najwięcej trudu przysporzyło mu umieszczenie mikroskopijnego napisu na drzwiach do ratusza. Zostawił to sobie na sam koniec, by wreszcie z morderczą dokładnością wykaligrafować tam następujące słowa:

BURMISTRZ

Kilka ostatnich przeróbek. Zamiast nowego cadillaca podarował Edwardsom plymoutha, rocznik '39. Dorzucił więcej drzew w śródmieściu. Jeszcze jeden budynek straży pożarnej. O jeden sklep z odzieżą mniej. Nigdy nie lubił taksówek. Machinalnie usunął postój i postawił na jego miejscu kwiaciarnię.

Haskel zatarł ręce. Coś jeszcze? Czy zrobił już wszystko... Istna doskonałość... Badawczo zlustrował każdy element. Czyżby coś przeoczył?

Liceum. Oderwał je i po przeciwnych stronach miasta postawił dwa mniejsze. Kolejny szpital. To zajęło mu prawie godzinę. Zaczął odczuwać zmęczenie. Ręce częściowo utraciły swoją zręczność. Otarł czoło. Coś jeszcze? Znużony opadł na stołek, aby odpocząć i zastanowić się nad dalszym przebiegiem pracy.

Gotowe. Dzieło zostało ukończone. Poczul przyływ bezgranicznej radości. Jego praca dobiegła końca.

- Gotowe! - wykrzyknął Verne Haskel.

Chwiejnie wstał. Przymknął oczy i z wyciągniętymi rękami ruszył w stronę stołu. Szedł ku niemu, prostując palce, z wyrazem uniesienia na pobrużdżonej, podstarzałej twarzy.

Tyler i Madge usłyszeli na górze jego okrzyk. Odległy łoskot, który falami przetoczył się przez dom. Przestraszona Madge drgnęła.

- Co to było?

Tyler wytężył słuch. Posłyszał, jak Haskel krząta się w piwnicy, pod ich stopami. Raptownie zgasił, papierosa.

- To chyba już. Szybciej niż oczekiwałem.

- Już? To znaczy, on...

Tyler poderwał się z miejsca.

- Nie ma go, Madge. Odszedł do swojego świata. Nareszcie jesteśmy wolni.

Madge chwyciła go za rękę.

- Być może popełniamy błąd. To takie straszne. Czy... czy nie powinniśmy czegoś zrobić? Wyprowadzić go... spróbować ściągnąć go z powrotem?

- Z powrotem? - Tyler roześmiał się nerwowo. —To chyba nie jest możliwe. Nawet gdybyśmy naprawdę chcieli. Za późno. - Podbiegł do drzwi piwnicznych. - Chodźmy.

- To okropne. - Madge z ociąganiem podążyła za nim. - Żałuje, że w ogóle do tego dopuściliśmy.

Tyler przystanął na moment.

- Okropne? On teraz jest szczęśliwy. Ty również. Wtedy nikt nie był szczęśliwy. To najlepsze wyjście.

Otworzył drzwi. Madge poszła za nim. Ostrożnie zeszli po schodach do ciemnej, pogrążonej w ciszy piwnicy, wypełnionej rzadkimi oparami nocnej mgły.

Piwnica była pusta.

Tyler odprężył się z ulgą.

- Odszedł. Wszystko w porządku. Sprawy potoczyły się jak należy.

- Nic z tego nie rozumiem - powtórzyła beznadziejnie Madge, gdy buick Tylera toczył się ciemną, opustoszałą ulicą. - Dokąd on poszedł?

- Dobrze wiesz - odparł Tyler. - Naturalnie do swojego zastępczego świata. - Wjechał w zakręt na dwóch kołach. - Reszta nie powinna przysporzyć nam kłopotów. Kilka rutynowych formularzy. Naprawdę nie ma sobie co zawracać głowy.

Noc była ponura i mroźna. Kilka zapalonych latarni nie mogło rozproszyć ciemności. W oddali zabrzmiał posępny gwizd pociągu. Po obu stronach mijali rzędy pogrążonych w ciszy domów.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Madge. Skuliła się na siedzeniu i drżała pobladła ze zgrozy.

- Na policję.

- Po co?

- Aby zgłosić jego zaginięcie, rzecz jasna. Aby wiedzieli, że zniknął. Potem będziemy musieli zaczekać; upłynie parę lat, nim zostanie formalnie uznany za nieżyjącego. - Tyler wyciągnął rękę i uściskał ją pospiesznie. - Na pewno jakoś to przetrzymamy.

- A co... jeśli go znajdą?

Tyler ze złością potrząsnął głową. Nadal spięty, z trudem nad sobą panował.

- Nie rozumiesz? Nigdy go nie znajdą... on przestał istnieć. Przynajmniej w naszym świecie.

Teraz należy do własnego świata. Przecież go widziałaś. Makieta. Poprawiony substytut.

- I on tam jest?

- Poświęcił temu całe życie. Stworzył od podstaw. Urealnił. Powołał ów świat do życia, a teraz sam się w nim znalazł. Właśnie tego pragnął. Po to go zbudował. Nie chodziło tylko o marzenie o doskonałej kryjówce. On ją stworzył własnymi rękoma, by teraz do niej trafić. I zniknąć z naszego życia.

Madge powoli zaczynała rozumieć.

- Zatem on naprawdę zatracił się w tym swoim zastępczym świecie. To miałaś na myśli, mówiąc, że ucieka.

- Chwilę trwało, nim w pełni to do mnie dotarło. Umysł tworzy rzeczywistość. Wszyscy dzielimy wspólną rzeczywistość; to, co dla ciebie jest iluzją, dla innych jest nią tak samo. Lecz Haskel odrzucił ową wspólną rzeczywistość i postanowił wykreować własną. I dysponował ku temu nieprzeciętnymi zdolnościami. Poświęcił temu dziełu swoje życie i talent. I teraz tam trafił.

Tyler zawahał się i zmarszczył brwi. Zacisnął palce na kierownicy i wdusił pedał gazu. Buick pędził przez milczący, nieruchomy mrok miasta.

- Jest tylko jedno - podjął zaraz. - Nie rozumiem pewnej rzeczy.

- To znaczy?

- Makieta również zniknęła. Przyjąłem, że on... musiał się skurczyć. Wtopić w nią. Ale ona też zniknęła. - Tyler wzruszył ramionami. - To bez znaczenia. - Popatrzył w ciemność. - Jesteśmy prawie na miejscu. To Elm Street.

- Spójrz! - przeraźliwie krzyknęła Madge.

Po prawej stronie widniał nieduży, ładny budynek. Mimo mroku wyraźnie dostrzegali jego szyld.

DOM POGRZEBOWY WOODLAND

Madge zaczęła rozpaczliwie szlochać. Samochód skoczył naprzód, kierowany zdrętwiałymi dłońmi Tylera. Kiedy dojeżdżali do ratusza, ich uwagę przykuł kolejny szyld.

SKLEP ZOOLOGICZNY STEUBENA

Ratusz był dyskretnie podświetlony ukrytymi reflektorami. Niski, prosty budynek, jaśniejący bielą kwadrat, przywodzący na myśl grecką świątynię.

Tyler zatrzymał samochód. Naraz ponownie ruszył wśród pisku opon. Niestety za późno.

Do buicka podjechały dwa lśniące czarne wozy policyjne i zablokowały mu drogę. Czterech złowrogo wyglądających policjantów już trzymało ręce na klamkach. Wysiedli i ruszyli w jego kierunku; cztery postacie, od których biła powaga i skuteczność.

PAMIĄTKA

Dolatujemy, sir - powiedział mechaniczny pilot. Na te słowa Rogers wzdrygnął się i raptownie podniósł głowę. W napięciu wyregulował ukrytą wewnątrz płaszcza sieć lokalizacyjną, podczas gdy kulisty statek płynnie i bezszelestnie sunął ku powierzchni planety.

Z biciem serca uświadomił sobie, że pod nimi rozciągał się Świat Williamsona. Po trzystu latach odnaleziono wreszcie legendarną zaginioną planetę. Naturalnie przez przypadek. Błękitnozielona planeta, święty Graal Układu Galaktycznego, została cudownym zrzędzeniem losu odkryta przez rutynową misję badawczą.

Frank Williamson był pierwszym Terraninem, który wynalazł napęd pozaprzestrzenny - i pierwszy przekroczył granice Układu Słonecznego, wiedziony pragnieniem eksploracji leżącego poza nim wszechświata. Nigdy nie powrócił z tej eskapady. On sam, jego świat oraz kolonia nigdy nie zostały odnalezione. Krążyły na ten temat niezliczone plotki i kłam-legendy, nie raz ruszono fałszywym tropem - i na tym koniec.

- Odbieram sygnał z lotniska. - Mechaniczny pilot zwiększył głośność przekaźnika kontrolnego i uruchomił go.

- Lotnisko gotowe - oznajmił z dołu upiorny głos. - Pamiętajcie, że wasz system napędowy nie jest nam znany. Ile potrzeba pasa startowego? Wznieśliśmy awaryjne blokady hamulcowe.

Rogers uśmiechnął się. Słyszał, jak pilot przekonuje ich, że żaden pas startowy nie jest konieczny, nie w przypadku tego statku. Blokady hamulcowe można było opuścić bez narażania się na niebezpieczeństwo.

Trzysta lat! Długo trwało odnalezienie Świata Williamsona. Niejeden rząd postawił już na nim krzyżyk. Niektórzy wierzyli, że Frank nigdy nie wylądował, że zaginął gdzieś w kosmosie. A może to wcale nie był Świat Williamsona. W istocie nie natrafili na żadne czynniki, które niezbicie by o tym świadczyły. Frank Williamson wraz z trzema rodzinami pograżył się w nie zbadanej próżni i nigdy

nie dał najmniejszego znaku życia.

Aż do tej pory...

Na lotnisku powitał go chudy, rudowłosy młody człowiek w uszytym z jaskrawej tkaniny garniturze.

- Jest pan z Galaktycznego Centrum Organizacyjnego? - zapytał.

- Zgadza się - odparł ochryple Rogers. - Nazywam się Edward Rogers.

Młody mężczyzna wyciągnął rękę. Rogers potrząsnął nią niezgrabnie.

- Nazywam się Williamson - powiedział mężczyzna. - Gene Williamson.

Jego nazwisko wywarło na Rogersie piorunujące wrażenie.

- Czy jest pan...

Mężczyzna skinął głową z zagadkowym wyrazem twarzy.

- Jestem jego pra-pra-prawnukiem. Ma tu swój grób. Możemy go zobaczyć, jeśli będzie pan miał ochotę.

- Prawie spodziewałem się ujrzeć go we własnej osobie. Jest dla nas... jest postacią o niemal boskim wymiarze. Pierwszy człowiek, który przekroczył granicę Układu Słonecznego.

- Dla nas również to ogromnie dużo znaczy - rzekł młody człowiek. - Sprowadził nas tutaj. Długo trwało, nim znaleźli nadającą się do zamieszkania planetę. - Williamson machnął ręką w kierunku rozciągającego się za lotniskiem miasta. - Ta okazała się zadowalająca. To dziesiąta planeta układu.

Rogers spoglądał dokoła roziskrzonym wzrokiem. Świat Williamsona. Pod jego stopami. Mocno stąpał po ziemi, kiedy razem wędrowali po rampie, zostawiając za sobą lotnisko. Iluż mieszkańców Galaktyki marzyło o tym, by iść po rampie lotniska ramię w ramię z młodym potomkiem Franka Williamsona wprost w objęcia jego świata?

- Wszyscy zapragną tu przyjechać - powiedział Williamson, jakby czytając w jego myślach. - Zaśmiecić okolicę i powyrywać kwiaty. Zabrać ze sobą choćby garść ziemi. - Zaśmiał się odrobinę nerwowo. - Naturalnie Centrum Organizacyjne ich powstrzyma.

- Naturalnie - zapewnił go Rogers.

Przy końcu rampy Rogers gwałtownie przystanął. Jego wzrok po raz pierwszy spoczął na mieście.

- Co się stało? - zapytał Gene Williamson z przebłysem rozbawienia w głosie.

Oczywiście należało wziąć pod uwagę, że byli odcięci, odizolowani, przeto nie powinno budzić to większego zdziwienia. Dziw brał, że nie mieszkali w jaskiniach i nie żywili się surowym mięsem. Jednakże Williamson zawsze symbolizował postęp, rozwój. Wyprzedzał pozostałych o krok.

Na tle nowoczesnych standardów jego napęd kosmiczny stanowił prymitywne kuriozum. Lecz sama idea pozostała niezmienna; Williamson pełnił funkcję pioniera i wynalazcy. Człowieka, który tworzył.

Niemniej jednak miasto nie było niczym innym jak wioską, w skład której wchodziło kilka tuzinów domów, garstka budynków publicznych i jednostek przemysłowych. Za miastem ciągnęły się zielone pola, wzgórza i rozległe prerie. Wąskimi ulicami niespiesznie sunęło kilka pojazdów, ale większość mieszkańców poruszała się pieszo. Zdawało się to kolosalnym anachronizmem, żywcem zaczerpniętym z przeszłości.

- Przywykłem do jednolitej kultury galaktycznej - wyjaśnił Rogers. - Centrum Organizacyjne dba o zachowanie niezmiennego poziomu technokratycznego i ideologicznego. Trudno przyzwyczaić się do tak odmiennego obrazu społeczeństwa. Ostatecznie jednak byliście odcięci.

- Odcięci? - zapytał Williamson.

- Od wpływów Centrum. Musieliście rozwijać się bez niczyjej pomocy.

Na wprost nich przyhamował samochód. Kierowca otworzył drzwi.

- Przy uwzględnieniu owych czynników będę w stanie się przystosować - zapewnił Rogers.

- Wręcz przeciwnie - rzekł Williamson, wsiadając do samochodu. - Odbieramy współrzędne waszego Centrum od przeszło stu lat. - Gestem nakazał Rogersowi usiąść obok.

Rogers nie posiadał się ze zdumienia.

- Nie rozumiem. Ma pan na myśli, że podłączyliście się do sieci i nie uczyniliście najmniejszej próby, aby...

- Odbieramy wasze współrzędne - powtórzył Gene Williamson - lecz nasi obywatele nie uznają za stosowne z nich korzystać.

Samochód pędził autostradą po obwodzie wielkiego czerwonego wzgórza. Wkrótce pozostawili za sobą miasto - jaśniejący blado obszar, odbijający promienie słońca. Wzdłuż autostrady pojawiła się roślinność. Z boku wznosiło się gładkie zbocze klifu; poszarpany, nie tknięty mur z czerwonego piaskowca.

- Ładny wieczór - powiedział Williamson.

Rogers przytaknął z roztargnieniem.

Williamson opuścił okno. Do środka wtargnęło chłodne powietrze, niosąc z sobą kilka podobnych do komarów owadów. W oddali dwie maleńkie figurki orały pole - mężczyzna wraz z wielkim ociężale stąpającym zwierzęciem.

- Kiedy tam dotrzemy? - zapytał Rogers.

- Niedługo. Większość z nas mieszka z dala od miast. Zamieszkujemy odizolowane, samowystarczalne gospodarstwa rolne. Powstały na bazie średniowiecznych folwarków.

- Zatem utrzymujecie jedynie elementarny poziom egzystencji. Ilu ludzi zamieszkuje każdą farmę?

- Około stu mężczyzn i kobiet.

- Stu ludzi nie jest w stanie sprostać niczemu więcej poza tkactwem, farbowaniem i wyłaczaniem papieru.

- Dysponujemy specjalnymi jednostkami przemysłowymi opartymi na systemie wytwórczym. Ten samochód jest dobrym przykładem tego, co potrafimy wyprodukować. Mamy łączność, system kanalizacyjny, agencje medyczne. Dysponujemy zdobyczami techniki dorównującymi tym na Terze.

- Na Terze dwudziestego pierwszego wieku - zaproponował Rogers. - To jednak było trzysta lat temu. Celowo zachowujecie archaiczną kulturę mimo znajomości współrzędnych Centrum. To nie ma żadnego sensu.

- Być może wolimy taki stan rzeczy.

- Ale nie możecie samowolnie decydować o obraniu fazy kulturowej o niższym poziomie. Każdy system kulturowy musi dotrzymać kroku ogólnemu trendowi. Centrum koordynuje jednolitość rozwoju. Integruje istotne czynniki i wyklucza pozostałe.

Zbliżali się do farmy, "folwarku" Williamsona. W jej skład wchodziło kilka stłoczonych w dolinie niedaleko szosy prostych budynków, otoczonych polami i pastwiskami. Po zjechaniu na wąską, krętą drogę samochód ostrożnie ruszył w kierunku dna doliny. Pociemniało. Zimny wiatr uderzył w samochód i kierowca włączył światła.

- Żadnych robotów? - zapytał Rogers.

- Nie - odparł Williamson. - Sami wykonujemy pracę.

- Dokonuje pan czysto arbitralnego podziału - zauważył Rogers. - Robot to maszyna. W gruncie rzeczy nie obywatel się bez maszyn. Samochód też nią jest.

- To prawda - przyznał Williamson.

- Maszyna stanowi rozwinięcie narzędzia - ciągnął Rogers. - Siekiera jest prostym urządzeniem. W rękach dążącego do czegoś człowieka, narzędziem, czyli takim prostym urządzeniem,

staje się zwykły kij. Maszyna jest jedynie wieloskładnikowym narzędziem, które zwiększa współczynnik mocy. Człowiek z kolei to zwierzę zdolne do produkcji owych narzędzi. Historia człowieka to historia przechodzenia narzędzi w maszyny, wspanialsze i bardziej skuteczne. Poprzez odrzucenie mechaniki neguje pan zasadniczy instrument człowieka.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Williamson. Samochód zatrzymał się i kierowca otworzył przed nimi drzwi.

W ciemności zamajaczyły trzy lub cztery ogromne budynki. Wokół nich krążyło kilka niewyraźnych ludzkich kształtów.

- Obiad na stole - powiedział Williamson, wciągając powietrze. - Czuję.

Weszli do głównego budynku. Kilkoro kobiet i mężczyzn siedziało przy podłużnym, nie heblowanym stole. Przed nimi stały talerze i naczynia z potrawami. Czekali na Williamsona.

- To Edward Rogers - oznajmił Williamson. Zmierzywszy go zaciekawionymi spojrzeniami, ludzie ponownie skierowali swoją uwagę na zawartość talerzy.

- Proszę usiąść - ponagliła ciemnooka dziewczyna. - Obok mnie.

Zrobili dla niego miejsce na skraju stołu. Rogers zrobił krok we wskazanym kierunku, ale Williamson powstrzymał go.

- Tam nie. Jest pan moim gościem. Będzie pan siedział obok mnie.

Dziewczyna i jej towarzysze zareagowali na to śmiechem. Rogers niezgrabnie usiadł koło Williamsona. Ławka wydała mu się szorstka i niewygodna. Popatrzył na wyciosaną ręcznie drewnianą filiżankę. Jedzenie piętrzyło się w ogromnych drewnianych misach. Był tam gulasz, sałatka i duże bochny chleba.

- Zupełnie jakbyśmy znaleźli się z powrotem w czternastym wieku - powiedział Rogers.

- Tak - przytaknął Williamson. - Folwarczne życie sięga wstecz do czasów rzymskich i świata klasycznego. Galowie, Brytowie.

- Czy ci wszyscy ludzie tutaj to...

Williamson kiwnął głową.

- Moja rodzina. Jesteśmy podzieleni na niewielkie zespoły dobrane na zasadzie tradycyjnego systemu patriarchalnego. Jako najstarszy mężczyzna pełnię funkcję nominalnego przywódcy.

Skupieni najedzeniu ludzie w pośpiechu pochłaniali gotowane mięso i warzywa, które zagarniali kromkami chleba z masłem i popijali mlekiem. Pokój oświetlony był lampami fluorescencyjnymi.

- Niesamowite - mruknął Rogers. - Wciąż korzystacie z elektryczności.

- O, tak. Na planecie znajduje się dużo wodospadów. Samochód też napędzany był elektrycznością. Porusza się dzięki akumulatorowi.

- Dlaczego nie ma tu starszych mężczyzn? - Rogers dostrzegł kilka zasuszonych kobiet, lecz wśród mężczyzn Williamson był najstarszy, choć nie mógł liczyć więcej niż trzydzieści kilka lat.

- Walki - odparł z wymownym gestem Williamson.

- Walki?

- Wojny klanowe pomiędzy rodzinami stanowią główny element naszej kultury. - Williamson skinął głową w kierunku podłużnego stołu. - Długie życie nie jest nam pisane.

Rogers nie mógł otrząsnąć się z zaskoczenia.

- Wojny klanowe? Ale...

- Mamy proporce i herby, zupełnie jak stare plemiona szkockie.

Dotknął umieszczonej na rękawie błękitnej wstążki z wizerunkiem ptaka.

- Wszystkie rodziny mają swój herb i barwy; my toczymy z nimi walki. Rodzina Williamsonów przestała sprawować kontrolę nad planetą. Obecnie nie istnieje żadna centralna organizacja. W przypadku spraw wielkiej wagi urządzamy plebiscyt - w głosowaniu biorą udział wszystkie klany. Każda rodzina na planecie posiada prawo głosu.

- Zupełnie jak Indianie.

Williamson skinął głową.

- To system plemienny. Przepuszczalnie z biegiem czasu uformują się odrębne plemiona. Nadal posługujemy się tym samym językiem, lecz następuje proces decentralizacji. Poza tym każda rodzina postępuje według własnych zasad i ma odrębną tradycję.

- O co tak właściwie walczyacie?

Williamson wzruszył ramionami.

- O sprawy konkretne, takie jak ziemia czy kobiety. I o wydumane. Na przykład prestiż. Kiedy idzie o honor, odbywamy co pół roku oficjalne walki publiczne z udziałem przedstawicieli każdej rodziny. Biorą w nich udział najlepsi wojownicy.

- Jak podczas średniowiecznych turniejów.

- Czerpaliśmy ze wszystkich tradycji. Tradycję ludzką potraktowaliśmy jako całość.

- Czy każda rodzina czci odrębne bóstwo?

Williamson wybuchnął śmiechem.

- Nie. Jesteśmy wyznawcami mgliście pojętego animizmu. Mamy poczucie istnienia ogólnej pozytywnej witalności uniwersalnego procesu. - Uniósł do góry bochenek chleba. - Dzięki za to wszystko.

- Co hodujecie własnymi rękoma.

- Na ofiarowanej nam planecie. - Williamson w zamyśleniu żuł pajdę chleba. - Nasze archiwa mówią, że statek ciągnął ostatkiem sił. Prawie wyczerpał się zapas paliwa, mijali jedno obumarłe pustkowie po drugim. Gdyby nie pojawiła się ta planeta, całą ekspedycję spotkałaby śmierć.

- Cygaro? - zaproponował Williamson, kiedy odsunięto już opróżnione misy.

- Dzięki. - Rogers obojętnie przyjął cygaro. Williamson przypalił swoje i oparł się o ścianę.

- Jak długo pan tu zostanie? - zapytał wreszcie.

- Niedługo - odparł Rogers.

- Posłano dla pana łóżko - rzekł Williamson. - Wcześniej chodzimy spać, ale odbędą się jakieś tańce, śpiewy i przedstawienia. Wiele czasu poświęcamy przygotowywaniu i wystawianiu dramatów.

- Czyżbyście kładli nacisk na realizowanie się również w sensie psychologicznym?

- Praca twórcza przynosi nam radość, jeśli to ma pan na myśli.

Rogers potoczył wokół spojrzeniem. Ściany pokryte były namalowanymi bezpośrednio na nieobrobionym drewnie freskami.

- Coś takiego - powiedział. - Czy wyrabiacie farby z gliny i jagód?

- Niezupełnie - odpowiedział Williamson. - Opanowaliśmy produkcję barwników. Jutro pokażę panu nasz piec, w którym wypalamy różne przedmioty. Wytwarzamy również świetne wyroby sukiennicze.

- Ciekawe. Zdecentralizowane społeczeństwo, z wolną zmierzające ku prymitywnemu systemowi szczepowemu. Społeczeństwo, które dobrowolnie wyrzeka się zaawansowanej technologii i produktów kulturowych Galaktyki, celowo unika kontaktu z resztą ludzkości.

- Jedynie kontaktu ze zuniformizowanym wytworem Centrum Organizacyjnego - podkreślił Williamson.

- Czy nie zdaje pan sobie sprawy z tego, że Centrum utrzymuje jednakowy poziom we wszystkich światach? - zapytał Rogers. - Ja panu to mówię. Istnieją ku temu dwa powody. Po pierwsze, suma zgromadzonej przez człowieka wiedzy nie zezwala na duplikację eksperymentu. Brak na nią czasu.

Kiedy następuje jakieś odkrycie, powielanie go na niezliczonych planetach rozrzuconych we wszechświecie nie ma najmniejszego sensu. Uzyskana w jednym z tysiąca światów informacja przesyłana jest do Centrum Organizacyjnego, skąd rozpowszechnia się ją na całą Galaktykę. Centrum bada i selekcjonuje doświadczenia, po czym układa je w racjonalny, nie zawierający sprzeczności funkcjonalny system. Centrum sumuje całościowe doświadczenie ludzkości.

- A ten drugi powód?

- Przy zachowaniu jednorodnej kultury, kontrolowanej z jednego źródła, nie ma miejsca na wojnę.

- To prawda - przyznał Williamson.

- Znieśliśmy zjawisko wojny. Całkiem po prostu. Nasza jednorodna kultura zbliżona jest do kultury starożytnego Rzymu - wspólna dla wszystkich i obowiązująca wzdłuż i wszerz Galaktyki. Każda planeta ma w niej jednakowy udział. Nie istnieją żadne przeciwne prądy, które zrodziłyby zazdrość czy nienawiść.

- Takie jak nasz.

Rogers odetchnął głęboko.

- Tak, postawiliście nas w osobliwej sytuacji. Szukaliśmy Świata Williamsona od trzystu lat. Marzyliśmy o jego znalezieniu. Zdawał się niczym Imperium Johna Prestera - magiczny świat odcięty od reszty ludzkości. Będący być może mrzonką. Przecież statek Franka Williamsona mógł równie dobrze ulec katastrofie.

- Jednak tak się nie stało.

- W rzeczy samej, Świat Williamsona funkcjonuje, opierając się na własnej kulturze. Celowo z dala od reszty, kieruje się własnymi zasadami i uznaje własne normy. Teraz kontakt został nawiązany i nasze marzenie się ziściło. Ludzie z Galaktyki wkrótce dowiedzą się o przeprowadzonym odkryciu. Nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy przywrócili pierwszej kolonii spoza Układu Słonecznego słusznie należne jej miejsce w kulturze Galaktyki.

Rogers sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął z niej metalowy pakunek. Otworzył go i położył na stole gładki, szeleszczący dokument.

- Co to jest? - zapytał Williamson.

- Zasady Przyłączenia. Proszę je podpisać, a Świat Williamsona stanie się częścią kultury Galaktyki.

Wśród zgromadzonych zapadła cisza. Wszyscy w milczeniu spoglądali na papier.

- No i? - rzekł w napięciu Rogers. Popchnął arkusz w kierunku Williamsona. - Proszę bardzo.

Williamson potrząsnął głową.

- Przykro mi. - Stanowczym ruchem odsunął dokument. - Zdążyliśmy już przeprowadzić plebiscyt. Przepraszam, że pana rozczaruję, ale podjęliśmy decyzję o nieprzyłączeniu się. To nasza ostateczna decyzja.

Statek bojowy klasy pierwszej osiągnął orbitę poza strefą grawitacyjną Świata Williamsona.

Komandor Ferris połączył się z Centrum Organizacyjnym.

- Dotarliśmy. Co dalej?

- Wyślijcie na dół ekipę przewodową. Jak tylko dotkną powierzchni, złożcie natychmiastowy raport.

Dziesięć minut później kapral Pete Matson opuścił statek w ciśnieniowym kombinezonie grawitacyjnym. Pożegłował ku leżącej u jego stóp błękitnozielonej kuli, obracając się i wirując w miarę zbliżania się do powierzchni planety.

Matson wylądował i kilkakrotnie odbił się od ziemi. Chwiejnie stanął. Chyba znajdował się na skraju lasu. W cieniu strzelistych drzew zdjął kask. Przyciskając do siebie karabin, ostrożnie wkroczył pomiędzy drzewa.

Posłyszał sygnał w słuchawkach.

- Jakiegolwiek znaki życia?

- Żadnych, komandorze - zaraportował.

- Po twojej prawej stronie leży coś w rodzaju wioski. Możesz na kogoś natrafić. Idź prosto przed siebie i miej się na baczności. Podąża za tobą reszta ekipy. Pozostałe instrukcje otrzymasz ze swojej sieci centralnej.

- Będę uważał - obiecał Matson, ściskając karabin. Wprawnie wycelował go w odległy pagórek i nacisnął spust. Pagórek zamienił się w chmurę pyłu.

Matson wspiął się na przełęcz i przysłoniwszy dłonią oczy, rozejrzał się wokół.

Dostrzegł wioskę. Była nieduża, zupełnie jak wiejskie miasteczko na Terze. Stanowiła interesujący widok. Wahał się przez chwilę. Następnie żwawym krokiem ruszył w dół przełęcz i czujnie podążył w kierunku wioski.

Nad jego głową, z pokładu statku bojowego wyskoczyło trzech następnych członków ekipy;

zaciskając dłonie na broni, z wolna spływali ku powierzchni planety...

Rogers złożył dokumenty Przyłączenia i z ociąganiem umieścił je na powrót w kieszeni.

- Zdaje pan sobie sprawę z tego, co robicie?

W pomieszczeniu panowała głucha cisza. Williamson przytaknął.

- Oczywiście. Odmawiamy przyłączenia się do waszego układu organizacyjnego.

Pod dotykiem palców Rogersa sieć lokalizacyjna rozjarzyła się.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział.

- Czy to pana dziwi?

- Niezupełnie. Centrum dostarczyło komputerom sprawozdanie naszego zwiadowcy. Zawsze istniało prawdopodobieństwo, że odmówicie. Przydzielono mi instrukcje w razie takiej sytuacji.

- Na czym one polegają?

Rogers popatrzył na zegarek.

- Na tym, aby poinformować was, że macie sześć godzin na przyłączenie się do nas - w przeciwnym razie przestaniecie istnieć. - Zerwał się raptownie. - Przykro mi, że to musiało się zdarzyć. Świat Williamsona to jedna z naszych najcenniejszych legend. Lecz nic nie może zakłócić jedności Galaktyki.

Williamson wstał. Śmiertelnie pobladł na twarzy. Popatrzyli na siebie wyzywająco.

- Staniemy do walki - rzekł cicho Williamson. Gorączkowo splatał i rozplatał palce.

- To bez znaczenia. Otrzymaliście współrzędne Centrum dotyczące postępu zbrojeniowego. Wiecie zatem, czym dysponuje nasza flota.

Pozostali siedzieli na miejscach ze wzrokiem utkwionym w pustych talerzach. Nikt się nie poruszył.

- Czy to naprawdę konieczne? - zapytał ostro Williamson.

- Jeśli w Galaktyce ma panować pokój, należy unikać odchyłeń kulturowych - oświadczył zdecydowanie Rogers.

- Zniszczycie nas, aby uniknąć wojny?

- Zniszczymy wszystko, aby uniknąć wojny. Nie dopuścimy, by nasze społeczeństwo

zdegenerowało się w skłóconych prowincjach, toczyło między sobą nieustanne walki - jak choćby wasze klany. Osiągnęliśmy stabilizację dzięki brakowi samego pojęcia odmienności. Należy zachować jednolitość i wykluczyć separację. Sama idea musi pozostać nieznana.

Williamson zamyślił się.

- Myśli pan, że uda się wam zachować ją w tajemnicy? Istnieje tyle korelatów znaczeniowych, aluzji, werbalnych wskazówek. Nawet jeśli zniszczycie nas, ujawni się gdzie indziej.

- Zaryzykujemy. - Rogers ruszył w kierunku wyjścia. - Wrócę na statek i zaczekam. Proponuję, abyście przeprowadzili kolejne głosowanie. Może świadomość tego, jakie kroki jesteśmy gotowi przedsięwziąć, wpłynie na zmianę wyniku.

- Wątpię.

Rozległ się nagły szum sieci Rogersa.

- Mówi North z Centrum.

Rogers na potwierdzenie dotknął sieci.

- Na waszym terenie przebywa statek bojowy klasy pierwszej. Ekipa już wylądowała. Do chwili otrzymania rozkazu odwrotu pozostaniecie na powierzchni. Poleciałem ekipie rozmieścić terminale minowe.

Rogers nie odpowiedział. Konwulsyjnie zacisnął palce na sieci.

- Co się stało? - zapytał Williamson.

- Nic. - Rogers otworzył drzwi. - Muszę niezwłocznie wrócić na statek. Chodźmy.

Komandor Ferris połączył się z Rogersem, jak tylko jego statek opuścił Świat Williamsona.

- North mówi, że już pan im powiedział - rzekł Ferris.

- Zgadza się. Skontaktował się również bezpośrednio z pańską ekipą. Czy przygotowała się już do ataku?

- Tak mnie poinformowano. Ile dał pan im czasu?

- Sześć godzin.

- Myśli pan, że ustąpią?

- Nie wiem - odparł Rogers. - Mam nadzieję. Choć szczerze w to wątpię.

Na monitorze ukazał się błękitnozielony wizerunek Świata Williamsona z jego lasami, rzekami i oceanami. Onegdaj Terra mogła przedstawiać podobny widok. Widział statek bojowy, wielką srebrzystą kulę z wolna krążącą po orbicie wokół planety.

Odnaleziono legendarny świat i nawiązano z nim kontakt. Teraz zostanie on zniszczony. Bezskutecznie usiłował temu zapobiec. Nie mógł powstrzymać tego, co nieuniknione.

Odmowa przyłączenia się do kultury Galaktyki pociągała za sobą nieodwołalną konieczność zniszczenia Świata Williamsona. Albo on, albo Galaktyka. Kosztem zachowania większego należało poświęcić niepozorne.

Usadowił się wygodnie naprzeciw monitora i czekał.

Pod koniec wyznaczonego czasu znad planety uniósł się szereg czarnych punktów i wolno podążył ku srebrzystej kuli. Poznał je - były przestarzałymi raketami silnikowymi. Formacją starych jednostek bój owych szykujących się do podjęcia walki.

Mieszkańcy planety nie zmienili zdania. Gotowi byli walczyć. Woleli zostać zniszczeni, niż porzucić dotychczasowy tryb życia.

Czarne punkty osiągały coraz większe rozmiary, przybierając postać wyjących, roziskrzonych metalowych dysków, niezgrabnie brnących przed siebie. Żałosny widok. Rogersa ogarnęło dziwne poruszenie, kiedy patrzył, jak rozdzielają się gotowe przystąpić do uderzenia. Statek bojowy ubezpieczył swoją orbitę i zatoczył bezbłędny, leniwy łuk. Rzędy wylotów energetycznych uniosły się powoli, szykując się do odparcia ataku.

Naraz formacja przestarzałych rakiet zanurkowała, obsypując statek gradem bezładnych wystrzałów. Wyloty dział statku podążyły ich śladem. Rakiety przegrupowały się niezgrabnie, nabierając rozpędu do kolejnego uderzenia.

W zetknięciu z bezbarwnymi słupami energii napastnicy zniknęli.

Komandor Ferris skontaktował się z Rogersem.

- Żałosni, tragiczni głupcy. - Jego nalana twarz poszarzała. - Porywać się na nas z takim sprzętem.

- Jakież straty?

- Żadnych. - Ferris drżącą ręką otarł czoło. - Absolutnie żadnych strat.

- Co dalej? - zapytał kamiennym głosem Rogers.

- Odrzuciłem operację minową i przekazałem ją Centrum. Niech sami to robią. Impuls już powinien być...

Leżąca poniżej błękitnozielona kula zatrzęsała się konwulsyjnie. Następnie, bez najmniejszego

odgłosu, rozpadła się na części. Pokruszone fragmenty poszły w górę i planeta zmieniła się w obłok białego ognia, rozświetloną masę oślepiających płomieni. Przez chwilę jaśniała w próżni niczym miniaturowe słońce, po czym obróciła się w pył.

Osłona statku Rogersa ożyła pod wpływem obsypujących ją szczątków, które w zetknięciu z nią ulegały natychmiastowej dezintegracji.

- Cóż - powiedział Ferris. - Już po wszystkim. North ogłosi pomyłkę zwiadowcy. Świat Williamsona nie został odnaleziony. Legenda pozostanie legendą.

Rogers patrzył, dopóki unosiły się wokół nich odłamki planety i na monitorze można było dostrzec mglisty, bezbarwny zarys. Osłona wyłączyła się automatycznie. Widniejący po prawej stronie statek bojowy klasy pierwszej nabrał prędkości i skierował się ku układowi Rigi.

Świat Williamsona przestał istnieć. Nic nie zagrażało galaktycznej kulturze organizacyjnej. Idea odrębnej kultury, kierowanej własnymi zasadami i obyczajami, została usunięta w sposób najskuteczniejszy z możliwych.

- Dobra robota - zaszumiała sieć. North był zadowolony. - Miny rozmieszczono idealnie. Nie zostało nic.

- Tak - zgodził się Rogers. - Nie zostało nic.

Kapral Pete Matson z hukiem otworzył frontowe drzwi, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Cześć, kochanie! Niespodzianka!

- Pete! - Nadbiegła Gloria Matson i zarzuciła mężowi ręce na szyję. - Ty w domu? Pete...

- Specjalna przepustka. Czterdzieści osiem godzin. - Pete z triumfem rzucił walizkę. - Cześć, synku.

Chłopiec pozdrowił go nieśmiało.

- Cześć.

Pete przykucnął i otworzył walizkę.

- Jak tam sprawy stoją? Jak w szkole?

- Znowu miał katar - powiedziała Gloria. - Już mu prawie przeszło. Ale co się stało?

Dlaczego...

- Tajemnica wojskowa. - Pete grzebał w walizce. - Proszę. - Wyciągnął w kierunku syna jakiś przedmiot. - Przywiozłem ci coś. Pamiątkę.

Wręczył synowi ręcznie wystruganą filiżankę. Chłopiec sięgnął po nią nieśmiało i zaciekawiony obrócił na wszystkie strony.

- Co to jest... pamiątka?

Matson z wysiłkiem szukał definicji trudnego pojęcia.

- No, jest to coś, co przypomina ci o pewnym miejscu. Coś, czego nie ma tam, skąd pochodzisz. No wiesz. - Matson postukał w filiżankę. - Z tego się pije. W niczym nie przypomina naszych plastikowych kubków, co?

- Nie - odparło dziecko.

- Popatrz na to, Glorio. - Pete wytrząsnął z walizki wielką zwiniętą płachtę wzorzystej, barwnej tkaniny. - Kupiłem ją tanio. Mogłabyś uszyć sobie spódnice. I co mówisz? Widziałaś kiedykolwiek coś podobnego?

- Nie - rzekła ze zdumieniem Gloria. - Nie widziałam. - Wzięła tkaninę i pogładziła ją z uszanowaniem.

Pete Matson promieniał zachwytem, gdy jego żona i syn stali z pamiątkami, które im przywiózł z podróży na odległe planety. Obce lądy.

- Raju - mruknął chłopiec, oglądając filiżankę ze wszystkich stron. W jego oczach zapaliło się dziwne światełko. - Bardzo dziękuję, tato. Za pamiątkę.

Światełko w jego oczach stało się intensywniejsze.

ZWIADOWCY

Halloway przebył sześć mil wśród pyłu, aby obejrzeć lądującą raketę. Wyłonił się z krytego ołowiem tunelu i dołączył do Younga, przyczajonego wraz z niewielkim oddziałem wojskowym. Na powierzchni planety panowała ciemność i cisza. Przesiąknięte zapachem zgnilizny powietrze kłuło w nos. Halloway zadrżał.

- Gdzie my, do diabła, jesteśmy?

Żołnierz wycelował palcem w ciemność.

- Góry są tam. Widzi pan? Jesteśmy w Kolorado.

Kolorado... Stara nazwa obudziła w Hallowayu cień emocji. Dotknął lufy karabinu.

- Kiedy tutaj dotrze? - zapytał. W oddali, na horyzoncie widział zielone i żółte race sygnalizacyjne wroga, przerywane oślepiającymi błyskami wybuchów.

- To może nastąpić w każdej chwili. Jest kontrolowana mechanicznie, pilotuje ją robot. Kiedy ma nadejść, rzeczywiście tak się dzieje.

Mina wroga eksplodowała w odległości kilkudziesięciu mil od nich. Na krótką chwilę dostrzegli zarys oświetlonego poszarpaną łuną krajobrazu. Halloway i żołnierze natychmiast przypadli do ziemi. Chwycił w nozdrza bijący od ziemi fetor spalenizny, charakterystyczny trzydzieści lat po wybuchu wojny.

Różnił się od tego, który utkwiał mu w pamięci z czasów dzieciństwa spędzonego w Kalifornii. Pamiętał wiejską dolinę, plantacje winogron, orzechów i cytryn. Drzewka pomarańczowe. Zielone pagórki, niebo i kolor oczu kobiety. I świeżą woń ziemi...

To wszystko należało do przeszłości. Nie zostało nic z wyjątkiem szarego pyłu pokrywającego białe kamienie budynków. Niegdyś tutaj leżało miasto. Widział ziejące jamy piwnic, teraz wypełnionych żuzłem, wyschnięte rzeki rdzy, będące kiedyś budynkami. I rozsiane wokół rumowiska...

Łuna eksplozji wygasła i okolicę ponownie ogarnął mrok. Ostrożnie podnieśli się z ziemi.

- Co za widok - mruknął jeden z żołnierzy.

- Dawniej było tu inaczej - powiedział Halloway.

- Naprawdę? Ja urodziłem się pod ziemią.

- Wtedy hodowaliśmy rośliny na powierzchni ziemi. Prosto w glebie, a nie w podziemnych zbiornikach. My...

Halloway urwał. Powietrze niespodziewanie wypełnił potężny świst, odbierając mu mowę. W ciemności przemknął ogromny kształt, uderzył gdzieś w pobliżu i wstrząsnął ziemią.

- Rakiet! - krzyknął żołnierz. Wszyscy rzucili się pędem w jej kierunku, Halloway niezgrabnie usiłował dotrzymać im kroku.

- Mam nadzieję, że tym razem dobre wieści - rzucił biegnący obok Young.

- Ja również - wydusił Halloway. - Mars to nasza ostatnia szansa. Jeśli to nie poskutkuje, jesteśmy skończeni. Ekspedycja na Wenus nie przyniosła pożądanych rezultatów; nie ma tam nic prócz lawy i pary.

Później przystąpili do oględzin statku.

- Damy radę - mruknął Young.

- Jesteście pewni? - zapytał w napięciu dyrektor Davidson. - Kiedy tam polecimy, trudno będzie liczyć na natychmiastowy powrót.

- Jesteśmy pewni. - Halloway rzucił na biurko Davidsona szpule z danymi. - Niech pan sam zobaczy. Powietrze na Marsie jest suche i rozrzedzone, grawitacja dużo słabsza niż nasza. Niemniej jednak zdołamy tam przetrwać, a to więcej, niż możemy w tej chwili powiedzieć o nieszczęsnej Ziemi.

Davidson podniósł szpule. Nieruchome światło spływało na metalowe biurko, metalowe ściany i podłogę gabinetu. Rozlegał się szmer ukrytej w ścianach maszynerii utrzymującej powietrze oraz stałą temperaturę.

- Naturalnie będę musiał polegać na waszych ekspertach. Jeżeli jakiś istotny czynnik nie zostanie wzięty pod uwagę...

- Ma się rozumieć, że to loteria - powiedział Young. - Ze względu na odległość nie możemy wszystkiego przewidzieć. - Postukał w szpule. - To jedynie mechaniczne próbki i zdjęcia. Roboty wykonały zadanie najlepiej, jak mogły. I tak mamy szczęście, że znaleźliśmy jakikolwiek punkt zaczepienia.

- Przynajmniej nie ma mowy o promieniowaniu - dorzucił Halloway. - Na to możemy liczyć. Lecz Mars będzie suchy, zakurzony i zimny. To daleko stąd. Marne Słońce. Pustynie i pofałdowane wzgórza.

- To stara planeta - zgodził się Young.

- Mars został wychłodzony dawno temu. Spójrzcie na to w ten sposób: razem z Ziemią mamy osiem planet. Obszar od Plutona do Jowisza nie wchodzi w rachubę. Nie ma tam szans na przeżycie. Merkury to ciekły metal, Wenus natomiast znajduje się w fazie prekambriu. Czyli odpada siedem z ośmiu. Mars stanowi jedyną możliwość a priori.

- Innymi słowy - odparł z wolna Davidson - Mars musi okazać się odpowiedni, gdyż nie pozostaje nam nic innego.

- Moglibyśmy zostać tutaj i mieszkać w podziemnych tunelach jak krety.

- Pociągnęlibyśmy tylko jeszcze rok. Widzieliście rezultaty ostatnich badań psychologicznych.

Widzieli. Wskaźnik napięcia wykazywał tendencję zwykłą. Ludzie nie byli przeznaczeni do życia w metalowych tunelach, gdzie odżywiali się sztucznie wytwarzanym pokarmem, pracowali i spali bez widoku słońca.

Dzieci stanowiły źródło największej troski. Dzieci, które nigdy nie widziały powierzchni. Wymizerowane pseudomutanty o oczach przywodzących na myśl oczy ślepych ryb. Pokolenie urodzone w podziemnym świecie. Wskaźnik napięcia zwykował, ponieważ ludzie widzieli, jak w

świecie tuneli, ciemności i ociekających wilgocią skał ich dzieci ulegały stopniowemu przeobrażeniu.

- Zatem postanowione? - zapytał Young.

Davidson utkwiał w twarzach dwóch techników badawcze spojrzenie.

- Może udałoby się odnowić powierzchnię, tchnąć w Ziemię życie, zrewitalizować glebę. Przecież nie jest aż tak źle, prawda?

- Nie ma na to najmniejszych szans - odparł bezbarwnym głosem Young. - Nawet gdybyśmy zawarli ugodę z wrogiem, cząsteczki dryfowałyby w powietrzu kolejne pięćdziesiąt lat. Skażenie Ziemi wykluczałoby życie do końca wieku. Nie możemy czekać.

- Dobrze - oznajmił Davidson. - Wobec tego wyznaczę grupę zwiadowców. Przynajmniej podejmiemy takie ryzyko. Chcecie jechać? Chcecie być pierwszymi ludźmi na Marsie?

- Jeszcze jak - odparł ponuro Hallo way. - Zresztą i tak stanowi to jeden z warunków naszego kontraktu.

Czerwona kula Marsa stopniowo przybierała coraz większe rozmiary. Young i van Ecker bacznie obserwowali ją z kabiny nawigacyjnej.

- Musimy skakać - oświadczył van Ecker. - Przy tej szybkości nie damy rady wylądować.

Young nie krył niepokoju.

- Nam nic nie grozi, ale co z pierwszą turą osadników? Trudno oczekiwać, by kobiety i dzieci skakały na spadochronach.

- Do tego czasu znajdziemy lepsze środki. - Na skinienie van Eckera kapitan Mason włączył sygnalizację awaryjną. Na statku zabrzmiał złowrogi dźwięk dzwonek. Zahuczało od tupotu biegnących do włazów członków załogi.

- Mars - mruknął kapitan Mason, nie odrywając wzroku od monitora. - Nie to co Luna. To dopiero coś.

Young i van Ecker pospieszyli w kierunku włazu.

- Pora ruszać.

Mars rósł w oczach; brzydka, ponura, czerwona kula. Halloway włożył kask. Van Ecker stanął za jego plecami.

Mason został w kabinie nawigacyjnej.

- Skoczę za załogą - powiedział.

Odsunięto właz i zstąpili na gzyms spadochronowy. Część załogi zaczęła skakać.

- Szkoda marnować statek - odezwał się Young.

- Nic na to nie poradzimy. - Van Ecker włożył kask i wyskoczył. Mechanizm hamulcowy poderwał go w górę, uniósł się w wiszącą nad nimi ciemność niczym balon. Young i Halloway ruszyli w jego ślady. Pozostawiony w dole statek nieubłaganie opadał ku powierzchni Marsa. Na niebie dryfowały świetliste punkciki - członkowie załogi.

- Tak sobie myślę - powiedział Halloway.

- O czym? - z umieszczonych wewnątrz kasku słuchawek dobiegł głos Younga.

- Davidson wspominał coś o przeoczeniu istotnego czynnika. Jest jedna rzecz, której nie wzięliśmy pod uwagę.

- Mianowicie?

- Marsjanie.

- Dobry Boże! - włączył się van Ecker. Halloway widział, jak po jego prawej stronie z wolna szybuje w kierunku planety. - Sądysz, że oni naprawdę istnieją?

- To bardzo możliwe. Na Marsie są warunki niezbędne dla życia. Jeżeli my jesteśmy w stanie tam funkcjonować, to dlaczegoż by nie kto inny?

- Wkrótce się o tym przekonamy - skwitował Young.

Van Ecker wybuchnął śmiechem.

- Może przechwycili jedną z naszych automatycznych rakiet i szykują dla nas powitanie.

Halloway milczał. Bliskość planety odbierała ochotę do żartów. Czerwona kula stawała się coraz większa. Widział białe plamy biegunów. Kilka niewyraźnych błękitnozielonych wstęg niegdyś zwanych kanałami. Czyżby w dole istniała cywilizacja, zorganizowana kultura czekająca na nich, podczas gdy z wolna spływali w dół? Pogrzebał w plecaku, aż wreszcie jego palce zacisnęły się na rękojeści pistoletu.

- Lepiej przygotujcie broń - powiedział.

- Gdyby Marsjanie przygotowali system obronny, i tak nie mielibyśmy szans - odparł Young. - Mars ostygł miliony lat przed Ziemią. Na pewno są tak posunięci w rozwoju, że nie będą nawet...

- Już za późno - dobiegł niewyraźny głos Masona. - Wy, eksperci, powinniście byli to przewidzieć.

- Gdzie pan jest? - zapytał Halloway.

- Pod wami. Statek jest pusty; rozbije się lada chwila. Wydostałem z niego cały sprzęt i przytwierdziłem do automatycznych spadochronów.

W dole ujrzeli krótki błysk eksplozji. Statek uderzył o powierzchnię...

- Prawie dotarłem na miejsce - rzucił nerwowo Mason. - Będę pierwszy...

Mars przestał być kulą. Teraz stanowił rozpiętą pod nimi, rozległą rdzawą płachtę. W ciszy opadali w jego kierunku. Dostrzegli zarys gór. Strużki rzek. Niewyraźną szachownicę pól i pastwisk...

Halloway przycisnął do siebie broń. Układ hamulcowy zazgrzytał w miarę gęstnienia powietrza. Prawie dotarł do celu. W słuchawkach usłyszał stłumiony łoskot.

- Mason! - krzyknął Young.

- Jestem na dole - dobiegł cichy głos Masona.

- Nic panu nie jest?

- Zaparło mi dech. Ale jestem cały. Przez chwilę panowała cisza.

- Chryste! - wydusił zaraz Mason. - Miasto!

- Miasto? - wrzasnął Young. - Jakie miasto? Jak wygląda?

- Widzi pan ich? - krzyknął van Ecker. - Jak wyglądają? Czy jest ich dużo?

W ich słuchawkach rozbrzmiewał chrapliwy oddech Masona.

- Nie - rzekł wreszcie. - Żadnych śladów życia. Kompletny bezruch. Miasto jest... wygląda na porzucone.

- Porzucone?

- Zgliszcza, jak okiem sięgnąć. Mile zrujnowanych kolumn, murów i zardzewiałe rusztowania.

- Dzięki Bogu - odetchnął Young. - Musieli wyginać. Jesteśmy bezpieczni. Pewnie osiągnęli kres procesu ewolucyjnego i zakończyli swój cykl dawno temu.

- Czy zostawili coś dla nas? - Halloway poczuł skurecz strachu. - Czy dla nas coś zostało? - Szarpnął układem hamulcowym, chcąc przyspieszyć lądowanie. - Czy też nie ma już nic?

- Sądzisz, że mogli wyeksploatować planetę? - zapytał Young. - Uważasz, że wyczerpali

wszystkie...

- Trudno powiedzieć - w niewyraźnym głosie Masona zabrzmiał niepokój. - Nie wygląda to najlepiej. Ogromne dziury. Otwory wiertnicze. Trudno powiedzieć, ale z tego, co widać...

Halloway desperacko szarpał hamulce. Planeta była zrujnowana do cna.

- Na miłość boską - wymamrotał Young. Usiadł na złamanej kolumnie i otarł twarz. - Nie zostawili nam nic. Nic.

Wokół nich załoga wznosiła awaryjne mechanizmy obronne. Ekipa komunikacyjna montowała zasilany bateriami nadajnik. Ekipa wiertnicza zajęła się poszukiwaniem źródła. Pozostali członkowie penetrowali okolicę, szukając jedzenia.

- Nie znajdziemy najmniejszych oznak życia - oznajmił Halloway. Machnął ręką w kierunku rozległej połaci gruzu i rdzy. - Tamci odeszli dawno temu.

- Nic z tego nie rozumiem - mruknął Mason. - Jakim sposobem mogli zdewastować całą planetę?

- My zniszczyliśmy Ziemię w ciągu trzydziestu lat.

- To zupełnie co innego. Oni zużyli Marsa. Zużyli dokładnie wszystko. Nie zostawili absolutnie nic. To wszystko to jedna wielka sterta złomu.

Halloway usiłował drżącymi rękami zapalić papierosa. Zapałka paliła się słabym płomieniem i zaraz zgasła. Czuł się niewyraźnie. Serce boleśnie tłukło mu się w piersi. Docierały do nich nikłe promienie dalekiego, skarłałego Słońca. Znaleźli się w zimnym, samotnym, martwym świetle Marsa.

- To musiało być dla nich straszne, kiedy obserwowali powolną zagładę swoich miast - powiedział Halloway. - Ani wody, ani minerałów, ani żyznej gleby. - Podniósł garść suchego piasku i przepuścił go między palcami.

- Nadajnik działa - oznajmił jeden z członków załogi.

Mason wstał i ociężale zbliżył się do urządzenia.

- Opowiem Davidsonowi o naszym znalezisku. - Pochylił się nad mikrofonem.

Young popatrzył na Hallowaya.

- Cóż, chyba utknęliśmy. Na jak długo wystarczy nam zapasów?

- Na kilka miesięcy.

- A potem... - Young pstryknął palcami. - Jak Marsjanie. - Zerknął spod przymkniętych powiek na długą, poszarpaną ścianę zniszczonego domu. - Ciekawe, jacy oni byli.

- Badacze penetrują ruiny. Może coś znajdą.

Za miastem rozciągała się dawna dzielnica przemysłowa. Pola powykręcanych instalacji, wież, rur i maszyn. Wszystko pokryte warstwą piasku i rdzy. Powierzchnia planety naznaczona była ogromnymi dziurami, efektem pracy dawnych koparek. Wejścia do podziemnych kopalni. Na Marsie nie pozostała ani jedna nie naruszona piędź ziemi. Jego mieszkańcy maksymalnie eksploatowali planetę, aby tylko przeżyć. Kiedy wyszali ją do cna, pozostawili własnemu losowi.

- Cmentarz - stwierdził Young. - Cóż, dostali to, na co zasłużyli.

- Masz im to za złe? Co innego mieli zrobić? Wyginać kilka tysięcy lat wcześniej i zostawić planetę w lepszym stanie?

- Powinni byli coś nam zostawić - odrzekł uparcie Young. - Może zdołamy wykopać ich kości i ugotować. Gdybym tylko któregoś dostał w swoje ręce...

W pośpiechu nadeszło kilku członków załogi.

- Spójrzcie na to! - Przynieśli ze sobą całe naręczka metalowych rur i stosy błyszczących cylindrów. - Spójrzcie, co wykopaliśmy!

Halloway wstał.

- Co to jest?

- Archiwa. Zapiski. Zanieście je badaczom! - Carmichael upuścił swój balast u stóp Hallowaya. - To nie wszystko. Mamy coś jeszcze - instalacje.

- Instalacje? Jakiego rodzaju?

- Wyrzutnie raketowe. Stare wieże, zardzewiałe jak diabli. Pola są położone po drugiej stronie miasta. - Carmichael otarł pot z czerwonej twarzy. - Oni nie wymarli, Halloway. Odlecieli. Zużyli to miejsce i potem przenieśli się gdzie indziej.

Doktor Judde i Young pochyłili się nad lśniącymi tubami.

- Chodzi - mruknął doktor Judde pochłonięty obserwacją odczytu skanera.

- Może pan coś odczytać? - zapytał w napięciu Halloway.

- Rzeczywiście odeszli. Gromadnie opuścili planetę.

Young zwrócił się do Hallowaya.

- I co na ten temat sądzisz? Zatem nie wyginęli.

- Czy nie mógłby pan powiedzieć, dokąd się udali?

Judde potrząsnął głową.

- Na jakąś planetę zlokalizowaną przez ich statki zwiadowcze. Panował na niej idealny klimat i temperatura. - Odsunął skaner na bok. - W końcowym okresie cała cywilizacja marsjańska zapatrzona była w tę upragnioną planetę. Wszyscy w równym stopniu zaangażowali się w przeprowadzkę. Przeniesienie cennych przedmiotów z Marsa na ową planetę zabrało im trzysta lub czterysta lat.

- Jak zakończyła się ta operacja?

- Niezbyt pomyślnie. Planeta była nadzwyczaj piękna. Jednak musieli jakoś się zaadaptować. Najwyraźniej nie przewidzieli wszystkich problemów związanych z kolonizacją obcego świata. - Judde wskazał ręką cylinder. - Niebawem nastąpił rozpad kolonii. Nie potrafili zachować tradycji i rozwoju technicznego. Społeczeństwo przeszło dotkliwy kryzys. Nastąpił czas wojny i barbarzyństwa.

- Zatem migracja okazała się porażką. - Halloway zamyślił się. - Być może ten proces jest niewykonalny. Niemożliwy do spełnienia.

- To nie była porażka - poprawił go Judde. - Przynajmniej zdołali przeżyć. To miejsce przestało się do tego nadawać. Lepiej stać się dzikusiem w obcym świecie, niż pozostać tutaj, by umrzeć. Tak jest napisane na tych cylindrach.

- Chodźmy - powiedział do Hallowaya Young. Dwaj mężczyźni wyszli z szałas. Zapadła noc. Niebo usiane było mrugającymi gwiazdami. Wstały dwa księżycy i lśniły na nieboskłonie na podobieństwo dwojga lodowatych oczu.

- Nic tu nie działo - oznajmił Young. - Nie mamy co liczyć na powodzenie misji. To pewne.

Halloway zmierzył go spojrzeniem.

- Co masz na myśli?

- To ostatnia z dziewięciu planet. Sprawdziliśmy każdą. - Twarz Younga rozjaśniła się z emocji. - Na żadnej z nich nie przeżyjemy. Wszystkie są albo zabójcze dla nas, albo bezużyteczne, całkiem jak ta. Cały cholerny Układ Słoneczny to przeżytek.

- No i?

- Musimy udać się dalej.

- Niby gdzie? Jak?

Young wskazał ruiny marsjańskie, miasto oraz pochylone rzędy wież.

- Tam gdzie oni. Oni znaleźli odpowiednie miejsce. Nietknięty świat poza Układem Słonecznym. I opracowali pewien rodzaj pozaprzestrzennego napędu, który umożliwił im dalszą wędrówkę.

- To znaczy...

- Lećmy za nimi. Układ Słoneczny już się skończył. Lecz poza nim, gdzieś w jakimś innym układzie, znaleźli dom. I jakimś cudem zdołali tam dotrzeć.

- Gdybyśmy chcieli wylądować na ich planecie, musielibyśmy stoczyć z nimi walkę. Nie zgodzą się, aby ją z nami dzielić.

Young ze złością splunął na piasek.

- Ich kolonie się zdegenerowały. Nie pamiętasz? Zapanowało w nich barbarzyństwo. Damy sobie z nimi radę. Pod względem militarnym jesteśmy nie do pobicia. Dysponujemy bronią, która jest w stanie wymieść planetę do czysta.

- Przecież nie chcemy tego zrobić.

- A co chcemy zrobić? Powiedzieć Davidsonowi, że pozostaje nam jedynie Terra? Pozwolić ludzkości zamienić się w stado podziemnych kretów? Oślepych, pełzających stworzeń...

- Jeżeli podążymy za Marsjanami, będziemy zmuszeni walczyć o ich świat. Oni go znaleźli; w związku z tym stanowi ich własność, nie naszą. Poza tym może wcale nie uda nam się rozpracować tego napędu. Może schematy zniknęły.

Z szalasu wyłonił się Judde.

- Mam więcej informacji. Tu jest cała opowieść. Szczegóły dotyczące tajemniczej planety. Opis jej flory i fauny. Badania nad grawitacją, gęstością powietrza, złożami mineralnymi, warstwami gleby, klimatem, temperaturą... dokładnie wszystko.

- A co z napędem?

- To również jest. Mówię wam, że wszystko. - Judde drżał z podniecenia. - Mam pomysł. Niech projektanci zajmą się tym schematem i zobaczą, czy uda im się go odtworzyć. Jeśli tak, udajmy się za Marsjanami. Ostatecznie moglibyśmy dzielić z nimi planetę.

- Widzisz? - powiedział do Hallowaya Young. - Davidson powie to samo. Sprawa jest oczywista.

Halloway odwrócił się i odszedł.

- Co mu się stało? - zapytał Judde.

- Nic. Przejdzie mu. - Young nabazgrał coś na świstku papieru. - Przekażcie to Davidsonowi.

Judde rzucił okiem na wiadomość. Gwizdnął.

- Przekazuje mu pan informację o marsjańskiej migracji. I o tajemniczej planecie.
- Musimy niezwłocznie przystąpić do pracy. Przygotowanie wszystkiego zajmie dużo czasu.
- Czy Halloway do nas dołączy?
- Nie ma obawy - odparł Young. - Proszę nie zawracać sobie nim głowy.

Halloway spoglądał na górujące nad nim wieże. Pochylone wieże, z których tysiące lat temu wysyłano marsjańskie transporty.

W okolicy panował całkowity bezruch. Najmniejszych śladów życia. Wysuszona planeta była martwa.

Halloway przechadzał się pomiędzy wieżami. Snop światła z latarki umieszczonej na jego kasku oświetlał mu drogę. Ruiny, zwały przeżartego rdzą metalu. Zwoje drutu i elementów budowlanych. Zdekompletowane fragmenty urządzeń. Sterczące z piasku nie dokończone konstrukcje.

Wszedł na wzniesiony pomost i ostrożnie wspiął się po drabinie. Znalazł się na podeście obserwacyjnym, otoczonym pozostałościami tarcz i liczników. Z boku, niczym przyrośnięty do miejsca, stał przekrzywiony teleskop.

- Hej - dobiegł z dołu czyjś głos. - Kto tam jest?

- Halloway.

- Boże, ale mnie przestraszyłeś. - Carmichael odłożył karabin i wspiął się na drabinę. - Co robisz?

- Rozglądam się.

Zdyszany i poczerwieniały na twarzy Carmichael stanął obok niego.

- Te wieże to całkiem interesujące zjawisko. To automatyczna stacja celownicza. Nadzorowała transporty towarowe wtedy, kiedy nie było już ludzi. - Carmichael poklepał zrujnowany pulpit rozdzielczy. - Statki nadal startowały w powietrze, po odlocie wszystkich Marsjan, ładowane i wysyłane przez maszyny.

- Mieli szczęście, że było dokąd odlecieć.

- Jasne. Ekipa badająca złoza twierdzi, że nie zostało tu absolutnie nic. Nic poza piaskiem, skałami i gruzem. Nawet woda jest kiepska. Zabrali wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

- Judde mówi, że ich nowa planeta jest całkiem ładna.

- Dziewiczy ład. - Carmichael cmoknął grubymi wargami. - Nie tknięty. Drzewa, łąki, błękitne oceany. Pokazał mi odczyt zapisków z cylindra.

- Szkoda, że my nie znamy takiego miejsca. Dziewiczego ładu, który moglibyśmy zasiedlić.

Carmichael pochylił się nad teleskopem.

- To urządzenie służyło do ustalania miejsca przeznaczenia. Kiedy na celowniku pojawiała się nowa planeta, dźwignia przekazywała sygnał wieży kontrolnej, która następnie wysyłała statki. Kiedy te znalazły się w górze, zaraz na ich miejsce wjeżdżały następne. - Carmichael zaczął oczyszczać szkła teleskopu z nagromadzonej rdzy i kurzu. - A nuż zobaczymy ich planetę.

W obiektywie widniał mglisty zarys połyskliwej kuli. Halloway dojrzał jej zarys spod nagromadzonej przez stulecia warstwy cząsteczek i brudu.

Carmichael na czworakach walczył z regulatorem ostrości.

- Widzisz coś? - zapytał.

Halloway kiwnął głową.

- Tak.

Carmichael odepchnął go.

- Daj popatrzeć. - Przymrużył oczy. - Na miłość boską!

- Co się stało? Nie widzisz jej?

- Widzę - odrzekł Carmichael, ponownie opadając na czworaka. - Musiał zmienić położenie. Albo też przedział czasowy jest zbyt duży. Ale przecież on powinien regulować się automatycznie. Naturalnie skrzynia biegów stała nieruchomo przez...

- O co chodzi? - przerwał mu Halloway.

- Przecież to Ziemia. Nie poznajesz?

- Ziemia!

Carmichael uśmiechnął się z niesmakiem.

- To diabelstwo musi być zepsute. Chciałem rzucić okiem na tę ich wymarzoną planetę. A to po prostu stara Terra, skąd przybyliśmy. Tyle zachodu, aby naprawić ten złom, i po co?

- Ziemia! - mruknął Halloway. Właśnie opowiedział Youngowi o teleskopie.

- Nie mogę w to uwierzyć - odparł Young. - Ale opis odpowiadał opisowi Ziemi sprzed tysięcy lat...

- Kiedy oni odlecieli? - zapytał Halloway.

- Około sześciuset tysięcy lat temu - odrzekł Judde.

- I na nowej planecie w koloniach nastąpił upadek dyscypliny.

Czterej mężczyźni milczeli. Z zaciśniętymi ustami popatrzyli po sobie.

- Zniszczyliśmy dwa światy - oznajmił Halloway. - Niejeden. Najpierw był Mars. Dopełniwszy dzieła zniszczenia tutaj, przenieśliśmy się na Terrę, którą zrujnowaliśmy równie systematycznie jak Marsa.

- Koło się zamyka - dodał Mason. - Wróciliśmy do punktu wyjścia, by zebrać plon zasiany przez naszych przodków. Pozostawili Marsa w stanie nie nadającym się do dalszego użytku. A my wróciliśmy tu, by snuć się po ruinach jak duchy.

- Niechże pan będzie cicho - rozkazał mu Young. Gniewnie chodził tam i z powrotem. - Nie mogę w to uwierzyć.

- To my jesteśmy Marsjanami. Potomkami pierwotnego rodu, który opuścił planetę. Wróciliśmy z kolonii do domu. - W głosie Masona pojawiły się histeryczne nuty. - Znów jesteśmy w domu, gdzie nasze miejsce!

Judde odłożył skaner i wstał.

- Nie ma co do tego wątpliwości. Porównałem ich analizy z naszymi archiwami archeologicznymi. Wszystko pasuje. Ich wymarzonym światem była Terra, sześćset tysięcy lat temu.

- Co powiemy Davidsonowi? - zapytał Mason. Wybuchnął obłąkańczym śmiechem. - Znaleźliśmy doskonałą planetę, nie tkniętą działaniem człowieka. Nie zdjęto z niej jeszcze nawet celofanu.

Halloway podszedł do drzwi szafasu i w milczeniu wyjrzał na zewnątrz. Judde stanął u jego boku.

- To katastrofa. Naprawdę utknęliśmy. Na co pan, do cholery, patrzy?

Ponad nimi migotało zimne niebo. W słabym świetle rozciągały się ogołocone równiny Marsa, mile pustych, jałowych nieużytków.

- Na to - odrzekł Halloway. - Wie pan, z czym mi się kojarzy ten widok?

- Z terenem piknikowym.

- Potłuczone butelki, puszki i papierowe talerze, porzucone po odejściu turystów. Tyle że turyści wrócili. Wrócili i zmuszeni są żyć wśród pozostawionego przez siebie bałaganu.

- Co powiemy Davidsonowi? - zapytał Mason.

- Już do niego dzwoniłem - odparł ze zmęczeniem Young. - Powiedziałem mu, że poza Układem Słonecznym istnieje pewna planeta. Miejsce, do którego możemy się udać. Marsjanie wymyślili odpowiedni napęd.

- Napęd. - Judde pogrążył się w myślach. - Te wieże. - Wykrzywił usta. - Może rzeczywiście dysponowali napędem pozaprzeustrzennym. Może warto kontynuować odczytywanie archiwów.

Popatrzyli na siebie.

- Powiedzcie Davidsonowi, że nie zaprzestaniemy wysiłków, dopóki tego nie znajdziemy - rozkazał Halloway. - Nie zostaniemy na tym śmietnisku. - Jego szare oczy zaśniły. - Jeszcze go znajdziemy. Dziewiczy, nie naruszony świat.

- Nie naruszony - powtórzył jak echo Young. - Którego nie odwiedził nikt przed nami.

- Będziemy pierwsi - mruknął chciwie Judde.

- Tak nie można! - krzyknął Mason. - Wystarczą dwa! Nie niszczy kolejnego!

Nikt go nie słuchał. Judde, Young i Halloway podnieśli głowy z wyrazem zapału na twarzach i zacisnęli pięści. Tak jak gdyby już tam byli. Jak gdyby już objęli we władanie nowy świat i ani rusz nie chcieli wypuścić go z ręki. I przystępowali do systematycznego rujnowania, atom po atomie...

UWAGI

Wszystkie notki kursywą pochodzą od Philipa K. Dicka. Rok powstania danej notki podany jest w nawiasach na jej końcu. W większości zostały napisane z myślą o zbiorach opowiadań "The Best of Philip K. Dick" (ukazał się w 1977) oraz "The Golden Man" (1980), kilka powstało na zamówienie wydawców drukujących lub przedrukowujących jakieś opowiadanie w czasopiśmie albo antologii książkowej. Pierwsza notka pochodzi ze wstępu do zbioru "The Preserving Machine".

Jeżeli po tytule opowiadania występuje data, to jest to data otrzymania maszynopisu przez agenta Dicka, ustalona na podstawie zawartości archiwów Scott Meredith Literary Agency. Brak daty oznacza, że nie udało się jej ustalić. (Dick rozpoczął współpracę z tą agencją w połowie roku 1952.) Nazwa czasopisma poprzedzająca miesiąc i rok wskazuje, kiedy dane opowiadanie po raz pierwszy ukazało się drukiem. Drugi tytuł jest oryginalnym tytułem wymyślonym przez Dicka, odnalezionym w

dokumentach agencji.

W tych pięciu tomach zawarto wszystkie krótkie utwory prozatorskie Philipa K. Dicka, z wyjątkiem mikropowieści (które później albo ukazały się jako samodzielne książki, albo weszły w skład obszerniejszych powieści), próbek literackich z okresu dzieciństwa i wczesnej młodości, a także nigdy nie opublikowanych utworów, których maszynopisów nie udało się odnaleźć. Opowiadania uszeregowano w porządku chronologicznym, ustalonym przez Gregga Rickmana i Paula Williama.

PANI OD CIASTECZEK (“The Cookie Lady”) 27.08.52 - “Fantasy Fiction”, czerwiec 1953.

ZA DRZWIAMI (“Beyond the door”) 29.08.52 - “Fantastic Universe”, styczeń 1954.

ŚWIAT JONA (“Jon’s World”, “Jon”) 21.10.52 - “Time to Come” pod redakcją Augusta Derletha, Nowy Jork 1954.

KŁUSOWNICY PRZESTRZENI (“The Cosmic Poachers”, “Burglar”) 22.10.52 - “Imagination”, lipiec 1953.

POTOMSTWO (“Progeny”) 3.11.52 - “If, listopad 1954.

PEWNE FORMY ŻYCIA (“Some Kinds of Life”, “The Beleguered”) 3.11.52 - “Fantastic Universe”, październik - listopad 1953, pod pseudonimem Richard Phillips.

CHMARA (“Martians Come in Clouds”, “The Buggies”) 5.11.52 “Fantastic Universe”, czerwiec-lipiec 1954.

PODRÓŻNY (“The Commuter”) 19.11.52 - “Amazing”, sierpień-wrzesień 1953.

ŚWIAT, KTÓREGO PRAGNĘŁA (“The World She Wanted”) 24.11.52 - “Science Fiction Quarterly”, maj 1953.

OBLAWA (“A Surface Raid”) 2.12.52 - “Fantastic Universe”, lipiec 1955.

PROJEKT: ZIEMIA (“Project: Earth”, “One Who Stole”) 6.01.53 - “Imagination”, grudzień 1953.

STWÓRZ WŁASNY ŚWIAT (“The Trouble with Bubbles”, “Plaything”) 13.01.53 - “If, wrzesień 1953.

ŚNIADANIE O ZMIERZCHU (“Breakfast at Twilight”) 17.01.53. - “Amazing”, lipiec 1954.

Siedzisz sobie spokojnie w domu, a tu nagle żołnierze wyważają drzwi, wpadają do środka i mówią, że znalazłeś się w samym środku trzeciej wojny światowej. Coś pokręciło się z czasem. Lubię igrzać z pomysłem, że nagle przestają obowiązywać podstawowe kategorie rzeczywistości, takie jak czas i przestrzeń. Przypuszczalnie ma to jakiś związek z moim zamiłowaniem do chaosu. (1976)

PREZENT DLA PAT ("A Present for Pat") 17.01.53 - "Startling Stories", styczeń 1954.

TWÓRCA KAPTURÓW ("The Hood Maker", "Immunity") 26.01.53 - "Imagination", czerwiec 1955.

JABŁOŃ ("Of Withered Apples") 26.01.53 - "Cosmos Science Fiction and Fantasy", lipiec 1954.

CZŁOWIEKIEM JEST ("Human Is") 2.02y53 - "Startling Stories", zima 1955.

W tym opowiadaniu zawarłem moje najdawniejsze poglądy dotyczące natury człowieczeństwa. Nie wydaje mi się, żeby od tamtych czasów, to znaczy od lat 50., uległy one znaczącym zmianom. Nie ma znaczenia, jak wyglądasz ani na jakiej planecie się urodziłeś, tylko to, ile jest w tobie dobroci. Wiośnie dobroć, moim zdaniem, jest tym, co różni nas od kamieni, patyków i metalu; zawsze tak będzie, bez względu na to, gdzie się znajdziemy, jak będziemy wyglądać i czym się staniemy. "Człowiekiem jest" to moje credo. Oby stało również waszym. (1976)

EKIPA DOSTOSOWAWCZA ("Adjustment Team") 11.02.53 - "Orbit Science Fiction", wrzesień-październik 1953.

IMPOSTOR ("Impostor") 24.02.53 - "Astoundind", czerwiec 1953.

To moje pierwsze opowiadanie na temat: Czy jestem człowiekiem, czy tylko zaprogramowano mnie w taki sposób, żeby mi się tak wydawało? Weźcie pod uwagę, że napisałem je w roku 1953; wtedy pomysł był zupełnie świeży. Od tamtej pory, ma się rozumieć, zajeżdżiłem go na śmierć, niemniej jednak wciąż mnie fascynuje. To ważny problem, ponieważ zmusza nas do zadawania pytań o naturę człowieczeństwa. (1976)

JAMES P. CROW ("James P. Crow") 17.03.53 - "Planet Stories", maj 1954.

PRZECHODNIA PLANETA ("Planet for Transients", "The Itinerants") 23.03.53 - "Fantastic Universe", październik-listopad 1953. (Fragmenty tego opowiadania znalazły się w powieści "Deus Irae").

MIASTEczKO ("Small Town", "Engineer") 23.03.53 - "Amazing", maj 1954.

Oto jak frustracja małego człowieka (małego w rozumieniu władzy, jaką ma nad innymi) stopniowo przeradza się w coś bardzo groźnego, a mianowicie w moc śmierci. Czytając tę opowieść (ma się rozumieć, to nie jest science fiction, tylko fantasy), wciąż jestem pod wrażeniem, jak niewiele trzeba, żeby z pomiatanego stać się pomiatającym. Verne Haskel początkowo jest jakby wzorem słabeusza, ale w głębi duszy wcale taki nie jest. Możecie potraktować ten tekst jako ostrzeżenie: człowiek, którego lekceważycie, może się okazać niebezpieczny. Uważajcie na niego, bo kto wie, czy pod maską nieudacznika nie kryje się thanatos, przeciwieństwo życia. Być może marzy nie o tym, by osiąść władzę, lecz o tym, by wszystko zniszczyć. (1979)

PAMIĄTKA ("Souvenir") 26.03.53 - "Fantastic Universe", październik 1954. ZWIADOWCY

(“Survey Team”) 4.03.53 - “Fantastic Universe”, maj 1954. ZNAMIENTY AVTOR (“Prominent Author”) 20.04.53 - “If, maj 1954.